

??
....



lesiojot

WILKIE COLLINS

KOBIETA W BIELI

CZYTELNIK

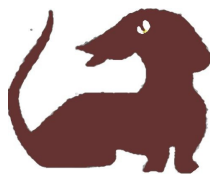
tom I

William Wilkie Collins

KOBIETA W BIELI

Tom I

Przekład
Aldona Szpakowska



CZYTELNIK * 1961

POCZĄTEK OPOWIEŚCI SPISANY
PRZEZ WALTERA HARTRIGHTA
(nauczyciela rysunków zamieszkałego w Clement Inn)

I

Opowieść ta mówi o tym, jak wiele zdoła przetrwać cierpliwa kobieta i jak wiele może dokonać stanowczy mężczyzna.

Gdyby można było wierzyć, że machina prawa, lekko tylko oliwiona złotem, zbada każdą poszlakę i przeprowadzi wszystkie dochodzenia, to historia wydarzeń, zapelniających te strony, domagałaby się uwagi opinii publicznej na sali sądowej.

Jednakże w pewnych, nie dających się uniknąć sytuacjach prawo jest wciąż jeszcze zaprzysiężonym sługą długiej sakiewki, przeto historia ta opowiedziana być musi po raz pierwszy na tych kartkach. Tak, jak mógł ją być usłyszeć sędzia, tak teraz usłyszy czytelnik. Ani jedna ważna okoliczność — od początku wyjawiania prawdy aż do końca opowiadania — nie została podana jedynie na podstawie pogłosek. Autor tych wstępnych linijek (Walter Hartright) opíše tylko te wypadki, z którymi związany był bliżej niż inni, kiedy natomiast nie będzie się mógł oprzeć na własnych przeżyciach, zrezygnuje z roli narratora; w tym momencie zadanie jego podejmą inne osoby i przedstawią dalsze okoliczności sprawy stosownie do tego, co same widziały i słyszały mówiąc równie jak on jasno i pewnie.

A więc historię tutaj zawartą opisywać będzie niejedno pióro, . tak jak historię wykroczenia przeciw prawu przedstawia w sądzie niejeden świadek. W obu wypadkach cel jest ten sam: wykazanie prawdy w sposób jak najbardziej jasny i zrozumiały i dokładne prześledzenie rozwoju wydarzeń, a to dzięki temu, że

osoby najściślej w danym momencie z nimi związane mówić będą o tym, co rozgrywało się przed ich oczyma.

Niech więc głos zabierze Walter Hartright, nauczyciel rysunków, liczący lat dwadzieścia osiem.

II

Był ostatni dzień lipca. Długie, upalne lato miało się ku końcowi, a nam, znużonym pielgrzymom londyńskich chodników, marzyły się pola leżące w cieniu chmur i morskie wybrzeże, chłodzone lekkim jesiennym powiewem.

Jeżeli chodzi o moją skromną osobę, żegnałem owo skwarne lato bez sił, bez radości życia i — jeśli mam być szczery — również bez pieniędzy. W minionym roku z mniejszą niż zwykle rozwągą dysponowałem swoimi dochodami i wskutek tej ekstrawagancji nie pozostawało mi obecnie nic innego, jak myśleć o oszczędnościach i spędzeniu jesieni częściowo w domku matki w Hampstead, a częściowo we własnym moim mieszkaniu w mieście.

Wieczór, pamiętam, był spokojny i chmurny, powietrze Londynu duszne jak nigdy, odgłosy dalekiego ruchu ulicznego niezwykle ciche. Miałem wrażenie, że serce moje bije do wtóru sercu ogromnego miasta, że bije coraz wolniej, i zamiera wraz z gasnącym słońcem. Podniosłem się znad książki, odrywając się raczej od marzeń niżli od lektury, i wyszedłem z pokoju, by szukać na przedmieściach wieczornego chłodu. Był to jeden z dwóch wieczorów w tygodniu, które zwykle spędzałem z matką i siostrą. Skierowałem więc swe kroki na północ, ku Hampstead.

Ze względu na wydarzenia, o których mam opowiedzieć, muszę tutaj wspomnieć, że ojciec mój nie żył już od kilku lat, a z pięciorga jego dzieci pozostałem tylko ja i moja siostra Sara. Ojciec był, podobnie jak ja, nauczycielem rysunków. Jego zawodowe wysiłki ukoronowane zostały sukcesem, a serdeczna troska o przyszłość tych, których byt zależał od jego pracy, sprawiła, że od dnia ślubu poświęcał na ubezpieczenie swego życia znacznie większą część dochodu, niż na ogół mężczyźni

uważają za konieczne. Dzięki tej godnej pochwały przezorności i licznym wyrzeczeniom moja matka i siostra pozostały po śmierci ojca równie niezależne materialnie, jak były za jego życia. Ja zaś przejąłem po nim uczniów i miałem wszelkie powody, by wdzięcznym sercem witać perspektywy odsłaniające się przede mną u progu życia.

Na szczytach wrzosowych pagórków drżał jeszcze uchodzący zmierzch, choć pozostały za mną Londyn, zapadł już w czarną otchłań chmurnej nocy, kiedy stanąłem przed furtką ogródka mej matki. Ledwo zadzwoniłem, drzwi domu otworzyły się gwałtownie, zamiast służącej pojawił się mój zacny przyjaciel, Włoch, profesor Pesca, i z cudzoziemska parodiując angielski okrzyk radości, wesoło wybiegł mi na powitanie.

Ze względu na własną swą osobę, a niech mi wolno będzie dodać, że i ze względu na mnie, profesor zasługuje, by go tu formalnie przedstawić. Przypadek sprawił, że od niego rozpoczyna się dziwna historia rodzinna, której wyjaśnienie jest celem tych karteek.

Poznałem go w bogatych domach, gdzie uczył swego ojczystego języka, a ja — rysunków. Wiedziałem o nim wówczas tylko tyle, że niegdyś pracował na uniwersytecie w Padwie, że z przyczyn politycznych, na temat których nigdy jednak nie udzielał nikomu żadnych wyjaśnień, opuścił Włochy i od wielu lat mieszka w Londynie, jako powszechnie szanowany profesor języków.

Nie można by go właściwie nazwać karłem, gdyż ciało jego odznaczało się proporcjonalną budową, ale, o ile pamiętam, nie zdarzyło mi się nigdy — wyjąwszy cyrk — widzieć mniejszego człowieka. Powierzchność jego sprawiała, że zwracano nań uwagę wszędzie, a bardziej jeszcze niż wyglądem wyróżniał się wśród bliźnich nieszkodliwą ekscentrycznością charakteru. Przewodnią ideą jego życia była, jak sądzę, chęć okazania wdzięczności krajowi, który udzielił mu azylu i dał możliwość zarobienia na utrzymanie, i wdzięczność swą pragnął okazać, starając się jak najbardziej upodobnić do Anglika. Nie zadowolając się złożeniem hołdu narodowi, jako takiemu, przez stałe noszenie parasola oraz — nieodmiennie — kamaszy i

jasnego kapelusza, profesor dążył do tego, aby zagustować w angielskich rozrywkach i przyswoić sobie angielskie obyczaje na równi z wyglądem. Znajdując, że — jako nację — wyróżnia nas spośród innych narodów zamiłowanie do ćwiczeń fizycznych, maleńki ów człowieczek w naiwności swego serca, bez żadnego przygotowania, począł oddawać się wszystkim naszym narodowym sportom i rozrywkom, gdy tylko sposobność dozwalała mu brać w nich udział. Był do głębi przeświadczony, że sama tylko jego decyzja wystarczy, by przyswoił sobie nasze sporty i rozrywki, tak właśnie, jak przyswoił sobie nasze narodowe kamasze i nasz narodowy kapelusz.

Widziałem, jak Pesca w ferworze ryzykował życie i zdrowie w polowaniu na lisy a także i na polu krykietowym, a wkrótce potem, w Brighton, byłem świadkiem, jak z równą nierozważą omal się nie utopił w morzu.

Spotkawszy się wtedy przypadkiem, kąpaliśmy się razem. Gdybyśmy uprawiali jakiś narodowy angielski sport, byłbym bez wątpienia nie spuszczał go z oka. Ponieważ jednak na ogół cudzoziemcy radzą sobie w wodzie równie dobrze jak my, nie przeszło mi nawet przez myśl, że sztuka pływania znajduje się na długiej liście męskich ćwiczeń, które, jak wierzył profesor, opanować można od razu. Odplynęliśmy od brzegu razem, lecz wkrótce zauważyłem, że przyjaciel nie nadąza za mną, więc zatrzymałem się, a potem zawróciłem, by go odszukać. Ku swemu zdumieniu i przerażeniu, między sobą a wybrzeżem dostrzegłem jedynie dwa drobne białe ramiona, miotające się nad powierzchnią wody. Po chwili zupełnie zniknęły mi z oczy. Kiedy dałem nurka, znalazłem go: biedaczyna leżał spokojnie na dnie za. głębieńia w żwirze. Był skulony i wydał mi się o wiele mniejszy niż kiedykolwiek przedtem. W ciągu tych paru minut, gdy pływałem z nim do brzegu, powietrze wróciło mu przytomność i z moją pomocą zdołał wejść na stopnie. Odzyskując po trosze energię życiową, odzyskiwał równocześnie swe zdumiewające złudzenia co do pływania. Gdy zęby na tyle przestały mu szczękać, że mógł coś powiedzieć, uśmiechnął się słabo i stwierdził, że widocznie

schwycił go kurcz.

Kiedy już zupełnie przyszedł do siebie i siadł przy mnie na plaży, jego gorąca południowa natura od razu przełamała sztuczne nakazy angielskich konwenansów. Zalał mnie potokiem serdecznych zapewnień o swej wdzięczności i przywiązaniu; namiętnie, z właściwą Włochom przesadą wykrzykiwał, że odtąd życie jego należy do mnie. Oświadczył, że nie zazna chwili szczęścia, dopóki nie nadarzy się sposobność, by mógł okazać swą wdzięczność wyświadczając mi przysługę, którą i ja z kolei wspominałbym do końca życia.

Staralem się wszelkimi sposobami powstrzymać potok jego łez i wykrzykników, obracając całą przygodę w żart, i w końcu udało mi się uwolnić Pescę w pewnym stopniu od przygniatającego go poczucia wdzięczności. Nie przypuszczałem jednak wtedy ani też później, gdy minął nasz miły dzień wypoczynku, że okazja oddania mi przysługi, do której tak gorąco wzdychał mój wdzięczny przyjaciel, niedługo nadejdzie, że on natychmiast ją wykorzysta, a przez to skieruje bieg mego życia na nowe tory i sprawi, że zmienię się zupełnie, że wprost sam siebie nie będę mógł poznać.

A przecież tak się stało. Gdybym nie nurkował za profesorem Pescą, kiedy leżał pod wodą na zwirowym łożu, historia opowiedziana na tych kartkach nie miałaby najprawdopodobniej nic wspólnego ze mną i nigdy, zapewne, nawet bym nie posłyszał imienia kobiety, która stała się panią mych myśli, której oddałem wszystkie swe siły, która wywiera najsilniejszy wpływ na bieg mego życia.

III

Kiedy owego wieczoru, stojąc w furtce ogródka mej matki, spojrzałem na Pescę, twarz i zachowanie Włocha powiedziały mi aż nazbyt wyraźnie, że zdarzyło się coś niezwykłego. Ale prośba o natychmiastowe wyjaśnienie nie zdała się na nic. Ciągnął mnie obiema rękami do domu i mogłem się tylko domyślać, że znając moje zwyczaje przybył do mej matki, aby się na pewno spotkać ze mną tego wieczoru, i że ma mi do

zakomunikowania jakąś nadzwyczaj przyjemną nowinę.

Wpadliśmy do salonu wielkimi susami, w sposób zupełnie nie licujący z poczuciem własnej godności. Matka siedziała przy otwartym oknie wachlując się i śmiejąc. Pesca należał do jej ulubieńców i nawet najdziwsze jego wybryki zawsze znajdowały u niej wybaczenie. Kochana moja! Od pierwszego momentu, kiedy spostrzegła, że maleńki profesor darzy jej syna uczuciem głębokim i pełnym wdzięczności, otwarła dla niego swe serce na oścież, przyjęła za rzecz naturalną wszystkie dziwactwa cudzoziemca i nawet nie kusila się o to, żeby któreś z nich zrozumieć.

Dziwna rzecz, ale moja siostra Sara, mimo iż młodość powinna jej to ułatwić, była mniej dla niego wyrozumiała. Oceniała w pełni szlachetność serca Pesci, ale nie potrafiła, tak jak matka, przez wzgląd na mnie przyjąć go takim, jakim był. Wyspiarskie poczucie tego, co wypada, buntowało się w niej nieustannie przeciw wrodzonej Włochowi pogardzie dla pozorów, i zawsze była zdumiona, co mniej lub więcej otwarcie uzewnętrzniała, pobłażliwością i serdecznością, z jaką matka traktowała ekscentrycznego maleńkiego cudzoziemca. Zauważyłem, obserwując nie tylko moją siostrę, ale również i innych, że my, młoda generacja, niewiele mamy w sobie z tej serdeczności i impulsywności, jaką odznacza się starsze pokolenie. Nieraz widuję, jak siwowłosych ludzi raduje i podnieca myśl o spodziewanej przyjemności, choć nie zdoła ona zmącić spokoju ich chłodnych wnuków. Czyżbyśmy nie umieli być tak naprawdę młodzi, jak byli w swoim czasie nasi przodkowie? Kto wie, może postęp edukacji dokonuje się ostatnio zbyt szybko i my dzisiaj, w tej nowoczesnej epoce, jesteśmy odrobinę za dobrze wychowani.

Nie siląc się na ostateczną odpowiedź na to pytanie, mogę przecie zanotować, że kiedy moja matka i siostra przebywały w towarzystwie Pesci, zawsze stwierdzałem, że z nich dwóch młodszą jest właśnie matka. A i tego wieczoru, na przykład, gdy matka serdecznie się zaśmiewała z chłopięcej brawury, z jaką wpadliśmy do salonu, zatroskana Sara zbierała szczątki filiżanki do herbaty, którą profesor zrzucił ze stołu zbyt

spieszając, by mnie powitać.

— Ach, Walterze — odezwała się matka — nie wyobrażam sobie, co by się tu działo, gdybyś jeszcze, zwlekał z przyjściem: Pesca wprost szalał z niecierpliwości, a ja — z ciekawości. Profesor przyniósł jakąś niezwykłą nowinę, która, jak mówi, dotyczy ciebie, ale okrutnik powiedział, że nie uchyli rąbka tajemnicy, póki nie zjawi się jego przyjaciel, Walter.

— Okropne! Serwis zdekompletowany! — pomrukiwała Sara, żalobnie nachylona nad szczątkami filiżanki.

Tymczasem Pesca, szczęśliwie nieświadom nie dającej się naprawić szkody, jaką jego ręce wyrządziły zastawie stołowej, hałaśliwie i z przejęciem przesuwał w przeciwległy róg pokoju ogromny fotel, aby móc w charakterze mówcy patrzeć na publiczność — nas troje. Ustawivszy fotel oparciem do nas, ukląkł na nim i z tej zaimprovizowanej mównicy z przejęciem zwrócił się do swego niewielkiego audytorium.

— A więc posłuchajcie, moi zacności ludzie! — zaczął Pesca (zawsze mówił: zacności ludzie, gdy miał na myśli „zacni przyjaciele”). — Nadszedł czas! Obwieszczę wam wspaniałą nowinę! Nareszcie mogę mówić!

— Słuchajcie, słuchajcie! — wołała ubawiona matka.

— Za chwilę, mamó — szepnęła Sara — pogruchoce oparcie naszego najlepszego fotela.

— Wspominam me minione lata i zwracam się do najszlachetniejszej z żyjących istot — ciągnął Pesca opiewając sponad oparcia fotela mnie niegodnego. — Kto mnie znalazł na dnie morza, martwego na skutek kurczu? Kto mnie wyciągnął na powierzchnię? Co powiedziałem, odzyskawszy życie i odzienie?

— O wiele więcej niż było trzeba — burknąłem jak najbardziej opryskliwe, bowiem najmniejsza zachęta w tej materii niechybnie wyzwalała uczucia Pesci w potopie łez.

— Powiedziałem — nie dał się zbić z tropu Pesca — że życie moje, aż po ostatnie dni, pozostanie własnością mego przyjaciela Waltera. I to jest prawda. Powiedziałem, że nie zaznam chwili szczęścia, póki nie nadarzy się sposobność, bym mógł coś zrobić dla Waltera, i aż do dzisiejszego

błogosławionego dnia byłem niezadowolony z siebie. A teraz — krzyczał maleńki entuzjasta jak mógł najgłośniej — wielkie szczęście tryska ze mnie każdym porą mej skóry, jak pot! Bo na mą duszę, na mój honor: to coś zrobiono wreszcie. Teraz należy rzec tylko: dobrze-ach--dobrze.

Muszę tu wyjaśnić, iż Pesca chęłpił się tym, że mówi i zachowuje się, ubiera i bawi niczym rodowity Anglik. Pochwyciwszy parę naszych najczęstszych wyrażen codziennych, siał nimi w rozmowie, kiedy mu tylko przyszły do głowy, a ciesząc się ich brzmieniem i na ogół nie rozumiejąc sensu tworzył z nich według własnego gustu słowa złożone i kompozycje składające się z powtórzeń, wymawiając je przy tym w ten sposób, jak gdyby stanowiły jedną długą sylabę.

— Wśród godnych rodzin angielskich, które uczę języka mego rodzinnego kraju — mówił profesor, bez żadnego wstępnego słowa rozpoczynając wyjaśnienia, na które poprzednio kazał nam czekać tak długo — jest pewna wspaniała rodzina, przy wspaniałej ulicy zwanej Portland Place. Wiecie, gdzie to jest? Tak, tak, oczywiście-oczywiście. Okazały dom, moi zacności ludzie, i okazała rodzina w nim mieszka. Mama zacna i tłusta, trzy młode panny, zacne i tłuste, dwu paniczów, przeznaczonych i tłustych, i papa, najzacniejszy i najtłustszy z nich wszystkich. Jest wielkim kupcem i po uszy opływa w złocie. Kiedyś był pięknym mężczyzną, ale zrobiła mu się łysina i dwa podbródki, więc w obecnej chwili nie jest już piękny. Zatem uważajcie, państwo! Wykładam młodym pannom boskiego Dantego i och! Klnę-się-na--mą-duszę! Ludzki język wypowiedzieć nie potrafi, ile zamętu czyni boski Dante w główkach trzech młodych panien. Mniejsza z tym, wszystko przyjdzie we właściwym czasie, a im więcej lekcji, tym lepiej dla mnie. A teraz uważajcie! Proszę sobie wyobrazić: dziś, jak zwykle, uczę młode panny. Wszyscy czworo jesteśmy w Piekłe Dantego, w siódmym kręgu. Choć dla trzech panien zacnych i tłustych nie ma znaczenia w którym, jednakże moje uczennice tkwią mocno w siódmym kręgu, a ja, chcąc je wprawić w ruch, recytuję, tłumacząc, rozpalam się entuzjazmem do czerwoności, daremnie! Wtem skrzypienie butów w korytarzu i wkracza

złoty papa, dostojny kupiec z łysą głową i dwoma podbródkami! Ha! moi zacności ludzie! Jestem bliżej sedna sprawy, niż przypuszczacie. Byliście cierpliwi do tej pory? Czy też mówiliście sobie: „Diabła-tam-diabła! Ależ ten Pesca nudzi nas dziś sromotnie!”

Oświadczyliśmy, że jesteśmy mocno zainteresowani. Profesor ciągnął dalej:

— W ręku złoty papa trzyma list, przeprasza, że zakłóca nam pobyt w krainie piekieł zwykłymi śmiertelnymi sprawami rodziny, a potem zwraca się do trzech młodych panien, zaczynając, jak na tym pięknym świecie wy Anglicy zawsze zaczynacie to, co macie do powiedzenia, mianowicie zaczynając od wielkiego: O! „O, moje drogie — mówi dostojny kupiec — dostałem list od przyjaciela, pana...” Nazwisko wypadło mi z pamięci, ale mniejsza z tym, wrócimy jeszcze do tego, tak-tak, dobrze-dobrze. Więc mówi papa: „Dostałem list od przyjaciela, pana X. Prosi o zarekomendowanie mu jakiegoś nauczyciela rysunków, który przyjechałby do jego dworu na wieś”. Nieba — och-wysokie-nieba! Skoro posłyszałem, jak złoty papa mówi te słowa, to gdybym nie był za niski, zarzuciłbym mu ramiona na szyję i przycisnął go do serca w pełnym wdzięczności, długim uścisku... lecz jestem na to za niski. Podskakiwałem więc tylko na krześle, siedząc jak na szpilkach. Słowa paliły mi wargi, lecz zaciskałem usta, by papa mógł mówić dalej. „Może wy, moje drogie — ciągnie ów złoty człowiek interesu obracając w upierścienionych palcach list przyjaciela.— może wy, moje drogie, wiecie o jakimś nauczycielu, którego mógłbym polecić?”

Trzy młode panny obracają oczy na mnie, a potem mówią (zaczynając... oczywiście-oczywiście, od nieuniknionego wielkiego O) „O, drogi papo, my nie. Ale jest tu pan Pesca...” Kiedy wymieniły moje nazwisko, nie mogłem już dłużej wytrzymać. Myśl. o was, moi zacności ludzie, szumi w mej głowie niczym wino, zrywam się z krzesła, jak gdyby ktoś przebił piką siedzenie, zwracam się do wielkiego kupca i oświadczam w najczystszej angielszczyźnie: „Drogi panie, mam go! Najlepszy nauczyciel rysunków na świecie! Niech go pan

rekomenduje wieczorną pocztą i wysśle razem z całym jego bagażem..." „Chwileczkę, chwileczkę! — woła papa. — Czy jest on cudzoziemcem, czy Anglikiem?" „Anglikiem do szpiku kości" — odpowiadam. „Czy to człowiek przyzwoity?" — pyta papa. „Sir — mówię (bo ostatnie pytanie doprowadziło mnie do wściekłości i skończyła się moja familiarność w stosunku do niego) — sir — mówię — nieśmiertelny płomień geniuszu goreje w sercu tego Anglika, a co więcej, gorzał również w sercu jego ojca". „Nie chodzi mi o to — mówi ów złoty barbarzyńca, papa. — Nie chodzi mi o jego geniusz, panie Pesca. W naszym kraju nie potrzeba geniuszów, chyba że geniuszowi towarzyszy przyzwoity charakter, a wtedy bardzo nam miło powitać geniusza, bardzo, doprawdy, miło. Czy pański przyjaciel może przedstawić jakieś rekomendacje, świadectwa?" Machnąłem niedbale ręką. „Świadectwa — mówię. — Ha, na-mą-duszę, spodziewam się, oczywiście. Całe tomy świadectw i teki rekomendacji, jeśli pan sobie tego życzy". „Parę świadectw wystarczy — powiada z flegmą złoty potentat. — Niech przyśle je do mnie podając swe nazwisko i adres. I... chwileczkę, chwileczkę, panie Pesca, zanim pan pójdzie do swego przyjaciela, zabierze pan dla niego liścik". „Z banknotem? — mówię z oburzeniem. — Żadnych banknotów, jeśli łaska, póki mój dzielny Anglik sam na nie nie zarobi". „Banknotów? — rzecze papa z wielkim zdziwieniem. — Kto mówi o banknotach? Miałem na myśli ofertę, wyszczególnienie, czego od niego oczekują. Niech pan prowadzi dalej lekcję, panie Pesca, a ja zrobię odpowiedni wyciąg z listu mojego przyjaciela". Tak więc ów człowiek handlu i pieniądza powraca do pióra i atramentu, a ja powracam do *Piekle* Dantego, wiodąc ze sobą trzy moje panienki. Po dziesięciu minutach prospekt jest napisany, buty papy skrzypią znów na korytarzu. Klnę się na mą duszę, wiarę i honor, że od tej chwili nie myślę o niczym innym. Wypełnia mnie bez reszty i upaja jak wino radość z tego, że pochwyliłem wreszcie stosowną okazję i mój dług wdzięczności wobec najlepszego w świecie przyjaciela jest już, można powiedzieć, spłacony. Nie wiem, jak zdołałem się wydostać wraz z mymi trzema panienkami z piekielnego kręgu,

jak załatwiłem inne swoje sprawy ani jak przełknąłem skromny obiadek. Dosyć na tym, że oto jestem tutaj z listem od wielkiego kupca w ręku, i czuję się mocny jak samo życie, gorący jak sam ogień i jak król szczęśliwy. Ha, ha, wspaniale-wspaniale-wspaniale!

Profesor machnął kartką z propozycją umowy nad głową i zakończył długie i wylewne opowiadanie włoską parodią angielskiego okrzyku radości.

Gdy tylko skończył, moja matka, z płonącymi policzkami i rozjaśnionym wzrokiem, powstała i serdecznie pochwyciła w swe ręce dłoń małego człowieczka.

— Mój drogi, zacy Pesco — powiedziała — nigdy nie wątpiłam w pańską życzliwość dla Waltera, ale teraz wierzę w nią bardziej niż kiedykolwiek.

— Jesteśmy wielce zobowiązani profesorowi Pesce, ze względu na Waltera — dodała -Sara. Mówiąc to na wpół się podniosła, jak gdyby i ona zamierzała zbliżyć się do jego fotela, ale zauważywszy, że Pesca w uniesieniu całuje ręce mej matki, spoważniała i usiadła z powrotem na krześle. „Skoro ten pocziwiec tak traktuje mą matkę, jak odniesie się do mnie?” Nie zawsze twarz ukrywa myśl człowieka i niezawodnie taka właśnie myśl niepokoiła Sarę, gdy siadała z powrotem na krześle.

Chociaż zdawałem sobie sprawę ze szlachetności pobudek kierujących Pescą i byłem mu szczerze wdzięczny, ukazana mi perspektywa pracy nie ucieszyła mnie tak, jak powinna. Kiedy Pesca oderwał się na koniec od rąk mojej matki i kiedy mu gorąco podziękowałem za interwencję w mojej sprawie, poprosiłem, aby mi pozwolił rzucić okiem na list, dotyczący warunków pracy, który jego szanowny patron skreślił do mnie.

Z triumfalnym gestem wręczył mi papier.

— Czytaj — oświadczył majestatycznie mały człowieczek. — Zapewniam cię, przyjacielu, że słowa złotego papy przemówią do ciebie jak głos trąb.

Były one w każdym razie proste, jasne i zrozumiałe. Informowały mnie, że po pierwsze: pan Fryderyk Fairlie, z dworu w Limmeridge, w Cumberland, chce zaangażować na

przeciąg czterech miesięcy wytrawnego nauczyciela rysunków; po drugie, obowiązki nauczyciela będą dwojakiego rodzaju: ma on kierować edukacją dwóch młodych panien w zakresie malarstwa akwarelowego, a w wolnym czasie zająć się sprawą restaurowania i podklejania cennej kolekcji rysunków, które znajdują się w stanie całkowitego zaniedbania po trzeciej, osoba, która podejmie się i należycie wypełni owe obowiązki, otrzymywać będzie cztery gwinee tygodniowo, zamieszka we dworze w Limmeridge i traktowana będzie w sposób należy dżentelmenowi; po czwarte wreszcie, nikt, kto nie posiada wyjątkowo pochlebnych referencji, zarówno co do charakteru jak i zdolności, nie powinien nawet myśleć o ubieganiu się o tę posadę. Referencje należy wysłać do przyjaciela pana Fairlie, mieszkającego w Londynie, który upoważniony został do załatwienia wszelkich niezbędnych formalności. Następnie podane było nazwisko pracodawcy Pesci i na tym kończyła się owa propozycja czy memorandum.

Niewątpliwie 'perspektywy, jakie otwierała przede mną ta oferta, były korzystne. Należało przypuszczać, że praca będzie łatwa i przyjemna, ofiarowywano mi ją na jesień, a więc na okres, kiedy byłem najmniej zajęty, a wynagrodzenie — jak mówiło mi moje dotychczasowe doświadczenie zawodowe — było zdumiewająco hojne. Rozumiałem to, zdawałem sobie sprawę, że powinienem uważać się za szczęśliwca, jeśli uda mi się otrzymać proponowane stanowisko, a jednak przeczytawszy ową ofertę czułem od razu nie dającą się przewyciężyć niechęć do podjęcia jakichkolwiek kroków w tej sprawie. Nie zdarzyło mi się nigdy przedtem, żeby moje skłonności tak boleśnie, z niezrozumiałych przyczyn, kolidowały z obowiązkami.

— Och, Walterze, twój ojciec nie miał nigdy w życiu takich szans — rzekła matka zwracając mi przeczytaną ofertę.

— Ach, znać tak dystygowanych ludzi i obcować z nimi jak równy z równymi! — wzdychała Sara prostując się w krześle.

— Tak, tak, warunki pod każdym względem nęcące — odparłem niecierpliwie — ale zanim poślę moje świadectwa, chciałbym mieć trochę czasu, żeby się zastanowić...

— Zastanowić się! — wykrzyknęła moja matka. — Walterze,

co się z tobą dzieje!

— Zastanović się! — zawtórowała jej moja siostra. — To zupełnie niestosowne słowa w tych okolicznościach.

— Zastanović się! — przyłączył się do nich profesor. — A nad czym tu się zastanawiać? Odpowiedz mi. Czy nie skarżyłeś się na swe zdrowie i nie pragnąłeś łyknąć trochę wiejskiego powietrza, jak sam się wyraziłeś? List, który trzymasz w ręku, ofiaruje ci nieograniczone łyki tego świeżego powietrza na całe cztery miesiące. Czy nie mam racji? Ha! Poza tym potrzeba ci pieniędzy. Czy cztery złote gwinee tygodniowo to fraszka? Och, na-mą-duszę! Ofiaruj je tylko mnie, a moje buty skrzypieć będą jak buty złotego papy, dumne, że nosi je człowiek tak niezmiernie bogaty. Cztery gwinee na tydzień, a Co więcej — towarzystwo dwóch młodych, czarujących panien, a co więcej, mieszkanie, oibiad, te wasze angielskie gorące herbaty i sute drugie śniadania, te szklanice pieniaćego się piwa — wszystko darmo. Cóż to, Walterze, mój drogi przyjacielu? Diabła-tam-do-diabła! Po raz pierwszy w życiu zadziwiasz mnie niesłychanie!

Ale ani zdumienie matki z powodu mego zachowania, ani żarliwe wyliczanie przez Pescę korzyści, jakie da mi nowa praca, nie zdołały zmniejszyć mej dziwnej niechęci do objęcia posady we dworze w Limmeridge. Wyliczyłem wszystkie drobne obiekcje w tej sprawie, a kiedy zostały one po, kolei, jedna za drugą odparte ku mojej kompletnej porażce, spróbowałem wysunąć ostatnią przeszkodę pytając, co stanie się z moimi uczniami w Londynie, gdy ja będę uczył młode panny Fairlie szkiców z natury? Oczywiście odpowiedzią na to było, że większość z nich odbywać będzie w tym czasie jesienne wojaże, a tych kilku, którzy pozostaną w domu, będę mógł powierzyć jednemu z zaprzyjaźnionych ze mną profesorów rysunków, którego uczniów i ja niegdyś przejąłem w podobnych okolicznościach. Siostra przypomniała mi, że džentelmen ów wyraźnie proponował mi swe usługi na wypadek mego wyjazdu ze stolicy, a matka z całą powagą zaapelowała do mnie, żebym nie odrzucał, powodowany przelotnym kaprysem, propozycji korzystnej dla moich

finansów i zdrowia, Pesca zaś żałośnie błagał, bym nie ranił jego przepelnionego wdzięcznością serca odrzucając pierwszą przysługę, jaką może oddać przyjacielowi, który uratował mu życie.

Szczerść i serdeczność tych wypowiedzi wzruszyłyby każdego człowieka, posiadającego choć odrobinę szlachetnych uczuć w sercu. Nie mogłem opanować niezrozumiałej odrazy, lecz zdobyłem się przynajmniej na tyle, że zawstydziłem się głęboko i zakończyłem dyskusję tak, by sprawić im przyjemność: ustąpiłem i przyrzekłem, że spełnię wszystko, czego żądają.

Reszta wieczoru upłynęła dość wesoło na dowcipach i żartach na temat mej przyszłej pracy w Cumberland, w otoczeniu dwóch panien. Pesca, pod wpływem naszego narodowego grogu, który w jakiś zdumiewający sposób uderzał mu do głowy w pięć minut po właniu do gardła, udowodnił słuszność swych roszczeń do miana rodowitego Anglika, gdyż wygłosił w bezpośrednim następstwie szereg mów, wznosił toast za zdrowie mej matki, mej siostry i mnie, wspólny toast za zdrowie pana Fairlie i dwóch młodych panien i natychmiast odpowiedział na nie w imieniu zainteresowanych.

— Powiem ci coś w tajemnicy, Walterze — zwierzał mi się mój przyjaciel, gdy wracaliśmy do domu. — Podnieca mnie wspomnienie własnej elokwencji. Duma rozpiera mą pierś. Wkrótce dostanę się do waszego parlamentu. Pragnieniem mego całego życia jest zostać Szanownym Posłem Pescą.

Następnego dnia wysłałem swoje świadectwa do Portland Place, do pracodawcy profesora. Minęło trzy dni i z cichym zadowoleniem stwierdziłem, że widać nie uznano ich za wystarczające. Ale czwartego dnia nadeszła odpowiedź. Zawiadamiano mnie, że pan Fairlie przyjmuje moje usługi i prosi, bym niezwłocznie udał się do Cumberland. Postscriptum zawierało wyczerpując; i jasne informacje dotyczące podróży.

Acz z niechęcią, poczyniłem przygotowania, aby wyjechać z Londynu następnego ranka. Pod wieczór Pesca, idąc na proszony obiad, przyszedł się ze mną pożegnać.

— Łzy moje w czasie twej nieobecności — mówił wesoło

profesor — osuszać będzie radosna myśl, że to moja szczęśliwa ręka pchnęła cię na drogę fortuny. Idź, przyjacielu. Parafrazując angielskie przysłowie powiem: gdy w Cumberland wszędzie twoje słońce, w imię nieba zabieraj się do sianokosów. Ożeń się z jedną z młodych panien, niech mówią o tobie: szanowny Hartright, członek parlamentu. A kiedy będziesz na szczycie tej drabiny, wspomnij, że to Pesca, stojący na najniższym jej szczeblu, dokonał tego.

Próbowałem śmiać się z poźregalnego żartu mego przyjaciela, ale nie mogłem zmusić się do wesołości. Gdy mówił te pogodne słowa pożegnania, czułem ból w sercu.

Po jego wyjściu nie pozostało mi nic innego, tylko udać się do domku w Hampstead i pożegnać matkę i siostrę.

IV

Upał dokuczał przez cały dzień, a teraz zapadła duszna noc. Matka i siostra tyle razy wypowiadały ostatnie słowa pożegnania i tyle razy prosiły, bym został jeszcze pięć minut, że była już prawie północ, kiedy służąca zamykała za mną furtkę. Począłem iść najkrótszą drogą do Londynu, ale po kilku krokach zawahałem się i przystanąłem.

Na granatowym bezgwiezdnym niebie świecił ogromny księżyc w pełni i w jego tajemniczym świetle sfalowane wrzosowisko wydawało się tak odludne i dzikie, jak gdyby dzieliło je setki mil od leżącego w dole miasta. Odrazą napełniła mnie myśl, że miałbym szybciej, niż było to konieczne, znaleźć się w ciemnościach i duchocie Londynu. W niespokojnym nastroju, jaki mnie ogarnął, perspektywa spania w moim ciasnym mieszkaniu wydała mi się równoznaczna z powolnym duszeniem się. Postanowiłem pozostać jak najdłużej na świeżym powietrzu, udać się do domu najbardziej okreźną z możliwych dróg, iść mianowicie białą ścieżką wijącą się samotnie przez wrzosowisko, a potem przez Finchley Road podejść do Londynu od strony najbardziej otwartego przedmieścia i wrócić do domu w chłodzie nowego poranku od zachodniej strony Regens Park.

Schodziłem powoli wrzosowiskiem, radując się niebiańskim spokojem krajobrazu, obserwując z zachwytem zmienną grę światła i cieni, goniących się nawzajem po nierównym, dzikim terenie.

Dopóki przebywałem pierwszą i najładniejszą część drogi, umysł mój wchłaniał biernie wrażenia, jakich dostarczał krajobraz, i niewiele myślałem na jakikolwiek temat, a jeżeli chodziło o moje osobiste sprawy, mogę powiedzieć, że w ogóle o nich nie myślałem.

Ale kiedy minąwszy wrzosowisko skręciłem na boczną drogę, gdzie mniej było do oglądania, wtedy, naturalnym biegiem rzeczy, czekająca mnie kompletna zmiana trybu życia i zajęć zaczęła się coraz wyraźniej narzucać mym myślom. Wyobrażenia, snuć zaczęła przede mną obrazy dworu w Limmeridge, pana Fairlie i dwóch młodych panien, które miałem wkrótce uczyć sztuki malowania akwarelą — i dochodząc do końca drogi byłem całkowicie zatopiony w marzeniach.

Znalazłem się w punkcie, gdzie spotykają się cztery gościńce: do Hampstead, skąd właśnie wracałem, do Finchley, do West Endu i do Londynu. Machinalnie skręciłem w tym ostatnim kierunku i szedłem opustoszałym gościńcem — pamiętam, zastanawiałem się właśnie półsennie, jak też mogą wyglądać panny Fairlie — gdy nagle strach ściał mi krew w żyłach. Niespodzianie poczułem na ramieniu lekkie dotknięcie czyjejś dłoni. Obróciłem się natychmiast zaciskając palce na rączce laski.

Na środku szerokiego, jasnego gościńca — jak gdyby w tym właśnie momencie wyskoczyła spod ziemi lub spadła z nieba — szła samotna kobieta, ubrana od stóp do głów na biało, i patrząc pytająco na mnie wskazywała ręką ciemną chmurę spowijającą Londyn.

Ujrawszy niespodzianie pośród głuszy nocnej i pustkowiecia tak niezwykłą zjawę doznałem zbyt silnego wstrząsu, by pytać, czego chce. Dziwna kobieta przemówiła pierwsza.

— Czy to droga do Londynu? — rzekła.

Patrzyłem na nią uważnie, gdy zadawała to osobliwe pytanie.

Dochodziła już pierwsza po północy. W świetle księżycy dostrzegłem miękkie, jasne włosy o brązowozłotym odcieniu okalające młodą, wymizerowaną, szczupłą i bladą twarz z nerwowymi wargami i ogromnymi oczami wpatrującymi się we mnie uważnie i z przejęciem. Zachowanie jej cechował spokój i opanowanie, wyczuwało się w niej smutek i nieco podejrzliwości. Nie postępowała jak dama, ale przecie nie jak kobieta z najgorszej sfery, w jej obejściu nie było bowiem nic nieobyczajnego czy niepowściągliwego. Uwagę moją zwrócił jej głos, gdyż brzmiał dziwnie martwo i mechanicznie, a także uderzył mnie jej sposób mówienia, jakby z wielkim pośpiechem. W rękę trzymała małą torebkę. Jej ubranie: kapelusz, szal, suknia — wszystko utrzymane w białym kolorze — nie było bynajmniej zrobione z najlepszych ani z najdroższych materiałów. Figurę miała smukłą, wysoką, a sposób bycia daleki od jakiegokolwiek ekstrawagancji. Półmrok i niepokojące okoliczności tego niezwykłego spotkania nie pozwoliły mi zauważyć nic więcej. Nie potrafiłem odgadnąć, kim jest i dlaczego znalazła się sama na gościńcu godzinę po północy. Ale jednego byłem pewien: że nawet najbardziej wulgarny człowiek nie mógłby się doszukiwać jakichś podejrzanych motywów w jej słowach, mimo tak sprzyjająco późnej godziny i pustego miejsca.

— Czy pan mnie słyszał? — rzuciła to pytanie szybko, lecz spokojnie, a w głosie jej nie zabrzmiała najmniejsza nutka zniecierpliwienia czy podrażnienia. — Pytałam pana, czy tą drogą dojdę do Londynu?

— Tak — odparłem. — To jest droga do Londynu, prowadzi do St. John's Wood i Regens Park. Proszę wybaczyć, że nie odpowiedziałem od razu. Zaskoczyło mnie niespodziewane pojawienie się pani na gościńcu. I nawet teraz nie potrafię sobie tego wytłumaczyć.

— Ale nie przypuszcza pan chyba, że popełniłam coś złego. Nic złego nie zrobiłam. Spotkał mnie wypadek. Czuję się bardzo nieszczęśliwa będąc sama na gościńcu o tak późnej porze. Dlaczego pan podejrzewa, że zrobiłam coś złego?

Mówiła z niepotrzebnym przejęciem i wzburzeniem cofając

się o kilka kroków. Uczyniłem, co było w mej mocy, aby się uspokoiła.

— Ależ zapewniam panią, że przez myśl mi nawet nie przeszło o cokolwiek panią podejrzewać — rzekłem. — Zastanawiam się tylko, w jaki sposób mógłbym być pani pomocny. Zaskoczyło mnie pojawienie się pani, ponieważ przed chwilą wydawało mi się, że droga jest pusta.

Odwróciła się i wskazała ręką w kierunku, gdzie krzyżowały się drogi do Londynu i do Hampstead i gdzie widać było wyrwę w żywopłocie.

— Słyszałam, jak pan nadchodził — powiedziała — i ukryłam się tam, aby się zorientować, kim pan jest i czy mogę się do pana zwrócić. Byłam pełna wątpliwości i obaw, póki mnie pan nie minął, musiałam więc skradać się za panem i dotknąć go.

Skradać się za mną i dotknąć mnie? Dlaczego nie zawołać na mnie? Wydało mi się to co najmniej dziwne.

— Czy mogę panu zaufać? — spytała. — Chyba nie myśli pan o mnie źle dlatego, że spotkał mnie wypadek — przerwała zmieszana, przełożyła torebkę do drugiej ręki i gorzko westchnęła.

Wzruszyła mnie jej samotność i bezradność. Naturalny impuls, aby jej pomóc i chronić ją, wziął górę nad rozsądkiem, ostrożnością, światowym taktem, do których w tej dziwnej sytuacji odwołałby się człowiek starszy, mądrzejszy i odznaczający się chłodniejszym temperamentem.

— Może mi pani zaufać w każdej uczciwej sprawie — rzekłem. — Jeśli wyjaśnianie dziwnych okoliczności, w jakich się pani pojawiła, miałyby być dla pani kłopotliwe, proszę nie Wracać do tego tematu. Nie mam prawa żądać od pani wyjaśnień. Proszę mi powiedzieć, w czym mam pani pomóc, a uczynię wszystko, co będzie możliwe.

— Jest pan bardzo dobry i bardzo się cieszę, że pana spotkałam — po raz pierwszy w jej głosie zabrzmiała nuta serdeczności, ale w wielkich, wpatrzonych we mnie oczach nie było śladu wzruszenia. — Raz tylko byłam w Londynie — mówiła z wzrastającym pośpiechem. — Nie orientuję się zupełnie w tej części miasta. Czy mogłabym tu dostać dorożkę

lub jakikolwiek pojazd? Czy nie jest już na to za późno? Gdyby zechciał pan objaśnić mnie, gdzie mogę znaleźć dorożkę, i przyrzec mi, że nie będzie się pan mieszać w moje sprawy i pozwoli mi odejść, kiedy i jak zechcę... Mam przyjaciółkę w Londynie, którą ucieszy moje przybycie... Nie chcę nic więcej od pana... Przyrzeknie mi pan?

Rozglądała się niespokojnie po gościńcu, przekładała torebkę z jednej ręki do drugiej, powtarzając: „Czy przyrzeknie mi pan?“, i wpatrywała się we mnie błagalnie, pełna lęku i zmieszania, aż żal było na nią patrzeć.

Cóż miałem zrobić? Oto stał przede mną ktoś zupełnie obcy w tych stronach, całkowicie i wyłącznie zdany na moją dobrą wolę — a tym kimś była nieszczęśliwa kobieta. W pobliżu nie widziałem żadnego domu, drogą nie przechodził nikt, do kogo mógłbym się zwrócić o radę, i żadne ziemskie prawo nie dawało mi władzy nad tą kobietą, nawet jeślibym wiedział, co powinienem uczynić. Patrzę na te słowa nie dowierzając samemu sobie, bo cień przyszłych wydarzeń pada na papier, na którym je kreślę, a jednak powtarzam: co miałem zrobić?

Próbowałem zyskać na czasie i dopytywałem się:

— Czy jest pani pewna, że przyjaciółka w Londynie przyjmie panią o tak późnej porze?

— Tak. Jestem tego zupełnie pewna. Niech pan tylko powie, że pozostawi mnie samą, kiedy zechcę i w jakich okolicznościach zechcę... niech tylko pan obieca nie mieszać się do moich spraw... Czy pan przyrzeknie?

Gdy powtarzała te słowa po raz trzeci, podeszła do mnie bliżej i ruchem łagodnym, choć niespodziewanym położyła na mych piersiach swą dłoń — była ona szczupła i mimo upalnej nocy chłodna, co poczułem zdejmując ją delikatnie. Przypomnijcie sobie, że byłem młody, że ręka, która mnie dotknęła, była ręką kobietą.

— Czy pan przyrzeka?

— Tak.

Jedno słowo. Maleńkie słóweczko, które wypowiada każdy człowiek co dzień, co godzina. Mój Boże! A teraz drzę, gdy o tym piszę.

Zwróciliśmy się w stronę Londynu i szliśmy razem w ciszy pierwszej godziny dnia — ja i kobieta, której imię, charakter, przeszłość i dążenia, a nawet sama obecność przy mnie były dla mnie w tym momencie niezgłębioną tajemnicą. Wszystko wydawało się snem. Czy jestem Walterem Hartrightem? Czy to jest ta dobrze znana, nieciekawa droga, którą w niedzielę zwykł deptać świąteczny tłum? Czy rzeczywiście niewiele więcej niż godzinę temu wyszedłem z domku mej matki, tchnącego atmosferą rodzinnego spokoju, przyzwoitości i konwenansu? Ogarnęło mnie zdumienie oraz niejasne poczucie winy i przez czas jakiś nie odzywałem się słowem do mojej dziwnej towarzyszki. I znowu jej głos przerwał milczenie.

— Chciałabym pana o coś zapytać — odezwała się nagle. — Czy zna pan wiele osób w Londynie?

— Owszem, wiele.

— Czy wielu ludzi utytułowanych? — W dziwnym tym pytaniu niezaprzeczenie brzmiała nutka podejrzania. Zawahałem się.

— Paru — odparłem po chwili milczenia.

— Czy wielu... — urwała i przyglądała mi się bacznie. — Czy wielu baronetów?

Byłem zbyt zdumiony, by odpowiedzieć, i teraz ja z kolei zadałem jej pytanie:

— Dlaczego chce się pani tego dowiedzieć?

— Ponieważ mam nadzieję, że względu na mnie samą, że jednego baroneta pan nie zna.

— Czy powie mi pani jego nazwisko?

— Nie mogę... boję się... nie powinnam była o tym wspominać.

Mówiła głośno, niemal krzyczała, wznosiła w górę zaciśniętą pięść i potrząsała nią gwałtownie. Potem opanowała się nagle i dodała niemal szeptem:

— Proszę mi powiedzieć, jakich baronetów pan zna?

Nie mogłem jej odmówić takiej drobnostki i wymieniłem trzy nazwiska: dwóch ojców rodzin, których córki uczyłem, i jednego kawalera, który zabrał mnie kiedyś na przejażdżkę swoim jachtem, bym mu malował pejzaże.

— Aaa... Nie zna go pan — rzekła z uczuciem ulgi. — A czy pan sam należy do ludzi utytułowanych?

— Nie, bynajmniej. Jestem tylko nauczycielem rysunków.

Gdy wypowiedziałem te słowa (z pewną goryczą, zdaje się), nieznajoma ujęła mnie pod ramię równie niespodziewanie, jak niespodziewane było wszystko, co czyniła.

— Nie jest człowiekiem utytułowanym — rzekła do siebie. — Bogu dzięki. Mogę mu zaufać.

Dotychczas opanowywałem ciekawość, nie chcąc urazić mej towarzyszki, lecz teraz uległem pokusie.

— Ma pani zapewne poważne przyczyny, by skarżyć się na jakąś utytułowaną osobistość? Może baronet, którego nazwiska nie chce pani wyjawić, wyrządził pani jakąś wielką krzywdę? Czy z jego to powodu znalazła się pani tutaj sama, o tej porze nocy?

— Niech pan o to nie pyta. Niech mnie pan nie zmusza do mówienia o tym. Nie potrafię teraz o tym mówić. Ktoś obszedł się ze mną okrutnie i okrutnie mnie skrzywdził. Jeśli chce pan być dla mnie dobry, to proszę iść prędzej i nic nie mówić do mnie. Muszę się uspokoić.

Znowu ruszyliśmy szybkim krokiem naprzód i co najmniej przez pół godziny żadne z nas nie powiedziało ani słowa. Od czasu do czasu, nie mogąc o nic więcej pytać, rzucałem na nią ukradkowe spojrzenia. Wyraz jej twarzy pozostawał bez zmiany: wargi mocno zaciśnięte, brwi ściągnięte, wzrok utkwiony przed siebie, baczny a jednak roztargniony... Dopiero gdy minęliśmy pierwsze domy i zbliżyliśmy się do nowego College'u Wesleyań-skiego, jej napięte rysy złagodniały i odezwała się znowu.

— Czy pan mieszka w Londynie? — spytała.

— Tak. — Gdy odpowiadałem na to pytanie, przyszło mi na myśl, że być może zamierza zwrócić się do mnie o radę lub pomoc i że powinienem zaoszczędzić jej ewentualnego rozczarowania, uprzedzając ją, że wyjeżdżam z miasta. Toteż dodałem: — Ale jutro opuszczam Londyn na pewien czas. Jadę na wieś.

— Dokąd? — spytała. — Na północ czy na południe?

— Na północ. Do Cumberland.

— Do Cumberland — powtórzyła wzruszonym głosem. — Ach! Ja bym też chętnie pojechała do Cumberland. Byłam tam kiedyś szczęśliwa.

Ponownie spróbowałam uchylić rąbka dzielącej nas zasłony.

— Pewnie urodziła się pani w tej pięknej krainie jezior? — rzekłam.

— Nie — odparła. — Urodziłam się w Hampshire. Ale przez jakiś czas chodziłam do szkoły w Cumberland. Kraina jezior? Nie przypominam sobie żadnego jeziora. Lecz chciałabym móc jeszcze raz zobaczyć wioskę Limmeridge i dwór w Limmeridge.

Teraz ja z kolei gwałtownie się zatrzymałam. Zdumienie niemal pozbawiło mnie tchu, gdy w chwili tak wielkiego rozbudzenia ciekawości posłyszałem z ust mojej tajemniczej towarzyszkii wzmiankę o rezydencji pana Fairlie.

— Czy woła kto za nami? — spytała, skoro tylko się zatrzymałam, i rozejrzała niespokojnie po gościńcu.

— Nie, nie. Tylko zaskoczyły mnie pani słowa o dworze w Limmeridge. Przed kilku dniami słyszałem, jak jacyś ludzie z Cumberland wspominali ten dwór.

— Ale to na pewno nie był nikt z bliskich mi osób. Pani Fairlie nie żyje, jej mąż też, ich mała córeczka chyba już do tej pory wyszła za mąż i wyjechała stamtąd. Nie wiem nawet, kto tam teraz mieszka. Wiem tylko, że jeżeli żyją jeszcze ludzie noszący nazwisko Fairlie, kocham ich przez pamięć pani Fairlie.

Miałem wrażenie, że chce powiedzieć coś więcej, ale w tej samej chwili dojrzelśmy przed sobą, na początku Avenue Road, rogatki. Niespokojnie spojrzała na bramę, a ręka jej zacisnęła się na moim ramieniu.

— Czy strażnik wygląda z bramy? — spytała.

Nie było go, a kiedy przechodziliśmy przez bramę, nie dostrzegłem w pobliżu nikogo. Na widok lamp gazowych i domów miasta nieznajoma wpadła w jeszcze większe podniecenie i poczęła się niecierpliwić.

— Jesteśmy więc w Londynie — powiedziała. — Czy nie widzi pan gdzie pojazdu? Jestem zmęczona i boję się. Chciałabym

zamknąć się w pojeździe i odjechać stąd.

Perswadowałem, że musimy dojść do przystanku dorożek, chyba że się tak szczęśliwie zdarzy, że napotkamy pustą dorożkę. Próbowałem podjąć znów temat Cumberlandu. Daremnie. Umysł jej całkowicie zaprzątnęła troska, aby zamknąć się w pojeździe i odjechać. Niezdolna była mówić ani myśleć o niczym innym.

Nie uszliśmy jeszcze trzeciej części Avenue Road, kiedy zobaczyłem dorożkę, która zatrzymała się o kilka domów dalej, po przeciwnej stronie ulicy. Wsiadł z niej jakiś dżentelmen i wszedł przez furtkę do ogrodu. Dorożkarz zasiadł z powrotem na koźle, więc zawołałem, by podjechał. Kiedy przechodziliśmy przez ulicę, towarzyszkę moją ogarnęła taka niecierpliwość, że musiałem niemal biec.

— Jest już tak późno — mówiła. — Spieszę tylko dlatego, że jest tak późno.

— Mogę pana podwieźć tylko w kierunku Tottenham Court Road — poinformował mnie grzecznie woźnica, gdy otworzyłem drzwiczki pojazdu. — Mój koń jest bardzo zmęczony i musi jechać do stajni.

— Dobrze. To mi odpowiada. Idę właśnie w tę stronę — mówiła niemal bez tchu, przepychając się koło mnie do drzwiczek. Nim pozwoliłem jej wejść, upewniłem się, że dorożkarz jest trzeźwy i grzeczny. Gdy już siedziała w dorożce, zacząłem nalegać, by zgodziła się, abym ją odwiózł.

— Nie, nie, nie — protestowała gwałtownie. — Jestem zupełnie bezpieczna i zupełnie teraz zadowolona. Jeśli jest pan dżentelmenem, proszę pamiętać o obietnicy. Niech pan powie woźnicy, aby jechał, aż go nie zatrzymam. Dziękuję, bardzo dziękuję...

Chwyciła moją rękę, opartą o drzwiczki, ucałowała i odepchnęła. W tej samej chwili dorożka ruszyła. Począłem za nią iść z niejasnym zamiarem zatrzymania jej, choć nie wiedziałem, dlaczego. Zawahałem się, bojąc się wystraszyć nieznaną. Wreszcie zawołałem/na dorożkarza, ale zbyt cicho, by mógł mnie usłyszeć. Turkot kół milkł w dali, zarys dorożki wtopił się w mrok ulicy, kobieta w bieli znikła.

Minęło może dziesięć minut, może więcej. Znajdowałem się wciąż na tej samej stronie ulicy i w zamyśleniu to szedłem kilka kroków naprzód, to znów przystawałem. To nie wierzyłem w realność mojej przygody, to znów ogarniało mnie dręczące poczucie, że postąpiłem źle, choć nie miałem pojęcia, co powinienem był uczynić. Nie wiedziałem, dokąd szedłem ani co zamierzam robić później, nie zdawałem sobie sprawy z niczego, czułem tylko, że w umyśle moim panuje dziwne wzburzenie, gdy nagle przywołał mnie do przytomności, mogę nieomal powiedzieć, że mnie zbudził, turkot szybko nadjeżdżającego pojazdu, tuż za mną. Byłem na nie oświetlonej stronie ulicy, w głębokim cieniu drzew ogrodu, gdy stanąłem i rozejrzałem się dokoła. Po przeciwnej, jaśniejszej stronie ulicy samotny policjant szedł w kierunku Regens Park. Pojazd przejechał koło mnie. Był to odkryty powóz, w którym siedziało dwóch mężczyzn.

— Stój! — zawołał jeden z nich. — Tam jest policjant. Spytajmy go.

Natychmiast wstrzymali konia, o kilka jardów od miejsca, gdzie stałem.

— Panie konstablu! — zawołał ten sam głos. — Czy nie widział pan przechodzącej tędy kobiety?

— Jakiej kobiety, proszę pana?

— Kobiety w sukni koloru lawendy...

— Nie, nie — przerwał mu jego towarzysz. — Suknie, które jej daliśmy, zostawiła na łóżku. Musiała uciec w ubraniu, w którym do nas przybyła. W bieli, panie konstablu. Kobieta w bieli.

— Nie widziałem jej, proszę panów.

— Jeśli spotka ją pan albo któryś z pańskich kolegów, proszę ją zatrzymać i odesłać pod dobrym nadzorem pod ten adres.

Policjant rzucił okiem na kartę wizytową, którą mu podano.

— Dlaczego mam ją zatrzymać, proszę panów? Co ona zrobiła?

— Co zrobiła? Uciekła z mego zakładu dla nerwowo chorych. Niech pan pamięta: kobieta w bieli. Jazda!

„Uciekła z mego zakładu dla nerwowo chorych". Mijałbym się z prawdą, gdybym twierdził, że straszliwy wniosek, wypływający z tych słów, był dla mnie zupełną rewelacją. Niektóre z dziwnych pytań, jakie zadawała kobieta w bieli otrzymawszy ode mnie nierozważne przyrzeczenie, że pozwolę jej postąpić, jak zechce, nasuwały przypuszczenie, że albo jest z natury niezrównoważona, albo stała się taką pod wpływem niedawno przeżytego lęku. Ale muszę przyznać uczciwie, że myśl o obłąkaniu, które wszyscy kojarzą z samą nazwą zakładu dla nerwowo chorych, nigdy w związku z nią nie powstała w mej głowie. Ani w jej słowach, ani w postępowaniu nie spostrzegłem nic, co by usprawiedliwiać mogło takie podejrzenie; a nawet w owej chwili, gdy słowa nieznajomego skierowane do policjanta rzuciły na nią nowe światło, nie przypomniałem sobie nic, co by opinię taką potwierdzało. Co uczyniłem? Pomogłem uciec ofierze naj okrutniej szego ze wszystkich fałszywych oskarżeń czy też wypuściłem na szerokie wody życia w Londynie nieszczęśliwą istotę, choć obowiązkiem moim, tak jak i każdego innego człowieka — obowiązkiem miłosierdzia — było kontrolowanie jej czynów? Zamarło we mnie serce, gdy postawiłem sobie te pytania, i w poczuciu własnej winy zdałem sobie sprawę, że stawiam je za późno.

Byłem tak wstrząśnięty, że gdy wreszcie znalazłem się w swym mieszkaniu, nie mogłem marzyć o zaśnięciu. Za parę godzin trzeba będzie udać się w podróż do Cumberland. Siadłem na krzesło, i próbowałem coś rysować, potem pisać — ale postać kobiety w bieli przesłaniała mi papier rysunkowy, przesłaniała mi litery książki... Czy nieszczęśliwej istocie nie stało się co złego? To była moja pierwsza myśl, chociaż po tchórzowsku uciekałem od niej. Napłynęły inne pytania, które mogłem rozpatrywać z mniejszą udręką. Gdzie zatrzymała się dorożka? Co dzieje się teraz z kobietą w bieli? Czy owi mężczyźni odnaleźli ją i schwytali? A może nadal jeszcze pozostaje panią swoich czynów? A może każde z nas, idąc jakże odmiennymi drogami życia, zdąża ku jednemu punktowi

tajemniczej przeszłości, kiedy mamy spotkać się ponownie?

Z uczuciem ulgi powitałem nadejście godziny, gdy trzeba było zamknąć drzwi domu, pożegnać londyńskie zajęcia, londyńskich uczniów i przyjaciół i iść na spotkanie nowych zainteresowań i nowego życia.

Według udzielonych mi instrukcji miałem jechać najpierw do Carlisle, a potem przesiąść się na boczną linię kolejową, biegnącą w kierunku wybrzeża. Zaczęło się jednak od niepowodzenia, gdyż między Lancaster a Carlisle popsuka się lokomotywa. Wskutek tego przyjechałem z opóźnieniem do Carlisle i nie złapałem już pociągu, który miał mnie niezwłocznie zawieźć na miejsce przeznaczenia. Musiałem czekać kilka godzin, a kiedy następny pociąg odwiózł mnie do stacji najbliższej dworu w Limmeridge, było już po dziesiątej i panowała noc tak ciemna, że ledwo odnalazłem kabriolet, który zgodnie z rozporządzeniem pana Fairlie czekał na mnie. Stangret był Wyraźnie niezadowolony z mego późnego przybycia. Wyczuwałem jego pełne szacunku nadąsanie, tak charakterystyczne dla angielskich służących. W mroku i w zupełnej ciszy jechaliśmy naprzód. Drogi były złe, a głęboka ciemność utrudniała jeszcze bardziej jazdę. Dobiegało już, według mego zegarka, półtorej godziny od opuszczenia stacji, gdy usłyszałem szum morza w oddali i koła powozu potoczyły się po gładkim żwirze. Poprzednio minęliśmy już jedną bramę, a zanim stanęliśmy przed drzwiami dworu, przejechaliśmy drugą. Pełen powagi lokaj, nie w liberii, powitał mnie i poinformował, że państwo Fairlie udali się już na spoczynek, i zaprowadził do wielkiego wysokiego pokoju, gdzie czekała na mnie samotna kolacja, zastawiona na końcu długiego mahoniowego stołu. Czuję się zmęczony i przygnębiony, nie w smak mi było jedzenie czy picie, zwłaszcza że poważny lokaj usługiwał mi tak uroczyście, jak gdyby we dworze gościło całe towarzystwo, a nie samotny mężczyzna. W kwadrans później mogłem już udać się na górę do swej sypialni. Pełen powagi lokaj zaprowadził mnie do elegancko umeblowanego pokoju, oznajmił: — Śniadanie o dziewiątej, proszę pana — rozejrzał się dokoła, sprawdzając, czy wszystko jest na swoim miejscu, i

bezszelestnie opuścił pokój. „Co przyśni mi się dzisiejszej nocy — myślałem gasząc świecę. — Kobieta w . bieli? Czy nieznani mieszkańcy tego domu?” Dziwnych doznawałem uczuć, gdy niby jakiś przyjaciel rodziny kładłem się do snu w tym domu, nie znając tu nikogo nawet z widzenia.

VI

Kiedy następnego poranka wstałem z łóżka i rozsunąłem zasłony u okna, ukazało się mym oczom radosne morze w blasku sierpniowego słońca, zamknięte mglistą niebieskawą linią szkockiego wybrzeża.

Ten widok stanowił dla mnie wielką niespodziankę i wielkie odprężenie po kamiennym krajobrazie Londynu i w chwili gdy ogarniałem go wzrokiem, zdawało mi się, że wstępuje we mnie nowe życie. Mgłą oddalenia zasnuła się przeszłość, lecz nie zyskałem w zamian wyraźniej szego obrazu przyszłości czy chwili obecnej.

Zdarzenia sprzed kilku dni zblakły w mej pamięci, jak gdyby rozegrały się przed kilku miesiącami. Dziwaczne opowiadanie Pesci o tym, w jaki sposób wystarał się o tę posadę dla mnie, pożegnalny wieczór u matki i siostry, nawet tajemnicza przygoda w powrotnej drodze do domu — wszystko to wydało się tak dalekie, jak gdyby należało do innej epoki mego życia. Chociaż obraz kobiety w bieli nie zniknął z mej pamięci, już się zatarł i poszarzał.

Na parę minut przed dziewiątą zszedłem na dół. Poważny lokaj, którego widziałem poprzedniego wieczora, spotkał mnie błędzącego po korytarzach i łaskawie zaprowadził do jadalni.

Gdy otworzył drzwi, spojrzenie moje padło na suto zastawiony stół pośrodku długiego pokoju o wielu oknach. Skierowałem wzrok ku najdalszemu oknu i ujrzałem stojącą przy nim kobietę, zwróconą tyłem do pokoju. Od pierwszego spojrzenia uderzyła mnie niezwykła zgrabność jej figury i pełna naturalnego wdzięku poza. Była wysoka, a jednak nie za wysoka, kształty miała pełne, ale nie za pełne, głowę osądzoną mocno, lecz zręcznie na ramionach; każde męskie oko

uznałoby doskonałość jej kibici, która — co można było wyraźnie dostrzec — zajmowała wyznaczone jej przez naturę miejsce i wypełniała wyznaczony jej krąg przyjemnie nie zdeformowana przez gorset. Nie słyszała, jak wchodziłem do pokoju, i pozwoliłem sobie na przyjemność podziwiania jej przez chwilę, nim poruszyłem najbliższe krzesło uznawszy to za najmniej ambarasujący sposób skierowania na siebie jej uwagi. Natychmiast odwróciła się. Od pierwszego momentu, gdy zaczęła iść ku mnie z dalekiego kąta pokoju, naturalna elegancja jej ruchów zbudziła we mnie gorączkowe pragnienie ujrzenia jej twarzy. Odsunęła się od okna, a ja pomyślałem sobie: ta pani jest ciemnowłosa. Podeszła o kilka kroków, pomyślałem sobie: -ta pani jest młoda. Zbliżyła się jeszcze bardziej i wtedy pomyślałem ze zdumieniem, którego słowa nie zdołają wyrazić: ta pani jest brzydka!

Chyba nie zdarzyło się nigdy, by życie tak wyraźnie zadało kłam starej maksymie, że natura nie może błędzić. Chyba nigdy nie zdarzyło się, by radosne oczekiwanie, jakie zbudziła czyjaś piękna postać, przypieczętował takim zawodem widok jej twarzy. Cera owej pani była prawie śniada, a ciemny puszek nad górną wargą przerodził się niemal w wąsy. Miała mocne męskie szczęki i szerokie usta, przeszywające i zdecydowane spojrzenie brązowych oczu, gęste włosy koloru węgla, zarastające dziwnie nisko czoło. Wyraz jej twarzy był bystry, szczerzy i inteligentny. Kiedy milczała, zdawało się, że brak jej zupełnie kobiecej miękkości i delikatności, bez których piękno najurodzawszej kobiety jest pięknem niekompletnym. Widzieć głowę taką jak ta, osadzoną na ramionach, które artysta pragnąłby rzeźbić, zostać oczarowanym pełną prostoty gracją ruchów, które ukazują piękno ciała, a potem zobaczyć aż odpychająco męskie rysy i męski wyraz twarzy — równało się to przeżywaniu wrażeń dziwnie podobnych do bezsilnej udręki, znanej nam wszystkim ze snów, gdy dostrzegając anomalia i sprzeczności marzeń nie umiemy dać sobie z nimi rady.

— Pan Hartright? — spytała nieznajoma i uśmiech rozjaśnił jej ciemną twarz, czyniąc ją łagodną i kobiecą. — Wczorajszego wieczora straciliśmy nadzieję, że pan przyjedzie, i poszliśmy

spać o zwykłej porze. Proszę wybaczyć to, co wydać się panu mogło brakiem należnych względów. Pozwoli pan, że przedstawię się jako jedna z pańskich uczennic. Czy podamy sobie ręce? Sądzę, że i tak uczynimy to prędzej czy później. Czemu nie mamy tego zrobić już teraz?

To osobliwe powitanie wypowiedziane było jasnym, dźwięcznym i miłym głosem. Z naturalnym wdziękiem i pewnością siebie wielkiej damy podała mi dłoń — dużą, lecz ładną. Zasiadliśmy do stołu w tak serdecznej a jednocześnie naturalnej atmosferze, jak gdybyśmy się znali od lat i przyszli na umówione spotkanie do dworu w Limmeridge, by wspominać minione czasy-

— Mam nadzieję, że przyjechał pan tutaj w dobrym humorze i zdecydowany widzieć wszystko w jak najlepszym świetle — ciągnęła pani. — Zaczyna się od tego, że dzisiejszego ranka będzie pan zdany wyłącznie na moje towarzystwo. Siostra jest w swoim pokoju i kuruje się z lekkiego bólu głowy, typowo ko biecej choroby, a jej opiekunka, pani Vesey, asystuje jej i z całym współczuciem podaje kojące herbatki. Stryj nasz, pan Fairlie, nigdy nie schodzi do stołu, gdyż jest inwalidą i pędzi samotnicze życie w swych apartamentach. Prócz nich i mnie nie ma nikogo w tym domu. Przez pewien czas gościły u nas dwie młode panny, ale wczoraj odjechały w rozpaczy, czemu się wcale nie dziwię, gdyż na skutek inwalidztwa pana Fairlie przez cały okres ich pobytu nie było w domu ani jednego mężczyzny, z którym można by poflirtować, potańczyć lub zabawić się rozmową. W rezultacie kłóciłyśmy się nieustannie, zwłaszcza podczas obiadu. Ale czyż można oczekiwać, by cztery kobiety, zdane wyłącznie na własne towarzystwo, w czasie codziennych obiadów nie sprzeczały się? Takie już niemądre jesteście, że nie umiemy wzajemnie się bawić przy stole. Jak pan widzi, nie mam zbyt pochlebnego mniemania o swej płci, panie Hartright... Czego się pan napije, herbaty czy kawy?... Żadna kobieta nie ma pochlebnej opinii o innych kobietach, ale rzadko która przyznaje to tak otwarcie jak ja. Ale pan jest taki zamyślony. O czym pan myśli? Zastanawia się pan, co zjeść na śniadanie? Czy też dziwi, pana mój niepowściągliwy sposób

mówienia? Jeśli to pierwsze, po przyjacielsku radzę nie jeść tej zimnej szynki, która stoi koło pana, ale poczekać, aż podadzą omlet. Jeśli to drugie, dam panu herbaty dla podniesienia ducha i postaram się zrobić wszystko, co jest w mocy kobiety... nawiasem mówiąc, jest to bardzo niewiele... by powściągnąć swój język.

Śmiejąc się wesoło podała mi filiżankę herbaty. Potokowi jej wymowy i pełnemu życzliwości zachowaniu wobec obcego mężczyzny towarzyszyła niewymuszona naturalność i wrodzone, pełne prostoty poczucie własnej godności, które zapewnić by jej musiało szacunek nawet najzuchwalszego człowieka. Niepodobnym byłoby zachowywać się sztywno w jej towarzystwie, lecz jeszcze bardziej niemożliwe byłoby odnieść się do niej bez respektu, choćby tylko w myśli. Czuję to instynktownie, mimo że udzielił mi się jej wesoły nastrój i że próbowałem rozmawiać tak jak ona, żywo, szczerze, bezpośrednio.

— No tak, oczywiście — powiedziała, kiedy wysunąłem jedyne możliwe wytłumaczenie mego widocznego zmieszania. — Rozumiem, jest pan zupełnie obcy w tym domu, więc zaskoczyły pana moje poufale wzmianki o jego szacownych mieszkańcach. To naturalne i powinnam była o tym pomyśleć. W każdym razie mogę to teraz naprawić. Przypuśćmy, że zacznę od siebie, aby jak najprędzej skończyć z tym tematem. Nazywam się Marianna Halcombe i wyrażam się nieściśle, jak zwykle kobiety, nazywając pana Fairlie stryjem, a pannę Fairlie siostrą. Moja matka dwukrotnie wychodziła za mąż: raz za pana Halcombe, mego ojca, a potem za pana Fairlie, ojca mej przyrodniej siostry. Obydwie jesteśmy sierotami, ale pod każdym innym względem różnimy się jak można najbardziej. Mój ojciec był biedny, jej — bogaty. Ja nie mam nic, ona ma majątek. Ja jestem ciemna i brzydka, ona jasna i ładna. Wszyscy uważają mnie — i to zupełnie słusznie — za osobę skwaszoną i dziwaczkę, ją zaś — i w tym mają jeszcze więcej słuszności — za czarującą istotę o anielskim charakterze: jednym słowem, ona jest aniołem, ja zaś... Niech pan skosztuje tej marmolady, panie Hartright, i ponieważ kobiecie nie

wszystko mówić przystoi, sam skończy to zdanie. Cóż mogę powiedzieć o panu Fairlie? Słowo honoru, nie wiem. Na pewno po śniadaniu poprosi pana do siebie, więc będzie pan mógł sam o nim wydać sąd. Ja tymczasem mogę pana poinformować, że jest on, po pierwsze, młodszym bratem zmarłego pana Fairlie, po drugie, kawalerem, po trzecie, opiekunem panny Fairlie. Nie potrafię żyć bez niej ani ona beze mnie i dlatego mieszkam w dworze Limmeridge. Kochamy się szczerze z moją siostrą, co pewnie wyda się panu absolutnie niezrozumiałe, zważywszy, co powiedziałam. Rozumiem pana, tym niemniej tak jest. Musi pan oczarować nas obie albo też nie oczaruje pan żadnej. A co jest jeszcze gorsze, będzie się pan musiał zadowolić wyłącznie, naszym towarzystwem. Pani Vesey jest doskonałą istotą, odznacza się wszystkimi cnotami kardynalnymi — i nie liczy się wcale, pan Fairlie zaś jest tak schorowany, że nie może dla nikogo stanowić towarzystwa. Nie wiem, co mu jest, doktorzy nie wiedzą, co mu jest, on sam nie wie, co mu jest. Wszyscy mówimy, że to nerwy, ale mówiąc to nikt z nas nie wie, co ma na myśli. Jednakże radzę panu okazać względy dla jego dziwactw, gdy się pan będzie dzisiaj z nim widział. Niech się pan zachwyci kolekcją monet, druków i akwareli pana Fairlie, a zdobędzie pan jego serce. Proszę mi wierzyć, że jeśli potrafi się pan zadowolić spokojnym wiejskim życiem, powinien pan czuć się tu doskonale. Od śniadania do lunchu wypełnią panu czas rysunki pana Fairlie, po lunchu panna Fairlie i ja będziemy brać nasze bloki rysunkowe i fałszować obraz natury pod pana kierunkiem. Proszę pamiętać, że rysowanie to jej kaprys, nie mój. Kobiety nie potrafią rysować, ich umysł jest zbyt roztrzepany, oczy zbyt nieuważne. Mniejsza o to, moja siostra lubi malować i dla niej marnuję farby i papier z taką pogodą ducha, jak każda kobieta w Anglii. Jeżeli zaś chodzi o wieczory, to myślę, że pomożemy je panu miło spędzić. Panna Fairlie bardzo ładnie gra. Ja co prawda nie odróżniam jednej nuty od drugiej, ale mogę być partnerką pana w szachach, w tryktraku; ecarte, a nawet w bilardzie, o ile w ogóle kobiety w to grać potrafią. Co pan myśli o tym? Czy zdoła się pan przystosować do naszego spokojnego, regularnego trybu życia?

Czy też nie będzie pan tu mógł sobie miejsca znaleźć i w nudnej, jednostajnej atmosferze dworu Limmeridge będzie skrycie tęsknił do zmiany i przygody?

Rozprawiała tak z wdziękiem i lekką kpina, a ja nie przerywałem jej, tylko od czasu do czasu rzucałem krótkie odpowiedzi, jakich wymagała grzeczność. Ostatnie jednakże pytanie, a raczej to przypadkowe słowo „przygoda”, które tak lekko padło z jej ust, przywiodło mi na myśl kobietę w bieli, a wzmianka o pani Fairlie wzbudziła chęć dowiedzenia się, co właściwie łączyło -bezimienną uciekinierkę z zakładu dla nerwowo chorych z dawną panią dworu w Limmeridge.

— Gdybym był nawet najbardziej niespokojnym z ludzi — rzekłem — to i tak przez czas pewien nie musiałbym tęsknić za przygodą. W noc poprzedzającą mój przyjazd tutaj spotkała mnie przygoda i mogę panią zapewnić, panno Halcombe, że zdumienie i podniecenie, jakich zaznałem, wystarczą mi na cały czas pobytu w Limmeridge, o ile nie na dłużej.

— Co pan mówi, panie Hartright. Czy zechciałby mi pan o tym opowiedzieć?

— Ma pani pełne prawo to usłyszeć. Bohaterka tej przygody jest zupełnie nie znaną mi osobą, a zapewne jest nie znaną również i pani, ale wspomniała zmarłą panią Fairlie z najwyższą wdzięcznością i szacunkiem.

— Wspominała moją matkę? Zainteresował mnie pan niezwykle. Proszę, niech pan opowiada.

Przedstawiłem dokładnie okoliczności, w jakich poznałem kobietę w bieli, i słowo po słowie powtórzyłem, co mówiła o pani Fairlie i dworze w Limmeridge. Od początku do końca opowiadania bystre oczy panny Halcombe wpatrywały się badawczo we mnie. Twarz jej wyrażała żywe zainteresowanie i zdumienie, ale nic poza tym. Widoczne było, że stanowi to dla niej taką samą jak dla mnie zagadkę.

— Czy jest pan pewien, że dobrze pan pamięta, co mówiła o mojej matce? — spytała.

— Ręczę za to. Kimkolwiek jest ta kobieta, chodziła kiedyś do szkoły w wiosce Limmeridge i pani Fairlie okazywała jej specjalną serdeczność. Z wdzięcznością wspominając tę

dobroć, kobieta owa bardzo interesuje się wszystkimi żyjącymi jeszcze członkami rodziny Fairlie. Wie, że pan i pani Fairlie zeszli już z tego świata. O pannie Fairlie mówi tak, jak gdyby znały się będąc dziewczynkami.

— Wspominał pan, zdaje się, iż ta kobieta twierdzi, że nie pochodzi z tych okolic?

— Tak, mówiła, że pochodzi z Hampshire.

— I nie udało się panu dowiedzieć jej nazwiska?

— Nie.

— To dziwne. Myślę, że postąpił pan słusznie, pozostawiając to biedne stworzenie na swobodzie, bo nie uczyniła w pana obecności nic, co by dowodziło, że niezdolna jest z tej swobody korzystać. Wolałabym jednak, aby się pan był energiczniej wypytywał o jej nazwisko. Musimy rzeczywiście postarać się w jakiś sposób tę tajemnicę wyświecić. Lepiej niech pan na razie nie mówi o tym panu Fairlie ani mojej siostrze. Jestem pewna, że tak samo jak ja żadne z nich nic nie wie ani o tej kobiecie, ani o tym, co ją z nami w przeszłości łączyło. Ale oni oboje są, choć w zupełnie inny sposób, nerwowi i wrażliwi, i tylko niepotrzebnie by pan zirytował jedno, a przestraszył drugie. Co do mnie, to palę się z ciekawości i od tej chwili poświęcę wszystkie me siły na rozwiązanie tej zagadki. Kiedy moja matka ponownie wyszła za mąż i przyjechała tutaj, założyła szkołę, która do dzisiaj istnieje. Ale wszyscy dawni nauczyciele pomarli albo przenieśli się gdzie indziej i od nikogo nie możemy się spodziewać żadnej pomocy. Przychodzi mi tylko na myśl...

W tym momencie przerwało nam wejście lokaja z wiadomością, że pan Fairlie rad będzie mnie widzieć, gdy skończę śniadanie.

— Proszę poczekać w hallu — panna Halcombe, szybka jak zawsze, odpowiedziała za mnie służącemu. — Pan Hartright zaraz przyjdzie. Chciałam właśnie powiedzieć panu — zwróciła się znów do mnie — że moja siostra i ja posiadamy wielką ilość listów mej matki adresowanych do naszych ojców. Nie mając innych sposobów zdobycia informacji, spędzę dzisiejszy ranek na przeglądaniu korespondencji mej matki z panem Fairlie. On lubił Londyn i bardzo często wyjeżdżał z domu, a wtedy matka

pisala do niego o wszystkim, co sie dzialo w Limmeridge. W jej listach pelno jest wzmianek o szkole, ktora sie bardzo interesowala, wiec myslę, ze nim sie ponownie spotkamy, moze uda mi sie czegoś dowiedziec. Lunch jest o drugiej, panie Hartright. Wtedy to bede miala przyjemnosc przedstawic pana mej siostrze, a potem spedzimy popoludnie na przejazdze po okolicy

i pokazywaniu panu naszych ulubionych widokow. Zatem do zobaczenia o drugiej.

Skinęła mi głowę z. życzliwością i wdziękiem, z pełną wytwornością swobodą, jakie charakteryzowały wszystko, co mówiła i robiła, i wyszła drzwiami, znajdującymi się w przeciwnym końcu pokoju. Gdy mnie opuściła, skierowałem się do hallu i poszedłem za lokajem, by po raz pierwszy stanąć przed panem Fairlie.

VII

Mój przewodnik poprowadził mnie schodami w górę na korytarz, wiodący do sypialni, w której spędziłem poprzednią noc, i otworzywszy następane drzwi, poprosił, abym zajrzał do środka.

— Mój pan polecił mi pokazać panu gabinet i spytać, czy odpowiada panu położenie i oświetlenie.

Musiałbym doprawdy być człowiekiem, któremu trudno dogodzić, gdyby nie podobał mi się ten pokój i wszystko, co się w nim znajdowało. Szerokie okno ukazywało ten sam piękny widok, który podziwiałem rano w sypialni. Meble stanowiły szczyt elegancji i wygody. Na środku pokoju stał stół, na nim znajdowały się jasno oprawne książki, wytworne przybory do pisania, piękne kwiaty. Pod oknem, na drugim stole, zgromadzono wszystkie niezbędne materiały do restaurowania i podklejania akwareli. Przymocowane doń małe sztalugi dawały się dowolnie rozsuwać. Ściany obito jasnym kretonem, a na podłodze rozpostarto hinduskie maty w kolorze czerwonym oraz dojrzałe] kukurydzy. Nigdy dotychczas nie widziałem tak gustownego i tak luksusowo urządzonego

gabinetu, toteż w gorących słowach wyraziłem swe uznanie.

Poważny służący był zbyt dobrze wychowany, by mógł okazać zadowolenie. Gdy wyczerpałem już wszystkie zwroty pochwalne, skłonił się z chłodnym szacunkiem i w milczeniu otworzył przede mną drzwi na korytarz.

Po paru krokach skręciliśmy w inny długi korytarz, potem weszliśmy kilka schodków w górę i minawszy półkolisty hali znaleźliśmy się przed drzwiami obitymi ciemną bają. Służący otworzył je i poprowadził mnie jeszcze kilka kroków dalej do następnych drzwi. Gdy je przede mną otworzył, ujrzałem' wiszące za nimi ciemnozielone zasłony. Bezszelstnym ruchem uniósł jedną z nich, zaanonsował po cichu: — Pan Hartright — i wpuścił mnie do środka.

Znalazłem się w dużym, wysokim pokoju, z pięknym, ozdobionym stiukami sufitem, z podłogą wyścieloną dywanem tak grubym i miękkim, że uginał się pod stopami, jak gdyby składał się z kilku warstw aksamitu. Jedną ścianę zajmowała długa i wysoka na sześć stóp biblioteka, zdobna intarsją z jakiegoś nie znanego mi drzewa. Ustawiono na niej, w równych odstępach, marmurowe posążki. Przy przeciwnej ścianie znajdowały się dwie antyczne szafki, a nad nimi wisiał za szkłem obraz Madonny i Dzieciątka, mający u dołu rami złożoną tabliczkę z napisem: Rafael. Stojąc we drzwiach miałem po prawej i lewej ręce szyfonierki i serwantki inkrustowane. mosiądzem i szylkretem, pełne figurynek z drezdeńskiej porcelany, wiele oryginalnych wazonów, wyrobów z kości słoniowej, cacek i kosztownych drobiazgów, błyszczących od złota, srebra i drogich kamieni. Naprzeciwko mnie zakrywały okno zasłony tego samego co u wejścia zielonego morskiego koloru, nie przepuszczając blasku słońca. Wszystkie przedmioty w pokoju oświetlone były równomiernie tajemniczym przytłumionym światłem i dzięki temu panująca tu cisza wydawała się jeszcze głębsza, a nastrój całkowitego odosobnienia jeszcze bardziej przejmujący. Światło to aureolą jakiegoś spokoju i wypoczynku otaczało samotną postać pana domu, który wygodnie oparty siedział apatycznie w głębokim fotelu, mając u jednej poręczy przymocowaną podstawkę pod

książkę, a u drugiej stoliczek.

Jeżeli — choć jest to bardzo wątpliwe — można na podstawie wyglądu trafnie oszacować wiek człowieka, który przekroczył już czterdziestkę, a wyszedł wprost z gotowalni, to panu Fairlie, w momencie gdy go ujrzałem, należałoby dać więcej niż pięćdziesiąt, a mniej niż sześćdziesiąt lat. Nie nosił brody, twarz miał chudą, zniszczoną, przezroczyście bladą, ale nie pomarszczoną; oczy szaroniebieskie, przymglone, wielkie i wypukłe, o lekko zaczerwienionych powiekach; włosy rzadkie i miękkie, jasnopiaskowego koloru, który najpóźniej zdradza siwiznę. Jego ciemny surdut uszyty był z materii znacznie cieńszej niż zwykle sukno, kamizelka i spodnie lśniły niepokalaną bielą. Jedwabne ciemnożółte skarpety i niemal kobiece pantofelki ranne z brązowej skórki okrywały jego niezwykle małe jak na mężczyznę stopy. Delikatne dłonie zdobiły dwa pierścionki, które nawet moje niedoświadczone oko uznało za bezcenne. Można by powiedzieć ogólnie, że powierzchowność jego cechowała jakieś przerafinowanie, coś kapryśnego i kruchego, co swą szczególną nieprzyjemną delikatnością raziło w wyglądzie mężczyzny, a także nie wydawałoby się właściwe ani naturalne u kobiety. Moja ranna rozmowa z panną Halcorhbe usposobiła mnie życzliwie do całego domu, ale przyjazne te uczucia pierchły momentalnie na widok pana Fairlie. Zbliżywszy się do niego zauważyłem, że nie był tak zupełnie pogrążony w bezczynności, jak sądziłem na pierwszy rzut oka. Na stojącym w pobliżu niego okrągłym stoliku, między różnymi oryginalnymi i pięknymi przedmiotami, dojrzałem miniaturową szaf eczkę z hebanu i srebra z której maleńkich, wyściełanych eimnopurpurowym aksamitem szufladeczek wyglądały monety różnego kształtu i wielkości. Jedną z owych szufladeczek położono, na stoliczku, przytwierdzonym do poręczy fotela, w sąsiedztwie maleńkich pędzelków jubilerskich, kawałka zamszu do polerowania i buteleczki płynu, by w razie dostrzeżenia na monetach jakichś przypadkowych plam pan Fairlie mógł użyć tych przyborów do czyszczenia monet. W swych wątlach, białych palcach obracał coś od niechcienia, a gdy zatrzymałem się w nakazanej

szacunkiem odległości i składałem mu ukłon, wydało mi się, że trzyma jakiś zaśniedziały miedziany medal o nierównych brzegach.

— Rad jestem, że mam pana w Limmeridge — powitał mnie zrzędzącym tonem. Leniwie, sennie rozwlekał wyrazy, co przy jego ostrym, skrzekliwym głosie brzmiało nad wyraz nieprzyjemnie. — Proszę, niech pan siądzie. Niech pan będzie łaskaw nie przysuwać krzesła. W nieszczęsnym stanie nerwów, w jakim się znajduję, jakikolwiek ruch jest mi nad wyraz przykry. Czy widział pan swój gabinet? Czy odpowiada panu?

— Wracam właśnie stamtąd, panie Fairlie; i zapewniam pana...

Zamknął oczy i wznosił błagalnie w górę swą białą dłoń, przerywając mi tym w pół zdania. Umilkłem zdziwiony, a wtedy skrzeczący głos zaszczycił mnie takim wyjaśnieniem:

— Proszę mi wybaczyć, czy jednak nie udałoby się panu mówić trochę ciszej? Jestem w tak okropnym stanie nerwów, że każdy głośny dźwięk zadaje mi tortury wprost nie do opisania. Wybaczy pan choremu? Ale to, co powiedziałem panu, zmuszony jestem na skutek pożałowania godnego stanu mego zdrowia mówić każdemu. Tak. Więc rzeczywiście podoba się panu ten pokój?

— Jest tak ładny i wygodny, jak tylko można sobie życzyć — odparłem ściszonego głosem. Zaczynałem już zdawać sobie sprawę, że chore nerwy pana Fairlie i jego samolubna afektacja to jedno i to samo.

— Szczerze rad jestem. Przekona się pan, panie Hartright, że będzie pan tu traktowany z należnym mu szacunkiem. W domu tym nie spotka się pan z barbarzyńskimi przesądami angielskimi co do społecznej pozycji artysty. W młodości tyle czasu spędziłem za granicą, że zdobyłem całkiem inne poglądy pod tym względem. Chciałbym móc to samo powiedzieć o szlachcie — okropne słowo, ale nie da go się chyba uniknąć — o szlachcie z sąsiedztwa. W dziedzinie sztuki to Hunowie, panie Hartright. To ludzie, którzy, zapewniam pana, szeroko otwarliby oczy ze zdziwienia, widząc, jak Karol V schyla się po pędzel Tycjana. Czy zechciałby pan łaskawie pofatygować się i

umieścić z powrotem w biureczku tę szufladkę z monetami i podać mi następną? W okropnym stanie moich nerwów jakkolwiek bądź wysilek jest mi strasznie przykry. Tak. Dziękuję panu.

Ubawiło mnie to spokojne żądanie pana Fairlie, praktyczny komentarz do jego liberalnych zasad społecznych, które przed chwilą był łaskaw mi przedstawić. Jak mogłem najuprzejmiej, wsunąłem jedną szufladkę, a podałem mu drugą. Niezwłocznie zaczął bawić się nową kolekcją monet i przez cały czas naszej rozmowy przyglądał się im z apatycznym podziwem.

— Stokrotnie przepraszam i stokrotnie dziękuję. Czy interesują pana stare monety? Tak? Rad jestem, że posiadamy jeszcze jedno wspólne upodobanie poza zamiłowaniem do sztuki. A teraz co się tyczy strony pieniężnej naszych stosunków: proszę mi powiedzieć, czy zadowolają pana moje warunki?

— Jak najbardziej, panie Fairlie.

— To dobrze. A zatem... co jeszcze? A! Przypominam sobie. W związku z umową, którą był pan łaskaw zaakceptować, pozwalając mi korzystać ze swej znajomości sztuki, zarządca oczekiwać będzie pana w końcu pierwszego tygodnia. Co jeszcze? Czy to nie dziwne? Znacznie więcej miałem panu do powiedzenia, a okazuje się, że nic nie pamiętam. Czy zechciałby pan zadzwonić? W tym kącie. Tak. Dziękuję.

Zadzwoiłem. Bezszelestnie wsunął się inny służący, cudzoziemiec, z przyklepionym do warg uśmiechem i idealnie wyszczotkowanymi włosami — lokaj w każdym calu.

— Ludwiku — rzekł pan Fairlie, sennie omiatając pędzelkiem do monet czubki swoich palców — dziś rano zapisałem coś sobie w notesie. Znajdź mój notes. Stokrotnie przepraszam, panie Hartright, obawiam się, że pana nudzę.

Nudził mnie istotnie, ale ponieważ zamknął ciężko powieki, nim zdążyłem odpowiedzieć, siedziałem milcząc i przyglądałem się Rafaelowskiej Madonnie z Dzieciątkiem. Tymczasem lokaj wyszedł z pokoju, a po chwili wrócił, przynosząc notes oprawny w kość słoniową. Pan Fairlie z łagodnym westchnieniem otworzył notes jedną ręką, a drugą podniósł w górę pędzelek,

dając służącemu znak, by czekał na dalsze rozkazy.

— Tak, tak — mówił pan Fairlie przeglądając zapiski. — Niech Ludwik zdejmie tę teczkę — polecił wskazując na kilka teczek, umieszczonych na mahoniowych półeczkach przy oknie. — Nie. Nie tę z zielonym grzbietem. Ta zawiera moje Rembrandtowskie akwaforty, panie Hartright. Czy pan lubi akwaforty? Tak? Jakżem rad, że mamy jeszcze jedno wspólne upodobanie. Ludwiku, teczka z czerwonym grzbietem. Proszę jej nie upuścić! Nie wyobraża sobie pan nawet, panie Hartright, jakie bym cierpiał tortury, gdyby Ludwik upuścił tę teczkę. Czy jest bezpieczna na tym krześle? Czy pan myśli, że jest tam bezpieczna, panie Hartright? Tak? To dobrze. Byłbym wielce zobowiązany, gdyby zechciał pan przejrzeć te szkice, jeśli naprawdę pan sądzi, że są tam bezpieczne. Ludwiku, możecie odejść. Co za osioł! Czy Ludwik nie widzi, że trzymam notes? Czy Ludwik przypuszcza, że chcę go tak trzymać? Czemuż więc nie oswobodzi mnie Ludwik od niego, nie czekając na moje polecenie. Stokrotnie przepraszam, panie Hartright, ale służący to czasem straszne osły, nieprawda? Niech mi pan powie, co pan sądzi o tych rysunkach? Przyszły tu z wyprzedzący w okropnym stanie. Kiedy je oglądałem, zdawało mi się, że pozostała na nich jeszcze woń brudnych palców handlarzy i pośredników. Czy mógłby pan wziąć je w swoją opiekę?

Chociaż nerwy moje nie były na tyle subtelne, bym przeglądając rysunki wyczuł odór plebejskich palców, który tak raził nozdrza pana Fairlie, mój smak artystyczny był dostatecznie wykształcony, bym od razu dostrzegł wartość obrazów. Większość z nich były to oczywiście piękne okazy angielskiej akwareli i zasługiwały, by je traktowano lepiej, niż musiał je traktować poprzedni właściciel.

— Wymagają one — odrzekłem — starannej opieki i moim zdaniem zasługują...

— Przepraszam — przerwał mi pan Fairlie. Czy sprawi panu różnicę, jeśli rozmawiając z panem będę miał przymknięte oczy? Nawet to światło je razi. A więc?

— Mówilem właśnie, że obrazy w pełni zasługują, by im poświęcić czas i staranie...

Pan Fairlie nagle otworzył oczy i z wyrazem bezsilnego przerażenia obrócił je w kierunku okna.

— Błagam pana o wybaczenie — wymamrotał cicho. — Ale z pewnością są tam jakieś okropne dzieciaki w ogrodzie... w moim prywatnym ogrodzie... pod oknem...

— Nie wiem, panie Fairlie. Ją nic nie słyszę.

— Niech więc wyświadczy mi pan tę grzeczność... miał pan już tyle względów dla mych chorych nerwów, niech więc wyświadczy mi pan tę grzeczność i uniesie róg zasłony. Ale niechże pan nie puszcza na mnie słońca, panie Hartright! Podniósł już pan zasłonę? Tak? Będzie pan zatem tak uprzejmy, spojrzysz w ogród i upewnij się?

Uczyniłem, jak prosił. Cały ogród był otoczony murem. Nigdzie w tym świętym miejscu odosobnienia nie dostrzegłem ludzkiej istoty, ani dużej, ani małej. Doniosłem o tym pocieszającym fakcie panu Fairlie.

— Stokrotne dzięki. Zatem to moja wyobraźnia. Dzięki Bogu, w domu nie ma dzieci, ale służba, ludzie pozbawieni nerwów, wpuszcza tu nieraz dzieci ze wsi. Takie bachory, łobuzy! Nie wiem, czy mam to panu wyznać, panie Hartright, ale bardzo bym chciał, aby struktura dzieci uległa gruntownej przemianie. Odnoszę wrażenie, że natura tworząc je myślała tylko o tym, aby uczynić z nich maszyny do produkowania nieustannego hałasu. Z pewnością koncepcja naszego cudownego Rafaela jest nieskończenie przyjemniejsza.

Wskazał na obraz Madonny, którego górna część przedstawiała konwencjonalne cherubiny sztuki włoskiej, opierające swe dziecinne bródki na balonach z kremowych chmurek.

— Co za idealna dziatwa! — mówił pan Fairlie, łypiąc złośliwym okiem na cherubiny. — Takie ładne pyzate buziaki i takie piękne miękkie skrzydła — i na tym koniec. Żadnych brudnych nówek, które biegałyby w kółko, ani hałaśliwych płuczek, które by wrzeszczały. O ileż to jest lepsze niż istniejące kształty! Jeśli pan pozwoli, przymknę znów oczy. A więc istotnie będzie pan mógł prowadzić lekcje rysunków? Jakżem rad! Czy jeszcze coś mieliśmy omówić? Jeśli tak, to musiałem

zapomnieć. Czy zadzwonimy znów na Ludwika?

Ponieważ i ja już pragnąłem — zarówno jak i sam pan Fadrlic — szybko zakończyć rozmowę, postanowiłem spróbować, czy nie uda się uniknąć sprowadzania służącego, i na własną odpowiedzialność wysunąłem propozycję.

— Wydaje mi się, panie Fairlie, że jedyny punkt, jaki pozostał jeszcze do omówienia, dotyczy nauki rysunku, której podjąłem się udzielać dwóm młodym paniom.

— Ach tak, właśnie to! — odparł pan Fairlie. — Chciałbym mieć dość sił, aby poruszyć i tę część naszej rozmowy, ale niestety, jestem za słaby. Panie, które korzystać będą z pańskiej uprzejmości, muszą same ustalić, zdecydować itd. Moja bratanica uwielbia pańską czarującą sztukę. Zna ją już na tyle, by zdawać sobie sprawę ze swych żalonych braków. Proszę nie szczędzić trudów dla niej. Tak. Czy jest jeszcze coś? Nie. Zrozumieliśmy się dobrze, prawda? Nie mam już chyba prawa dłużej pana zatrzymywać i odciągać go od jego miłych zajęć, prawda? Doskonale, żeśmy tak przyjemnie wszystko omówili. Co za ulga, żeśmy już załatwili tę sprawę! Czy zechciałby pan zadzwonić na Ludwika, aby zaniósł teczkę do pana pokoju?

— Zaniosę ją sam, jeśli pan pozwoli, panie Fairlie.

— Doprawdy? Ma pan tyle sił? Jakże miło być tak silnym. Czy jest pan pewien, że jej pan nie upuści? Jakże się cieszę, że mam tu pana w Limmeridge! Jestem takim inwalidą, że nie żywię nadziei, bym mógł często cieszyć się pana towarzystwem. Gdy byłby pan łaskaw zrobić, co w pana mocy, żeby drzwi nie trzasnęły i żeby pan nie upuścił teczki? Dziękuję. Proszę delikatnie dotykać zasłon, najlżejszy ich szelest przeszywa mnie jak nożem. Tak. Do widzenia.

Gdy zasunęły się za mną zasłony i zamknęły orzechowe drzwi, zatrzymałem się chwilę w małym okrągłym hallu i odetchnąłem z niewypowiedzianą ulgą. Znaalższy się poza pokojem pana Fairlie poczułem się tak, jak bym po długim nurkowaniu wypłynął teraz na powierzchnię wody.

Skoro usadowiłem się wygodnie w moim ładnym gafoineciku, by spędzić tam przedpołudnie, moim pierwszym postanowieniem było, że nigdy nie zwrócę swych kroków w

kierunku apartamentów pana domu, chyba że on sam — co wydawało się zupełnie nieprawdopodobne — zaszczyli mnie specjalnym zaproszeniem na ponowną wizytę. Zadowolony z powziętego planu postępowania w stosunku do pana Fairlie, wkrótce odzyskałem pogodę ducha, której na pewien czas pozbawiła mnie wyniosła poufałość i obrażająca grzeczność mego pracodawcy. Pozostałe godziny ranka upłynęły mi dość przyjemnie na przeglądaniu rycin, układaniu ich seriami, wyrównywaniu poszarpanych brzegów i wykonywaniu podobnych niezbędnych przygotowań przed przystąpieniem do podklejania. Być może, powinienem był zrobić coś więcej, ale gdy zbliżał się czas lunchu, stałem się niespokojny, nie mogłem znaleźć sobie miejsca ani skupić uwagi na wykonywanej pracy, choć była to tylko skromna ręczna praca.

O drugiej godzinie, nieco podniecony, zszedłem do pokoju śniadaniowego. Ze swym ponownym przejściem do tej części domu wiązałem pewne nadzieje i oczekiwania. Za chwilę miałem zostać przedstawiony panie Fairlie, a jeśli panna Halcomibe przejrzała listy matki i znalazła w nich poszukiwaną wskazówkę, nadszedł czas na wyjaśnienie tajemnicy kobiety w bieli.

VIII

Kiedy wszedłem do pokoju, ujrzałem przy jadalnym stole pannę Halcombe i jakąś starszą panią.

Panna Halcombe przedstawiła mnie owej starszej damie, która okazała się panią Vesey, wychowawczynią panny Fairlie. O niej to powiedziała moja towarzyszka śniadania, że „odznacza się wszystkimi cnotami kardynalnymi i wcale się nie liczy”. A mnie nie pozostaje nic innego, jak tylko pokornie zaświadczyć, że owa ocena charakteru pani Vesey była zgodna z prawdą. Pani Vesey wyglądała na uosobienie spokoju, do jakiego zdolny jest człowiek, i przyjaznych uczuć, do jakich zdolna jest kobieta. Ciche zadowolenie z cichej egzystencji promieniowało w sennych uśmiechach z jej pulchnej, łagodnej twarzy. Jedni ludzie przebiegają przez życie, inni przechodzą

spacerkiem, a pani Vesey przesiedziała życie. Tak o wczesnej, jak i późnej porze dnia widywało się ją siedzącą w domu albo w ogrodzie. Niespodziewanie spotykało się pandą Vesey przesiadującą w niszach okiennych na korytarzach. Siadała na składanym stołeczku, kiedy przyjaciele zabrali ją na spacer, siadała, zanim spojrzała na coś, zanim coś powiedziała, zanim przytaknęła lub zaprzeczyła w odpowiedzi na najprostsze pytanie — zawsze tak samo grzecznie uśmiechnięta, zawsze z tą samą bierną uwagą, przechyliwszy głowę i wygodnie ułożywszy ręce, zawsze, cokolwiek by się w domu działo. Łagodna, ustępliwa, niezwykle spokojna i nikomu nie szkodząca starsza dama, która budziła w obserwatorach myśl, że nigdy, od chwili urodzenia, nie żyła naprawdę. Natura tyle ma do roboty z tym światem, jest tak zajęta produkowaniem wielu różnorodnych koegzystujących tworów, że niewątpliwie od czasu do czasu bywa zbyt zaganiana i zmęczona, by należycie wyodrębnić rozmaite procesy, jednocześnie się dokonujące. Wychodząc z tego założenia, nie pozbędę się nigdy przekonania, że Natura zaabsorbowana była niewątpliwie robieniem kapusty, kiedy rodziła się pani Vesey, i że pocziwa owa dama ponosi konsekwencje tego, że umysł Natury — matki nas wszystkich — zaprzętała w owym czasie troska o jarzyny.

— A teraz, pani Vesey — spytała panna Halcombe, która przez kontrast z siedzącą u jej boku niepozorną starą damą wydawała się jeszcze żywsza, bystrzejsza i energiczniejsza — co można pani nałożyć? Kotlet?

Pani Vesey skrzyżowała swe pulchne rączki na brzegu stołu, uśmiechnęła się pogodnie i odrzekła:

— Tak, kochanie.

— A co jest naprzeciw pana Hartrighta? Gotowane kurczę, prawda? Myślałam, że pani woli gotowane kurczę od kotleta?

Pani Vesey zdjęła swe pulchne rączki ze stołu, skrzyżowała je na odmianę na kolanach i patrząc w zamyśleniu na gotowane kurczę, skinęła głową i odrzekła:

— Tak, kochanie.

— No, dobrze, ale co chce pani teraz zjeść? Czy pan Hartright ma nałożyć na pani talerz porcyjkę kurczaka, czy też ja mam

dać pani kotlet?

Pani Vesey położyła jedną pulchną rączkę z powrotem na stole, zawahała się chwilę i rzekła:

— Jak wolisz, kochanie.

— Proszę się zlitować nade mną. To przecież rzecz pani gustu, nie mojego. Może więc pani zje po trochu i tego, i tego? I może zacznie pani od kurczaka, ponieważ wydaje mi się, że pan Hartright płonie z niecierpliwości, by go dla pani ukroić.

Pani Vesey położyła drugą tłustą rączkę z powrotem na brzegu stołu, na chwilę rozjaśniła twarz uśmiechem, potem znów spoważniała, skłoniła się ulegle przede mną i rzekła:

— Jeśli pan tak łaskaw, panie Hartright.

Cóż to za łagodna, zgodliwa, niewypowiedzianie spokojna i nie czyniąca nikomu krzywdy istota! Ale może chwilowo dosyć już o pani Vesey.

Przez cały ten czas panna Fairlie nie dawała znaku życia. Skończyliśmy lunch, a ona nie pojawiła się jeszcze. Bystrej obserwacji panny Halcombe nie uszły spojrzenia, jakie od czasu rzuciłem w kierunku drzwi.

— Rozumiem, panie Hartright — rzekła. — Zastanawia się pan, co stało się z drugą uczennicą. Opuściła już swój pokój, przeszedł jej ból głowy, ale nie odzyskała jeszcze apetytu, by jeść z nami lunch. Jeśli zechce pan pójść ze mną, myślę, że uda nam się odnaleźć ją gdzieś w głębi ogrodu.

Wzięła parasolkę, leżącą na pobliskim krześle, i wyprowadziła mnie przez drzwi, wychodzące wprost z pokoju na trawnik. Nie potrzeba chyba dodawać, że pozostawiliśmy panią Vesey siedzącą przy stole, z pulchnymi rączkami skrzyżowanymi na jego brzegu.

Prawdopodobnie zajęła tę pozycję na całą resztę popołudnia.

Kiedy przechodziliśmy przez trawnik, panna Halcombe spojrzała na mnie znacząco i potrząsnęła głową.

— Tę tajemniczą przygodę pana — rzekła — nadal spowija charakterystyczna dla niej nocna ciemność. Cały ranek przeglądałam listy mej matki i jak dotąd nic nie odkryłam. Ale niechaj pan nie traci nadziei, panie Hartright. W grę wchodzi ciekawość i ma pan kobietę za sprzymierzeńca, a w takich

wypadkach sukces jest pewny, prędzej czy później. Nie przeczytałam jeszcze wszystkich listów. Pozostały trzy pakiety i może pan z całym spokojem oczekiwać, że spędzą nad nimi wieczór.

A więc jedno z rannych pragnień pozostało nie spełnione. Przyszło mi do głowy, że może i spotkanie z panną Fairlie zawiedzie moje oczekiwania i rozwieje obraz, jaki malowałem w myślach od rana.

— A jak dał pan sobie radę z panem Fairlie? — spytała panna Halcombe, gdy zszedłszy z trawnika skręciliśmy w zakrzewioną część ogrodu. — Czy nie był dzisiejszego ranka szczególnie zdenerwowany? Niech pan się nie męczy nad odpowiedzią. Sam fakt, że musi się pan nad tym zastanawiać, już mi wystarcza. Widzę z pańskiej miny, że był szczególnie zdenerwowany, a ponieważ nie chcę być na tyle nieuprzejma, by doprowadzić pana do tego samego stanu, nie pytam o więcej.

Gdy to mówiła, zeszliśmy na krętą ścieżkę i zbliżyliśmy się do ładniutkiego, drewnianego pawilonu letniego, będącego jak gdyby miniaturą szwajcarskiego Chalet. Wchodząc na schody dostrzegłem w jednym z pokojów młodą damę. Stała przy zwykłym wiejskim stole, wpatrzona w odsłaniający się przez wyrwę w drzewach widok na porośle wrzosem pagórki. Zamyślona, przewracała kartki leżącego przed nią szkicownika. Była to panna Fairlie.

Jakże zdołam ją opisać? Jakże zdołam oddzielić jej obraz od moich własnych uczuć i od wszystkich późniejszych wydarzeń? Czyż mogę ją ujrzeć ponownie taką, jaką była wtedy, gdy po raz pierwszy spoczął na niej mój wzrok? Taką, jaką powinna pojawić się przed oczyma czytających te kartki?

Kiedy piszę te słowa, mam przed sobą na biurku akwarelę, wykonaną przeze mnie w późniejszym okresie, a przedstawiającą Laurę Fairlie w owym miejscu i w takiej pozie, w jakiej po raz pierwszy ją zobaczyłem. Spoglądam na akwarelę: na ciemnym, zielonawobrazowym tle letniego domku jaśnieje smukła dziewczęca postać ubrana w skromną suknię z muślinu w bładoniebieskie i białe szerokie pasy. Ramiona jej

opasuje sztywna plisa z tego samego materiału, a głowę okrywa kapelusik słomkowy naturalnego koloru, przybrany odpowiednią do sukni wstążką, i rzuca delikatny cień na czoło i oczy. Blond włosy mają delikatny odcień: nie są lniane, ale niemal równie jasne, nie są złote, ale niemal równie świetliste. Ich subtelna barwa stapia się niemal z plamą przejrzystego cienia, jaki pada od kapelusza. Przedzielone rozdziałkiem na środku falują lekko na skroniach i nikną za uszami. Brwi i rzęsy nieco ciemniejsze od włosów, oczy zaś koloru przejrzystego turkusu, jakie tak często opiewają poeci, a tak rzadko spotyka się w życiu. Piękny mają kolor, piękny kształt, są duże, łagodne, spokojne i zamyślane, lecz najpiękniejszy w nich to wyraz szczerości i zaufania, przeświecający z najskrytszych głębin poprzez wszystkie zmiany ekspresji blaskiem czystszeo i lepszego świata. Czar, subtelny a wymowny, jakim te oczy opromieniają całą twarz, tuszuje i przeobraża spotykane w każdym człowieku usterki urody, tak że trudno byłoby obiektywnie oceniać piękno i wady rysów jej twarzy. Patrząc na nią ledwo się spostrzega, że dolna część twarzy nazbyt jest wąska, by w pełni harmonizować z górną połową, i że nos, uniknąwszy szczęśliwie ostrego garbku, który, najdoskonalej nawet zarysowany, kładzie się na kobiecej twarzy akcentem twardym, niemal okrutnym, odchylił się trochę za bardzo w przeciwnym kierunku, chybiając linii idealnie prostej; jak również tego, że gdy się uśmiecha, lekki nerwowy grymas wykrzywia trochę jej słodkie, wrażliwe wargi, ściągając je w jednym końcu nieco za bardzo ku górze, ku policzkowi. Można by łatwo zauważyć te skazy u innej kobiety, ale nie rażą w jej twarzy, gdyż w jakiś swoisty sposób stają się przejawem indywidualnego wyrazu, któremu siłę i barwę nadaje w każdym szczególe wymowa jej oczu. Czy nieudolny portret Laury, malowany przeze mnie z wielkim zamiłowaniem i wytrwałością w czasie tych długich, szczęśliwych dni, ukazuje to wszystko? Ach, jak mało mówi martwy rysunek, jak wiele moja pamięć! Uroczą, delikatną dziewczyną w ładnej jasnej sukni, przerzucająca kartki pamiętnika i spoglądająca sponad nich szczerymi i niewinnymi, niebieskimi oczyma — oto wszystko,

co powiedzieć może rysunek, i również wszystko, co wyrazić może myśl i pióro sobie właściwą mową. Kobieta, która pierwsza tchnęła życie w nasze mgliste koncepcje piękna, nadała im kształt i opromieniła blaskiem, wypełniła w naszej duchowej istocie lukę, z której istnienia aż do jej przyjścia nie zdawaliśmy sobie sprawy. W takich momentach na uczucia drzemiące w nas zbyt głęboko, by wyrazić je słowami, zbyt nawet głęboko, by wyrazić je myślą, działał czar inny niż ten, który odczuwają zmysły, niedostępny naszym środkiem ekspresji. Tajemnica, kryjąca się w pięknie kobiety, dopiero wtedy bowiem staje się niewyraźna, gdy posłyszemy w niej nutę tajemnej muzyki naszych dusz. Wtedy i tylko wtedy wykracza poza wąski obszar, który ukazuje ludziom ołówek i pióro.

Myśl o pannie Fairlie tak, jak myślałeś o pierwszej kobiecie, która — jedyna wśród wszystkich kobiet — posiadała tę sztukę, by przyspieszyć bicie twego serca. Niechaj łagodne, błękitne oczy spojrzą na ciebie tak, jak spojrzały na mnie, tym jedynym, niezrównanym spojrzeniem, które obaj pamiętamy tak dobrze. Niechaj jej głos zabrzmie jak muzyka, którą niegdyś tak lubiłeś, niech dźwięczy tak słodko dla twojego ucha, jak dźwięczał dla mnie. Niech odgłos jej kroków, gdy na tych kartkach będzie pojawiać się i znikać, zbudzi echo tych lekkich stąpanień, w rytm których biło kiedyś twoje serce. Patrz na nią, jak na wypieszczony twór mej fantazji, a wtedy zawładnie twymi myślami, jak ta żywa kobieta zawładnęła moimi.

Do uczuć i wrażeń, jakie mnie opanowały, kiedy po raz pierwszy ją ujrzałem — uczuć znanych nam wszystkim, rozkwitających w tyłu sercach, zamierających w tak wielu i tak rzadko ponownie budzących się do życia — wmieszało się jedno wrażenie, które zaniepokoiło mnie i wprawiło w zakłopotanie, będąc czymś, co nie licowało z obecnością panny Fairlie, czymś absolutnie niezrozumiałym. Jej czarująca postać, piękna twarzyczka o słodkim wyrazie, ujmująca prostota obejścia rzuciły na mnie urok — jednak w doznaniu tej chwili wplotło się coś zupełnie innego: nieuchwytnie poczucie jakiegoś braku. Chwilami zdawało mi się, że to w niej tkwi jakaś

niedoskonałość, a potem znów, że to właśnie mnie niedostaje czegoś, co by mi pozwoliło należycie ją zrozumieć. Prawem kontrastu wrażenie to najbardziej mi dokuczalo, kiedy na mnie patrzyła, czyli mówiąc innymi słowy, gdy harmonia i czar jej twarzy przemawiały do mnie najsilniej, wtedy najbardziej mi ciążyło poczucie jakiegoś braku, którego nie sposób było zidentyfikować. Ten dziwny kaprys wyobraźni (jak to wtedy nazywałem) sprawił, że w czasie pierwszego spotkania z panną Fairlie czułem jakieś skrępowanie. Z trudnością zdobyłem się na to, by w stosowny sposób odpowiedzieć na jej uprzejme słowa powitania. Panna Halcombe zauważyła to niewątpliwie i przypisała jakiemuś chwilowemu onieśmieleniu i, bystra i uczynna jak zawsze, wzięła na siebie prowadzenie rozmowy.

— Niech pan popatrzy, panie, Hartright — rzekła wskazując na leżący na stole szkicownik i na delikatną rączkę, która wciąż jeszcze przewracała kartki — Musi pan chyba przyznać, że znalazł pan w końcu wzór uczennicy. Skoro posłyszała, że pan przyjechał, pochwyciła swój nieoceniony szkicownik, wpatruje się w oblicze nieśmiertelnej natury i już pragnie zacząć lekcje!

Panna Fairlie roześmiała się wesoło, a uroczą jej twarzyczka zajaśniała pogodą, jak słoneczne niebo nad naszymi głowami.

— Nie należą mi się pochwały, gdy nie zasłużyłam na nie — odrzekła spoglądając szczerymi, niebieskimi oczyma to na mnie, to na pannę Halcombe..— Bardzo lubię rysować, ale dobrze zdaję sobie sprawę ze swojej ignorancji i mam tremę przed zaczęciem lekcji. Dowiedziałam się, że pan już przyjechał, więc zabrałam się do przeglądania moich rysunków, tak jak przeglądałam moje zeszyty, kiedy byłam dziewczynką i bałam się, że się okaże, iż nic nie umiem.

Uczyniła to wyznaniem wdzięczności i z prostotą, a potem z zabawną, dziecinną powagą przesunęła szkicownik na drugą stronę stołu, do siebie. Panna Halcombe z właściwą sobie energią i ptwartością natychmiast położyła kres rodzącej się atmosferze zakłopotania.

— Złe, dobre czy nijakie — powiedziała — rysunki uczennicy muszą przejść przez ogniową próbę oceny nauczyciela i basta. Przypuśćmy, że weźmiemy je do powozu, Lauro, i pan

Hartright będzie je po raz pierwszy, oglądał podczas nieustannego podskakiwania powozu i będzie musiał ciągle przerywać ich oglądanie? Jeśli w czasie drogi będzie na przemian patrzył to na prawdziwą naturę, gdy rzuci okiem dokoła, to na fałszywy jej obraz, gdy powróci do naszych dzieł, może uda się nam wprawić go w stan takiego zamętu, że szukając rozpaczliwie ucieczki zacznie nam prawić kornplementy, i wyśliźniemy się z jego profesorskich palców nie zwichrzywszy sobie pięknych piórek, w jakie stroi nas próżność.

— Mam nadzieję, że pan Hartright nie będzie mi prawił komplementów — powiedziała panna Fairlie, kiedy wyszliśmy z pawilonu.

— Czy wolno mi spytać, dlaczego wyraża pani tę nadzieję?

— Ponieważ uwierzę we wszystko, co mi pan powie — odrzekła z prostotą.

Tymi paru słowy dała mi nieświadomie klucz do zrozumienia swego charakteru, zdradzając, że odnosi się do ludzi z wielkodusznym zaufaniem, które — wyczułem to wtedy intuicyjnie, a dziś wiem z doświadczenia — płynęło u niej bezwiednie z poczucia własnej prawdy wewnętrznej.

Zanim weszliśmy do otwartego powozu, by udać się na zapowiadzaną przejażdżkę, musieliśmy czekać na panią Vesey, która siedziała wciąż przy stole. Stara dama i panna Halcombe'zajęły tylne siedzenie pojazdu, a panna Fairlie i ja siedzieliśmy na przednim, mając między sobą otwarty szkicownik, dobrze widoczny, przynajmniej dla mego profesorskiego oka. Lecz nawet gdybym chciał wydać krytyczny sąd o tych szkicach, byłoby to zupełnie niemożliwe, gdyż panna Halcombe z całą żywością swego charakteru postanowiła dostrzegać tylko zabawną stronę Sztuk Pięknych, uprawianych przez nią samą, jej siostrę i w ogóle cały ród niewieści. O wiele lepiej przypominam sobie naszą rozmowę niż szkice, które mechanicznie przerzucałem. Zwłaszcza te partie rozmowy, w których brała udział panna Fairlie, są tak świeże w mej pamięci, jak gdybym słyszał je zaledwie przed paru godzinami.

Tak! Muszę przyznać, że tego pierwszego dnia pod wpływem

jej pełnej czaru obecności pozwoliłem sobie zapomnieć, kim jestem i jakie zajmuję stanowisko. Najbliższe z pytań, jakie mi zadawała na temat trzymania ołówka i mieszania farb, najmniejsza zmiana wyrazu pięknych oczu patrzących w moje z tak poważnym pragnieniem nauczenia się wszystkiego, czego ją nauczyć mogę, i dojrzenia wszystkiego, co mogę jej pokazać — pochłaniały znacznie więcej mojej uwagi niż najpiękniejszy z mijanych widoków i najciekawsza gra światła i cieni, goniących się nawzajem po pagórkowatym wrzosowisku i płaskim wybrzeżu. Czyż nie jest dziwne, że w różnych okresach życia i w świetle naszych różnorodnych zainteresowań widzimy, jak niewielkie doprawdy miejsce zajmuje w naszych sercach i umysłach świat przyrody, wśród którego żyjemy? Tylko w powieściach ludzie zwracają się do natury, by szukać u niej pociechy w smutku, zjednoczenia w radości. Podziw dla piękna tego nieożywionego świata, które tak szeroko i tak elokwentnie opiewa nowoczesna poezja, nie jest, nawet w najlepszym z nas, instynktem wrodzonym. Nikt z nas nie posiada go będąc dzieckiem. Nie posiada go żaden niewykształcony mężczyzna ani żadna niewykształcona kobieta. Ci, co całe swe życie spędzają wpośród cudów wiecznie zmiennego piękna morza i ziemi, są najbardziej ze wszystkich ludzi niewrażliwi na te aspekty przyrody, które nie wiążą się bezpośrednio z ich praktycznymi zainteresowaniami. Doprawdy, umiejętność dostrzegania piękna ziemi, na której żyjemy, jest jednym z osiągnięć cywilizacji, sztuką, której musimy się uczyć, jak każdej innej, a co więcej, rzadko kiedy wykorzystujemy tę umiejętność poza momentami beczynności i beztroski. Czyż kiedykolwiek urok natury odgrywa wielką rolę w przyjemnych lub przykrych doświadczeniach nas samych lub naszych przyjaciół? Czy dużo zajmuje miejsca w tysiącnych opowiadaniach o osobistych przeżyciach, choć te codziennie krążą z ust do ust? Czy żyć będziemy w najpiękniejszej, czy najbrzydszej okolicy, serca nasze doświadczyć, a umysły pojąć mogą równie wiele, z równą dla nas radością i pożytkiem. Ten brak uczuciowych więzi między człowiekiem a otaczającą go naturą mieć musi jakąś przyczynę: jest nią zapewne

rozbieżność przeznaczeń człowieka i jego ziemskiego otoczenia. Najwspanialsza panorama górską, jaką ogarnąć może nasze spojrzenie, przeznaczona jest na zaturę. Najbliŝszemu przywiązaniu, jakie żywi czyste ludzkie serce, przeznaczona jest nieśmiertelność.

Gdy powóz nasz z powrotem przejeżdżał przez bramy dworu, mijały trzy godziny od rozpoczęcia spaceru.

W powrotnej drodze prosiłem, by panie uzgodniły między sobą, z którego miejsca będą jutrzejszego popołudnia, po raz pierwszy pod moim okiem, malować krajobraz. Kiedy odeszły, by przebrać się do obiadu, a ja znalazłem się sam w moim gabinecie, z nagłą ogarnęło mnie przygnębienie. Byłem smutny i niezadowolony z siebie, choć nie wiedziałem czemu. Może po raz pierwszy zacząłem sobie zdawać sprawę, że na przechadzce za bardzo czułem się gościem, za mało nauczycielem. A może dręczyło mnie znowu owo poczucie braku, czy to we mnie samym, czy w pannie Fairlie, które opanowało mnie w chwili, gdy zostałem jej przedstawiony. Jakkolwiek to było, doznałem ulgi, gdy godzina obiadu wywołała mnie z mojej samotni, darząc znów towarzysztwem pańien domu.

Gdy wchodziłem do salonu, uderzył mnie dziwny kontrast, raczej w materiale niż kolorze, między sukniami, jakie włożyły. Pani Vesey i panna Halcombe były ubrane bogato, choć każda w sposób najbardziej licujący z jej wiekiem, pierwsza w srebrzystoszary, a druga w delikatny, bladożółty kolor, tak twarzowy przy smagłej cerze i ciemnych włosach, natomiast panna Fairlie włożyła suknię ze zwykłego białego muślinu, niepretensjonalną, zupełnie prostą. Suknia jej odznaczała się niepokalaną bielą i wybornym krojem, jednakże nosić by ją mogła żona lub córka zupełnie niezamożnego człowieka, tak że — jeŝliby sądzić tylko po stroju — panna Fairlie wyglądała na osobę znajdującą się w znacznie gorszych warunkach materialnych niż jej własna guwernantka. Później, gdy poznałem lepiej charakter panny Fairlie, przekonałem się, że ów zwodniczy kontrast wypływał z jej naturalnej delikatności uczuć i z wrodzonej silnej niechęci do najbliŝszego bodaj manifestowania ubiorem swego bogactwa. Ani pani Vesey, ani

pannie Halcombe nie udało się nigdy wymóc na niej, aby one, jako uboższe, utraciły przywilej elegantszego stroju i aby stał się on udziałem tej, która była majątna.

Po obiedzie przeszliśmy wszyscy do salonu. Chociaż pan Fairlie (rywalizując z wspaniałą łaskawością monarchy, który schylił się, by podnieść pędzel Tycjana) polecił lokajowi zapytać, jakie wino życzyłbym sobie pić po obiedzie, oparłem się stanowczo pokusie przesiadywania w samotnym splendorze wśród wybranych przeze mnie butelek i zdobyłem się na tyle rozsądku, że poprosiłem panie, by pozwoliły mi w czasie pobytu w Limmeridge wychodzić z jadalni wraz z nimi, według cudzoziemskich zasad grzeczności.

Salon, do którego udaliśmy się na resztę wieczoru, znajdował się na parterze i miał ten sam kształt i wymiary, co jadalnia. Wielkie szklane drzwi w drugim końcu salonu wychodziły na taras, pięknie przyozdobiony na całej swej długości mnóstwem kwiatów. Gdy wchodziliśmy do salonu, łagodny, mglisty zmierzch malował już liście i kwiaty ciemniejszą barwą, bardziej licującą z jego poważnym kolorytem, a przez otwarte szklane drzwi ogród słał nam na powitanie mocny wieczorny zapach. Zaczyna pani Vesey (zawsze pierwsza, by usiąść) objęła w posiadanie wygodny fotel w rogu pokoju i sposobila się do drzemki. Panna Fairlie na moją prośbę zasiadła do fortepianu. Gdy szedłem ku krzesłu, stojącemu w pobliżu fortepianu, ujrzałem, że panna Halcombe sadowi się we wnęce jednego z bocznych okien, by przy ostatnich łagodnych promieniach wieczornego światła przeglądać dalej listy matki. Kiedy piszę te słowa, jakże żywo staje mi przed oczyma obraz tego tchnącego spokojem salonu! Z miejsca, na którym siedziałem, widziałem wdzięczną postać panny Halcombe, wpół oświetloną nikłym światłem, wpół zatopioną w tajemniczym mroku, schylającą się z uwagą nad trzymanymi na kolanach listami. W pobliżu mnie delikatny profil pianistki rysuje się coraz wyraźniej na ciemniejącym tle ściany. Dalej, na tarasie, falują w wieczornym powiewie kwiaty, trawy i pnące rośliny, ale tak lekko, że nie dociera do nas najcichszy szelest. Niebo bez chmurki, a na wschodzie zaczyna się już misterium pierwszych drżących

blasków wschodzącego księżyca. Poczucie spokoju i odosobnienia ukołysało pragnienia i myśli, które zaznały jakiegoś wzniosłego, niezemskiego spoczynku. Kojący spokój, który zdaje się wzrastać wraz z księżycową poświatą, ogarnia nas z jeszcze większą siłą, gdy od fortepianu napływają niebiańskie tony muzyki Mozarta.

Był to wieczór niezapomnianych widoków i dźwięków.

Siedzieliśmy cicho na wybranych przez siebie miejscach — pani Vesey wciąż drzemała, panna Fairlie wciąż grała, panna Halcombe wciąż czytała — aż zapadł mrok. Tymczasem księżyc wkradł się na taras i jego łagodne, tajemnicze promienie padały z ukosa na nizej położoną część pokoju. To przejście od zmroku do księżycowej poświaty było czymś tak pięknym, że kiedy służba wniosła lampy, jednomyślnie poleciliśmy je wynieść i wielki pokój nadal oświetlał jedynie słaby blask dwu świec na fortepianie.

Jeszcze przez pół godziny brzmiała muzyka. Później piękno tarasu, rozjaśnionego światłem księżyca, skusiło pannę Fairlie do wyjścia, a ja poszedłem za nią. W chwili gdy zapalano świece, panna Halcombe zmieniła miejsce, by w ich blasku przeglądać dalej listy, i wychodząc na taras pozostawiliśmy ją siedzącą na niskim krześle przy fortepianie, tak zaabsorbowaną czytaniem, że prawdopodobnie nie zauważyła nawet naszego odejścia.

Byliśmy razem na tarasie, tuż przed szklanymi drzwiami, chyba niecałe pięć minut. Właśnie panna Fairlie, idąc za moją radą, zawiązywała na głowie białą chustkę dla ochrony przed nocnym chłodem, kiedy dobiegł mnie głos panny Halcombe. Cicho, z przejęciem, nienaturalnie głuchym tonem wymówiła moje nazwisko.

— Panie Hartright — usłyszałem. — Proszę tu przyjść na chwilę. Chcę panu coś powiedzieć.

Natychmiast wszedłem do pokoju. Fortepian stał przy wewnętrznej ścianie, w połowie jej długości. Przy fortepianie (przy tym jego boku, który znajdował się najdalej od tarasu) siedziała panna Halcombe z rozrzuconymi na kolanach listami, a jeden z nich trzymała w blasku świecy. Między fortepianem a

tarasem stał niski wyścielany stół, na którym siadłem. Pozostałem dzięki temu w pobliżu oszklonych drzwi i wyraźnie widziałem pannę Fairlie, gdy spacerując z wolna w blasku księżyca mijała drzwi.

— Chciałabym, żeby posłuchał pan końcowego ustępu tego listu — rzekła panna Halcombe. — Proszę mi powiedzieć, czy zdaniem pana nie rzuca on nieco światła na pańską dziwną przygodę na drodze do Londynu. List pisany jest przez mamę do jej drugiego męża, pana Fairlie, jakieś jedenaście, najwyżej dwanaście lat temu. W tym okresie państwo Fairlie wraz z mamą przyrodnią siostrą, Laurą, zamieszkiwali już od lat ten dom, a ja przebywałam poza domem, kończąc edukację w jednej ze szkół w Paryżu.

Mówiła te słowa z powagą i jak mi się wydawało, z pewnym skrepowaniem. W chwili, gdy zabierając się do czytania listu podniosła go ku świecy, panna Fairlie zbliżyła się do drzwi tarasu, zajrzała do pokoju i widząc, że jesteśmy zajęci, oddaliła się z wolna.

Panna Halcombe zaczęła czytać, co następuje:

— „Zanudzam cię pewno, Filipie, ciągłymi wiadomościami o mojej szkole i uczennicach. Ale obwiniaj o to, proszę, nie mnie, ale nudną jednostajność życia w Limmeridge. Poza tym mam ci teraz do opowiedzenia coś rzeczywiście ciekawego o mojej nowej pupilce.

Znasz starą panią Kempe ze sklepu w wiosce. Otóż, po latach niedomagania umiera teraz powoli, gaśnie z każdym dniem. Doktor już opuścił ręce. W ostatnim tygodniu przyjechała jej jedyna krewna, siostra, aby ją pielęgnować. Przybyła aż z Hampshire. Nazywa się pani Catherick. Przed czterema dniami pani Catherick przyszła mnie odwiedzić, przyprowadzając ze sobą swe jedyne dziecko, słodką dziewczynkę, o rok mniej więcej starszą od naszej drogiej Laury”.

Kiedy czytała ostatnie słowa, panna Fairlie przeszła ponownie koło drzwi tarasu. Nuciała cicho jedną z granych niedawno przez siebie melodii. Panna Halcombe przeczekała, aż siostra zniknie jej z oczu, a potem wróciła do czytania.

— „Pani Catherick to przyzwoita, umiejąca się znaleźć

kobieta w średnim wieku; widać na niej ślady przeciętnej, zaledwie przeciętnej urody. Ale w jej zachowaniu i wyglądzie jest coś dziwnego. O sobie mówi mało, jakby to wszystko było śmiertelną tajemnicą, i ma taki wyraz twarzy — nie potrafię go opisać — jakby ją coś skrycie dręczyło. Ty nazwałbyś ją chodzącą zagadką. Do dworu jednak przywiodła ją sprawa zupełnie prosta. Opuszczając Hampshire, by pielęgnować siostrę, panią Kempe, w czasie jej ostatniej choroby, pani Catherick musiała zabrać ze sobą córeczkę, gdyż w domu nie było nikogo, kto mógłby się zaopiekować dziewczynką. Pani Kempe może umrzeć w ciągu tygodnia, ale może też gasnąć miesiącami, więc pani Catherick przyszła mnie prosić, bym pozwoliła jej córce, Ani, uczęszczać do mojej szkoły, zastrzegając jednak, że po śmierci pani Kempe wróci z małą do domu. Zgodziłam się od razu i tego samego dnia, gdy wyszłam z Laurą na spacer, przyprowadziłyśmy do szkoły dziewczynkę (ma ona jedenaście lat)".

I znowu panna Fairlie, jasna i zwiewna postać w śnieżnobiałej muślinowej sukni, z twarzą w obramowaniu białych fałd chustki, związanej pod brodą — przeszła przed nami w świetle miesiąca. I znowu panna Halcombe przeczekała, aż zniknie nam z oczu, a potem czytała dalej:

— „Ogromnie polubiłam, Filipie, moją małą uczennicę, ale powód tego chcę jeszcze na razie zachować w tajemnicy, aby sprawić ci niespodziankę. Jej matka powiedziała mi o niej równie mało, jak o sobie samej, toteż pozostało mi samej odkryć (co uczyniłam od razu pierwszego dnia, przepytując ją z lekcji), że umysł biednego dziewczątka nie jest dostatecznie na jej wiek rozwinięty. Spostrzegłszy to zabrałam ją nazajutrz do domu i zamówiłam prywatnie doktora, aby przyszedł, obejrzał ją, porozmawiał z nią i powiedział mi, co o niej sądzi. Jego zdaniem dziewczynka wyrośnie z tego. Orzekł jednak, że staranna opieka w szkole jest dla niej szczególnie ważna właśnie teraz, gdy jej niezwykła powolność w przyswajaniu sobie nowych pojęć pozwala przypuszczać, że raz przyswoiwszy je sobie zatrzyma w pamięci niezwykle długo. Ale, kochanie, nie wyobrażaj sobie czasem... taki prędko jesteś w wydawaniu

sądów!... że przywiązałam się do kretynki. Biedna mała Ania Catherick jest słodkim, uczuciowym i pełnym wdzięku stworzeniem i w najbardziej nieoczekiwanych chwilach zaskakująco a nieśmiało prawi rzeczy dziwaczne i miłe, jak sam osądzisz na przykładzie. Matka ubiera ją bardzo schludnie, ale niegustownie, i to zarówno pod względem kroju, jak i koloru sukienek. Toteż wczoraj kazałam przerobić na nią parę białych sukienek naszej kochanej Laury, tłumacząc Ani, że dziewczynki o jej karnacji wyglądają najładniej i najczystej w białym. Przez chwilę była zmieszana, zastanawiała się, potem zaczerwieniła się i zdawało mi się, że mnie zrozumiała. Pochwyciła nagle moją rękę, ucałowała ją i powiedziała (z jaką powagą!): «Zawsze będę się ubierać na biało, póki życia! To mi będzie przypominać panią, i choć będę daleko i nie zobaczę już pani, będzie mi się zdawało, że sprawiam pani przyjemność». To jeden tylko przykład tych jej dziwacznych a miłych powiedzeń. Biedactwo! Będzie miała zapas białych sukienek z szerokimi zakładkami, by je wypuścić, gdy wyrosnie".

Panna Halcombe przerwała i spojrzała na mnie przez fortepian.

— Czy ta nieszczęsna kobieta, którą spotkał pan na gościńcu, była młoda? — spytała. — Czy można by jej dać jakieś dwadzieścia dwa czy trzy lata?

— Tak, proszę pani, wyglądała młodo.

— I była dziwnie ubrana, od stóp do głów na biało?

— Tak. Od stóp do głów na biało.

Kiedy wymawiałem te słowa, panna Fairlie po raz trzeci przesunęła się przed mymi oczyma na tarasie. Lecz zamiast iść dalej, zatrzymała się, zwrócona do nas tyłem, przechyliła się przez balustradę tarasu i spojrzała w ogród. Wzrok mój padł na lśniącą w blasku księżycowym białą muślinową suknię i chustkę i ogarnęło mnie dziwne uczucie, którego nie umiem określić, uczucie, które dławilo mnie za gardło i przyspieszało bicie serca.

— Cała w bieli? — powtórzyła panna Halcombe. — Najważniejsze zdanie tego listu, panie Hartright, znajduje się

na końcu i zaraz je panu przeczytam. Ale muszę zatrzymać się trochę nad tą dziwną zbieżnością: białym ubraniem spotkanej przez pana kobiety i białymi sukienkami, które wywołały takie dziwne oświadczenie małej uczennicy mojej matki. Doktor mógł mylić się, kiedy zauważywszy niedorozwój umysłowy dziecka, orzekł, że wyrośnie z tego. Może nigdy z tego nie. wyrosła i dawno złożone z wdzięczności przyrzeczenie, że będzie ubierać się na biało, traktuje tak samo poważnie jako kobieta dojrzała, jak traktowała je będąc małą dziewczynką.

Odrzekłem jej parę słów w odpowiedzi, nie pamiętam co, bo całą moją uwagę pochłaniała lśniąca biel muslinowej sukni panny Fairlie.

— Niech pan posłucha ostatnich zdań listu — powiedziała panna Halcombe. — Myślę, że zdziwią pana.

Gdy podniosła list ku światłu świecy, panna Fairlie odwróciła się od balustrady, rozejrzała niepewnie po tarasie, postąpiła krok ku szklanym drzwiom i zatrzymała się patrząc na nas.

Tymczasem panna Halcombe czytała mi wspomniany ustęp:

— „A teraz, kochany, ponieważ już kończę list, wyjawię ci prawdziwą, zdumiewającą przyczynę mojej sympatii dla Ani Catherick. Mój drogi Filipie, choć Ania nie jest nawet przez pół tak ładna, jednak przez jeden z tych nieoczekiwanych kaprysów podobieństwa między ludźmi, jakie zdarza się czasem spotkać, jest ona żywą podobizną, w kolorze włosów, karnacji, kolorze oczu i owalu twarzy...”

Zerwałem się na równe nogi, nim panna Halcombe zdążyła przeczytać następne słowa. Przebiegł mnie zimny dreszcz, jak wtedy, gdy na pustej szosie poczułem dotknięcie czyjejś dłoni. W świetle księżycowym stała biała postać panny Fairlie: postawą, pochyleniem głowy, cerą, rysami twarzy przypominała do złudzenia, mimo odmiennych okoliczności i miejsca, kobietę w bieli. Niepewność, jaka męczyła mnie od paru godzin, błyskawicznie zamieniła się w pewność. Ów gnębiący mnie niepokój płynął stąd, że nie uświadomiłem sobie złowieszczego podobieństwa, jakie łączyło uciekinierkę z zakładu dla obłąkanych i moją uczennicę we dworze w Limmeridge.

— Pan to widzi! — zauważyła panna Halcombe. Upuściła niepotrzebny już list. Oczy jej błysnęły, gdy spojrzała na mnie.
— Pan to widzi, tak jak przed jedenastu laty widziała to moja matka!

— Tak, chociaż nie potrafię nawet wyrazić, jak jest mi to przykre. Wydaje mi się, że dostrzeganie jakiegoś związku... choćby był to tylko związek przypadkowego podobieństwa między tą nieszczęsną, samotną kobietą a panną Fairlie, rzuca mroczny cień na przyszłość tej jasnej istoty, stojącej teraz przed nami. Ach, chcę jak najprędzej zatrzeć to wrażenie w mych myślach. Niech ją pani przywoła z tego upiornego światła księżycy... niech ją pani tu przywoła, błagam panią!

— Zdumiewa mnie pan, panie Hartright! Sądziłam, że w dziewiętnastym wieku mężczyźni... jakiegokolwiek mogą być kobiety... mężczyźni stoją ponad przesadami!

— Błagam, niech ją pani tu przywoła!

— Spokojnie, spokojnie! Przychodzi tu z własnej woli. Proszę nic nie wspominać o tym przy niej. Niech odkrycie tego podobieństwa pozostanie naszą tajemnicą. Chodź do nas, Lauro, chodź i zbudź panią Vesey swą muzyką. Pan Hartright prosi, byś jeszcze pograła, a tym razem pragnie muzyki wesolej i żywej.

IX

Tak zakończył się mój pierwszy, pamiętny dzień w Limmeridge.

Oboje dochowaliśmy sekretu. Wydawało się, że poza odkryciem tego podobieństwa, mroku tajemnicy, otaczającej kobietę w bieli, nie rozjaśni już żadne światło. Panna Halcombe przy pierwszej okazji delikatnie naprowadziła rozmowę ze swoją siostrą na temat jej dzieciństwa, matki i Ani Catherick. Jednakże wspomnienia panny Fairlie o małej uczennicy szkoły w Limmeridge były bardzo ogólne i mgliste. Wspomniała, jako o fakcie z przeszłości, o podobieństwie między sobą a ulubienicą swej matki, ale nie powiedziała nic o podarowaniu jej przez panią Fairlie białych sukienek i nie przypominała

sobie osobliwych słów, jakimi nieuczone dziecko wyraziło swą wdzięczność. Wiedziała, że Ania pozostała w Limmeridge zaledwie parę miesięcy, a potem opuściła szkołę i udała się do swego domu w Hampshire. Nie mogła jednak powiedzieć, czy matka i córka wróciły tu kiedykolwiek i czy później w ogóle coś o nich słyszano. Panna Halcombe przejrzała jeszcze pozostałe listy swej matki, ale te poszukiwania w najmniejszym stopniu nie wyjaśniły dręczących nas wątpliwości. Tak więc zidentyfikowaliśmy spotkaną przeze mnie kobietę jako Annę Catherick i posunęliśmy się przynajmniej o krok naprzód, tłumacząc jej prawdopodobnym niedorozwojem umysłowym, a także niewygasłą w latach jej dojrzałości, zrodzoną w dzieciństwie wdzięcznością dla pani Fairlie — zagadkę jej szczególnego sposobu ubierania się na białe od stóp do głów. Na tym, jak sądziliśmy wówczas, skończyły się nasze odkrycia.

Upływały dni, upływały tygodnie, poprzez zieleń lata prześwitywał już wśród drzew barwny szlak pochodzący z jesieni. Szczęśliwe dni, tak spokojne, a tak szybko mijające! Moja opowieść ucieka dziś od was, tak jak wyście wtedy uciekały ode mnie. Szczodrze napełniłyście me serce bogactwem radości. A cóż teraz z tego ocalało, o czym byłby sens wspomnieć na tej karcie? Chyba o niczym, trzeba tylko uczynić wyznanie, najsmutniejsze, jakie człowiek uczynić może: przyznać się do własnego szaleństwa i głupoty...

Wyjawienie sekretu, którego to wyznanie dotyczy, nie będzie sprawą trudną, ponieważ już go pośrednio zdradziłem. Nieporadne słowa, które nie zdołały opisać czytelnikowi panny Fairlie, odsłoniły przed nim uczucia, jakie we mnie wzbudziła. Tak już jest z nami wszystkimi. Nasze słowa są olbrzymami, gdy wyrządzają nam krzywdy, a karłami, gdy oddają usługi.

Kochałem ją. Ach, w pełni znam smutek i gorycz tych dwu słów. Najwrażliwsza kobieta, która czyta to moje żalosne wyznanie, nie wzdycha nade mną z większym smutkiem niż ja sam. Najtwardszy mężczyzna, który z pogardą odrzuca od siebie te karty, nie szydzi ze mnie tak gorzko jak ja sam. Kochałem ją! Czy współczujecie mi, czy pogardzacie mną, wyznaję to z tym samym niewzruszonym postanowieniem

mówienia prawdy.

Czy nie można znaleźć żadnego wytłumaczenia dla mnie? Na pewno tłumaczyć mnie mogą warunki życia, jakie ja, płatny nauczyciel, pędziłem we dworze w Limmeridge.

Ranne godziny płynęły spokojnie w ciszy i odosobnieniu mojego gabinetu. Podklejając szkice, będące własnością mego pracodawcy, miałem miłe zatrudnienie dla oczu i palców, ale umysł pozostawał nie zajęty i pozwalał sobie na niebezpieczny luksus nie skrępowanych niczym rozmyślań. Zdradliwa to była samotność, gdyż trwała dość długo, by mnie rozmarzyć, ale zbyt krótko, by mnie zahartować. Zdradliwa samotność, gdyż następowały po niej popołudnia i wieczory, spędzane dzień po dniu i tydzień po tygodniu w wyłącznym towarzystwie dwu kobiet, z których jedna była dla mnie wcieleniem kobiecej gracji, dowcipu, rozumu i najlepszych manier, a druga posiadała w mych oczach cały czar kobiecego piękna, delikatności, szczerości i prawdy, jaki uszlachetnia i podbija serca męskie. W okresie tej niebezpiecznej poufałości, łączącej nauczyciela z uczennicą, nie minął ani jeden dzień, by ręka moja nie dotykała ręki panny Fairlie, a moja twarz, gdy pochylałem się nad jej szkicownikiem, niemal nie muskała jej twarzy. Im uważniej śledziła poruszenia mego pędzla, z tym większej bliskości wdychałem zapach jej włosów, tym bliżej czułem ciepło jej oddechu. Do obowiązków moich należało żyć w świetle jej oczu. Chwilami musiałem pochylać się nad nią tak nisko, że przebiegało mnie drżenie na myśl, że jej dotknę, czasami znów ona, chcąc lepiej widzieć, o co chodzi, tak się nade mną pochylała, że musiała ściszać głos, mówiąc do mnie, a wiatr rzucał mi w twarz wstążki jej kapelusza, nim zdołała je przytrzymać.

Wieczory, które następowały po naszych malarskich wyprawach, nie tylko nie zrywały tej niewinnej, tej nieuniknionej zażyłości, ale jeszcze ją pogłębiały. Wrodzone mi zamiłowanie do muzyki, w którą ona wkładała tyle delikatnych uczuć, tyle subtelnego kobiecego smaku, jej radość, że grając dla mnie może mi się odwdzięczyć za przyjemność, jaką jej sprawiałem, wprowadzając w tajniki sztuki malarskiej—

przędły między nami jeszcze jedną nić, wiążąc nas z sobą coraz silniej.

Wspólne" rozmowy, zwyczaje, regulujące nawet takie szczegóły naszego życia, jak miejsce każdego przy stole, nieustanne, wesole żarty panny Halcombe na temat mojej nauczycielskiej żarliwości, w których przejawiał się podziw uczennicy dla swego ' nauczyciela; sennie wyrażana pochwała ze strony tej biedaczki, pani Vesey, która niewinnie połączyła imiona nas dwojga: moje i panny Fairlie, jako dwojga młodych ludzi nie sprawiających jej nigdy kłopotu — takie i inne drobiazgi wytwarzały wokół nas domową atmosferę i wiodły nieznacznie, tak jedno, jak drugie, ku temu samemu beznadziejnemu zakończeniu.

Powiniennem był pomyśleć o swojej pozycji i mieć się skrycie na baczności. Opamiętałem się wreszcie — ale wtedy było już za późno. Cały rozsądek i całe doświadczenie, które były na moje usługi, gdy chodziło o inne kobiety, i które broniły mnie przeciw innym pokusom, teraz zawiodły. Od lat już moja praca nauczycielska wymagała równie bliskiego kontaktu z wieloma młodymi i pięknymi pannami. Przyjąłem tę pozycję jako część mego życiowego powołania, nauczyłem się "wszystkie naturalne memu wiekowi uczucia pozostawiać w hallu pracodawcy tak obojętnie, jak pozostawiałem tam swój parasol, nim udałem się na górę. Z dawna już pojąłem i uznałem za rzecz oczywistą, że moją pozycję społeczną uważano za gwarancję tego, iż nie wzbudzę w uczennicach uczuć głębszych nad zwykłe zainteresowanie. Zrozumiałem również, że pozwolono mi przebywać wśród pięknych i urzekających kobiet, podobnie jak pozwala się na to niegroźnemu domowemu zwierzątku. Wcześniej zdobyłem to doświadczenie, prowadziło mnie ono surowo i rygorystycznie moją wąską ścieżką, nie pozwalając ani razu zboczyć w prawo czy w lewo. We dworze w Limmeridge po raz pierwszy rozstałem się z tym moim wiernym talizmanem. Zdobyte z wielkim trudem panowanie nad sobą utraciłem tak zupełnie, jak gdybym go nigdy nie posiadał, tak zupełnie, jak każdego dnia tracą go inni mężczyźni w innych krytycznych sytuacjach, gdy w grę wchodzi

kobieta. Teraz wiem, że od początku winienem był czuwać. Winienem był zastanowić się, dlaczego każdy pokój, do którego weszła, stawał się dla mnie moim własnym domem, a gdy go opuściła — pustynią, dlaczego zawsze spostrzegłem i pamiętałem każdą drobną zmianę w jej stroju, choć nie zauważałem tego u innych kobiet; dlaczego patrząc na nią, słuchając jej lub dotykając— gdy rano i wieczór podawaliśmy sobie ręce na powitanie i pożegnanie — czułem coś, czego nigdy nie odczuwałem w analogicznej sytuacji z inną kobietą. Powinienem był spojrzeć w swoje własne serce i ujrawszy tam krzewiącą się roślinkę wyrwać ją, póki mała. Dlaczego. dopełnienie tego najłatwiejszego i. najprostszego nakazu sztuki panowania nad sobą przewyższało wówczas, moje siły? Dwa słowa, w których zawarłem swe wyznanie, tłumacząc to jasno. Kochałem ją. Dni mijały, mijały tygodnie, zbliżał się trzeci miesiąc mojego pobytu w Limmeridge. Żyjąc w tym zacisznym odosobnieniu dałem się unieść monotonnemu nurtowi szczęśliwych dni, tak jak pływak daje się unieść spokojnemu prądowi rzeki. Wszelkie wspomnienia przeszłości, wszelka myśl o przyszłości, poczucie mojej fałszywej i beznadziejnej sytuacji — leżały zwodniczo uśpione. Ukołysany syrenią pieśnią, którą śpiewało mi własne serce, ślepy i głuchy na jakikolwiek znak niebezpieczeństwa, podpływałem coraz bliżej do groźnych skał. Ostrzeżenie, które wreszcie wstrząsnęło mną budząc nagle poczucie winy i słabości, przyszło cichutko od niej: znak najłagodniejszy, najoczywistszy i niezaprzeczalny. Pewnego wieczoru rozstaliśmy się jak zwykle. Ani wtedy, ani kiedykolwiek przedtem z ust moich nie padło jedno słowo, którym bym zdradził swe uczucia lub niespodzianie dał jej poznać prawdę. Lecz kiedy rano spotkaliśmy się znowu, zauważyłem w niej zmianę — i wtedy zrozumiałem wszystko. Wzdragąłem się wtedy — wzdragam się teraz przed wtargnięciem do sanktuarium jej serca, przed ukazaniem go oczom innych, tak jak ukazałem głębię własnego. Niechaj wystarczy, gdy powiem, iż — wierzę głęboko!— odkrywając moją tajemnicę odkryła jednocześnie tajemnicę własnych uczuć i że stało się to wtedy, gdy w ciągu jednej nocy zmieniła

swój stosunek do mnie. Kiedy obawy, które zdołałem uśpić, po raz pierwszy legły dręczącym ciężarem na jej sercu, wtedy jej prawdomówna twarz to wyznała, mówiąc swym własnym prostym a szczerym językiem: przykro mi za niego, przykro mi za siebie.

Wyraziła to i coś jeszcze, czego wówczas nie mogłem sobie wytłumaczyć. Zrozumiałem aż nazbyt dobrze, co znaczyła zmiana jej zachowania, dlaczego w obecności innych z jeszcze większą uprzejmością i gotowością odgadywała wszystkie moje życzenia, a kiedy zdarzało się, że zostawaliśmy sami, opanowywało ją skrępowanie i smutek i nerwowo szukała jakiegokolwiek zajęcia. Zrozumiałem, dlaczego słodkie, delikatne wargi uśmiechały się tak rzadko i z takim przymusem, dlaczego jasne, niebieskie oczy spoglądały na mnie czasem z litością anioła, a czasem z niewinnym zakłopotaniem dziecka. Ale to nie było wszystko. Jej dłoń stała się chłodna, twarz nienaturalnie opanowana, pełna obaw i udręki. To nie były uczucia, które, choć nie wyznane, przeżywaliśmy razem, których źródło biło w moim i w jej sercu. Zmieniła się, a w tej jej zmianie było coś, co nas tajemnie nadal ciągnęło ku sobie, lecz jednocześnie było i coś, co równie niewytłumaczalnie i skrycie nas od siebie oddalało.

W zwątpieniu i niepokoju, czując, że kryje się za tym coś, co poznać muszę własnym wysiłkiem, szukając jakiejś wskazówki zacząłem się bacznie przyglądać pannie Halcombe i obserwować jej zachowanie. Ponieważ żyliśmy ze sobą blisko, w żadnym z nas nie mogła zajść poważniejsza zmiana, która by się nie odbiła na drugim. Zmiana w pannie Fairlie wpłynęła na zachowanie jej siostry. Chociaż panna Halcombe ani jednym słowem nie zdradziła, że jej uczucia do mnie się zmieniły, jej przenikliwe oczy nabyły nowego zwyczaju, by nieustannie mnie obserwować. Czasami w jej wzroku malował się tłumiony gniew, czasem tłumiona obawa, czasem coś, czego nie mogłem określić ni pojąć. Upłynął tydzień, a my troje nadal znajdowaliśmy się w stanie wzajemnej nieufności i skrępowania. Sytuacja moja stawała się nie do zniesienia, tym bardziej iż pogarszała ją jeszcze zbyt późno obudzona

świadomość, że okazałem słabość i brak panowania nad sobą, i czułem, że natychmiast i na zawsze muszę zrzucić z siebie gniotący mnie ciężar, ale zupełnie nie wiedziałem, co zrobić, co powiedzieć.

Z tej beznadziejnej i poniżającej sytuacji wyrwała mnie panna Halcombe. Jej wargi wyjawily mi gorzką i nieoczekiwaną prawdę, którą musiałem poznać, jej serdeczna dobroć podtrzymała mnie, gdy zachwiałem się pod tym ciosem, jej rozum i odwaga sprawily, że wydarzenie, grożące najgorszymi konsekwencjami mnie i wszystkim w Limmeridge, zostało skierowane na właściwe tory.

X

Stało się to w czwartek, pod koniec trzeciego miesiąca mego pobytu w Limmeridge.

Kiedy rano, o zwykłej godzinie, zszedłem na śniadanie, nie zastałem przy stole panny Halcombe, a zdarzyło się to po raz pierwszy, odkąd ją poznałem.

Panna Fairlie przechadzała się w ogrodzie. Odkłoniła mi się, ale nie weszła do pokoju. Ani z moich, ani z jej ust nie padło dotąd bodaj jedno słowo, które mogłoby wprawić nas w zakłopotanie, a jednak oboje czuliśmy się skrepowani i unikaliśmy spotkania sam na sam. Czekala na trawniku, a ja czekałem w pokoju na nadejście pani Vesey lub panny Halcombe. A przecież jeszcze przed dwoma tygodniami żywo pośpieszyłbym ku niej, uścisnęlibyśmy sobie serdecznie ręce i niezwłocznie zatopili się w rozmowie.

Po paru minutach zjawila się panna Halcombe. Wydawała się czymś przejęta. Z pewnym roztargnieniem przeprosila za opóźnienie.

- Zatrzymał mnie pan Fairlie - powiedziała. - Chciał omówić ze mną pewną sprawę rodzinną.

Panna Fairlie wróciła z ogrodu i wymieniliśmy nasze zwykłe poranne powitanie. Miała rękę zimniejszą niż zazwyczaj. Nie patrzyła na mnie. Była bardzo blada, co zauważyła nawet pani Vesey, gdy w chwilę potem weszła do jadalni.

- To zapewne z powodu zmiany pogody - zawyrokowała stara dama. - Zima nadchodzi. Och, kochana moja, już wkrótce nadejdzie zima!

Do naszych serc już nadeszła.

Śniadanie - przy którym dawniej tak miło rozprawialiśmy o całodziennych planach - zjedliśmy szybko i w milczeniu. Wydało mi się, że pannie Fairlie ciążyą długie przerwy w naszej konwersacji i że spogląda na siostrę błagając ją spojrzeniem, by te luki wypełniła. Panna Halcombe urwała dwukrotnie w pół słowa, co zupełnie nie było w jej zwyczaju, a wreszcie rzekła:

- Lauro, widziałam się dziś rano z twoim stryjem. On sądzi, że trzeba przygotować purpurowy pokój, i potwierdza to, co ci mówiłam. Ale w poniedziałek, nie we wtorek.

Panna Fairlie słuchała tych słów utkwivszy wzrok w stole. Jej palce nerwowo bawiły się leżącymi na obrusie okruszkami. Bładość z jej policzków spłynęła aż na wargi, które drżały w sposób widoczny. Nie ja jeden to zauważyłem. Spostrzegła to także panna Halcombe i natychmiast dała hasło do wstania od stołu.

Panna Fairlie wyszła z jadalni razem z panią Vesey. Przez chwilę łagodne niebieskie oczy patrzyły na mnie ze smutkiem, jak gdyby w przeczuciu, że wkrótce już będziemy musieli pożegnać się na długo. Ból przeszył mi serce i nie mogłem się opędzić myśli, że niebawem ją utracę, a. przez tę utratę pokocham jeszcze gorzej.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, skierowałem się w stronę ogrodu. Przy oszklonych drzwiach stała panna Halcombe, z kapeluszem w ręku, z szalem przerzuconym przez ramię.

- Czy miałby pan dla mnie chwilę czasu rzekła - nim zaczniesz pan pracować w swym gabinecie?

- Oczywiście, panno Halcombe. Mój czas jest zawsze do pani dyspozycji - odrzekłem.

- Chciałabym powiedzieć panu parę słów w cztery oczy, panie Hartright. Proszę wziąć kapelusz i pójść ze mną do ogrodu. O tej rannej godzinie chyba nikt nam nie przeszkodzi.

Gdy byliśmy na trawniku, przeszedł koło nas jeden z pomocników ogrodnika, trzymając list w ręku. Panna

Halcombe zatrzymała go.

- Czy to list do mnie? - spytała.

- Nie, proszę pani, powiedziano mi, że do panny Fairlie - odrzekł chłopak wyciągając list.

Panna Halcombe wzięła list i spojrzała na adres.

- Dziwne pismo. Któż to może pisać do Laury? - rzekła do siebie, a potem zwróciła się do chłopaka: - Skąd masz ten list?

- Proszę pani - odrzekł wyrostek - dała mi go jakaś kobieta.

- Co za kobieta?

- Kobieta dźwigająca już wiele krzyżyków.

- Aha, stara kobieta. Czy ją znasz?

- Nie byłoby prawdą, gdybym powiedział, że ją choć raz widziałem.

- Dokąd poszła?

- Tędy - odparł chłopak, z głębokim namysłem zwracając się ku południowi i obejmując połowę Anglii jednym szerokim gestem.

- Dziwne - zauważyła panna Halcombe. - Przypuszczam, że to list z prośbą o wsparcie. A więc - dodała wręczając go chłopakowi - zanieś go do domu i oddaj komuś ze służby. A teraz, panie Hartright, jeśli nie ma pan nic przeciw temu, chodźmy.

Poprowadziła mnie przez trawnik, tą samą ścieżką, po której szedłem za nią pierwszego dnia po moim przyjeździe.

Koło pawilonu letniego, w którym Laura Fairlie i ja ujrzeliśmy się po raz pierwszy, zatrzymała się i przerwała milczenie, trwające przez całą drogę.

- To, co mam panu powiedzieć, mogę powiedzieć tutaj - oznajmiła.

Z tymi słowy weszła do pawilonu, zajęła jedno z krzeseł stojących koło okrągłego stoliczka i skinęła na mnie, abym zajął drugie. Domyślałem się, jaki będzie temat naszej rozmowy, gdy zwróciła się do mnie w jadalni. Teraz wiedziałem już na pewno.

- Panie Hartright - zagaiła. - Chcę zacząć od szczerego wyznania panu, co o nim myślę. Chcę powiedzieć, bez frazeologii, której nie cierpię, i bez prawienia komplementów, czym gardzę, że w czasie swego pobytu u nas wzbudził pan we

mnie szczere uczucie przyjaźni. Moja sympatia dla pana powstała wtedy, gdy mi pan opowiedział o swoim postępowaniu wobec nieszczęśliwej kobiety, spotkanej w tak osobliwych okolicznościach. Pana podejście może nie było rozsądne, ale świadczyło o panowaniu nad sobą, delikatności i współczuciu, o tym, że jest pan dżentelmenem. Dzięki temu spodziewałam się po panu wiele dobrego i pan nie zawiódł moich oczekiwań.

Przerwała, ale podniosła w górę rękę na znak, że będzie mówić dalej i na razie nie chce, bym odpowiadał. Kiedy wchodziłem do pawilonu, daleką była mi myśl o kobiecie w bieli. Lecz teraz słowa panny Halcombe odświeżyły w mej pamięci obraz tej przygody. Pamiętałem o niej podczas całej rozmowy - i nienadaremnie.

- Jako pana przyjaciel - ciągnęła - powiem panu bez osłonek, prosto z mostu, jak mówię zawsze, że odkryłam pana tajemnicę. Bez niczyjej pomocy, bez niczyich słów, proszę o tym pamiętać. Panie Hartright, był pan na tyle nierozważny, że pozwolił pan na to, by rozwinęło się w pana sercu uczucie... obawiam się, że szczere i głębokie... do mojej siostry, Laury. Nie będę zadawać panu bólu i żądać wyznania tego, ponieważ widzę to i wiem, że jest pan zbyt uczciwy, aby zaprzeczyć. Nawet nie winie pana, współczuję panu z powodu beznadziejności tego uczucia... Nie próbował pan nigdy wykorzystywać nadarzających się okazji, nie prowadził pan skrytych rozmów z mą siostrą. Pana wina to tylko słabość i brak dbałości o własne interesa - ale nic więcej. Gdyby pan choć w jednym wypadku postąpił z mniejszą delikatnością i skromnością, kazałabym panu opuścić nasz dom natychmiast, bez słowa wyjaśnienia. Ponieważ tak jest, jak jest, winie pana młode lata i pana pozycję - ale nie winie pana samego. Proszę mi podać rękę... Zadałam panu ból i zadam jeszcze większy, ale na to nie ma rady. Niech pan wpierw uściśnie rękę pańskiej przyjaciółki, Marianny Halcombe..

Zwróciła się do mnie z taką serdeczną, wielkoduszną sympatią, jak do równego sobie, odwołała się wprost do mego serca, honoru i odwagi w sposób tak subtelny, że jej

niespodziewana dobroć podbiła mnie w jednej chwili. Chciałem spojrzeć na nią, gdy podawałem jej rękę, ale oczy moje wypełniły się łzami. Chciałem jej podziękować, ale głos uwiązł mi w gardle.

- Niech mnie pan posłucha - mówiła, taktownie nie zwracając uwagi na mój brak opanowania. - Niech mnie pan posłucha - i miejmy już to poza sobą. Jest dla mnie prawdziwą ulgą, że mówiąc o tym nie muszę poruszać sprawy.... sprawy w moim mniemaniu ciężkiej, okrutnej wprost - mianowicie nierówności społecznej. Nie będę zmuszona uciekać się do upokarzających aluzji na temat majątku i pozycji w rozmowie z człowiekiem, który przebywał pod jednym dachem ze mną i pozostawał w przyjaznych stosunkach. Okoliczność, która pozwoli mi uniknąć tej przykrości, dotknie pana do żywego. Musi pan opuścić dwór w Limmeridge, panie Hartright, nim sprawy posuną się dalej. Moim obowiązkiem jest powiedzieć to panu. Również moim obowiązkiem, płynącym z tego samego poczucia twardej konieczności, byłoby powiedzenie panu tego nawet wtedy, gdyby pan był przedstawicielem najstarszej i najbogatszej rodziny w Anglii. Musi pan nas opuścić nie dlatego, że jest pan nauczycielem rysunków...

Zawahała się przez chwilę, zwróciła się wprost ku mnie i wyciągnawszy rękę przez stół, położyła ją na moim ramieniu.

- Nie dlatego, że jest pan nauczycielem rysunków, ale dlatego, że Laura Fairlie jest zaręczona.

Ostatnie słowo przeszło me serce jak strzała. Nie czułem wcale leżącej na mym ramieniu dłoni panny Halcombe. Nie poruszyłem się i nic nie powiedziałem. Przejął mnie z nagłą chłód jesiennego wiatru, szarpiącego zwiędłe liście u mych stóp, jak gdyby moje szalone nadzieje były również zwiędłymi liśćmi, wirującymi z wiatrem. Nadzieje! Zaręczona czy nie zaręczona, Laura była dla mnie jednak stracona. Czy inny mężczyzna na moim miejscu pamiętałby o tym? Na pewno nie, jeśli by kochał tak jak ja.

Paroksyzm bólu przeszedł, pozostało tylko tępe odrętwienie. Teraz już czułem rękę panny Halcombe na mym ramieniu. Podniosłem, głowę i spojrzałem na nią. Jej wielkie, czarne oczy

wpatrywały się we mnie, obserwując bladość mej twarzy, którą ja czułem, a ona widziała.

- Niechaj pan zdławi to uczucie! - powiedziała. - Tutaj, gdzie ją pan po raz pierwszy ujrzał, niechaj pan zdławi to uczucie! Niechaj nie załamuje się pan pod nim jak kobieta! Niech je pan wyrzuci z serca i zdepcze, jak mężczyźnie przystało!

Tłumiona gwałtowność, z jaką przemawiała do mnie, siła jej woli, skoncentrowana w utkwionym we mnie spojrzeniu i mocnym ujęciu mego ramienia - przemówiły, uspokoiły mnie. Czekaliśmy przez chwilę w milczeniu. Wreszcie okazałem się godny pokładanego we mnie zaufania i, zewnątrznie przynajmniej, opanowałem się.

- Czy przyszedł już pan do siebie?

- Tak, panno Halcombe, przynajmniej na tyle, by prosić o przebaczenie panią i ją. Na tyle, by przyjąć pani radę, i w ten przynajmniej sposób... skoro nie mogą inaczej... okazać moją wdzięczność...

- Już ją pan okazał tymi słowami - odrzekła. - Panie Hartright, skończyła się nieufność między nami. Nie mogę ukrywać przed panem, co nieświadomie zdradziła mi siostra. Musi pan wyjechać stąd ze względu na nią tak samo, jak ze względu na siebie. Obecność pana tutaj - przyjacielskie stosunki z nami - choć Bóg świadkiem, jak niewinne pod każdym innym względem - wytrąciły ją z równowagi i uczyniły nieszczęśliwą. Kocham ją nad własne życie i wierzę w tę czystą, szlachetną istotę tak, jak wierzę w prawdy swej religii, toteż pojmuję aż nadto dobrze skrytą mękę wyrzutów, którymi zadręcza się od pierwszej chwili, gdy spostrzegła, że do jej serca wkradł się pierwszy cień uczuć nielojalnych wobec zamierzonego małżeństwa. Nie twierdzę... bez sensu byłoby tak twierdzić po tym, co zaszło... że te zaręczyny wypłynęły z jej głębokich uczuć. To sprawa honoru, a nie miłości: zaręczyn tych dokonał jej ojciec na łożu śmierci, dwa lata temu, a ona ani do nich nie dążyła, ani nie protestowała przeciw nim, przyjęła je bez niezadowolenia. Do przyjazdu pana sytuacja jej była taka sama, jak setek innych kobiet, wychodzących za mąż za mężczyzn, którzy ani ich specjalnie nie pociągają, ani nie

odpychają. Te kobiety po ślubie, a nie przed ślubem, zaczynają kochać swych mężów... o ile ich nie znienawidzą! Nie potrafię wyrazić, jak gorąco pragnę... a i pan powinien zdobyć się na tyle altruizmu i hartu ducha, by tego pragnąć... by okazało się, że nowe myśli i uczucia nie zakorzeniły się zbyt głęboko i dadzą się wyrwać z jej serca. Nieobecność pana wesprze moje wysiłki, a czas pomoże nam trojgu. Nie mówiłabym tego panu, gdybym nie wierzyła w pański honor, pańską odwagę, pański rozsądek. Ale przecież pamiętam, że nie zawiodłam się na panu, darząc go od pierwszej chwili zaufaniem. Mogę chyba liczyć na to, że w stosunku do swej uczennicy, o której pozycji miał pan nieszczęście zapomnieć, zachowa się pan z nie mniejszym poczuciem honoru, z nie mniejszym rozsądkiem i nie mniej po męsku niż w stosunku do nieznajomej, wyrzuconej za nawias społeczeństwa kobiety, która się nie zawiodła szukając pomocy u pana.

I znowu przypadkowa wzmianka o kobiecie w bieli! Czyż doprawdy nie można mówić o pannie Fairlie i o mnie bez wspomnienia Anny Catherick, bez stawiania jej między nas, jak gdyby tak chciało nieodwołalnie zrządzenie losu?

- Niech mi pani poradzi, co mam powiedzieć panu Fairlie zrywając umowę - rzekłem. - A gdy przyjmie moje usprawiedliwienie, kiedy mam wyjechać? Będę bezwzględnie posłuszny pani radom.

- Czas jest sprawą ważną - odrzekła. - Słyszał pan, jak przy śniadaniu wspominałam o następnym poniedziałku i o tym, że trzeba przygotować purpurowy pokój. Gościem, którego oczekujemy w poniedziałek...

Nie byłem w stanie czekać, aż to powie. Teraz, kiedy już tyle wiedziałem, wspomnienie twarzy panny Fairlie i jej zachowania przy śniadaniu, powiedziało mi, że oczekiwanym w Limmeridge gościem jest jej przyszły mąż. Próbowałem się opanować, ale w tej chwili odezwało się we mnie coś silniejszego od mojej woli i przerwałem pannie Halcombe.

- Niech mi pani pozwoli odjechać dzisiaj - powiedziałem z goryczą. - Im prędzej, tym lepiej.

- Nie, nie dzisiaj - odrzekła. - Chcąc wyjechać przed

terminem, jeden tylko powód podać pan może panu Fairlie: jakaś nieprzewidziana okoliczność zmusza pana do natychmiastowego powrotu do Londynu. Musi pan poczekać do jutra, aby mu to powiedzieć po nadejściu poczty, gdyż wtedy nagle zmiana pańskich planów stanie się zrozumiała dla niego, skojarzy ją bowiem z otrzymaniem listu z Londynu. Przykro mi bardzo poniżać się do oszustw, nawet tak zupełnie nieszkodliwych, znam jednak pana Fairlie i wiem, że jeśli powstanie w nim podejrzenie, że go pan lekceważy, nie zgodzi się na wcześniejszy wyjazd. Niech pan z nim porozmawia w piątek rano, a potem zajmie się swą nie ukończoną pracą i pozostawi ją - ze względu na dobre stosunki ze swym pracodawcą - w jak najlepszym porządku. Wyjedzie pan stąd w sobotę rano. Będzie to w samą porę, panie Hartright, tak ze względu na nas, jak i na pana.

Nim zdążyłem ją zapewnić, że zastosuję się ściśle do jej wskazówek, oboje z niepokojem posłyszeliśmy czyjeś spieszne kroki w zakrzewionej części ogrodu. Ktoś szybko nadchodził od strony domu, szukając nas! Poczulem, że czerwienieję i blednę. Czy to możliwe, by osobą, która w tym właśnie momencie szła ku nam, była panna Fairlie?

Ulgą dla mnie było... tak beznadziejnie zmieniła się moja sytuacją w stosunku do niej!... było dla mnie zdecydowaną ulgą, gdy osoba, która nam przeszkodziła, okazała się tylko pokojówką panny Fairlie.

- Czy mogę panią przeprosić na chwilę, proszę pani? - spytała trochę niespokojnie dziewczyna.

Panna Halcombe zeszała ze stopni pawilonu między krzewy i oddaliła się wraz z dziewczyną parę kroków.

Gdy pozostałem sam, z udręką, której opisać nie potrafię, zacząłem myśleć o zbliżającym się wyjeździe do mego pustego mieszkania w Londynie, do samotności i rozpacz. Powróciły do mnie - jak wierni, choć smutni, zapomniani przyjaciele - myśli, którymi dawno już nie zaprzętałem sobie głowy, co uprzytomniłem sobie dopiero teraz, z głębokim wstydem i skruchą. Powróciły myśli o mojej dobrej matce i siostrze, które tak się cieszyły z moich spodziewanych sukcesów w

Limmeridge. Jakiż ból im sprawię, gdy zerwawszy umowę stanę przed nimi, wyznam im swoją nieszczęsną tajemnicę. Im, które ostatniego szczęśliwego wieczoru w Hampstead żegnały mnie pełne nadziei!

I znowu. Anna Catherick! Nawet wspomnienie pożegnalnego wieczoru u matki i siostry nie może zjawić się samo, lecz wskrzesza obraz powrotnej drogi do Londynu w poświacie księżycowej. Co to znaczy? Czyżbym miał jeszcze kiedy spotkać tę kobietę? To nie jest nieprawdopodobne. Czy wie, że mieszkam w Londynie? Tak, powiedziałem jej to przecież sam, nim zadała to dziwne pytanie... czy też może już po jej pełnym podejrzliwości pytaniu, czy znam wiele baronetów. Albo przedtem, albo potem - zbyt byłem wzburzony, aby to sobie przypomnieć.

Upłynęło kilka minut, nim panna Halcombe odprawiła służącą i wróciła do mnie. Ona też wydawała się zmieszana i niespokojna.

- Ułożyliśmy więc wszystko, co potrzeba, panie Hartright - powiedziała. - Zrozumieliśmy się nawzajem, jak przyjaciółom przystało, więc możemy już wracać do domu. Mówiąc prawdę, jestem niespokojna o Laurę. Przysłała pokojówkę z prośbą, bym się zaraz z nią zobaczyła, a dziewczyna powiedziała, że jej pani jest bardzo poruszona otrzymanym przed chwilą listem, bez wątpienia tym samym, który kazałam odnieść do domu, kiedyśmy tu szli.

Pośpiesznie wracaliśmy ścieżką wśród krzaków. Chociaż panna Halcombe oznajmiła mi już wszystko, co uznała za konieczne, ja nie powiedziałem wszystkiego, co powiedzieć chciałem. Od chwili, gdy domyśliłem się, że oczekiwanym w Limmeridge gościem jest przyszły mąż panny Fairlie, czułem gorzką ciekawość, pełne palącej zazdrości pragnienie dowiedzenia się, kto to taki. Ponowna okazja do postawienia tego pytania mogła się nie nadarzyć, dlatego też odważyłem się zapytać o to w drodze do dworu.

- Skoro była pani tak dobra, panno Halcombe, by stwierdzić, że się rozumiemy nawzajem - rzekłem - skoro zapewniłem panią, że wdzięczny jej jestem i zastosuję się do pani poleceń,

niechaj będzie mi wolno zapytać, kim... - urwałem, bo chociaż mogłem się zmusić do myślenia o nim jako o przyszłym mężu panny Fairlie, o wiele trudniej było mi tak go nazwać głośno - kim jest ów dżentelmen, zaręczony z panną Fairlie?

Najwidoczniej pochłonięta była myślą o prośbie siostry i odpowiedziała pośpiesznie, w roztargnieniu:

- Bogaty właściciel z Hampshire.

Hampshire! Rodzinne strony Anna Catherick! Wciąż i wciąż kobieta w bieli. Tkwił w tym jakiś fatalizm.

- A jak brzmi jego nazwisko? - zapytałem najspokojniej i najobojętniej, jak mogłem.

- Sir Parsival Glyde.

Sir! Sir Parsival! Na chwilę przed powrotem panny Halcombe przyszło mi na myśl pytanie Anny Catherick, to podejrzliwe pytanie, czy nie znam jakichś baronetów, a teraz znów ta odpowiedź przywodzi mi je na pamięć. Zatrzymałem się gwałtownie i spojrzałem na pannę Halcombe.

- Sir Parsival Glyde - powtórzyła sądząc, że nie dosłyszałem jej poprzedniej odpowiedzi.

- Knight czy baronet? - spytałem, niezdolny już ukryć podniecenia.

Milczała przez chwilę, a potem, odparła chłodno:

- Baronet, oczywiście.

XI

Wracając do dworu żadne z nas nie powiedziało już ani słowa więcej. Panna Halcombe od razu pospieszyła do pokoju siostry, a ja udałem się do swego gabinetu, aby wszystkie rysunki z kolekcji pana Fairlie, których nie zdążyłem podkleić i odrestaurować, doprowadzić do porządku, nim powierzone zostaną komu innemu. Kiedy pozostałem sam, obiegły mnie myśli, którym się dotychczas opierałem, a które czyniły moją sytuację wprost nie do zniesienia.

Była więc zaręczona, a mężem jej miał zostać sir Parsival Glyde, właściciel ziemski z Hampshire, mający tytuł baroneta.

W Anglii były setki baronetów, w Hampshire dziesiątki

właściciele ziemskich, a więc rozumując normalnie nie miałem, jak dotychczas, nawet cienia powodu, by doszukiwać się związku między podejrzliwym pytaniem, jakie postawiła mi kobieta w bieli, a osobą sir Parsivala Glyde. A jednak go się doszukiwałem. Czy działo się to dlatego, że łączył się w mych myślach z panną Fairlie, a ona z kolei, od owego wieczoru, gdy wykryłem złowieszcze podobieństwo między nią a Anną Catherick, kojarzyła mi się z tamtą kobietą? Czy też poranne wydarzenia tak mnie wytrąciły z równowagi, że zdany byłem na łaskę każdego złudzenia, które przypadek, prosty zbieg okoliczności, zbudził w mej wyobraźni? Nie potrafiłem tego powiedzieć, czułem tylko, że niezwykle mną wstrząsnęło to, czego dowiedziałem się od panny Halcombe wracając z pawilonu. Nie mogłem wyzwolić się z przygnębiającego wrażenia, że w mroku nieodgadłej przyszłości czyha na nas tajemne niebezpieczeństwo. Opanowywało mnie coraz silniej przeczucie, że zostałem wpleciony w łańcuch wydarzeń, z którego wyplatać mnie nie zdoła nawet nadchodzący wyjazd z Cumberland. Coraz bardziej dręczyła mnie myśl, że koniec tej historii okaże się zupełnie inny, niż ktokolwiek z nas przewiduje. Nawet dotkliwy ból, że oto tak nieszczęśliwie kończy się moja krótka, zuchwała miłość - nawet ten ból zdawała się głuszyć i przytępiać jeszcze odeń silniejsza obawa przed czymś strasznym a nieznanym, co nieuchronnie nam zagraża, a co dopiero czas pokaże.

Zajęty byłem rysunkami niewiele więcej niż pół godziny, gdy usłyszałem pukanie do drzwi. Powiedziałem: „Proszę!”, drzwi się otworzyły i ku memu zdumieniu do pokoju weszła panna Halcombe.

Zachowanie jej zdradzało gniew i podniecenie. Chwyciła krzesło, nim je zdążyłem przysunąć, i usiadła tuż przy mnie.

- Panie Hartright - rzekła - sądziłam, że wyczerpaliśmy już wszystkie bolesne tematy, jakie mieliśmy omówić, przynajmniej w dniu dzisiejszym. Ale jest inaczej. Jakiś niegodziwiec chce podstępnie odstraszyć moją siostrę od zamierzonego małżeństwa. Pamięta pan pewno, jak odsyłałam do dworu ogrodniczka z listem do mojej siostry, adresowanym

nieznaną ręką?

- Oczywiście.

- To był list anonimowy, podła próba popsucia opinii sir Parsivala w oczach mojej siostry. Ten list tak Laure zdenerwował i zaniepokoił, że z największą trudnością udało mi się uspokoić ją na tyle, że mogłam zostawić ją samą w pokoju i przyjść tutaj. Wiem, że jest to sprawa rodzinna, że nie powinnam radzić się pana, gdyż to pana nie dotyczy i nie interesuje...

- Bardzo przepraszam, panno Halcombe. Interesuje mnie jak najbardziej wszystko, co dotyczy szczęścia panny Fairlie lub pani.

- Przyjemnie mi, to słyszeć. Pan jest jedyną osobą, we Eworze czy poza dworem, której mogę się poradzić. Nie do pomyślenia jest, by radzić się pana Fairlie, w jego stanie zdrowia i z jego panicznym lękiem przed jakąkolwiek tajemnicą lub trudnością. Pastor jest dobrym, ale ograniczonym człowiekiem, który nie wychodzi poza rutynę codziennych swych obowiązków, a nasi sąsiedzi to taki rodzaj wygodnych i powolnych znajomych, do których nie można się odwołać w razie kłopotów i niebezpieczeństw. Chciałabym wiedzieć, czy powinnam od razu podjąć wszelkie możliwe kroki, aby znaleźć autora listu? Czy też należy poczekać do jutra na doradcę prawnego pana Fairlie? To kwestia - możliwe, że bardzo ważna - zyskania lub stracenia całego dnia; Proszę mi powiedzieć, co pan sądzi, panie Hartright? Gdyby konieczność nie zmusiła mnie, abym zwróciła się do pana w sprawie bardzo delikatnej natury, to zapewne nie usprawiedliwiłaby mnie nawet moja bezradność. Ale tak, jak się rzeczy mają, po tym wszystkim, co sobie powiedzieliśmy, na pewno nie postępuję niewłaściwie, zapominając, że przyjaźń nasza datuje się zaledwie od trzech miesięcy.

Podła mi list. Zaczynał się w sposób zaskakujący, bez nagłówka, jak następuje:

„Czy wierzy pani w sny? Mam nadzieję, że względu na pani dobro, że pani wierzy. Niech pani zobaczy, co mówi Pismo Święte o snach i o ich spełnianiu się (Genezis, I, ; Ks. Daniela

IV, -), i posłucha mojego ostrzeżenia, póki nie jest za późno.

Śniła mi się pani ostatniej nocy, panno Fairlie. Śniło mi się, że stałam w prezbiterium w kościele. Ja stałam po jednej stronie ołtarza, a ksiądz w komży, z modlitewnikiem, stał po drugiej stronie ołtarza.

Po chwili ujrzałam w głównej nawie kościoła mężczyznę i kobietę, którzy szli ku ołtarzowi. Mieli być poślubieni. Pani była tą kobietą. Wyglądała pani tak ładnie i niewinnie w pięknej białej sukni z jedwabiu, w długim białym welonie z koronki, że serce moje wzruszył ten widok i łzy napłynęły mi do oczu.

Były to łzy litości, której niebo błogosławi, moja młoda pani. Ale zamiast popłynąć z mych oczu, jak normalne łzy, które wszyscy lejemy, zamieniły się w dwa promienie światła, coraz dłuższe i dłuższe, i skierowały się ku mężczyźnie stojącemu przed ołtarzem. Te dwa promienie połączyły mnie i tego mężczyznę dwoma łukami, podobnymi do tęczy. Spojrzałam przez te promienie i zobaczyłam najskrytszą głąb jego serca.

Zewnętrznie człowiek, którego miała pani poślubić, prezentował się zupełnie dobrze. Nie był ani wysoki, ani niski, wzrostu odrobinę mniej niż średniego. Wyglądał na człowieka światłego, wesołego i energicznego, lat około czterdziestu pięciu. Miał bladą twarz, czarne włosy, łysinę nad czołem. Brodę golił, ale nosił piękne, ciemnokasztanowate bokobrody i wąsy. Oczy miał też piwne i bardzo błyszczące, nos prosty, ładny a tak delikatny, że mógłby być nosem kobiety. Tak samo i ręce. Od czasu do czasu zanosił się suchym, szarpiącym kaszlem, a kiedy przy tym zasłaniał sobie usta prawą ręką, widać na niej było czerwoną bliznę po dawnej ranie. Czy śnił mi się właściwy człowiek? Pani wie najlepiej, panno Fairlie, i może pani osądzić, czy sen mnie zwodził, czy mówił prawdę. Niech pani czyta dalej, co zobaczyłam pod tą zewnętrzną powłoką, błagam, niech pani przeczyta i skorzysta z tego.

Spojrzałam wzdłuż tych promieni światła i zobaczyłam najskrytszą głąb jego serca. Było czarne jak noc i ujrzałam na nim napis z czerwonych płonących liter, które są pismem upadłego anioła: »Nie zna litości ani wyrzutów sumienia.

Posiał nieszczęście na ścieżkach życia innych ludzi i posieje nieszczęście na drodze życia kobiety, która stoi u jego boku«. Przeczytałam to, a wtedy promienie światła drgnęły i padły na jego ramiona, a za nim stał diabeł i śmiał się. Wtenczas promienie drgnęły i ponów

nie przesunęły się na ramiona pani. Zobaczyłam za panią anioła, który płakał. Wtedy promienie drgnęły po raz trzeci i padły między panią a niego. Oddalały się coraz bardziej od siebie, odsuwając was jedno od drugiego. A pastor daremnie szukał w modlitewniku słów zaślubin. Znikły z książki, więc zamknął ją i odłożył na bok w rozpacz. A ja obudziłam się z oczyma pełnymi łez i z bijącym sercem,. ponieważ wierzę w sny.

Niech i pani w nie uwierzy, panno Fairlie, dla własnego dobra, błagam panią. Józef i Daniel, i inne osoby w Piśmie Świętym wierzyły w sny. Niech pani dobrze zbada przeszłość człowieka z blizną na rękę, zanim wypowie pani słowa, które uczynią panią jego nieszczęśliwą żoną. Ostrzegam panią nie ze względu na siebie, ale na panią. Pragnę pani dobra i pragnąć go będę do końca życia. Córka pani matki ma zapewnione miejsce w moim sercu, gdyż ona była moją pierwszą, jedyną i najlepszą przyjaciółką".

Na tych słowach, bez żadnego podpisu, kończył się ów dziwny list.

Pismo nie dawało klucza do rozwiązania zagadki. List napisany był na liniowanym papierze, konwencjonalnym, kształconym na wzorach kaligrafii pismem, drobnymi literami. Nie wyróżniało się niczym szczególnym poza tym, że było nikłe, niewyraźne, upstrzone kleksami.

- To nie jest list jakiegoś półanalfabety - powiedziała panna Halcombe. - Ale jednocześnie nie jest to pismo wykształconej osoby z wyższych sfer. Wzmianki o ślubnej sukni i welonie i inne drobiazgi utwierdzają w przekonaniu, że autorem jest kobieta. A co pan o tym sądzi, panie Hartright?

- Ja też tak uważam. Wydaje mi się, że jest to nie tylko list kobiety, ale w dodatku kobiety, której umysł musi być trochę...

- Niezrównoważony? - podsunęła panna Halcombe. - Mnie

też to uderzyło.

Nic nie odpowiedziałem. Spojrzenie moje padło na ostatnie zdanie listu: „Córka pani matki... ma zapewnione miejsce w moim sercu, gdyż ona była moją pierwszą, jedyną i najlepszą przyjaciółką!” Te słowa i wyrażona przed chwilą wątpliwość, czy autorka tego listu korzysta z pełni władz umysłowych, wzbudziły we mnie pewne podejrzenie, które nie tylko lękałem się otwarcie wyrazić, ale nawet w cichości bałem się roztrząsać. Zacząłem się zastanawiać, czy nie została wypadkiem zachwiana równowaga moich własnych władz umysłowych. Bo przecież to nieustanne doszukiwanie się we wszystkich dziwnych i nieoczekiwanych zdarzeniach czy słowach tego samego ukrytego źródła i tego samego złowrogiego wpływu - wyglądało wprost na monomanię. Zdecydowałem, że tym razem, choć nie brak mi odwagi ani poczucia własnej słuszności, nie wyprowadzę żadnego wniosku, dopóki nie dowiodą go fakty, i że zdecydowanie opierać się będę wszelkim pokusom snucia domysłów.

- Jeżeli nadarzy się jakakolwiek sposobność odnalezienia osoby, która napisała ten list - rzekłem wręczając go panie Halcombe - musimy to natychmiast wykorzystać. Myślę, że powinniśmy ponownie pomówić z ogrodnikiem o starej kobiecie, która dała mu list, a potem prowadzić dalsze poszukiwania w wiosce. Ale wpierrw niech mi pani pozwoli zadać jedno pytanie. Przed chwilą wspomniała pani, że mogłaby jutro dowiedzieć się, jakie ma w tej sprawie zdanie doradca prawny pana Fairlie. Czy nie można pomówić z nim wcześniej? Czemu nie dzisiaj?

- Żeby to wytłumaczyć - odparła panna Halcombe - muszę wniknąć w pewne szczegóły dotyczące małżeństwa mej siostry, o których nie uważałam za konieczne wspomnieć panu dziś rano. Sir Parsival Glyde przyjedzie tu w poniedziałek między innymi w tym celu, by ustalić datę ślubu, co dotychczas nie było omawiane. Chce, żeby ślub odbył się jeszcze w tym roku.

- Czy panna Fairlie wie o jego życzeniu? - spytałem gorączkowo.

- Nawet tego nie podejrzewa, a po tym, co się stało, nie

wemę na siebie odpowiedzialności za powiedzenie jej o tym. Sir Parsival poinformował o swych planach jedynie pana Fairlie, który rni oświadczył, że jako opiekun Laury gotów jest poprzeć go w tych zamierzeniach. Napisał do Londynu, do naszego doradcy prawnego, pana Gilmore. Tak się zdarzyło, że pan Gilmore wyjechał do Glasgow w interesach. Odpisał proponując, że w drodze powrotnej zatrzyma się na kilka dni w Limmeridge, tak aby sir Parsival miał czas na załatwienie swej sprawy. Jeśli sir Parsivalowi powiedzie się, pan Gilmore powróci do Londynu wioząc ze sobą instrukcję w sprawie, intercyzy ślubnej mej siostry. Teraz pan rozumie, panie Hartright, dlaczego powiedziałam, że na poradę prawną musimy czekać do jutra rana? Pan Gilmore jest starym, wypróbowanym przyjacielem dwóch pokoleń Fairlie'ch i możemy mu zaufać tak, jak nikomu innemu.

Intercyza ślubna! Sam dźwięk tych słów pogrzyżył mnie w otchłań zazdrości i rozpaczy niweczając wszelkie szlachetniejsze uczucia. Zacząłem rozmyślać - ciężko mi to wyznać, ale nie powinienem ukrywać niczego od początku do końca strasznej opowieści, którą mam przedstawić światu - zaczynałem rozmyślać z zawistną, gorączkową nadzieją o niejasnych zarzutach postawionych sir Parsivalowi Glyde w anonimowym liście. A jeśli szaleńcze oskarżenia oparte są na prawdzie? Jeśli będzie można dowieść ich słuszności, nim padnie fatalne słowo przyzwolenia i intercyza zostanie spisana? Wiele już razy od owej chwili próbowałem wmówić w siebie, że te ówczesne moje uczucia zrodziły się jedynie z troski o dobro panny Fairlie. Lecz nigdy nie udało mi się zwieść samego siebie i teraz nie będę usiłował oszukiwać innych. Źródłem tych uczuć była niepohamowana, beznadziejna

i mściwa nienawiść do człowieka, który miał ją poślubić.

- Jeżeli chcemy dowiedzieć się czegokolwiek - odezwałem się działając pod wpływem uczuć, które mnie opanowały - nie marnujmy bezczynnie ani chwili. Mogę tylko ponownie doradzić, by wybadać raz jeszcze ogrodniczka, a potem od razu rozpytać się w wiosce.

- Sądzę, że mogę okazać się pomocną w obu przypadkach -

rzekła panna Hakombe wstając. - Chodźmy tam zaraz, panie Hartright, i zróbmy wszystko, co jest w naszej mocy.

Trzymałem już dłoń na klamce, otwierając drzwi pannie Halcombe, lecz nagle zatrzymałem się, chcąc zadać przed wyjściem jeszcze jedno ważne pytanie.

- W jednym ustępie tego anonimowego listu - rzekłem - podano szczegółowy opis wyglądu tego mężczyzny. Pamiętam, że nie wymieniono nazwiska, ale... czy ten opis w ogóle go przypomina?

- Jak najściślej. Nawet wiek określono dokładnie na czterdzieści pięć lat.

Czterdzieści pięć lat! A ona nie ma jeszcze dwudziestu jeden! Małżeństwa między mężczyznami w jego wieku a kobietami w jej wieku są sprawą codzienną i doświadczenie wykazuje, że częstokroć bywają to najszcześliwsze związki. Wiedziałem o tym, a jednak wzmianka o jego wieku - gdy przeciwstawiłem go jej młodości - podsycała jeszcze we mnie ślełą nienawiść i nieufność do jej przyszłego męża.

- Jak najściślej - ciągnęła panna Halcombe - nawet ta wzmianka o bliźnie na jego prawej ręce. Pozostała ona po ranie, jaką odniósł podróżując po Włoszech. Nie ma wątpliwości, że autor listu zna go dobrze, zauważył najdrobniejsze szczegóły wyglądu.

- Jeśli dobrze pamiętam, list wspomina coś o kaszlu, który go męczy niekiedy?

- Tak, i odpowiada to prawdzie. On sam lekceważył ten kaszel, choć niepokoiło to czasem jego przyjaciół.

- Myślę, że dotychczas nie słyszała pani żadnych zarzutów co do jego charakteru?

- Panie Hartright! Mam nadzieję, że nie jest pan tak niesprawiedliwy, by ulegać wpływowi tego niecnego listu?! Krew napłynęła mi do twarzy, gdyż wiedziałem, że mu ulegam..

- Chyba nie - odparłem zmieszany. - Pewno nie mam prawa zadawać takiego pytania.

- Nie żałuję, że je pan zadał - rzekła. - Dzięki temu mogę oddać, sprawiedliwość sir Parsivalowi. Najmniejszy zarzut przeciwko niemu, panie Hartright, nie dotarł nigdy do uszu

moich ani nikogo z mojej rodziny. Dwukrotnie kandydował w wyborach i z walki tej wyszedł zwycięsko, bez najmniejszej plamy. A człowiek, któremu to się w Anglii uda, musi mieć nieposzlakowaną opinię.

W milczeniu otworzyłem drzwi przed panną Halcombe i poszedłem za nią. Nie przekonała mnie. Gdyby nawet dla potwierdzenia jej słów zjawił się przede mną anioł, zapisujący w niebiesiech wszystkie nasze uczynki, też by mnie nie przekonał.

Zastaliśmy ogrodniczka przy zwykłej jego pracy. Lecz najdłuższe nawet indagacje nie zdołałyby wykrzesać z tej zakutej głowy ani jednej odpowiedzi, która by miała dla nas jakieś znaczenie. Kobieta, która dała mu list, była stara, nic nie mówiła i w pośpiechu odeszła na południe. To wszystko, co nam powiedział.

Wioska leżała na południe od dworu. Tam więc się udaliśmy.

XII

Z wielką cierpliwością prowadziliśmy poszukiwania w całej wiosce Limmeridge, wypytujac ludzi wszelkich stanów i zawodów. Ale bez żadnego rezultatu. Wprawdzie trzech wieśniacy zapewniali nas, że spotkali ową kobietę, ale absolutnie nie umieli jej opisać i nie zgadzali się zupełnie w określeniu kierunku, w jakim szła, toteż w gruncie rzeczy te trzy wyjątki w morzu ignorancji były dla nas równie bezużyteczne jak obojętne, nic nie widzący ogół.

Po pewnym czasie szlak tych bezowocnych poszukiwań zaprowadził nas na koniec wioski, gdzie znajdowała się szkoła założona przez panią Fairlie. Gdyśmy mijali część budynku przeznaczona dla chłopców, zaproponowałem, by po raz ostatni spróbować szczęścia i wypytać nauczyciela, gdyż mamy prawo przypuszczać, że z racji swego stanowiska jest to najinteligentniejszy człowiek w wiosce.

- Obawiam się - rzekła panna Halcombe - że gdy owa kobieta szła do dworu i wracała stamtąd, nauczyciel miał lekcję ze swymi uczniami. Ale możemy spróbować.

Minąwszy plac zabaw szliśmy pod murem szkoły ku drzwiom, znajdującym się z tyłu budynku. Gdy przechodziliśmy koło okna, zatrzymałem się i zajrzałem do środka.

Nauczyciel siedział przy katedrze, plecami do okna, i najwidoczniej strofował uczniów, którzy, z wyjątkiem jednego, zgromadzili się przed nim. Wyjątkiem owym był krępy, puciołowaty chłopak, który stał z dala od kolegów, na stołku w kącie - mały Robinson Cruzo, osamotniony i nieszczęśliwy, na bezludnej wyspie kary i niełaski.

Okazało się, że drzwi są uchylone i gdy zatrzymaliśmy się na chwilę w progu, dobiegł nas wyraźnie głos nauczyciela.

- A wdęć, chłopcy, uważajcie, co mówię. Jeżeli raz jeszcze w naszej szkole usłyszę choć słowo o duchach, źle będzie z wami wszystkimi. Nie ma żadnych duchów, więc chłopiec, który wierzy w duchy, wierzy w rzecz niemożliwą, a chłopiec ze szkoły w Limmeridge, który wierzy w to, czego nie ma, grzeszy przeciw rozsądkowi i karności i dlatego będzie ukarany. Widzicie wszyscy Jakuba Postlethwaite, który na sromotę stoi tam na stołku. Został ukarany nie za to, że powiedział, jakoby ostatniej nocy widział ducha, ale dlatego, że jest bezczelnie uparty i nie chce słuchać głosu rozsądku, obstając przy tym, że widział ducha, chociaż ja mu powiedziałem, że to być nie może! Jeśli moje słowa nie poskutkują, trzcina wybije mu z głowy ducha, a jeżeli tę bzdurę powtarzać będą jeszcze inni spośród was, posunę się dalej i z pomocą trzcinki wszystkim uczniom wybije z głowy ducha!

- Zdaje się, że wybraliśmy nieodpowiedni moment na wizytę - powiedziała panna Halcombe, gdy nauczyciel skończył reprimendę. Pchnęła drzwi i weszła do środka.

Pojawienie się nasze wywołało sensację wśród chłopców. Zapewne wyobrazili sobie, że przyszliśmy tu specjalnie po to, aże. by zobaczyć, jak Jakub Postlethwaite będzie brał łanie.

- Idźcie do domu na obiad - rozkazał nauczyciel. —Wszyscy z wyjątkiem Jakuba. Jakub pozostanie na swym miejscu, a obiad może mu przynieść duch, jeśli duch zechce.

Wobec perspektywy tej podwójnej utraty: kolegów i obiadu;

Jakuba opuścił hart ducha. Wyciągnął ręce z kieszeni, spojrzął bacznie na zaciśnięte pięści, z głębokim namysłem podniósł je do oczu i począł nimi z wolna obracać w prawo i w lewo, przy akompaniamencie głośnego i regularnego pociągania nosem - objawów dziecięcej rozpaczy.

- Przyszliśmy tutaj, aby pana o coś zapytać, panie Dempster - zwróciła się do nauczyciela panna Halcombe. - Nie spodziewaliśmy się, że będzie pan zajęty wyrzucaniem ducha. Co to znaczy? Go się stało?

- Ten niegodziwy chłopak, panno Halcombe - wyjaśnił nauczyciel - nastraszył całą szkołę opowiadając, że wczoraj wieczorem widział ducha, i nadal, na przekór wszystkiemu, co mu powiedziałem, upiera się przy tych bzdurach.

- To niesłychane - oświadczyła panna Halcombe. - Nigdy bym nie przypuściła, że któryś z tych chłopców ma tyle fantazji, by zobaczyć ducha. Tak więc pojawiła się nowa trudność w ciężkiej pracy formowania umysłów młodzieży Limmeridge i serdecznie życzę panu powodzenia w pokonaniu tej trudności. A teraz chciałabym wyjaśnić panu, dlaczego tu przyszłam i czego chcę od pana.

Postawiła nauczycielowi to samo pytanie, które zadawaliśmy już niemal każdemu w wiosce, i spotkał ją ten sam zawód. Pan Dempster nie widział kobiety, której szukaliśmy.

- A zatem możemy równie dobrze wracać do domu, panie Hartracht - rzekła panna Halcombe. - Widocznie nie zdobędziemy potrzebnej nam informacji.

Skinęła głową panu Dempster i miała już opuścić izbę szkolną, kiedy uwagę jej zwróciła nieszczęsna postać Jakuba Postlethwaite, który stojąc na stołku żałośnie pociągał nosem. Zatrzymała się więc przy drzwiach, by w przypiływie dobrego humoru przemówić do małego więźnia.

- Ty głuptasku! - rzekła. - Czemu nie przeprosisz pana i nie przestaniesz mówić o duchu?

- Kiedy ja naprawdę widziałem ducha - upierał się Jakub Postlethwaite. Spojrzął na nią przerażonymi oczyma i zalał się łzami.

- Co za bzdury! Nie mogłeś nic takiego widzieć. Ducha!

Rzeczywiście. Jakiego ducha...

- Bardzo panią przepraszam, panno Halcombe - przerwał zmieszany nauczyciel - ale myślę, że lepiej byłoby, gdyby pani nie pytała o nic chłopca. Wprost nie do wiary, jakie brednie plecie. Mogłaby pani doprowadzić do tego, że chłopak w swej głupocie...

- Co w swej głupocie? - spytała ostro.

- Że w swej głupocie zraniłby pani uczucia - odpowiedział pan Dempster, bardzo zmieszany.

- Panie Dempster, ma pan zaiste bardzo wysokie mniemanie o moich uczuciach, skoro pan przypuszcza, że taki smarkacz mógłby je zranić. - Z ironicznym wyzwaniem zwróciła się do chłopca, aby wziąć go na spytki. - Słuchaj! - rzekła. - Musisz mi wszystko opowiedzieć. Kiedy widziałeś ducha, ty niegrzeczny chłopaku?

- Wczoraj, gdy się ściemniało.

- Aha! Więc widziałeś go wczoraj o zmroku. A jak wyglądał?

- Był biało ubrany, tak jak duch powinien być ubrany - odparł z niedorzeczną pewnością siebie.

- Gdzieś go widział?

- A na cmentarzu... tam, gdzie duch powinien się ukazywać. - „Tak jak duch, powinien, być ubrany”, „tam, gdzie duch powinien się ukazywać”. Ach, ty mały głuptasie, mówisz, jak byś od kolebki znał wygląd i zwyczaje duchów. W każdym razie umiesz śpiewać swoją piosenkę. A teraz pewno usłyszę, że wiesz, czyj to jest duch?

- A tak! Pewnie, że wiem! - rzekł Jakub kiwając głową z posepnym triumfem.

Pan Dempster próbował już kilka razy w czasie tego przesłuchiwanie odezwać się, a teraz przerwał tak zdecydowanie, że panna Halcombe musiała go usłyszeć.

- Proszę mi wybaczyć, panno Halcombe, jeśli ośmielę się zwrócić pani uwagę, że tymi pytaniami jeszcze bardziej rozzuchwała pani chłopca.

- Zadam jeszcze tylko jedno pytanie, panie Dempster, i to mi wystarczy zupełnie. A więc - pytała dalej chłopca - czyj to był duch?

- To był duch pani Fairlie - wyszeptał Jakub.

Wrażenie, jakie na pannie Halcombe wywarła ta nieoczekiwana odpowiedź, usprawiedliwiało gorliwość, z jaką nauczyciel starał się ustrzec ją przed posłyszeniem tych słów. Twarz jej pokrył rumieniec oburzenia. W gniewie zwróciła się ku małemu Jakubowi, co go tak przestraszyło, że zalał się potokiem łez. Otworzyła usta, by mu coś rzec, lecz opanowała się i zamiast do ucznia, skierowała te słowa do nauczyciela.

- Nie miałyby sensu - rzekła - czynić to dziecko odpowiedzialnym za to, co mówi. Jestem pewna, że ta historia zrodziła się w innych głowach. Panie Dempster, jeśli w wiosce są ludzie, którzy zapomnieli o szacunku i wdzięczności, jakie każdy mieszkaniec Limmeridge winien jest pamięci mej matki, ja ich odnajdę... i... jeśli mam jakikolwiek wpływ na pana Fairlie... odpokutują za to.

- Ja myślę... jestem pewien, panno Halcombe, że pani się myli - rzekł nauczyciel. - Ta cała historia zaczyna się i kończy na głupocie i przewrotności tego chłopaka. Wczoraj wieczorem przechodząc koło cmentarza zobaczył, czy też wydało mu się, że zobaczył, jakąś kobietę w bieli. Ta rzeczywistość czy też urojona postać stała przy marmurowym krzyżu, który znajduje się na grobie pani Fairlie, o czym wie zarówno ten chłopiec jak i każdy mieszkaniec Limmeridge. Czy te dwie okoliczności nie mogły podsunąć chłopakowi słów, które, naturalna rzecz, tak panią wstrząsnęły?

Wydawało mi się, że jej nie przekonał, lecz widocznie czuła, iż przeciw tak rozsądnemu tłumaczeniu trudno protestować. W odpowiedzi podziękowała mu za uprzejmość i obiecała, że odwiedzi go ponownie, kiedy jej wątpliwości zostaną wyjaśnione. To powiedziawszy skinęła głową i wyszła z klasy.

Przez cały czas tej dziwnej rozmowy stałem nieco na uboczu, przysłuchując się uważnie i wyciągając w duchu wnioski. Gdy wyszliśmy, panna Halcombe spytała mnie natychmiast, czy wyrobiłem sobie jakiś sąd o tym wszystkim.

- O tak - odparłem - mam w tej sprawie zdecydowaną opinię. Jestem przekonany, że słowa chłopca nie są bez podstaw. Przyznam się, że chciałbym zobaczyć grób pani Fairlie i

przyjrzeć się ziemi dookoła.

- Pokażę panu grób mej matki. - Powiedziawszy to zamyśliła się i przez chwilę szła w milczeniu.

— To, co zaszło w szkole — podjęła znów — tak zupełnie oderwało moje myśli od sprawy listu, że odczuwam pewien zamęt w głowie, usiłując do tego powrócić. Czyżby pozostało nam tylko wyrzec się dalszych poszukiwań i czekać na pana Gilmore, by jutro złożyć tę sprawę w jego ręce?

— W żadnym razie, panno Halcombe. Rozmowa w szkole zachęciła mnie do dalszych poszukiwań.

— Dlaczego?

— Ponieważ umacnia podejrzenie, jakie zbudziło się we mnie, kiedy dała mi pani do przeczytania ten list.

— Przypuszczani, panie Hartright, że miał pan jakiś powód, by taić je przede mną aż do tej pory?

— Nie chciałem się samemu utwierdzać w tym podejrzeniu. Wydało mi się zupełnie niedorzeczne. Obawiałem się, że to jakiś wybryk fantazji. Ale teraz zmieniłem zdanie. To podejrzenie na, nowo rozbudziła we mnie nie tylko odpowiedź chłopca na pani pytanie, ale również określenie, jakiego użył nauczyciel, wyjaśniając tę historię. Może wypadki pokażą, że to złudne przekonanie, panno Halcombe, ale w tym momencie wierzę głęboko, że rzekomy duch na cmentarzu i autor tego anonimu to jedna i ta sama osoba.

Zatrzymała się i z pobladłą twarzą wpiła wzrok we mnie.

— Kto taki?

— Nauczyciel nieświadomie powiedział to pani. Mówiąc o postaci, którą chłopiec widział na cmentarzu, powiedział: „Kobieta w bieli”!

— Chyba nie Anna Catherick?!

— Owszem, Anna Catherick.

Wsunęła mi rękę pod ramię i wsparła się na mnie ciężko.

— Zupełnie nie wiem dlaczego — mówiła cicho — ale to podejrzenie dziwnie mną wstrząsa i pozbawia sił. Czuję, że... — urwała i próbowała uśmiechem rozproszyć swe obawy. — Panie Hartright — odezwała się znowu — zaprowadzę pana na grób, a potem zaraz wracam do domu. Lepiej, żeby Laura nie

zostawała długo sama. Muszę wracać i być z nią razem.

Kiedy to mówiła, byśmy już niedaleko cmentarza. W małej dolince, zabezpieczony przed ponurymi wichrami, szalejącymi tak często po sąsiednich wrzosowiskach, znajdował się kościół.

Był to posepny budynek z szarego kamienia. Od bocznej ściany kościoła pisał się w górę cmentarz otoczony niskim kamiennym murem. Nie rosły tu żadne drzewa ni krzaka, z wyjątkiem jednego tylko zakątka, gdzie nad strumykiem płynącym po kamienistym zboczu widać było kępę karłowatych drzew rzucających nikły cień na nędzną trawę. Za tym strumykiem i ową kępą drzew, w pobliżu jednej z trzech kamiennych bram, które w trzech miejscach umożliwiały wstęp na cmentarz, wznosił się biały krzyż z manmuru, wyróżniający grób pani Fairlie spomiędzy pospolitych nagrobków, rozsianych dokoła.

— Nie ma potrzeby, bym szła dalej z panem — rzekła panna Halcombe wskazując mi grób. — Proszę mi powiedzieć, jeśli odkryje pan coś, co potwierdzi pana podejrzenia. A zatem do zobaczenia w domu.

Zostawiła mnie samego. Zszedłem ku cmentarzowi i skierowałem się ku wejściu, które prowadziło wprost do grobu pani Fairlie. Trawa wokół niego była zbyt krótka, a grunt zbyt twardy, by można było dostrzec jakiegokolwiek ślady. Zawiedziony, przyjrzałem się uważnie krzyżowi i kwadratowej płycie z marmuru, na której wycięto napis. Naturalna biel krzyża w różnych miejscach poszarzała od deszczu i śniegu, i w takim samym stanie znajdowała się połowa, a może nawet więcej, kwadratowej płyty poniżej krzyża, ale tylko z jednej strony, gdzie znajdował się napis. Jednakże od razu zwróciło moją uwagę, że druga połowa w szczególny jakiś sposób wolna była od plam czy jakichkolwiek zanieczyszczeń. Przyjrzałem się z bliska i spostrzegłem, że ktoś ją czyścił, i to niedawno, zaczynając od góry płyty i posuwając się ku dołowi. Tam, gdzie litery nie przeszkadzały widzieć marmuru, zaznaczała się na nim wyraźnie linia graniczna pomiędzy częścią oczyszczoną i nie oczyszczoną, i widoczne było; że nie powstała ona w naturalny sposób. Kto zaczął czyścić marmur i pozostawił pracę

nie ukończoną?

Rozejrzałem się dokoła, zastanawiając się, jak rozwiązać tę zagadkę. Z miejsca, na którym stałem, nie dostrzegalem żadnej ludzkiej siedziby: cmentarz był w niepodzielnym władaniu zmarłych. Wróciłem do kościoła i począłem go okrążyć, aż znalazłem się po przeciwnej stronie. Wtedy wyszedłem poza mur cmentarny przez jeszcze jedną kamienną bramę i stanąłem na ścieżce, prowadzącej w dół, do opuszczonego kamieniołomu. Przy jednym jego zboczu zbudowano małą chatkę, przed którą zobaczyłem starą kobietę, zajętą praniem.

Podszedłem do niej i zacząłem z nią rozmowę na temat kościoła i cmentarza. Rozmawiała chętnie i niemal w pierwszych słowach poinformowała mnie, że jej mąż pełni dwie funkcje, kościelnego i grabarza. Wtedy powiedziałem, że podoba mi się grób pani Fairlie. Kobieta potrząsnęła głową, mówiąc, że widziałem go w nie najlepszym stanie. Dogłądanie grobu należy do obowiązków jej męża, ale już od miesiąca tak choruje, że z największą trudnością zdobywa się na to, by w niedzielę iść do kościoła i pełnić tam swą służbę, więc w rezultacie zaniedbał trochę grób. Ale teraz już czuje się lepiej i ma nadzieję, że za tydzień albo za dziesięć dni będzie miał dość sił, aby zabrać się do roboty nad jego oczyszczeniem.

Ta informacja - wyrażona w sposób bardzo rozwlekły, najczystszy dialektem z Cumberland - stanowiła odpowiedź na wszystko, na czym mi najbardziej zależało. Ofiarowałem biednej kobiecie trochę pieniędzy i natychmiast powróciłem do dworu w Limmeridge.

Tak więc częściowe oczyszczenie grobu było dziełem obcych rąk. Powiązałem to, czego się dowiedziałem dotychczas, z podejrzeniami, jakie zbudziła we mnie historia o duchu, widzianym o zmroku, i to zupełnie wystarczyło, bym powziął decyzję, że będę wieczorem obserwował z ukrycia grób pani Fairlie; mianowicie powrócę na cmentarz o zachodzie słońca i aż do zapadnięcia nocy pozostanę w pobliżu grobu. Porządkowanie nagrobka nie zostało ukończone i osoba, która zaczęła tę pracę, może przyjść tu znowu, by ją skończyć.

Powróciwszy do domu poinformowałem pannę Halcombe o

swych zamiarach. Wydała mi się zdziwiona i zaskoczona, gdy wtajemniczyłem ją w swoje plany, ale nie sprzeciwiła się ich wykonaniu. Gdy odchodziła, zatrzymałem ją pytając, najspokojniejszym, na jaki się mogłem zdobyć, głosem, o zdrowie panny Fairlie. Była w lepszym nastroju i panna Halcombe spodziewała się namówić ją na mały spacer, póki jeszcze przygrzewa popołudniowe słońce. Wróciłem do swego gabinetu i zabrałem się do porządkowania rysunków. Było to konieczne, a poza tym musiałem dostarczyć umysłowi zajęcia, które by oderwało mnie od myśli o beznadziejnej przyszłości, jaką miałem przed sobą. Od czasu do czasu przerywałem pracę i wyglądałem przez okno, obserwując niebo i słońce, coraz bardziej chylące się ku linii horyzontu. Za którymś razem zobaczyłem pod oknem, na szerokiej żwirowej alejce, jakąś postać. Była to panna Fairlie.

Nie widziałem jej od rana, a i wtedy prawie nie zamieniłem z nią słowa. Pozostał mi tylko jeden dzień w Limmeridge, a gdy ten dzień minie, oczy moje, być może, już jej nie ujrzą nigdy. Ta myśl nie pozwoliła mi odejść od okna. Przez wzgląd na nią ukryłem się za zasłoną, by nie mogła mnie spostrzec, jeśli spojrzy w górę, ale nie miałem dość sił, by oprzeć się pokusie i zabronić mym spojrzeń biec za nią, póki nie zniknie mi z oczu. Miała na sobie skromną suknię z czarnego jedwabiu, a na niej brązową pelerynę. Głowę jej osłaniał ten sam niepretensjonalny, słomkowy kapelusik, który nosiła owego poranku, kiedyśmy się po raz pierwszy spotkali. Lecz teraz przypięła do niego woalkę, która skrywała jej twarz przed mym wzrokiem. U jej stóp dreptał mały charcik włoski, ulubiony towarzysz wszystkich jej spacerów, elegancko okryty szkarłatnym sukiennym kubraczkiem, który miał chronić jego delikatną skórę przed zimnem. Lecz ona zdawała się nie widzieć pieska. Szła wprost przed siebie, z głową nieco pochyloną, skrzyżowawszy pod peleryną ramiona. Uwiędłe liście, które rano wirowały na wietrze wokół mnie, gdy mi mówiono o jej zaręczynach, teraz wirowały wokół niej, unosiły się w powietrzu i rozsypywały u jej stóp, gdy tak spacerowała w białych promieniach zamierającego słońca. Pies drżał i

dygotał, niecierpliwie ocierał się o jej suknię, chcąc, by nań spojrzała, przemówiła do niego. Ale nie zwracała na niego uwagi. Szła alejką, oddalając się coraz, bardziej ode mnie, w tumanie zwiędłych liści, wirujących wokół jej postaci, szła coraz dalej, aż moje nateżone do bólu oczy nie mogły już jej dostrzec i pozostałem sam, z rozpaczą w sercu.

W godzinę później, przed samym zachodem, skończyłem pracę. Zszedłem do hallu, włożyłem płaszcz i kapelusz i wysłiznąłem się z domu, nie spotykając nikogo. Na zachodzie kłębiły się chmury, a od morza dął zimny wiatr.

Z dalekiego wybrzeża, poprzez dzielące mnie od niego wrzosowisko, dobiegał huk fal i posepnie rozbrzmiewał w mych uszach, gdy wchodziłem na cmentarz. Wokół nie było żywej duszy. Miejsce to wydało mi się bardziej niż kiedykolwiek samotne, gdy znalazłszy odpowiednie schronienie stanąłem na czatach, utkwivszy wzrok w białym krzyżu, wznoszącym się nad grobem pani Fairlie.

XIII

Otwarte położenie cmentarza zmuszało mnie do przezorności w wyborze miejsca, gdzie miałem zająć stanowisko.

Główne wejście do kościoła znajdowało się w ścianie przy cmentarzu i osłonięte było ganeczkiem. Po krótkim wahaniu - gdyż czułem naturalną niechęć do ukrywania się, chociaż w tej sytuacji było to niezbędne - zdecydowałem się wejść na ganek. W każdej z dwu bocznych ścian ganku wycięto dwa wąskie okienka. Przez jedno z nich mogłem widzieć grób pani Fairlie, a drugie wyglądało na kamieniołom, koło którego stała chatka kościelnego. Przede mną, czyli przed frontem kościoła, ciągnął się pas pustej, niczyjej ziemi cmentarnej, zamknięty linią niskiego muru z kamienia, a dalej brunatnym zarysem samotnego wzgórza, nad którym silny wiatr pędził ciężkie chmury, malowane barwami zachodzącego słońca. Nie widziałem ani nie słyszałem żadnego żywego stworzenia - ptak nie przefrunął, pies nie zaszczekał od chatki kościelnego. Gdy milkł głuchy pomruk fal, szeleściły posepnie karłowate drzewa

nad grobem pani Fairlie i niemo, ziomno bulgotał strumyk w swym kamiennym łożu. Ponury krajobraz, ponury czas. Ogarniał mnie coraz większy smutek, gdy w ukryciu, na kościelnym ganku, liczyłem uciekające minuty tego wieczoru.

Mrok jeszcze nie zapadł, blask zachodzącego słońca nie zagasł na niebie i minęło zaledwie pół godziny mej samotnej warty, kiedy posłyszałem czyjeś głosy i kroki. Głos był kobiecy, a kroki zbliżały się od przeciwnej strony kościoła.

- Nie trap się, moja droga, listem - mówił ów głos. - Oddałam go bezpiecznie chłopakowi, a on wziął go ode mnie bez słowa. Poszedł w swoją drogę, ja ruszyłam w swoją i żywa dusza nie śledziła mnie potem - tego jestem zupełnie pewna.

Na te słowa zastygłem w oczekiwaniu, wytężając uwagę niemal do bólu. Kobieta zamilkła, lecz kroki zbliżały się. Po chwili dojrzałem przez okienko dwie przechodzące kobiety. Zwrócone tyłem do mnie, szły wprost ku grobowi pani Fairlie.

Jedna z nich miała kapelusz i otulona była szalem. Druga ubrana była w długi, ciemnoniebieski płaszcz podróżny z kapturem, nasuniętym na głowę. Spod płaszcza wyglądał skraj sukni. Serce zaczęło mi bić gwałtownie, gdy zobaczyłem kolor jej sukni. Był to kolor biały.

W połowie drogi między kościołem a grobem zatrzymały się i kobieta w podróżnym płaszczu zwróciła twarz ku towarzysze. Gdyby nosiła kapelusz, mógłbym widzieć jej profil, lecz ciężki szeroki kaptur zasłaniał go przede mną.

- Pamiętaj, nie zdejmuj tego ciepłego, wygodnego płaszcza - mówił dalej ten sam głos, który słyszałem poprzednio, głos kobiety w szalu. - Pani Todd ma rację, że wczoraj wyglądałaś zbyt osobliwie: cała w bieli. Pospaceruję sobie trochę, gdy ty tu będziesz, bo nie lubię cmentarzy. Ty możesz je sobie lubić. Zrób to, co masz zrobić, zanim ja wrócę, tak byśmy zdążyły do domu przed nocą.

Powiedziawszy to udała się z powrotem tą samą drogą, zwrócona twarzą ku mnie. Była to starsza kobieta, o pomarszczonej, opalonej twarzy, zdrowa i robiąca wrażenie do gruntu uczciwej. Kiedy zbliżyła się do kościoła, stanęła i otuliła się szczelnie szalem.

- Dziwna ona jest - powiedziała do siebie. - Zawsze taka dziwna, kapryśna i samowolna, zawsze taka, odkąd ją znam. Ale cóż, nikomu nie robi krzywdy, biedactwo. Nie szkodzi nikomu, tak jak małe dziecko.

Westchnęła, rozejrzała się niespokojnie po cmentarzu, potrząsnęła głową, niezadowolona snadź z posępnego krajobrazu, i zniknęła za węglem kościoła.

Wahałem się przez chwilę, czy nie powinienem pójść za nią i zagadnąć jej. Ale gorące pragnienie znalezienia się twarzą w twarz z jej towarzyszką powstrzymało mnie od tego. Na pewno będę mógł porozmawiać z kobietą w szalu, jeśli poczekam koło cmentarza na jej powrót. Wydało mi się jednak więcej niż wątpliwe, czy będzie mogła udzielić mi potrzebnych wiadomości. Osoba, która doręczyła list, nie liczyła się. Osoba, która go napisała, stanowiła ośrodek moich zainteresowań i jedyne źródło informacji, a według mego głębokiego przekonania ją to właśnie miałem przed oczami.

Kiedy te myśli przebiegały mi przez głowę, kobieta w podróżnym płaszczu zbliżyła się do grobu, stanęła i patrzyła nań przez chwilę. Potem rozejrzała się dokoła, wyciągnęła spod płaszcza kawałek białego płótna, czy może chusteczkę, i poszła w kierunku strumyka. Strumyk ten wpadał na teren cmentarza przez półkoliste wycięcie w dole kamiennego muru i przepłynąwszy zygzakiem kilkadziesiąt jardów, wypływał na zewnątrz przez analogiczny otwór. Kobieta zmoczyła płótno w wodzie i powróciła do grobu. Widziałem, jak ucałowała biały krzyż, uklękła przed napisem i poczęła go czyścić ową wilgotną szmatką. Myślałem przez chwilę, w jaki sposób mam się jej ukazać, aby ją jak najmniej przestraszyć, i postanowiłem przedostać się za znajdujący się przede mną mur, okrążyć cmentarz aż do wejścia najbliższego grobu pani Fairlie i tamtędy ponownie wejść między mogiły, aby mogła mnie wcześniej spostrzec. Lecz ją tak pochłaniała praca, że dopiero wtedy usłyszała kroki, gdy schodziłem ze schodów cmentarnego wejścia. Podniosła głowę, krzyknęła cicho i poderwała się z ziemi, a potem, niema i zastygła z przerażenia, stała z wzrokiem utkwionym we mnie.

- Proszę się niczego nie obawiać - rzekłem. - Chyba mnie sobie pani przypomina?

Mówiąc to zatrzymałem się - potem powoli podszedłem kilka kroków, znów się zatrzymałem, i tak zbliżałem się stopniowo, aż stanąłem przy niej. Jeśli żywiłbym jeszcze jakieś wątpliwości, to w tym momencie musiałyby one niechybnie zniknąć. Oto znad grobu pani Fairlie, z tym samym wyrazem lęku, zwracała się ku mnie ta sama twarz, którą po raz pierwszy ujrzałem na gościńcu pamiętnej nocy.

- Chyba mnie sobie pani przypomina? - powtórzyłem. - Spotkaliśmy się późnym wieczorem i pomogłem pani odnaleźć drogę do Londynu. Przecież nie zapomniała pani tego! Jej napięte rysy złagodniały i odetchnęła głęboko, z ulgą.

Ustało z twarzy przerażenie, które zakuło ją w nieruchomą, niemal śmiertelną maskę. Widziałem, że mnie poznaje.

- Proszę, niech pani na razie nic do mnie nie mówi - perswadowałem. - Proszę poczekać, aż się pani uspokoi, aż sobie pani uprzytomni, że ma pani przed sobą przyjaciela.

- Jest pan bardzo dobry dla mnie - szepnęła. - Tak samo jak wtedy. - Umilkła, a ja też milczałem. Nie tylko ofiarowałem jej chwilę ciszy na refleksję, zdobyłem ją także dla siebie. Oto spotkaliśmy się znowu, ja i ta kobieta, oddzieleni grobem, otoczeni grobami, zamknięci w kręgu smutnych wzgórz, mając nad sobą posępne, krwawe niebo zachodu. Czas,, miejsce, okoliczności, w jakich się spotkaliśmy, sam na sam w tej ponurej dolinie wśród cieni wieczoru i ciszy wieczoru; świadomość, że kilka przypadkowych słów, jakie padną między nami za chwilę, zdolne jest zmienić decyzje, stanowiące o całym życiu Laury Fairlie, i że jej szczęście lub nieszczęście zawisło prawdopodobnie od tego, czy uda mi się zdobyć zaufanie tej nieszczęsnej, wylękłej istoty, stojącej nad grobem matki Laury - to wszystko odbierało mi spokój i jasność sądu, bez których nie byłbym w stanie posunąć całej sprawy ani o cal naprzód. Czując to, starałem się przywołać wszystkie swe siły i robiłem, co mogłem, by jak najlepiej wykorzystać tę chwilę milczenia.

- Czy już się pani uspokoiła? - zwróciłem się do niej, gdy

uznałem, że czas już odezwać się. - Czy może pani mówić ze mną bez lęku? Czy będzie pani pamiętać, że jestem jej przyjacielem?

- Skąd pan się tu wziął? - spytała, nie odpowiadając na moje pytanie.

- Czy nie przypomina pani sobie, że kiedyśmy się poprzednio spotkali, mówiłem pani, że wyjeżdżam do Curnberland? Od tej pory przebywam w Cumberland. Cały ten czas mieszkałem we dworze w Limmeridge.

- We dworze w Limmeridge! - gdy powtarzała te słowa, jej blada twarz zaróżowiła się, a błędzące dokoła spojrzenie spoczęło na mnie z nagłym zainteresowaniem. - Ach, jakże musi się pan czuć szczęśliwy! - rzekła patrząc na mnie bacznie, ale bez cienia poprzedniej nieufności.

Skorzyszałem z tego nowo zbudzonego zaufania i począłem przyglądać się jej uważnie i z ciekawością, na co nie pozwoliłem sobie poprzednio ze względów ostrożności. Patrzyłem na nią mając w sercu obraz tej drugiej, ukochanej twarzy, twarzy, która ukazawszy się na zalanym księżycowym światłem tarasie przywołała wspomnienie nieznajomej, budząc tym niepojęty lęk. W pani Fairlie spostrzegłem podobieństwo do Anny Catherick. Teraz w Annie Catherick zauważyłem, podobieństwo do Laury Fairlie, i to tym wyraźniej, że widziałem zarówno cechy wspólne, jak i odmienne. Jeżeli chodzi o ogólny zarys i proporcję twarzy, o kolor włosów, nerwowość ust, o wzrost i postawę, sposób trzymania głowy i poruszania się, podobieństwo było jeszcze bardziej wstrząsające, niż myślałem. Ale na tym się ono kończyło i zaczynały się różnice szczegółów. Tej zwróconej ku mnie mizernej, smutnej twarzy brakło delikatnej piękności cery panny Fairlie, przejrzystej czystości jej oczu, niepokalanej bieli i gładkości skóry, kwitnącej czerwieni warg. Kiedy patrzałem na tę kobietę, zbudziła się natrętna myśl - za którą znienawidziłem samego siebie! - że aby podobieństwo, tak niekompletne w szczegółach, stało się zupełne, potrzeba tylko jednego: smutnej odmiany losu. Jeśli kiedykolwiek smutek i cierpienie wyrują swe ślady na ślicznej, dziewczęcej twarzy panny Fairlie, wtedy i wtedy jedynie - Anna

Catherick i Laura Fairlie staną się podobne jak bliźniacze siostry, będą żywym, choć przypadkowym odbiciem jedna drugiej.

Zadrzałem na tę myśl. Było coś przerażającego w tym ślepych, bezrozumnych łku przed przyszłością, jaki mnie ogarnął na samą myśl o tym podobieństwie. Toteż doznałem ulgi, gdy Anna Catherick wyrwała mnie z tego stanu, kładąc mi dłoń na ramieniu. Uczyniła to ukradkiem i zniemacka, jak owej nocy, gdyśmy się po raz pierwszy spotkali, kiedy to niespodziewane dotknięcie jej palców przejęło mnie zimnym dreszczem przerażenia.

- Pan patrzy na mnie i o czymś myśli - powiedziała, jak zawsze z pośpiechem, niemal bez tchu. - O czym?

- O niczym specjalnie - odparłem. - Zastanawiałem się, skąd się pani tu wzięła.

- Przyszłam z przyjaciółką, która jest bardzo dobra dla mnie. Jestem tu dopiero od dwóch dni.

- A na cmentarz przyszła pani wczoraj?

- Skąd pan wie?

- Domyślałam się tylko.

Odwrociła się ode mnie i ponownie uklękła przed napisem.

- Gdzież miałabym iść, jeśli nie tutaj - rzekła. - Ta dobra pani, lepsza dla mnie od rodzonej matki, jest jedyną przyjaciółką w Limaneridge, którą chcę odwiedzić. O, jakże boli mnie serce, gdy widzę plamy na jej grobie. Tak, należy się jej, by grób pozostał biały jak śnieg. Nie mogłam wczoraj oprzeć się pokusie, by go nie czyścić, tak jak nie mogłam nie powrócić dzisiaj. Czy jest w tym co złego? Mam nadzieję, że nie. Chyba nic, co robię z myślą o pani Fairlie, nie może być złe?

Wdzięczna pamięć życzliwości pani Fairlie żyła wciąż w umyśle tego biedactwa - w tym ograniczonym umyśle, w którym najwidoczniej żadne późniejsze wrażenie nie odcisnęło się silniej i trwałej niż to dawne przeżycie z szczęśliwszych, dziecinnych lat. Zrozumiałem, że aby zdobyć zaufanie Anny Catherick, muszę jej pozwolić spełnić proste zadanie, dla którego przyszła na cmentarz. Skoro powiedziałem, że może wrócić do swej pracy, podjęła ją natychmiast, dotykając

marmuru tak delikatnie, jak gdyby był żywą istotą. Powtarzała wciąż szeptem słowa wyryte w marmurze, jak gdyby powróciły minione dni dzieciństwa i znowu wytrwale uczyła się swych lekcji u kolan pani Fairlie.

- Czy bardzo zdziwiłaby się pani - odezwałem się, torując jak naj ostrożniej drogę pytaniom, które miały nastąpić - gdybym powiedział, że to nasze ponowne spotkanie jest dla mnie przyjemną niespodzianką. Niepokoiłem się bowiem bardzo o panią po pani odjeździe.

Gwałtownie uniosła głowę.

- Niepokoił się pan? - powtórzyła niespokojnie. - Dlaczego?

- Dziwna rzecz zdarzyła się, gdyśmy się rozstali tego wieczoru. Przejechało koło mnie dwóch mężczyzn. Nie widzieli mnie, ale zatrzymali się w pobliżu i rozmawiali z policjantem idącym po drugiej stronie ulicy.

Natychmiast przerwała pracę. Ręka, trzymająca wilgotną szmatkę, którą wycierała nagrobek, opadła do jej boku. Drugą ręką uchwyciła się marmurowego krzyża. Z wolna zwróciła ku mnie twarz, zmartwiałą z przerażenia. Lecz ja musiałem brnąć dalej, za późno było się cofać.

- Ci dwaj mężczyźni rozmawiali z policjantem - rzekłem - i pytali go, czy nie widział pani. Odpowiedział, że nie, a wtedy jeden z nich odezwał się ponownie i powiedział mu, że pani uciekła z jego zakładu.

Zerwała się na równe nogi, jak gdyby moje słowa wskazywały drogę prześladowcom.

- Proszę stać! I posłuchać do końca! - zawołałem. - Proszę nie uciekać. Dowie się pani, że postąpiłem jak przyjaciel. Gdybym rzekł słowo, ci mężczyźni wiedzieliby, gdzie pani szukać. Ale ja tego nie zrobiłem. Pomogłem pani uciec... zapewniłem i zabezpieczyłem pani ucieczkę. Proszę zastanowić się, proszę pomyśleć nad tym. Niech się pani postara zrozumieć, co powiedziałem!

Mój sposób mówienia i zachowania uspokoił ją bardziej niż moje słowa. Uczyniła wysiłek, by przyswoić sobie nową myśl. W niepewności przekładała z ręki do ręki wilgotną szmatkę, tak samo, jak na londyńskiej szosie przekładała z ręki do ręki

torebkę podróżną. Wydało mi się, że powoli, poprzez zamieszanie, panujące w jej umyśle, przenika sens moich słów. Stopniowo twarz jej jak gdyby tajała, a wyraz lęku w oczach ustępował ciekawości.

- Ale pan - rzekła - nie uważa, że powinno się mnie tam zamknąć zpowrotem, prawda?

- Oczywiście, że nie. Cieszę się, że pani stamtąd uciekła, cieszę się, że dopomogłem w tym pani.

- Tak, tak, pan mi rzeczywiście pomógł... pomógł w najcięższej chwili - mówiła z pewnym roztargnieniem. - Uciec było łatwo, inaczej bym wcale nie uciekała. Oni nie podejrzewali mnie tak, jak innych. Byłam bardzo spokojna i posłuszna i bardzo się wszystkiego bałam. Najtrudniejszą rzeczą było odnalezienie Londynu i pan mi w tym pomógł. Czy podziękowałam panu wtedy? Teraz serdecznie panu dziękuję.

- Czy ten zakład znajduje się daleko od miejsca, w którym się spotkaliśmy? Proszę, niech pani okaże, że mi ufa jak przyjacielowi, i powie, gdzie się on znajduje?

Wymieniła miejscowość. Musiał to być prywatny zakład, są - dząc po jego położeniu, prywatny zakład, niezbyt odległy od miejsca, gdzie ją spotkałem. A potem, z obawy widocznie, bym nie wykorzystał przeciw niej tej wiadomości, niespokojnie powtórzyła swe poprzednie pytanie:

- Ale pan nie uważa, że powinno się mnie tam zamknąć z powrotem?

- Raz jeszcze mówię, że cieszę się, że pani uciekła. I cieszę się, że dobrze się pani wiodło po ucieczce - rzekłem. - Wspomniała pani wtedy o przyjaciółce w Londynie. Czy ją pani odnalazła?

- Tak. Było już wprawdzie bardzo późno, ale jakaś dziewczyna siedziała jeszcze nad szyciem i pomogła mi obudzić panią Clements. Pani Clements to ta moja przyjaciółka. Dobra kobieta, ale daleko jej do pani Fairlie. O! Nie spotkałam nikogo, kto był taki, jak ona.

- A pani Clements to dawna pani przyjaciółka? Zna ją pani długo?

- Tak.. Kiedyś sąsiadowała z nami w Hampshire. Lubiła mnie i opiekowała się mną, gdy byłam małą dziewczynką. Przed laty,

kiedy wyjeżdżała stamtąd, zapisała w mojej książeczce do nabożeństwa, gdzie zamieszka w Londynie, i powiedziała mi: „Jeżeli kiedykolwiek będzie ci źle, przyjedź do mnie. Nie mam męża, który powiedziałby mi nie, ani dzieci, którymi musiałabym się opiekować, więc zaopiekuję się tobą”. To były dobre słowa, prawda? Pewno dlatego je zapamiętałam, że były dobre. Tak niewiele pamiętam poza tym, tak niewiele!

- Czy nie ma pani ojca lub matki, aby się panią zaopiekowali?

- Ojca? Nigdy go nie widziałam ani nie słyszałam, żeby matka kiedy o nim mówiła. Ojciec? Ach, przypuszczam, że on już umarł.

- A matka?

- Nie żyjemy dobrze ze sobą. Dręczymy się tylko nawzajem.

„...Dręczymy się tylko nawzajem!” - Gdy usłyszałem te słowa, po raz pierwszy przeszło mi przez myśl podejrzenie, że to matka jest tą osobą, która pozbawiła ją wolności.

- Niech mnie pan nie pyta o matkę - ciągnęła Anna Catherick.

- Wolę mówić o pani Clements. Ona jest podobna do pana, nie uważa, że trzeba mnie zamknąć w zakładzie, i tak samo jak pan cieszy się, że stamtąd uciekłam. Płakała nad moim nieszczęściem i powiedziała, że nie możemy nikomu o tym mówić.

Jej „nieszczęściem”? W jakim sensie użyła tego słowa? Czy w tym sensie, który mógłby tłumaczyć wysłanie listu i wskazywałby, że skłonił ją do tego aż nazbyt często spotykany motyw - jak wiele innych kobiet, interweniujących anonimowymi listami przeciw małżeństwu mężczyzny, który je skrzywdził? Zdecydowałem się wyjaśnić tę wątpliwość, zanim rozmowa potoczy się dalej.

- Jakie nieszczęście? - spytałem.

- Nieszczęście, jakim jest zamknięcie w zakładzie - odpowiedziała bardzo zdziwiona moim pytaniem. - O jakim innym nieszczęściu mogłabym mówić?

Postanowiłem nalegać na wyjaśnienie, ale najłagodniej, najcierpliwiej jak tylko można. Było bardzo ważne, abym uzyskał absolutną pewność, że nie zrobiłem fałszywego kroku w swych dociekaniach.

- Jest jeszcze jedno nieszczęście, które może spotkać kobietę i

na całe życie okryć ją wstydem i smutkiem - rzekłem.

- Jakże? - spytała z przejęciem.

- Niestety, wypływające ze zbyt wielkiej wiary kobiety we własną cnotę oraz w prawość i honor mężczyzny, którego kocha.

Spojrzała na mnie ze szczerym, nieukrywanym zdumieniem dziecka. Nawet cień zmieszania czy rumieńca, nawet najmniejszy ślad walki z tajonym poczuciem wstydu nie pojawił się na jej twarzy - na tej twarzy, która tak przejrzyście ukazywała zawsze każde uczucie. Żadne ludzkie słowa nie zdołałyby przekonać mnie tak niezbitcie, jak przekonał mnie wyraz jej twarzy i jej zachowanie, że motyw, którego dopatrywałem się w wysłaniu przez nią listu, był z całą pewnością fałszywy. To w każdym razie podejrzenie zostało wykluczone, ale zrodziły się stąd nowe wątpliwości. List, jak mnie wiarygodnie zapewniano, odnosił się do sir Parsivala Glyde, choć nie wymieniał go z nazwiska. Musiała mieć jakiś powód, i to powód poważny, oparty na poczuciu krzywdy, by tajemnie w tak silnych słowach oskarżać go przed panną Fairlie. Powodem tym na pewno nie była utrata niewinności i dobrego imienia. Jakąkolwiek krzywdę jej wyrządził, nie na tym ona polegała. A więc na czym?

- Nie rozumiem pana - rzekła po bezskutecznej, choć usilnej próbie odgadnięcia treści słów, które przed chwilą wypowiedziałem.

- Mniejsza o to - rzekłem. - Wróćmy do tego, o czym rozmawialiśmy przedtem. Niech mi pani powie, czy długo przebywała pani u swej przyjaciółki i jak się tu pani dostała?

- Jak długo? - powtórzyła. - Mieszkałam z panią Clements, dopóki nie przybyliśmy tutaj, dwa dni temu.

- A więc mieszka pani w wiosce? - spytałem. - Choć jest tu pani dopiero dwa dni, to jednak dziwi mnie, że nie słyszałem nic o pani.

- Nie, nie. Nie w wiosce. O trzy mile od wioski, na farmie. Czy zna pan tę farmę? Nazywają ją Zakątkiem Todda.

Przypomniałem sobie doskonale to miejsce, gdyż często przejeżdżaliśmy tamtędy w czasie naszych spacerów. Była to jedna z najstarszych farm w okolicy, leżąca w odosobnionej,

chronionej od wiatrów kotłince, wciśniętej między dwa wzgórza.

- W Zakątku Todda mieszkają krewni pani Clements - ciągnęła Anna Catherick. - Od dawna ją zapraszali, ażeby ich odwiedziła. Powiedziała mi, że pojedzie tam i zabierze mnie ze sobą, abym mogła odetchnąć świeżym powietrzem i spokojem. To bardzo ładnie z jej strony, prawda? Pojechałabym na koniec świata, byle mieć spokój i czuć się bezpiecznie, ale kiedy usłyszałam, że Zakątek Todda leży w pobliżu Limmeridge, o, wtedy byłam tak szczęśliwa, że szłabym na bosaka, byle się tam dostać, zobaczyć znów szkołę i wioskę, i dwór w Limmeridge. To są dobrzy ludzie, ci w Zakątku Todda. Pewno pozostanę tu jeszcze jakiś czas. Jedno tylko nie podoba mi się w tych ludziach, a także w pani Clements...

- Co takiego?

- Dokuczają mi, że się ubieram na biało... mówią, że to dziwacznie wygląda. Co tam oni wiedzą! Pani Fairlie знаła się na tym lepiej! Pani Fairlie nigdy nie kazałaby mi nosić tego brzydkiego niebieskiego płaszcza! Lubiła biały kolor za życia, a teraz jest na jej grobie biały kamień, więc dla niej czyszcę go, aby miała bielszy grób. Sama często nosiła białe suknie i córeczkę swoją zawsze ubierała na biało. Jakże się miewa panna Fairlie? Czy jest zdrowa i szczęśliwa? Czy i teraz, tak jak w dzieciństwie, nosi białe suknie?

Głos jej się łamał, gdy pytała o pannę Fairlie, i coraz bardziej odwracała głowę ode mnie. Sądziłem, że owa zmiana w jej zachowaniu wywołana jest tym, że Anna Catherick zaczyna zdawać sobie sprawę, jak wielką popełniła nieostrożność' wysyłając anonim. Natychmiast zdecydowałem się sformułować odpowiedź w taki sposób, aby ją zaskoczyć i zmusić do przyznania się.

- Panna Fairlie nie czuła się dobrze dzisiejszego ranka - rzekłem - i wcale nie było jej wesoło.

Wymamrotała kilka słów, ale tak cicho i w takim zmieszaniu, że próżno sililem się odgadnąć ich znaczenie.

- Pyta pani - mówiłem dalej - dlaczego panna Fairlie nie czuła się dobrze dzisiejszego ranka?

- Nie - odparła szybko i zdecydowanie. - Nie pytałam o to.

- Powiem zatem niepytany - ciągnąłem. - Panna Fairlie otrzymała list od pani.

Od dłuższej już chwili klęczała nad grobem i rozmawiając ze mną ścierała starannie ostatnie ślady słoty, widoczne na napisie. Gdy uszu jej dobiegły pierwsze z moich słów, przerwała zajęcie i nie wstając z kolan obróciła się z wolna ku mnie. Słyszając zaś, co mówiłem dalej, skamieniała wprost z przerażenia. Trzymana przez nią szmatka wypadła jej z rąk, wargi rozwarły się . i w jednej chwili twarz jej poszarzała.

- Skąd pan wie o tym? - wyszeptwała. - Kto pokazał panu list? ? Krew gwałtownie napłynęła jej do twarzy, gdy uprzytomniła sobie, że zdradzają ją własne słowa. W rozpaczy załamała ręce. - Nie napisałam żadnego listu-wykrztusiła. - Nic o tym nie wiem.

- Owszem, napisała pani ten list - rzekłem - i doskonale wie pani o tym. Źle pani zrobiła pisząc go, źle pani zrobiła strasząc pannę Fairlie. Jeżeli miała pani coś do powiedzenia, co panna Fairlie powinna usłyszeć, należało iść samej do dworu w Limmeridge i powiedzieć jej to osobiście.

Pochyliła się nisko nad kamieniem grobowca, kryjąc twarz, i nic nie odpowiedziała.

- Panna Fairlie będzie równie dobra i życzliwa dla pani, jak była jej matka - ciągnąłem - jeśli ma pani dobre zamiary. Panna Fairlie dochowa sekretu i nie dopuści, by stała się pani jakaś krzywda. Czy zechce pani pomówić z nią jutro na farmie? A może spotka się z nią pani jutro w ogrodzie dworu w Limmeridge?

- Och, gdybym mogła już umrzeć i spoczywać w spokoju razem z tobą! - szepotała te słowa z wargami tuż przy kamiennej płycie, serdecznie przemawiając do spoczywających w grobowcu śmiertelnych szczątków. - Ty wiesz, jak bardzo kocham twoją córkę przez pamięć o tobie! Och, pani Fairlie, pani Fairlie! Powiedz mi, jak mam ją ocalić? Raz jeszcze bądź moim kochaniem i moją matką i powiedz mi, co mam robić?

Widziałem, jak całowała grób, słyszałem, jak namiętnie biła w marmur rękami. Ten widok, ten odgłos wzruszył mnie

głęboko. Pochyliłem się nad nią, ująłem delikatnie jej biedne, bezradne dłonie i próbowałem ją uspokoić.

Było to daremne. Wyrwała swe dłonie z moich, lecz nie uniosła twarzy znad płyty grobowca. Rozumiejąc, że za wszelką cenę muszę ją niezwłocznie uspokoić, i zdając sobie sprawę, że jeżeli chodzi o mnie i o moją o niej opinię, zależy jej tylko na jednym, na tym mianowicie, abym był przekonany, że potrafi być panią swoich czynów, postanowiłem to wykorzystać.

- No, spokojnie, spokojnie - powiedziałem łagodnie. - Niech się pani stara uspokoić, bo będę musiał zmienić swe zdanie o pani. Nie może przecież pani pozwolić, abym zaczął podejrzewać, że osoba, która zamknęła panią w zakładzie, miała pewne podstawy...

Dalsze słowa zamarły mi na ustach. W momencie gdy odważyłem się uczynić wzmiankę o osobie, która zamknęła ją w zakładzie, Anna Catherick zerwała się na równe nogi. Zaszła w niej niezwykła, wstrząsająca zmiana. Jej wrażliwa, nerwowa twarz, tak bardzo zazwyczaj wzruszająca wyrazem nieśmiałości i słabości, pociemniała nagle od gwałtownej, maniacko silnej i pełnej lęku nienawiści, która wykrzywiła dziko jej rysy. Jej oczy płonęły w mroku wieczornym jak oczy dzikiego zwierzęcia. Pochwyciła szmatkę leżącą u jej stóp, i jakby to była żywa istota, nad którą ma władzę życia i śmierci, ścisnęła ją obu rękami z tak rozpaczliwą siłą, że kilka pozostałych w niej jeszcze kropel wilgoci spłynęło na kamień grobowca.

- Proszę mówić o czym innym - wycodziła przez zęby. - Stracę panowanie nad sobą, jeżeli będzie pan mówić o tym.

Na jej twarzy nie pozostało ani śladu łagodniejszych myśli, przepelniających ją przed chwilą. Stało się dla mnie jasne, że wrażenie, jakie wywarła na niej dobroć pani Fairlie, nie było, jak poprzednio sądziłem, jedynym żywym i silnym obrazem w jej pamięci. Myślała z wdzięcznością o szkolnych dniach w Limmeridge, a jednocześnie pałając zemstą wspominała krzywdę, jaką jej uczyniono, zamykając w zakładzie. Kto wyrządził jej tę krzywdę? Czyż mogła to zrobić jej matka?

Ciężko było zrezygnować z dalszego prowadzenia badań i znalezienia odpowiedzi na to ważne pytanie, ale postanowiłem

poniechać wszelkiej myśli o tym. Byłoby okrucieństwem, widząc, w jakim znajduje się stanie, nie posłuchać nakazu ludzkich uczuć, wskazujących na konieczność przywrócenia jej spokoju, i zabiegać w tej chwili o cośkolwiek innego.

- Nie będę mówił o niczym, co mogłoby panią zdenerwować - powiedziałem łagodnie.

- Pan czegoś chce - odpowiedziała ostro, podejrzliwie. - Proszę nie patrzeć na mnie w ten sposób. Niech pan coś mówi do mnie, niech pan powie, czego chce?

- Chcę tylko, aby się pani uspokoiła, a potem pomyślała nad tym, co powiedziałem.

- Co pan powiedział? - Umilkła, nerwowo ścisnęła w rękach szmatkę i szeptała do siebie: „Co on powiedział?” Potem zwróciła się znów ku mnie, niecierpliwie potrząsając głową. - Dlaczego pan mi nie pomoże? - spytała z gniewem.

- Dobrze, dobrze - odrzekłem. - Pomogę pani i zaraz sobie pani przypomni. Prosiłem panią, aby zobaczyła się pani jutro z panną Fairlie i powiedziała jej całą prawdę o liście.

- Ach! panna Fairlie... Fairlie... Fairlie...

Samo wypowiedzianie tego kochanego nazwiska zdawało się ją uspokajać. Twarz jej złagodniała i odzyskała naturalny wyraz.

- Niech pani nie żywi żadnych obaw w stosunku do panny Fairlie ani też nie lęka się z powodu listu. Panna Fairlie tyle już wie, że nie będzie pani trudno powiedzieć jej resztą. Nie potrzeba tak bardzo się starać o zachowanie tajemnicy, gdy tak niewiele w tajemnicy pozostało. Nie wymieniła pani żadnych nazwisk w liście, ale panna Fairlie wie, że osoba, o której pani pisze, to sir Parsival Glyde...

Gdy domawiałem tych słów, Anna Catherick zerwała się na równe nogi, a z piersi jej wydarł się pełen trwogi krzyk, który rozległ się po całym cmentarzu i przeraził mnie tak, że mi serce niemal bić przestało. Twarz jej wykrzywiły znowu nienawiść i strach, jeszcze silniejsze niż poprzednio. Ten okrzyk wywołany dźwiękiem jego nazwiska i powracający natychmiast po nim wyraz nienawiści i strachu wyjawiał mi wszystko. Nie pozostał cień wątpliwości. To nie z winy matki zamknięto ją w zakładzie dla umysłowo chorych. Zamknął ją tam mężczyzna, a

mężczyzną tym był sir Parsival Glyde.

Jej krzyk dosięgnął jeszcze innych uszu. Z jednej strony, od chatki kościelnego, dobiegł mnie stuk otwieranych drzwi, z drugiej - posłyszałem głos jej towarzyszkę, kobiety w szalu, kobiety, którą nazywała panią Clements.

- Już idę! Już idę! - wołał ów głos spoza kępy karłowatych drzew.

W chwilę później ukazała się zdyszana pani Clements.

- Kto pan jest?! - krzyczała ku mnie, patrząc mi odważnie prosto w oczy, skoro tylko postawiła stopę na schodkach wejścia. - Jak pan śmiał tak przerazić tę biedną bezradną istotę!

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, stała już u boku Anny Catherick i położywszy jej rękę na ramieniu dopytywała: - Co się stało, kochanie? Co on ci zrobił?

- Nic - odpowiedziało biedne stworzenie. - Nic. Tylko się przelękałam.

Pani Clements spojrziała na mnie z wyrazem tak nieustraszonego oburzenia, że nabrałem dla niej szacunku.

- Byłbym głęboko zawstydzony, gdybym zasługiwał na to gniewne spojrzenie - rzekłem. - Ale nie zasłużyłem na nie. Miałem nieszczęście ją przestraszyć, choć nie chciałem tego. Ona widzi mnie dziś nie po raz pierwszy. Niech ją pani spyta, czy zdolny byłbym umyślnie skrzywdzić ją lub jakąkolwiek inną kobietę, a sama pani powie, że nie.

Mówiłem wyraźnie, aby Anna Catherick mogła mnie słyszeć i zrozumieć, i widziałem, że dobiegł do niej zarówno dźwięk słów, jak i ich znaczenie.

- Tak, tak - rzekła. - On był dobry dla mnie kiedyś... pomógł mi... - resztę wyszeptala do ucha przyjaciółki.

- Dziwne, doprawdy - rzekła pani Clements patrząc na mnie w zdumieniu. - No, ale to zmienia całą sytuację. Przykro mi, że tak ostro odezwałam się do pana, ale sam pan przyzna, że pozory przemawiały przeciw panu. Właściwie to raczej ja zawiniłam, a nie pan, bo zgodziłam się na jej kaprys i pozwoliłam jej zostać samej w takim miejscu. Chodźmy, moja droga, chodźmy już do domu.

Wydawało mi się, że poczciwa kobiecina z niepokojem myśli o perspektywie powrotu, i ofiarowałem się iść z nimi, aż znajdując się w pobliżu domu. Pani Clements podziękowała mi grzecznie, ale odmówiła. Powiedziała, że gdy dojdą do wrzosowiska, na pewno spotkają robotników z farmy.

- Niech się pani postara mi wybaczyć - zwróciłem się do Anny Catherick, gdy ta ujęła swą opiekunkę pod ramię i miała już odejść.

Na widok tej biednej, bladej, wylęklej twarzy czyniłem sobie gorzkie wyrzuty, choć nie chciałem przecie zdenerwować jej ani wystraszyć.

- Spróbuję - odparła. - Ale pan za dużo wie i myślę, że teraz to już zawsze będę się pana bała.

Pani Clements spojrzała na mnie i współczująco potrząsnęła głową.

- Dobranoc panu - rzekła. - Wiem, że nic nie mógł pan na to poradzić, ale wolałabym, żeby to mnie był pan wystraszył, a nie ją.

Oddaliły się parę kroków. Myślałem, że już nie wrócą, ale nagle Anna zatrzymała się i odeszła od towarzyszki.

- Niech pani poczeka - rzekła. - Muszę się pożegnać. Powróciła do grobu, pieszczotliwym gestem położyła obie dłonie na marmurowym krzyżu i ucałowała go.

- Teraz jest mi lżej - rzekła patrząc na mnie spokojnie. - Przebaczam panu.

Przyłączyła się znów do przyjaciółki i opuściła cmentarz. Widziałem, jak zatrzymały się koło kościoła i rozmawiały z żoną kościelnego, która na krzyk Anny wyszła z chaty i stała obserwując nas z daleka. A potem udały się drogą wiodącą ku wrzosowisku. Patrzyłem za odchodzącą, aż jej postać wtopiła się w tło zmierzchu - patrzyłem z takim przejęciem i żalem, jak gdybym już nigdy na tym smutnym świecie nie miał oglądać kobiety w bieli.

XIV

W pół godziny później byłem we dworze i opowiadałem

pannie Halcombe o wszystkim, co zaszło. Słuchała od początku do końca spokojnie, w milczeniu, z uwagą, co u kobiety o jej temperamencie i usposobieniu stanowiło najlepszy dowód, że przejęła się bardzo moim opowiadaniem.

- Mam złe przeczucia - rzekła, gdy skończyłem mówić. - Mam bardzo złe przeczucia co do przyszłości.

- Przyszłość zależeć może od tego - podsunąłem - jak wykorzystamy teraźniejszość. Bardzo możliwe, że Anna Catherick chętniej i szczerzej mówić będzie z kobietą, niż mówiła ze mną. Gdyby panna Fairlie...

- W tej chwili jest to nie do pomyślenia - przerwała panna Halcombe z całą stanowczością.

- W takim razie niech mi wolno będzie doradzić, by pani sama zobaczyła się z Anną Catherick i zrobiła, co jest w ludzkiej mocy, aby zdobyć jej zaufanie. Jeśli chodzi o mnie, wzdragam się na myśl, bym miał ponownie tak przerazić tę biedną istotę, jak niestety przeraziłem ją dzisiaj. Czy ma pani jakieś obiekcje przeciw pójściu jutro ze »mną na farmę?

- Nie mam absolutnie żadnych. Poszłabym wszędzie i zrobiłabym wszystko dla dobra Laury. Wymienił pan, zdaje się, nazwę farmy?

- Zna ją pani dobrze. To Zakątek Todda.

- Znam, oczywiście. Zakątek Todda to jedna z farm pana Fairlie. Dziewczyna z naszej mleczarni jest młodszą córką farmera. Ciągłe krąży tam i z powrotem między dworem a swoim domem i mogła coś zobaczyć lub usłyszeć, o czym warto byłoby wiedzieć. Może od razu sprawdzę, czy nie ma jej we dworze.

Nacisnęła dzwonek i wysłała służącego z tym zapytaniem. Powrócił i oznajmił, że dziewczyna poszła na farmę. Od trzech dni nie była w domu i gospodyni pozwoliła jej tam pójść wieczorem na parę godzin.

- Pomówię z nią jutro rano - rzekła panna Halcombe, gdy służący ponownie opuścił pokój. - A tymczasem chciałabym dokładnie sobie uprzytomnić, jaki cel ma mieć moje jutrzejsze spotkanie z Anną Catherick. Czy ma pan całkowitą pewność, że osobą, która zamknęła ją w zakładzie, jest sir Parsival Glyde?

- Co do tego nie mam cienia wątpliwości. Nie rozstrzygnięte pozostaje tylko pytanie, jaki miał ku temu powód. Biorąc pod uwagę wielką różnicę pozycji społecznej jego i jej, co zdaje się wykluczać wszelką myśl o najdalszym choćby pokrewieństwie, jest sprawą ogromnie ważną... przyjąwszy nawet, że istotnie trzeba było pozbawić ją wolności... jest sprawą ogromnie ważną, abyśmy wiedzieli, dlaczego to właśnie on przyjął na siebie odpowiedzialność za zamknięcie jej...

- W prywatnym zakładzie, mówił pan?

- Tak, w prywatnym zakładzie, gdzie za leczenie pacjenta płaci się duże sumy, na co nie stać byłoby człowieka niezamożnego.

- Pojmuję, jakie są pana podejrzenia, panie Hartright, i przyrzekam panu, że sprawa ta zostanie wyjaśniona, z pomocą albo bez pomocy Anny Catherick. Sir Parsival Glyde nie zagości długo w tym domu bez wyjaśnień, które zadowolą pana Gilmore i mnie. Przyszłość mojej siostry jest najważniejszą troską mego życia. Siostra liczy się z moim zdaniem i jeśli chodzi o jej małżeństwo, mogę mieć na nią wpływ.

Rozeszliśmy się na noc.

Wskutek wydarzeń owego wieczoru wypadła mi z pamięci pewną sprawą, która nie pozwoliła nam od razu z rana udać się na farmę. Był to mój ostatni dzień w Limmeridge i należało poczekać na przyjście poczty, a potem posłuchać rady panny Halcombe i zwrócić się do pana Fairlie z prośbą, aby pozwolił skrócić o miesiąc mój pobyt w Limmeridge w związku z nieoczekiwanymi wypadkami zmuszającymi mnie do powrotu do Londynu.

Szczęśliwie się złożyło, że tego rana otrzymałem dwa listy od przyjaciół z Londynu, więc pozory przemawiały za mną. Zabrałem natychmiast otrzymaną korespondencję do swego pokoju i posłałem służącego do pana Fairlie z zapytaniem, czy mógłbym się z nim widzieć dla omówienia pewnej sprawy. Oczekiwałem służącego nie niepokojąc się o to, jak przyjęta zostanie moja prośba. Musiałem opuścić Limmeridge, ze zgodą pana Fairlie albo bez niej. Świadomość tego, że stawiam pierwszy krok na smutnej drodze, którą oddalić się mam od

panny Fairlie, czyniła mnie nieczułym na wszystko, co mnie osobiście dotyczyło. Nie istniały już dla mnie błahe względy, męskiej ambicji ani próżność artysty. Jeśli panu Fairlie spodobałoby się traktować mnie z góry, żadna arogancja z jego strony nie zdołałaby mnie zranić.

Służący powrócił z wiadomością, która bynajmniej mnie nie zaskoczyła. Pan Fairlie ogromnie żałował, że tego właśnie rana stan jego zdrowia nie pozwala mu żywić nadziei, iż będzie mógł pozwolić sobie na przyjemność odbycia ze mną rozmowy. Dlatego też prosił, abym zechciał mu wybaczyć i ujął w formę listu to, co mam mu zakomunikować. W czasie mego trzymiesięcznego pobytu w Limmeridge nieraz już otrzymywałem podobne polecenia. Przez cały ten okres pan Fairlie cieszył się „z posiadania mnie” w Limmeridge, ale nigdy nie czuł się dostatecznie dobrze, by móc mnie widzieć po raz drugi. Służący zabierał każdą świeżą plikę odrestaurowanych przeze mnie rysunków i zanosił swemu panu z „wyrazami szacunku” ode mnie, i wracał z pustymi rękoma, ale z „wyrazami uprzejmości od pana Fairlie”, z jego „najlepszymi podziękowaniami” i „szczerym żalem”, że stan jego zdrowia zmusza go do tego, by pozostawał samotnym więźniem swego pokoju. Lepszego rozwiązania dla obydwu stron nie można by wymyślić. Trudno też powiedzieć, kto z nas w tych okolicznościach czuł większą wdzięczność dla zobowiązujących nerwów pana Fairlie.

Zasiadłem natychmiast do pisania listu wyrażając się w nim tak grzecznie, jasno i krótko, jak tylko było to możliwe. Pan Fairlie nie śpieszył się z odpowiedzią. Upłynęła prawie godzina, nim ją otrzymałem. List skreślono nadzwyczaj regularnym charakterem pisma, liliowym atramentem, na papierze grubym niemal jak tektura, a gładkim jak kość słoniowa. Brzmiał, jak następuje:

„Pan Fairlie przesyła wyrazy uprzejmości panu Hartrightowi. Pan Fairlie jest tak niemile zaskoczony listem pana Hartrighta, że nawet (ze względu na obecny stan zdrowia) nie potrafi tego wypowiedzieć. Pan Fairlie nie jest człowiekiem interesu, ale radził się zarządzającego swym domem, który jest człowiekiem

interesu, i ta osoba potwierdza zdanie pana Fairlie, że prośby pana Hartrigha o pozwolenie zerwania umowy nie mogłyby usprawiedliwić żadne względy, jedynie, być może, sprawa czyjegoś życia lub śmierci. Jeżeli uczucia głębokiego szacunku dla Sztuki i jej nauczyciela, będące osłodą i szczęściem pełnego cierpień życia pana Fairlie, mogłyby doznać wstrząsu, pan Hartright swym obecnym postępowaniem niewątpliwie by tego dokonał. Jednakże uczucia te nie uległy zmianie w stosunku do nikogo - prócz samego tylko pana Hartrigha.

Wyraziwszy swą o tym opinię (to znaczy wyraziwszy ją o tyle, o ile pozwala mu na to kiepski stan nerwów), pan Fairlie nie ma już nic więcej do dodania, chce tylko zakomunikować swą decyzję w sprawie tej wielce niewłaściwej petycji, która do niego wpłynęła. Ponieważ spokój ciała i ducha jest dla pana Fairlie rzeczą najważniejszą, przeto nie ścierpi, by pan Hartright mącił mu ten spokój, pozostając pod jego dachem w okolicznościach tak do głębi dla obydwu stron irytujących. Toteż nie skorzysta ze swego prawa odmowy (postępując tak jedynie ze względu na własny spokój) i informuje pana Hartrigha, że może opuścić dwór w Limnieridge".

Złożyłem list i wsunąłem go między inne papiery. Kiedyś oburzyłbym się na taki list jako na obelgę - dziś przyjąłem go jako pisemne rozwiązanie umowy. Nie myślałem o nim, niemal już zapomniałem, kiedy zszedłem na dół do jadalni i zawiadomiłem pannę Halcombe, że jestem gotów iść z nią na faronę.

- Czy pan Fairlie udzielił panu zadowolającej odpowiedzi? - spytała, gdy wyszliśmy z domu.

- Pozwolił mi wyjechać, panno Halcombe.

Spojrzała na mnie bystro, a potem, po raz pierwszy w czasie całej naszej znajomości, sama ujęła mnie pod rękę. Żadne słowa nie zdołałyby z większą delikatnością wyrazić, że zdaje sobie sprawę z tego, w jakiej formie udzielono mi tego pozwolenia, i że mi współczuje nie jak ktoś wyższy pozycją, ale jak przyjaciel. Nie zdołał mnie dotknąć obraźliwy list, ale głęboko wzruszyła mnie rekompensata zań - kobieca dobroć.

Po drodze na farmę uradziliśmy, że panna Halcombe wejdzie

sama do domu, a ja poczekam w pobliżu. Wybraliśmy ten sposób postępowania, obawiając się, że po tym, co poprzedniego wieczoru zaszło na cmentarzu, obecność moja mogłaby znów wywołać u Anny Catherick stan nerwowego lęku i spotęgować jej nieufność wobec prób zbliżenia ze strony nieznanego pani. Pozostałem więc niedaleko domu farmera, a panna Halcombe odeszła, mając zamiar porozmawiać najpierw z żoną farmera (pewna bowiem była z jej strony życzliwej gotowości udzielenia wszelkiej pomocy).

Myślałem, że przez jakiś czas pozostanę sam. Jednakże ku memu zdumieniu nie minęło nawet pięć minut, gdy powróciła.

- Czy Anna Catherick nie chciała rozmawiać z panią? - zapytałem zdziwiony.

- Anny Catherick już tu nie ma.

- Nie ma jej tu?

- Ani pani Clements. Opuściły farmę o ósmej rano.

Nie mogłem nic odpowiedzieć - czułem tylko, że wraz z nimi zniknęła ostatnia szansa wykrycia tajemnicy.

- Dowiedziałam się o gościach pani Todd wszystkiego, co ona o nich wie - ciągnęła panna Halcombe - ale tak samo jak jej i mnie nic to nie wyjaśnia. Wróciły tu wczoraj bezpiecznie po rozstaniu z panem i początkowo spędzały wieczór jak zwykle z rodziną pani Todd. Ale przed samą kolacją Anna Catherick przeraziła ich wszystkich popadłszy w nagłe omdlenie. Podobny, ale nie tak poważny atak miała pierwszego dnia po przybyciu na farmę. Wtedy pani Todd skojarzyła jej omdlenie z jakąś wiadomością, którą Anna Catherick wyczytała w naszej miejscowej gazecie, wzięła ją bowiem ze stołu parę minut przedtem.

- Czy pani Todd wie, co ją tak poruszyło?

- Nie - odparła panna Halcombe. - Przejrzała ten numer gazety i nie znalazła nic, co by mogło kogokolwiek zaniepokoić. Poprosiłam ją jednak, żeby pozwoliła i mnie ją przejrzeć, i zaraz na pierwszej stronie, którą otworzyłam, ujrzałam, że wydawca wzbogacił szczupły zasób swych nowin wiadomością dotyczącą naszych spraw rodzinnych, podając wśród różnych ogłoszeń, przedrukowanych z gazet londyńskich z rubryki:

„Małżeństwa w wyższych sferach” - wiadomość o zaręczynach mej siostry. Od razu zrozumiałam, że to ten anons tak dziwnie wpłynął na Annę Catherick, i to właśnie było powodem napisania listu, który zaraz następnego dnia przysłała do dworu.

- Nie ma co do tego żadnej wątpliwości. A co mówiono pani o jej drugim, wczorajszym omdleniu?

- Nic. Przyczyna tego jest zupełną zagadką. W pokoju nie było nikogo obcego. Jedynym gościem była nasza mleczarka, która, jak już panu mówiłam, jest jedną z córek państwa Todd, a rozmowa, jak zazwyczaj, obracała się wokół plotek o zdarzeniach w okolicy. Nagle posłyszeli jej okrzyk, zobaczyli, że zbladła śmiertelnie, i to bez żadnej widocznej, przyczyny. Pani Clements z pomocą pani Todd zaprowadziła ją na górę i pozostała z nią. Słyszano, jak wieczorem rozmawiały ze sobą znacznie dłużej niż zazwyczaj, a wczesnym rankiem pani Clements wprawiała w osłupienie panią Todd, biorąc ją na stronę i oznajmiając, że muszą zaraz wyjechać. Pani Todd zdołała wydobyć ze swego gościa jedynie to wyjaśnienie, że - nie z winy kogokolwiek na farmie - zaszło coś tak poważnego, że Anna Catherick postanowiła natychmiast wyjechać. Daremnie pani Todd próbowała nakłonić panią Clements, by tłumaczyła się jaśniej. Tamta potrząsnęła tylko głową i oświadczyła, że ze względu na dobro Anny prosi i błaga, aby już jej więcej o nic nie pytano. Z wielkim przejęciem powtórzyła, że Anna musi wyjechać, że ona też wyjedzie i zupełną tajemnicą musi pozostać, dokąd się udają. Oszczędzę panu wysłuchiwanie litanii protestów gościnnej pani Todd. Skonczyło się na tym, że odwiozła je do najbliższej stacji przeszło trzy godziny temu. Po drodze próbowała je nakłonić, by wyjawily, o co chodzi, ale nadaremnie. W końcu wysadziła je przed stacją, tak dotknięta i urażona ich bezceremonialnym, nagłym odjazdem i niegodnym przyjaciół brakiem zaufania, że odjechała w wielkim gniewie i nie zatrzymała się nawet na chwilę, by je pożegnać. Otóż tak to wszystko wyglądało. Niech pan poszuka w pamięci, panie Hartright, i powie, czy wczoraj na cmentarzu nie zdarzyło się coś, co mogłoby w pewnym choćby stopniu wytłumaczyć ten

ich niezwykle wyjazd dzisiejszego ranka.

- Chciałbym wpieryw zrozumieć, panno Halcombe, co mogło być przyczyną owej nagłej zmiany, jaka, ku przerażeniu rodziny farmera, zaszła w Annie Catherick w parę godzin po naszym rozstaniu, kiedy to upłynął już ostatecznie długi okres czasu, by uspokoić największe wzburzenie, jakie mogłem mieć nieszczęście w niej wywołać. Czy rozpatrywała pani szczegółowo, o czym rozmawiano, nim ona zemdliała?

- Tak, pytałam o to, ale zdaje się, że wczorajszego wieczoru sprawy gospodarskie przeszkodziły pani Todd w uważnym słuchaniu rozmowy. Powiedziała mi tylko, że po prostu opowiadano sobie nowinki, i miała zapewne na myśli, że każdy, jak zazwyczaj, opowiada o swoich sprawach.

- Może mleczarka ma lepszą pamięć niż jej matka. Byłoby dobrze, panno Halcombe, gdyby pani zaraz pomówiła z dziewczyną.

Gdy tylko wróciliśmy do dworu, posłuchała mojej rady. Zaprowadziła mnie do gospodarskiej części dworu i znaleźliśmy dziewczynę w mleczarni. Z rękawami wysoko podwiniętymi i wyśpiewując wesoło' myła ogromną bańkę do mleka.

- Anno, przyprowadziłam pana, aby obejrzał twoją mleczarnię. Jest to jedna z tych rzeczy we dworze, które warto widzieć. Zawsze ci przynosi chlubę.

Dziewczyna zarumieniła się, dygnęła i grzecznie powiedziała, że robi, co może, aby w mleczarni było czysto i schludnie.

- Wracamy właśnie z farmy twojego ojca - ciągnęła panna Halcombe. - Słyszałam, że byłeś tam wczoraj i że zastałeś gości?

- Tak, proszę pani.

- Zdaje się, że jedna z tych kobiet zemdliała i zachorowała? Chyba nikt nie zrobił ani też nie powiedział nic takiego, co by ją mogło przestraszyć? Nie mówiliście chyba o żadnych okropnościach, prawda?

- Och, nie, proszę pani! - zaśmiała się w odpowiedzi dziewczyna. - Opowiadałyśmy sobie tylko nowinki.

- Twoje siostry mówiły ci zapewne, co zdarzyło się na farmie?

- Tak, proszę pani.

- A ty podzieliłaś się z nimi nowinami z dworu?

- Tak, proszę pani. I pewna jestem, że nie powiedziały nic, co ją mogłoby wystraszyć, bo to właśnie ja mówiłam, gdy to biedactwo zemdlało. Przeraził mnie ten widok, proszę pani, bo ja jeszcze nigdy w życiu nie mdlałam.

Nim zdążyliśmy zadać jej więcej pytań, zawołano ją do drzwi mleczarni po kosz jaj. Gdy się oddaliła, szepnąłem pannie Halcombe:

- Niech pani zapyta, czy nie wspomniała czasem, że we dworze oczekuje się gości.

Panna Halcombe dała mi do zrozumienia spojrzeniem, że pojmuję, co mam na myśli, i gdy tylko dziewczyna wróciła, spytała ją o to.

- A tak, proszę pani, powiedziałam im - odrzekła z prostotą dziewczyna. - Spodziewani goście i wypadek krasuli to całe nowiny, jakie im przyniosłam.

- Czy wymieniałaś nazwiska? Czy powiedziałaś, że to sir Parsivala Glyde oczekujemy w poniedziałek?

- A tak, proszę pani, powiedziałam, że przyjedzie sir Parsival Glyde. Ale chyba nie ukrzywdziłam tym nikogo? Chyba nie zrobiłam nic złego?

- Ach, nie, nic złego nie zrobiłaś. Chodźmy już, panie Hartright, Anna zacznie nas uważać za natrętów, gdy będziemy jej dłużej przeszkadzać w pracy.

Opuściwszy mleczarnię, stanęliśmy patrząc na siebie.

- Panno Halcombe, czy obecnie nie ma pani podejrzeń?

- Sir Parsival Glyde rozproszy te podejrzania, panie Hartright, albo Laura Fairlie nigdy nie zostanie jego żoną.

XV

Gdy okrążaliśmy dom idąc do drzwi frontowych, ujrzelśmy nadjeżdżającą ze stacji jednokonkę. Panna Halcombe zatrzymała się na schodach czekając na nią, a gdy dorożka stanęła przed. dworem, zeszła powitać starszego pana, który rażno wyskoczył z pojazdu, sikoro tylko opuszczono stopień.

Przyjechał pan Gilmore.

Gdy przedstawiono nas sobie, przyglądałem mu się z ledwo ukrywaną ciekawością. Ten oto stary człowiek pozostanie we dworze w Limmeridge po moim wyjeździe; będzie słuchać wyjaśnień sir Parsivala Glyde i doświadczeniem swym pomoże pannie Haleombe je ocenić; potem będzie czekać, aż rozstrzygnie się sprawa małżeństwa, a w razie pozytywnej decyzji jego to ręka skreśli ślubną intercyzę, która zaręczyny uczyni rzeczą nieodwołalną. Już wówczas, choć tak mało wiedziałem o tej sprawie w porównaniu z tym, co wiem teraz, patrzyłem na radcę prawnego rodziny Fairlie'ch z zainteresowaniem, jakiego jeszcze nigdy nie wzbudził we mnie żaden obcy człowiek.

Jeśli chodzi o powierzchowność, pan Gilmore był żywym zaprzeczeniem utartego pojęcia o tym, jak wygląda stary prawnik. Cerę miał kwitnącą, siwe włosy raczej dość długie i starannie wyszczotkowane; czarny surdut, kamizelkę i spodnie skrojone wyśmienicie; biały krawat zawiązywał starannie, a kozłowe rękawiczki koloru lawendy mogłyby przyozdabiać dłonie największego światowca wśród duchownych nie budząc krytyki modnisiów. Jego postępowaniem kierowały dawne zasady grzeczności, barwiąc przyjemnie jego maniery wykwinną ogładą i etykietalnym wdziękiem, a ożywiała je bystrość dowcipu i przytomność umysłu człowieka, którego stanowisko w życiu wymagało nieustannej czujności władz umysłowych.

Wesołe usposobienie i jasne perspektywy przyszłości, jako start życiowy, następnie długi okres zasłużonego powodzenia i dostatku, pogodna starość wypełniona pracą, opromieniona szacunkiem otoczenia - takie oto skojarzenia nasunęły mi się na widok pana Gilmore w momencie, gdy go po raz pierwszy ujrzałem, a muszę sprawiedliwie przyznać, że późniejsze bliższe poznanie tylko potwierdziło te wrażenia.

Panna Halcombe wprowadziła starego dżentelmena do domu, a ja usunąłem się, by nie skrepowani obecnością obcego mogli swobodnie omawiać sprawy rodzinne. Przeszli przez hali udając się do salonu, a ja ponownie zszedłem ze schodków, by

samotnie błądzić po parku.

Godziny mego pobytu w Limmeridge były policzone, odjazd - nieodwołalnie wyznaczony na następny ranek, moja rola w poszukiwaniach, wywołanych anonimowym listem, skończona. Nie wyrządzą więc krzywdy nikomu - najwyżej samemu sobie! - jeśli na kilka chwil, jakie jeszcze pozostały, dam sercu swobodę, zrzucę okrutny przymus zimnego opanowania, jaki musiałem nałożyć na swe uczucia, i pożegnaj miejsca, gdzie śniłem swój sen na jawie, krótkotrwały sen o szczęściu i miłości.

Instynktownie skierowałem kroki pod okna mego gabinetu, gdzie widziałem ją poprzedniego wieczoru spacerującą z psem, i poszedłem alejką, którą tak często deptały jej drogie stopy, aż znalazłem się przed furtką jej różanego ogrodu. Panowała tu już martwota późnej jesieni. Kwiaty, których nazwy pamiętać ona mnie nauczyła, których barwy malować ja ją uczyłem - przekwitły. Białe ścieżki między klombami podmokły, zzieleniały. Skręciłem w aleję, gdzie tak często spacerowaliśmy razem w ciepłe sierpniowe wieczory, gdzie we dnie podziwialiśmy zawiły deseń słonecznych blasków i cieni, drgający u naszych stóp. Po chwili znalazłem się poza obrębem parku, na dróżce pnącej się w łagodnych skrętach ku pobliskim pagórkom. Stare ścięte drzewo przydrożne, na którym nieraz siadaliśmy, by odpocząć, nasiąkło deszczem, a tuląca się do stóp kamiennego muru kępa traw i paproci, którą kiedyś rysowałem dla niej, zatoneła w ogromnej kałuży, tafli stojących wód z wysepką jakiegoś zielska pośrodku. Wszedłem na szczyt pagórka i spojrzałem na roztaczający się stamtąd widok, tak lubiany przez nas w szczęśliwszych dniach. Pustka i martwota wokół - nie ten obraz, jaki miałem w pamięci! Nie rozświeciła go blask jej obecności, nie ożywia czar jej głosu. Na tym właśnie miejscu, z którego teraz rozglądam się po okolicy, opowiadała mi o swoim ojcu. Przeżył on żonę, a córka kochała go tak bardzo, że i dziś jeszcze, wchodząc do pewnych pokoi lub oddając się pewnym zajęciom czy rozrywkom, które go jej przypominają, boleśnie odczuwa jego utratę. Czyż teraz, stojąc samotnie na wzgórzu, oglądam ten sam widok, który miałem przed oczyma, kiedy mi o tym mówiła? Odwróciłem się i

odszedłem stamtąd. Wracalem okrężną drogą, przez wrzosowisko, potem w pobliżu piaszczystych pagórków, aż zszedłem ku morzu. Przyływ bił białą grzywą pian o plażę, w potężnym rytmie wznosiły się i opadały niezliczone fale! Lecz gdzie jest miejsce, na którym kiedyś końcem parasolki kreśliła figury na piasku? Gdzie siedzieliśmy, kiedy mówiła ze mną o mnie samym i o moim domu, kiedy z kobietą wnikliwością pytała o mą matkę i siostrę, i nieświadoma mych uczuć zastanawiała się, czy kiedykolwiek porzucę swe samotne kawalerskie mieszkanie, będę miał żonę i dom? Wiatr i fale dawno już zatarły wszelki ślad jej bytności, upamiętnionej rysunkiem na piasku. Rozglądałem się po szerokim, monotonnym wybrzeżu, ale zupełnie nie mogłem rozpoznać miejsca, na którym spędziliśmy razem słoneczne godziny, tak jak bym go nigdy nie widział. Wszystko wokół wyglądało tak obco, jak gdybym stał na nieznanym lądzie.

Głucha pustka wybrzeża napelniła mnie goryczą. Skierowałem się w stronę parku i dworu, pełnych świeżych wspomnień.

W zachodniej alei spotkałem pana Gilmore. Najwidoczniej mnie szukał, gdyż na mój widok przyspieszył kroku. Nie byłem w nastroju do rozmowy z nieznanym, ale nie mogąc jej uniknąć, postanowiłem zrobić, co w mej mocy, aby wypadła jak najlepiej.

- Pan jest właśnie osobą, z którą chciałem się zobaczyć - zagaił stary dżentelmen. - Mam coś do powiedzenia panu i jeśli pan pozwoli, skorzystam z tej okazji. Wyrażając się jasno, omawiałem z panną Halcombe sprawy rodzinne, sprawy, które sprowadziły mnie tutaj. W trakcie rozmowy wypłynęła, w naturalny zupełnie sposób, nieprzyjemna historia z owym listem anonimowym. Panna Halcombe opowiedziała mi o pańskim słusznym i przynoszącym panu chlubę udziale w podjętych dotychczas dochodzeniach. Jest zupełnie zrozumiałe, że z tego tytułu interesuje pana pytanie - które w przeciwnym razie zupełnie by pana nie obchodziło - czy dalsze prowadzenie dochodzeń przekazano w godne zaufania ręce. Otóż, drogi panie, co do tego może być pan zupełnie spokojny, bo złożono

to w moje ręce!

- Panie Gilmore, jest pan osobą pod każdym względem bardziej niż ja odpowiednią, by działać i radzić w tej sprawie. Czy byłoby z mej strony niedyskrecją, gdybym zapytał, czy zdecydował już pan o sposobie dalszego postępowania?

- Tak, panie Hartright, oczywiście, o ile to w ogóle jest możliwe. Zamierzam posłać kopię listu wraz z opisem towarzyszących okoliczności adwokatowi sir Parsivala Glyde w Londynie, z którym łączy mnie pewna znajomość. Sam list natomiast zatrzymam, aby pokazać go sir Parsivalowi, skoro tylko przyjedzie.

Zarządziłem też śledzenie owych kobiet, wysyłając zaufaną osobę ze służby pana Fairlie na stację w celu rozpytania się o nie. Osoba ta otrzymała pieniądze i instrukcje i jeśli uda jej się wpaść na trop owych kobiet, podąży za nimi. To wszystko, co można zrobić przed poniedziałkiem, przed przyjazdem sir Parsivala Glyde. Co do mnie, nie wątpię, że niezwłocznie udzieli on wszelkich wyjaśnień, jakich można oczekiwać od dżentelmena i człowieka honoru. Panie Hartright, sir Parsival stoi bardzo wysoko... zajmuje wybitną pozycję... reputacji jego nie są w stanie zaszkodzić podejrzenia. Jestem zupełnie spokojny o wyniki, z przyjemnością mogę pana zapewnić, że jestem zupełnie spokojny. Podobne rzeczy zdarzają się wciąż w mojej praikiye. Anonimowe listy, nieszczęśliwa kobieta, oplakane stosunki społeczne. Nie przeczę, że istnieją tu szczególne komplikacje, ale sama sprawa jest, niestety, niestety, bardzo pospolita.

- Obawiam się, panie Gilmore, że różnię się od pana w zapatrywaniu na tę sprawę.

- Tak, tak, mój drogi panie, tak, tak. Jestem starym człowiekiem i patrzę na świat praktycznie. Pan jest młody i patrzy na świat romantycznie. Ale nie dyskutujmy o naszych poglądach na tę sprawę. Mój zawód sprawia, że żyję w atmosferze dyskusji, panie Hartright, i jestem niezmiernie rad, gdy uda mi się od tego uciec, tak jak uciekłem tutaj. Zobaczmy, co nam wypadki przyniosą, tak, tak, drogi panie, zobaczymy, co nam przyniosą wypadki. Czarująca

miejscowość, nieprawdaż? Dobre polowania? Wątpię. Chyba nie zachowało się żadne z łowisk pana Fairlie. Mimo to czarujące miejsce, przemili ludzie. Słyszałem, że pan rysuje i maluje, panie Hartright? Godna zazdrości umiejętność. Co jest pana specjalnością?

Wywiązała się rozmowa na tematy ogólne, a raczej pan Gilmore mówił, a ja słuchałem. Myślni odbiegłem daleko od niego i od tematów, o których rozprawiał z taką swadą. Samotny dwugodzinny spacer nie minął bez śladu - obudził we mnie chęć wcześniejszego wyjazdu z Limmeridge. Dlaczego miałbym niepotrzebnie przedłużać - choćby o jedną minutę - ciężkie chwile pożegnania? Na co jeszcze mógłbym się tu komukolwiek przydać? Mój dłuższy pobyt w Cumiberland nie służy żadnemu użytecznemu celowi. Udzielone przez mego pracodawcę pozwolenie wyjazdu nie ogranicza mnie żadnym terminem. Czemu więc nie zakończyć tego od razu?

Powziąłem decyzję. Do końca dnia pozostało jeszcze parę godzin - i nie było powodu, bym miał nie wyruszyć w powrotną podróż do Londynu tego samego popołudnia. Pod pierwszym pretekstem, który mi przyszedł na myśl, przeprosiłem pana Gilmore i natychmiast wróciłem do domu.

Idąc do swego pokoju spotkałem na schodach pannę Halcombe. Po moich szybkich ruchach i zmianie zachowania poznała, że powziąłem jakąś nową decyzję. Spytała, co się stało. Wymieniłem jej tak dokładnie, jak na tych kartkach, powody skłaniające mnie do przyspieszenia wyjazdu.

- Nie, nie - oświadczyła łagodnie i poważnie. - Niech pan rozstanie się z nami jak przyjaciel, niech pan raz jeszcze przełamie z nami chleb. Proszę pozostać z nami na obiedzie, proszę pozostać na ten nasz ostatni wspólny wieczór i pomóc nam, by minął podobnie jak te pierwsze wieczory i, o ile to możliwe, równie szczęśliwie. Zapraszam pana w imieniu swoim... w imieniu pani Vesey... - zawahała się i dorzuciła: - ... w imieniu Laury również.

Obiecałem pozostać. Bóg mi świadkiem, że nie chciałem rzucić nawet cienia smutku na żadną z nich.

Mój własny pokój wydał mi się najlepszym miejscem do

spędzenia czasu, jaki pozostał do gongu obiadowego. Czekałem tam, aż nadeszła pora, by zejść na dół.

Nie przemówiłem słowa do panny Fairlie, nie widziałem jej nawet przez cały ten dzień. Nasze spotkanie - gdy wszedłem do salonu - było i dla mnie, i dla niej ciężką próbą panowania nad sobą. Ona również uczyniła wszystko, by ostatni nasz wspólny wieczór przypominał szczęśliwe chwile wspólnie spędzone, te chwile, które nigdy już nie mogły powrócić. Włożyła sukienkę, która podobała mi się najbardziej ze wszystkich jej sukien: suknię z granatowego jedwabiu, oryginalnie i ładnie przyozdobioną staroświecką koronką; jak dawniej, ochoczo wyszła mi na spotkanie i podała rękę z otwartą, szczerą życzliwością minionych, szczęśliwych czasów. Zimno palców, które drżały dotykając moich, bladość policzków i płonący na nich nerwowy rumieniec, smutny uśmiech, przywołany siłą na wargi i gasnący pod moim spojrzeniem - to wszystko mówiło mi, za cenę jakiego samozaparcia zdobyła zewnętrzny spokój. Pokochałbym ją w tym momencie jeszcze bardziej - gdyby nie to, że serce moje całkowicie już wypełniała miłość do niej.

Obecność pana Gilmore była dla nas wielką pomocą. Prawnik był w wyśmienitym humorze i z niesłabnącą werwą prowadził konwersację. Panna Haloombe rezolutnie mu wtórowała, a ja starałem się jak mogłem iść za jej przykładem. Łagodne niebieskie oczy, których wyraz umiałem tak dobrze odczytywać, spjrzały na mnie błagalnie, gdyśmy siadali do stołu. Słodka, przejęta twarzyczka zdawała się mówić: „Pomóż mojej siostrze, a pomożesz mnie”. Obiad przeszedł - przynajmniej jeśli chodzi o pozory - zupełnie szczęśliwie. Kiedy panie wstały od stołu i tylko pan Gilmore był ze mną w jadalni, zdarzyło się coś, co zajęło naszą uwagę, i dzięki czemu mogłem milczeć i uspokoić się na chwilę. Powrócił służący, którego posłano, by wysłedził Annę Catherick i panią Clements, i został natychmiast wpuszczony do jadalni.

- A więc - rzekł pan Gilmore - coście wykryli?

- Wykryłem, proszę pana - odparł służący - że obie kobiety kupiły na stacji bilety do Carlisle.

- Naturalnie, dowiedziawszy się tego, pojechaliście do

Carlisle?

- Pojechałem tam, proszę pana, ale z przykrością muszę powiedzieć, że nie znalazłem żadnych dalszych śladów.

- Pytaliście na stacji?

- Tak, proszę pana.

- I po wszystkich zajazdach?

- Tak, proszę pana.

- Zostawiliście na posterunku policji oświadczenie, które napisałem?

- Zostawiłem, proszę pana.

- A więc, przyjacielu, uczyniliście, co było w waszej mocy, i ja uczyniłem, co było w mojej mocy, i na tym musimy poprzestać aż do uzyskania dalszych informacji. Wyszliśmy w atak, panie Hartright - ciągnął stary dżentelmen, gdy służący opuścił jadalnię. - Kobiety nam się wysliznęły, na razie przynajmniej, więc pozostaje teraz tylko czekać na przyjazd sir Parsivala w poniedziałek. Nie napije się pan jeszcze? To dobry portwajn w tej butelce - zdrowe, mocne, stare wino. Jednak w moich piwnicach mam lepsze.

Przeszliśmy do salonu - do pokoju, w którym spędziłem najszcześniejsze wieczory w moim życiu i którego, po tym ostatnim wieczorze, nie miałem już nigdy ujrzeć. Wygląd salonu zmienił się, gdy dni stały się krótkie i chłodne. Szklane drzwi od tarasu zamknięto i zawieszono na nich grubą kotarę. Zamiast miękkiego półmroku, w jakim zwykliśmy przesiadywać, powitał mnie oślepiający wprost blask światła lamp. Wszystko zmieniło się - w pokoju i na dworze.

Panna Halcombe i pan Gilmore zasiedli do kart, pani Vesey, jak zwykle, zatonała w swym fotelu. Oni czuli się swobodnie tego wieczoru, a widząc to, tym silniej odczułem własne skrepowanie. Zobaczyłem, że panna Fairlie przerzuca nuty. Dawniej zbliżyłbym się do niej, teraz czekałem niezdeterminowany, nie wiedząc, co ze sobą począć. Rzuciła na mnie krótkie spojrzenie, wzięła nagle jakieś nuty i podeszła do mnie.

- Gzy zagrać panu melodie Mozarta, które pan tak lubił? - spytała otwierając jednocześnie nuty i patrząc w nie.

Nie zdążyłem jej podziękować, pośpieszyła do fortepianu. Krzesło, które zwykle zajmowałem, stało puste. Zagrała parę taktów, spojrzała na mnie, potem w nuty.

- Czy nie zajmie pan dawnego swego miejsca? - spytała cicho i porywczo.

- Mogę tu usiąść w ten ostatni wieczór - powiedziałem. Nie odrzekła nic na to, zajęta nutami, choć znała tak dobrze

ten utwór i wiele razy grała go dawniej z pamięci. Ujrzałem, jak z zwróconego w moją stronę policzka znika czerwona plama i cała jej twarz powleka się bladością - i tylko to powiedziało mi, że mnie słyszała, że wie, że jestem blisko.

- Bardzo mi przykro, że pan wyjeżdża - powiedziała niemal szeptem, wpatrując się z coraz większym natężeniem w nuty, a jej palce uderzały w klawisze z jakąś dziwną, gorączkową energią, jakiej nigdy przedtem u niej nie widziałem.

- Będę pamiętać te dobre słowa, panno Fairlie, gdy dzień jutrzejszy dawno już stanie się przeszłością.

- Nie mówmy o jutrze - odparła. - Niechaj muzyka, w języku weselszym niż nasz, mówi nam o dzisiejszym wieczorze.

Wargi jej drżały, uleciało z nich westchnienie, choć próbowała je zdławić. Palce zbłąkały się na klawiszach, uderzyła fałszywy ton, zmieszała się, próbując błąd naprawić, i zagniewana opuściła dłonie na kolana. Panna Halcombe i pan Gilmore spojrzeli na nią w zdumieniu sponad swych kart. Nawet drzemającą w fotelu, panią Vesey zbudziła nagła cisza i stara dama spytała, co się stało.

- Czy gra pan w wista? - spytała panna Halcombe patrząc na mnie znacząco.

Zrozumiałem ją, uznałem, że ma rację, i natychmiast wstałem z krzesła i podszedłem do karcianego stolika. Gdy odchodziłem od fortepianu, panna Fairlie odwróciła kartę nut i dotknęła klawiszy pewniejszą ręką.

- Zagram to - powiedziała, niemal z pasją dobywając tony z instrumentu. - Zagram to w ten ostatni wieczór.

- Niech pani przyjdzie do nas, pani Vesey - rzekła panna Halcombe. - Pana Gilmore i mnie znużyło już écarté, niech pani przyjdzie do nas i będzie partnerką pana Hartrighta w

wiecie.

Stary prawnik uśmiechnął się ironicznie: zwyciężał w grze i właśnie zagarnął króla; najpewniej nagle przerwienie się panny Halcombe z écarté do innej gry przypisał kobiecej niezdolności doprowadzenia do końca przegranej partii.

Przez resztę wieczoru panna Fairlie nie spojrzała na mnie ani nie wyrzekła słowa. Nie odchodziła od fortepianu, a ja nie opuszczałem karcianego stolika. Grała bez przerwy, grała, jak gdyby jedynie w muzyce znajdowała ucieczkę przed samą sobą. Czasami palce jej zdawały się wprost pieścić klawisze, wydobywała z instrumentu tony miękkie, pełne melancholii i rzewnej czułości, niewypowiedziane piękne i zasmucające, czasami odmawiały jej posłuszeństwa potykając się lub goniąc mechanicznie po klawiszach, jak gdyby gra była udręką. Ale choć tak nierówno pianistka odtwarzała melodie, nie słabła w niej chęć grania. Oderwała się od fortepianu dopiero wtedy, gdyśmy wszyscy powstali, by się żegnać.

Pani Vesey znajdowała się najbliżej drzwi i ona pierwsza podała mi rękę.

- Pewno już pana nie zobaczę - mówiła stara dama. - Naprawdę, szczerze żałuję, że pan wyjeżdża. Był pan dla mnie bardzo dobry i uprzejmy, a taka stara kobieta jak ja bardzo to odczuwa i ceni. Życzę panu szczęścia i serdecznie pana żegnam.

Następnie podszedł pan Gilmore.

- Mam nadzieję, że będziemy jeszcze mieli sposobność pogłębić naszą znajomość, panie Hartright. A co do tej drobnej sprawy, sądzę, że nie ma pan wątpliwości, że można mi ją powierzyć z pełnym zaufaniem? Tak, tak, oczywiście. Wielkie nieba, jakże zimno! Nie będę pana dłużej trzymał w drzwiach. Bon voyage, jak mawiają Francuzi, bon voyage, drogi panie!

Z kolei panna Halcombe.

- Jutro rano o wpół do ósmej - rzekła, a potem dodała szeptem: - Widziałam i słyszałam więcej, niż pan przypuszcza. Swym zachowaniem dzisiejszego wieczoru zdobył pan mą przyjaźń na całe życie.

Panna Fairlie podeszła ostatnia. Nie miałem odwagi spojrzeć na nią, kiedy ujmowałem jej dłoń i kiedy myślałem o

jutrzejszym poranku.

- Muszę odjechać bardzo wcześnie - rzekłem. - Odjadę wcześniej, panno Fairlie, nim...

- Nie, nie... - przerwała mi spieszenie - nie wcześniej, nim wyjdę z mego pokoju. Będę na śniadaniu razem z Marianną. Nie jestem przecież tak niewdzięczna, by zapomnieć o tych trzech miesiącach...

Głos jej się załamał, ręka delikatnie uściśnęła moją i wypuściła ją nagle. Odeszła, nim zdążyłem powiedzieć: „Dobranoc”.

Szybko nadejdzie koniec - nadejdzie tak nieodwołalnie, jak nieodwołalnie wzejdzie dzień nad Limmeridge...

Było zaledwie wpół do ósmej, gdy schodziłem na dół, ale one obie czekały już na mnie przy stole. W ten chłodny, ciemny, głuchy ranek zasiedliśmy we troje do śniadania, usiłując jeść, usiłując rozmawiać. Beznadziejną, na nic nieprzydatną była ta walka o zachowanie pozorów, więc wstałem, by ją zakończyć.

Gdy wyciągnąłem dłoń na pożegnanie, gdy panna Halcombe, najbliższej mnie stojąca, ujęła ją, panna Fairlie odwróciła się nagle i wybiegła z pokoju.

- Lepiej tak - rzekła panna Halcombe, gdy zamknęły się drzwi za jej siostrą. - Lepiej i dla pana, i dla niej.

Musiała poczekać chwilę, nie byłem w stanie się odezwać - ciężko było tak rozstawać się z nią, bez pożegnalnego słowa, bez pożegnalnego spojrzenia. Opanowałem się, próbowałem w stosownych wyrazach żegnać pannę Halcombe, ale wszystko, co chciałem powiedzieć na pożegnanie, zbiegło się w jedno jedyne zdanie:

- Gzy zasłużyłem na to, by pani do mnie napisała? - Tyle tylko zdołałem powiedzieć.

- Swą szlachetnością zasłużył pan na to, bym do końca życia robiła dla pana wszystko, co będę mogła zrobić. Będzie pan wiedział, co nastąpi.

- A jeśli kiedykolwiek mógłbym w czym pomóc, kiedyś w przyszłości, w długi czas potem, gdy moja zuchwałość i moje szaleństwo zostaną zapomniane...

Nie mogłem powiedzieć nic więcej. Mimo mych wysiłków,

głos mi się załamał, łzy napłynęły do oczu.

Schwyciła obie moje ręce, uścisnęła je mocno, długo, męskim uściskiem, czarne jej oczy płonęły, śniadą cerę ożywił rumieniec, rysy, wyrażające zazwyczaj energię i siłę, rozświetlił blask szlachetności ducha i najczystszej litości, czyniąc ją piękną.

- Będę panu ufać... jeśli kiedykolwiek nadejdzie taka chwila, zaufam panu jako memu przyjacielowi i jej przyjacielowi... jak memu bratu i jej bratu - urwała, przyciągnęła mnie bliżej ku sobie i - odważna, szlachetna istota - złożyła na mym czole siostrzany pocałunek i zwróciła się do mnie po imieniu: - Niech cię Bóg błogosławi, Walterze! - powiedziała. - Zaczekaj chwilę sam i uspokój się. Ja już pójdę, tak będzie lepiej dla mnie i dla ciebie. Pożegnaj cię z balkonu.

Wyszła z pokoju. Odwróciłem się do okna i wpatrzyłem się w jesienny samotny krajobraz, by się opanować, nim i ja z kolei wyjdę z tego pokoju - już na zawsze.

Upłynęła zaledwie minuta, na pewno nie więcej, kiedy usłyszałem ciche otwarcie drzwi i zbliżający się szelest kobiecej sukni. Serce biło mi gwałtownie, gdy się odwracałem. Z drugiego końca pokoju nadchodziła ku mnie panna Fairlie.

Gdy wzrok nasz się spotkał i gdy zobaczyła, że jesteśmy sami, zawahała się i stanęła. Potem, z odwagą, którą kobiety tak często tracą przy błahych okazjach, a tak rzadko w ważnych chwilach, podeszła do mnie, dziwnie blada i dziwnie spokojna, ciągnąc za sobą jedną rękę po stole, przy którym szła, a w drugiej trzymając coś, co zakrywały fałdy jej sukni.

- Poszłam tylko do salonu - odezwała się - aby tego poszukać. Może będzie to panu przypominać pobyt tutaj i przyjaciół, jakich pan tu zostawia. Kiedy to rysowałam, powiedział mi pan, że się dużo nauczyłam, więc pomyślałam, że może...

Odwróciła głowę i ofiarowała mi niewielki szkic, nakreślony przez nią ołówkiem, a przedstawiający letni pawilon, w którym się po raz pierwszy spotkaliśmy. Papier drżał w jej rękach, gdy go wyciągała ku mnie, drżał w moich, gdy go od niej brałem.

Bałem się wyrazić, co czułem, rzekłem tylko:

- Nie rozstanę się z tym nigdy. Przez całe życie będzie to

moim najcenniejszym skarbem. Jestem pani bardzo wdzięczny za to... jestem bardzo wdzięczny, że nie dała mi pani wyjechać bez pożegnania.

- Och! - powiedziała niewinnie. - Jakżebym mogła pozwolić na to po tylu razem spędzonych szczęśliwych dniach.

- Te dni pewno nigdy nie powrócą, panno Fairlie, różne są drogi naszego życia. Ale jeżeli przyjdzie kiedy chwila, że poświęcenie całego mego serca i duszy, i wszystkich sił mogłoby dać pani moment szczęścia lub oszczędzić przelotnego smutku, czy zechce pani wówczas wspomnieć biednego nauczyciela rysunków, który panią uczył? Panna Halcombe obiecała mieć do mnie zaufanie. Czy i pani może mi to obiecać?

Z łagodnych niebieskich oczu, poprzez wzbierające w nich łzy, wyglądał smutek rozstania.

- Obiecuję to - rzekła załamującym się głosem. - Och, niech pan tak na mnie nie patrzy! Przyrzekam to z całego serca!

Łzy spływały jej szybko po policzkach. Jedną drżącą ręką wsparła się o stół, drugą wyciągnęła do mnie. Ująłem ją w moją i trzymałem mocno. Głowa moja pochylila się nad jej ręką, spadły na nią moje łzy, przycisnąłem do niej wargi - nie z miłością, o, nie z miłością, w tej ostatniej chwili, ale w udręce i zapomnieniu rozpaczy.

- Na miłość Boską, niech pan już jedzie! - wykrzyknęła cicho.

Tymi błagalnymi słowy odsłoniła tajemnicę swego serca. Nie miałem prawa ich słuchać, nie miałem prawa na nie odpowiadać, te słowa ukazały mi jej słabość i przez szacunek dla niej zmusiły mnie do wyjścia z pokoju. To już koniec. Wypuściłem jej rękę i nie powiedziałem nic więcej. Oślepiły mnie łzy, przesłaniając jej postać. Wytarłem je gwałtownie, by spojrzeć na nią po raz ostatni. Ujrzałem, jak pada na fotel, opiera ręce o stół i ciężko osuwa na nie głowę. Ostatnie pożegnalne spojrzenie i drzwi zamknęły się za mną, otworzyła się przepaść oddalenia, obraz Laury Fairlie stał się wspomnieniem przeszłości.

KONIEC OPOWIADANIA HARTRIGHTA.

DALSZY CIĄG HISTORII OPOWIEDZIANY PRZEZ
VINCENTA GILMORE
(adwokata z Chanery Lane)

I

Kreślę te karty na życzenie mego przyjaciela, pana Waltera Hartrighta, w celu przedstawienia pewnych wydarzeń, które rozegrały się po wyjeździe pana Hartrighta z dworu w Limmeridge i wywarły wielki wpływ na losy panny Fairlie.

Nie ma potrzeby, bym wypowiadał się tutaj, czy ja sam sankcjonuję podanie do publicznej wiadomości tej niezwyklej historii rodzinnej, w której opowiadanie moje odgrywa ważną rolę. Pan Hartright wziął na siebie odpowiedzialność za to, a okoliczności, o których będzie mowa później, wykażą, że w pełni zasłużył na prawo wydawania decyzji w tej sprawie.

Obrał plan przedstawienia tej historii w sposób jak najbardziej wierny i żywy, zakładając, że każde kolejne stadium w rozwoju wypadków zrelacjonuje osoba bezpośrednio w owym czasie z tymi wypadkami związana. Moje wystąpienie tutaj w roli narratora jest naturalną konsekwencją takiego założenia. Bawiłem w Cuimiberland podczas pobytu sir Parsivala Glyde i osobiście zainteresowany byłem jednym ważnym rezultatem jego krótkiej wizyty w domu pana Fairlie. Dlatego Jeż powinnością moją jest dodać nowe ogniwo do łańcucha wydarzeń, podejmując ów łańcuch w miejscu, w którym - na czas zresztą tylko pewien - pan Hartright wypuścił go z rąk.

Przybyłem do dworu w Limmeridge w piątek, drugiego listopada. Miałem pozostać tam do przyjazdu sir Parsivala Glyde. Jeśli przyjazd jego doprowadziłby do wyznaczenia daty zawarcia związku małżeńskiego między nim a panną Fairlie, miałem zabrać ze sobą do Londynu wszelkie potrzebne instrukcje i zająć się sporządzeniem intercyzy ślubnej panny Fairlie.

Pan Fairlie nie zaszczycił mnie w piątek rozmową. Już od lat był - albo też tylko wyobrażał sobie, że jest - inwalidą i tego dnia nie czuł się na siłach mnie przyjąć. Pierwszym spotkanym przeze mnie członkiem rodziny była panna Halcombe. Przywitała mnie w drzwiach domu i zapoznała z panem Hartrightem, który od pewnego czasu przebywał we dworze.

Pannę Fairlie zobaczyłem dopiero później, przy obiedzie. Ze smutkiem spostrzegłem, że nie wygląda dobrze. Słodka z niej dziewczyna, tak ujmująca i tak pełna względów dla każdego, jak dawniej jej słodka i niezapomniana matka; chociaż z wyglądu, moim zdaniem, przypominała ojca. Pani Fairlie była brunetką o czarnych oczach i jej starsza córka, panna Halcombe, bardzo jest do niej podobna.

Panna Fairlie grała nam wieczorem na fortepianie, lecz nie tak dobrze, jak zwykle. Rozegraliśmy partyjkę wista, była to jednak tylko profanacja tej szlacheckiej gry. Pan Hartright w chwili prezentacji zrobił na mnie korzystne wrażenie, ale wkrótce przekonałem się, że jeśli chodzi o życie towarzyskie, nie jest wolny od przywar młodego wieku. Trzech rzeczy nie potrafi obecnie żaden przedstawiciel młodej generacji: pić wina, grać w wista ani prawić damie komplementów. Pan Hartright nie stanowi wyjątku od tej ogólnej zasady. Ale poza tym już wtedy, mimo tak krótkiej znajomości, odniosłem wrażenie, że zasługuje na miano dżentelmena.

Tak przeszedł piątek. Nie wspominam o poważniejszych sprawach, które zaprzętały mnie tego dnia: o anonimowym liście do panny Fairlie, o krokach, jakie postanowiłem przedsięwziąć na wieść o tym, ani o swym głębokim przeświadczeniu, że sir Parsival z pewnością wyjaśni nam ten incydent. Nie wspominam o tym, ponieważ wiem, że zostało to już dokładnie przedstawione w relacji, która poprzedza moje opowiadanie.

W sobotę pan Hartright wyjechał ze dworu, nim zszedłem na śniadanie. Panna Fairlie przez cały dzień nie opuszczała swego pokoju, panna Halcombe wydała mi się jakaś bez humoru. Dwór nie był już tym, czym bywał za czasów państwa Filipostwa Fairlie. Przed południem wybrałem się na spacer i

obejrzałem miejsca, które widziałem po raz pierwszy, kiedy to załatwiając pewne sprawy rodziny Fairlie'ch bawiłem tutaj przed przeszło trzydziestu laty. Nic nie jest już tym, czym było.

O godzinie drugiej pan Fairlie zawiadomił mnie, że czuje się dostatecznie dobrze, by móc się ze mną widzieć. On jeden, to pewne, nie zmienił się, odkąd go pierwszy raz spotkałem. Mówił zawsze o tym samym, o sobie, o swych dolegliwościach, o swojej cudownej kolekcji monet, o swoich niezrównanych akwafortach Rembrandta. W momencie gdy wspomniałem o sprawie, dla której tu przyjechałem, zamknął oczy i oświadczył, że go denerwuje. Nie przestałem go denerwować i powracałem wciąż do tego tematu. W rezultacie stwierdziłem tylko, że uważa małżeństwo swej bratanicy za ustalone, usankcjonowane przez jej ojca, usankcjonowane przez niego samego; sądzi, iż jest to dobra partia, a jeśli o niego osobiście chodzi, rad będzie, gdy mu ten kłopot spadnie z głowy. Co do intercyzy, to jeżeli naradzę się z jego bratanicą, a potem korzystając ze swej znajomości spraw rodziny Fairlie'ch wszystko przygotuję, a rolę jego, jako opiekuna, ograniczę do tego, by we właściwym czasie wyrzekł: tak —no, to oczywiście, z największą przyjemnością przychyła się do tego, co będzie stanowić opinię moją i wszystkich innych. Tymczasem oto mam go przed sobą, bezradnego inwalidę, przykutego do fotela. Czy wygląda na osobę, którą trzeba dręczyć? Nie. Zatem dlaczego go dręczę?

Gdybym nie posiadał gruntownej znajomości spraw majątkowych rodziny Fairlie'ch i nie uprzytomnił sobie, że pan Fairlie jako kawaler oczekiwać może po posiadłości Limmeridge jedynie dożywocia - mógłbym być zapewne niemało zdziwiony tą niezwykłą jak na opiekuna powściągliwością w wysuwaniu jakichkolwiek postulatów. W takim jednak stanie rzeczy wynik rozmowy ani mnie nie zdziwił, ani rozczarował. Postępowanie pana Fairlie po prostu potwierdziło moje przypuszczenia.

Niedziela była ponurym dniem, i w domu, i na dworze. Otrzymałem list od adwokata sir Parsiyala Glyde, który pokwitował odbiór kopii anonimu wraz z opisem

towarzyszących okoliczności. Po południu panna Fairlie przyłączyła się do towarzystwa. Wydała mi się blada, przygnębiona, niepodobna do samej siebie. Rozmawiałem z nią i napomknąłem coś delikatnie o sir Parsiyalu.

Nie odrzekła nic na to. Na inne tematy rozmawiała chętnie, ale tego nie chciała poruszać. Zacząłem się zastanawiać, czy czasem nie żałuje, że się zaręczyła, bo nieraz się zdarza młodym pannom żałować poniewczasie.

W poniedziałek przyjechał sir Pansiwl Glyde.

Swoim wyglądem i sposobem bycia zrobił na mnie wrażenie najbardziej ujmującego z ludzi. Wydał mi się starszy, niż myślałem, z łysiną nad czołem, z twarzą nieco zniszczoną i naznaczaną przez czas. Jednakże odznaczał się istic młodzieńczym usposobieniem i żywością ruchów. Z niekłamaną serdecznością witał pannę Halcoimbe, a kiedy zostałem mu przedstawiony, odniósł się do mnie tak miło, jakbym był jego dawnym przyjacielem. Panny Fairlie nie było z naimi w chwili jego przyjazdu, ale weszła do pokoju w jakie dziesięć minut później. Sir Parsival wstał i powitał ją z niezrównanym wdziękiem. Swą troskę na widok zmiany w wyglądzie młodej panny wyraził z czułością i z szacunkiem, a jego delikatność i naturalność świadczyły dobrze zarówno o wychowaniu, jak i o roizsądku. W tych okolicznościach byłem zatem zdziwiony widząc, że panna Fairlie czuje się jakoś nieswojo w jego obecności i że korzysta z pierwszej okazji, aby wyjść z pokoju. Sir Parsival nie zwrócił uwagi na jej powściągliwość w rozmowie z nim ani na szybkie odejście. Nie narzucał jej swych względów, gdy był w pokoju, ani po jej wyjściu nie niepokoił parany Halcombe żadnymi pytaniami. Jego takt nie zawiódł ani w tej, ani w żadnej innej sytuacji, gdy w czasie mego pobytu w Limmeridge znajdowałem się w jego towarzystwie. Skóro tylko panna Fairlie wyszła z pokoju, poruszył sprawę anonimowego listu, wybawiając nas tym samym z kłopotu. Zatrzymał się w Londynie po drodze do Bamipshire, widział się z adwokatem, przeczytał wysłane przeze mnie dokumenty i pospieszył do Cumberland, by jak najprędzej przywrócić nam spokój, udzielając wyjaśnień tak

wyczerpujących, jak to tylko będzie możliwe. Słyszając to, podałem mu oryginał listu, który chowałem dla niego. Podziękował mi, ale nie chciał go oglądać, mówiąc, że widział kopię i że nie ma nic przeciwko temu, by oryginał pozostał w naszych rękach. Wyjaśnił nam, że pani Catherick przez usługi oddane jego rodzinie i jemu samemu w ubiegłych latach zasłużyła na jego wdzięczność. Spadło na nią podwójne nieszczęście, gdyż mąż ją opuścił, a jedyne dziecko już od najmłodszych lat zdradzało niedorozwój umysłowy. Po ślubie pani Catherick przeniosła się do odległej od posiadłości sir Parsivala części Hampshire, lecz starał się nie tracić jej z oczu, gdyż jego życzliwość dla biednej kobiety, płynąca z pamięci o jej dawnych usługach, spotęgował jeszcze podziw dla jej męstwa i cierpliwości, z jaką znosiła swe nieszczęście. Z biegiem lat symptomy zaburzeń umysłowych jej córki wzrosły tak bardzo, że koniecznością się stało umieszczenie jej pod odpowiednią opieką lekarską. Pani Catherick rozumiała, że jest to koniecznością, ale jednocześnie uprzedzenie - bardzo rozpowszechnione wśród ludzi jej stanu - nie pozwalało jej na umieszczenie jedyne dziecko w publicznym zakładzie na koszt społeczeństwa. Sir Parsival uszanował ten przesąd, tak jak szanował zawsze poczucie niezależności wśród ludzi wyższych sfer, i postanowił okazać pani Catherick wdzięczność za dawne usługi dla jej rodziny, ponosząc koszt utrzymania jej córki w jakimś godnym zaufania zakładzie. Niestety, ku żalowi pani Catherick i jego własnemu, nieszczęsna istota dowiedziała się, że przyczynił się do zamknięcia jej w zakładzie, wskutek czego powzięła ku niemu głęboką nieufność i nienawiść. Z tej to nieufności i nienawiści, które w różny sposób przejawiały się w zakładzie, wypłynął najwidoczniej list anonimowy, napisany po jej ucieczce. Jeżeli panna Halcombe albo pan Gilmore uważają, że list nie potwierdza tej jego opinii, albo jeżeli chcą poznać więcej szczegółów dotyczących zakładu (adres jego wymienił, jak również nazwiska i adresy lekarzy, na podstawie orzeczenia których pacjentka została przyjęta), to gotów jest odpowiedzieć na każde pytanie i wyjaśnić każdą wątpliwość. Spełnił już swą powinność wobec nieszczęsnej

młodej kobiety i wydał swemu adwokatowi instrukcje, aby nie żałował wydatków na jej odszukanie i umieścił ją raz jeszcze pod opieką lekarską, obecnie troszczy się tylko o to, aby wypełnić swój obowiązek wobec panny Fairlie i jej rodziny w sposób równie prosty i otwarty.

Ja pierwszy mu odpowiedziałem. Widziałem jasno, jak mam postąpić. Na tym polega piękno prawa, że można poddać dyskusji każde ludzkie stwierdzenie, niezależnie od okoliczności i formy, w jakich je wypowiedziano. Gdyby poczucie mego zawodowego obowiązku kazało mi wszcząć proces przeciwko sir Parsivalowi Glyde na podstawie jego wyjaśnień, niewątpliwie bym to uczynił. Ale to nie wchodziło w zakres moich obowiązków, w mojej kompetencji leżało tylko krytyczne podejście do sprawy. Zadaniem moim było - pamiętając o tym, że nieposzlakowana reputacja sir Parsivala stanowi pewien argument na jego korzyść - ocenić wyjaśnienie, jakie przed chwilą i złożył, i zadecydować, czy to, co powiedział, jest czy nie jest prawdopodobne. Wydało mi się prawdopodobne i dlatego oświadczyłem, że moim zdaniem wyjaśnienie jego jest bezsprzecznie wystarczające.

Panna Halcombe popatrzyła na mnie badawczo, a potem wypowiedziała parę słów w tym samym sensie, jednakże z jakimś wahaniem, którego, jak mi się zdawało, bynajmniej nie usprawiedliwiały okoliczności. Nie umiem, z całkowitą pewnością orzec, czy sir Parsdval spostrzegł to, czy nie. Ale myślę, że chyba spostrzegł, bowiem niezwłocznie podjął znów ten temat, choć miałby wszelkie prawo już do niego nie wracać.

- Gdybym to proste stwierdzenie, jak się sprawy mają, skierował tylko do pana Gilmore - rzekł - uważałbym dalsze omawianie tej nieszczęsnej sprawy za niepotrzebne. Od pana Gilmore, jako od dżentelmena, mogłem słusznie oczekiwać, że mi uwierzy na słowo, a skoro oddał mi tę sprawiedliwość, skończyła się między nami wszelka dyskusja na ten temat. Ale inna jest moja sytuacja wobec damy. Jej winien jestem okazać - choć żadnemu z mężczyzn na całym świecie nie przyznałbym do tego prawa! - jej winien jestem okazać dowód prawdziwości moich słów. Pani nie może o taki dowód prosić, panno

Halcombe, i dlatego jest moim obowiązkiem wobec pani, a jeszcze bardziej wobec panny Fairlie, samemu taki dowód przedstawić. Czy mógłbym prosić, by napisała pani od razu do matki tej nieszczęsnej kobiety, do pani Catherick, i ją poprosiła o świadectwo, mogące poprzeć moje wyjaśnienia?

Zobaczyłem, że panna Halcombe blednie i na jej twarzy maluje się wielkie zakłopotanie. Widocznie i jej, podobnie jak mnie, wydało się, że słowa sir Parsivala, choć bardzo grzeczne, zawierają delikatną aluzję do wahania, jakie zdradziła przed chwilą.

- Mam nadzieję, sir Parsivalu, że nie jest pan na tyle niesprawiedliwy, by sądzić, że mu nie wierzę? - rzuciła szybko.

- Oczywiście, że nie; panno Halcombe. Czynię moją propozycję jedynie z szacunku dla pani. Proszę wybaczyć mi mój upór, ale będę nalegać, aby pani to uczyniła.

Mówiąc to podszedł do biurka, przysunął krzesło i otworzył pudełko z papierem listowym.

- Proszę panią jak o łaskę o napisanie tego listu - rzekł. - Nie zajmie to pani więcej, jak kilka minut. Chodzi tylko o to, by zapytała pani panią Catherick o dwie rzeczy. Po pierwsze, czy jej córka umieszczona została w zakładzie za jej wiedzą i zgodą. Po drugie; czy zasłużyłem sobie przez mój udział w tej sprawie na wyrazy jej wdzięczności. Pan Gilmore nie niepokoi się już tą nieprzyjemną sprawą i pani również jest co do tego spokojna, proszę więc, niech pani łaskawie napisze ten list, żebym i ja przestał się tym kłopotać.

- Zmusza mnie pan, bym spełniła pana życzenie, choć wolałabym tego nie robić - odparła panna Halcombe.

Wstała ze swego miejsca i podeszła do biurka. Sir Parsival skłonił się, wręczył jej pióro i odszedł do kominka. Na dywaniku przed kominkiem leżał mały włoski charcik panny Fairlie. W przyływie dobrego humoru sir Parsival wyciągnął rękę i przemówił do pieska.

- Chodź, Nina - rzekł. - Pamiętasz mnie, prawda?

Ale małe stworzonko, tchórzliwe i złośliwe, jak często pieski domowe, spojrzało na niego bystro, cofnęło się i uciekając od jego wyciągniętej ręki, zawył i drżąc całe ukryło się pod sofą.

Wydaje się prawie niemożliwe, aby taki drobiazg, jak zachowanie się psa, mógł go wytrącić z równowagi, ale mimo to zauważyłem, że bardzo gwałtownie odsunął się od sofy i podszedł do okna. Być może, czasami wpada w irytację. Jeżeli tak jest, to współczuję mu. Ja też mam takie usposobienie, że czasem wpadam w irytację.

Panna Halcombe nie pisała listu długo. Skończywszy wstała od biurka i wręczyła sir Parsivakwi otwarty arkusik papieru. Skłonił się, natychmiast bez przeglądania złożył, zapieczętował, zaadresował i oddał jej do rąk. Nigdy w życiu nie widziałem, by zrobiono coś z większym wdziękiem i stosownością.

- Czy pan nalega na to, bym wysłała ten list, sir Parsivalu? - spytała panna Halcombe.

- Błagam, niech pani to wyśle - odrzekł. - A teraz, kiedy list jest już napisany i zapieczętowany, niechaj mi wolno będzie zadać parę pytań, dotyczących tej nieszczęsnej kobiety. Czytałem list, który pan Gilmore był łaskaw posłać mojemu adwokatowi, przedstawiający okoliczności, w jakich rozpoznano autorkę anonimu. Ale jest kilka punktów, których to sprawozdanie nie wyjaśnia. Czy Anna Catherick widziała się z panną Fairlie?

- Z całą pewnością nie.

- Czy widziała się z panią?

- Nie.

- Zatem nie widziała się z nikim ze dworu, prócz niejakiego pana Hartrighta, który przypadkowo spotkał ją na cmentarzu?

- Z nikim poza nim.

- Zdaje mi się, że pan Hartright zatrudniony był w Limmeridge jako nauczyciel rysunków? Jest on zapewne członkiem jednego z klubów malarzy?

- Myślę, że jest - odparła panna Halcombe.

Umilkł na chwilę, jak gdyby zastanawiał się nad jej odpowiedzią, a potem dodał:

- Czy udało się pani dowiedzieć, gdzie zatrzymała się Anna Catherick, przebywając w tej okolicy?

- Tak. W farmie na wrzosowisku, zwanej Zakątkiem Todda.

- Naszym obowiązkiem względem tej biednej kobiety jest jej

odnalezienie - ciągnął sir Parsival. - Mogła powiedzieć coś będąc w Zakątku Todda, co pomoże nam ją odnaleźć. Dlatego też udam się na farmę i postaram czegoś dowiedzieć. A tymczasem, ponieważ nie jestem w stanie omawiać tej przykrej sprawy z panną Fairlie, czy mógłbym prosić, aby zechciała pani sama udzielić jej koniecznych wyjaśnień, odkładając to oczywiście do czasu, gdy otrzyma pani odpowiedź na list?

Panna Halcombe obiecała spełnić jego prośbę. Podziękował jej, skinął nam uprzejmie głową i wyszedł, aby rozgościć się w swym pokoju. Kiedy otwierał drzwi, kapryśny charcik wysunąwszy ostry pyszczek spod sofy zaczął znów szczekać i warczeć na niego.

- No cóż, panno Halcombe - odezwałem się, gdy zostaliśmy sami. - Dobry początek dnia. Skończyły się nasze niepokoje.

- Tak - odrzekła. - Bez wątpienia. Cieszę się bardzo, że zadowolili pana te wyjaśnienia.

- Że mnie zadowolili! Przecież panią też chyba zadowolili, zwłaszcza że ma pani ten list w ręku!

- O tak, jakżeby mogło być inaczej. Wiem, że to niemożliwe - ciągnęła mówiąc raczej do siebie niż do mnie - ale tak bym pragnęła, żeby Walter Hartright pozostał z nami dłużej i usłyszał te wyjaśnienia i tę propozycję napisania listu.

Zdziwiły mnie, a może nawet nieco zaintrygowały te słowa.

- To prawda - rzekłem - że wydarzenia związały pana Hartrigha bardzo silnie ze sprawą tego listu. I przyznać muszę, zważywszy wszystko, że okazał wielką delikatność i rozsądek. Ale zupełnie nie pojmuję, jaki dobroczynny wpływ mogłaby jego obecność wywrzeć na umysł mój i pani, jeżeli chodzi o zrozumienie oświadczenia sir Pansivala.

- To tylko taka fantazja - odparła w zamyśleniu. - Nie ma potrzeby nad tym dyskutować, panie Gilmore. Pana doświadczenie powinno być i jest najlepszym przewodnikiem, jakiego mogłabym sobie życzyć.

Niezupełnie mi odpowiadało to zrzucenie w tak wyraźny sposób całej odpowiedzialności na mnie. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby uczynił to pan Fairlie. Ale rezolutna i rozsądna panna Halcombe była ostatnią osobą, po której mógłbym oczekiwać

uchylania się od wyrażenia własnej opinii.

- Jeżeli nadal niepokoją panią jakieś wątpliwości - perswadowałem - czemuż nie wyzna mi ich pani od razu? Niech mi pani po prostu powie, czy ma pani jakieś powody, aby nie dowierzać sir Parsivalowi Glyde?

- Nie mam żadnych.

- Czy widzi pani coś nieprawdopodobnego lub sprzecznego w jego wyjaśnieniach?

- Jakże mogłabym tak mówić, skoro sam dał mi dowód prawdy swoich słów*? Czy może być, panie Gilmore, lepsze dlań świadectwo niż świadectwo matki tej kobiety?

- Nie może być lepszego. Jeżeli odpowiedź na pani pytanie okaże się zadowalająca, to ja przynajmniej nie wiem, czego więcej mogliby oczekiwać po sir Parsivalu jego przyjaciele.

- Zatem wyśle list - rzekła wstając, by wyjść z pokoju - i do czasu nadejścia odpowiedzi zaniechamy dalszych wzmianek o tej sprawie. Niech pan nie przywiązuje wagi do mego wahania. Nie mogę wytłumaczyć go inaczej, jak tym, że ostatnio tak bardzo niepokoję się o Laurę, a niepokój, panie Gilmore, potrafi rozstroić nawet najsilniejszych z nas.

Gdy mówiła te ostatnie słowa, jej mocny zazwyczaj głos się załamał. Potem szybko odeszła. Wrażliwa, uczuciowa, gwałtowna natura - w dzisiejszych czasach kobieta taka zdarza się jedna na dziesięć tysięcy pospolitych, powierzchownych kobiet. Znałem ją od dzieciństwa, a gdy dorosła, widziałem ją w czasie niejednej próby, w czasie niejednego ciężkiego kryzysu rodzinnego. To moje długoletnie doświadczenie ostrzegło mnie, bym nie lekceważył wahania, jakie okazała w przedstawionych tu okolicznościach, choć, gdyby chodziło o inną kobietę, nie przypisywałbym .mu znaczenia. Nie widziałem powodu, by żywić jakiegokolwiek wątpliwości lub odczuwać zaniepokojenie, a jednak obudziła we mnie wątpliwość i niepokój. Gdybym był młody, dałabym się i irytował z powodu tego niezrozumiałego nastroju. Ponieważ jestem już stary, wiedziałem, że to nie zda się na nic, i filozoficznie poszedłem na spacer, chcąc o tym zapomnieć.

II

Spotkaliśmy się znów wszyscy w czasie obiadu.

Sir Parsival był w tak hałaśliwie wesołym nastroju, że wprost nie mogłem uwierzyć, że to ten sam człowiek, którego takt, ogłada i rozsądek tak mnie ujęły przy naszej porannej rozmowie. Jedyne od czasu do czasu, gdy zwracał się do panny Fairlie, odnajdywałem w nim tego dawnego człowieka. Na jej słowo czy spojrzenie hamował najgłośniejszy wybuch śmiechu, przerywał potok najweselszej przemowy i w jednej chwili poświęcał jej całą swą uwagę, zapominając o wszystkich obecnych. Nie próbował nigdy otwarcie wciągnąć jej do rozmowy, ale nie przepuścił najdrobniejszej nawet sposobności, by panna Fairlie włączyła się niejako przypadkowo do konwersacji i tylko w tych sprzyjających okolicznościach mówił jej słowa, które mężczyzna mniej delikatny i mniej wyrobiony towarzysko powiedziałby, gdy tylko przyszłyby mu na myśl. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że choć panna Fairlie zauważa okazywane jej względy, wcale nie jest nimi wzruszona. Czasami widać było na jej twarzy zmieszanie, gdy na nią patrzył lub mówił do niej, ale nigdy nie było widać uczucia. Wysoką godność, fortunę, dobrą prezencję, szacunek dżentelmena i oddanie kochanka - to wszystko składano pokornie u jej stóp, i, jak widać, składano nadaremnie.

Następnego dnia rano sir Parsival wzięwszy za przewodnika jednego ze służących pojechał do Zakątka Todda. Jak dowiedziałem się później, jego indagacje nic nie dały. Po powrocie odbył rozmowę z panem Fairlie, a po południu pojechał konno na przejażdżkę z panną Halcombe. Poza tym nie zdarzyło się nic godnego wzmianki. Wieczór przeszedł jak zwykle. Nie zauważyłem żadnej zmiany ani w zachowaniu panny Fairlie, ani sir Parsivala.

Środowa poczta była wydarzeniem: przyniosła odpowiedź od pani Catherick. Zrobiłem odpis tego dokumentu, który przechowałem i mogę teraz przedstawić. Brzmi, jak następuje:

„Szanowna Pani!

Spieszę potwierdzić odbiór listu, w którym zapytuje Pani, czy moja córka, Anna, została umieszczona pod nadzorem lekarskim z moją wiedzą i wolą i czy sir Parsival przez swój udział w tej sprawie zasłużył na wyrazy niej wdzięczności. Na obydwie te pytania odpowiadam twierdząco i pozostaję z szacunkiem.

Pani unizona sługa

Janina Anna Catherick”.

Krótko, dobitnie, rzeczowo. Jeżeli chodzi o formę, kobieta pisała tak, jak by to był list handlowy, jeżeli chodzi o treść, tak jasno potwierdzała oświadczenie sir Parsivala, jak tylko można było sobie tego życzyć. Taka była opinia moja i - z pewnymi drobnymi zastrzeżeniami - opinia panny Halcombe. Gdy daliśmy sir Parsivalowi ten list do przeczytania, nie okazał bynajmniej zdziwienia ani z powodu jego tonu, ani lakoniczności. Oznajmił nam, że pani Catherick jest kobietą małomówną, rozsądną, bezpośrednią i prozaiczną i zwykła pisywać listy krótko i po prostu, tak właśnie, jak mówi. Pozostawał teraz jeszcze jeden obowiązek do wypełnienia, a mianowicie przekazanie pannie Fairlie wyjaśnień sir Parsivala. Panna Halcombe, która przyrzekła to sir Parsivalowi, wyszła z pokoju, aby porozmawiać z siostrą na ten temat. Niespodziewanie szybko wróciła i siadła koło fotela, w którym czytałem gazety. Sir Parsival wyszedł przed chwilą, aby obejrzeć stajnie, i w pokoju nie było nikogo poza nami.

- Myślę, że chyba rzeczywiście zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy? - zapytała obracając w palcach list pani Catherick.

- Jeżeli jesteśmy przyjaciółmi sir Parsivala, którzy go znają i ufają mu, zrobiliśmy wszystko, a nawet więcej, niż było konieczne - odpowiedziałem trochę zdenerwowany jej ponownym wahaniem. - Ale jeżeli jesteśmy wrogami, którzy podejrzewają go...

- O tym nie ona mowy - przerwała. - Jesteśmy przyjaciółmi sir Parsivala, który przez swą szlachetność i cierpliwość

zasłużył na to, byśmy zostali jego wielbicielami. Wszak wiadomo panu, że był wczoraj u pana Fairlie, a później pojechał ze mną na przejażdżkę?

- Tak. Widziałem państwa jadących razem.

- Przejazdżka nasza zaczęła się rozmową na temat Anny Catherick i szczególnych okoliczności, w jakich spotkał ją pan Hartright. Ale szybko wyczerpaliśmy temat, po czym sir Parsival zaczął mówić o swych zaręczynach z Laurą. Mówił bez cienia egoizmu. Powiedział, że zauważył jej przygnębienie i że temu skłonny jest przypisać - jeśli nie zostanie powiadomiony, że jest inaczej - zmianę w jej stosunku do niego, widoczną w czasie tej jego wkyty. Jeżeli jednak istnieje jakaś poważniejsza przyczyna tej zmiany, błaga, aby nikt, ani pan Fairlie, ani ja, nie wywierał na nią żadnego nacisku. W tym wypadku prosi tylko o jedno, aby po raz ostatni przypomniała sobie, w jakich okolicznościach zawarte zostały zaręczyny i jakie było jego zachowanie od początku starań o jej rękę aż do chwili obecnej. Jeżeli po należyтым rozważeniu tych dwu punktów będzie naprawdę życzyła sobie, aby zrzekł się swych praw do zaszczytu zostania jej mężem i jeżeli sama mu to powie, wtedył poświęci się i zostawi jej całkowitą swobodę zerwania zaręczyn.

- Żaden mężczyzna nie mógłby powiedzieć więcej, panno Halcombe. A jeżeli brać pod uwagę moje doświadczenie, mało mężczyzn w jego sytuacji powiedziałoby tak wiele.

Panna Haleombe milczała przez chwilę, a potem spojrzała na mnie z jakimś dziwnym wyrazem pomieszania i udręki.

- Nikogo nie oskarżam i niczego nie podejrzewam - wybuchnęła nagle. - Ale nie mogę i nie przyjmę na siebie odpowiedzialności za namawianie Laury do tego małżeństwa.

- O to właśnie prosił panią sir Parsival! - odrzekłem w zdumieniu. - Prosił przecież, by nie walczyć z jej skłonnościami.

- A pośrednio zobowiązuje mnie do wywarcia na nią przymusu przez powtórzenie jego słów.

- Jakże to być może?

- Zna pan Laurę, panie Gilmore. Jeżeli jej powiem, by zastanowiła się nad okolicznościami zawarcia zaręczyn,

zaapeluję do dwóch uczuć najsilniejszych w jej naturze: miłości do nieżyjącego ojca i poszanowania prawdy. Pan wie, że ona nigdy nie złamała przyrzeczenia, pamięta, że zawarła te zaręczyny, gdy jej ojciec ciężko zachorował, i że na łożu śmierci z nadzieją i radością mówił o jej małżeństwie z sir Parsivalem.

Przyznam się, że trochę wstrząsnęło mną takie postawienie sprawy.

- Ale przecież - rzekłem - nie chce pani powiedzieć, że sir Parsival rozmawiając z panią wczoraj liczył na to, że jego słowa odniosą taki właśnie rezultat?

Jej szczerą, odważną twarzą wyraziła odpowiedź, nim zdołała sformułować ją w słowach.

- Czy sądzi pan, że pozostałabym choć chwilę w towarzystwie człowieka, którego posądzalabym o taką podłość? - rzekła z gniewem.

Spodobało mi się, że tak gwałtownie okazała swe oburzenie. Tak wiele widziałem w mej zawodowej pracy podłości, a tak mało oburzenia.

- Ale w takim wypadku niech pozwoli sobie pani powiedzieć, że posuwa się pani za daleko. Jakikolwiek mogłyby być konsekwencje tego, sir Parsival ma prawo oczekiwać, że siostra pani gruntownie przemyśli sprawę swych zaręczyn z wszelkich rozsądnych punktów widzenia, nim zażąda zerwania. Jeżeli ten nieszczęsny list tak ją uprzedził do niego, niech pani idzie od razu i powie jej, że sir Parsival oczyścił się, całkowicie w oczach moich i w oczach pani. Jakiż zarzut może potem przeciw niemu wysunąć? Jakiż może mieć powód zmiany stosunku do człowieka, którego faktycznie uznała za swego przyszłego męża już przeszło dwa lata temu?

- Myślę, panie Gilmore, że wobec prawa i rozsądku Laura nie ma żadnej wymówki. Jeżeli ona wciąż się waha i ja wciąż się waham, wolno jest panu przypisać nasze zachowanie kaprysowi nas obu, a my musimy znieść to oskarżenie.

Wypowiedziawszy te słowa wstała nagle i wyszła. Kiedy stawiamy poważnie myślącej kobiecie poważne pytanie, a ona uchyla się przed nim dając wymijające odpowiedzi, to w dziewięćdziesięciu dziewięciu na sto przypadków jest to

niechybny znak, że coś ukrywa.

Powróciłem do gazety z mocnym podejrzeniem, że panna Halcombe i panna Fairlie mają jakiś sekret, który ukrywają przed sir Parsivalem i przede mną. Pomyślałem, że jest to niesprawiedliwe w stosunku do nas obu - a zwłaszcza w stosunku do sir Parsivala.

W tym przypuszczeniu, a raczej, mówiąc ściśle, w tym przekonaniu utwierdziły mnie słowa i zachowanie panny Halcombe przy ponownym naszym widzeniu się tego dnia. Dziwnie powściągliwie i z podejrzaną rezerwą opowiedziała o swej rozmowie z siostrą. Jak wynikało z opowiadania, panna Fairlie słuchała spokojnie, gdy panna Halcombe przedstawiała jej we właściwym świetle sprawę listu, ale kiedy oznajmiła jej, że celem przyjazdu sir Parsivala jest skłonienie narzeczonej do wyznaczenia dnia ślubu, położyła kres dalszej rozmowie na ten temat, prosząc, by jej dano trochę czasu. Jeżeli sir Parsival zgodzi się nie nalegać na nią w tej chwili, postara się udzielić mu ostatecznej odpowiedzi przed końcem roku. W takim podnieceniu, tak żarliwie błagała o zwłokę, że panna Halcombe przyrzekła użyć całego swego wpływu - jeżeli to będzie konieczne - aby uzyskać tę zwłokę. Na tym, na usilne prośby panny Fairlie, skończyła się dyskusja nad sprawą małżeństwa.

Ta propozycja tymczasowego załatwienia sprawy była może wygodna dla młodej pani, ale okazała się nieco kłopotliwa dla piszącego te słowa. Poranna poczta przyniosła mi list od mego współnika z wiadomością, że powinienem wrócić do Londynu następnego dnia po południu. Nie wydawało mi się prawdopodobne, abym w tym roku po raz drugi mógł odwiedzić Limmeridge. Wobec tego, jeśli panna Fairlie ostatecznie zdecyduje się nie zrywać zaręczyn, konieczne w takim wypadku osobiste porozumienie się z nią przed napisaniem interczyzy okaże się zgoła niemożliwe i będziemy musieli listownie załatwiać kwestie, które powinny być zawsze osobiście przedyskutowane. Nie wspomniałem jednak nic o tych trudnościach, póki sir Parsival nie został powiadomiony o życzeniu panny Fairlie. Tak szarmancki jak on dżentelmen nie mógł jej prośbie odmówić. Kiedy panna Halcombe doniosła mi

o tym, oświadczyłem, że muszę koniecznie porozumieć się z panną Fairlie przed wyjazdem, i w rezultacie ustaliliśmy, że zobaczą się z nią następnego poranka w jej własnym saloniku. Panna Fairlie nie zeszła na obiad ani też nie przyłączyła się do nas wieczorem. Wymówiła się niedyspozycją i wydało mi się, że sir Parsival słysząc to był trochę niezadowolony - do czego miał najzupełniejsze prawo.

Następnego ranka, zaraz po śniadaniu, udałem się do saloniku panny Fairlie. Biedna dziewczyna była tak blada i smutna, z taką uprzejmością i wdziękiem wstała na me powitanie, że natychmiast wyrzekłem się zamiaru strofowania jej za kaprysy i brak decyzji, choć z tym postanowieniem szedłem do jej pokoju. Podprowadziłem pannę Fairlie do krzesła i usiadłem naprzeciwko. W pokoju znajdował się ów niesforny charcik i myślałem, że powita mnie szczekaniem i warczeniem. Ale, rzecz dziwna, kapryśne zwierzątko zachowało się inaczej, niż przypuszczałem, bo zaledwie usiadłem, wskoczyło mi na kolana, tuląc przyjaźnie do mej ręki swój spiczasty pyszczek.

- Gdy była pani dzieckiem, moja droga, siadywała pani często na mych kolanach - rzekłem. - A teraz pani piesek postanowił zając opustoszały tron. Czy ten ładny widoczek to pani dzieło?

Wskazałem albumik leżący na stoliku przy niej. Zapewne go przeglądała przed moim przyjściem. Był otwarty na stronie, na której bardzo starannie wyklejono mały pejzażyk, wykonany akwarelą. Ten właśnie widoczek nasunął mi pytanie, błahe pytanie, zaiste, ale czyż mogłem od razu zacząć z nią mówić o interesach?

- Nie - odpowiedziała zmieszana, odwracając wzrok od obrazka. - To nie ja malowałam.

Już od dzieciństwa miała zwyczaj rozmawiając z kimś zajmować swe niespokojne palce pierwszą lepszą rzeczą, jaka jej wpadła w rękę. W tej chwili palce powędrowały do albumu. Zamyślona postukiwała w brzegi akwareli. Wyraz melancholii, malujący się na jej twarzy, jeszcze się pogłębił. Nie patrzyła na rysunek, nie patrzyła na mnie, jej oczy błędziły niespokojnie po pokoju, zdradzając, że odgaduje cel mej wizyty. Spostrzegłszy

to pomyślałem, że trzeba bez dalszej zwłoki przystąpić do rzeczy.

- Przyszedłem tu, moja droga - zacząłem - aby pożegnać się z panią. Muszę dziś wrócić do Londynu, a przed wyjazdem chciałbym, byśmy zamienili parę słów na temat pani spraw.

- Bardzo żałuję, że pan wyjeżdża, panie Gilmore - powiedziała patrząc na minie życzliwie. - Pana pobyt tutaj przypomina dawne dobre czasy.

- Mam nadzieję, że będę mógł powrócić i przywołać raz jeszcze te przyjemne wspomnienia - odrzekłem - ale ponieważ przyszłość jest niepewna, muszę korzystać ze sposobności i porozmawiać z panią. Jestem starym prawnikiem i starym pani przyjacielem i pewien jestem, że nie obrazi się pani, gdy jej przypomnę o ewentualnym małżeństwie z sir Parsivalem Glyde.

Oderwała dłonie od albumu tak gwałtownie, jak gdyby ją oparzył, i opuściła ręce na kolana, splatając nerwowo palce. Wzrok wbiła w ziemię, a na jej twarzy pojawił się wyraz przymusu, graniczący niemal z bólem.

- Czy naprawdę koniecznie musimy mówić o moim małżeństwie? - spytała cicho.

- Musimy wspomnieć, ale nie będziemy się nad tym rozwodzić - odparłem. - Powiedzmy sobie po prostu, że może pani wyjść za mąż i może pani nie wyjść. Jeżeli chodzi o pierwszą ewentualność, muszę być na nią z góry przygotowany, bym mógł spisać pani intercyzę ślubną, a ze względów grzecznościowych nie powinienem tego robić nie naradziwszy się wpieryw z panią. To może być moja ostatnia okazja posłyszania życzeń pani. Z tego więc względu złożmy, że wychodzi pani za mąż, i niech pani pozwoli, bym powiedział, tak zwięźle, jak tylko się da, jaka jest obecna pani sytuacja i jaka może być w przyszłości.

Wyłumaczyłem jej, co jest przedmiotem intercyzy, a potem powiedziałem jej wyraźnie, jakie ma przed sobą widoki, po pierwsze, po dościsiu do pełnoletności, po drugie, z chwilą śmierci stryja. Zazaczyłem przy tym różnicę między własnością, na której ma tylko dożywocie, a własnością

pozostawianą jej do dyspozycji. Słuchała uważnie, nadal z wyrazem przymusu na twarzy i nadal w zdenerwowaniu .splatała palce obu rąk.

- A teraz - zakończyłem - proszę mi powiedzieć, czy nie przychodzi pani na myśl jakiś warunek, który - gdyby sprawy rzeczywiście wzięły taki obrót - chciałyby pani, abym dla niej zastrzegł, oczywiście za zgodą opiekuna, ponieważ jeszcze nie jest pani pełnoletnia?

Poruszyła się niespokojnie na krześle, a potem nagle spojrzała mi w oczy z wielką powagą.

- Jeżeli to się stanie - zaczęła słabym głosem - jeżeli... jeżeli...

- Jeżeli wyjdzie pani za mąż - dokończyłem .za nią.

- Niech 'mu pan nie pozwoli rozłączyć mnie z Marianną! - zawołała z nagłym przyływem energii.- O, panie Gilmore, błagam, niech pan uczyni to prawem, że Marianna ma mieszkać ze mną!

W innych okolicznościach może by ubawiła minie ta typowo kobieca interpretacja mego pytania i poprzedzających ją długich wyjaśnień. Ale wyraz jej twarzy i ton jej głosu nie tylko narzuciły mi powagę, ale przejęły mnie głęboko. Jej słowa, choć wypowiedziała ich tak niewiele, zdradzały, że rozpaczliwie trzyma się przeszłości, co nie było dobrą wróżbą dla przyszłości.

- Można będzie łatwo ustalić na drodze prywatnego porozumienia, by panna Hakombe mieszkała z panią - odrzekłem. - Zdaje mi się, że nie zrozumiała pani mego pytania. Odnosiło się ono do pani własności, do dysponowania pieniędzmi. Przypuśćmy, że kiedy pani dojdzie do pełnoletności, będzie pani musiała napisać testament. Komu by pani chciała pozostawić pieniądze?

- Marianna była dla mnie zarówno matką jak siostrą - odrzekła ta dobra, kochająca, dziewczyna, a jej ładne niebieskie oczy błyszczały i rzucały blaski, gdy to mówiła. - Czy mogę zostawić pieniądze Mariannie, panie Gilmore?

- Naturalnie, moja kochana - zapewniłem ją. - Ale niech pani pomyśli, jaka to wielka suma. Czy chciałyby pani, żeby w całości przeszła na panną Halcombe?

Zawahała się; po jej twarzy przemknął przelotny rumieniec, oparła znów rękę o album.

- Niezupełnie cała - powiedziała. - Poza Marianną jest jeszcze ktoś...

Urwała, twarz jej poróżowiła, a palce spoczywające na albumie zaczęły uderzać o brzeg akwareli, jak gdyby pod wpływem jakiegoś wspomnienia grając z pamięci ulubioną melodię.

- Ma pani na myśli kogoś innego z rodziny poza panną Halcombe? - spytałem, aby jej dopomóc.

Rumieniec ogarnął jej czoło i szyję, a palce zacisnęły się nerwowo na książce.

- Jest jeszcze ktoś - powtórzyła, nie zwracając uwagi na moje słowa, choć musiała je usłyszeć - jest jeszcze ktoś, kto zapewne cieszyłby się z drobnego dowodu pamięci, gdybym mu go mogła zostawić. Nie byłoby w tym nic złego, bo ja bym już wtedy nie żyła...

Znowu przerwała. Rumieniec, który tak gwałtownie się pojawił, równie gwałtownie zniknął. Ręka wypuściła album, zadrżała i odsunęła go. Laura popatrzyła na mnie, potem się odwróciła. Gdy zmieniała pozycję na krześle, chusteczka jej upadła, i panna Fairlie spieszenie ukryła twarz w dłoniach.

Jakież to było smutne! Pamiętać Laurę, tak jak ja ją pamiętałem, jako najżywsze, najweselsze dziecko, śmiejące się przez cały dzień, i widzieć ją teraz w rozkwicie młodości i piękna - złamaną, nieszczęśliwą!

W smutku, jaki wzbudził we mnie ten widok, zapomniałem, że minęły lata, zmieniając nasz wzajemny stosunek. Przysunąłem się z krzesłem bliżej niej, podniosłem chusteczkę z dywanu i delikatnie odjąłem jej ręce od twarzy. - Nie płacz, kochanie - powiedziałem i wycierałem łzy, wzbierające w jej oczach, jak gdyby była małą Laurą Fairlie sprzed dziesięciu laty.

Obrałem najlepszy sposób, by ją uspokoić. Położyła głowę na moim ramieniu i uśmiechnęła się przez łzy.

- Bardzo mi przykro, że się tak zapomniałam - powiedziała po prostu. - Nie czuję się dobrze... ostatnio jestem bardzo słaba i

zdeenerwowana, a kiedy zostaję sama, często płacę bez powodu. Ale teraz już mi lepiej, już mogę odpowiadać tak, jak powinnam, panie Gilmore, doprawdy już mogę.

- Nie, nie, moja droga - odparłem - na razie uważajmy ten temat za wyczerpany. Powiedziała pani dosyć, by dać mi prawo do jak najsumienniejszego zatroszczenia się o pani interesy, a szczegóły możemy omówić przy innej okazji. Skończmy teraz z interesami i porozmawiajmy o czym innym.

Od razu wciągnąłem ją do rozmowy na inne tematy. Po dziesięciu minutach była już w lepszym nastroju, a ja wstałem, żeby się pożegnać.

- Niech pan tu jeszcze przyjedzie - zaprosiła mnie serdecznie.

- Za następną pana wizytą będę się starała bardziej zasłużyć na pana życzliwość i troskę o moje interesy.

Wciąż Ignęła do przeszłości - przeszłości, którą i ja, i panna Halcombe reprezentowaliśmy dla niej - każde na swój sposób. Zaniepokoiło mnie to, że rozpoczynając wędrówkę życiową spogląda wstecz, tak jak czynię to ja - stojący u kresu tej drogi.

- Mam nadzieję - odpowiedziałem - że jeśli przyjadę tu jeszcze kiedy, zastanę panią w lepszym zdrowiu niż teraz. Zdrowszą i szczęśliwszą. Niech cię Bóg błogosławi, moja droga!

Za całą odpowiedź nadstawiła policzek, bym ją pocałował. Cóż, i prawnicy mają serce, a moje bolało mnie trochę, gdy się z nią rozstawałem.

Rozmowa nasza trwała zaledwie pół godziny. Laura Fairlie nie wyrzekła w mej obecności ani słowa, które by wyjaśniło tajemnicę jej najwidoczniejszego przygnębienia z powodu zamierzonego małżeństwa i lęku przed nim, a jednak zdołała przeciągnąć mnie na swoją stronę, choć zupełnie nie wiedziałem, dlaczego. Wchodziłem do jej pokoju z przeświadczeniem, że sir Parskał Glyde ma słuszne powody, by skarżyć się na to, jak go traktowała, a wychodziłem, żywiąc skrycie nadzieję, że może sprawa skończy się tym, że Laura Fairlie powoła się na jego własne słowa i zażąda zerwania zaręczyn. Człowiek w moim wieku z moim doświadczeniem nie powinien tak zmieniać zapatrywań w sposób zupełnie nieuzasadniony. Nie znajduję żadnej wymówki dla siebie.

Mogę tylko przedstawić prawdę i powiedzieć: tak to właśnie było.

Zbliżała się godzina mego odjazdu. Powiadomiłem pana Fairlie, że chciałbym się z nim pożegnać, jeśli sobie tego życzy, ale proszę, by łaskawie wziął pod uwagę, że bardzo się spieszę. Przysłał mi odpowiedź nakreśloną ołówkiem na skrawku papieru: „Wiele serdeczności i najlepsze życzenia, drogi Gilmore. Jakikolwiek pośpiech jest dla mnie szkodliwy. Niech pan, proszę, dba o siebie. Do widzenia”.

Przed samym odjazdem widziałem się przez chwilę sam na sam z panną Halcombe.

- Czy powiedział pan Laurze wszystko, co chciał jej pan powiedzieć? - spytała.

- Tak - odparłem. - Bardzo jest osłabiona i podenerwowana. Dobrze, że pani jest przy niej i czuwa nad nią.

Bystre oczy panny Halcombe wpatrywały się we mnie uważnie.

- Zmienia pan swą opinię o Laurze - powiedziała. - Jest pan dla niej teraz bardziej wyrozumiały, niż wczoraj.

Żaden rozsądny mężczyzna bez odpowiedniego przygotowania nie stanie do słownego pojedynku z kobietą. Odpowiedziałem tylko:

- Proszę mnie zawiadomić, jak się sprawy ułożą. Nie przedsięwezmę nic, póki nie otrzymam wiadomości od pani.

Wciąż wpatrywała się bacznie w moją twarz.

- Chciałabym, żeby to się już skończyło i skończyło dobrze, panie Gilmore, a i pan też by tego chciał.

Z tymi słowami odeszła.

Sir Parsdval z. największą uprzejmością nalegał, że odprowadzi mnie do drzwi powozu.

- Jeżeli kiedykolwiek znajdzie się pan w sąsiedztwie mego domu - powiedział - proszę nie zapominać, że szczerze pragnę pogłębić naszą znajomość. Wypróbowany, wierny przyjaciel tej rodziny zawsze będzie miłym gościem w moim domu.

Doprawdy, człowiek, któremu się trudno oprzeć.- doskonale wychowany, pełen względów dla innych, wolny od zarozumiałości - dżentelmen w każdym calu. Jadąc na stację

myślałem, że z radością uczyniłbym wszystko dla dobra jego interesów - wszystko na świecie prócz przygotowania intercyzy jego żony.

III

Tydzień minął od mego powrotu do Londynu, a nie miałem jeszcze żadnej wiadomości od panny Halcombe.

Ósmego dnia wśród innych listów położono na mym stole list pisany jej ręką.

Donosiła mi, że sir Parsival Glyde został definitywnie przyjęty i ślub ma się odbyć, tak jak on sobie początkowo życzył, przed końcem roku. Prawdopodobnie ceremonia dopełniona zostanie w drugiej połowie grudnia. Urodziny panny Fairlie przypadały w końcu marca. Tak więc, zgodnie z tym postanowieniem, miała zostać żoną sir Parsivala na trzy miesiące przed dojściem do pełnoletności.

Nie powinno mnie to ,było dziwić, nie powinno zmartwić, a jednak zdziwiło mnie i zmartwiło. Do uczuć tych przyłączyło się drobne rozczarowanie z powodu zbytnej lakoniczności listu panny Halcorabe, co też było jednym z powodów, że na cały dzień miałem popsuty humor.

W sześciu linijkach korespondentka moja zawiadamiała mnie o zamierzonym małżeństwie; w trzech zawarła wiadomość, że sir Parsival opuścił Cumberland, udając się do swego domu w Hamipshire; a w dwóch ostatnich zdaniach poinformowała mnie, że po pierwsze, Laurze bardzo potrzeba zmiany i weselszego towarzystwa, a po drugie, że postanowiła wobec tego od razu poprobować, jaki wpływ wywrze na siostrę niezwłoczna zmiana otoczenia, i zabiera ją na wizytę do starych przyjaciół w Yorkshire. Na tym kończył się list - bez słowa wyjaśnienia, co wpłynęło na pannę Fairlie, że w tydzień zaledwie po naszym widzeniu się zdecydowała się zostać żoną sir Parsivala.

Później wytłumaczono mi, co było przyczyną tej nagłej decyzji. Ale opowiadanie o tym nie jest moim zadaniem, gdyż nie mógłbym uczynić tego dokładnie, znając sprawę tylko ze

słyszenia. Panna Halcombe знаła dobrze wszystkie okoliczności towarzyszące tej decyzji i jako naoczny świadek przedstawi je wszystkie szczegółowo i wiernie, gdy ja zakończę swoje opowiadanie. A tymczasem, nim odłożę pióro i zniknę z tej opowieści, zobowiązany jestem zapoznać czytelnika z jednym jeszcze, ostatnim, w którym brałem udział, wydarzeniem, związanym ze ślubem panny Fairlie, mianowicie ze spisywaniem interczy.

Niepodobna mówić o tym dokumencie w sposób zrozumiały, nie wyświetliwszy przedtem pewnych szczegółów, dotyczących pieniężnej sytuacji panny młodej. Spróbuję wyjaśnienie to podać krótko i jasno, unikając trudnych zawodowych wyrażen, i określić. Jest to sprawa zasadniczej wagi. Uprzedzam wszystkich czytających te karty, że dziedzictwo panny Fairlie jest bardzo ważnym elementem tej historii i że jeżeli chcą zrozumieć dalsze opowiadania, wiedza pana Gilmore w tej dziedzinie musi stać się ich udziałem.

A zatem, panna Fairlie spodziewała się dziedzictwa dwojakiego rodzaju, to jest ewentualnie własności nieruchomości, czyli ziemi w razie śmierci stryja oraz niezawodnie z chwilą dojścia do pełnoletności - ruchomości osobistej, czyli pieniędzy.

Rozpatrzmy wpieryw kwestię dziedziczenia ziemi.

W chwili śmierci dziadka po mieczu panny Fairlie (którego nazwiemy panem Fairlie seniorem) sprawa sukcesji w dziedziczeniu majątku Limmeridge wyglądała następująco.

Umierając pan Fairlie senior pozostawił trzech synów: Filipa, Fryderyka i Artura. Filip, jako najstarszy, dziedziczył majątek. Gdyby umarł nie zostawiając syna, majątek przeszedłby na drugiego brata, Fryderyka, a gdyby ten umarł bez męskiego potomka - na trzeciego, Artura. Jak wiadomo, pan Filip umarł osierocając jedyną córkę, Laurę, której dotyczy ta historia, i w rezultacie majątek przeszedł drogą prawną na drugiego brata, Fryderyka, kawalera. Trzeci brat, Artur, umarł na wiele lat przed śmiercią Filipa, pozostawiając syna i córkę. Syn, student Oxfordu, mając lat osiemnaście, utonął. Na skutek jego śmierci Laura, córka Filipa Fairlie, stała się domniemaną dziedziczką

majątku i zgodnie z naturalnym biegiem życia mogła oczekiwać, że Limmeridge przejdzie na nią po śmierci stryja, jeśli ten nie będzie miał syna. Wyjąwszy więc tę ewentualność, że pan Fryderyk ożeni się i pozostawi dziedzica (ze wszystkich rzeczy na świecie te dwie były najmniej prawdopodobne), jego siostrzenica, Laura, otrzymać winna majątek w chwili jego śmierci; ale, należy o tym pamiętać, tylko w dożywocie. Jeżeli zmarłaby jako panna albo mężatka bezdzietna, Limmeridge przeszłoby w ręce jej kuzynki Magdaleny, córki pana Artura Fairlie.

Jeżeli wyszłaby za mąż z odpowiednią intercyzą - a więc z intercyzą, jaką zamierzałem ją zabezpieczyć - wtedy dochód z majątku (dobre trzy tysiące na rok) byłby przez całe życie do jej dyspozycji. Jeżeli zmarłaby przed mężem, wtedy naturalnie jemu dane byłoby rozporządzać tymi dochodami do końca życia. Jeżeli mieliby syna, on zostałby dziedzicem, z wykluczeniem kuzynki Magdaleny. Tak więc małżeństwo z panną Fairlie dawało sir Parsivalowi widoki na następujące korzyści w razie śmierci pana Fryderyka Fairlie: po pierwsze, dysponowałby dochodem trzech tysięcy rocznie (za zgodą żony, a gdyby ją przeżył, na mocy własnego prawa dziedziczenia), a po drugie, jeśli by mieli syna, ten odziedziczyłby cały majątek.

Tyle, jeśli chodzi o majątek ziemski i dysponowanie dochodami z niego w razie małżeństwa z panną Fairlie. Jak dotąd nie zanosilo się na to, aby między mną a adwokatem sir Parsivala powstać miały jakiegokolwiek kwestie czy różnice zapatrywań na temat praw majątkowych żony.

Następnym punktem, który wypadnie nam rozważyć, jest sprawa majątku osobistego, czyli, mówiąc innymi słowy, pieniędzy, które panna Fairlie otrzyma doszedłszy do pełnoletności.

Ta część jej dziedzictwa stanowiła sama w sobie pokaźną fortunę. Dziedziczyła ją na mocy testamentu ojca, a była to suma dwudziestu tysięcy funtów. Poza tym panna Fairlie miała jeszcze dożywotni procent z dalszych dziesięciu tysięcy, które po jej śmierci przejść miały na ciotkę Eleonorę, jedyną siostrę pana Filipa Fairlie. Niewątpliwie bardzo dopomogę

czytelnikowi w zrozumieniu spraw rodzinnych państwa Fairlie, jeżeli poświęcę chwilę czasu na wyjaśnienie, dlaczego ciotka miała czekać aż do śmierci bratanicy.

Wzajemne stosunki pana Filipa Fairlie i jego siostry były doskonałe, dopóki pozostawała niezamężna. Ale kiedy dość późno wyszła za mąż wiążąc się z dżentelmenem z Włoch, nazwiskiem Fosco (a raczej z włoskim arystokratą, gdyż nosił tytuł hrabiego), pan Fairlie tak ostro wyraził swą dezaprobatę, że zerwał z nią wszelkie stosunki; a nawet posunął się do tego, że wykreślił imię siostry ze swego testamentu. Cała pozostała rodzina uznała tak surowe potępienie małżeństwa Eleonory za nieuzasadnione. Hrabia Fosco, choć niebogaty, nie był przecie awanturnikiem bez grosza. Posiadał niewielkie, ale wystarczające dochody. Od wielu lat mieszkał w Anglii i miał ustaloną wysoką pozycję towarzyską. Te względy jednakże nie przemawiały do pana Fairlie, gdyż jego poglądy na wiele spraw były poglądami Anglika starej daty. Nienawidził cudzoziemca po prostu z tej racji, że był cudzoziemcem. Jedynym ustępstwem, jakie, głównie za wstawiennictwem panny Fairlie, zdołano na nim wymóc, było ponowne umieszczenie imienia siostry w. testamencie, z tym jednak zastrzeżeniem, że czekać miała na swój legat, gdyż procenty przysługiwały dożywotnio córce pana Fairlie, gdyby zaś jego siostra zmarła przed kuzynką Magdaleną, tej ostatniej przyspaść miała cała suma.

Zważywszy wiek obu pań było rzeczą nader wątpliwą, by ciotka, jeśli życie popłynie normalnym torem, otrzymała kiedykolwiek swe dziesięć tysięcy funtów. Madame Fosco dała swemu oburzeniu z powodu postępków brata wyraz tak niesprawiedliwy, jak to zwykle bywa w podobnych wypadkach, i nie chciała widywać swej bratanicy ani też uwierzyć, że panna Fairlie wstawiała się u ojca, by przywrócić imię siostry w testamencie.

Tak wyglądała sprawa dziesięciu tysięcy funtów. Przy omawianiu tego punktu z doradcą prawnym sir Parsivala również nie mogły powstać żadne trudności. Dochodem rozporządzać będzie żona, a po jej śmierci suma przejdzie na jej ciotkę lub kuzynkę. Wyjaśnwszy w ten sposób wszystkie

kwestie wstępne, przystąpię wreszcie do sedna sprawy: do dwudziestu tysięcy funtów.

Suma ta stanowić miała asbolutną własność panny Fairlie z chwilą dojścia do pełnoletności, a rozporządzanie nią w przyszłości zależeć miało przede wszystkim od warunków wprowadzonych przeze mnie do tej intercyzy. Inne klauzule tego dokumentu nosiły charakter formalny i nie ma potrzeby ich tu przytaczać. Ale klauzula odnosząca się do pieniędzy była zbyt ważna, by można ją pominąć. Wystarczy kilka linijek dla podania koniecznych wyjaśnień.

Moja kalkulacja co do tych dwudziestu tysięcy była po prostu taka. Należało rozporządzić całą sumą w ten sposób, żeby dać dochody w dożywocie pani, potem w dożywocie sir Parsivalowi, a po ich śmierci kapitał ich dzieciom. W braku potomstwa kapitałem rozporządzić miała pani zgodnie ze swą wolą, wyrażoną w testamencie. Dlatego też zastrzegłem dla niej prawo spisania testamentu. Rezultat tych zastrzeżeń można tak podsumować. Jeżeli lady Glyde zmarłaby bezdzietna, jej przyrodnia siostra, panna Halcombe, albo inni krewni czy przyjaciele, których chciałaby obdarować, podzieliliby między siebie, w chwili śmierci jej męża, taką część kapitału, jaką by im wyznaczyła. Jeśli jednak pozostawiłaby dzieci, wtedy, oczywiście, wzgląd na ich dobro wykluczałby korzyści intnych osób. Tak brzmiał ten paragraf i myślę, że każdy czytający go zgodzi się ze mną, że oddawał wszystkim sprawiedliwość.

A teraz proszę posłuchać, jak przyjęła moje propozycje strona męża.

W czasie gdy nadszedł list od panny Halcombe, byłem bardziej niż zwykle zajęty. Ale wystarałem się o trochę wolnego czasu, by móc spokojnie spisać intercyzę. W niecały tydzień po otrzymaniu od panny Halcombe listu z zawiadomieniem o zamierzonym małżeństwie wysłałem projekt initercyzy do potwierdzenia adwokatowi sir Parsiwa.

Po upływie dwu dni dokument wrócił do mnie z uwagami adwokata baroneta. Ogólnie biorąc, jego zastrzeżenia miały charakter drobiazgowy i formalny - dopóki nie doszedł do paragrafu dotyczącego dwudziestu tysięcy. Na znak sprzeciwu

dwukrotnie zakreślił odpowiednie linie czerwonym atramentem i dopisał następującą uwagę:

„Nie do przyjęcia. Kapitał przechodzi na sir Parsivala, jeżeli przeżyje żonę i nie będą mieli potomstwa”.

Mówiąc innymi słowy, ani jeden szeląg z owych dwudziestu tysięcy nie miał się dostać pannie Halcombe ani żadnemu innemu krewnemu czy przyjacielom. W razie braku potomstwa cała suma miała wpaść mężowi do kieszeni.

Na tę zuchwałą propozycję napisałem odpowiedź tak krótką i ostrą, jak tylko mogłem:

„Drogi panie! Sprawa intercyzy panny Fairlie. Paragraf zakwestionowany podtrzymuję w całej pełni. Z szacunkiem...”

Odpowiedź przysłała w ciągu kwadransa:

„Drogi panie! Sprawa intercyzy panny Fairlie. Zakwestionowany ustęp zakreślony czerwonym atramentem podtrzymuję w całej pełni. Z szacunkiem...”

Znaleźliśmy się więc obaj, jak określa to nienawistny mi żargon, „w kropce” i nie pozostało nam nic innego, jak odwołać się do naszych klientów.

Moja klientka, panna Fairlie, nie ukończyła jeszcze dwudziestu jeden lat. Opiekunem jej był pan Fryderyk Fairlie. Wysłałem przeto do niego list jeszcze tego samego dnia, przedstawiając sprawę jasno i dokładnie, i nie tylko uwzględniłem każdy możliwy argument, który w pojęciu moim mógłby go skłonić do poparcia mojego sformułowania tego paragrafu, ale poza tym niedwuznacznie stwierdziłem, że u podstaw opozycji przeciw skreślonemu przeze mnie zapisowi dwudziestu tysięcy tkwi chęć zdobycia tych pieniędzy. Orientowałem się doskonale, dzięki znajomości stanu interesów sir Parsivala (które poznałem, gdy projekt zapisu z jego strony został we właściwym czasie przedstawiony mi do wglądu), że na majątku jego ciążyą olbrzymie długi i że jego dochody, choć nominalnie wysokie, w rzeczywistości, zważywszy jego pozycję, równe są niemal zeru. A więc, patrząc na rzeczy realnie, zdobycie gotówki było dla sir Parsivala koniecznością życiową i notka jego prawnika na odnośnym paragrafie zapisu stanowiła po prostu szczerą, egoistyczne

stwierdzenie faktu.

Odpowiedź pana Fairlie przysłała odwrotną pocztą. Była w najwyższym stopniu nedorzeczna i pogmatwana. Wyrażona w sposób prosty brzmiałaby mniej więcej tak: „Czy drogi pan Gilmore zechciałby łaskawie nie dręczyć swego przyjaciela i klienta takimi drobnostkami, jak dziedziczenie w dalekiej przyszłości? Czy jest prawdopodobne, by młoda dwudziestoletnia kobieta zeszła z tego świata przed czterdziestopięcioletnim mężczyzną? I to zeszła bez potomstwa? A z drugiej strony, czy na tym nieszczęśliwym świecie istnieje coś lepszego niż cisza i spokój? I skoro można uzyskać te dwa niebiańskie błogosławieństwa w zamian za taki drobniąg, jak nikła nadzieja dziedziczenia w odległej przyszłości dwudziestu tysięcy, czyliż to nie jest dobry interes? Oczywiście, że tak. A zatem czemu się na to nie zgodzić?”

Z najwyższym wstrętem odrzuciłem od siebie ten list. Gdy spadł na podłogę, usłyszałem pukanie do drzwi i wprowadzono do mego gabinetu pana Merrimana, adwokata sir Parsivala. Na świecie istnieje wiele odmian cwaniaków, ale myślę, że najtrudniej jest się obronić przed tymi, którzy przychodzą do nas w masce nieodmiennie dobrego humoru. Gdy przy załatwianiu jakiejś sprawy ma się do czynienia z korpulentnym, dobrze odżywianym i przyjaźnie uśmiechniętym człowiekiem interesu, perspektywy są zupełnie beznadziejne. A pan Merriman należał właśnie do tej kategorii ludzi.

- No, jakże się miewa zacny pan Gilmore? - zagadnął cały w aureoli promiennego ciepła własnego serca. - Jakże mi miło pana widzieć w tak doskonałym zdrowiu. Przechodziłem obok i pomyślałem sobie, że tak na wszelki wypadek zajrzę, bo może ma mi pan coś do powiedzenia. Błagam, proszę, załatwmy to nasze małe nieporozumienie ustnym wyjaśnieniem, jeśli się tylko da! Czy ma pan już odpowiedź swego klienta?

- Tak. A pan?

- Och, dobry, zacny pan Gilmore! Jakżebym pragnął mieć od niego jakąkolwiek odpowiedź! Z całego serca pragnąłbym, żeby zdjął z mych barków tę odpowiedzialność! Ale on jest uparty albo raczej, powiem, zdecydowany i nie chce tego

zrobić. „Merriman, detale pozostawiam panu. Niech pan robi, co uzna za słuszne w moich sprawach, i uważa mnie za nieobecnego, póki wszystko nie zostanie rozstrzygnięte”. Te słowa wyrzekł przed dwoma tygodniami i jedyną odpowiedź, jaką mogę od niego uzyskać, to ich powtórzenie. Nie jestem złym człowiekiem, panie Gilmore, zna mnie pan przecie! Mogę pana zapewnić, że osobiście i prywatnie pragnąłbym wymazać całą tę moją notatkę już w tej chwili. Ale jeśli sir Pansival nie chce ująć sprawy w swe własne ręce, jeśli z zamkniętymi oczyma powierza wszystkie swe interesy mojej wyłącznie pieczy, to cóż mi pozostaje innego, jak dbać o nie? Ręce mam związane... czyż nie widzi pan, drogi panie, że mam zupełnie związane ręce?!

- A zatem nie odstąpi pan od swej poprawki ani na jotę?

- Tak. Ach, do diabła z tym! Nie mam innego wyboru! - Podszedł do kominka i grzał się, nucąc głębokim basem urywek melodii. - A co mówi pana strona? - spytał. - Teraz, proszę, niech mi pan powie, co mówi pana strona?

Wstyd mi było przyznać się do tego. Próbowałem zyskać na czasie, cóż, zrobiłem nawet coś gorszego. Instynkty adwokackie wzięły górę i próbowałam nawet się targować.

- Dwadzieścia tysięcy funtów to zbyt wielka suma, by przyjaciele narzeczonej mieli się jej wyrzec w ciągu dwu dni - rzekłem.

- To prawda - odparł pan Merriman wpatrując się w zamyśleniu w czubki swych bucików. - Doskonale powiedziane, panie Gilmore, doskonale powiedziane.

- Może jakiś kompromis, uznający zarówno interesy rodziny żony jak i rodziny męża, nie przestraszyłby tak bardzo mojego klienta - ciągnąłem. - Tak, tak! Ta sprawa dziedzictwa staje się w końcu sprawą targów. Na jaką najmniejszą suimę zgodziłby się pan?

- Najmniejsza suma, jaką byśmy przyjęli - rzekł pan Merriman - to dziewiętnaście tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć funtów dziewiętnaście szylingów, jednaście pensów i trzy szelągi. Ha! ha! ha! Pan wybacz, panie Gilmore, ale musiałem sobie pozwolić na maleńki

dowcip.

- Maleńki, to prawda - odrzekłem. - Ten żart jest wart dokładnie taką kwotę, dla jakiej został wymyślony: szeląga.

Pan Merriman był zachwycony. Śmiał się z mej odpowiedzi, aż cały pokój pełen był tego śmiechu. Lecz ja bynajmniej nie byłem w dobrym humorze. Powróciłem do interesu, by zakończyć rozmowę.

- Dzisiaj jest piątek - rzekłem. - Niech pan nam da czas do wtorku na ostateczną odpowiedź.

- Oczywiście - odparł, Merriman. - Nawet dłużej, jeśli pan sobie tego życzy, drogi panie. - Wziął kapelusz, by wyjść, ale znów zwrócił się do mnie. - Nawiasem mówiąc - rzekł - czy pana klienci w Cumberland nie słyszeli nic więcej o kobiecie, która napisała anonim?

- Nic więcej - odpowiedziałem. - A czy pan jej nie znalazł?

- Jeszcze nie - odparł mój przyjaciel po fachu. - Ale nie traćmy nadziei. Sir Parsival ma powód podejrzewać, że ktoś ją ukrywa, więc teraz obserwujemy tego kogoś.

- Ma pan na myśli tę starą kobietę, która była z nią w Cumberland? - spytałem.

- Zupełnie kogoś innego, proszę pana - usłyszałem w odpowiedzi. - Stara kobieta nie wpadła jeszcze nam w ręce. Nasz ktoś - to mężczyzna. Mamy go na oku tutaj, w Londynie, gdyż mocno podejrzewamy, że w jakiś sposób on pierwszy musiał jej pomagać w ucieczce z zakładu. Sir Parsival chciał go zapytać wprost, ale ja powiedziałem: „Nie. Takie pytanie tylko wzbudzi w nim czujność. Obserwujmy go i czekajmy”. To zbyt niebezpieczna kobieta, panie Gilmore, aby mogła przebywać na wolności. Nie wiadomo, co może uczynić. Moje uszanowanie panu. We wtorek będę miał przyjemność oczekiwać odpowiedzi od pana. - Uśmiechnął się przyjaźnie i wyszedł.

Przy końcu rozmowy z moim prawnym przyjacielem nie zwracałem już niemal uwagi na jego słowa. Byłem tak zaniepokojony sprawą zapisu, że prawie nie mogłem myśleć o niczym innym i gdy tylko zostałem zmów sam, zacząłem się zastanawiać, jak powinienem postąpić. Gdyby chodziło o jakiegokolwiek innego klienta, działałbym zgodnie z

otrzymanymi instrukcjami, choćby mnie najbardziej oburzały, i z miejsca ustąpiłbym w sprawie tych dwudziestu tysięcy funtów. Ale w stosunku do panny Fairlie nie mogłem postępować z taką obojętnością człowieka interesu. Żywiłem dla niej wiele szczerzej sympatii i admiracji. Z wdzięcznością wspominałem, że jej ojciec był dla mnie najlepszym pracodawcą i przyjacielem, jakiego można na tym świecie spotkać. Kiedy kreśliłem jej intercyzę, serce moje pełne było uczuć, jakimi - gdybym nie pozostał starym kawalerem! - mógłbym darzyć własną swą córkę. Zdecydowany byłem nie szczędzić osobistych poświęceń, gdy chodziło o jej interes. Ponowne pisanie do pana Fairlie nie zdałoby się na nic. Byłaby to dla niego tylko nowa okazja wyśliźnięcia mi się spod palców. Może moja wizyta u niego i rozmowa z nim prędzej odniosłaby jakiś skutek? Następnego dnia była niedziela. Postanowiłem kupić powrotny bilet i trząść swe stare kości do Cumberland koleją licząc, że może uda mi się wyperswadować panu Fairlie, by obrał słuszny, uczciwy, niezależny sposób postępowania. Szansa jest słaba, bez wątplenia, ale dokonawszy tego będę miał spokojne sumienie, uczynię bowiem wszystko, co człowiek w mojej sytuacji może zrobić, aby bronić interesów jedyne go dziecka starego przyjaciela.

Pogoda w sobotę była piękna, wiał zachodni wiatr, świeciło jasno słońce. Ponieważ ostatnio dręczyły mnie uporczywe bóle głowy, przed którymi poważnie przestrzegał mnie lekarz już przed dwoma laty, postanowiłem skorzystać z nadarzającej się okazji wykonania dodatkowej porcji ćwiczeń fizycznych i, odesławszy bagaż, odbyć spacer do stacji Euston Square. Gdy znalazłem się na Holborn, przechodzący obok mężczyzna zatrzymał się nagle i odezwał się do mnie. Był to pan Walter Hartright.

Gdyby nie powitał mnie pierwszy, niewątpliwie bym go minął. Był tak zmieniony, że ledwo go poznałem. Twarz miał bladą i wynędzniałą, w zachowaniu jakaś niepewność i pośpiech, a ubranie - choć w Limmeridge nosił się schludnie i jak przystało na dżentelmena - znajdowało się w stanie takiego zaniedbania, że musiałbym się wstydzić, gdyby przywdział je

któryś z moich urzędników.

- Czy dawno wrócił pan z Cumberland? - zapytał. - Miałem ostatnio wiadomości od panny Halcombe. Wiem, że przyjęto wyjaśnienie sir Parsivala Glyde. Czy ślub będzie prędko? Może panu wiadomo, panie Giknore?

Mówił z takim pośpiechem, zadawał pytania w taki jakiś dziwny sposób, że ledwie go zrozumiałem. Choć być może bieg wypadków wytworzył pewną zażyłość pomiędzy nim a paniami z limmeridge, nie widziałem powodu, by miał prawo oczekiwać informacji o ich prywatnych sprawach, i zdecydowałem zbyć ogólnikami jego pytanie na temat ślubu panny Fairlie.

- Czas to pokaże, panie Hartright - rzekłem. - Czas to pokaże. Ale myślę, że jeżeli będziemy wypatrywać w gazetach wiadomości o ślubie, znajdziemy ją tam. Niech mi pan wybaczy tę uwagę, ale z żalem spostrzegam, że nie wygląda pan tak dobrze, jak przy naszym poprzednim spotkaniu.

Błyskawiczny, nerwowy skurcz wygiął mu wargi i ściągnął powieki. Poczulem żal, że odpowiedziałem mu z tak wymowną ostrożnością.

- Nie mam prawa pytać o jej ślub - odrzekł z goryczą. - Muszą czekać, aż wyczytam o tym w gazetach, jak inni ludzie. Tak - ciągnął, nim zdążyłem wtrącić słowo przeprosin - ostatnio nie czuję się dobrze. Wyjeżdżam do innych krajów, by zmienić zajęcie i otoczenie. Panna Halcombe dopomogła mi łaskawie swymi znajomościami i moje świadectwa uznano za wystarczające. Jadę daleko, ale nie dbam, gdzie jadę, do jakiego klimatu ani na jak długo.

Mówiąc te słowa rzucał niespokojne, podejrzliwe spojrzenia na obie strony ulicy, jak gdyby myślał, że go ktoś śledzi w tłumnie mijających nas przechodniów.

- Życzę panu powodzenia i szczęśliwego powrotu - rzekłem, a potem dodałem, nie chcąc trzymać go tak z dala od spraw Fairlie'ch: - Właśnie wyjeżdżam do Limmeridge w interesach. Panna Halcombe i panna Fairlie bawią teraz z wizytą u przyjaciół w Yorkshire.

Oczy mu rozbłysły, zdawało się, że chce coś powiedzieć, lecz znowu po jego twarzy przebiegł nerwowy skurcz. Ujął mą rękę,

ścisnął ją mocno i nie rzekłszy słowa, zniknął w tłumie. Choć był dla mnie niemal nieznanym, długo patrzyłem za nim z uczuciem podobnym do żalu. Dzięki memu doświadczeniu prawnika posiadałem dostateczną znajomość młodych ludzi, by wiedzieć, co w ich wyglądzie jest oznaką, że zaczynają schodzić na złe drogi, i z żalem muszę wyznać, że kiedy ponownie ruszyłem w stronę stacji, pełen byłem złych przeczuc co do przyszłości pana Hartnigha.

IV

Wyjechawszy wczesnym pociągiem, przyjechałem do Limimeridge w porze obiadowej. Dwór był przygnębiająco pusty i głuchy. Spodziewałem się, że zacna pani Vesey dotrzyma mi towarzystwa pod nieobecność młodych pań, ale zaziębienie nie pozwoliło jej opuścić pokoju. Służbę tak zaskoczył mój widok, że w bezsensownym pośpiechu i krzątaniu popełniła szereg nedorzecznych a przykrych pomyłek. Nawet lokaj, choć był już w tym wieku, że mógłby się lepiej znać na rzeczy, przyniósł mi butelkę chłodzonego portwajnu. Wiadomości o zdrowiu pana Fairlie bramiały tak jak zwykle, a kiedy posłałem do niego z zawiadomieniem o swym przyjeździe, otrzymałem odpowiedź, że będzie mu niesłychanie przyjemnie widzieć się ze mną jutro rano, ale z nagłą otrzymana nowina o mojej wizycie przyprawiła go o palpacje na cały wieczór. W nocy wył przeraźliwie wiatr, w pustym domu coś dziwnie skrzypiało i pojękiwało, to tu, to tam. Spałem jak tylko można sobie wyobrazić najgorzej i następnego ranka wstałem w wisielczym humorze, by jeść samotnie śniadanie.

O godzinie dziesiątej wprowadzono mnie do apartamentów parna Fairlie. Znajdował się w swym zwykłym pokoju, w swym zwykłym fotelu i w swym zwykłym przygnębiającym stanie ducha i ciała. Kiedy wszedłem, przed panem Fairlie stał jego lokaj, trzymając ciężki tom rycin, otwarty, by pan Fairlie mógł go oglądać, a tak długi i szeroki jak biurko w mojej kancelarii. Nieszczęsny cudzoziemiec uśmiechał się jak najbardziej

poddańczo i wyglądał tak, jak by za chwilę miał paść ze zmęczenia, a pan jego ze spokojem i pogodą odwracał kartki i przy pomocy powiększającego szkła odnajdywał ukryte piękno szkiców.

- Ach, najlepszy z najlepszych starych przyjaciół - mówił pan Fairlie, opadłszy wpieryw leniwie na fotel, a potem dopiero spoglądając na mnie — czy czuje się pan zupełnie dobrze? Jakże to pięknie z pana strony, że przyjechał pan mnie odwiedzić w mej samotni. Drogi Gilmore!

Spodziewałem się, że gdy wejde, lokaj zostanie odprawiony, ale nie zdarzyło się nic podobnego. Stał przed fotelem swego pana uginając się pod ciężarem rycin, a pan jego beztrasko obracał w białych palcach szkło powiększające.

- Przybyłem, by pomówić z panem na bardzo ważne tematy - odezwałem się - dlatego też zechce pan wybaczyć, jeśli poproszę, byśmy zostali sami.

Nieszczęsny lokaj popatrzył na mnie z wdzięcznością. Pan Fairlie słabym głosem i w najwyższym zdumieniu powtórzył za mną ostatnie trzy słowa: - Byśmy zostali sami?

Nie byłem w nastroju do żartów i zdecydowałem się powiedzieć jasno, o co chodzi.

- Proszę wyświadczyć mi tę grzeczność i pozwolić temu człowiekowi odejść - rzekłem wskazując lokaja.

Pan Fairlie w sarkastycznym zdziwieniu Wygiął łuki brwi i odął wargi.

- Człowiekowi? - powtórzył. - Ach, stary żartownisiu Gilmore, co też może pan mieć na myśli, nazywając go człowiekiem? Mógł być człowiekiem pół godziny temu, zanim potrzebowałem rycin, i może być człowiekiem za pół godziny, kiedy już ich nie będę potrzebował, ale w tej chwili jest po prostu pulpitem. Dlaczego protestuje pan przeciwko obecności pulpitu?

- Protestuję i po raz trzeci, panie Fairlie, proszę, żebyśmy zostali sami.

Moje zachowanie i ton głosu nie pozostawiały mu innej możliwości, jak tylko zgodzić się z moim żądaniem. Spojrzał na służącego i kapryśnie wskazał na stojące obok krzesło.

- Połóż ryciny i wyjdź stąd - rzekł. - Nie doprowadzaj mnie do

irytacji i nie zagub miejsca, gdzie przeglądam. A może już je zgubił? Jeszcze nie? Pewien jesteś, że nie? Czy położyłeś mój dzwoneczek w zasięgu ręki? Tak? Czemu więc, do diaska, nie wynosisz się stąd?

Lokaj wyszedł. Pan Fairlie wykręcił się w fotelu, przetarł szkło powiększające delikatną batystową chusteczką i zaczął z ukosa przyglądać się akwarelom w rozwartym albumie. W tych okolicznościach trudno było nie stracić panowania nad sobą, ale jakoś mi się to udało.

- Przyjechałem tu, choć było mi to bardzo niewygodne - rzekłam - aby służyć interesom pańskiej bratanicy i pańskiej rodziny, i sądzę, że mam pewne prawo do tego, by raczył mnie pan w zamian zaszczycić swą uwagą.

- Proszę mnie nie terroryzować! - wykrzyknął pan Fairlie opadając bezradnie na fotel i zamykając oazy. - Proszę mnienie terroryzować! Nie' mam na to sił.

Zdecydowany byłem nie dać się zirytować —dla dobrą Laury Fairlie.

- Przyjechałem - ciągnąłem - błagać pana, by zechciał pan zastanowić się nad swoim listem i nie zmuszał mnie, bym zaprzepaścił słuszne prawa pańskiej bratanicy i wszystkich bliskich jej sercu. Niech pan pozwoli, bym przedstawił całą sprawę raz jeszcze, już po raz ostatni.

Pan Fairlie potrząsnął głową i westchnął żałośnie.

- Jest pan bez serca, zupełnie bez serca, Gilmore - powiedział.- Ale trudno, niech pan mówi.

Wyłożyłem mu wszystkie punkty dokładnie, wszechstronnie oświetliłem sprawę. Przez cały czas, gdy mówiłem, leżał w fotelu z przymkniętymi oczyma. Kiedy skończyłem, podniósł leniwie powieki, wziął ze stolika srebrny flakonik z wodą kolońską i z uczuciem ulgi począł pociągać nosem.

- Zaczny Gilmore! - mówił wachając flakonik. - Jakże to ładnie z pana strony! Gadzi mnie pan z naturą ludzką!

- Proszę o jasną odpowiedź na jasno postawione pytanie, panie Fairlie. Powtarzam panu ponownie, że sir Parsival Glyde nie ma najmniejszego prawa oczekiwać niczego więcej niż dochodu z tej sumy. Cała natomiast suma powinna pozostać

pod kontrolą pańskiej bratanicy, a jeżeli nie będzie ona miała dzieci, powrócić do rodziny. Zapewniam pana, że jeżeli będzie pan twardo stać przy tym, sir Parsival musi ustąpić, gdyż inaczej narazi się na zarzut, że żeni się wyłącznie ze względów pieniężnych.

Pan Fairlie żartobliwie potrząsał ku mnie flakonikiem.

- Drogi, stary Gilmore, jakże nienawidzić pan musi rodów i godności, nieprawda? Jakże pan nie cierpi Glyde'a, ponieważ zdarzyło mu się urodzić baronetem. Co za radykał z pana, och, och, co za radykał z pana!

Radykał!!! Zniósłbym wiele prowokacji, ale wyznając całe życie zdrowe zasady konserwatywne, nie mogłem ścierpieć, by mnie zwano radykałem. Krew we mnie zawrzała... zerwałem się z krzesła... Oniemiałem z oburzenia.

- Niechże pan nie demoluje mi pokoju! - krzyknął pan Fairlie.

- Na miłość boską, niechże pan nie demoluje mi pokoju! Najzaciewniejszy ze wszystkich Gilmore'ów, nie miałem zamiaru pana obrażać. Moje poglądy są tak dalece radykalne, że chyba sam jestem radykałem. Tak. Jesteśmy obaj radykałami. Proszę, niech się pan nie gniewa. Nie mogę się kłócić, nie mam na to dość energii. Przystaniemy o tym mówić, dobrze? Niech pan podejdzie i obejrzy te słodkie sztychy. Niech pan pozwoli, bym nauczył pana widzieć niebiańską gładkość tych Unii. No, proszę bardzo, dobry panie Gilmore!

Podczas gdy pan Fairlie plótł w ten sposób, ja, na szczęście dla mego poczucia godności własnej, zdołałem się opanować. Kiedy odezwałem się, byłem już dostatecznie spokojny, by potraktować jego impertynencje tak, jak na to zasługiwały, i odpowiedzieć na nie milczącą pogardą.

- Jest pan w wielkim błędzie, panie Fairlie - rzekłem - sądząc, że przemawia przez mnie uprzedzenie w stosunku do sir Parsivala Glyde. Co prawda żałuję, że tak wyłącznie zdał się w tej sprawie na swego adwokata, że aż uniemożliwił jakiegokolwiek odwoływanie się do siebie, nie jestem jednak uprzedzony do niego. To, co powiedziałem, odniosłoby się do każdego mężczyzny w jego sytuacji, bez względu na jego pozycję. Zasada, której się trzymam, jest zasadą uznaną w

prawie. Gdyby udał się pan do najbliższego miasteczka, do pierwszego adwokata godnego zaufania, wtedy on, nieznajomy, powiedziałby panu to samo, co mówię ja, przyjaciel. Poinfonmowałby pana, że składanie całego majątku kobiety wyłącznie w ręce mężczyzny, który ją poślubia, sprzeciwia się wszelkim zasadom. Zwykła prawna ostrożność nie pozwala na stwarzanie takiej sytuacji, by śmierć żony miała przynieść mężowi korzyść w wysokości dwudziestu tysięcy funtów.

- Doprawdy powiedziałby tak, Gilmore? - rzekł pan Fairlie. - Gdyby powiedział coś choć w połowie tak okropnego, zapewniam pana, że zadzwoniłbym na Ludwika i kazał go natychmiast wyrzucić z domu.

- Nie dani się zirytować, panie Fairdie, dla dobra pańskiej bratanicy, przez pamięć jej ojca, nie dam się zirytować. Nim opuszczę ten pokój, przyjmie pan na siebie całkowitą odpowiedzialność za tę haniebną iratercyzę.

- Dostyc już, proszę, dostyc już! - zawołał pan Fairlie. - Niech pan pomyśli, jak cenny jest pański czas, i nie marnuje go więcej. Dyskutowałbym z panem, gdybym mógł, ale nie mogę, nie mam dość sił. Chce pan zniszczyć mój spokój, zniszczyć własny spokój, zniszczyć spokój Glyde'a i spokój Laury, ach, Boże mój, to wszystko dlatego, by nie zdarzyło się coś, co się nie może zdarzyć. Nie, drogi przyjacielu, ze względu na zachowanie spokoju i zgody, zdecydowanie nie!

- Czy mam to zrozumieć jako potwierdzenie decyzji wyrażonej w liście?

- Tak, właśnie o to proszę. Jakże się cieszę, że wreszcie się zrozumieliśmy. Proszę, niech pan siada, bardzo proszę!

Natychmiast skierowałam się ku drzwiom, a pan Fairlie z rezygnacją sięgnął do dzwonka. Zanim opuściłem pokój, zwróciłem się do niego i przemówiłem po raz ostatni.

- Cokolwiek zdarzy się w przyszłości, proszę pana - rzekłem - ja wypełniłem swój obowiązek i ostrzegałem pana. Jako wierny przyjaciel i sługa pańskiej rodziny oświadczam panu w chwili rozstania, że żadnemu mężczyźnie na świecie nie oddałbym w małżeństwo żadnej ze swoich córek z taką intercyzą ślubną, jaką zmusza mnie pan spisać dla panny Fairlie.

Drzwi otworzyły się za mną i na progu stanął lokaj.

- Ludwiku - rozkazał pan Fairlie - wyprowadź pana, a potem wróć i trzymaj mi książkę z rycinami. Niechaj pan każe podać sobie dobry lunch na dole, panie Gilmore. Tak, Gilmore, niech pan zapędzi stado mej leniwej służby do przygotowania, sobie dobrego lunchu!

Byłem zbyt oburzony, by odpowiedzieć - obróciłem się na pięcie i wyszedłem w milczeniu. O drugiej po południu odchodził pociąg i tym pociągiem wróciłem do Londynu.

W poniedziałek odesłałam zmieniony akt intercyzy. Dokument ten, praktycznie biorąc, wydziedziczał te właśnie osoby, które panna Fairlie - jak to osobiście stwierdziła - najfoardziej pragnęła obdarzyć. Ale nie było na to rady. Gdybym odmówił spisania tego dokumentu, uczyniłby to inny prawnik.

Moje zadanie jest spełnione. Mój osobisty udział w wydarzeniach tej historii rodzinnej nie wykracza poza moment, do którego właśnie doszliśmy. Inne pióra opiszą dziwne wypadki, jakie niedługo potem zaszły. Z powagą i smutkiem kończę to krótkie sprawozdanie. Z powagą i smutkiem powtarzam słowa, które powiedziałem opuszczając dwór w Limimeridge: żadnemu mężczyźnie na świecie nie oddałbym w małżeństwo żadnej ze swoich córek z taką intercyzą ślubną, jaką przymuszono mnie spisać dla panny Laury Fairlie.

KONIEC OPOWIADANIA PANA GILMORE

DALSZY CIĄG HISTORII OPOWIEDZIANY PRZEZ
MARIANNĘHALCOMBE
(wyjątki z jej dziennika)

Dwór w Limmeridge, 8 listopada

I

.*

Dzisiejszego ranka wyjechał pan Gilmore.

Najwidoczniej spotkanie z Laurą zdziwiło go i zasmuciło bardziej, niż chciał przyznać. Wygląd jego i zachowanie w chwili pożegnania ze mną napełniły mnie obawą, że być może Laura nierozważnie zdradziła przed nim prawdziwą tajemnicę swego przygnębienia i mego niepokoju. Myśl ta nie przestawała gnębić mnie po jego wyjeździe, nie przyjąłem więc propozycji przejażdżki konnej z sir Parsivalem i poszłam na górę do pokoju Laury.

Od chwili gdy odkryłam, jak silne jest nieszczęsne uczucie Laury, i zrozumiałam, jak zupełnie nie orientowałam się w tym poprzednio, zwątpiłam, czy potrafię coś pomóc w tej trudnej, rozpaczliwej sprawie. Powinnam była domyślić się, że wrodzona delikatność, opanowanie i poczucie honoru, które tak mnie ujęły w biednym Hartrighcie i wzbudziły we mnie szczerą sympatię i szacunek dla niego, to właśnie cechy charakteru, które najsilniej przemówią do wrodzonej delikatności i szlachetnej natury Laury. A jednak, dopóki z własnej woli nie otworzyła przede mną swego serca, nie

* Opuszczone – na tej stronie i w innych miejscach tej książki – partie z pamiętnika panny Halcombe nie odnoszą się ani do panny Fairie, ani do nikogo z kim w owym okresie losy jej były związane.

podejrzewałam nawet, że to nowe uczucie zakorzeniło się tak silnie. Dawniej sądziłam, że czas i staranie zdołają usunąć je z serca Laury. Teraz obawiam się, że może przetrwać i zaciążyć nad całym jej życiem. Świadomość, że zdolna byłam popełnić taką omyłką, odbiera mi wszelką pewność sądu. Waham się, co sądzić o sir Parsivalu mimo oczywistych dowodów. Nie wiem, jak mam mówić z Laurą. A dzisiejszego ranka, z ręką na klamce jej drzwi, zastanawiałam się, czy mam zadać jej pytania, z którymi przyszłam, czy lepiej może ich nie zadawać.

Kiedy weszłam, zobaczyłam, że niecierpliwie chodzi po pokoju. Miała rumieńce podniecenia na twarzy, podeszła do mnie i nim zdołałam otworzyć usta, odezwała się pierwsza.

- Chciałam, żebyś przyszła - rzekła. - Siądź koło mnie na sofie. Marianno, nie mogę już tego znieść dłużej! Muszę to zakończyć.

Zbyt wiele było rumieńca na jej policzkach, zbyt wiele energii w jej zachowaniu, zbyt wiele zdecydowania w głosie. W rękę trzymała album z rysunkami Hartrighta - ów fatalny album, nad którym zapadała w marzenia, gdy tylko zostawała sama. Delikatnie, lecz stanowczo odebrałam go jej i położyłam na stojącym pod ścianą stoliku.

- A teraz, kochanie, powiedz mi spokojnie, co chcesz zrobić? - powiedziałam. - Czy pan Gilmore coś ci doradził?

Potrząsnęła głową.

- Nie, nie doradzał mi nic w tej sprawie, którą mam teraz na myśli. Był dla mnie bardzo uprzejmy i dobry, ja, przyznaję to ze wstydem, sprawiłam mu przykrość, bp płakałam. Jestem zupełnie roztrzęsiona, nie mogę się opanować. Dla mego własnego dobra, jak również dla dobra nas wszystkich, muszę zdobyć się na odwagę i zakończyć to.

- Chcesz zdobyć się na odwagę i zerwać zaręczyny?

- Nie - odpowiedziała po prostu. - Muszę zdobyć się na odwagę i powiedzieć prawdę.

Zarzuciła mi ręce na szyję i złożyła głowę na moich piersiach. Na ścianie naprzeciwko nas wisiał miniaturowy portret jej ojca. Nachyliwszy się nad nią zobaczyłam, że ma oczy utkwione w tym portrecie.

- Nie mogę żądać zerwania mych zaręczyn - mówiła. - Jakkolwiek to się zakończy, musi się zakończyć nieszczęśliwie dla mnie. Tyle tylko mogę zrobić, Marianno, by nie dodawać do mej niedoli wspomnienia, że zerwałam przyrzeczenie i zapomniałam o woli umierającego ojca.

- Co zatem chcesz uczynić?

- Chcę osobiście powiedzieć całą prawdę sir Parsivalowi - odparła. - Niechaj mnie zwolni z danego słowa nie dlatego, że go o to proszę, ale dlatego, że wie wszystko.

- Co masz, Lauro, na myśli mówiąc wszystko? Sir Parsival będzie wiedział dosyć, jeśli mu powiesz, że nie chcesz tego małżeństwa. Sam mi to oznajmił.

- Czyż mogę mu to powiedzieć, skoro zaręczyny te zawarł mój ojciec za moją zgodą? Dotrzymałabym przyrzeczenia... może nie będąc przez to szczęśliwą, ale i bez niezadowolenia... - urwała i mocniej przycisnęła swój policzek do mojego. - Dotrzymałabym przyrzeczenia, Marianno, gdyby w sercu moim nie zbudziła się inna miłość, która nie istniała, gdy przyrzekałam zostać żoną sir Parsivada.

- Lauro! Nie poniżysz się chyba przed nim takim wyznaniem?

- Poniżę się niewątpliwie, jeśli, chcąc zyskać swobodę, ukryję przed nim to, co ma prawo wiedzieć.

- Nie ma najmniejszego prawa do tego!

- Mylisz się, Marianno, mylisz się! Nie powinnam oszukiwać nikogo, a już przenigdy w świecie człowieka, któremu powierzył mnie mój ojciec i któremu ja sama siebie powierzyłam - przysunęła swoje wargi do moich i ucałowała mnie. - Najdroższa moja - powiedziała łagodnie - lubisz mnie za bardzo, za bardzo jesteś ze mnie dumna i dlatego w moim wypadku zapominasz o tym, o czym pamiętałabyś, gdyby chodziło o ciebie. Niech lepiej sir Parsival kwestionuje motywy mego postępowania, niech mnie źle sądzi, jeśli tak mu się spodoba, niż gdybym miała być niewierna mu w myśli lub też na tyle nikczemna, by dla własnych celów ukrywać ten fałsz.

W zdumieniu odsunęłam się od niej. Po raz pierwszy w życiu zamieniłyśmy się rolami: jej udziałem była decyzja, moim - wahanie. Wpatrywałam się w bladą, spokojną, pełną rezygnacji

twarzyczkę; w kochających oczach, utkwionych we mnie, widziałam czyste, niewinne serce - i zamarły na mych wargach puste słowa światowych względów. W milczeniu zwiesiłam głowę. Gdybym była na jej miejscu, wtedy uległabym niegodnej dumie i zataiłabym prawdę, jak to czyni tyle innych kobiet.

- Nie gniewaj się na mnie, Marianno - rzekła nie rozumiawszy mego milczenia.

Za całą odpowiedź przyciągnęłam ją do siebie. Bałam się, że jeśli się odezwę, zacznę płakać. Łzy moje nie płyną tak łatwo, jak u innych kobiet, leją rzadko, jak mężczyzna, ale wtedy szlochaniem rwie mi pierś i przeraża patrzących.

- Rozmyślałam nad tym, najdroższa, przez wiele dni - mówiła skręcając i zwijając moje włosy z dziecinnym niepokojem palców, z którego daremnie, a z tak wielką cierpliwością starała się ją wyleczyć biedna pani Vesey. - Rozmyślałam nad tym bardzo poważnie i pewna jestem, że nie zabraknie mi odwagi, gdy własne moje sumienie mówi, co jest słuszne. Chcę porozmawiać z nim jutro w twojej obecności, Marianno. Nie powiem nic niestosownego, nic, czego ja albo ty musiałybyśmy się wstydić, ale, Marianno najdroższa, będzie dla mnie wielką ulgą, gdy skończy się to okropne ukrywanie! Nie dbam o to, jak postąpi w stosunku do mnie usłyszawszy wszystko, co mam mu do powiedzenia, ale chcę mieć świadomość, że nie ciąży na mnie odpowiedzialność za żaden fałsz w stosunku do niego.

Westchnęła i, jak poprzednio, złożyła znów głowę na mojej piersi. Choć dręczyły mnie złe przeczucia, byłam wciąż niepewna siebie i powiedziałam jej, że zrobię, jak sobie życzy. Podziękowała mi za zaufanie i stopniowo zaczęłyśmy rozmawiać o czym innym.

Po obiedzie przyłączyła się do nas, zachowywała się z większą naturalnością i była bardziej sobą w obcowaniu z Parsivalem niż dotychczas. Wieczorem, podeszła do fortepianu, wybierając muzykę nowoczesną. Od wyjazdu biednego Hartrighta nie grała ani razu starych, uroczych melodii Mozarta, które on tak bardzo lubił. Nawet tych nut nie było w salonie. Wzięła je stamtąd sama, aby nikt nie mógł ich tam znaleźć i prosić ją, by

zagrała.

Nie miałam okazji spytać, czy trwa w swych zamiarach, aż do chwili, gdy żegnała się z sir Parsivalem i gdy jej własne słowa poinformowały mnie, że jej postanowienie nie uległo zmianie. Oznajmiła mu bardzo spokojnie, że chciałaby porozmawiać z nim następnego dnia po śniadaniu i że znajdzie nas obie w jej bawialni. Przybladł na te słowa, a gdy podawał mi rękę, czułam, że drży. Ta rozmowa zadecyduje o jego przyszłości, a on niewątpliwie zdaje sobie z tego sprawę.

Jak zwykle, nim Laura zasnęła, weszłam drzwiami łączącymi nasze dwie sypialnie, by powiedzieć jej dobranoc. Gdy pochyliłam się nad nią, by ją pocałować, ujrzałam wychylający się spod jej poduszki, w tym miejscu, gdzie jako dziecko zwykła była chować swe ulubione zabawki, album malarski Hartrighta. Nie powiedziałam nic, wskazałam tylko na album i potrząsnęłam głową. Podniosła obie ręce ku moim policzkom i przyciągnęła moją twarz ku swojej, aż nasze wargi się spotkały.

- Niechaj zostanie tutaj przez noc - szepnęła. - Dzień jutrzejszy może być okrutny i może mnie zmusić do pożegnania się z tym albumem na zawsze.

9 listopada

Pierwsze wydarzenie dzisiejszego ranka nie należało do rzędu tych, które mogłyby podnieść mnie na duchu. Otrzymałam list od biednego Waltera Hartrighta. Była to odpowiedź na mój list, w którym opisywałam, w jaki sposób sir Parsival oczyścił się z podejrzeń, które wzbudził list Anny Catherick. Hartright z goryczą wspomina o wyjaśnieniach sir Parsivala pisząc, że nie ma prawa wydawać sądu o postępowaniu wyższych od siebie. To smutne, ale jego wzmianki o samym sobie zasmucają mnie jeszcze bardziej. Pisze, że z dniem każdym jest mu coraz trudniej nagiąć się do dawnych przyzwyczajień i zajęć. Błaga mnie, abym, jeśli mam stosunki, użyła ich i dopomogła mu znaleźć jakieś zajęcie, które zmusiłoby go do opuszczenia Anglii i do zmiany otoczenia. Końcowy ustęp jego listu niemal mnie przeraził i uczynił jeszcze bardziej skłonny do spełnienia jego prośby.

Wspomniawszy, że nie widział Anny Catherick ani też nic o niej nie słyszał, nagle urwał i tajemniczymi aluzjami dał mi do zrozumienia, że od powrotu do Londynu jest ciągle śledzony, że chodzą za nim nieznani mężczyźni. Przyznaje, że nie może dowieść słuszności tych niezwykle podejrzeń i obciążyć nimi konkretnych osób, ale jednocześnie stwierdza, że dniem ni nocą nie może się od nich uwolnić. Przestraszyły mnie te słowa, gdyż wygląda na to, że od nieustannego myślenia o Laurze zaczyna mu się mącić w głowie. Muszę niezwłocznie napisać do dawnych przyjaciół mej matki w Londynie, osób bardzo wpływowych, i prosić o zajęcie się nim. Zmiana otoczenia i zmiana zajęć może rzeczywiście być dla niego ratunkiem w tym krytycznym momencie jego życia.

Ku mej wielkiej uldze sir Parsival przysłał służącego przepaszając, że nie zejdzie na śniadanie. Wypił już wcześniej kawę w swym pokoju i zajęty jest pisaniem listów. O godzinie jedenastej, jeśli ta pora nam odpowiada, będzie miał zaszczyt przyjść na rozmowę z panną Fairlie i z panną Halcombe. Obserwowałam pilnie twarz Laury, gdy przekazywano jej tę wiadomość. Rano, wszedłszy do jej pokoju, znalazłam ją niezwykle spokojną i zrównoważoną i taką też pozostała przez cały czas śniadania. To opanowanie nie opuściło jej nawet wtedy, gdy czekałyśmy na sir Parsivala, siedząc na sofie w jej pokoju.

- Nie lejkaj się o mnie, Marianno - powiedziała tylko. - Mogę stracić panowanie nad sobą rozmawiając z takim starym przyjacielem, jak pan Gilmore, albo z tobą, kochana siostrze, ale nigdy nie stracę panowania rozmawiając z sir Parsivalem Glyde.

Patrzałam i słuchałam jej w cichym zdumieniu. Przez wszystkie lata naszego wspólnego życia nie dostrzegałam w niej tej biernej siły charakteru, a zapewne i Laura sama też nic o niej nie wiedziała - aż wykryła ją miłość i wydobyło cierpienie.

Zegar na kominku wydzwaniał jedenastą, gdy sir Parsival zapukał do drzwi i wszedł. Twarz jego wyrażała tłumiony niepokój i podniecenie. Suchy, szarpiący kaszel, który tak często mu dokuczał, był bardziej niż kiedykolwiek natarczywy.

Usiadł naprzeciwko nas przy stole, a Laura została koło minie. Przyjrzałam im się uważnie: twarz sir Parsivala była jeszcze bledsza niż Laury.

Wypowiedział kilka nieważnych słów, z wysiłkiem starając się zachować zwykłą sobie swobodę obejścia. Jednak nie udało mu się opanować drżenia głosu ani ukryć niepokoju w spojrzeniu. Musiał sam zdać sobie z tego sprawę, gdyż urwał w pół zdania i nie próbował już nawet ukrywać dłużej swego zakłopotania.

Po chwili głuchoj ciszy Laura zwróciła się do niego.

- Chcę poruszyć, sir Pansivalu, temat dla nas obojga bardzo ważny - rzekła. - Moja siostra jest przy mnie, ponieważ jej obecność dodaje mi ducha. Ale ani jedno słowo z tego, co powiem, nie pochodzi od niej, wyrażę tylko własne swe myśli, nie myśli siostry. Nim przejdę do dalszych spraw, chciałabym mieć pewność, że zechciał pan łaskawie przyjąć to do wiadomości.

Sir Parsival skłonił się. Jak dotąd, mówiła z zupełnym spokojem i jej zachowaniu nie można było nic zarzucić. Patrzyła na niego, a on patrzył na nią. Wydawało się przynajmniej wtedy, na początku, że chcą się wzajemnie dobrze zrozumieć.

- Marianna powiedziała mi - mówiła dalej Laura - że jeśli zażądam zwolnienia mnie z danego słowa w sprawie małżeństwa, otrzymam je od pana. To wspaniałomyślne i szlachetne, że przesłał mi pan taką wiadomość. Chcąc oddać sprawiedliwość panu, powiem, że wdzięczna jestem za to. Jednocześnie ufam i wierzę, że postąpię sprawiedliwie względem siebie samej, jeśli powiem, że z tej możliwości nie skorzystam.

Jego pełne napięcia rysy zelzały. Ale spostrzegłam, że jedną nogą bez przerwy wybija takt na dywaniku pod stołem, i zrozumiałam, że jest nadal pełen niepokoju.

- Nie zapomniałam - rzekła - że prosił pan mego ojca o pozwolenie, nim zaszczycił mnie pan propozycją małżeństwa. Może i pan nie zapomniał, co powiedziałam, zgadzając się na nasze zaręczyny. Oświadczyłam, że to głównie wpływ mojego ojca i jego rada zadecydowały o tym, że dałam panu słowo.

Kierowałam się radą mego ojca, ponieważ zawsze był moim najlepszym doradcą, najserdeczniejszym opiekunem i przyjacielem. Straciłam go, mogę go tylko z miłością wspominać, ale moje zaufanie do tego drogiego zmarłego przyjaciela nigdy się nie zachwiało. W tej chwili wierzę tak, jak dawniej wierzyłam, że on wiedział, co było dla mnie najlepsze, i że jego nadzieje i życzenia powinny być także moim nadziejami i życzeniami.

Jej głos po raz pierwszy zadrżał. Niespokojne palce pochwyciły mocno moją dłoń. Ponownie nastąpiła chwila ciszy, a potem odezwał się sir Parsival.

- Chciałbym zapytać - rzekł - czy kiedykolwiek okazałem się niegodny pani zaufania, którego posiadanie uważałem aż do tej chwili za największy zaszczyt i szczęście?

- Nie znalazłam nic złego w pana postępowaniu - odrzekła.

- Zawsze odnosił się pan do mnie z wielką delikatnością, z cierpliwością i wyrozumiałością. Zasłużył pan na moje zaufanie, a także - co w moim pojęciu jest o wiele ważniejsze - zasłużył pan na zaufanie mego ojca, z czego wyrosło moje zaufanie. Nie dał mi pan żadnego powodu, bym go prosiła o zwolnienie z danego słowa, nawet gdybym taki powód chciała znaleźć. To, co powiedziałam dotychczas, powiedziałam dlatego, by jasno wykazać, jakie są moje zobowiązania wobec pana. Ze względu na te zobowiązania, ze względu na pamięć ojca i na moje własne słowo nie wolno mi pierwszej wycofywać się z obecnej sytuacji. Zerwanie naszych zaręczyn musi być dokonane przez pana i wyłącznie na pana życzenie, nie na moje.

Stopa jego przestała uderzać o dywan, gwałtownie pochylił się nad stołem.

- Ja mam to zrobić? - spytał. - Jaka może być przyczyna, dla której ja miałbym zerwać zaręczyny?

Posłyszałam, że Laura oddycha szybko, poczułam, że ręka jej staje się zimna. Pomimo tego, co powiedziała, gdy byliśmy same, zaczęłam się niepokoić o nią. Ale niesłusznie.

- Jest to przyczyna, o której bardzo mi trudno mówić - rzekła.

- Nastąpiła pewna zmiana we mnie, sir Parsivalu... zmiana,

która jest tak poważna, że usprawiedliwić może zerwanie zaręczyn ze strony pana, usprawiedliwić wobec mnie i wobec pana samego.

Twarz mu pobladła tak bardzo, że nawet wargi straciły swój kolor. Odsunął się nieco w krzesło i wsparł głowę na rękę, tak że mogliśmy widzieć tylko jego profil.

- Jaka zmiana? - spytał. Uderzył mnie ton, jakim zadał to pytanie, było w nim coś boleśnie zdławionego.

Westchnęła ciężko i pochyliła się ku mnie, wspierając się ramieniem o moje ramię. Czułam, jak drży, i pragnąc ją oszczędzić chciałam sama zabrać głos. Powstrzymała mnie, ścisnąwszy ostrzegawczo moją rękę, a potem znowu zwróciła się do sir Parsivala, ale tym razem już nie patrzyła na niego.

- Słyszałam - rzekła - i wierzę, że najserdeczniejszym i najszczerzym uczuciem jest to, którym żona powinna darzyć swego męża. Kiedy zawieraliśmy zaręczyny, byłam panią swego serca, mógł pan wzbudzić we mnie to uczucie, mogłam nim pana obdarzyć. Czy wybaczy mi pan, sir Parsivalu, jeśli pawiem, że teraz jest już inaczej?

W jej oczach wezbrały łzy i spływały wolno po policzkach, gdy czekała na odpowiedź. Nie wyrzekł ani słowa. Gdy tylko zaczęła mówić, przesunął rękę, w której spoczywała jego głowa, kryjąc twarz, i znieruchomiał w tej postawie. Palce wsunęły się głęboko we włosy. Mogło to równie dobrze wyrażać ukryty gniew jak rozpacz. Palce nie poruszały się, nie drżały nawet. I nic, absolutnie nic nie zdradzało jego myśli w tym momencie - w momencie, który był przełomową chwilą życia jego i życia Laury.

Zdecydowałam, że ze względu na Laurę zmuszę go do jasnej odpowiedzi.

- Sir Parsivalu - rzekłam ostrym tonem - czy nie ma pan nic do powiedzenia, gdy moja siostra powiedziała tak wiele? Więcej, sądzę - dodałam, gdyż poniosło mnie moje nieszczęśliwe uaposobienie - niż jakikolwiek mężczyzna na świecie, w pana sytuacji, miałby prawo usłyszeć.

To ostatnie porywcze stwierdzenie ukazało mu drogę odwrotu i natychmiast z tego skorzystał.

- Proszę wybaczyć, panno Halcombe - odparł z twarzą nadal ukrytą w dłoni - proszę wybaczyć, ale ośmielę się przypomnieć, że ja takiego prawa nie żądałem.

Miałam już na ustach parę zdecydowanych słów, które sprowadziłyby go z powrotem na właściwe tory, ale Laura powstrzymała mnie mówiąc:

- Mam nadzieję, że nienadaremnie uczyniłam to bolesne wyznanie? Mam nadzieję, że dzięki temu przyjmie pan z całkowitym zaufaniem to, co mam jeszcze panu do powiedzenia?

- Proszę, niech pani w to nie wątpi - zapewnił ją gorąco, opuszczając rękę na stół i zwracając się ku nam. Twarz jego nie mówiła nic o tym, co przed chwilą przeżywał - malowało się na niej tylko wyczekiwanie, pełne napięcia wyczekiwanie na jej dalsze słowa.

- Chciałabym, sir Parsivalu, żeby pan zrozumiał, że nie mówiłam tego ze względów egoistycznych - rzekła. - Jeśli po tym, co powiedziałam, zwolni mnie pan z danego słowa, ja nie poślubię innego mężczyzny, ale przez resztę mego życia pozostanę niezamężna. Moja wina w stosunku do pana zaczęła się i skończyła tylko na moich myślach. Nigdy nie posunę się dalej. Ani jedno słowo... - urwała niepewna, jakiego wyrażenia użyć, zawahała się w jakimś bolesnym, przykrym zmieszaniu. - Ani jedno słowo nie padło - podjęła wytrwale i zdecydowanie - między mną a osobą, p której teraz mówię po raz pierwszy i ostatni w pana obecności, na temat moich uczuć do niego ani jego uczuć do mnie... nie padło nigdy ani jedno słowo... i prawdopodobnie nigdy na tym świecie się nie spotkamy. Błagam pana, by pozwolił mi pan nie mówić nic więcej i by uwierzył, ma moje słowo, w to, co powiedziałam. Jest to prawda, sir Parsivalu, prawda, którą, jak sądzę, mój narzeczony ma prawo znać, bez względu na to, jak przykre jest dla mnie to wyznanie. Ufam, że szlachetność pana każe wybaczyć mi, a poczucie honoru nie pozwoli zdradzić mojej tajemnicy.

- Zaufanie pani w tych dwu sprawach jest dla mnie rzeczą świętą - odrzekł.

Po tym zapewnieniu umilkł i popatrzył na nią, jak gdyby czekał, że powie coś więcej.

- Powiedziała już wszystko, co miałam powiedzieć - rzekła spokojnie. - A to, co pan usłyszał, wystarczy aż nadto, by usprawiedliwić zerwanie zaręczyn.

- To, co usłyszałem - odrzekł - wystarczy aż nadto, by dotrzymanie zaręczyn stało się najdroższym celem mego życia. - Z tymi słowy powstał z krzesła i podszedł kilka kroków ku miejscu, gdzie siedziała.

Drgnęła gwałtownie i wydała cichy o:krzyk zdumienia. Każde wypowiedziane przez nią słowo bezwiednie wskazywało jej czystość i prawość mężczyźnie, który doskonale rozumiał, jak bezcenną wartość posiada czysta i prawa kobieta. Jej własne szlachetne zachowanie było najgorszym wrogiem nadziei, jakie w nim pokładała. Obawiałam się tego od początku. Zapobiegłabym temu, gdyby mi na to pozwoliła. Nawet i teraz, kiedy najgorsze już się stało, czekałam, by sir Parsival powiedział choć słowo, które dałoby mi możliwość zaszachowania go.

- Panno Fairlie, pozostawiła pani mnie zerwanie zaręczyn. Nie jestem tak nieczuły, bym miał dobrowolnie wyrzec się kobiety, która okazała się najszlachetniejszą ze swojej płci.

Mówił tak gorąco i z takim uczuciem, z tak wielkim entuzjazmem, a jednocześnie z taką delikatnością, że podniosła głowę, zarumieniła się trochę i patrzyła na niego z nagłym ożywieniem;

- Nie! - powiedziała zdecydowanie. - Najbardziej nieszczęsną z jej płci, skoro musi iść za męża, nie mogąc ofiarować mężowi miłości.

- Czy nie będzie mogła dać mu jej w przyszłości - zapytał

- skoro jedynym celem życia jej męża będzie zasłużenie na tę miłość?

- Nigdy! - odparła. - Jeśli nadal będzie pan nalegał na dotrzymanie zaręczyn, mogę być żoną wierną i oddaną, sir Parsivalu, ale kochającą, o ile znam siebie, nigdy nie będę.

Wypowiadając te odważne słowa była tak piękna, że żaden mężczyzna na świecie nie mógłby gniewać się na nią.

Wmawiałam w siebie, że sir Parsival postępuje źle, i chciałam to powiedzieć, ale wbrew mej woli cała moja kobieca natura współczuła mu.

- Ż wdzięcznością przyjmuję pani wierność i oddanie - rzekł.

- Najmniejsza doza uczucia, którą pani może mi ofiarować, jest dla mnie stokroć cenniejsza niż największe uczucie jakiegokolwiek innej kobiety na świecie.

Jej lewa ręka trzymała wciąż moją, ale prawa zwisała bezwładnie. Podniósł ją delikatnie do ust - musnął wargami raczej, niż ucałował - skłonił się mnie, a potem, z całą delikatnością i dyskrecją, cicho wyszedł z pokoju.

Nie poruszyła się ani nie odezwała, gdy wyszedł. Siedziała przy mnie chłodna i spokojna, z oczami wbitymi w ziemię. Czułam, że słowa nie zdadzą się tu na nic, więc tylko w milczeniu objęłam ją ramieniem i przyciągnęłam ku sobie. Siedziałyśmy tak razem przez, jak mi się zdawało, wiele długich, pełnych udręki minut, tak długich i tak pełnych udręki, że w końcu zaniepokoiłam się i chcąc odprężyć atmosferę, odezwałam się do niej cicho.

Dźwięk mego głosu przywołał ją do przytomności. Odsunęła się gwałtownie ode mnie i zerwała na równe nogi.

- Muszę się starać pogodzić z losem, Marianno - rzekła. - Moje nowe życie będzie pełne ciężkich obowiązków, a jeden z nich zaczyna się już dzisiaj.

Mówiąc to podeszła do stoliczka pod oknem, na którym znajdowały się jej przybory do malowania, zebrała je starannie i schowała do szufladki w biurczku. Zamknęła ją i oddała mnie klucz.

- Muszę rozstać się ze wszystkim, co mi jego przypomina - rzekła. - Weź ten klucz, schowaj, gdzie chcesz, nie będzie mi potrzebny!

Nim zdążyłam powiedzieć choć słowo, odwróciła się do biblioteczki i wyjęła stamtąd album, który zawierał rysunki Hartrighta. Wahała się chwilę, trzymając albumik w ręku, a potem podniosła go do ust i ucałowała.

- Och, Lauro, Lauro!... - wykrzyknęłam bez gniewu i bez wymówki, jedynie z głębokim smutkiem w głosie, gdyż i w

sercu moim nie było nic prócz smutku.

- To już ostatni raz, Marianno - tłumaczyła. - Żegnaj się z nim już na zawsze.

Położyła albumik na stole i wyciągnęła grzebyk przytrzymujący jej włosy. Opadły w całym swym pięknie i bogactwie na ramiona i plecy, spływając aż poniżej talii. Oddzieliła, jeden długi cienki lok, ścięła go, zwinęła w kółko i starannie przypięła szpileczką na pierwszej pustej stronie albumu, po czym zamknęła spieszenie album i wręczyła mnie.

- Pisujesz do niego i on pisuje do ciebie - rzekła. - Jeśli zapyta o mnie, to dopóki żyć będę, odpowiadaj zawsze, że wiedzie mi się dobrze, i nigdy nie pisz, że jestem nieszczęśliwa. Ze względu na mnie, Marianno, nie martw go, nie martw go! Ale przyrzeknij, że jeśli ja umrą pierwsza, oddasz mu ten albumik z jego rysunkami i z moim lokiem. Nie stanie się nic złego, ponieważ mnie już nie będzie, jeśli mu powiesz, że własnoręcznie go tam włożyłam. I powiedz, Marianno, powiedz za mnie, wtedy gdy już nie będę mogła mówić za samą siebie... powiedz, że go kochałam!

Zarzuciła mi ramiona na szyję i ostatnie słowa wyszeptała w ucho z taką namiętą radością, że może je wypowiedzieć, że mało mi serce z bólu nie pękło. W tym pierwszym i ostatnim wybuchu uczuć pękły wszelkie tamy długiego surowego przymusu, który sobie narzuciła. Oderwała się ode mnie z historyczną wprost gwałtownością i rzuciła na sofę w paroksyzmie płaczu, wstrząsającym całą jej postacią.

Daremnie próbowałam uspokoić ją i rozsądnie z nią podyskutować, nie była w stanie uspokoić się, nie była w stanie zastanowić się. W tak smutny, nieoczekiwany sposób zakończył się dla nas ten pamiętny dzień. Kiedy przeszedł atak płaczu, była zbyt wyczerpana, by móc rozmawiać. Po południu zdrzemnęła się, a ja schowałam album, żeby go nie widziała po obudzeniu. Kiedy otworzyła oczy i spojrzała na mnie, twarz moja była spokojna, choć nie można by tego powiedzieć o moim sercu. Nie wracaliśmy już do nieszczęsnej rannej rozmowy. Nie wspominałyśmy imienia sir Parsivala. Przez resztę dnia nie uczyniłyśmy najmniejszej aluzji na temat Waltera Hartrighta.

10 listopada

Zauważywszy dziś rano, że Laura uspokoiła się i jest znów sobą, powróciłam do bolesnego tematu z dnia wczorajszego, w tym jedynie celu, aby ją błagać, by pozwoliła mi rozmawiać z sir Parskałem i panem Fairlie i przedstawić sprawę tego nieszczęsnego małżeństwa w sposób bardziej jasny i zdecydowany, niż mogłaby to zrobić ona sama. Łagodnie, lecz stanowczo przerwała mi moje wywody.

- Decyzja miała zapaść wczoraj - rzekła - i wczoraj zapadła. Teraz jest już za późno, by się cofać.

Sir Parsival mówił ze mną po południu na temat tego, co zaszło w pokoju Laury. Zapewnił mnie, że niespotykane zaufanie, jakim go obdarzyła, wzbudziło w nim tak silną wiarę w jej niewinność i szlachetność, że nawet przez chwilę nie zawinił niegodną zazdrością, ani wtedy, gdy był przy niej, ani po wyjściu z jej pokoju. Zasmuciło go głęboko to nieszczęsne przywiązanie, które nie pozwoliło mu zdobyć względów Laury, ale wierzy mocno, że nie wyznała swych uczuć dotychczas i nie wyzna ich w przyszłości, bez względu na to, co się może zdarzyć. Że takie jest jego niezachwiane przekonanie, niech zaświadczy jego zapewnienie, że nie chciałby nawet wiedzieć, czy to uczucie zbudziło się w niej dawniej, czy ostatnio, ani kto jest jego przedmiotem. Jego bezwzględne zaufanie do panny Fairlie sprawia, że zadowala się tym, co uznała za stosowne mu wyjawić, i ucziwie stwierdzić może, iż nie plami go najłżejsza nawet chęć dowiedzenia się czegoś więcej.

Powiedziawszy to umilkł i patrzył na mnie. Byłam jednak głęboko uprzedzona w stosunku do niego, choć nie miało to żadnych podstaw. Zawładnęło mną niegodne podejrzenie, iż być może liczy, że bez namysłu udzielił mu odpowiedzi na te właśnie pytania, których, jak twierdzi, zdecydował się nie zadawać. Toteż w pewnym zmieszaniu nawiązałam do poruszonego przez niego tematu. Postanowiwszy wszakże korzystać z każdej okazji, pozwalającej zabierać głos w sprawie Laury, śmiało wyraziłam żal, iż jego szlachetność nie kazała mu

posunąć się o krok dalej i zwolnić ją z danego słowa.

Ale on rozbroił mnie, gdyż nawet nie próbował się bronić. Prosił tylko, abym zechciała uprzytomnić sobie różnicę istniejącą między zezwoleniem na to, by panna Fairlie zerwała zaręczyny, co było tylko kwestią poddania się losowi, a tym, by on się jej wyrzekł, co było, innymi słowy, żądaniem, by sam pogrzebał własne nadzieje. Jej postępowanie w dniu wczorajszym tak umocniło w nim niezmiennie od dwu długich lat miłość i uwielbienie dla niej, że walka z tymi uczuciami absolutnie nie leży w jego mocy. Mogę uważać go za słabego, samolubnego, nieczulego w stosunku do kobiety, którą ubóstwia, a jemu pozostaje tylko z rezygnacją wysłuchać mojej opinii pytając jednocześnie, czy Laura, pozostawszy kobietą samotną, usychającą z nieszczęśliwej tajemnej miłości, będzie miała przed sobą jaśniejsze perspektywy, niż gdyby wyszła za mąż za człowieka, który ją uwielbia. W tym wypadku można żywić nadzieję, jakkolwiek słabą, że czas przyniesie zmianę na lepsze, ale w pierwszym wypadku, jak sama przedstawiła, nie ma żadnej nadziei.

Odpowiedziałam mu - raczej dlatego, że mój język jest językiem kobiety i nie lubi próżnować, niż dlatego, bym miała mu coś przekonywającego do powiedzenia. Było aż nazbyt jasne, że droga, obrana wczoraj przez Laurę, otworzyła przed nim pewne możliwości, że od niego tylko zależało, by je wykorzystać, i że zdecydował się je wykorzystać. Tak myślałam wtedy i tak samo myślę teraz, pisząc to w moim własnym pokoju. Jedyna nadzieja w tym, że postępowanie jego wypływa rzeczywiście, tak jak twierdzi, z nieprzepartej siły jego uczuć do Laury.

Zanim zamknę mój dziennik, muszę zanotować, że pisałam dziś w sprawie biednego Hartrighta do dwóch dawnych przyjaciół mej matki w Londynie. Obaj posiadają wysokie stanowiska i wielkie wpływy. Jestem zupełnie pewna, że uczynią coś dla niego, o ile tylko będą mogli. O nikogo, z wyjątkiem Laury, nigdy się tak nie niepokoiliam, jak niepokoje się teraz o Waltera. To, co zdarzyło się od jego wyjazdu, powiększa tylko mój szacunek i sympatię dla niego. Mam

nadzieję, że słusznie postępuję pomagając mu znaleźć pracę poza Anglią. Żywię gorącą nadzieję, że to wszystko dobrze się zakończy.

11 listopada

Sir Parsival odbył rozmowę z panem Fairlie, na którą i mnie wezwano.

Pan Fairlie miał nadzieję, że „kłopoty rodzinne” (jak spodobało mu się określić sprawę małżeństwa swej bratanicy) dobiegają nareszcie końca, i odczuł wielką ulgę z tego powodu. Nie byłam powołana, by choć jednym słowem wyrazić własną opinię w tym względzie, ale gdy bardziej niż zwykle irytująco i ospale począł przedkładać, że należałoby obecnie ustalić datę ślubu zgodnie z życzeniem sir Parsivala, z całą satysfakcją pozwoliłam sobie wstrząsnąć nerwami pana Fairlie, protestując w najbardziej stanowczych słowach przeciw ponagłaniu Laury. Sir Parsival momentalnie mnie zapewnił, że podziela mój sprzeciw, i prosił, abym zechciała uwierzyć, że propozycja ta nie była bynajmniej wywołana jego interwencją. Pan Fairlie osunął się w fotelu, przyknuł oczy, zawyrokował, że oboje przynosimy zaszczyt rodzajowi ludzkiemu, a następnie powtórzył swą propozycję z takim spokojem, jak gdyby żadne z nas nie wyraziło słowa sprzeciwu. Skończyło się na tym, że zdecydowanie odmówiłam poruszenia tej sprawy w rozmowie z Laurą, jeśli ona sama nie zacznie mówić na ten temat. Natychmiast po tym oświadczeniu opuściłam pokój. Sir Parsival wydawał się poważnie zaniepokojony i przygnębiony, pan Fairlie zaś leniwie rozprostował nogi na swym aksamitnym podnóżku mówiąc: - Droga moja Marianno, jakże ci zazdroszczę twych żelaznych nerwów! Nie trzaśnij drzwiami.

Znalazłszy się w pokoju Laury zorientowałam się, że pytała o mnie, i pani Vesey powiadomiła ją, że wezwał mnie pan Fairlie. Od razu zapytała, czego chciał ode mnie, a ja przedstawiłam jej wszystko, co zaszło, nie usiłując ukrywać, jak mnie to zirytowało i rozdrażniło. Jej odpowiedź zaskoczyła mnie i niewypowiedzianie zmartwiła - powiedziała coś, czego zupełnie

nie oczekiwałam.

- Stryj ma rację - rzekła. - Sprawiałam już dosyć kłopotów i niepokojów tobie i wszystkim. Nie chcę już tego czynić więcej, niech sir Parsival decyduje.

Protestowałam gorąco, ale nie poruszyły jej moje perswazje.

- Jestem związana danym słowem - odparła. - Zerwałam z dawnym życiem. Nic nie pomoże odsuwanie daty, zły dzień i tak nadejdzie na pewno. Tak, Marianno, stryj ma rację. Sprawiałam już dość trosk i niepokojów, nie będę już ich więcej sprawiać.

Ona, zwykle tak uległa, stała się nieugięta w swej bierności, wywołanej rezygnacją, mogę niemal powiedzieć rozpaczą. Choć kochałam Laurę tak bardzo, wolałabym widzieć ją gwałtownie poruszoną niż chłodną i nieczułą jak teraz - tak było to niezgodne z jej prawdziwą naturą.

12 listopada

Sir Parsival zadał mi przy śniadaniu kilka pytań dotyczących Laury i nie pozostało mi nic innego, jak powiadomić go o tym, co powiedziała.

W czasie naszej rozmowy Laura weszła do jadalni i przyłączyła się do nas. W obecności sir Parsivala zachowała taki sam nienaturalny spokój, jak przedtem przy mnie.

Gdy śniadanie się skończyło, miał okazję zamienić z nią kilka słów na osobności, we wnęce jednego z okien. Rozmawiali nie dłużej niż parę minut, a potem Laura opuściła pokój razem z panią Vesey, a sir Parsival podszedł do mnie. Powiedział mi, że błagał ją, by uczyniła mu tę łaskę i zachowała dla siebie przywilej wyznaczenia daty ślubu wedle swej własnej woli i chęci. W odpowiedzi podziękowała mu tylko i poprosiła, by oznajmił panie Halcombe, jakie są jego życzenia.

Nie mam już cierpliwości pisać dłużej. W tym wypadku, jak zawsze, sir Parsival przeprowadził swoją wolę w sposób przynoszący mu najwyższy zaszczyt, pomimo wszystko, co powiedziałam lub zrobiłam. Jego życzenia są teraz oczywiście takie same, jak w chwili gdy przyjechał, a Laura, zdecydowawszy się na nie dające się uniknąć poświęcenie, owo

małżeństwo, jest pełna chłodnej rezygnacji. Wydaje się, że porzucając swe drobne zajęcia, przypominające jej Hartrighta, i rozstając się z pamiątkami po nim, utraciła zarazem dawną serdeczność i wrażliwość. Kiedy kreślę te słowa, jest dopiero trzecia po południu, a sir Parsival już nas opuścił, spiesząc jako szczęśliwy narzeczony do swego domu w Hampshire, by go przygotować na przyjęcie nowej pani. Jeżeli jakiś niezwykły wypadek nie stanie na przeszkodzie, ślub odbędzie się dokładnie w tym tenminie, jakiego on sobie życzył: przed końcem roku. Parzą mnie palce, gdy piszę te słowa.

13 listopada

Noc bezsenna z powodu niepokoju o Laurę. Nad ranem doszłam do wniosku, że trzeba spróbować, czy zmiana otoczenia nie zdoła jej jakoś ożywić. Przecież chyba otrząśnie się z obecnego ośpienia i nieczułości, gdy wyrwę ją z Limmeridge i otoczę najmiłszymi twarzami dawnych przyjaciół? Po pewnym namyśle postanowiłam napisać do Arnoldów w Yorkshire. Są to dobrzy, gościnni i pełni prostoty ludzie, a przy tym znani jej od dzieciństwa. Wrzuciwszy list do torby pocztowej oznajmiłam jej o tym. Byłoby dla mnie ulgą, gdyby okazała chęć sprzeciwu i oporu. Ale nie! Powiedziała tylko: - Pojadę wszędzie z tobą, Marianno. Wydaje mi się, że masz rację. Możliwe, że ta zmiana dobrze mi zrobi.

14 listopada

Napisałam do pana Gilmore zawiadamiając go, że rzeczywiście ma dojść do tego nieszczęsnego małżeństwa. Wspomniałam też, że chcę spróbować, czy zmiana otoczenia nie wpłynie dobrze na Laurę. Nie miałam serca wdawać się w szczegóły. Przyjdzie na to czas, gdy zbliży się koniec roku.

15 listopada

Trzy listy do mnie. Pierwszy od Arnoldów, wyrażający radość

z powodu naszego zapowiedzianego przyjazdu. Drugi od jednegoz panów, do których pisałam w sprawie Waltera Hartrighta, z wiadomością, że ku wielkiemu zadowoleniu owego dżentelmena nadarzyła się okazja pozwalająca mu spełnić mą prośbę. Trzeci od Waltera, w którym biedaczysko w najgorętszych słowach dziękuje mi za to, że daję mu szansę porzucenia domu rodzinnego, kraju i przyjaciół. Jakaś prywatna ekspedycja mająca na celu przeprowadzenie prac wykopaliskowych wśród ruin miast Ameryki Środkowej ma właśnie odpłynąć z Londynu. Rysownik, który miał towarzyszyć wyprawie, stracił odwagę, wycofał się za pięć dwunasta i obecnie Walter zajmie jego miejsce. Został zaangażowany na pół roku od chwili wylądowania w Hondurasie, a warunkowo (o ile powiodą się prace wykopaliskowe a wystarczy funduszków) jeszcze na rok. List kończy obietnicą, że napisze mi parę słów na pożegnanie, kiedy wszyscy znajdą się już na pokładzie. Mogę tylko żywić nadzieję, że oboje postępujemy w tej sprawie słusznie, i modlić się o dobre rezultaty. Jest to krok tak poważny, że przeraża mnie sama myśl o tym. A przecież Walter znalazł się w takiej sytuacji, że nie mogę spodziewać się, by pozostał w kraju, ani nawet życzyć mu tego.

16 listopada

Powóz stoi u drzwi. Wyruszamy z Laurą w odwiedzinę do Arnoldów.

.

Polesdean Lodge, Yorkshire

23 listopada

Tydzień w nowym otoczeniu, wśród tych zacnych ludzi, wpłynął na nią dobrze, choć nie tak dobrze, jak się spodziewałam. Zdecydowałam się przedłużyć nasz pobyt tutaj jeszcze przynajmniej o tydzień. Nie ma sensu wracać do Limmeridge, dopóki nic nas do tego nie zmusza.

24 listopada

Ranna poczta przyniosła smutne nowiny. Dwudziestego pierwszego odpłynęła ekspedycja do Ameryki Środkowej. Rozstałyśmy się ze szlachetnym człowiekiem. Straciliśmy wiernego przyjaciela. Walter Hartright opuścił Anglię.

25 listopada

Wczoraj nadeszły smutne nowiny - dziś złowrogie. Sir Parsival Glyde napisał do pana Fairlie, a pan Fairlie napisał do mnie i do Laury wzywając nas natychmiast do Limmeridge. Cóż to oznacza? Czyżby w naszej nieobecności ustalono datę ślubu?

II

Dwór Limmeridge

27 listopada

Moje złe przeczucia sprawdziły się. Data ślubu jest ustalona na grudnia.

W dzień po naszym wyjeździe do Polesdean Lodge sir Parsival napisał do pana Fairlie donosząc mu, że przeprowadzenie koniecznych zmian i przeróbek w jego dworze w Hampshire zajmie znacznie więcej czasu, niż początkowo przewidywał. Kosztorysy mają być mu przedstawione, jak będzie można najszybciej, lecz byłoby mu znacznie łatwiej układać się z robotnikami, gdyby został poinformowany, w jakim terminie może oczekiwać ceremonii zaślubin. Mógłby wtedy ułożyć odpowiednio wszystkie terminy, a także napisać listy z przeprosinami do przyjaciół, którzy mieli go odwiedzić zimą i których oczywiście nie będzie mógł przyjąć, gdy robotnicy zabiorą się do pracy. Na list ten pan Fairlie odpisał

prosząc, by sir Parsival sam zaproponował datę ślubu, którą miała zatwierdzić panna Fairlie, i obiecał uczynić, co tylko będzie w jego mocy, by uzyskać zgodę bratanicy. Sir Parsival. odpisał odwrotną pocztą i zaproponował (zgodnie ze swymi własnymi pierwotnymi życzeniami i zamiarami) ostatnie dni grudnia, lub , albo też jakiś inny dzień, Mory bardziej odpowiadałby panie Fairlie lub jej opiekunowi. Ponieważ panna Fairlie była nieobecna w Limmeridge i nie mogła wyrazić swej woli, jej opiekun wybrał najwcześniejszy z wymienionych dni, dwudziesty drugi grudnia, i dlatego napisał do nas wzywając do powrotu.

Wczoraj pan Fairlie w rozmowie ze mną przedstawił mi te sprawy szczegółowo i jak najbardziej przyjaźnie zaproponował, bym następnego dnia, to jest dziś, rozpoczęła niezbędne pertraktacje. Wiedząc, że wszelki opór byłby daremny bez upoważnienia Laury, zgodziłam się porozmawiać z nią, ale jednocześnie oświadczyłam, że absolutnie nie podejmuję się wpływać na nią, by wyraziła zgodę na życzenie sir Parsivala. Pan Fairlie pogratulował mi „wspaniałego sumienia” tak jak mógłby, będąc na przechadzce, pogratulować mi „wspaniałej konstytucji fizycznej” i wydawało mi się, że jak dotychczas, jest zupełnie zadowolony z tego, że najzwyczajniej w świecie zrzucił jeszcze jedną odpowiedzialną oprawę rodzinną na moje barki.

Dzisiaj rano, zgodnie z obietnicą, rozmawiałam z Laurą. Spokój - mogę niemal powiedzieć: niewrażliwość - którym tak dziwnie, z takim zdecydowaniem, osłaniała się od czasu wyjazdu sir Parsivala, okazał się niewystarczającą tarczą przeciw tej nagłej nowinie, jaką jej oznajmiłam. Zbladła i poczęła drzeć gwałtownie.

- Och, nie tak prędko! - szepnęła. - Marianno, nie tak prędko!

To mi w zupełności wystarczyło.. Wstałam, by wyjść z pokoju i od razu stoczyć o nią bitwę z panem Fairlie.

Kładłam już rękę na kłamce, gdy pochwyciła mą suknię i zatrzymała mnie.

- Pozwól mi iść! - zawołałam. - Pałać mnie wargi, by powiedzieć twemu stryjowi, że nie wszystko ma się dziać wedle woli jego i sir Parsivala.

Westchnęła ciężko nie puszczając mej sukni.

- Nie! - odrzekła cicho. - Za późno, Marianno, za późno!

- Wcale nie za późno! - wykrzyknęłam. - Termin zależy od nas. Wierzaj mi, Lauro, że powinnaś to w pełni wykorzystać.

Mówiąc to uwolniłam suknię z jej palców, lecz ona momentalnie opłotła ramionami mą kibić i trzymała mnie jeszcze mocniej niż przedtem.

- To tylko sprowadzi jeszcze więcej kłopotów i zamieszania - rzekła. - Wywoła nieporozumienie między tobą a stryjem i sir Parsival przyjedzie mając nowy powód do skarg...

- Tym lepiej! - krzyknęłam z gniewem. - Cóż nas obchodzi, że będzie miał powód do skarg! Czyż masz łamać sobie serce, by mu oszczędzić zmartwienia? Żaden mężczyzna nie zasługuje na takie poświęcenie ze strony kobiety. Mężczyźni! Wrogowie naszej niewinności i naszego spokoju! Wyrrywają nas z kręgu miłości rodziców i siostrzanej przyjaźni! Zagarniają nas z duszą i ciałem dla siebie! Wiążą nasze życie ze swoim, jak bezbronного psa na łańcuchu! A w zamian co nam dają nawet najlepsi z nich? Och, Lauro, pozwól mi iść! Oszaleję myśląc o tym!

Łzy - bezradne, słabe kobiece łzy udręki i wściekłości - napłynęły mi do oczu. Uśmiechnęła się ze smutkiem i zakryła mi twarz swą chusteczką, jak gdyby chcąc ukryć przed sobą moją własną słabość - słabość, którą, jak wiedziała, w największej miałam pogardzie.

- Och, Marianno - rzekła - ty płaczesz? Pomyśl, co byś powiedziała, gdybyśmy się zamieniły rolami i ja bym płakała. Cała twoja miłość, odwaga i oddanie dla mnie nie są w stanie odwrócić tego, co musi nastąpić, wcześniej czy później. Niech będzie, jak chce stryj. Dość już trosk i zmartwień, muszę temu zapobiec, choćby przez poświęcenie się. Powiedz, że po moim ślubie zamieszkasze ze mną, Marianno! I nie mów już nic więcej!

A ja powiedziałam coś więcej. Pohamowałam niegodne łzy, które mnie nie przyniosły ulgi, a tylko były udręką dla niej. Perswadowałam jej, jak mogłam najspokojniej. Nadaremnie. Kazała mi dwukrotnie powtórzyć obietnicę, że będę z nią

mieszkać po jej ślubie, a potem nagle zadała pytanie, które wzbudziło we mnie nową falę współczucia i sympatii dla niej.

- Kiedy byłyśmy w Polesdean - rzekła - otrzymałaś list, Marianno...

Zmieniony ton głosu, nagłe odwrócenie ode mnie wzroku i ukrycie twarzy na mym ramieniu, wahanie, nie pozwalające jej skończyć zdania - powiedziały mi aż nazbyt wyraźnie, do kogo odnosi się na wpół wyrażone pytanie.

- Sądziłam, Lauro - zaproponowałam łagodnie - że mamy już nigdy o nim nie mówić.

- Miałaś list od niego? - nalegała.

- Tak - odrzekłam - skoro już musisz o tym wiedzieć.

- Czy będziesz jeszcze do niego pisać? Zawahałam się. Obawiałam się powiedzieć jej, że nie ma go w

Anglii i że to ja, chcąc rozbudzić w nim nowe nadzieje i zainteresowania, przyczyniłam się do jego wyjazdu. Cóż miałam jej odpowiedzieć? Był tam, gdzie przez miesiąc, a może i lata nie mogły doń dotrzeć niczyje listy.

- Przypuśćmy, że zamierzam napisać do niego - powiedziałam wreszcie. - To co, Lauro?

Czułam gorąco jej policzka na mojej szyi, drżenie ramion obejmujących mnie mocnym uściskiem.

- Nie pisz mu o dwudziestym drugim - szepnęła. - Przrzeknij 'mi, przrzeknij, że nawet nie wspomnisz mego imienia pisząc do niego następnym listem.

Obiecałam jej to. Słowa niezdolne są wyrazić, z jakim smutkiem składałam jej obietnicę. Natychmiast rozluźniła uścisk swych ramion, podeszła do okna i stała tak przez chwilę, zwrócona do mnie plecami. Potem nie odwracając się, nie pozwalając mi widzieć swej twarzy, odezwała się znów.

- Czy pójdziesz do pokoju stryja? - spytała. - Czy zechcesz mi powiedzieć, że zgadzam się na wszystko, co on uzna za najlepsze? Nie obawiaj się zostawić mnie samej. Chwila samotności dobrze mi zrobi.

Wyszłam z pokoju. Idąc korytarzem pomyślałam, że gdyby na skinienie mego palca pan Fairlie i sir Parsival mogli być przetransportowani w najodleglejszy zakątek świata,

skinęłabym palcem bez chwili wahania. W tym wypadku mój nieszczęsny temperament okazał się mi pomocą. Gdyby w żarze mego gniewu nie wyschły wszystkie me łzy, załamałabym się zupełnie i wybuchnęła gwałtownym płaczem. A tymczasem wpadłam do pokoju pana Fairlie, zawołałam tak szorstko, jak tylko zdołałam: - Laura zgadza się na dwudziestego drugiego! - i wypadłam z pokoju nie czekając na odpowiedź. Trzasnęłam drzwiami i mam nadzieję, że na całą resztę dnia rozstroiłam zupełnie system nerwowy pana Fairlie.

28 listopada

Rano przeczytałam ponownie pożegnalny list Hartrighta, ponieważ wczoraj zbudziła się we mnie wątpliwość, czy dobrze robię, ukrywając przed Laurą fakt jego wyjazdu

Po zastanowieniu doszłam do wniosku, że dobrze robię. Wzmianki w jego liście, mówiące o przygotowaniach do wyjazdu do Ameryki Środkowej, dowodzą, że kierownicy wyprawy zdawali sobie sprawę z tego, że jest to niebezpieczna wyprawa. Jeżeli odkrycie tego wywołuje we mnie niepokój, o ileż większy niepokój wywoła w niej? Gorzka jest myśl, że jego wyjazd pozbawił nas przyjaciela, na którego oddanie najbardziej liczyć . mogłybyśmy, gdyby kiedykolwiek miała nadejść dla nas godzina nieszczęścia, przeciwko której nie umiałybyśmy się bronić. Bardziej jednakże gorzka jest myśl, że porzucił nas, by stawić czoło niebezpieczeństwu w dzikim kraju o niespokojnej ludności i niezdrowym klimacie. Byłoby to okrucieństwo, nie szczerowość, mówić o tym Laurze bez koniecznej potrzeby.

Zastanawiam się, czy nie powinnam posunąć się o krok dalej i nie spalić od razu tego listu, aby nie wpadł kiedyś w niepowołane ręce. Hartright nie tylko mówi o Laurze słowami, które na zawsze powinny pozostać tajemnicą między nami, ale uparcie powtarza swe niezrozumiałe i niepokojące podejrzenie, że od wyjazdu z Limmeridge jest tajemnie śledzony. Oświadcza, że w tłumie, który zebrał się w Liverpoolu, by oglądać odjazd ekspedycji, dojrzał twarze dwu mężczyzn,

którzy chodzili trap w trop za nim po ulicach Londynu, i zapewnia, że gdy wszedł na łódź, słyszał, jak ktoś za nim wymówił imię *Anny Catherick*. Według jego własnych słów: „Te wypadki nie mogą być bez znaczenia, muszą wydać jakiś rezultat. Tajemnica *Anny Catherick* nie została jeszcze wyjaśniona. Nigdy zapewne nie skrzyżują się ścieżki mojego i jej życia, ale jeśli kiedykolwiek pani ją spotka, proszę tę sposobność lepiej wykorzystać, panno *Halcombe*, niż ja to uczyniłem. Piszę to z głębokiego przekonania, błagam, niech pani o tym pamięta”. To są jego własne słowa. Nie ma obawy, bym je zapomniała, moja pamięć aż nazbyt skrzętnie przechowuje wszystko, co mówił o *Annie Catherick*. Ale lękam się trzymać ten list. Przez prosty przypadek może wpaść w obce ręce. Mogę zachorować, mogę umrzeć. Lepiej go od razu spalić i mieć o jedną troskę mniej.

Spaliłam go. Na kominku leży garść czarnych sadzy, popiół pożegnalnego listu, może ostatniego, jaki napisał do mnie. Czy jest to smutny koniec tej smutnej historii? Och, nie, nie koniec - na pewno, na pewno jeszcze nie koniec.

29 listopada

Przygotowania do ślubu już się zaczęły. *Krawcowa* przysłała po zamówienia. *Laura* jest zupełnie obojętna, nic nie obchodzi ją sprawa, w którą zazwyczaj kobieta wkłada tyle osobistego zainteresowania. Zdała się całkowicie na mnie i na *krawcową*. Gdyby to biedny *Hartright* był baronetem, wybranym dla niej przez ojca małżonkiem, jakże inaczej by się zachowywała! Jakżeby była wymagająca i kapryśna, ile natrudzić musiałyby się najlepsza z *krawcowych*, aby jej dogodzić!

30 listopada

Codziennie mamy wiadomości od *sir Parsivala*. Ostatnio doniósł nam, że całkowite odremontowanie jego domu zajmie cztery do sześciu miesięcy. Gdyby malarze, tapeciarze i stolarze umieli stworzyć nie tylko przepych, ale i szczęście domu, interesowałoby mnie bardzo, co dzieje się w przyszłej

rezydencji Laury. Ale ponieważ tak nie jest, jedna tylko część ostatniego listu sir Parsivala zdołała przełamać obojętność, z jaką odnoszę się do wszystkich jego planów i poczynań, a mianowicie ta jego partia, w której wspomina o podróży poślubnej. Ze względu na to, że Laura jest delikatnego zdrowia i że zapowiadają niezwykle surową zimą, proponuje, że zabierze ją do Rzymu i pozostanie we Włoszech aż do początków lata następnego roku. Jeżeli ów projekt nie zyska naszej aprobaty, równie chętnie spędzi ten okres w Londynie, wynajmując w tym celu najstosowniejszy umeblowany dom, jaki można będzie znaleźć, gdyż nie posiada w stolicy własnego apartamentu.

Jeśli wyłączyć za nawias mnie i moje własne uczucia (co uczynić jest moim obowiązkiem i co czynię), to ja przynajmniej nie mam żadnej wątpliwości, że należy przyjąć pierwszą z tych propozycji. W każdym wypadku nieuniknione jest moje rozstanie z Laurą. Rozdzielenie nasze będzie trwało dłużej w razie ich wyjazdu za granicą, niż gdyby pozostali w Londynie. Z drugiej jednak strony trzeba postawić na szali korzyści, jakie odniesie Laura spędzając zimą w łagodnym klimacie, a co więcej, ogromną rolę, jaką niezawodnie odegrają w podniesieniu jej na duchu i pogodzeniu z nową egzystencją wzruszenia i przeżycia tej pierwszej w życiu podróży po najbardziej interesującym kraju świata. Przy jej usposobieniu konwencjonalne radości i rozrywki wielkomiejskiego życia nie byłyby dla niej pociechą, wprost przeciwnie, jeszcze silniej odczułaby w Londynie ciężar pierwszych chwil nieszczęśliwego małżeństwa. Nie zdołam wyrazić, jak bardzo lękam się początków jej nowego życia, ale widzę pewną nadzieję dla niej w podróży; żadnej nadziei, jeśli pozostanie w domu.

Dziwnego doznaję uczucia, gdy patrząc na ten ostatni zapisek w moim dzienniku widzę, że o małżeństwie Laury i o rozstaniu się z nią piszę tak, jak zwykło się pisać o sprawie już załatwionej. Wydaje mi się jakiś brakiem uczucia, okrucieństwem traktowanie przyszłości z takim spokojem. Ale jak inaczej można ją rozpatrywać teraz, gdy tak już niewiele pozostało czasu! Nim minie miesiąc, będzie ona jego Laurą, nie

moją! Jego Laurą! Nie potrafię uświadomić sobie treści zawartej w tych dwu słowach - zdają się przyćmiewać i otepiać mój umysł - jak gdyby pisanie o jej małżeństwie było tym samym, co pisanie o jej śmierci.

1 grudnia

Smutny, smutny dzień. Nie mam odwagi rozpisywać się o nim. Nie mając siły mówić z nią o tym wczoraj, musiałam dziś rano oznajmić jej o propozycji sir Parsivala w sprawie podróży poślubnej.

W przekonaniu, że będę jej towarzyszyć, gdziekolwiek pojedzie, biedne dziecko - bo wciąż jeszcze jest dzieckiem pod wieloma względami - było niemal szczęśliwe na myśl, że zobaczy cuda Florencji, Rzymu i Neapolu. Pękało mi serce, gdy musiałam rozwiać te złudzenia i stawić jej przed oczy gorzką prawdę. Musiałam powiedzieć jej, że w pierwszym okresie małżeństwa, jakkolwiek może się później zdarzyć, żaden mężczyzna nie zechce z nikim dzielić swej żony, nie zniesie rywala, nawet w kobiecie.

Musiałam ją ostrzec, że gdybym w pierwszym okresie ich małżeństwa stanęła pomiędzy nią a sir Parsivalem jako wybrana powiernica najskrytszych jej tajemnic, wzbudziłabym jego zazdrość i nieufność i mogłabym utracić prawo stałego przebywania z nią w ich domu. Kropla po kropli sączyłam gorzką światową mądrość do jej czystego serca i prawej duszy, a wszystko, co szlachetne, buntowało się we mnie przeciw temu obowiązkowi. Ale już mam to za sobą. Pojęła tę ciężką, lecz nieuniknioną lekcję. Rozwiały się dziewczęce złudzenia, a dokonała tego moja ręka. Lepiej, że moja niż jego, to cała pociecha, lepiej, że moja, niż jego ręka.

Tak więc została przyjęta pierwsza propozycja. Pojadą do Włoch, a ja, za pozwoleniem sir Parsivala, mam ich spotkać i zamieszkać z nimi po ich powrocie do Anglii. Innymi słowy, mam po raz pierwszy w życiu prosić o łaskę dla siebie i to w dodatku prosić o to tego właśnie człowieka, wobec którego najbardziej nie chciałam mieć poważnego długu wdzięczności. No cóż! Myślę, że dla Laury mogłabym znieść nawet i więcej.

2 grudnia

Przeglądając mój dziennik zauważyłam, że pisząc o sir Parsivalu używam zawsze ujemnych określeń. Ale teraz sprawy wzięły taki obrót, że muszę i chcę wykorzenić moje uprzedzenie w stosunku do niego. Nie mogę sobie przypomnieć, z czego się ono zrodziło. Na pewno dawniej nie istniało.

Może to niechęć Laury do poślubienia go źle mnie usposobiła? A może, nawet nie podejrzewając tego, uległam wpływowi zupełnie zrozumiałego uprzedzenia Hartrighta? Czyżby list Anny Catheriek, pomimo wyjaśnień sir Parsivala i mimo posiadania przeze mnie dowodu, że są one zgodne z prawdą... czyżby ten list nadal jeszcze siał we mnie nieufność? Nie mogę zdać sobie sprawy ze stanu własnych uczuć, ale jednego jestem pewna: że jest moim obowiązkiem, obecnie nawet podwójnym obowiązkiem, nie czynić krzywdy sir Parsivalowi przez nieuzasadnioną nieufność. Skoro stało się moim zwyczajem pisanie o nim zawsze w niepochlebny sposób, muszę przełamać w sobie tę niegodną skłonność i uczynię to, nawet gdybym miała zamknąć mój dziennik i nie otworzyć go aż po ślubie. Jestem bardzo niezadowolona z samej siebie, nie napiszę już dziś nic więcej.

16 grudnia

Minęło pół miesiąca i ani razu nie otworzyłam tych kartek. Mam nadzieję, że dostatecznie długo trzymałam się z daleka od mego dziennika, by powrócić do niego z lepszym nastawieniem do sir Parsivala. Nie mam zbyt wiele do zanotowania o minionych dwu tygodniach. Prawie wszystkie stroje są już poszyte, a z Londynu nadeszły kufry podróżne. Moja kochana biedna Laura nie odstępuje mnie ani na moment w ciągu dnia, a ostatniej nocy, gdy żadna z nas nie mogła zasnąć, weszła do mego pokoju i wśliznęła się do mego łóżka na rozmowę.

- Tak już niedługo stracę cię, Marianno - rzekła - muszę teraz, póki mogę, korzystać z każdej chwili twojej obecności.

Ślub ma się odbyć w kościele w Limmeridge i dzięki Bogu

nikt z sąsiedztwa nie zostanie zaproszony na tę ceremonię. Jedynym gościem będzie nasz dawny przyjaciel, pan Arnold, który przyjedzie z Polesdean, aby wieść Laurę do ołtarza, ponieważ jej stryj jest zbyt delikatnego zdrowia, aby mógł wyjść z pokoju podczas tak fatalnej pogody, jaka obecnie panuje. Gdybym nie była zdecydowana od dzisiejszego dnia widzieć przyszłość tylko w jasnych barwach, fakt, że w tym najważniejszym momencie życia nie będzie żadnego krewnego Laury, przygnębiłby mnie i natchnął nieufnością. Ale skończyłam już z przygnębieniem i nieufnością... to znaczy skończyłam z pisaniem o jednym i drugim...

Sir Parsival ma przybyć jutro. Zaproponował, że w wypadku, gdybyśmy chcieli zachować sztywne zasady etykiety, napisze do naszego pastora z prośbą, by udzielił mu gościny podczas krótkiego okresu jego pobytu w Limmeridge przed ślubem. Ale ani pan Fairlie, ani ja nie uważamy za potrzebne kłopotać się o zachowanie pustych form i ceremonii w tych okolicznościach. Żyjąc w dzikiej krainie wrzosowisk, w wielkim samotnym domu, możemy śmiało uważać, że znajdujemy się poza zasięgiem nic nie znaczących błahych konwenansów, które gdzie indziej krępują ludzi. Odpisałam sir Parsivalowi dziękując za jego uprzejmą propozycję i prosząc, aby był łaskaw zająć swe zwykłe pokoje we dworze Limmeridge.

17 grudnia

Przyjechał dzisiaj. Wydał mi się trochę zmęczony i niespokojny, ale rozmawia i śmieje się, jak gdyby był w najlepszym nastroju. Przywiózł w darze naprawdę piękną biżuterię, którą Laura przyjęła z wielkim wdziękiem i na zewnątrz przynajmniej, z doskonałym opanowaniem. Jedynym dostrzegalnym znakiem, świadczącym o ciężkiej walce, jaką stacza ze sobą w tym trudnym okresie, jest jej niechęć do zostawiania samej. Nie ucieka, jak zwykle, do swego pokoju, a wręcz przeciwnie, wydaje się zalękniona, gdy ma tam odejść. Kiedy przed spacerem szłam na górę po kapelusz, podążyła za mną. A przed obiadem zostawiła otwarte drzwi między naszymi

pokojami, tak byśmy mogły rozmawiać ze sobą ubierając się.

- Dawaj mi zawsze coś do roboty - rzekła. - Nie zostawiaj mnie nigdy samej. Nie pozwalaj mi myśleć... to jest teraz jedyna moja prośba, Marianno, nie pozwalaj mi myśleć.

Smutna zimiana, jaka ,się w niej dokonała, powiększa tylko jej urok w oczach sir Parsivala. Nie ulega wątpliwości, że tłumaczy ją na swoją korzyść. Widząc gorączkowy rumieniec na jej policzkach, gorączkowy blask w jej oczach, cieszy się, że wraca jej dawna piękność i wesoły nastrój. Dziś przy obiedzie rozprawiała z weselem i beztroską, tak zupełnie fałszywą i nie leżącą w jej charakterze, że miałam ochotę zamknąć jej usta i wyprowadzić z jadalni. Sir Parsival natomiast niezmiernie uradował się i zdziwił. Z twarzy jego znikł zupełnie niepokój, który zauważyłam w chwili jego przyjazdu, i nawet mnie wydawało się, że wygląda o dobre dziesięć lat młodziej, niż ma w istocie.

Nie można zaprzeczyć - choć jakaś dziwna przekora nie pozwala mi tego samej odczuć - nie można zaprzeczyć, że przyszły małżonek Laury jest bardzo przystojnym mężczyzną. Po pierwsze, regularne rysy to wielka zaleta - a on ma regularne rysy. Błyszczące brązowe oczy to wielka ozdoba twarzy, zarówno kobiecej, jak męskiej - a on ona takie oczy. Nawet łysina, jeśli występuje tylko nad czołem (jak u niego), jest raczej ładna u mężczyzny, ponieważ uwydatnia czoło i dodaje twarzy inteligencji. Wdzięk, lekkość ruchów, nie męczące a żywe zachowanie, umiejętność prowadzenia rozmowy - wszystko to są niewątpliwie zalety i na pewno on je posiada. Czyż można winić pana Gilmore za to, że nie znając tajemnicy Laury dziwił się, jak może żałować swoich zaręczyn? Każdy inny na miejscu naszego zacnego przyjaciela podzielałby jego zdanie. Gdyby mnie w tej chwili kazano powiedzieć otwarcie, jakie dostrzegam w nim usterki, mogłabym wskazać tylko dwie. Jedna, że ani przez chwilę nie bywa spokojny i łatwo wpada w podniecenie - co może w sposób zupełnie naturalny wypływać z jego niezwykłej energii. Druga - to cierpki, niegrzeczny sposób zwracania się do służby, co może być w gruncie rzeczy tylko złym przezwyczeniem. Nie, nie

mogę temu przeczyć i nie będę przeczyć: sir Parsival jest bardzo przystojnym i bardzo miłym człowiekiem. No, napisałam to wreszcie i szczęśliwa jestem, że mam to za sobą.

18 grudnia

Dziś rano, czując się zmęczona i przygnębiona, pozostawiłam Laurę z panią Vesey, a sama wyruszyłam, jak dawniej, na południowy spacer, co ostatnio bardzo zaniedbywałam. Szłam drogą wiodącą przez wrzosowiska ku Zakątkowi Todda. Spacerowałam tak przez jakieś pół godziny, gdy nagle ku swemu zdumieniu ujrzałam sir Parsivala, nadchodzącego od strony farmy. Szedł szybko, wymachując laską, z podniesioną jak zwykle głową, z powiewającymi na wietrze połami rozpiętej kurty myśliwskiej. Kiedy spotkaliśmy się, nie czekał na moje pytanie, lecz od razu sam mi powiedział, że był na farmie chcąc się dowiedzieć, czy od czasu jego ostatniej wizyty w Limmeridge państwo Todd nie mieli jakiej wiadomości o Annie Catherick.

- I naturalnie przekonał się pan, że nic o niej nie słyszeli? - rzekłam.

- Absolutnie nic - odparł. - Zaczynam poważnie obawiać się, że jej nie znajdziemy. Nie wie pani czasem - mówił patrząc na mnie uważnie - czy ten artysta, pan Hartright, nie byłby w stanie udzielić nam o niej jakiejś informacji?

- Od czasu, gdy wyjechał z Cumberland, nic o niej nie słyszał ani jej nie widział.

- Bardzo to smutne— odparł sir Parsival takim głosem, jak by spotkał go zawód, choć miałam wrażenie, że moje słowa sprawiły mu ulgę. - Trudno nawet odgadnąć, jakie nieszczęścia mogły spaść na to biedne stworzenie. Jest mi nad wyraz przykro, że nie powiodły się moje wysiłki, by jej znów zapewnić opiekę i staranie, czego tak bardzo potrzebuje.

Tym razem wydał mi się rzeczywiście zmartwiony. Powiedziałam kilka współczujących słów, a potem wracając do domu rozmawialiśmy o czym innym. Moje przypadkowe spotkanie z nim na wrzosowisku niewątpliwie odsłoniło jeszcze

jeden dodatni rys jego charakteru. Musi to być przecież dowodem jego wielkiego altruizmu i troski o innych, że niemal w przeddzień swego, ślubu, mogąc spędzić ten czas przyjemnie w towarzystwie narzeczonej, myśli o Annie Catherick i idzie aż do Zakątka Todda, by o nią zapytać. Ponieważ w danych okolicznościach do takiego postępowania mogło go nakłonić jedynie uczucie miłości bliźniego, przyznać trzeba, że czyn jego świadczy o niezwykle szlachetnych uczuciach i zasługuje na najwyższą pochwałę. No! Udzieliłam mu najwyższej pochwały i dość o tym.

19 grudnia

Dalsze odkrycia w niewyczerpanej skarbnicy cnót sir Parsivala.

Dziś poruszyłam sprawę mojego ewentualnego zamieszkania pod jednym dachem z jego żoną po ich powrocie do Anglii. Zaledwie zaczęłam coś mówić na ten temat, chwycił mnie serdecznie za rękę i oświadczył, że to właśnie gorąco pragnął mi zaproponować. Niczyje inne, lecz moje towarzystwo najbardziej chciałby zapewnić swojej żonie i błaga, bym uwierzyła, że jest niewypowiedzianie wdzięczny za moją propozycję zamieszkania z Laurą po ślubie, tak jak mieszkałam przedtem.

Kiedy w swoim i Laury imieniu podziękowałam za jego dobroć i troskliwość, przeszliśmy do sprawy ich podróży poślubnej i mówiliśmy o towarzystwie angielskim w Rzymie, w które Laura zostanie wprowadzona. Wymienił nazwiska kilku przyjaciół, których spodziewa się spotkać za granicą tej zimy. Jeśli dobrze pamiętam, wszyscy, z jednym wyjątkiem, byli Anglikami. Wyjątkiem był hrabia Fosoo.

Usłyszawszy nazwisko hrabiego Fosco i wiadomość, że wraz z żoną spotkają zapewne państwa młodych na kontynencie, po raz pierwszy pomyślałam, że istnieją dobre strony małżeństwa Laury z sir Parsivalem. Stanie się ono zapewne środkiem załagodzenia rodzinnej waśni. Dotychczas madame Fosco, zagniewana na zmarłego pana Fairlie za stanowisko, jakie zajął względem niej w swym testamencie, raczyła zapomnieć o

swoich obowiązkach w stosunku do Laury jako bratanicy. Teraz jednakże będzie musiała zmienić swe postępowanie.

Sir Parsival i hrabia Fosco są serdecznymi, starymi przyjaciółmi i ich żony będą musiały utrzymywać ze sobą uprzejme stosunki. Madame Fosco w okresie panińskim była jedną z najbardziej impertynenckich kobiet, jakie kiedykolwiek spotkałam, kapryśna, wymagająca, próżna aż do granic absurdu. Jeżeli jej mężowi udało się zrobić z niej rozsądną kobietę, zasłużył tym na wdzięczność całej rodziny, począwszy ode mnie.

Chciałabym poznać hrabiego. Jest on zażyłym przyjacielem przyszłego męża Laury i z tego powodu budzi moje najżywsze zainteresowanie. Ani Laura, ani ja nie widziałyśmy go nigdy. Wiem o nim tylko tyle, że przed laty uratował przyszłego męża Laury przed rabunkiem i śmiercią swoją obecnością, znalazł się bowiem przypadkowo na schodach Trinitadel Monte w Rzymie w krytycznym momencie, gdy sir Parsival został zraniony w rękę i zapewne za chwilę otrzymałby cios w samo serce. Przypominam sobie także, że w okresie, gdy zmarły pan Fairlie najniedorzeczniej w świecie sprzeciwiał się małżeństwu siostry, hrabia pisał do niego w tej sprawie w sposób łagodny i rozsądny, ale list ten, wyznając ze wstydem, pozostał bez odpowiedzi. To wszystko, co wiem o przyjacielu sir Parsivala. Ciekawam, czy przyjedzie kiedykolwiek do Anglii? Ciekawam, czy go polubię?

Zajęłam się domysłami. Trzeba powrócić do trzeźwej rzeczywistości. Muszę przyznać, że moja śmiała propozycja zamieszkania z żoną sir Parsivala spotkała się z jego strony z przyjęciem nie tylko uprzejmym, ale wprost serdecznym. Pewna jestem, że mąż Laury nie będzie miał powodów do skarg na mnie, jeśli tylko uda mi się iść dalej w obranym kierunku. Przyznałam już, że jest przystojny, miły, pełen dobrych uczuć w stosunku do nieszczęśliwych i serdecznej dobroci dla mnie. Doprawdy, ledwo poznaję samą siebie w tej nowej dla mnie roli najserdeczniejszego przyjaciela sir Parsivala.

20 grudnia

Nienawidzę sir Parsivala! Otwarcie przeczę temu, że jest przystojny! Uważam go za człowieka wybitnie nieprzyjemnego, o usposobieniu z gruntu złym. Ostatniego wieczoru przyszły bilety wizytowe młodej pary. Laura otworzyła przesyłkę i po raz pierwszy w życiu zobaczyła w druku swoje przyszłe nazwisko. Sir Parsival spojrzął jej poufale przez ramię na bilet wizytowy, przekształcający pannę Fairlie w lady Glyde, uśmiechnął się ze wstrętnym samozadowoleniem i szepnął jej coś do ucha. Nie wiem, co takiego - Laura nie chciała mi powiedzieć, ale spostrzegłam, że twarz jej pokryła się śmiertelną bladością - myślałam, iż zemdleje. Nie zauważył tej zmiany, zdawał się po barbarzyńsku nieświadomy tego, że powiedział coś, co sprawiło jej przykrość. W jednej chwili odżyła cała moja dawna wrogość ku niemu i nie zdołały jej rozwiać godziny, które od tego momentu upłynęły. Jestem jeszcze mniej rozsądna i mniej sprawiedliwa niż kiedykolwiek. Streszczając w dwóch słowach - o jakże chętnie pisze moje pióro! - streszczając to w dwóch słowach: nienawidzę go!

21 grudnia

Czyżby udręki tego niespokojnego okresu wreszcie mnie trochę zmieniły? Zapiski moje z ostatnich dni utrzymane są w lekkim tonie, który, Bóg mi świadkiem, nie jest tonem mego serca. Zdumiałam się, kiedy to odkryłam przeglądając mój dziennik.

Może udzieliło mi się nerwowe podniecenie, w jakim żyje Laura w ostatnich tygodniach? Jeśli tak było, nastrój ten minął, pozostawiając mnie w bardzo dziwnym stanie ducha. Od ostatniej nocy nie daje mi spokoju natrętna myśl, że zdarzy się coś, co zapobiegnie małżeństwu. Skąd się wziął ten szczególny pomysł?

Może jest to pośredni rezultat moich obaw o przyszłość Laury? A może nieświadomie ulegam wpływowi wzrastającego wciąż, w miarę zbliżania się dnia ślubu, niepokoju i rozdrażnienia, które nieomylnie spostrzegam u sir Parsivala? Niepodobieństwem jest to stwierdzić. Wiem, że ta myśl... myśl

tak dziwaczna, że chyba nigdy nie żywiła jej żadna kobieta w podobnych okolicznościach... że myśl ta wciąż tkwi w mej głowie, lecz choćbym jak najbardziej się starała, nie mogę odnaleźć jej źródła.

Miniony dzień był pełen zamieszania i udręki. Jakże mogę pisać o tym? A jednak muszę pisać. Wszystko jest lepsze, niż zatapianie się w posepnych myślach.

Dobra pani Vesey, o której wszyscy ostatnio zapomnieliśmy, mimo woli przyczyniła się do tego, że dzień od samego rana rozpoczął się smutkiem. Już od miesięcy robiła w tajemnicy ciepły szal szetlandzki dla swej kochanej uczennicy. Był to bardzo piękny szal i zdumiewało mnie, że arabie go mogła kobieta, w jej wieku i o jej obyczajach. Dzisiejszego ranka ofiarowała ten dar i serce biednej, kochającej Laury omal nie pękło z bólu, kiedy ta stara przyjaciółka, opiekunka jej sierociego dzieciństwa, z dumą zarzuciła jej ten szal na ramiona. Zaledwie zdołałam uspokoić je obie i otrzeć własne oazy, kiedy pan Fairlie przysłał po mnie, by mnie uraczyć długą litanią życzeń, mających na celu ochronę jego spokoju w dniu ślubu.

„Droga Laura” miała otrzymać prezent od niego, obskurny pierścionek, mający za ozdobę w miejsce drogiego kamienia włosy jej kochającego stryja, a wewnątrz napis po francusku, zupełnie pozbawiony serca, o małżeńskich sentymentach i wiernej przyjaźni. „Droga Laura” miała otrzymać ten cenny dar z moich rąk natychmiast, tak, by nim stawi się przed swym stryjem, zdołała ochłonąć z podniecenia, wywołanego tym darem. „Droga Laura” miała mu złożyć krótką wizytę wieczorem i być łaskawą nie urządzać sceny. „Droga Laura” miała mu złożyć drugą krótką wizytę rano w dniu ślubu, w sukni ślubnej, i znów być łaskawą nie urządzać sceny. „Droga Laura” miała zająć do niego po raz trzeci, przed swym wyjazdem, ale oszczędzając jego uczucia miała nie mówić mu, kiedy wyjeżdża, i nie płakać. „Jeżeli umie czuć litość, Marianno, jeżeli żywi uczucia rodzinne, jeśli ceni opanowanie - bez łez!”

To samolubne, nędzne głędzenie w takiej chwili doprowadziło mnie do ostateczności i bez wątpienia

wstrząsnęłabym systemem nerwowym pana Fairlie mówiąc kilka słów prawdy bardziej gorzkiej i szczerzej niż cokolwiek, co dotąd słyszał w życiu, gdyby przybycie pana Arnolda z Polesdean nie odwołało mnie na dół do nowych obowiązków.

Resztę dnia nie sposób opisać. Wydaje mi się, że nikt w domu nie wie, na czym ten dzień minął. Zamęt drobnych wydarzeń, splątanych ze sobą i goniących się nawzajem, oszalałamił każdego. Przysłano do domu jakieś zapomniane sulknie, pakowano jakieś kufry - potem je rozpakowywano i znów zapakowywano; nadchodziły prezenty od przyjaciół dalekich i bliskich, przyjaciół bogatych i biednych. Wszyscy bez potrzeby spieszyli się, wszyscy nerwowo wyczekiwali jutra. Zwłaszcza sir Parsival był talk niespokojny, że nie mógł usiedzieć pięciu minut na jednym miejscu. Bardziej niż zazwyczaj męczył go krótki, urywany kaszel. Nieustannie wchodził do domu i wychodził, niespodziewanie stawał się tak dociekliwy, że zarzucał pytaniami nawet obcych ludzi, przychodzących do domu z jakimiś drobnymi sprawami. A do tego wszystkiego w głowie Laury i w mojej wciąż ta nieustanna myśl o jutrzejszym rozstaniu, w sercach straszliwy lęk, nie wyrażony słowami przez żadną z nas, lecz dręczący obie, że to małżeństwo może okazać się dla niej tragiczną pomyłką, a dla mnie źródłem nieustającego smutku. Po raz pierwszy w ciągu tych długich lat, w których łączyła nas serdeczna zażyłość, lękałyśmy się niemal spojrzeć sobie w oczy i za obopólną zgodą przez cały wieczór nie zamieniłyśmy ani słówka na osobności. Nie mogę myśleć o tym dłużej. Jakiegokolwiek smutki kryje przede mną przyszłość, zawsze uważać będę ten dwudziesty pierwszy grudnia za najsmutniejszy, najbardziej beznadziejny dzień mojego życia.

Piszę te słowa w samotności mego pokoju, dużo po północy, wróciwszy z sypialni Laury, gdzie patrzyłam ukradkiem na nią, leżącą w ładnym, białym łóżku, w którym sypiała od najwcześniejszych lat dziewczęcych.

Leżała, nie wiedząc, że na nią patrzę, była bardzo spokojna, spokojniejsza, niż mogłam przypuszczać, ale nie spała. W świetle lampki nocnej ujrzałam, że oczy ma w pół przymknięte, a pod powiekami błyszczą łzy. Na stoliczku przy jej łóżku, obok

modlitewnika i miniaturowego portretu jej ojca, który zawsze zabiera ze sobą, gdziekolwiek się udaje, leży mój skromny podarek - broszka. Stałam przez chwilę, patrząc zza poduszek na nią, gdy tak spokojnie leżała z ręką wyciągniętą na białej podpince kołdry, oddychała tak lekko, że nie drżały nawet falbanki jej nocnej koszuli... stałam patrząc na nią, widząc ją taką, jaką Widziałam tysiące razy i jakiej już nigdy nie zobaczę... a potem cichutko wróciłam do swego pokoju. Ukochana moja! Taka bogata, taka piękna - jakże jesteś samotna! Z całym twym bogactwem, z całą twą pięknnością, jakże jesteś samotna! Mężczyzna, Mory oddałby życie, by ci służyć, jest daleko, na ogromnym morzu, kołysany niespokojnymi falami w tę burzliwą noc. A tobie któż pozostał? Nie masz ani ojca, ani brata, nikogo prócz bezradnej kobiety, którego pisze te smutne słowa i czuwając przy tobie czeka rana, w przygnębieniu nie dającym się opanować, w lęku nie dającym się przezwyciężyć. O jakież skarb złożony zostanie jutro w ręce tego mężczyzny! Jeśli kiedykolwiek o tym zapomni... Jeśli kiedykolwiek spadnie włos z jej głowy...

22 grudnia

Siódma rano. Dziwny, niespokojny ranek. Wstała wcześniej: pewniejsza siebie i bardziej opanowana teraz, gdy przyszedł ten dzień, niż była wczoraj.

Dziesiąta rano. Już jest ubrana. Ucałowałyśmy się, przyrzekłyśmy sobie nawzajem, że będziemy odważne. Wpadłam na chwilę do mego pokoju. Z zamętu innych myśli wynurza się wciąż dziwne przecucie, że zdarzy się coś, co przeszkodzi małżeństwu. Czyżby i on miał to uczucie? Widzę z okna, jak niespokojnie chodzi między powozami przed bramą. Jakże mogę wypisywać takie bzdury! Ślub odbędzie się na pewno. Za pół godziny wyruszamy do kościoła. Jedenasta godzina. Już jest po wszystkim. Pobrali się. Trzecia godzina. Wyjechali! Łzy przesłaniają mi oczy... nie mogę pisać więcej...

(TU SIĘ KOŃCZY PIERWSZA EPOKA TEJ HISTORII)

DRUGA EPOKA

OPOWIEŚĆ SPISYWANA W DALSZYM CIĄGU PRZEZ MARIANNĘ HALCOMBE

I

11 czerwca r.

Blackwater Park, Hampshire

Minęło sześć miesięcy, sześć długich miesięcy od czasu, gdy po raz ostatni widziałam Laurę.

A ile dni mani jeszcze na nią czekać? Tylko jeden! Jutro, dwunastego, wracają do Anglii z podróży. Wprost nie mogę zdać sobie sprawy z własnego szczęścia, wprost nie mogę uwierzyć, że za dwadzieścia cztery godziny skończy się ostatni dzień rozłąki z Laurą.

Całą zimę spędziła z mężem we Włoszech, a później pojechali do Tyrolu. Wracają w towarzystwie hrabiego Fosco i jego żony, którzy zamierzają osiąść gdzieś niedaleko Londynu, a tymczasem, nim wybiorą sobie rezydencję, mają spędzić letnie miesiące w Blackwater Park. Skoro Laura wraca, nie dbam o to, kto z nią przyjedzie. Sir Parsival może sobie zapełnić dom od podłóg po sufity, jak mu się podoba, bylebym tylko mieszkała razem z Laurą.

A tymczasem oto ulokowałam się w Blackwater Park, „starożytnej i interesującej siedzibie - jak usłuźnie informuje mnie historia tego hrabstwa - sir Parsivala Glyde, baroneta” i przyszłe miejsce zamieszkania (jak ośmielę się dorzucić na własny rachunek) zwykłej Marianny Halcombe, niezamężnej,

siedzącej teraz w zacisznej małej bawialni, z filiżanką herbaty i całym swym ziemskim dobytkiem ustawionym wokół niej w trzech kufrach i jednej torbie.

Wyjechałam z Limmeridge wczoraj, otrzymawszy przemiły list Laury z Paryża z ubiegłego dnia. Poprzednio nie wiedziałam, czy mam ich spotkać w Londynie, czy w Hampshire, ale ostatni list poinformował mnie, że sir Parsival zamierza wylądować w Southampton i stamtąd przyjechać bezpośrednio do swej wiejskiej siedziby. Sir Parsival wydał tak wiele za granicą, że już nie dysponuje pieniędzmi, niezbędnymi na pokrycie kosztów pobytu w Londynie przez resztę sezonu, i ze względów ekonomicznych zdecydował lato i jesień spędzić spokojnie w Blackwater. Laura ma już zupełnie dość wrażeń i zmian, i z radością wita zapowiedź spokojnego życia w wiejskim zaciszu, które zapewnia jej przeczność męża. A co do mnie, w jej towarzystwie będę szczęśliwa wszędzie. Tak więc, na początek, wszyscy jesteśmy zadowoleni.

Ostatnią noc przespaliśmy w Londynie, a najrozmaitsze sprawy i wizyty zatrzymały mnie tam tak długo, że do Blackwater przyjechałam już po zapadnięciu zmroku.

Sądząc po moich dotychczasowych niejasnych wrażeniach, Blackwater jest krańcowym przeciwieństwem Limmeridge.

Dwór stoi na kompletnej równinie i wydaje się (mnie, przybyłej z północy) zupełnie zamknięty, niemal zaduszony przez drzewa. Nie widziałam nikogo, prócz służącego, który otworzył mi drzwi, i gospodyni, bardzo grzecznej osoby, która wprowadziła mnie do domu i przyniosła herbaty. Mam dla siebie ładny mały buduar i sypialkę na końcu długiego korytarza na pierwszym piętrze. Na drugim piętrze mieszka służba i jest kilka wolnych pokoi, a wszystkie pokoje, przeznaczone na dzienny użytek, znajdują się na parterze. Nie widziałam żadnego z nich i nie wiem nic o dworze, prócz tego, że jedno z jego skrzydeł liczy podobno pięćset lat, było otoczone fosą, i że nazwa dworu pochodzi od czarnych wód jeziora w parku.

Zegar na wieży, górującej nad środkową częścią domu, którą zauważyłam wchodząc tu, wybił uroczyście, niemal upiornie

godzinę jedenastą. Jakiś wielki pies się zbudził, pewno od tego odgłosu wyje i skowycze przeraźliwie gdzieś za węglem. W korytarzu pode mną słyszę czyjeś stąpanie i zasuwanie żelaznych sztab i zasuw przy drzwiach. Najwidoczniej służba udaje się na spoczynek. Czy pójść za ich przykładem? Nie, nie jestem jeszcze dość senna. Dość senna, co ja mówię? Wydaje mi się, że chyba już nigdy w życiu nie zdołam zasnąć. Sama myśl o tym, że jutro ujrzę kochaną twarz i usłyszę dobrze znany głos, utrzymuje mnie w stanie nieustającego podniecenia. Gdybym tylko mogła mieć przywileje mężczyzny, natychmiast zażądałabym najlepszego wierzchowca sir Parsivala, popędziłabym galopem nocą, na wschód, na spotkanie wschodzącego słońca, gnałabym godzinami bez przerwy ostrym galopem, jak ów sławny rozbójnik pędził do Yorku. Ponieważ jednak jestem tylko kobietą skazaną przez całe życia na wyczekiwanie, konwenanse i spódniczki, muszę liczyć się z opinią gospodyni i próbować się. uspokoić w jakiś łagodny, kobiecy sposób.

O czytaniu nie ma mowy, nie potrafię skupić uwagi, na książce. Muszę spróbować, czy pisanie zdoła mnie zmęczyć i uspić. Ostatnio bardzo zaniedbywałam swój dziennik. Co mogę sobie przypomnieć, stojąc na progu nowego życia, o ludziach i o wydarzeniach, o zmianach, jakie zaszły w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, w tym długim okresie dręczącej pustki od dnia ślubu Laury?

Walter Hartright najżywiej tkwi w mej pamięci. Zjawia się pierwszy w mglistej procesji nieobecnych przyjaciół. Otrzymałam od niego, krótki list, pisany po wylądowaniu ekspedycji w Hondurasie i utrzymany w weselszym, bardziej optymistycznym nastroju niż którykolwiek z pisanych poprzednio. W miesiąc czy może sześć tygodni później czytałam artykuł amerykańskiego dziennikarza, przedstawiający moment odjazdu ekspedycji w głąb łądu. Widziano, jak członkowie wyprawy, każdy ze strzelbą na ramieniu i z plecakiem, wkraczali w dziką puszcę dziewiczą. A potem wszelki ślad po nich zaginął. Nie otrzymałam już ani jednego słowa od Waltera, ani jedna wiadomość o losie

ekspedycji nie ukazała się na szpaltach żadnego pisma.

Taka sama nieprzenikniona, przygnębiająca ciemność osłania losy Anny Catherick i jej towarzyszki, pani Clements, Nie słyszano nic o nich. Nikt nie wie, czy przebywają w Anglii, czy poza jej granicami, czy żyją, czy też zmarły. Nawet adwokat sir Parsivala stracił wszelką nadzieję i kazał ostatecznie zaprzestać bezowocnych poszukiwań uciekinierek.

Nasz dobry stary przyjaciel, pan Gilmore, musiał przerwać czynną pracę zawodową z powodu smutnego wypadku. Wczesną wiosną zaalarmowała nas wiadomość, że znaleziono go nieprzytomnego przy; biurku; przyczyną choroby, jak rozpoznano, był atak apoplektyczny. Już od dawna uskarżał się na uporczywe bóle głowy i lekarz ostrzegał go, że jeżeli nadal upierać się będzie przy pracy od rana do późnej nocy, jak gdyby był młodym człowiekiem, pociągnie to za sobą smutne konsekwencje. W rezultacie obecnie kategorycznie nakazano mu wstrzymać się całkowicie od pracy przynajmniej na rok i dać ciału i duchowi wypoczynek przez zupełną zmianę trybu życia. Przekazał więc interesy swemu wspólnikowi i bawi w tej chwili w Niemczech w gościnie u krewnych, którzy zajmują się handlem. Tak więc utraciliśmy już drugiego wiernego przyjaciela i godnego zaufania doradcę, utraciliśmy, mam gorącą nadzieję, tylko na pewien czas.

Biedna pani Vesey przyjechała ze mną aż do Londynu. Niepodobna byłozostawić ją samotną w Limmeridge po wyjeździe Laury i moim, więc zdecydowałyśmy, że zamieszka ze swoją, niezamężną młodszą siostrą, która prowadzi szkołę w Clapham. Jesienią ma przyjechać tutaj, by odwiedzić swą uczennicę, mogę niemal powiedzieć, swe przybrane dziecko. Odwiozłam bezpiecznie zasną starą damę na miejsce jej przeznaczenia i pozostawiłam ją pod opieką siostry. Cieszyła się na myśl, że za kilka miesięcy znów zobaczy Laurę.

Jeżeli chodzi o pana Fairlie, jestem pewna, że nie będzie to niesprawiedliwość z mojej strony, jeśli stwierdzę, że odczuł niewymowną ulgę, gdy pozbył się z domu nas, kobiet. Niedorzeczną byłaby myśl, że brakuje mu bratanicy, gdyż w minionych latach całymi miesiącami jej nie widywał. Jeżeli zaś

chodzi o mnie i o panią Vesey, oświadczył nam obu, że serce mu pęka z powodu naszego wyjazdu, lecz ja pozwolę sobie zinterpretować te słowa jako wyznanie, że cieszy się skrycie z uwolnienia się od nas. Ostatnim jego kaprysem jest zatrudnianie dwóch fotografów produkujących nieustannie fotografie wszystkich skarbów i ciekawostek, znajdujących się w jego posiadaniu. Jedna kolekcja fotografii ma być ofiarowana Instytutowi Mechaniki w Carlisle, będą one naklejone na najlepszy brystol, a pod nimi znajdować się będą ostentacyjne podpisy czerwonymi literami: „Madonna z Dzieciątkiem. Rafael. W posiadaniu Jaśnie Wielmożnego Pana Fryderyka Fairlie”. Zanim opuściłam Cumberland, było już gotowe kilkadziesiąt takich fotografii wraz z podpisami, a setki miały być jeszcze wykonane. Z tymi nowymi zainteresowaniami pan Fairlie przez szereg miesięcy będzie szczęśliwym człowiekiem i da nieszczęsnym fotografom odczuć gorycz społecznej niższości, co dotychczas było udziałem jedynie jego lokaja.

Tyle o ludziach i wydarzeniach, zajmujących pierwsze miejsce w moich wspomnieniach. A co jeszcze napisać o osobie, która zajmuje pierwsze miejsce w moim sercu? Laura nie schodziła mi z myśli przez cały czas pisania tych linijek. Nim zamknę na noc dziennik, co mogę napisać o niej z okresu tych sześciu miesięcy?

Tylko listy mogą mi dopomóc, ale one wszystkie milczą na temat najważniejszego ze wszystkich problemów, jakie mogła wyświetlić nasza korespondencja.

Czy ją dobrze traktuje? Czy jest szczęśliwsza, niż była, gdy się z nią żegnałam w dniu ślubu? Każdy z moich listów zawierał te dwa pytania, wyrażone mniej lub bardziej bezpośrednio, raz w takiej, raz w innej formie, ale ona stale ten jedyny punkt pomijała milczeniem albo też udzielała takiej odpowiedzi, jak gdyby pytania odnosiły się tylko do stanu jej zdrowia. Informowała mnie wciąż na nowo, że czuje się doskonale, że podróżowanie dobrze na nią wpływa, że po raz pierwszy w życiu udało jej się przebyć zimę bez zaziębienia - ale w żadnym z jej listów nie mogłam znaleźć ani słowa, które powiedziałoby mi wyraźnie, że pogodziła się już ze swoim małżeństwem, że to

małżeństwo jej odpowiada, że wspomina dwudziesty drugi grudnia bez gniewu i żalu. Imię jej męża pojawia się w tych listach tak, jak pojawiać by się mogło imię znajomego, który by podróżował z nią razem i podjął się organizowania całej wyprawy. „Sir Parsival” ustalił, że wyjedziemy w ten a ten dzień. „Sir Parsival” zdecydował, że wybierzemy tę drogę. Czasami pisze tylko „Parsival”, ale bardzo rzadko, w dziewięciu wypadkach na dziesięć wymienia jego tytuł.

Nie znajduję, żeby jego przekonania i zwyczaje choć w najmniejszym szczególe zmieniły jej opinię czy jej zwyczaje. Wydaje mi się, że w wypadku Laury nie dokonała się owa przemiana wewnętrzna, jaka pod wpływem małżeństwa tak często dokonuje się nieświadomie w duszach młodych, wrażliwych a niedoświadczonych kobiet. Pisze o myślach i wrażeniach, jakie wywołały w niej widziane cuda, tak jak mogłaby napisać do kogoś innego, gdybym ja podróżowała z nią zamiast jej męża. Nic w jej listach nie świadczy o tym, by między nią a mężem istniała najmniejsza choćby sympatia. Nawet wtedy, gdy porzucając temat podróży, zastanawia się nad tym, co ją czeka w Anglii, rozmyśla o przyszłości jako moja siostra, zdaje się z uporem nie dostrzegać swej roli w charakterze żony sir Parsivala. Ale w tym wszystkim nie ma cienia skargi, nic, co by mówiło mi, że jest nieszczęśliwa w małżeństwie. Dzięki Bogu, wrażenia, jakie odniosłam z naszej korespondencji, nie doprowadziły mnie do tak przygnębiającego wniosku. Ale gdy pomyślę, jaką była w roli siostry, i poprzez światło, które rzucają na nią jej listy, widzę, jaką jest w tej nowej dla siebie roli żony, spostrzegam w niej odrętwienie, niezmienną obojętność. Innymi słowy, osobą, która pisała do mnie w ciągu minionego półrocza, była zawsze Laura Fairlie, nigdy lady Glyde.

Podobnie dziwną rezerwę, z jaką uchyla się od przedstawienia charakteru swego męża, zachowuje z całą konsekwencją w tych partiach kilku swych ostatnich listów, w których pojawia się nazwisko serdecznego przyjaciela jej męża, hrabiego Fosco.

Z jakichś niewyjaśnionych przyczyn hrabia i jego żona

zmienili nagle swe plany i pod koniec ubiegłej jesieni pojechali do Wiednia, a nie do Rzymu, gdzie spodziewał się ich zastać sir Parsival, gdy wyjeżdżał z Anglii. Opuścili Wiedeń dopiero wiosną i pojechali do Tyrolu, by spotkać państwa młodych w ich powrotnej drodze do domu. Laura opisała dość szeroko spotkanie z madame Fosco i zapewniła mnie, że jej ciotka bardzo się zmieniła na lepsze, że jest o wiele spokojniejsza i rozsądniejsza jako żona niż była jako panna i że gdy ją zobaczę, niemal nie będę mogła jej poznać. Ale jeżeli chodzi o hrabiego Fosco, Laura jest wprost prowokująco oględna i małowówna. Pisała tylko, że stanowi dla niej zagadkę i że nim podzieli się ze mną swymi wrażeniami co do niego, muszę wpierv sama go zobaczyć i wytworzyć sobie swój własny sąd o nim.

Źle to, moim zdaniem, świadczy o hrabi. Laura zachowała, bardziej niż inni dorośli ludzie, właściwą dzieciom subtelną umiejętność wyczuwania instynktem przyjaciela - i jeżeli rzeczywiście jej pierwsze wrażenia nie były pochlebne dla hrabiego Fosco, to grozi mu niebezpieczeństwo, że nim rzucę na niego choć jedno moje spojrzenie, skłonna będę odnosić się nieufnie i podejrzliwie do tego znakomitego cudzoziemca. Ale spokojnie, spokojnie - ta niepewność, jak i wiele innych niepewności, nie będzie trwać długo. Dzień jutrzejszy przynosi nadzieję, że wszystkie moje wątpliwości prędzej czy później zostaną wyjaśnione.

Wybiła północ. Wyglądałam chwilę przez otwarte, okno, a teraz przyszedłam zamknąć mój dziennik.

Jest spokojna, duszna, bezksiężycowa noc. Nieliczne gwiazdy lśnią przyćmionym blaskiem. Drzewa, zamykające ze wszystkich stron widok, wydają się z tej odległości niemal czarne i tak nieprzeniknione, jak gruba i wysoka ściana skalna. Słyszę dobiegający z oddali cichy rechot żab, a w dusznym powietrzu kona wciąż jeszcze dźwięk uderzeń zegara, który już dawno wybił godzinę. Zastanawiam się, jak może wyglądać Blackwater. Park w dzień. Nie mogę powiedzieć, żeby. bardzo mi się tu podobało nocą.

12 czerwca

Dzień badań i odkryć, z wielu względów, bardziej interesujący, niż ośmielałam się przypuszczać. Rozpoczęłam zwiedzanie oczywiście od domu. Główny budynek pochodzi z czasów tej tak niesłychanie przecenianej kobiety, królowej Elżbiety. Na parterze mieszczą się dwie ogromnie długie i mroczne galerie z niskimi sufitami, zaciemnione jeszcze bardziej rzędem ponurych, upiornych portretów rodzinnych, które pragnęłabym spalić. Pokoje na piętrze nad galeriami utrzymane są w znośnym stanie, ale bardzo rzadko bywają używane. Uprzejma gospodyni, spełniająca rolę mego przewodnika, zaofiarowała się je pokazać, ale przezornie dodała, iż obawia się, że zastanę w nich nieporządku. Mój szacunek dla czystości własnych spódnic i pończoch przewyższa znacznie respekt dla wszystkich elżbietańskich sypialni w całym królestwie, toteż zdecydowanie odmówiłam zwiedzenia górnych rejonów kurzu i brudu za cenę narażenia na niebezpieczeństwo elegancji mego stroju. Gospodyni odrzekła: - Jestem zupełnie tego samego zdania, proszę pani - z takim wyrazem twarzy, jak by dawno już nie widziała równie rozsądnej kobiety. Tyle o głównym budynku. Z obu jego stron znajdują się dwa skrzydła. Wpół zrujnowane skrzydło na lewo (z tej strony podchodzi się do domu) było kiedyś samodzielną rezydencją, wzniesioną w XIV wieku. Jeden z przodków po kądzieli sir Parsivala (nie pamiętam który ani nie dbam o to) we wspomnianym już elżbietańskim okresie dobudował doń z prawej strony główny budynek. Gospodyni poinformowała mnie, że to stare skrzydło uznane jest przez znawców za wyjątkowo piękne architektonicznie, zarówno od wewnątrz jak i od zewnątrz. Po dalszych indagacjach dowiedziałam się, że owi znawcy, by móc ocenić zabytek sir Parsivala, musieli najpierw wyzbyć się wszelkich obaw przed wilgocią, ciemnością, szcurami. W tych okolicznościach przyznałam bez chwili wahania, że nie jestem żadnym znawcą architektury, i zaproponowałam, byśmy potraktowały stare skrzydło dokładnie w ten sam sposób, w jaki poprzednio potraktowałyśmy elżbietańskie sypialnie. Gospodyni

oświadczyła znowu: - Jestem tego samego zdania, proszę pani - i znowu spojrzała na mnie z nieukrywanym uznaniem dla mego niezwykłego rozsądku. Następnie przeszliśmy do prawego skrzydła, które zbudowano, by uzupełnić zdumiewającą mozaikę architektoniczną Blackwater Park, w czasach Jerzego Drugiego. Jest to mieszkalna część domu, której wnętrze odremontowano i przyozdobiono na nowo ze względu na Laurę. Moje dwa pokoje, tak jak i wszystkie sypialnie, będące w dobrym stanie, znajdują się na pierwszym piętrze, a na parterze mieści się jadalnia, salon, pokój, gdzie można spędzać poranne godziny, biblioteka oraz przyjemny mały buduar Laury; wszystkie te pokoje są ładnie i dość żywo ozdobione na nowoczesną modłę, a umeblowane wytwornie, z luksusem i również w nowoczesnym stylu. Daleko im do przestronności i przewiewności naszych pokoi w Limmeridge, ale wydaje mi się, że można w nich wygodnie i przyjemnie mieszkać. To, co słyszałam o Blackwater Park, budziło we mnie ogromny lęk przed męczącymi antycznymi krzesłami, ponurymi witrażami, zatechłymi zasłonami i wszystkimi tymi starożytnymi rupieciami, które ludzie nie mający wrodzonego poczucia elegancji i wygody zwykli, ku udręce swych przyjaciół, gromadzić koło siebie. Z niewypowiedzianą ulgą przekonałam się, że dziewiętnaste stulecie nawiedziło ten dziwny pałac, mój przyszły dom, i wymiotło z naszego codziennego życia wszelki ślad po tych ciemnych i brudnych „dawnych dobrych czasach”.

Wąłęsałam się przez cały ranek, trochę po pokojach na parterze, a trochę na powietrzu, po wielkim dziedzińcu, utworzonym przez trzy ściany domu i przez wysokie żelazne sztachety i bramę, osłaniającą go od frontu. Środek dziedzińca zajmuje wielka okrągła sadzawka, wyłożona po bokach kamieniami, w centrum której stoi ołowiana figurka alegorycznego potworka. W sadzawce pływa mnóstwo złotych i srebrnych rybek, a otacza ją szeroki pas najbardziej miękkiej murawy, po jakiej zdarzyło mi się kiedykolwiek stąpać. Spacerowałam z przyjemnością po cieniej stronie murawy aż do lunchu, a potem włożyłam kapelusz słomkowy z szerokim rondem i powędrowałam samotnie w ciepłe słoneczne

popołudnie, by zwiedzić całą posiadłość Blackwater Park.

Dzień potwierdził wrażenie, jakie odniosłam wieczorem, że jest za dużo drzew w Blackwater. Dom jest po prostu zaduszony przez nie. Są to przeważnie młode drzewa i sadzone o wiele za gęsto. Przypuszczam, że musiano tu kiedyś, za jakiegoś poprzednika sir Parsivala, w niszczycielski sposób wycinać drzewa w całej posiadłości - i następny właściciel, pełen gniewu o to, pragnął jak najprędzej i jak najgęściej pozapełniać luki.

Rozejrzawszy się przed domem zauważyłam z lewej strony ogród kwiatowy i poszłam w tym kierunku, aby zobaczyć, co się tam znajduje. Z bliska ogród okazał się mały, ubogi i zaniedbany. Pozostawiłam go za sobą, otworzyłam małą furtkę w płocie i znalazłam się na terenie szkółki świerków. Sztucznie utworzona, wijąca się ścieżka wiodła mnie pomiędzy drzewami, a doświadczenie mieszkanki północnych okolic powiedziało mi wkrótce, że wchodzę na zdrowe, piaszczyste tereny. Kiedy przeszłam, jak sądzę, więcej niż pół mili wśród owych świerczków, ścieżka nagle skręciła, z obu jej stron zniknęły drzewa i niespodziewanie znalazłam się na skraju szerokiej, otwartej przestrzeni, a przed sobą ujrzałam jezioro Blackwater, od którego dwór wziął swą nazwę.

Miałam przed oczami teren równinny, piaszczysty, którego monotonię w pewnych miejscach przerywały niewielkie wrzosowe pagórki. Najwidoczniej jeziorko rozpościerało się kiedyś aż do tego miejsca, na którym stałam, ale z biegiem czasu wyschło i skurczyło się przeszło trzykrotnie. O ćwierć mili przede mną, w zagłębieniu, lśniły jego nieruchome, stojące wody, podzielone na małe jeziorka przez kępy zarośli, trzciny i drobne wysepki. Przeciwległy brzeg porastały gęsto drzewa zamykające widok i rzucające swe ciemne odbicie na płytkie, ospałe wody. Kiedy schodziłam ku jezioru, zauważyłam, że dalej nad brzegiem teren jest bagnisty, że rosną tam chwasty i posepne wierzby. Tafla jeziora, przejrzysta na otwartym piaszczystym brzegu, gdzie świeciło słońce, wydawała się mroczna i zatruta po przeciwnej stronie, gdzie rzucał na nią cień wysoki brzeg i splątany gąszcz zwieszających się gałęzi i

zielska. Żaby rechotały, a gdy podeszłam bliżej ku bagnistej stronie jeziora, dostrzegłam wynurzające się z ciemnej toni lub kryjące się w nią - podobne cieniom - szczury wodne. Ujrzałam tam na wpół wynurzony z wody nadgniły i próchniejący kadłub starej łodzi, odwróconej dnem do góry. Przez wyrwę pomiędzy drzewami lśnił chorobliwym blaskiem snop promieni słonecznych i padał na dno łodzi, a w jego ciepłe, na samym środku osuszonej przestrzeni, wygrzewał się wąż, fantastycznie skręcony, podstępnie spokojny. Gdzie spojrzeć, daleko czy blisko, wszędzie narzucały się te same smutne wrażenia samotności i opuszczenia, a promienna jasność letniego nieba nad głową jeszcze bardziej podkreślała ponurą jałowość dzikiej okolicy, nad którą świeciła. Zawróciłam i na powrót skierowałam, kroki ku wyższemu terenowi, gdzie rosły wrzosy, ale nie wracałam dokładnie tą samą drogą, lecz skręciłam trochę w bok, ku starej, nędznej szopie drewnianej, która stała na skraju szkółki świerkowej i była zbyt niepokazna, bym ją mogła zauważyć, gdy odsłonił się przede mną widok na rozległe, piękne w swej dzikości jezioro.

Zbliżywszy się do szopy spostrzegłam, że kiedyś była tu przystań dla łodzi i że później starano się przekształcić ją w rodzaj altanki, stawiając w niej sosnową ławę, stół i kilka stołków. Weszłam tam i usiadłam na chwilę, by odpocząć.

Nie byłam tam dłużej niż minutę, kiedy zauważyłam, że mój przyspieszony, głośny oddech budzi jakieś dziwne echo, płynące gdzieś z dołu. Nasłuchiwałam przez chwilę i posłyszałam odgłos urywanego, głuchego oddechu, dobiegający mnie z ziemi, spod stołka, na którym siedziałam. Niełatwo jest wyprowadzić mnie z równowagi, ale tym razem zerwałam się na równe nogi z przerażenia, krzyknęłam, nie otrzymałam żadnej odpowiedzi, zebrałam się na odwagę i... zajrzałam pod stołek.

Tam, skulony w najdalszym kątku, leżał nieszczęsny sprawca mego przerażenia, mały psiak, czarnobiały spaniel. Biedne stworzonko jęknęło żałośnie, kiedy spojrzałam na nie i zawołałam je, ale nawet nie drgnęło. Odsunęłam stołek i przyjrzałam mu się bliżej. Oczy biednego psiaka zachodziły

mgłą, a na jego błyszczącej sierści czerwieniła się w kilku miejscach krew. Cierpienie słabego, bezradnego, niemego, stworzenia jest na pewno najsmutniejszym ze wszystkich żalonych widoków, jakie nam ten świat ukazuje. Najdelikatniej, jak tylko mogłam, podniosłam psa i umieściłam go w prowizorycznym hamaku, uniósłszy z przodu brzeg mej spódnicy, na której go złożyłam. W ten sposób zaniósłam biedaka do domu, starając się sprawić mu jak najmniej bólu i iść jak najszybciej.

Nie znalazłam nikogo w hallu, poszłam od razu do mojej bawialni, zrobiłam ze starego szala posłanie dla psa i zadzwoniłam. Najgrubsza, jaką można sobie wyobrazić, pokojówka, z wyrazem zadowolonej z siebie głupoty, zdolnej wyprowadzić z cierpliwości świętego, zjawiała się na me wezwanie. Tłusta, nalana twarz dziewczuchy skrzywiła się w szerokim uśmiechu na widok zranionego psa na podłodze.

- Czego się śmiejesz? - spytałam z takim gniewem, jak by to była moja służąca. - Czy wiesz, czyj to pies?

- Nie, proszę pani, nie wiem - urwała, spojrzała na skrwawiony bok spaniela, twarz jej rozjaśnił nagle błysk jakiejś myśli, i wskazawszy na ranę w boku psa zarechotała z satysfakcji i oświadczyła: - To Baxter to zrobił, tak, to on.

Byłam już doprowadzona do ostateczności i z przyjemnością wytargałabym ją za uszy.

- Baxter? - spytałam. - Kim jest ten okrutnik, którego nazywasz Baxterem?

Dziewczyna uśmiechnęła się jeszcze radośniej.

- Och, proszę pani! Baxter to leśniczy. Kiedy zobaczy, że jakieś obce psy polują tutaj, wtedy bierze i strzela. To jest obowiązek leśniczego, proszę pani! Ten pies chyba zdechnie. Tu jest postrzelony, no nie? To Baxter to zrobił, tak, on. Baxter to zrobił, bo to jego obowiązek.

Byłam na tyle podła, że niemal żałowałam, iż zamiast psa Baxter nie postrzelił tej dziewczuchy. Widząc, że po tej wysoce inteligentnej osobistości nie można oczekiwać, by mi pomogła ulżyć cierpieniu leżącego u moich stóp stworzenia, kazałam jej powtórzyć gospodyni, że uprzejmie proszę, by przyszła.

Dziewczyna zniknęła, tak jak zjawiała się, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. Kiedy zamykała drzwi, powiedziała do siebie cicho: - To Baxtera sprawka i Baxtera obowiązek, tak jest.

Gospodyni, osoba o pewnym wykształceniu i inteligencji, przyniosła ze sobą trochę mleka i ciepłej wody. Kiedy spojrzała na leżącego na podłodze psa, drgnęła i zbladła.

- Och, wielki Boże! - zawołała. - To musi być pies pani Catherick!

- Czyj? - wykrzyknęłam w najwyższym zdumieniu.

- Pani Catherick. Pani zdaje się zna panią Catherick, panno Halcombe?

- Osobiście nie, tylko ze słyszenia. Czy ona tu mieszka? Czy miała jakie wiadomości o córce?

- Nie, proszę pani, przyszła tutaj, aby się o nią zapytać.

- Kiedy?

- Wczoraj. Mówiła, że słyszała od kogoś, że widziano tu w okolicy nieznaną, podobną do jej córki. Myśmy nic podobnego nie słyszeli, a kiedy ze względu, na panią Catherick posłałam na wieś z zapytaniem, okazało się, że i tam żadna taka wiadomość nie dotarła! Na pewno pani Catherick przyprowadziła ze sobą to biedne stworzenie, bo gdy odchodziła, widziałam, jak biegł za nią. Przypuszczam, że zabląkał się na terenie szkółki i tam go postrzelono. Gdzie pani go znalazła, panno Halcombe?

- W starej przystani koło jeziora.

- A tak, to niedaleko szkółki. Biedactwo, przyczołgało się pewnie do najbliższego schronienia, jak to zawsze robią psy, gdy zdychają. Może. by pani zwilżyła mu pysk mlekiem, a ja tymczasem obmyłabym mu ranę. Obawiam się, że już za późno na ratunek. Ale poprobujemy.

Pani Catherick! To nazwisko wciąż brzmi mi w uszach, jak gdyby gospodyni dopiero przed chwilą je wypowiedziała wprawiając mnie w zdumienie. Kiedy opatrywałyśmy psa, przyszły mi na myśl słowa ostrzeżenia Waltera Hartrighta: „Jeżeli kiedykolwiek Anna Catherick znajdzie się na pani drodze, niech pani lepiej wykorzysta tę sposobność, niż ja to

uczynilem". Dzięki odnalezieniu psa odkryłam, że pani Catherick była w Blackwater Park, a ta wiadomość mogła z kolei doprowadzić do czegoś więcej. Postanowiłam jak najlepiej wykorzystać nadarzającą się okazję i zdobyć jak najwięcej informacji.

- Powiedziała pani, zdaje się, że pani Catherick mieszka tu gdzieś w sąsiedztwie?

- Och, nie - rzekła gospodyni. - Mieszka w Welmingham, zupełnie w innych stronach, przynajmniej dwadzieścia pięć mil stąd.

- Pani zapewne zna panią Catherick już od lat?

- Wprost przeciwnie, panno Halcombe, nie widziałam jej nigdy. Słyszałam o niej, oczywiście, gdyż mówiono o dobroci sir Parsivala, który zapewnił jej córce opiekę lekarską. Pani Catherick ma dość dziwne obejście, ale wygląda na osobę godną szacunku. Bardzo się zmartwiła, kiedy się dowiedziała, że nic nie potwierdza pogłoski o tym, że widziano tu w okolicy jej córkę, a w każdym razie, że my nic o tym nie wiemy.

- Interesuje mnie pani Catherick - mówiłam, starając się jak mogłam przedłużyć rozmowę - żałuję, że nie przyjechałam wczoraj wcześniej, bobym ją pewnie zobaczyła. Czy zabawiła tu długo?

- Tak - rzekła gospodyni - była tu jakiś czas i myślę, że pozostałaby tu jeszcze dłużej, gdyby mnie nie zawołano do nieznanego dzentelmena... dzentelmena, który tu przyszedł, by dowiedzieć się, kiedy spodziewamy się powrotu sir Parsivala. Kiedy pani Catherick usłyszała, jak pokojówka mówiła mi, po co przybył ów dzentelmen, natychmiast wstała i pożegnała się. Odchodząc nadmieniła, że nie ma żadnej potrzeby, bym wspominała sir Parsivalowi o jej bytności. Pomyślałam sobie, że to dziwne życzenie, zwłaszcza że je skierowała do osoby na moim odpowiedzialnym stanowisku.

Ja także pomyślałam, że to dziwne życzenie. Sir Parsival będąc w Limmeridge usiłował wpoić we mnie przekonanie, że stosunki między nim a panią Catherick cechuje jak największe zaufanie. Jeśli tak istotnie było, po cóż by miała ukrywać przed nim swą wizytę w Blackwater Park?

- Prawdopodobnie - odezwałam się widząc, że gospodyni oczekuje, bym wypowiedziała swe zdanie o pożegnalnych słowach pani Catherick - prawdopodobnie sądziła, że wiadomość o jej bytności mogłaby niepotrzebnie zmartwić sir Parsivala, przypominając mu, że jej zaginiona córka nie odnalazła się jeszcze. Czy dużo mówiła na ten temat?

- Bardzo mało - odrzekła gospodyni. - Mówiła przeważnie sir Parsivalu, dopytując się, gdzie podróżował i jaka jest jego niedawno poślubiona żona. Wydało mi się, że niepowodzenie w odnalezieniu jakichkolwiek śladów bytności jej córki w tych stronach bardziej ją irytowało i rozgoryczało, niż smuciło. „Muszę się jej wyrzec - to były jej ostatnie słowa o córce, jakie pamiętam - muszę się jej wyrzec jako bezpowrotnie straconej”.

I zaraz potem poczęła dopytywać się o lady Glyde, chcąc wiedzieć, czy jest ona przystojną i miłą panią, czy jest śliczna, zdrowa i młoda... Och, Boże! Wiedziałam, że tak się skończy! Niech pani patrzy, panno Halcombe, to biedactwo zakończyło wreszcie swe męczarnie!

Pies był martwy. Zaskowyczał cicho, jak gdyby zaniósł się krótkim szlochem, ciało drgało przez chwilę w konwulsjach - właśnie wówczas, gdy z ust gospodyni padały słowa: „śliczna, zdrowa i młoda”. Wszystko to stało się zdumiewająco szybko — nim zdążyłyśmy go dotknąć, leżał bez życia.

Ósma godzina. Wróciłam do siebie na górę z jadalni, gdzie w samotnym splendorze spożyłam obiad. Zachodzące słońce płonie czerwono poprzez gałęzie drzew, które widzę z mego okna.

Znowu zagłębiani się w mój dziennik, by ukoić niecierpliwość oczekiwania na powrót podróżnych. Według moich obliczeń powinni już byli do tej pory przyjechać. Jakże samotny i cichy jest dwór w Blackwater w ten spokojny, senny wieczór! Och, Boże! Ileż jeszcze upłynie chwil, nim posłyszają turkot kół pojazdu i zbiegnę na dół, by paść w ramiona Laury!

Biedny piesek! Wolałabym, żeby wspomnienie mego pierwszego dnia pobytu w Blackwater nie łączyło się z obrazem śmierci, choć jest to tylko śmierć zabłąkanego psa...

Welmingham. Przeglądając mój dziennik stwierdziłam, że

miejscość, gdzie przebywa pani Catherick, nazywa się Welmingham. W moim posiadaniu znajduje się wciąż jeszcze kartka od niej, odpowiedź na list, jaki pod wpływem nalegań sir Parsivala napisałam w sprawie jej nieszczęśliwej córki. Któregoś z najbliższych dni, jeśli nic nie stanie mi na przeszkodzie, za. biorę tę kartkę ze sobą, by mi ułatwiła zawarcie znajomości z panią Gatherick, i postaram się wyrobić sobie sąd o niej na podstawie rozmowy z nią. Nie rozumiem, dlaczego chciała ukryć przed sir Parsivalem swą bytność tutaj, i bynajmniej nie jestem nawet w połowie tak pewna, jak gospodyni, że Anny Catherick nie ma tu w okolicy. Go powiedziałby w tej sytuacji Walter Hartright? Biedny, drogi Hartright! Zaczynam już odczuwać brak jego uczciwej rady i tak chętnie udzielanej pomocy.

Ale co ja słyszę? Czyżby to był odgłos kroków w korytarzu na dole? Tak! Słyszę tętent koni... słyszę, turkot pojazdu...

II

15 czerwca

Zamęt, wywołany ich przyjazdem, już przeszedł. Minęły dwa dni i to wystarczyło, by porządek zapanował w naszym nowym życiu w Blackwater Park. Mogę teraz powrócić do mojego dzienniczka z pewną nadzieją, że potrafię prowadzić zapiski tak spokojnie, jak dawniej.

Myślę, że rozpocznę od zanotowania dziwnego spostrzeżenia, jakie mi się narzuciło w chwili powrotu Laury.

Kiedy dwaj członkowie jednej rodziny albo dwaj przyjaciele rozstaną się i jeden z nich wyjedzie za, granicę, a drugi pozostanie w kraju, to po powrocie podróżnika w pierwszej chwili spotkania ten, który pozostawał w kraju, czuje zawsze, że znalazł się w jakiejś niekorzystnej, aż przykrew sytuacji. Nagłe zetknięcie się z nowymi myślami, nieznanymi obyczajami, chciwe przyswajanie ich sobie w jednym wypadku, a w drugim bierne zachowanie dawnych myśli i dawnych zwyczajów - wydaje się początkowo dzielić najbardziej przywiązanych krewnych i kochających przyjaciół i wytwarza między nimi

dziwną obcość, której żadne z nich nie spodziewało się i żadne nie potrafi opanować. Gdy przygasła pierwsza radość z naszego spotkania, gdy zasiadłyśmy razem koło siebie, by porozmawiać w spokoju, natychmiast poczułam tę obcość i spostrzegłam, że ona ją również odczuwa. Teraz, kiedy wróciłyśmy do naszych dawnych zwyczajów, ta obcość się trochę zatarła i zapewne niedługo zniknie zupełnie. Ale niewątpliwie moje wrażenia w pierwszych dniach naszego nowego wspólnego życia formowały się pod wpływem poczucia obcości, dlatego tylko uznałam za stosowne wspomnieć tutaj o tym.

Laura znalazła mnie taką, jak w chwili rozstania, ale mnie uderzyły w niej zmiany. Zmiana w wyglądzie, a także w pewnym sensie zmiana w charakterze. Nie mogę twierdzić, że nie jest tak piękna, jak dawniej, ale mogę powiedzieć, że dla mnie nie jest tak piękna.

Inni ludzie, którzy nie patrzą na nią moimi oczyma ani przez pryzmat moich wspomnień, będą zapewne uważać, że wypiękniała. Ale ja patrząc na nią odczuwałam brak czegoś, co w szczęśliwym, niewinnym życiu Laury Fairlie stanowiło jej część, a czego dziś szukam na próżno w lady Glyde. Dawniej była w jej urodzie jakaś świeżość, miękkość, jakiś wiecznie zmienny, lecz wciąż obecny subtelny urok, czar, którego nie można wyrazić słowami ani też, jak często mawiał biedny Hartright - pędzłem. To utraciła. Wydało mi się, że ujrzałem w jej twarzy słaby refleks dawnej wrażliwości, gdy owego pierwszego wieczoru pobladła witając się ze mną. Ale to się nigdy więcej nie powtórzyło. Żaden z jej listów nie przygotował mnie na taką zmianę w jej wyglądzie, wprost przeciwnie, sądziłam na ich podstawie, że małżeństwo nie zmieniło jej, pod względem zewnętrznym przynajmniej. A może dawniej nie umiałam czytać w jej listach, tak jak teraz nie umiem czytać w jej twarzy? Ale to nie ma znaczenia! Bez względu na to, czy jej uroda rozbłysła, czy zbladła w ciągu minionego półrocza, nasza rozłąka sprawiła, że jej droga osoba stała mi się stokroć droższa, a to, w każdym razie, zapisać należy na plus jej małżeństwa.

Druga zmiana - zmiana, którą zaobserwowałam w jej

charakterze - nie zdziwiła mnie, ponieważ przygotował mnie na to ton jej listów. Teraz, gdy Laura znów jest ze mną, widzę, że równie niechętnie czyni jakiegokolwiek zwierzenia na temat swego pożycia małżeńskiego jak poprzednio, przez cały czas naszej rozłąki, kiedy tylko listownie mogliśmy się ze sobą porozumiewać. Kiedy po raz pierwszy spóbowalam poruszyć zakazany temat, położyła mi rękę na wargach ruchem, który we wzruszający, niemal bolesny sposób przywiódł mi na pamięć jej dziewczęce lata, szczęśliwy, miniony okres, kiedy nie było między nami sekretów.

- Marianno - rzekła - musimy zgodzić się, że moje małżeńskie życie jest takim, jakim jest, i mówić, i myśleć o nim jak najmniej, gdy jesteśmy razem. Wtedy będziemy szczęśliwsze i swobodniejsze ze sobą. Powiedziałabym ci wszystko o sobie, kochana - ciągnęła, nerwowo odpinając i przypinając szarfę, którą byłam przepasana - gdyby moje zwierzenia mogły się na tym skończyć. Ale nie skończyłoby się na tym, doprowadziłoby to mnie do zwierzeń na temat mojego męża, a teraz, gdy już go poślubiłam, myślę, że lepiej tego unikać, ze względu na niego, ze względu na ciebie, ze względu na mnie. Wcale nie chcę przez to powiedzieć, że zwierzenia te zasmuciłyby ciebie albo mnie. Za nic na świecie nie chcę, żebyś tak myślała. Ale teraz, gdy odzyskałam ciebie, chciałabym być tak bardzo szczęśliwa, chciałabym, żebyś i ty była tak bardzo szczęśliwa... - urwała nagle, rozejrzała się po pokoju, po moim saloniku, w którym rozmawialiśmy. - Ach - zawołała z radosnym uśmiechem i klasnęła w dłonie - odnalazłam jeszcze jednego starego przyjaciela! Twoja biblioteczka, Marianno! Twoja kochana, stara, zniszczona biblioteczka! Jakże się cieszę, że ją przywiozłaś z Limmeridge! O, i ten okropny męski parasol, który zawsze nosisz, kiedy pada deszcz! A przede wszystkim to, co najważniejsze, twoja własna twarz, kochana i mądra ciemna cygańska twarz, która patrzy na mnie jak dawniej. Czuję się znów jak w domu. Co możemy zrobić, aby czuć się jeszcze bardziej jak w domu? Powieszę u ciebie portret ojca, nie w moim pokoju... będę tu przechowywać wszystkie moje skarby z Limmeridge... będziemy każdego dnia spędzać całe godziny

wśród tych czterech przyjaznych ścian. Och, Marianno - powiedziała siadając nagle na stołeczku u mych stóp i patrząc na mnie z przejęciem - przyrzeknij, że nigdy nie wyjdiesz za mąż i nie opuścisz mnie. To samolubstwo tak mówić... ale o tyle lepiej jest być niezamężną kobietą... chyba... chyba że się bardzo kocha swego męża. Ale ty przecież nikogo nie będziesz bardzo kochać prócz mnie, prawda? - Urwała znowu, złożyła moje ręce na moich kolanach i ukryła w nich twarz. - Czy ostatnio pisywałaś dużo listów i dostawałaś dużo listów? - spytała cichym, zmienionym głosem. Zrozumiałam, co miała na myśli, ale uznałam za swój obowiązek nie zachęcać jej i nie wychodzić jej Wpół drogi. - Czy nie miałaś wiadomości od niego? - mówiła i błagając o przebaczenie za to, że ważyła się jasno postawić pytanie, całowała moje ręce, w których ukryła swą twarz. - Czy jest zdrow i szczęśliwy i czy powodzi mu się w jego pracy? Czy już odzyskał równowagę i... zapomniał mnie?

Nie powinna była o to pytać. Powinna pamiętać, co postanowiła owego ranka, kiedy sir Parsival nie zgodził się zerwać zaręczyn i kiedy na zawsze oddała mi album z rysunkami Hartrighta. Ale gdzież znajdziemy doskonałych ludzi, by potrafili wytrwać w dobrym postanowieniu i nigdy się nie załamać? Gdzie jest kobieta, która zdołała wydrzeć z serca obraz dawnej, prawdziwej miłości? Książki mówią nam, że takie nieziemskie stworzenia chodzą po tym świecie. Ale co powiada na to nasze doświadczenie?

Nie miałam serca robić jej wymówek, może dlatego, że w pełni oceniałam jej odwagę w wyjawieniu uczucia, które inne kobiety w jej sytuacji chciałyby ukryć nawet przed najlepszą przyjaciółką; a może dlatego, że w głębi serca czułam, że na jej miejscu stawiałabym takie same pytania i myślała tak samo. Jedyne, co mogłam uczynić, to powiedzieć jej otwarcie, że ostatnio nie pisałam do niego ani też nie miałam od niego wiadomości. Wiele rzeczy zasmuciło mnie podczas naszej rozmowy; mojej pierwszej poufnej z nią rozmowy po jej powrocie. Zmiana, jaką w naszych wzajemnych stosunkach wywołało jej małżeństwo, wprowadzając między nas, po raz pierwszy w życiu, zakazany temat; smutne przekonanie o

zagaśnięciu jakichkolwiek cieplejszych uczuć, wszelkiej żywszej sympatii między nią a jej małżonkiem, o czym poinformowały mnie jej własne, niechętne słowa; przygnębiające odkrycie, że w jej sercu wciąż pozostaje głęboko zakorzeniona, jakkolwiek niewinna, nieszczęsna miłość - te spostrzeżenia zasmuciłyby każdą kobietę, która kochałaby ją równie jak ja serdecznie i równie jak ja żywo jej współczuła.

Jedno tylko powinno mnie pocieszyć i pociesza mnie. Nie zatraciła nic z dawnego wdzięku i słodczy charakteru, nic ze szczerości swej uczuciowej natury ani ze swej prostoty i kobiecego czaru, którymi zwykła była radować serca wszystkich, znajdujących się w pobliżu niej. Czasami skłonna jestem podawać w wątpliwość słuszność moich innych wrażeń. Ale nie kwestionuję nigdy tego ostatniego radosnego wrażenia, owszem, z godziny na godzinę staję się coraz bardziej tego pewna.

A teraz przejdę od niej do towarzyszy jej podróży. Jej małżonek pierwszy zwraca na siebie moją uwagę. Co zaobserwowałam w sir Parsivalu po jego powrocie, co mogłoby poprawić moją opinię o nim?

Nie wiem, jaką dać na to odpowiedź. Wydaje mi się, że kiedy tylko przyjechał, spadły na niego różne kłopoty i zmartwienia, a w tych okolicznościach żaden mężczyzna nie prezentuje się najkorzystniej. Myślę, że zeszczipał od wyjazdu z Anglii, a na pewno wzrósł jego nerwowy niepokój i pogorszył się męczący kaszel. Jego sposób bycia - przynajmniej w stosunku do mnie - jest znacznie mniej uprzejmy niż dawniej. W jego powitaniu owego wieczoru, gdy wrócił, nie było nic albo prawie nic z dawnej ceremonialności i grzeczności, żadnych uprzejmych mówek powitalnych, żadnego okazywania radości na mój widok. Powitanie ograniczyło się do krótkiego uścisku ręki i paru zdawkowych słów: „Jak się pani miewa, panno Halcombe, rad jestem, że panią widzę”. Wygląda na to, że uważa mnie za jedno z nieuniknionych obciążeń Blackwater, że zadowolił się tym, że jestem ulokowana we właściwym miejscu, i przeszedł nade mną do porządku.

Wielu mężczyzn pokazuje w życiu domowym te rysy

charakteru, które gdzie indziej ukrywa. Sir Parsival zdążył już ujawnić manię na punkcie porządku i regularności, na co zupełnie nie przygotowała mnie poprzednia z nim znajomość. Jeśli wezmę książkę z biblioteki i zostawię ją na stole, to on odnosi ją na miejsce. Jeżeli przysunę sobie krzesło i pozostawię je tam, gdzie siedziałam, pieczołowicie stawia je na właściwe miejsce przy ścianie. Podnosi z dywanu zgubione kwiatki i mruczy do siebie z takim niezadowoleniem, jak by to były rozżarzone węgielki, wypalające dziury w dywanie; jeżeli przy obiedzie brakuje noża albo nie wyprasowano załamek na obrusie, grzmi na służących tak surowo, jak gdyby go osobiście obrazili.

Wspomniałam o drobnych kłopotach, jakie go nękają od powrotu. Zapewne im to należy przypisać większość zmian na gorsze, które w nim zauważyłam. Próbuję wmówić to w siebie, ponieważ nie chcę tracić nadziei na lepszą przyszłość. Na pewno na ciężką próbę wystawiony byłby charakter każdego mężczyzny, gdyby po długiej nieobecności w domu, od pierwszego momentu, gdy stanie pod własnym dachem, spotykały go nieprzyjemności, a muszę stwierdzić, że w takich to przykrych okolicznościach znalazł się sir Parsival.

W wieczór ich powrotu gospodyni poszła ze mną do hallu, by powitać swego pana, panią i ich gości. Zaledwie sir Parsival ją ujrzał, zaraz zapytał, czy nikt ostatnio nie przychodził. Gospodyni powiedziała mu o wizycie nieznanego dzentelmena, który dopytywał o termin powrotu pana domu, o czym poprzednio mnie wspominała. Natychmiast zapytał o nazwisko owego dzentelmena. Dzentelmen nie podał swego nazwiska. Czego chciał ów dzentelmen? Nie powiedział tego. Jak wyglądał? Gospodyni próbowała go opisać, ale nie udało jej się podać żadnej szczególnej cechy jego wyglądu, która pozwoliłaby jej panu go rozpoznać. Sir Parsival zmarszczył się, tupnął gwałtownie w podłogę i poszedł dalej, nie zwracając na nikogo uwagi. Dlaczego go tak zdenerwowało takie głupstwo, nie umiem powiedzieć, ale bez wątplenia poważnie go to zdenerwowało.

A więc najlepiej chyba będzie, jeśli powstrzymam się od

formowania zdecydowanej opinii o jego zwyczajach, sposobie wyrażania się i zachowania w jego własnym domu, aż czas pozwoli mu otrząsnąć się z trosk, które - jakiegokolwiek one są - najpewniej go teraz skrycie nękają. Zacznę nową kartę i pióro moje pozostawi męża Laury na razie w spokoju.

Następne pozycje w moim katalogu to dwoje gości: hrabia i hrabina Fosco. Zajmę się najpierw hrabiną, aby skończyć jak najprędzej z tą kobietą.

Niewątpliwie, Laura nic nie przesadziła pisząc mi, że nie poznam jej ciotki, gdy ją ujrzę. Nigdy przedtem nie widziałam, by małżeństwo wywołało w jakiegokolwiek kobiecie taką zmianę, jak w madame Fosco.

Jako Eleonora Fairlie - licząca lat trzydzieści siedem - pełna była pretensji, plotła bez przerwy bzdury i zadrezczała nieszczęsnych mężczyzn najróżniejszymi wymaganiami, jakimi próżna i głupia kobieta może zatruwać życie cierpiącej społeczności męskiej. Jako madame Fosco - lat czterdzieści trzy - przesiaduje godzinami nie mówiąc ani słowa, zamknięta w sobie - rzekłabym, wprost skamieniała w sobie - w jakiś osobliwy sposób. Okropne, ośmieszające ją loczki, które zwykły zwisać po obu stronach jej twarzy, zastąpiła teraz sztywnym rządkiem bardzo krótkich pukli, jakie oglądać można na staromodnych perukach. Prosty czepiec matrony okrywa jej głowę, co sprawia, że po raz pierwszy, odkąd ją znam, wygląda jak przyzwoita kobieta. Nikt (nie biorąc pod uwagę jej męża, oczywiście) patrząc na nią nie widzi tego, co kiedyś każdy widział, a mianowicie istny szkielet tam, gdzie pozwalał to widzieć jej dekolt. Ubrana w spokojne, czarne albo szare suknie sięgające jej wysoko pod szyję (w swych latach panińskich na widok takich strojów śmiała się lub wrzeszczała, zależnie od chwilowego kaprysu) przesiaduje milcząca po kątach, zajmując nieustannie swe białe, suche ręce (które wyglądają, jak by były z kredy) albo monotonną pracą nad haftem, albo skręcaniem nieskończonej ilości papierosów na wyłączny użytek hrabiego. W tych rzadkich chwilach, kiedy odrywa od pracy zimne, niebieskie oczy, kieruje je na ogół na męża, a maluje się w nich wtedy niemy wyraz pełnego uległości pytania, jaki znamy tak

dobrze ze spojrzeń wiernych psów. Jak udało mi się dotychczas zauważyć, wewnętrzne ciepło przebija przez lodową powłokę powściągliwości w jednej tylko formie, mianowicie jako dostrzeżona przeze mnie parokrotnie, dławiona, tygrysia wprost zazdrość - zazdrość o każdą kobietę w domu (włączając pokojówki), z którą hrabia rozmawiał lub na którą patrzył z najłżejszymi bodaj objawami jakiegoś zainteresowania czy uwagi. Z wyjątkiem takich okazji hrabina jest stale - rano, w południe czy wieczór, w domu czy poza domem, w słońcu czy w słońcu - tak chłodna jak posąg i tak nieprzenikniona jak kamień, z którego kuje się posągi. Ta niezwykła zmiana, jaka w niej się dokonała, jest niewątpliwie zmianą na lepsze z punktu widzenia społecznego, dzięki temu bowiem stała się cichą, grzeczną, skromną i nie wchodzącą nikomu w paradę kobietą. Jak dalece się wewnętrznie udoskonaliła lub zdeprawowała - to już inna sprawa. Parę razy zaobserwowałam, jak nagle zaciskają się jej wąskie wargi, a w spokojnym głosie parokrotnie posłyszałam gwałtowne zmiany tonu, i to zbudziło we mnie podejrzenie, że w tym obecnym stanie przytłumienia może krzepnąć w jej naturze coś, co w swobodzie poprzedniego życia wyparowywało z niej nieszkodliwie. Możliwe, że zupełnie niesłusznie wysnuwam taki wniosek. A jednak moim najgłębszym przekonaniem jest, że mam rację. Czas pokaże.

A magik, który dokonał tej cudownej przemiany, mążcudzoziemiec, który tak oswoił tę nieznośną dawniej Angielkę, że własna rodzina ledwo ją poznaje - sam hrabia? Co myślę o hrabi?

Mówiąc najkrócej: wygląda na człowieka, który zdołałby oswoić wszystko. Gdyby zamiast kobiety poślubił tygrysićę - oswoiłby tygrysićę. Gdyby poślubił mnie - skręcałabym mu papierosy, tak jak teraz jego żona, i trzymałabym język za zębami, gdyby na mnie patrzył - tak jak ona trzyma teraz język za zębami.

Wprost boję się to wyznać, nawet tym niemym kartkom: ten człowiek mnie zainteresował, zafascynował, zmusił, bym go lubiła. W ciągu dwóch krótkich dni zdobył sobie moją pochlebną opinię, a jak dokonał tego cudu, nie potrafię

powiedzieć.

Wstrząśnięta jestem po prostu, teraz, kiedy myślę o nim, tym, że tak wyraźnie staje mi przed oczyma! O wiele wyraźniej niż sir Parsival albo pan Fairlie czy Walter Hartright, czy jakakolwiek nieobecna osoba, o której myślę, z wyjątkiem jednej tylko Laury. Słyszę jego głos, jak by w tej chwili mówił. Tak dobrze pamiętam, o czym rozmawiał wczoraj, jak gdybym go teraz słuchała. Jak mam go opisać? W jego wyglądzie, w jego zwyczajach, w jego rozrywkach dostrzegłam rzeczy, które potępiłabym najostrożniejszymi słowami lub wyśmiała najbardziej bezlitośnie, gdybym je znalazła w innym człowieku. A co sprawia, że niezdolna jestem ich potępić ani wyśmiać, gdy je widzę w nim?

Jest on, na przykład, okropnie otyły. Dotychczas bardzo nie lubiłam tęgich ludzi. Zawsze utrzymywałam, że powszechne przekonanie o nierozłącznym związku między tuszą a dobroduszością sprowadza się do jednego z tych dwu twierdzeń: tyć potrafią tylko dobrzy ludzie albo: wzrost wagi ciała o pewną ilość funtów sam przez się wywiera dodatni wpływ na usposobienie człowieka, którego ciało zwiększa się o te funty. Zawsze zwalczałam te absurdałne twierdzenia, podając przykłady korpulentnych osób, które były najnikczemniejszymi, najpodlejszymi i najokrutniej szymi z ludzi. Zapytywałam, czy Henryk Ósmy miał miły charakter? Czy papież Aleksander Szósty był dobrym człowiekiem? Czy mordercy, pan i pani Manning, nie byli oboje niezwykle tędzy? Czy zawodowe pielęgniarki, przysłowiowo najbardziej okrutne kobiety w Anglii, nie tworzą u nas, ogólnie rzecz biorąc, grupy najbardziej otyłych kobiet? I tak dalej, poprzez tuziny innych przykładów, współczesnych i starożytnych, z kraju i z zagranicy, ze sfer wysokich i niskich. A jednak, choć i w tym momencie mocno trwam przy swoim przekonaniu, oto hrabia Fosco, tęgi jak sam Henryk Ósmy, w ciągu jednego dnia zdobywa sobie moją sympatię, w czym mu wcale nie przeszkadza jego wstrętna otyłość! Zaiste, zdumiewające!

A może to jego twarz tak dobrze o nim świadczy? Możliwe. Jest ogromnie podobny do wielkiego Napoleona. Jego rysy

cechuje napoleońska regularność, w wyrazie twarzy uderza ten sam władczy spokój, ta sama niewzruszona siła, co w obliczu Wielkiego Żołnierza. Już samo to zaskakujące podobieństwo uczyniło na mnie wrażenie, ale poza tym jest w nim coś, co wywiera na mnie wrażenie znacznie silniejsze. Myślę, że ta jakaś siła, która koncentruje się w jego oczach. Są to najbardziej niezgłębione szare oczy, jakie kiedykolwiek widziałam. Mają czasami zimny, jasny i piękny blask, któremu nie sposób się oprzeć i który zmusza mnie, żeby w te oczy patrzeć, a kiedy to czynię, doznaję wrażeń, których wolałabym nie odczuwać. Wszystko w jego twarzy i głowie posiada jakąś osobliwość. Jego cera, na przykład, odznacza się szczególną barwą, bardzo jasną, lecz z niezdrowym odcieniem, i tak bardzo się kłóci z ciemnobrązowym kolorem jego włosów, że podejrzewam go o noszenie peruki; jego starannie ogolona twarz jest gładza od mojej, mniej na niej zmarszczek, a przecież (według sir Parsivala) hrabia dobiega sześćdziesiątki. Ale to nie są rysy charakterystyczne, wyróżniające go w moim pojęciu spośród wszystkich mężczyzn, jakich kiedykolwiek widziałam. Ta jego niepospolitość, którą góruje nad innymi ludźmi, tkwi wyłącznie, o ile mogę w chwili obecnej to stwierdzić, w nadzwyczajnej sile spojrzenia i nadzwyczajnym wyrazie jego oczu.

Jego zachowanie i znajomość naszego języka mogły mu także w pewnym stopniu dopomóc do zdobycia mojej dobrej opinii. Słucha kobiety ze spokojnym szacunkiem i pełnym uwagi i zadowolenia zainteresowaniem, mówi do niej z łagodnością w głosie, a temu - choćbyśmy nie wiedzieć jak przeczyły - żadna z nas nie jest w stanie się oprzeć. Niewątpliwie przychodzi mu w tym z pomocą jego doskonała znajomość angielskiego języka. Nieraz słyszałam o niezwykłej łatwości, z jaką Włosi opanowują naszą twardą północną mowę, ale dopóki nie poznałam hrabiego Fosco, nie przypuszczałam, by cudzoziemiec mógł mówić po angielsku tak dobrze jak on. Chwilami nie sposób z jego akcentu odgadnąć, że nie jest naszym rodakiem. Jeśli zaś chodzi

O płynność, to niewielu rodowitych Anglików potrafi mówić z

tak małą ilością powtórzeń i przerw, jak on. Może budować zdania mniej lub bardziej po cudzoziemsku, ale nie słyszałam nigdy, by wahał się choć przez chwilę w wyborze słowa lub użył złego wyrażenia.

Ten dziwny człowiek jest, nawet w najdrobniejszych szczegółach, uderzająco oryginalny i pełen zdumiewających sprzeczności. Choć taki otyły i stary, ruchy ma zadziwiająco lekkie

i płynne. Zachowuje się w pokoju ciszej niż którakolwiek z nas, kobiet, a co więcej, mimo iż wygląd jego nieomylnie świadczy o zdecydowaniu i sile duchowej, nerwy ma tak czułe, jak najsłabsza z nas. Niespodziewane hałasy przyprawiają go o nieopanowane odruchy tak niezawodnie, jak Laurę. A wczoraj, gdy sir Parsival bił swego spaniela, hrabia Fosco tak kurczył się i drżał, że aż czułam się zawstydzona własnym brakiem wrażliwości i delikatności w porównaniu z nim.

Pisząc o tym wydarzeniu przypominam sobie o jeszcze jednej rzeczy osobliwej, o której dotąd nic nie nadmieniłam, a mianowicie o jego wielkim upodobaniu do zwierząt chowanych w domu. Część z nich pozostawił na kontynencie, ale przywiózł do Blackwater papugę, dwa kanarki i całą rodzinę białych myszek. Sam ma pieczę nad swymi dziwnymi faworytami, spoufala je ze sobą niesłychanie, a one go bardzo lubią. Kakadu, zdradziecka i złośliwa w stosunku do innych ludzi, wydaje się wprost go kochać. Kiedy wypuszcza ją z klatki, skacze mu na kolana, wspina się po jego ogromnym ciele i czubkiem z piórek wachluje jego podwójny podbródek w najbardziej pieśczośliwy sposób, jaki można sobie wyobrazić. Wystarczy, że hrabia otworzy drzwiczki od klatki kanarków i zawoła je, a te śliczne, doskonale wytresowane ptaszki wspinają się śmiało na jego rękę, a kiedy każe im „chodzić po schodach”, wdrapują się po kolei na jego wyciągnięte sztywno tłuste palce i doszedłszy do ostatniego zanoszą się radosnym śpiewem, o mało im gardziółka nie pękna. Jego białe myszki mieszkają w maleńkiej pagodzie z jasno pomalowanego drutu, którą on sam zaprojektował i wykonał. Są niemal równie oswojone jak kanarki i podobnie jak tamte ciągle wypuszczane z klatki.

Biegają po nim, wsuwają się za jego kamizelkę i wyłażą spod niej. Białe niczym grudki śniegu przesiadują parkami na jego szerokich ramionach. Wydaje się, że są jego największymi ulubieńcami, uśmiecha się do nich, wabi najróżniejszymi pieszczotliwymi słowy. Gdyby można było wyobrazić sobie, że jakiś Anglik objawiałby równie dziecinne upodobanie i zainteresowania, to na pewno by się tego trochę wstydził i nie omieszkał tłumaczyć się będąc w towarzystwie dorosłych. Ale, zdaje się, hrabia nie dostrzega nic śmiesznego w zdumiewającym kontraście swego własnego ogromu z maleńkimi, kruchymi ulubieńcami. Nawet gdyby się znalazł w grupie angielskich myśliwych, wyprawiających się na lisy, całowałby te swoje białe myszki i uprzejmie szczebiotał do kanarków, a kiedy by na ten widok myśliwi ryczeli ze śmiechu, litowałby się tylko nad nimi, uzna wszy ich za barbarzyńców.

W chwili gdy piszę te słowa, wprost trudno mi w to uwierzyć, ale jest niewątpliwą prawdą, że ten sam człowiek, który z czułością starej panny odnosi się do papugi i obchodzi się ze swymi myszkami równie zręcznie jak kataryniarz, umie - kiedy go coś do tego pobudzi - przemawiać z odwagą i niezależnością myśli, okazując odczytanie we wszystkich językach i znajomość sfer towarzyskich połowy stolic Europy, co uczyniłoby go wybitną osobistością w każdym towarzystwie kulturalnego świata. Ten wychowawca kanarków i budowniczy pagody dla białych myszek. jest (jak powiedział mi sir Parsival) jednym z najwybitniejszych chemików eksperymentalnych i między innymi zdumiewającymi odkryciami, jakich dokonał, znalazł sposób uczynienia zwłok ludzkich twardymi jak kamień, by mogły się zachować, podobne marmurowi, do końca świata. Ten otyły, leniwy starszy pan, o delikatnych nerwach, który drżał, widząc, jak spaniel bierze lanie, poszedł na podwórze stajenne następnego ranka po swym przyjeździe i położył rękę na łbie przywiązanego na łańcuchu ogara, bestii tak dzikiej, że trzyma się od niego z daleka nawet stajenny, który go karmi. Żona hrabiego i ja byliśmy przy tym obecni i nie zapomnę nigdy sceny, która nastąpiła, choć była ona bardzo krótka.

- Niech pan strzeże się tego psa, sir - powiedział chłopiec

stajenny. - Rzuca się na każdego! - Owszem, przyjacielu - odparł hrabia. - Rzuca się na każdego, ponieważ każdy się go boi. Zobaczmy, czy rzuci się na mnie. - Położył swe pulchne, białe palce, po których przed dziesięciu minutami spacerowały kanarki, na łbie straszliwego psa, patrząc mu prosto w oczy. - Wy, wielkie psy, jesteście tchórzami - mówił z pogardą do psiska, którego pysk znajdował się o cal od jego twarzy. - Zabiłbyś biednego kota, ty podły tchórz. Rzuciłbyś się na przymierającego głodem żebraka, podły tchórz. Na wszystko byś się rzucił, co mógłbyś zaskoczyć niespodzianie, na wszystko, co boi się twego wielkiego cielska, twoich niegodziwych białych zębów, twojego ociekającego śliną krwiożerczego pyska. Udusiłbyś mnie w tej chwili, ty nikczemny zawadiako, ale nie ośmielisz się nawet spojrzeć na mnie, bo ja się ciebie nie boję. A może namyślił się i zatopisz swoje kły w moim tłustym karku? Ba! To do ciebie niepodobne. - Obrócił się, śmiejąc się ze zdumienia znajdujących się na podwórzu mężczyzn, a pies potulnie wpełzł do swej budy. - Ach - powiedział patetycznie hrabia - moja piękna kamizelka! Żałuję, że tu przyszedłem, ślina tego psa poplamiała moją piękną, czystą kamizelkę! - Te słowa ilustrują jeszcze jedną z jego niepojętych osobliwości. Tak lubi piękne stroje, jak najbardziej pretensjonalny głupiec pod słońcem; podczas dwu dni swego pobytu w Blackwater paradował już w czterech wspaniałych kamizelkach, a wszystkie były jasne, jaskrawe i za duże nawet na niego.

Jego takt i spryt w drobiazgach równie rzucają się w oczy jak osobliwe sprzeczności charakteru i upodobanie do błahych dzieciennych rozrywek w codziennym życiu. Zorientowałam się już, że zamierza podczas swego pobytu tutaj utrzymywać doskonałe stosunki z nami wszystkimi, Widoczne jest, iż zauważył, że Laura go w głębi serca nie cierpi (przyznała się do tego, gdy ją pytałam o to), ale zauważył również, że bardzo lubi kwiaty. Kiedy tylko ich zapragnie, hrabia zawsze ma dla niej zebrane i ułożone przez siebie bukiety, a co mnie wielce bawi, zawsze przebiegle zaopatruje się w duplikat, składający się dokładnie z tych samych kwiatów, ułożonych w dokładnie ten

sam sposób, aby ugasić zimną zazdrość swej żony, zanim ta poczuje się dotknięta. A jego metoda panowania nad żoną (w towarzystwie, nie kiedy są sami) to widok godny oglądania. Składa jej ukłony, zwraca się do niej zwykle słowami „mój aniele”, przynosi swoje kanarki, by odbywały spacery na jego palcach i śpiewały dla niej, całuje jej dłoń, biorąc od niej papierosy, a obdarza ją w zamian za nie kandyzowanymi śliwkami, które wyjmuje z pudełeczka w kieszeni i żartobliwie wkłada jej do ust. Nigdy nie wystawia na widok publiczny stalowej różgi, za pomocą której włada hrabiną, jest to prywatna różeczka przechowywana w prywatnych apartamentach.

Jego metoda zdobywania moich względów jest zupełnie inna. Pochlebia mojej próżności, mówiąc do mnie tak poważnie i rozsądnie, jak gdybym była mężczyzną. Widzę to, kiedy jestem od niego z dala, kiedy myślę o nim w moim saloniku na górze; rozumiem, że schlebia mojej próżności, a jednak, kiedy zejść na dół i znajdę się w jego towarzystwie, znowu jestem zaślepiona i łapię się na jego pochlebstwa, jak gdybym nigdy go nie przejrzała. Potrafi panować nade mną, tak jak panuje nad swą żoną i nad Laurą, tak jak opanował dzikiego psa na podwórzu przy stajni, tak jak w każdej porze dnia panuje nad sir Parsivalem. „Mój poczciwy Parsivalu, jakże mnie cieszy twój zdrowy angielski humor!” „Mój drogi Parsivalu, jakże mnie cieszy twoje solidne. angielskie poczucie rzeczywistości” W ten sposób stępia ostrze najjadowitszych uwag, jakie sir Parsival czyni a propos jego niewieścich gustów i rozrywek. Nazywa przy tym baroneta po imieniu, uśmiecha się do niego ze spokojną wyższością, klepie go po ramieniu i odnosi się do niego z taką łaskawością, z jaką łagodny ojciec traktuje niesfornego syna. Zainteresowanie tym dziwnym człowiekiem - które doprawdy silniejsze jest ode mnie - skłoniło mnie, bym spytała o jego przeszłość sir Parsivala, lecz on albo sam mało wie na ten temat, albo też nie chce mi powiedzieć. Spotkał się z hrabią przed wielu laty w Rzymie, w chwili niebezpieczeństwa, o którym już wspominałam. Od tego czasu przebywali stale razem w Londynie, w Paryżu, w Wiedniu, ale nigdy już nie

odwiedzili wspólnie Włoch, gdyż - dziwna rzecz - hrabia już od wielu lat nie przestąpił granic swego rodzinnego kraju. Może jest ofiarą prześladowań politycznych? W każdym razie uczucia patriotyczne nakazują mu nie tracić z oczu ani jednego z ziomków, którzy znajdują się w Anglii. W wieczór swego przyjazdu zapytał, jak daleko jest do najbliższego, miasta i czy nie mieszka tam czasem jakiś włoski dżentelmen? Na pewno koresponduje z wielu osobami na kontynencie, ponieważ na jego listach widziałam najrozmaitsze dziwne znaczki pocztowe. Dziś rano przed śniadaniem na jego miejscu przy stole oczekiwał na hrabiego list z ogromną, najwidoczniej urzędową pieczęcią. Może więc koresponduje ze swym rządem? Ale nie mogę tego jakoś pogodzić z moim poprzednim przypuszczeniem, że jest on wygnańcem politycznym. Jakże wiele napisałam już o hrabi Fosco!

A jak wyglądałoby podsumowanie . tego wszystkiego? Tak w swój chłodny, rzeczowy sposób zapytałby biedny pan Gilmore, Mogę tylko powtórzyć, że niewątpliwie nawet po tak krótkiej znajomości czuję, trochę wbrew mej woli, dziwną sympatię do hrabiego. Najwidoczniej zdobywa nade mną taką samą przewagę, jaką niezaprzeczenie posiada nad sir Parsivalem. Chociaż w stosunku do swego otyłego przyjaciela sir Parsival bywa niekiedy zbyt swobodny, nawet trochę grubiański, widzą jasno, że bałby się go czymś poważnie obrazić. Zastanawiam się, czy i ja również bym się tego bała? Na pewno w całym swoim życiu nie spotkałam człowieka, w którym tak bym nie chciała mieć wroga. Czy jest tak dlatego, że go lubię, czy dlatego, że się lękam? Chi sa? - jak mógłby zapytać hrabia Fosco w swym ojczystym języku. Kto wie?

16 czerwca

Dzisiaj mam do zanotowania coś więcej niż tylko moje własne myśli i spostrzeżenia. Przybył gość, którego ani ja, ani Laura nie znamy, i którego najzupełniej nie spodziewał się sir Parsival. Siedzieliśmy przy lunchu w pokoju z nowymi francuskimi oknami, wychodzącymi na werandę, i właśnie

hrabia (który pożera słodczyce tak, jak nie potrafi ich pożerać nikt na świecie z wyjątkiem dziewcząt w internacie) rozśmieszył nas prosząc z całą powagą o czwarte ciastko owocowe, kiedy wszedł służący i oznajmił przyjazd gościa: - Sir Parsivalu, przyjechał przed chwilą pan Merriman i chce się zaraz z panem widzieć.

Sir Parsival drgnął raptownie i spojrzął na służącego z gniewem i zaniepokojeniem.

- Pan Merriman? - powtórzył, jak gdyby sądził, że słuch go zwodzi.

- Tak, sir Parsivalu. Pan Merriman z Londynu.

- Gdzie on jest?

- W bibliotece, sir:

Zaledwie posłyszał odpowiedź, powstał od stołu i nie rzekłszy ani słowa pośpiesznie wyszedł z pokoju.

- Kim jest pan Merriman? - spytała Laura, zwracając się do mnie.

- Nie mam pojęcia - tyle tylko mogłam odpowiedzieć. Hrabia skończył już czwarte ciastko i odszedł do stolika przy ścianie, by spojrzeć na swą złośliwą kakadu. Z papugą siedzącą na ramieniu obrócił się ku nam.

- Pan Merriman jest adwokatem sir Parsivala.

Adwokat sir Parsivala. Była to prosta odpowiedź na pytanie Laury, a jednak w danych okolicznościach zupełnie nie wystarczała. Jeśliby klient posłał po swego adwokata, nie dostrzegaliby nic tak bardzo zdumiewającego w fakcie, że ten przyjechał z miasta posłuszny wezwaniu. Ale jeśli adwokat nie wzywany jedzie z własnej woli z Londynu do Hampshire, a jego przybycie poważnie niepokoi właściciela domu, można niechybnie wnioskować, że te prawnicze odwiedziny zwiastują ważne i niespodziane nowiny - nowiny, które mogą być bardzo dobre albo bardzo złe, ale w żadnym razie nie są obojętne ani zwykłe.

Siedziałyśmy obie przy stole przez kwadrans lub więcej, zastanawiając się z niepokojem, co mogło się stać, i czekając, czy czasem sir Parsival nie powróci. Ponieważ jednak nic nie zapowiadało jego przybycia, wstałyśmy, by wyjść z pokoju.

Hrabia, uprzejmy jak zawsze, wyszedł z kąta, w którym karmił swą papugę, i z ptakiem na ramieniu otworzył nam drzwi. Laura i madame Fosco wyszły pierwsze. Właśnie gdy miałam iść za nimi, dał mi znak ręką i zanim go minęłam, odezwał się do mnie w bardzo dziwny sposób.

- Tak - rzekł odpowiadając na nurtującą mnie skrycie myśl, tak jak bym ją jasno wyraziła słowami. - Tak, panno Halcombe, musiało się coś stać.

Miałam mu odpowiedzieć: „Ależ ja nic takiego nie mówiłam” - lecz wstrętne kakadu nastroszyła pióra króciutkich skrzydeł i wydała tak dziki wrzask, że przeszedł mnie zimny dreszcz i jak mogłam najszybciej wyszłam z pokoju.

Spotkałam Laurę u stóp schodów. I w niej również zbudziła się obawa, którą wyraził hrabia Fosco. Przemówiła do mnie słowami, które były niemal echem jego słów. Ona również oświadczyła, że lęka się, że coś się stało.

III

Muszę jeszcze przed położeniem się spać dodać parę linijek do dzisiejszych zapisków.

W jakieś dwie godziny potem, jak sir Parsival zerwał się od stołu, by przyjąć w bibliotece swego adwokata, pana Merrimana, wyszłam ze swego pokoju, aby przejść się samotnie po lasku. Gdy znajdowałam się na klatce schodowej, drzwi do biblioteki otworzyły się i wyszło z niej dwóch dżentelmenów. Pomyślałam, że lepiej im nie przeszkadzać pojawiając się na schodach, i postanowiłam zatrzymać się chwilę, póki nie przejdą przez hali. Chociaż rozmawiali cicho, słowa ich wyraźnie dobiegały moich uszu.

- Niech się pan nie niepokoi, sir Parsivalu - mówił prawnik—wszystko zależy od lady Glyde.

Odwrociłam się już, by wrócić na chwilę do swego pokoju, ale słysząc, jak nie znany mi człowiek mówi coś o Laurze, zatrzymałam się natychmiast. Przyznaję, że było to bardzo niewłaściwe i nie przynoszące mi zaszczytu, że zatrzymałam

się, by słuchać, co mówią, ale czyż wśród wszystkich kobiet świata znajdzie się choć jedna, która potrafi stosować swe postępowanie do abstrakcyjnych zasad honoru, gdy ich nakazy są sprzeczne z nakazami jej uczuć i płynących z nich zainteresowań?

Słuchałam i w podobnych okolicznościach słuchałabym znowu... tak! podsłuchiwałabym z uchem przy dziurce od klucza, jeśli nie dałoby się inaczej.

- Pan rozumie, sir Parsivalu - mówił dalej prawnik - lady Glyde powinna złożyć pod tym swój podpis w obecności świadka lub dwóch świadków, jeśli chce pan być specjalnie przezorny, a potem ma położyć na pieczęci swój palec i powiedzieć: „Taka jest moja wola i rozporządzenie”. Jeśli zostanie to dokonane w ciągu tygodnia, sprawa będzie załatwiona i niepokój się skończy. Jeśli nie, to...

- Cóż pan sobie wyobraża, mówiąc: „jeśli nie”? Co trzeba zrobić, musi być zrobione. Przysięgam to panu.

- Oczywiście, sir Parsivalu, oczywiście. Ale każda transakcja ma dwie możliwości rozwiązania i my, prawnicy, lubimy śmiało rozpatrywać obie możliwości. Jeśli skutkiem jakichś niezwykłych okoliczności nie dojdzie do złożenia podpisu, sądzę, że uda mi się uzyskać zgodę zainteresowanych na przyjęcie trzymiesięcznych weksli. Ale jak zebrać tę sumę przed terminem płatności tych weksli...

- Do diabła z weksłami! Pieniądze zdobyć można tylko w jeden sposób, powtarzam panu raz jeszcze, i pieniądze te zdobędę. Niech pan wychyli lampkę wina przed wyjazdem, panie Merriman.

- Wielce jestem panu zobowiązany, sir Parsivalu, ale nie mam chwili do stracenia, jeśli mam złapać pociąg do Londynu. Da mi pan znać, gdy sprawa zostanie załatwiona? I nie zapomni pan o ostrożności, którą zalecam?

- Oczywiście, nie zapomną. A oto dwukółka czeka u drzwi na pana. Mój groom błyskawicznie zawiezie pana na stację. Beniaminie, pędź jak szalony. Niech pan siada. Jeśli panu Merrimanowi ucieknie pociąg, tobie ucieknie praca u mnie. Niech się pan mocno trzyma, Merrimanie, a jeśli się pan

wywróci, niech pana diabeł ratuje!

Z tym pożegnaniem błogosławieństwem baronet odwrócił się i udał się na powrót do biblioteki.

Nie usłyszałam wiele, ale to, co dobiegło mych uszu, wystarczyło, by mnie zaniepokoić. To „coś”, co „się zdarzyło”, to był najwidoczniej jakiś poważny finansowy kłopot, a wybawienie z niego sir Parsivala zależało od Laury. Myśl, że zostanie ona wplątana w tajemnicze kłopoty męża, nappełniła mnie przerażeniem, tym większym, że nie znałam się zupełnie na interesach i żywiłam nieufność do sir Parsivala. Zamiast udać się na spacer, jak zamierzałam, z miejsca zawróciłam do pokoju Laury, aby powiedzieć jej o tym, co usłyszałam. Ale ona przyjęła te nowiny tak spokojnie, aż mnie to zdumiało. Wie zapewne znacznie więcej o charakterze swego męża i jego kłopotach, niż przypuszczałam.

- Obawiałam się tego - powiedziała - kiedy usłyszałam o nieznanym dzentelmenie, który tutaj był i nie chciał wyjawić swego nazwiska.

- A jak myślisz, kim był ten dzentelmen?

- Ktoś, kto ma jakieś poważne roszczenia w stosunku do sir Parsivala - odpowiedziała - i z czyjego powodu przybył tu dziś do nas pan Merriman.

- Czy wiesz coś o tych roszczeniach?

- Nie, nie znam żadnych szczegółów.

- Ale chyba nie podpiszesz niczego, Lauro, bez przeczytania?

- Oczywiście, że nie, Marianno. Zrobię wszystko, co będę mogła zrobić w sposób uczciwy i bez niczyjej krzywdy, aby mu pomóc, a to ze względu na to, aby życie twoje, kochana, i moje uczynić możliwie najszcześniejszym. Ale nie zrobię nic z zamkniętymi oczyma, gdyż mógłby nadejść dzień, kiedy musiałabym się tego wstydić. Nie mówmy o tym więcej. Jesteśmy już ubrane, może byśmy wyszły i spędziły popołudnie na spacerze?

Wyszedszy z domu skierowałyśmy kroki w stronę najbliższego cienia.

Gdy mijałyśmy otwartą przestrzeń między drzewami przed domem, spotkałyśmy tam hrabiego Fosco, spacerującego z

wolna tam i z powrotem po trawie i wygrzewającego się w pełnym blasku słońca w to upalne czerwcowe popołudnie. Miał na głowie szeroki słomkowy kapelusz, ozdobiony fiołkową wstążką. Ogromne swe ciało przystroił w niebieską bluzę przybraną na piersiach mnóstwem białych koronek i w nankinowe spodnie, również ozdobione nad kostkami białą koronką. W miejscu, gdzie kiedyś zapewne znaczyło się wcięcie talii, widniał szeroki skórzany szkarłatny pas, a stopy przyodziął w purpurowe marokańskie pantofle. Śpiewał słynną arię Figara z „Cyrulika sewilskiego”, wydając płynne i dźwięczne tony, jakie płynąć mogą jedynie z gardła synów Italii, i przygrywał sobie na harmonii, z ekstatycznym wyrzucaniem w górę rąk i wdzięcznymi skrętami głowy, niby jakaś tłusta św. Cecylia przebrana w męski strój.

- „Figaro qua! Figaro la! Figaro au! Figaro giu!” - wyśpiewywał hrabia, podrzucając harmonię na długość ramienia i kłaniając się nam spoza instrumentu, z gracją i wytwornością dwudziestoletniego Figara.

- Mówię ci, Lauro, ten człowiek coś wie o kłopotach sir Parsivala - powiedziałam, kiedy w bezpiecznej odległości odkłoniłyśmy się hrabiemu.

- Dlaczego tak przypuszczasz? - spytała.

- Czyż inaczej wiedziałby, że pan Merriman jest adwokatem sir Parsivala? - odparłam. - Poza tym, kiedy wychodziłam za tobą z jadalni, powiedział mi, choć go wcale o to nie pytałam, że coś się stało. Wierzaj mi, on wie więcej niż my.

- Nawet jeśli tak jest, nie pytaj go o nic. Nie wchodź z nim w żadne porozumienie!

- Wydaje mi się, Lauro, że go zdecydowanie nie lubisz. Czym na to zasłużył?

- Niczym, Marianno. Wprost przeciwnie, w naszej powrotnej drodze był ucieleśnieniem uprzejmości i szacunku i parę razy w sposób pełen uszanowania i względów dla mnie hamował wybuchy złego humoru sir Parsivala. Może dlatego go nie lubią, że posiada wpływ na mego męża o wiele większy ode mnie. A może upokarza mnie, że muszę być mu wdzięczna, że ingeruje na moją korzyść, w mojej sprawie. Wiem tylko jedno: że go nie

cierpię.

Reszta dnia, a także wieczór upłynęły spokojnie. Hrabia grał ze mną w szachy. Pierwsze dwie partie pozwolił mi łaskawie wygrać, a potem, kiedy się zorientował, że go przejrzałam, przeprosił mnie i w następnej grze dał mi mata w dziesięć minut. Sir Parsival ani razu przez cały wieczór nie uczynił najmniejszej wzmianki o bytności prawnika. Ale ten wypadek - a może coś innego? - wywołał w jego zachowaniu szczególną zmianę na lepsze. Był dla nas wszystkich tak uprzejmy i miły, jak za dni próby w Limmeridge, a tak zdumiewająco usłużny i pełen względów dla swej żony, że nawet madame Fosco rozbudziła się ze swego odrętwienia i spoglądała na niego z wielkim zdziwieniem. Co to może znaczyć? Myślę, że odgaduję to - i Laura tak samo - a pewna jestem, że hrabia Fosco wie. Parę razy w ciągu tego wieczoru zauważyłam, że sir Parsival spogląda na hrabiego, jak by oczekiwał od niego pochwały.

17 czerwca

Dzień pełen wydarzeń. Mam nadzieję, że nie będę musiała dodawać: dzień pełen nieszczęść.

Przy śniadaniu, podobnie jak poprzedniego wieczoru, sir Parsival milczał na temat tajemniczej „sprawy” (jak wyraził się prawnik) wiszącej nad nami. Jednakże w godzinę po śniadaniu wszedł niespodziewanie do pokoju, gdzie jego żona i ja w kapeluszach na głowach czekałyśmy na madame Fosco. Zapytał, gdzie jest hrabia.

- Spodziewamy się, że zaraz tu przyjdzie.

- Chodzi o to - mówił dalej sir Parsival, spacerując nerwowo po pokoju - że chcę, żeby Fosco z żoną przyszedł na chwilę do biblioteki dla załatwienia pewnej dobnej formalności, a także chcę, żebyś i ty, Lauro, przyszła tam na chwilę. - Zatrzymał się i zdawał się dopiero teraz spostrzegać, że jesteśmy ubrane do wyjścia. - Czy panie wróciły w tej chwili - spytał

- czy też właśnie wychodzą?

- Miałyśmy zamiar iść nad jezioro - rzekła Laura - ale jeżeli proponujesz co innego...

- Nie, nie - odparł pośpiesznie. - Moja sprawa może poczekać. Możemy to załatwić równie dobrze po obiedzie jak i po śniadaniu. Wszyscy wybieramy się nad jezioro, co? Dobra myśl. Odpocznijmy sobie rano - przyłączam się do towarzystwa.

Zachowanie jego, a także niezwykle jak na niego słowa, wyrażające gotowość do podporządkowania własnych planów i projektów wygodzie innych, nie mogły zwiść nikogo. Najwidoczniej sprawiło mu ulgę to, że znalazł wymówkę, by mógł odłożyć załatwienie formalności w bibliotece, o której wspomniał. Serce we mnie struchlało, gdy wyciągnęłam ten oczywisty wniosek.

W tym momencie przyłączył się do nas hrabia z żoną. Pani trzymała w ręku haftowany woreczek na tytoń męża oraz zapas bibułki na nie kończące się skręcanie papierosów, a pan, ubrany jak zazwyczaj w tych okolicznościach w bluzę i kapelusz słomkowy, niósł barwną pagodę z ukochanymi białymi myszkami, śląc im i nam przyjazne uśmiechy, którym nie sposób było się oprzeć.

- Za łaskawym pozwoleniem państwa - powiedział hrabia

- zabieram na spacer tę małą rodzinę, moje biedne, maleńkie, miłutkie myszki. W domu są psy, więc czyż mogę zostawić na ich łasce moje nieszczęsne białe dzieci? Nigdy w świecie!

Poprzez kraty pagody zaszczębiotał coś po ojcowsku do swoich nieszczęsnych białych dzieci i poszedł z nami w stronę jeziora.

W lasku sir Parsival odłączył się od nas. Wypływa to chyba z jego niespokojnego usposobienia, że w podobnych sytuacjach musi separować się od towarzystwa, a gdy jest już sam, zajmować się ścinaniem gałęzi na laski. Wydaje się, że sama czynność łamania patyków i wyginania ich sprawia mu przyjemność. Porozstawiał po całym domu laski własnej roboty i ani jednej nie wziął powtórnie do ręki. Kiedy raz użyje laski, przestaje się nią interesować i myśli już tylko o tym, aby iść wyciąć następną.

Wrócił do nas, gdy siedzieliśmy w starej przystani.

Przedstawię dokładnie rozmowę, jaka wywiązała się, kiedy zebraliśmy się razem. Dla mnie miała ona ogromne znaczenie, ponieważ ukazała mi, jak niepożądany wpływ wywiera hrabia Fosco na moje uczucia i myśli, i stanowiła ostrzeżenie, bym w przyszłości zdecydowanie opierała się temu wpływowi.

Przystań była dość obszerna, aby pomieścić nas wszystkich, ale sir Parsival pozostał na zewnątrz, strugając scyzorykiem ową ostatnią laseczkę. My, trzy kobiety, zasiadłyśmy wygodnie na przestronnej ławce, Laura wyciągnęła robótkę, a madame Fosco zaczęła skręcać papierosy. Ja, jak zwykle, nie miałam nic do roboty. Moje ręce zawsze były i zawsze będą nieporadne, jak ręce mężczyzny. Hrabia z humorem zajął miejsce na stołeczku, o wiele za małym dla niego, i huśtał się, oparłszy plecy o ścianę przystani, która trzeszczała i skrzypiała pod jego ciężarem. Postawił na kolanach klatkę w kształcie pagody i pozwalał myszkom pełzać po sobie jak zwykle. Są to ładne i miłe stworzonka, ale widok ich łączących po człowieku jest dla mnie nad wyraz przykry. Mam uczucie, że łączą po mnie, a wyobrażenia nasuwa mi przed oczy okropne obrazy konających w więzieniu ludzi, gryzionych przez szczury.

Poranek był wietrzny i chmurny, a goniące się po jeziorze cienie i blaski nadawały mu jeszcze bardziej niesamowity, dziki i ponury wygląd.

- Niektórzy ludzie twierdzą, że jest to malownicze - powiedział sir Parsival wskazując swą na wpół ukończoną laską rozciągający się przed nami krajobraz. - Ja nazywam to plamą na posiadłości dżentelmena. W czasach mojego pradziada jezioro dochodziło... aż dotąd. Spójrzcie na nie teraz! Nie sięga nawet czterech stóp głębokości. Same tylko bajorka i zatoczki. Gdyby było mnie stać na to, osuszyłbym je i zasadził w tym miejscu roślinność. Mój rządca, przesądny głupiec, jest przekonany, że nad jeziorkiem ciąży przekleństwo, podobnie jak nad Morzem Martwym. A co ty myślisz, Fosco? To miejsce wygląda jak stworzone na morderstwo, nieprawda?

- Mój dobry Parsivalu - zreflektował go hrabia. - Gdzież się

podział twój angielski zdrowy rozsądek? Woda jest zbyt płytka, by można w niej ukryć ciało, a na piaszczystym brzegu odbiłyby się stopy mordercy. Jest to najgorsze miejsce na dokonanie morderstwa, jakie kiedykolwiek widziałem.

- Brednie - odparł sir Parsival, strugając z wściekłością swój patyk. - Wiesz przecie, co miałem na myśli. Ponury, pusty krajobraz. Chciej mnie zrozumieć, a zrozumiesz, jeśli zaś nie chcesz, nie będę się trudził, aby ci tłumaczyć.

- A dlaczego nie - spytał hrabia - kiedy łatwo twoją myśl w dwu słowach wytłumaczyć? Jeśli głupiec popełniałby morderstwo, wybrałby na pewno to jezioro. Jeśli mądry człowiek chciałby popełnić morderstwo, to jezioro byłoby ostatnim miejscem, jakie by wybrał. Czy to chciałeś powiedzieć? Jeśli tak, masz tu gotowe wytłumaczenie. Przyjmij je, Parsivalu, wraz z błogosławieństwem twego zacnego Fosco.

W spojrzeniu, jakie Laura rzuciła na hrabiego, trochę zanadto widoczna była jej niechęć do niego. Ale tak był zajęty swymi myszkami, że tego nie zauważył.

- Przykro mi słyszeć, że widok jeziora kojarzyć się może z czymś tak strasznym, jak myśl o morderstwie. A jeśli hrabia Fosco musi dzielić morderców na klasy, to bardzo niefortunnie ich nazwał. Wydaje mi się, że nazywanie ich tylko głupcami jest okazywaniem, im pobłażliwości, do której nie mają prawa. A nazywanie ich mądrymi wydaje mi się po prostu pomieszaniem pojęć. Zawsze słyszałam, że ludzie prawdziwie mądrzy są zarazem prawdziwie dobrzy i odczuwają lęk przed zbrodnią.

- Łaskawa pani - odparł hrabia - to chwalebne przekonania i widziałem, jak wypisywano je w zeszytach do kaligrafii. - Uniósł na dłoni w górę białą myszkę i po swojemu, kapryśnie, zaczął przemawiać do niej. - Naprawdę mądra myszka jest naprawdę dobrą myszką. Zechciej, proszę, oznajmić o tym towarzyszkom i nigdy już, przez całe życie, nie gryź prętów swej klatki.

- Łatwo jest śmiać się ze wszystkiego - rzekła Laura odważnie. - Ale nie będzie panu równie łatwo, hrabio Fosco, dać mi przykład mądrego człowieka, który byłby zarazem wielkim zbrodniarzem.

Hrabia wzruszył ramionami i uśmiechnął się do Laury w najbardziej przyjazny sposób.

- Oczywiście - rzekł. - Przestępstwo głupca jest to przestępstwo, które zostaje wykryte, a przestępstwo mądrego człowieka jest to przestępstwo, które nie zostaje wykryte. Jeśli mógłbym dać pani przykład, to nie byłby przykład mądrego człowieka. Droga lady Glyde, pani angielski zdrowy rozsądek pokonał mnie. Dostałem mata tym razem, panno Halcombe, he?

- Broń swojej pozycji, Lauro - szydził sir Parsival, który przysłuchiwał się im ze swego miejsca w drzwiach. - Powiedz mu teraz, że zbrodnie zawsze zostają wykryte. Oto nowy urywek zasad moralnych z zeszytów do kaligrafii. Zbrodnie zawsze zostają wykryte. Co za piekielna bzdura!

- A ja wierzę, że to prawda - odparła spokojnie Laura. Sir Parsival wybuchnął śmiechem tak gwałtownym i nieopanowanym, że przeraził nas wszystkich, hrabiego najbardziej.

- Ja także w to wierzę - poparłam Laurę.

Sir Parsivala, którego tak niezrozumiale ubawiła uwaga żony, równie niezrozumiale zirytowały moje słowa. Z wściekłością wbił swój kij w piasek i odszedł od nas.

- Biedny, drogi Parsival! - wykrzyknął hrabia Fosco, spoglądając za nim wesoło. - Jest ofiarą angielskiego spleenu. Ale droga panno Halcombe, droga lady Glyde, czyżby panie rzeczywiście wierzyły, że zbrodniarze sami się zdradzają? A ty, mój aniele - mówił dalej, zwracając się do żony, która jak dotąd nie wyrzekła słowa - czy też tak myślisz?

- Czekam, aż zostanę pouczone - odrzekła hrabina tonem lodowatej wymówki, skierowanej do mnie i do Laury - zanim ośmielę się wyrazić swe zdanie w obecności mądrych i orientujących się w tym mężczyzn.

- Doprawdy? - odrzekłam. - Pamiętam, hrabino, te czasy, kiedy występowała pani w obronie Praw Kobiet, a jednym z nich była swoboda opinii.

- Jakie więc są twoje zapatrywania na tę sprawę, hrabio? - spytała madame Fosco, spokojnie zwijając dalej papierosy i nie

zwracając na mnie najmniejszej uwagi.

Hrabia w zamyśleniu głaskał chwilę swym pulchnym małym palcem jedną z białych myszek, a potem odpowiedział.

- Jest doprawdy zdumiewające - mówił - jak łatwo społeczeństwo daje się pocieszyć frazesami, jeżeli chodzi o najgorsze ze społecznych niedociągnięć. Maszyneria, jaką społeczeństwo stworzyło dla wykrycia zbrodni, jest żałośnie nieskuteczna, a jednak wystarczy, by ktoś wymyślił epigram, twierdzący, że pracuje ona dobrze, a momentalnie każdy w te brednie uwierzy. Zbrodniarze sami się zdradzają, doprawdy? A morderstwo zawsze wypłynie, nieprawda? - jak mówi moralna sentencja. Lady Glyde, niech pani spyta koronerów, którzy siedzą na procesach w wielkich miastach, czy to prawda. Panno Halcombe, niech pani zapyta sekretarzy towarzystw ubezpieczeniowych, czy to prawda. Niech panie zajrzą do gazet. Czy wśród tych niewielu wypadków, jakie dostają się do prasy, nie napotykamy wzmianek o znalezieniu ciał zabitych, których morderców nigdy nie wykryto? Powiększamy ilość spraw podanych do prasy o ilość spraw nie podanych, a ilość ciał znalezionych o ilość ciał nie znalezionych - i do jakiego wniosku dojdziemy? Ze istnieją głupi zbrodniarze, którzy zostają wykryci, i mądrzy zbrodniarze, którzy uciekają. A czymże jest ukrycie czy też wykrycie zbrodni? Próbą sił między policją z jednej strony a jednostką z drugiej. Jeśli zbrodniarz jest ciemnym prostakiem, głupcem, policja w dziewięciu na dziesięć przypadków wygrywa. Kiedy zbrodniarz jest człowiekiem inteligentnym, wykształconym, zdecydowanym, policja w dziewięciu na dziesięć przypadków przegrywa. Jeśli policja wygrywa, wtedy na ogół dowiadujemy się o wszystkim. Jeśli policja przegrywa, nie dowiadujemy się o niczym. I na tej niepewnej podstawie formujemy tę wygodną maksymę moralną, że zbrodniarz sam się zdradza. Tak, wykryte zostają wszystkie zbrodnie, o których wiemy. A co z resztą?

- Diabelnie prawdziwe i bardzo dobrze podane - dał się słyszeć głos u wejścia do przystani. To sir Parsival odzyskał równowagę ducha i wrócił, gdy słuchałyśmy hrabiego.

- Część z tego może być prawdą - powiedziała - a na pewno

zostało to doskonale ujęte. Ale nie pojmuję, dlaczego hrabia Fosco z takim uniesieniem opiewa zwycięstwo zbrodniarza nad społeczeństwem ani dlaczego pan, sir Parsivalu, tak bardzo hrabiego za to chwali.

- Czy słyszysz, Fosco? - zapytał sir Parsival. - Posłuchaj mojej rady i pojednaj się ze swym audytorium. Powiedz im, że cnota to piękna rzecz - one lubią tego słuchać, słowo daję.

Hrabia zaśmiał się cicho, a dwie białe myszki, spacerujące pod jego kamizelką, przerażone wewnętrznymi wstrząsami, dokonującymi się pod nimi, wypadły stamtąd w gwałtownym pośpiechu i wdrapały się z powrotem do klatki.

- Mój dobry Parsivalu, to panie powiedzą mnie o cnotach - rzekł. - One są bardziej autorytatywne ode mnie, ponieważ one wiedzą, czym jest cnota, a ja nie wiem.

- Słyszycie go? - rzekł sir Parsival. - Czy to nie jest straszne?

- Jest prawdziwe - rzekł spokojnie hrabia. - Jestem obywatelem świata i w swoim czasie spotkałem się z tak różnymi cnotami, że teraz na starość trudno mi jest powiedzieć, co jest właściwie cnotą, a co nią nie jest. Tutaj, w Anglii, co innego jest cnotą, a w Chinach co innego. John Anglik mówi, że jego cnota jest prawdziwą cnotą, a John Chińczyk mówi, że jego cnota jest prawdziwą cnotą. A ja mówię „tak” - jednemu, a „nie” - drugiemu i jestem tak samo zagubiony, mając do czynienia z Johnem w długich butach, jak z Johnem z warkoczem. Ach, moje piękne myszki! Chodźcie, pocałujcie mnie. A jakie jest wasze pojęcie o cnotliwym człowieku, moje pieczoszki? To człowiek, który zapewnia wam ciepłe mieszkanie i daje dużo jeść. I słuszne jest to pojęcie, bo jest przynajmniej zrozumiałe.

- Chwileczkę, hrabio - przerwałam. - Przyjmując pańską teorię, musimy uznać, że w Anglii z pewnością istnieje jedna cnota, której brak w Chinach. Władze chińskie pod najbliższym pretekstem zabijają tysiące niewinnych ludzi. My w Anglii wolni jesteśmy od tego rodzaju plamy... nie popełniamy takich strasznych zbrodni, z całego serca nienawidzimy lekkomyślnego przelewu krwi.

- Masz rację, Marianno - odezwała się Laura. - Słusznie

o tym pomyślałaś i dobrze wyraziłaś.

- Proszę, pozwólcie hrabiemu mówić dalej - rzekła madame Fosco z chłodną uprzejmością. - Przekonacie się, moje młode panie, że cokolwiek mówi, umie to doskonale uzasadnić.

- Dziękuję ci, mój aniele - odparł hrabia. - Chcesz cukierka? - wyjął z kieszeni pięknie inkrustowane pudełeczko

i otworzywszy je położył na stole. - „Chocolat a la Vanilie”! - zawołał ów nieprzenikniony człowiek, wesoło grzechocząc słodyczami w pudełeczku i kłaniając się wkoło. - Ofiarowane w hołdzie czarującemu towarzystwu przez Foscę.

- Bądź tak dobry i mów dalej, hrabio - rzekła jego żona z zawiścią patrząc na mnie. - Wyświadczyć mi tę grzeczność i odpowiedz pannie Halcombe.

- Nie zdołam zbić twierdzeń panny Halcombe - odpowiedział uprzejmy hrabia. - Tak! Zgadza się z nią. John Buli brzydzi się zbrodniarzami Johna Chińczyka. Nie znajdzie się na całym świecie stary dżentelmen, który byłby tak jak on skory do dostrzegania wad swoich bliźnich i tak oporny w dostrzeganiu własnych. Czy jego sposób życia jest o tyle lepszy niż sposób życia ludzi, których potępia? Społeczeństwo angielskie, panno Halcombe, jest równie często współnikiem zbrodni jak jej wrogiem. Tak! Tak! Zbrodnia w tym kraju jest tym samym, co zbrodnia w innych krajach: jest równie często przyjacielem człowieka, który ją popełnia, i jego bliskich, jak ich wrogiem. Wielki łotr utrzymuje swą żonę i dzieci. Im jest gorszy, tym większe budzi się w nas współczucie dla jego bliskich. A często także działa dla własnego dobra. Rozrzutnik, który zawsze pożycza pieniądze, otrzyma więcej od swych przyjaciół niż uczciwy człowiek, który pożycza od nich raz, pod naciskiem najistotniejszych potrzeb. W jednym wypadku przyjaciele zupełnie nie są zdziwieni i użyczą mu. W drugim wypadku będą zaskoczeni i zawahają się. Czy więzienie, w którym pod koniec swej kariery, żyje pan Łajdak, jest o wiele gorszym miejscem niż dom pracy, w którym pan Uczciwy spędza swe ostatnie lata? Kiedy John Filantrop chce ulżyć nieszczęściu, idzie szukać go w więzieniu, gdzie cierpi występki, a nie w chatkach i lepiankach, gdzie cierpi cnota. Który spośród angielskich

poetów zdobył największą sympatię i stał się najczęstszym tematem patetycznej literatury i patetycznych obrazów? Ten przyjemny młody człowiek, który zaczął życie od fałszerstwa, a zakończył je samobójstwem: wasz drogi, romantyczny, interesujący Chatterton. A jak panie myślą, której z dwóch przymierających głodem szwaczek lepiej się powodzi, tej, która opiera się pokusie i jest uczciwa, czy tej, która ulega pokusie i kradnie? Wszyscy wiemy, że ta kradzież decyduje o jej szczęśliwej przyszłości, bo staje się głośna w tym dobrym współczującym kraju i zostaje uniewinniona, choć złamała przykazanie, ale gdyby je zachowała, dalej umierałaby z głodu. Chodź tutaj, moja wesoła mała myszko! Hej! Szybko! Pssj;! Zamieniam cię na chwilę w damę. Stój tu chwileczkę, na mojej wielkiej dłoni, i posłuchaj. Zaślubisz, myszko, biednego człowieka, którego kochasz, i połowa twoich przyjaciół współczuje ci, a druga połowa cię potępia. A jeśli postępujesz przeciwnie i sprzedajesz się dla złota człowiekowi, o którego nie dbasz, wszyscy twoi przyjaciele radują się, a duchowny panującej religii sankcjonuje tę najnikczemniejszą z ludzkich transakcji i sieje uśmiechy przy twym biesiadnym stole, jeśli jesteś na tyle grzeczna, by go zaprosić na przyjęcie. Hej, szybko! Stań się z powrotem myszką i popiszcz sobie. Jeśli dłużej będziesz damą, zaczniesz mi mówić, że społeczeństwo karze zbrodnię - i wtedy, myszko, zacznę wątpić, czy twoje oczy i uszy przydają ci się na coś. Ach, jestem złym człowiekiem, lady Glyde, czyż nie? Mówię głośno to, co inni ludzie myślą, a kiedy reszta świata konspiruje i uznaje maskę za prawdziwe oblicze, moja to ręka zdiera pulchne tekturowe policzki i ukazuje gołe kości pod nimi. Ale już muszę wstać, bym nie zaszkodził sobie jeszcze więcej w opinii szanownych i drogich pań. Poderwę się już na moje ogromne nogi i przespaceruję się trochę. Drogie panie, jak powiedział nasz wspaniały Sheridan: „Odchodzę - a mą opinię pozostawiam za sobą”.

Powstał, postawił klatkę na stole i zatrzymał się chwilę, aby policzyć znajdujące się w niej myszki. - Jedna, dwie, trzy, cztery... Ha! - zawołał z przerażeniem. - Gdzie, na niebiosa, znajduje się piąta, najmłodsza, najbielsza, najmilsza ze

wszystkich, beniaminek moich myszek!

Ani ja, ani Laura nie byliśmy w odpowiednim nastroju, by nas to mogło ubawić. Cyniczna elokwencja hrabiego ukazała nam nowy aspekt jego natury, przed którym obie wzdrygałyśmy się. Ale niepodobna było nie dostrzec komizmu na widok tak ogromnego człowieka tak bardzo przygnębionego stratą maleńkiej myszki. Mimo woli roześmialiśmy się, a kiedy madame Fosco wstała i wyszła, dając nam przykład, że należy pozostawić przystań pustą, by jej mąż mógł przeszukać wszelkie zakamarki, wstałyśmy także i wyszłyśmy za nią.

Ale nie postąpiliśmy jeszcze trzech kroków, kiedy bystre oczy hrabiego dostrzegły zagubioną myszkę pod zajmowaną poprzednio przez nas ławką. Odsunął ławkę, wziął zwierzątko do ręki, a potem nagle, wciąż na kolanach, znieruchomiał, wpatrzony w jakiś punkt przed sobą.

Kiedy wstał z klęczek, ręka jego drżała tak, że ledwo zdołał włożyć myszkę z powrotem do klatki. Twarz pokrywała mu żółtawa bladeść.

- Parsivalu - wyszeptał - chodź tutaj!

Sir Parsival przez ostatnie dziesięć minut nie zwracał na nas uwagi. Pochłaniało go całkowicie kreślenie jakichś cyfr na piasku końcem kija i zmazywanie ich w ten sam sposób.

- O co znów chodzi? - spytał idąc z wolna ku przystani.

- Czy nic tu nie widzisz? - pytał hrabia nerwowo, chwytając go jedną ręką za kołnierz, a drugą wskazując na miejsce, gdzie znalazł myszkę.

- Widzę dużo suchego piasku - odpowiedział sir Parsival - a w środku trochę brudu.

- To nie żaden brud - szeptał hrabia, chwytając go drugą ręką za kołnierz i potrząsając nim w podnieceniu. - To krew!

Choć cicho wymówił to słowo, Laura stała dość blisko, by je usłyszeć. Spojrzała na mnie z przerażeniem.

- Głupstwo, moja droga - odrzekłam. - Nie ma powodu do niepokoju. To tylko krew biednego, zbląkanego psiaka.

Zdumieli się wszyscy i spojrzeli na mnie z niemym pytaniem. Pierwszy odezwał się sir Parsival:

- Skąd pani to wie?

- Znalazłam tutaj zdychającego psa tego dnia, kiedy wróciliście z zagranicy - odpowiedziałam. - Biedne stworzenie przybłąkało się na teren szkółki i zostało postrzelone przez leśniczego.

- Co to był za pies? - dopytywał się sir Parsival. - Mój?

- Czyś próbowała ratować biedne stworzenie? - spytała z przejęciem Laura. - Chyba próbowałaś ratować, Marianno?

- Tak - odpowiedziałam. - Razem z gospodynią robiłyśmy, co było w naszej mocy, ale pies był śmiertelnie postrzelony i zdechł na naszych rękach.

- Co to był za pies? - nalegał sir Parsival z pewną irytacją powtarzając pytanie. - Czy jeden z moich?

- Nie, to nie był pana pies.

- A zatem czyj? Czy gospodyni wiedziała?

W chwili gdy zadawał to pytanie, przypomniały mi się słowa gospodyni o tym, że pani Catherick chciała ukryć swą bytność w Blackwater przed sir Parsivalem, i pomyślałam, że odpowiedź na to pytanie będzie brakiem dyskrecji z mej strony. Ale pragnąc uspokoić obecnych posunęłam się już zbyt daleko, by móc się cofnąć bez rozbudzenia podejrzeń, co pogorszyłoby całą sprawę. Nie pozostawało mi nic innego, jak odpowiedzieć od razu, nie zastanawiając się nad konsekwencjami.

- Tak - odrzekłam. - Gospodyni poznała psa. Powiedziała mi, że to pies pani Catherick.

Przez cały czas naszej rozmowy ja stałam w progu, a sir Parsival wraz z hrabią znajdował się we wnętrzu przystani, ale zaledwie wymówiłam nazwisko pani Catherick, odepchnął brutalnie hrabiego i stanął naprzeciw mnie w pełniejszym świetle.

- Skąd mogła gospodyni wiedzieć, że to był pies pani Catherick? - pytał wbijając we mnie wzrok z gniewnym zainteresowaniem, co mnie trochę złościło, a trochę przerażało.

- Znała psa - odparłam spokojnie - ponieważ pani Catherick przyprowadziła go tu ze sobą.

- Przyprowadziła ze sobą? Gdzie przyprowadziła go ze sobą?

- Do tego domu.

- A czego, u diabła, pani Catherick chciała tutaj?

Sposób, w jaki zadał to pytanie, był jeszcze bardziej obraźliwy niż język, jakim je wyraził. Odwróciłam się w milczeniu od niego, chcąc zaznaczyć, że nie przestrzega zasad zwykłej grzeczności. W tym samym momencie wielka ręka hrabiego spoczęła na ramieniu sir Parsivala gestem ostrzeżenia, a miodopłynny głos Włocha począł go uspokajać:

- Mój dobry Parsivalu! Spokojnie, spokojnie!

Sir Parsival spojrział na niego z wielkim gniewem. Ale hrabia tylko się uśmiechnął i powtórzył kojącą formułkę:

- Spokojnie, mój przyjacielu, spokojnie!

Sir Parsival zawahał się, poszedł za mną kilka kroków i ku memu wielkiemu zdziwieniu przeprosił mnie.

- Zechce mi pani wybaczyć, panno Halcombe - powiedział. - Źle się ostatnio czuję i ulegam irytacji. Ale muszę wiedzieć, czego mogła tu chcieć pani Catherick? Kiedy tu była? Czy tylko gospodyni ją widziała?

- O ile wiem - odrzekłam - to tylko ona. Tu hrabia wmieszał się znowu.

- Dlaczego w takim razie nie zapytać gospodyni? - rzekł. - Dlaczego, Parsivalu, nie udasz się od razu do źródła informacji?

- Słusznie! - przyznał sir Parsival. - Oczywiście, że należy przede wszystkim zapytać gospodyni. Co za głupiec ze mnie, że sam na to nie wpadłem.

Powiedziawszy to odszedł natychmiast w kierunku domu. Skoro tylko odwrócił się od nas, wyjaśniło się natychmiast intrygujące mnie pytanie, jakie pobudki kazały hrabiemu wmieszać się do rozmowy. Sam pragnął zadać mi mnóstwo pytań, dotyczących pani Catherick i przyczyny jej wizyty w Blackwater Park, a nie mógłby tego uczynić w obecności przyjaciela. Formułowałam moje odpowiedzi tak zwięźle, jak pozwalała grzeczność, gdyż zdecydowałam się już, że nie dopuszczę w naszych stosunkach do niczego, co miałoby posmak zwierzeń. Jednakże Laura nieświadomie pomogła mi wyciągnąć ode mnie wszystkie wiadomości, gdyż zadawała mi pytania, więc musiałam odpowiadać na nie, w przeciwnym bowiem razie wydałabym się jej niechybnie powiernicą sekretów sir Parsivala. W rezultacie po dziesięciu minutach

hrabia wiedział wszystko, co wiedziałam ja sama na temat pani Catherick i wypadków, które w taki dziwny sposób sprzęgły nas z jej córką Anną - od chwili kiedy spotkał ją Hartright aż do dnia dzisiejszego.

Z jednego względu zdziwiło mnie bardzo, że informacje moje wywarły tak wielkie wrażenie na hrabi.

Chociaż pozostaje on w bardzo bliskich stosunkach z sir Parsivalem i zna zapewne wszystkie jego sprawy, niewątpliwie nie wie nic, tak samo jak ja, o prawdziwej historii Anny Catherick. Tak więc nie wykryta tajemnica związana z tą nieszczęśliwą kobietą wydaje mi się podwójnie podejrzana, ponieważ jestem święcie przekonana, że sir Parsival nawet najbliższemu w świecie przyjacielowi nie użyczył klucza do jej rozwiązania. Niepodobna było czym innym jak głęboką ciekawością tłumaczyć sobie zachowania i wyrazu twarzy hrabiego, gdy chciwie pił każde słowo, jakie padło z moich ust. Istnieje wiele rodzajów ciekawości, wiem o tym, ale na pewno nie można się pomylić, kiedy się wi dzi w czyjejś twarzy wyraz kompletnego zaskoczenia. Jeśli kiedykolwiek w życiu widziałam ten wyraz, widziałam go wówczas w twarzy hrabiego.

Kiedy padały te pytania i odpowiedzi, szliśmy z powrotem ku domowi. Gdy znaleźliśmy się przed dworem, ujraliśmy zaprzężoną dwukólkę sir Parsivala ze stojącym przy niej chłopakiem stajennym w roboczym ubraniu. Sądząc po tym niezwykle widoku, rozmowa z gospodynią musiała już przynieść Ważne rezultaty.

- Piękny koń, przyjacielu - rzekł hrabia zwracając się do chłopca ze zniewalającą uprzejmością. - Czy jedziesz gdzie?

- Ja, proszę pana, nie jadę - odparł tamten patrząc na swą kurtkę i najwidoczniej zastanawiając się, czy ten cudzoziemiec bierze ją za liberię. - Mój pan sam pojedzie.

- Doprawdy? - rzekł hrabia. - Dziwi mnie, że chce mu się tak trudzić, kiedy ty mógłbyś powozić. Czy ma zamiar zmęczyć tego pięknego konia o lśniącej skórze, biorąc go na bardzo daleką przejażdżkę?

- Nie wiem, proszę pana - odparł groom. - Ale to jest klacz,

proszę pana. Nie mamy równie dzielnego konia w całej naszej stajni. Nazywa się Gniada Molly, proszę pana, biega do upadłego. Sir Parsival bierze zwykle Izaaka z Yorku na krótsze przejażdżki.

- A tę twoją Gniadą Molly o lśniącej skórze na dłuższe?

- Tak, proszę pana.

- Stąd można logicznie wnioskować, panno Halcombe - ciągnął hrabia obracając się żywo ku mnie - że dzisiaj sir Parsival wybiera się na daleką przejażdżkę.

Nie odrzekłam nic na to. Na podstawie tego, co teraz widziałam, i tego, co powiedziała mi gospodyni, i ja również wyciągnęłam pewne wnioski, ale nie chciałam dzielić się nimi z hrabią.

Kiedy sir Parsival bawił w Cumberland (myślałam sobie), odbył daleki spacer, chcąc dowiedzieć się czegoś o Annie od jej znajomych w Zakątku Todda. A czy teraz, będąc w Hampshire, zamierza odbyć długą przejażdżkę również ze względu na Annę, by dowiedzieć się czegoś od pani Catherick w Welmingham?

Weszliśmy do domu. Kiedy znajdowaliśmy się w hallu, sir Parsival wyszedł nam naprzeciw z biblioteki. Wydał mi się błądy i przejęty i śpieszył się, ale mimo to zwrócił się do nas z całą uprzejmością.

- Przykro mi, że muszę opuścić państwa - zaczął. - Czeka mnie długa jazda, mam pilną sprawę do załatwienia. Powrócę jutro za dnia, ale zanim wyjadę, chciałbym dokonać pewnej formalności, o której wspomniałem rano. Lauro, możesz zejść na chwilę do biblioteki? To nie zajmie nawet minuty, to prosta formalność. Hrabino, czy mogę i panią fatygować? Chciałbym, Fosco, abyście oboje, ty i twoja pani, byli świadkami złożenia podpisu, nic więcej. Wejdziecie zaraz i skończymy z tym.

Otworzył im drzwi, a potem wszedł sam i cicho zamknął bibliotekę.

Przez chwilę pozostałam w hallu. Serce biło mi niespokojnie i trapiły mnie złe przeczucia. Weszłam na klatkę schodową i z wolna skierowałam się do swego pokoju.

IV

17 czerwca

Kładłam właśnie rękę na klamce, kiedy usłyszałam z dołu głos sir Parsivala.

- Zmuszony jestem prosić panią o zejście na dół - mówił. - To wina Fosci, panno Halcombe, nie moja. W niedorzeczny sposób sprzeciwia się temu, by jego żona była świadkiem, i wymógł na mnie, bym poprosił panią o zejście do biblioteki.

Natychmiast weszłam z nim do pokoju. Przy biurku czekała Laura, w zakłopotaniu mnąc i obracając w rękach swój kapelusz ogrodowy. W pobliżu niej siedziała w fotelu madame Fosco, zatopiona w podziwianiu męża, który stał samotnie w drugim końcu pokoju, obrywając zeschłe liście z kwiatów stojących na oknie.

Gdy się ukazałam, hrabia pośpieszył ku mnie z wyjaśnieniami.

- Stokrotnie panią przepraszam, panno Halcombe - rzekł. - Wie pani zapewne, jaką opinią cieszą się u Anglików moi rodacy? Zdaniem zacnego Johna Bulla my, Włosi, jesteśmy przewrotni i podejrzliwi z natury. Wolno pani sądzić, jeśli taka pani wola, że nie jestem lepszy od reszty moich rodaków. Przewrotny Włoch ze mnie, podejrzliwy Włoch. Łaskawa pani sama tak myślała, wszak prawda? Ha! Z tej to przewrotności i podejrzliwości płynie mój sprzeciw, by madame Fosco była świadkiem złożenia podpisu przez lady Glyde, skoro i ja również mam być tego świadkiem.

- Nie ma najmniejszych podstaw do takiego sprzeciwu - rzekł sir Parsival. - Tłumaczę mu, że angielskie prawo pozwala i madame Fosco, i jej mężowi być świadkiem składania podpisu.

- Przyznaję, że tak jest - mówił hrabia. - Prawo Anglii mówi: tak, ale sumienie Fosci mówi: nie. - Rozpostarł swoje pulchne palce na piersiach i skłonił się uroczyście, jak gdyby pragnął przedstawić nam wszystkim swe sumienie, niby jednego jeszcze, wybitnego członka naszego zebrania. - Ani nie wiem, ani nie chcę wiedzieć, jaki dokument podpisać ma lady Glyde -

ciągnął. - Ale wiem jedno: może się tak kiedyś zdarzyć, że sir Parsival lub jego reprezentanci będą musieli odwołać się do obu świadków, a wtedy będzie rzeczą niewątpliwie pożądaną, by opinie tych świadków były od siebie całkowicie niezależne. A tak. nie będzie, jeśli moja żona poświadczy podpis wraz ze mną. Oboje mamy tylko jedno zdanie i jest to moje zdanie. Nie życzę sobie, żeby kiedyś w przyszłości rzucono mi w twarz oskarżenie, że madame Fosco działała pod moim wpływem, czyli, po prostu mówiąc, nie była żadnym świadkiem. Mówię w interesie Parsivala, kiedy proponuję, by na dokumencie widniało moje imię, jako najbliższego przyjaciela męża, i imię pani, jako najbliższej przyjaciółki żony. Możecie uważać, że jestem jezuitą, że dzielę włos na czworo, że jestem człowiekiem drobiazgowym i pełnym skrupułów, ale mam nadzieję, że przez łaskawy wzgląd na moją podejrzliwą, włoską naturę i niespokojne włoskie sumienie zechcecie mnie posłuchać.

Sklonił się ponownie, cofnął o kilka kroków i wyprowadził swe sumienie z naszego towarzystwa równie uprzejmie, jak je między nas wprowadził. Choć skrupuły hrabiego mogły płynąć z jego uczciwości i rozsądku, było coś w sposobie ich wyrażenia, co spotęgowało moją niechęć do mieszania się w sprawę podpisu. Żaden wzgląd mniejszej wagi niż dobro Laury nie zdołałby mnie skłonić do wyrażenia zgody na to, abym była świadkiem. Gdy jednak rzuciłam okiem na jej zaniepokojoną twarz, zdecydowałam, że raczej podejmę najgorsze ryzyko, niż ją opuszczę.

- Gotowa jestem pozostać w tym pokoju - rzekłam - i być świadkiem, jeśli i ja ze swej strony nie znajdę powodu do jakichś skrupułów.

Sir Parsival spojrział na mnie bystro, jakby chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie zauważył, że madame Fosco wstaje z fotela. Hrabina złowiła spojrzenie męża i najwidoczniej wyczytała w nim rozkaz opuszczenia pokoju.

- Nie potrzebuje pani wychodzić - rzekł sir Parsival.

Madame Fosco spojrziała na męża, ponownie otrzymała instrukcję, oświadczyła, że woli nam nie przeszkadzać w naszych sprawach, i zdecydowanym krokiem opuściła pokój.

Hrabia zapalił papierosa, podszedł znów do okna i wydmuchiwał małe kłębuszki dymu na liście kwiatu, zaprzętnięty całkowicie sprawą oczyszczenia rośliny z mszyc.

Tymczasem sir Parsival otworzył szafeczkę znajdującą się pod półkami na książki i wyjął stamtąd parokrotnie złożony kawałek pergaminu. Położył go na stole, rozkładając tylko jedną część, a resztę przykrywając ręką. Widać było tylko pas czystego pergaminu, na którym tu i ówdzie odcisnięto niewielkie pieczęcie. Każda linijka pisma ukryta była w nie rozwiniętej części pergaminu, którą ciągle przytrzymywał ręką. Laura i ja wymieniliśmy spojrzenia. Twarz miała bladą, ale nie znać na niej było śladu niezdecydowania czy lęku.

Sir Parsival umoczył pióro w atramencie i podał żonie.

- Podpisz się tutaj - rzekł wskazując miejsce palcem. - Pani i Fosco podpiszcie dalej, nad tymi dwiema pieczętkami. Podejdź tu, Fosco. Żeby być świadkiem przy składaniu podpisu, nie wystarczy wyglądać przez okno i okadzać kwiaty.

Hrabia odrzucił papierosa i podszedł do nas. Ręce beztrako wetknął za swój szkarłatny pas, spojrzeniem zatonał w twarzy sir Parsivala, obok którego, z przeciwnej strony, stała Laura, również w niego wpatrzona. Stojący między nimi sir Parsival mocno przytrzymywał ręką pergamin i poprzez stół spoglądał na mnie, siedzącą naprzeciw niego, a miał w twarzy wyraz takiej udręki, zakłopotania i podejrzliwości, że wydawał się raczej oskarżonym przed sądem niż dżentelmenem w swoim własnym domu.

- Podpisz tutaj - powtórzył, zwracając się gwałtownie do Laury i ponownie wskazując palcem miejsce na pergaminie.

- A co mam podpisać? - spytała spokojnie.

- Nie mam czasu ci tłumaczyć - odparł. - Dwukółka czeka przed domem i zaraz muszę jechać. Poza tym, nawet gdybym miał czas, nie zrozumiałabyś tego. Jest to dokument czysto formalny, pełen prawniczych wyrażań i różnych zawilosci. No, no, podpisuj! Skończmy z tym jak najprędzej.

- Czyż nie powinnam wiedzieć, sir Parsivalu, jaki to dokument, zanim go podpiszę?

- Ach, bzdury! Co wy, kobiety, wiecie o interesach! Mówię ci

raz jeszcze, nie zrozumiesz tego.

- W każdym razie chcę spróbować zrozumieć. Kiedy pan Gilmore miał załatwić dla mnie jakąś sprawę, zawsze przedtem tłumaczył mi, o co chodzi, a ja zawsze rozumiałam.

- Oczywiście, że musiał to robić. Służył tobie, więc musiał ci tłumaczyć. Ja jestem twoim mężem, więc nie muszę. Jak długo jeszcze zamierzasz mnie tu trzymać? Powtarzam ci, nie ma czasu na czytanie czegokolwiek, pojazd czeka. Powiedz krótko, podpisujesz czy nie?

Trzymała wciąż pióro w ręku, ale nie zbliżała się z nim do pergaminu.

- Skoro podpis zobowiązuje mnie do czegoś - rzekła - to przecież na pewno mam prawo wiedzieć, do czego.

Podniósł pergamin i z gniewem uderzył nim w stół.

- Mów, co masz do powiedzenia! - wykrzyknął. - Zawsze znana byłaś z mówienia prawdy. Nie zwracaj uwagi na pannę Halcombe, nie zwracaj uwagi na Fosco, powiedz po prostu, że mi nie ufasz!

Hrabia wyjął rękę zza pasa i położył ją na ramieniu sir Parsivala. Ten zrzucił ją z irytacją. Hrabia z niewzruszonym spokojem znów położył rękę na jego ramieniu.

- Niech cię nie ponosi twoje nieszczęsne usposobienie, Parsivalu - powiedział. - Lady Glyde ma rację.

- Ma rację! - zawołał sir Parsival. - Żona ma rację, kiedy nie ufa swemu mężowi!

- Niesprawiedliwą i okrutną, rzeczą jest oskarżanie mnie, że ci nie ufam - rzekła Laura. - Spytaj Marianny, czy nie słusznie chcę wiedzieć, do czego się tym dokumentem zobowiązuję, nim go podpiszę.

- Tylko bez żadnych powoływań się na pannę Halcombe! - wykrzyknął jej mąż. - Panna Halcombe nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

Do tej pory nie powiedziałam ani słowa i wołałabym dalej się nie odzywać. Ale udręczony wyraz twarzy Laury, zwróconej teraz ku mnie, i niesprawiedliwe, bezczelne zachowanie jej męża zmusiły mnie, bym ze względu na nią wyraziła swe zdanie, skoro tylko mnie o nie zapytają.

- Niech pan wybaczy, sir Parsivalu - rzekłam - ale jako jeden ze świadków składania podpisu ośmielałam się sądzić, że mam coś wspólnego z tą sprawą. Sprzeciw Laury wydaje mi się zupełnie słuszny, a jeżeli o mnie chodzi, nie mogę wziąć na siebie odpowiedzialności jako świadek, póki Laura nie zrozumie, co jest w dokumencie, który zgodnie z pana życzeniem ma podpisać.

- Słowo daję, co za deklaracja! - zawołał sir Parsival. - Ale gdy następnym razem wprosi się pani do domu dżentelmena, panno Halcombe, radzę pani nie odplacać mu za gościnność popieraniem jego żony przeciw niemu w sprawie, która pani nie dotyczy.

Zerwałam się na nogi tak gwałtownie, jak gdyby mnie uderzył. Gdybym była mężczyzną, powaliłabym go o ziemię na progu jego własnego domu, wybiegła stąd i przynigdy w świecie noga moja więcej by tu nie powstała. Ale byłam tylko kobietą i gorąco kochałam jego żonę.

Dzięki Bogu, to uczucie dodało mi sił i siadłam na krzesło bez słowa. Laura wiedziała, co wycierpiałam, co musiałam w sobie przewyciężyć. Podbiegła do mnie z twarzą zalaną łzami.

- Och, Marianno! - szepnęła cicho. - Gdyby żyła moja matka, nie mogłaby więcej dla mnie zrobić.

- Wracaj i podpisuj! - wołał na nią sir Parsival z przeciwnej strony stołu.

- Podpisać? - szepnęła mi do ucha. - Podpiszę, jeśli chcesz.

- Nie - zaprzeczyłam. - Prawo i słusność jest po twojej stronie. Nie podpisuj, nim nie przeczytasz.

- Wracaj tu i podpisuj! - krzyczał sir Parsival najgłośniejszym i najgroźniejszym głosem, jak umiał.

Hrabia, który bacznie i w milczeniu obserwował nas obie, zainterweniował po raz drugi.

- Parsivalu! - zwrócił się do niego. - Ja nie zapominam, że znajduję się w obecności pań. Bądź łaskaw i ty o tym pamiętać.

Sir Parsival spojrział na niego niemy z gniewu. Ciężka ręka hrabiego mocniej ujęła jego ramię, a spokojny głos Fosci powtórzył powoli: - Bądź łaskaw i ty o tym pamiętać.

Spojrzeni na siebie. Sir Parsival powoli usunął swe ramię

spod ręki hrabiego, powoli odwrócił twarz od jego oczu, popatrzył spode łba na leżący na stole pergamin, a potem z posępną uległością poskromionego zwierzęcia raczej niż ze stosowną człowiekowi rezygnacją przekonanego przeciwnika powiedział:

- Nie chcę nikogo obrażać, ale bezsensowny upór mej żony zdolny byłby świętego wyprowadzić z cierpliwości. Powiedziałem jej, że jest to dokument czysto formalny, czegoż może chcieć jeszcze? Mówcie, co chcecie, ale żona na pewno nie powinna być zuchwała wobec męża. A sprzeciwianie się mężowi na pewno nie należy do obowiązków żony. Raz jeszcze pytam, teraz już po raz ostatni: lady Glyde, czy podpisze pani, czy też nie?

Laura przeszła na jego stronę stołu i znów wzięła pióro do ręki.

- Podpiszę z przyjemnością - rzekła - jeżeli tylko zechcesz mnie traktować jako istotę odpowiedzialną za swe czyny. Nie dbam, jakiego poświęcenia żąda ode mnie ten dokument, jeśli tylko nie dotknie nikogo innego i nie przyniesie złych skutków...

- A kto powiedział, że żądam od ciebie jakiegoś poświęcenia? - przerwał tłumiąc budzący się w nim na nowo gniew.

- Chcę tylko powiedzieć - tłumaczyła - że gotowa jestem poczynić wszelkie ustępstwa, jakie uznam za godziwe. Dlaczego tak ostro mnie osądzasz za moje skrupuły co do słuszności podpisywania dokumentu, o którym nic nie wiem? Myślę, że to bardzo niesprawiedliwe, że skrupuły hrabiego traktujesz z pobłażliwością o tyle większą niż moje.

Ta niefortunna, choć zupełnie naturalna wzmianka dotknęła sir Parsivala jako skryta aluzja do przemożnego wpływu, jaki wywierał na niego hrabia, i momentalnie wybuchła w nim dławiona wściekłość.

- Skrupuły! Twoje skrupuły! - szydził. - Trochę za późno stajesz się skrupulatną! Sądziłem, że pokonałaś tego rodzaju słabości, kiedy z musu czyniąc cnotę wyszłaś za mnie za mąż.

W momencie gdy wymówił te słowa, Laura rzuciła pióro, spojrzała na niego z takim wyrazem, jakiego nigdy w życiu w jej

oczach nie widziałam, i w śmiertelnym milczeniu obróciła się do niego plecami.

Gorzka, jawna pogarda, której tak silny dała wyraz, tak zupełnie nie leżała w jej charakterze, tak do niej nie pasowała, że zamknęła usta nam wszystkim. Bez wątpienia słowa jej męża nie były tylko zwykłą brutalnością, lecz coś się pod nimi kryło. Czaiła się pod nimi jakaś obelga, której nie zrozumiałam, ale która tak wyraźnie wyryła piętno obrazy na twarzy Laury, że dostrzegłby to nawet obojętny, nie znający jej człowiek.

Hrabia, który nie był przecież nieznanym, ujrzał to tak wyraźnie jak ja sama. Kiedy wstałam z krzesła, by iść za Laurą, usłyszałam, jak szepnął cicho do sir Parsivala: - Ty idioto!

Laura zbliżała się już do drzwi, ja szłam za nią, kiedy raz jeszcze odezwał się jej mąż:

- A zatem zdecydowanie odmawiasz mi swego podpisu? - Mówił zmienionym tonem, jak człowiek, który zrozumiał, że jego nieopanowany język wyrządził mu niepowetowaną krzywdę.

- Po tym, co powiedziałaś - odrzekła z mocą - odmawiam mego podpisu, dopóki nie przeczytam każdego wiersza tego dokumentu, od pierwszego słowa do ostatniego. Chodź, Marianno, i tak pozostawałyśmy tu za długo.

- Chwileczkę! - przerwał hrabia, nim sir Parsival zdążył się ponownie odezwać. - Chwileczkę, lady Glyde, błagam!

Laura chciała wyjść z pokoju nie zwracając na niego uwagi, ale ja ją zatrzymałam.

- Nie rób sobie wroga z hrabiego! - szepnęłam. - Cokolwiek uczynisz, nie rób sobie wroga z hrabiego.

Posłuchała mnie. Zamknęłam drzwi i zatrzymałyśmy się przy nich, czekając. Sir Parsival usiadł przy stole, oparłszy łokieć o złożony pergamin, a głowę na zaciśniętej pięści. Hrabia stał pomiędzy nami, panując nad straszną sytuacją, w jakiej się znaleźliśmy, tak jak panował nad wszystkim innym.

- Lady Glyde - odezwał się z łagodnością w głosie, która jednak zdawała się odnosić nie tyle do nas, co do naszej nieszczęsnej sytuacji - proszę wybaczyć, mi, że ośmielę się wysunąć pewną propozycję, i proszę mi wierzyć, że słowa moje

mają źródło w głębokim szacunku i przyjaznych uczuciach dla pani tego domu. - Obrócił się szybko do sir Parsivala. - Czy jest absolutnie konieczne - spytał - by ten papier, leżący pod twoim łokciem, został dzisiaj podpisany?

- Konieczne, bym mógł przeprowadzić swoje plany - odparł tamten z urazą w głosie. - Ale jak już pewno zauważyłeś, ten wzgląd jest bez znaczenia dla lady Glyde.

- Odpowiedz jasno na moje pytanie. Czy można sprawę tego podpisu odłożyć do jutra? Tak czy nie?

- Tak, jeśli już chcesz koniecznie to wiedzieć.

- A więc po co marnujesz tu czas? Niech podpis poczeka do jutra... niech poczeka, póki nie wrócisz.

Sir Parsival zmarszczył się, spojrzął na niego i zaklął.

- Przybierasz tony, jakich nie lubię - rzekł. - Nie zniosę, aby ktokolwiek przemawiał do mnie w ten sposób!

- Radzę ci tak dla własnego twego dobra - odparł hrabia z uśmiechem spokojnej pogardy. - Miej trochę czasu dla siebie - niech lady Glyde ma trochę czasu dla siebie. Zapomniałeś, że twoja dwukółka czeka przed domem? Mój ton cię dziwi? Ha! Myślę, że tak. Jest to ton człowieka, który umie nad sobą panować. Ileż razy udzielałem ci już dobrych rad? Niepodobna zliczyć. Czy pomyliłem się kiedykolwiek? Nie potrafisz dać mi na to ani jednego przykładu. Idź! Siadaj do powozu. Sprawa podpisu może poczekać do jutra. Niech czeka... podejmiesz ją po powrocie.

Sir Parsival zawahał się i spojrzął na zegarek. Słowa hrabiego obudziły w nim na nowo niepokój o tajemniczą wyprawę, którą miał tego dnia odbyć. Chęć odbycia tej podróży walczyła w nim z chęcią uzyskania podpisu Laury. Zastanawiał się przez chwilę, a potem wstał z krzesła.

- Łatwo odniesiesz zwycięstwo nade mną - odparł - skoro brak mi czasu, by dać ci odpowiedź. Pójdę za twoją radą, Fosco, ale nie dlatego, bym twej rady potrzebował albo wierzył w jej słuszność, tylko ,po prostu dlatego, że nie mogę już ani chwili dłużej tu pozostać. - Zamilkł i spojrzął posepnie na żonę. -

Jeśli nie podpiszesz jutro, kiedy powrócę...! - Resztę zdania zagłuszył stuk otwieranej szafeczki. Włożył do niej z powrotem

pergamin i zamknął ją ponownie na klucz. Wziął ze stołu kapelusz i rękawiczki i ruszył ku drzwiom. Laura i ja odsunęłyśmy się, aby go przepuścić. - Pamiętaj o jutrze! - powiedział do żony i wyszedł.

Zatrzymałyśmy się przy drzwiach, chcąc mu dać czas na przejście przez hali i odjazd. Hrabia zbliżył się do nas.

- Poznała teraz pani Parsivala, panno Halcombe, od najgorszej strony - zwrócił się do mnie. - Jako jego stary przyjaciel wstydzę się za niego, przykro mi za niego. Jako jego stary przyjaciel przyrzekam pani, że jutro nie skompromituje się takim brakiem opanowania.

Laura wzięła mnie pod ramię, gdy zaczął mówić, a kiedy skończył, uściśnięła mnie znacząco. Na ciężką próbę wystawiono by każdą kobietę, która musiałaby być świadkiem tego, jak w jej własnym domu przyjaciel męża przeprosza za jego niegodne zachowanie. I dla niej była to ciężka chwila. Podziękowałam uprzejmie hrabiemu i wyszłyśmy. Tak! Podziękowałam mu, gdyż w poczuciu najwyższej bezradności i poniżenia zdałam sobie sprawę, że albo jego kaprys, albo interes kazały mu upewnić się, że pozostanę jeszcze w Blackwater Park, a zachowanie sir Parsivala powiedziało mi wyraźnie, że nie mogę mieć nadziei, bym bez poparcia hrabiego pozostała tutaj. Jego to wpływ - wpływ, którego najbardziej ze wszystkich się lękałam, był jedyną więzią trzymającą mnie przy Laurze w tej godzinie, kiedy potrzebowała mnie tak bardzo.

Gdy wchodziłyśmy do hallu, usłyszałyśmy turkot kół pojazdu po żwirze alei. Sir Parsival wyruszył w drogę.

- Dokąd on jedzie, Marianno? - szepnęła Laura. - Wszystko, co robi, wzbudza we mnie lęk o przyszłość. Czy nie masz jakichś podejrzeń?

Po tym, co zaszło tego ranka, nie chciałam dzielić się z nią swymi przypuszczeniami.

- Skąd mogę znać jego sekrety? - odparłam wymijająco.

- Może gospodyni coś wie? - nalegała.

- Och, na pewno nie wie - odrzekłam. - Na pewno wie nie więcej od nas.

Laura powątpiewająco pokiwała głową.

- Czyż sama nie słyszałaś od gospodyni, że krążą pogłoski, iż widziano Annę w sąsiedztwie? Czy nie sądzisz, że wyjechał, aby jej szukać?

- Lauro, wolałabym się uspokoić i nie myśleć o tym wcale, a po tym, co zaszło, i ty lepiej zrób to samo. Chodź do mojego pokoju, odpocznij i uspokój się trochę.

Usiadłyśmy przy oknie, tak by wonne letnie powietrze chłodziło nasze twarze.

- Wstyd mi spojrzeć ci w oczy, Marianno - rzekła - po tym, co dla mnie przeszłaś tam na dole. Kochana moja, serce mi pęka, gdy myślę o tym! Ale będę się starała wynagrodzić ci to z całych sił!

- Cicho, cicho! - uspokajałam ją. - Nie mów tak! Czymże jest to drobne umartwienie mej dumy w porównaniu z twoim poświęceniem - poświęceniem całego twego szczęścia.

- Słyszałaś, co mi powiedział? - spytała porywczo. - Słyszałaś słowa, ale nie rozumiesz ich znaczenia... nie wiesz, dlaczego rzuciłam pióro i obróciłam się do niego tyłem. - Wstała i zaczęła w podnieceniu chodzić po pokoju. - Ukrywałam przed tobą wiele rzeczy, Marianno, nie chcąc cię niepokoić i smucić na samym początku naszego nowego życia. Nie wiesz, jak on odnosił się do mnie. Jednak powinnaś wiedzieć, gdyż widziałas, jak mnie dziś potraktował. Słyszałaś, jak szydził ze mnie, gdy wspomniałam o swoich skrupułach... Słyszałaś, jak powiedział, że wychodząc za mąż za niego zrobiłam z musu cnotę. - Usiadła znów, z głębokim rumieńcem na twarzy, załamując i splatając dłonie na kolanach. - Nie mogę powiedzieć ci o tym teraz - rzekła. - Nie mogłabym powstrzymać się od płaczu mówiąc ci to teraz... Powiem ci to potem, Marianno, gdy będę bardziej panować nad sobą. Ach, kochana, tak mnie boli głowa, tak bardzo boli. Gdzie jest twój flakonik soli trzeźwiących? Chcę teraz porozmawiać z tobą o tobie, kochana. Ach, żałuję ze względu na ciebie, że nie dałam mu mego podpisu. A może jutro podpisać? Wolałabym skompromitować siebie niż ciebie. A jeśli znowu odmówię, złożę całą winę na ciebie, ponieważ dzisiaj wzięłaś moją stronę. Co mamy robić?! Och, gdyby mieć przyjaciela, który by mógł coś poradzić i pomóc! Takiego

przyjaciela, któremu można by całkowicie zaufać!

Westchnęła gorzko. Widziałam po jej twarzy, że myśli

o Hartrighcie - widziałam to tym wyraźniej, że po jej ostatnich słowach i mnie on przyszedł na myśl. Zaledwie minęło sześć miesięcy od ślubu, a już potrzebujemy jego pomocy, którą nam ofiarowywał w chwili pożegnania. A przecież nie przypuszczałam wtedy, że będzie nam ona potrzebna.

- Musimy sobie same radzić, jak potrafiemy najlepiej - odrzekłam. - Spróbujmy porozmawiać o tym spokojnie, Lauro, zrobmy wszystko, co w naszej mocy, aby powziąć słuszną decyzję.

Na podstawie tego, co Laura wiedziała o kłopotach swego męża

i co ja posłyszałam z jego rozmowy z prawnikiem, doszliśmy do zupełnie pewnej konkluzji, że dokument znajdujący się w bibliotece został sporządzony w celu pożyczania pieniędzy i że podpis Laury jest niezbędny, by pergamin ten mógł spełnić nadzieje sir Parsivala. Drugie pytanie, dotyczące natury prawnej transakcji, na podstawie której miano uzyskać pieniądze, a także stopnia odpowiedzialności, jaki brała na siebie Laura, podpisując nieznaną jej zobowiązanie, wykraczało daleko poza zakres naszej wiedzy i doświadczeń. Zbudziło się we mnie podejrzenie, że zasłonięte przez sir Parsivala pismo zawierało podłą, niegodziwą transakcję. Do takiego wniosku doszłam nie dlatego, że sir Parsival odmówił Laurze pokazania dokumentu i nie chciał nawet wyjaśnić, o co w nim chodzi. Taka odmowa mogła płynąć z jego uporu i władczego usposobienia. Powodem tego, że przestałam wierzyć w jego uczciwość, była zmiana, jaką zauważyłam w jego zachowaniu w Blackwater. Doszłam do przekonania, że przez cały okres owej próby w Limmeridge grał narzuconą sobie samemu rolę. Jego wyszukana delikatność, pełna ceremonii grzeczność, która tak doskonale harmonizowała ze staroświeckimi manierami pana Gilmore, jego skromność wobec Laury, uprzejmość w stosunku do mnie, względy dla pana Fairlie - to wszystko były wybiegi nikczemnego, przebiegłego i brutalnego mężczyzny, który

odrzuć maskę osiągnąwszy cel i ukazał swe prawdziwe oblicze dzisiejszego dnia w bibliotece. Nie piszę, jakim smutkiem ze względu na Laurę nappełniło mnie to odkrycie, gdyż nie zdołają tego wyrazić żadne moje słowa. Wspominam o moim przekonaniu tylko dlatego, że z tego właśnie powodu protestowałam przeciw podpisaniu przez Laurę dokumentu, bez względu na to, jakie ta odmowa wywołać może konsekwencje - dopóki nie zostanie zaznajomiona z jego treścią.

W tych okolicznościach nie miałyśmy innego wyjścia, jak tylko przedstawić następnego dnia taki powód odmowy złożenia podpisu, który miałby mocne podstawy prawne i finansowe i zachwiałyby decyzją sir Parsivala, budząc w nim podejrzenie, że my dwie, choć kobiety, jesteśmy równie jak on obeznane z prawem i zobowiązaniami wynikającymi z interesów.

Po pewnym zastanowieniu zdecydowałam się napisać do jedyne go uczciwego człowieka, którego nasz list mógł dosięgnąć i na którego mogliśmy liczyć, że z całą dyskrecją udzieli pomocy w naszej nieszczęsnej sytuacji. Tym człowiekiem był współnik pana Gilmore, pan Kyrle, który obecnie, gdy nasz stary przyjaciel musiał wycofać się ze swej pracy i wyjechać dla zdrowia z Londynu, prowadził jego kancelarię. Wyjaśniłam Laurze, iż sam pan Gilmore zapewnił mnie, że mogę bezwzględnie ufać uczciwości i dyskrecji jego współnika oraz orientacji jego we wszystkich sprawach Laury. Uzyskawszy jej całkowitą aprobatę, zabrałam się natychmiast do pisania listu.

Przedstawiłam panu Kyrle naszą sytuację zgodnie z rzeczywistością, prosząc, by udzielił nam rady w słowach jasnych i prostych, wykluczających możliwość niezrozumienia lub pomyłki. Pisałam najkrócej, jak mogłam, i mam nadzieję, że nie zaciemniłam treści mego listu zbędnymi przeprosinami i niepotrzebnymi szczegółami.

Miałam właśnie zaadresować kopertę, gdy Laura dostrzegła pewną trudność, której ja, pochłonięta pisaniem, nie zauważyłam.

- A jak możemy otrzymać na czas odpowiedź? - spytała. - Twój list zostanie doręczony w Londynie nie wcześniej niż jutro rano, a odpowiedź przyniesie nam poczta najwcześniej pojutrze.

Jedynym sposobem pokonania tej trudności byłoby przesłanie odpowiedzi z kancelarii adwokackiej przez umyślnego posłańca. Dopisałam postscriptum w tym sensie, prosząc, by wysłano gońca pociągiem o jedenastej, który przyjeżdża na naszą stację dwadzieścia minut po pierwszej, tak że najpóźniej o drugiej posłaniec dotarłby do Blackwater Park. Prosiłam, by polecono mu pytać o mnie, nie odpowiadać na niczyje pytania i nie oddawać listu nikomu prócz mnie

- Ponieważ sir Parsival może przyjechać jutro przed drugą - powiedziałam Laurze - najrozsądniej z twej strony będzie spędzić ranne godziny na łące lub w ogrodzie z książką lub z robótką i nie wracać do domu, zanim upłynie dość czasu, by posłaniec z listem zdążył nadejść. Będę go wyglądać cały ranek, by ustrzec go przed przygodą lub pomyłką. Ufam i wierzę, że trzymając się tego planu nie damy się niczym zaskoczyć. A teraz chodźmy do salonu. Wzbudzimy podejrzenia, jeśli zbyt długo trzymać się będziemy razem na osobności.

- Podejrzenia? - powtórzyła. - Czyjeż podejrzenia możemy wzbudzić teraz, gdy sir Parsivala nie ma w domu? Czy masz na myśli hrabiego Fosco?

- Może i tak, Lauro.

- Widzę, Marianno, że zaczynasz go nie cierpieć, tak jak ja go nie cierpię.

- Nie, to co innego. Kiedy się kogoś nie cierpi, łączy się to zawsze z mniejszą lub większą domieszką pogardy, a ja nie widzę w hrabi nic godnego wzgardy.

- Pewno się go trochę boisz, co?

- Może. Trochę.

- Boisz się go, chociaż dziś wstawił się za nami?

- Tak. Bardziej się boję tego jego wstawiennictwa niż gwałtowności sir Parsivala. Pomnij na to, co ci powiedziałam w bibliotece. Cokolwiek czynisz, Lauro, nie rób sobie wroga z hrabiego! .

Zeszliśmy na dół. Laura udała się do salonu, a ja pośpieszyłam przez hali z listem w ręku, aby wrzucić go do torby pocztowej wiszącej przy przeciwniejszej ścianie. Drzwi wejściowe były otwarte i gdy przechodziłam koło nich, zobaczyłam hrabiego Fosco i jego żonę, którzy stali na schodkach twarzami zwrócenymi do wnętrza domu i rozmawiali.

Hrabina z pewnym pośpiechem weszła do hallu i spytała, czy mogłabym poświęcić chwilę czasu na rozmowę z nią. Nieco zdziwiona taką prośbą z jej strony włożyłam list do torby i odpowiedziałam, że jestem do jej dyspozycji. Wzięła mnie pod ramię, okazując mi niezwykłą serdeczność, ale nie zaprowadziła mnie do pustego pokoju, tylko pociągnęła za sobą nad duży staw rybny, opasany kręgiem murawy. Gdy mijałyśmy na schodkach hrabiego, skłonił się i uśmiechnął, a potem natychmiast wszedł do domu przemykając za sobą drzwi.

Hrabina spacerowała ze mną wokół stawu. Oczekiwałam, że usłyszę jakieś niezwykle zwierzenia, ale ze zdumieniem przekonałam się, że hrabina nie miała mi do poufnego zakomunikowania nic więcej, prócz uprzejmych wyrazów współczucia w związku z tym, co zaszło w bibliotece. Mąż opowiedział jej o wszystkim, co się tam zdarzyło, wspominając również, w jak obraźliwy sposób odezwał się do mnie sir Parsival. Ta wiadomość tak nią wstrząsnęła i zasmuciła ze względu na mnie i na Laurę, że postanowiła, jeśli zdarzy się raz jeszcze coś podobnego, opuścić Blackwater na znak protestu przeciw wielce niewłaściwemu zachowaniu sir Parsivala. Hrabia pochwalił tę myśl, więc ma nadzieję, że i ja również ją podzielę.

Bardzo dziwne wydało mi się takie postępowanie ze strony kobiety tak pełnej rezerwy jak madame Fosco, zwłaszcza po ostrej wymianie słów, jaka wywiązała się między nami podczas rozmowy na przystani tego ranka. Jednakże obowiązkiem moim było odpowiedzieć uprzejmie i życzliwie na okazywaną mi przez starszą osobę uprzejmość i życzliwość. Wygłosiłam więc parę zdań w równie grzecznym tonie, a potem, sądząc, że powiedziałyśmy już sobie, co trzeba było powiedzieć, chciałam

zawrócić w stronę domu.

Ale okazało się, że madame Fosco zdecydowana jest nie rozstawać się ze mną i równie zdecydowana jest - ku memu niewypowiedzianemu zdumieniu - rozmawiać. Aż dotąd najbardziej milcząca z kobiet, teraz zalała mnie potokiem banalnych zdań na temat życia w małżeństwie, na temat sir Parsivala i Laury, na temat jej własnego szczęścia, na temat zachowania się zmarłego pana Fairlie w stosunku do niej w sprawie dziedziczenia i jeszcze na temat pół tuzina podobnych spraw, tak że chodziłyśmy dokoła stawu przez przeszło pół godziny i znużyła mnie zupełnie. Nie wiem, czy spostrzegła to, ale spacer skończył się równie gwałtownie, jak się zaczął; spojrziała w kierunku domu, momentalnie powróciła do dawnego lodowatego zachowania i z własnej woli wypuściła me ramię, zanim przyszła mi na myśl jakaś wymówka, by móc się samej od niej uwolnić.

Gdy otworzyłam drzwi i weszłam do hallu, znowu znalazłam się niespodziewanie twarzą w twarz z hrabią. Właśnie kładł list do torby pocztowej.

Gdy go wrzucił i zamknął torbę, zapytał mnie, gdzie zostawiłam madame Fosco. Powiedziałam mu i natychmiast poszedł do żony. Mówił do mnie w sposób tak niezwykle spokojny i ściszony, że obróciłam się i patrzyłam za nim zastanawiając się, czy jest chory, czy też w smutnym nastroju.

Dlaczego podeszłam następnie do torby pocztowej, wyjęłam swój list i przyjrzałam mu się z pewną podejrzliwością, i dlaczego patrząc nań pomyślałam, że trzeba dla większego bezpieczeństwa ponownie zapieczętować kopertę - to są tajemnice albo zbyt powierzchowne, albo zbyt głębokie, bym je mogła zgłębić. Kobiety, jak wiadomo każdemu, działają bardzo często pod wpływem impulsów, których nawet same nie rozumieją, mogą więc przypuszczać, że taki właśnie impuls był skrytą przyczyną mego niezrozumiałego postępowania w tym wypadku.

Jakikolwiek bądź impuls popchnął mnie do tego, skoro znalazłam się w swym pokoju, przekonałam się, że dobrze postąpiłam, słuchając go. Pierwotnie zakleiłam kopertę, jak to

się zwykle robi, zwilżając posmarowane klejem miejsce i przyciskając je do drugiego brzegu. Ale gdy teraz, po upływie trzech kwadransów, poruszyłam palcem brzeg koperty, usunął się momentalnie, nie drąc się ani nie lepiąc. Może zbyt słabo przyciskałam? Może klej był niedobry?

A może... Nie! Zupełnie wystarczy, że to straszne przypuszczenie świdruje w mym mózgu. Wolę nie widzieć go przed sobą czarno na białym.

Łękam się jutra - tak wiele zależy od mego rozsądku i opanowania. W każdym razie nie zapomnę zważać pilnie na dwie przynajmniej rzeczy; muszę dbać o to, by zachować pozory przyjaźni w stosunkach z hrabią, i muszę mieć się na baczności w czasie, gdy przybędzie tu posłaniec z listem.

V

17 czerwca

Gdy zesliśmy się znowu w godzinie obiadu, hrabia był jak zwykle w wyśmienitym humorze. Starał się zająć i zabawić nas, jak gdyby postanowił wymazać całkowicie z pamięci mojej i Laury to, co zaszło w bibliotece dzisiejszego popołudnia. Barwne opisy własnych przygód w podróżach, zabawne anegdoty o wybitnych osobistościach spotykanych przez niego za granicą, zaskakujące porównania zwyczajów w różnych krajach, ilustrowane szeroko dykteryjkami ukazującymi zachowanie się mieszkańców różnych części Europy, pełne humoru zwierzenia na temat niewinnych szaleństw własnej młodości, kiedy to był arbitrem elegancji małego miasteczka we Włoszech i do podrzędnego włoskiego dziennika pisywał okropne romanse na francuską modłę - to wszystko po kolei płynęło z jego ust tak swobodnie i wesoło i wszystko tak bezpośrednio, choć delikatnie przemawiało do naszych upodobań i zainteresowań, że i ja, i Laura słuchałyśmy go z taką uwagą i - choć to brzmi niedorzecznie - z taką niemal admiracją jak ma damę Fosco. Kobieta potrafi pozostać nieczuła na miłość mężczyzny, na jego sławę, piękną

powierzchność czy majątek - ale nie zdoła oprzeć się wymowie mężczyzny, który wie, jak do niej się zwrócić.

Po obiedzie, kiedy pozostawałyśmy jeszcze pod wrażeniem jego opowiadań, hrabia skromnie usunął się do biblioteki, aby czytać.

Laura zaproponowała przechadzkę jako miłe zakończenie wieczoru. Zwykła uprzejmość kazała nam zaprosić również madame Fosco, ale ona widocznie otrzymała przedtem swe rozkazy i grzecznie się wymówiła. - Hrabiemu na pewno zabraknie papierosów - tłumaczyła się - a nikt nie potrafi tak mu w tym dogodzić jak ja. - Jej zimne niebieskie oczy stały się niemal ciepłe, gdy mówiła te słowa. Wydawała się naprawdę dumna z tego, że za jej pośrednictwem jej pan i władca koi swe nerwy tytoniem.

Wyszłyśmy więc we dwie z Laurą.

Był mglisty, duszny wieczór. Powietrze było ciężkie, kwiaty w ogrodzie pochyliły swe korony, ziemia była spękana i sucha. Spomiędzy nieruchomych drzew przeświecało bladeżółte niebo na zachodzie i nikłe słońce, zachodzące w mgłę. Wydawało się, że niedługo nadejdzie deszcz, że spadnie wraz z nastaniem nocy.

- Dokąd się udamy? - spytałam.

- Ku jezioru, Marianno, jeśli nie masz nic przeciw temu - odrzekła.

- Jakoś dziwnie lubisz, Lauro, to okropne jezioro.

- Nie, nie jezioro, ale jego otoczenie. Piasek, wrzosowisko, sosny i świerki - tylko to w całym tym ogromnym majątku przypomina mi Limmeridge. Ale jeśli wolisz, możemy iść w innym kierunku.

- Kochanie, nie mam żadnych ulubionych spacerów w Blackwater. Każda droga jest dla mnie taka sama. Chodźmy ku jezioru, może na otwartej przestrzeni będzie chłodniej niż tutaj.

Szłyśmy w milczeniu cienistą szkółką leśną. Ciężkie powietrze wieczoru zmęczyło nas obie, toteż gdy doszłyśmy do przystani, z przyjemnością usiadłyśmy, by odpocząć. Nad jeziorem wisiała biała mgła. Na przeciwnym brzegu rysowała się nad nią brunatna linia gęstych drzew, niby karli las płynący

w niebo. Piaszczysty skłon brzegu po naszej stronie przesłoniły forpocząty mgły znad jeziora. Panowała przerażająca cisza. Liść nie zaszeleścił, ptak nie odezwał się w lesie, nie dobiegł krzyk dzikiej gęsi znad niewidzialnej wody. Nawet żaby nie kumkały w ten wieczór."

- Ponure pustkowia - rzekła Laura. - Ale tylko tu możemy być naprawdę same.

Mówiła spokojnie i zamyślonym spojrzeniem obejmowała tę pustynię piasku i mgły. Wyczułam, że umysł jej jest zbyt zajęty, by mogły mieć doń dostęp posępne wrażenia płynące z zewnątrz, które mnie już przygnębiły.

- Obiecałam ci, Marianno, powiedzieć prawdę o moim małżeńskim życiu, byś nie musiała już dłużej snuć domysłów - rozpoczęła. - Pierwszy to raz miałam sekret przed tobą, kochana, i zdecydowana jestem nie mieć ich więcej. Jak wiesz, milczałam ze względu na ciebie, a może i trochę ze względu na mnie samą. Ciężko przychodzi kobiecie wyznać, że mężczyzna, któremu oddała całe swoje życie, jest człowiekiem, któremu najmniej ze wszystkich ludzi na świecie na tym darze zależy. Jeśli kiedykolwiek wyjdiesz za mąż, Marianno, zwłaszcza jeśli szczęśliwie wyjdiesz za mąż, będziesz mi współczuć tak, jak żadna niezamężna kobieta nie potrafi współczuć, choćby nie wiem jak była oddana i dobra.

Cóż mogłam odpowiedzieć? Mogłam tylko ująć ją za rękę i patrząc na nią okazać jej tyle uczucia, ile zdoła wyrazić spojrzeniem.

- Jakże często słyszałam - ciągnęła - twoje żarty na temat twego, jak je zowiesz, ubóstwa. Jakże często składałaś mi żartobliwie gratulacje z powodu mego bogactwa! Och, Marianno, nie żartuj już tak nigdy więcej. Dziękuj Bogu za twoje ubóstwo, to wskutek niego jesteś panią samej siebie. Ono cię uchroniło przed losem, jaki mnie przypadł w udziale.

Smutny początek zwierzeń młodej małżonki! Spokojne i proste stwierdzenie żalnej prawdy. Parę dni, które spędziłyśmy razem w Blackwater Park, wystarczyło, by pokazać mi - by pokazać każdemu - dlaczego poślubił ją mąż.

- Nie chcę cię zasmucać opowiadaniem o tym, jak rychło

spadło na mnie rozczarowanie i udręka - mówiła. - Nie chcę, byś cierpiała słuchając, przez jakie przeszłam zawody. Wystarczy aż nadto, że ja nie mogę o tym zapomnieć. Jeżeli ci opowiem, jak przyjął mój pierwszy i ostatni protest, będziesz równie dobrze wiedzieć, jak mnie zawsze traktował, jak gdybym mówiła ci o tym szeroko i długo. Było to jednego dnia w Rzymie, kiedy wybraliśmy się razem na przejażdżkę konną, aby obejrzeć grobowiec Cecylii Metelii. Niebo było jasne i pogodne, pięknie wyglądały ogromne, starożytne ruiny, a myśl o tym, że to kochający mąż wznosił w dawnych wiekach ten grobowiec, by uczcić pamięć swej żony, uczyniła mnie bardziej niż kiedykolwiek przedtem czułą w stosunku do mego męża. „Czy zbudowałbyś taki grobowiec dla mnie, Parsivalu? - zapytałam. - Zanim mnie poślubiłeś, mówiłeś, że mnie serdecznie kochasz, ale od tej pory...” Nie mogłam powiedzieć nic więcej. Marianno, on nawet nie spojrzał na mnie. Zsunęłam na twarz woalkę, nie chcąc, by widział, że mam w oczach łzy. Wyobraziłam sobie, że wcale nie zwrócił uwagi na moje słowa, ale było inaczej. Powiedział: „Chodźmy stąd” - i śmiał się do siebie, pomagając mi dosiąść konia. Sam też wskoczył na konia, a gdy odjeżdżaliśmy, śmiał się znowu. „Jeżeli zbudowałbym ci grobowiec - powiedział - zbudowałbym go za twoje własne pieniądze. Właśnie myślę nad tym, czy Cecylia Metella miała fortunę, którą zapłaciła za swój grobowiec”. Nie odpowiedziałam nic. Czyż mogłam coś powiedzieć, płacząc pod woalką?

„Ach, wy kobiety o jasnej cerze - rzekł - tak często się dąsacie. Czego chcesz? Komplementów? Pięknych słówek? No, dobrze. Jestem dziś w świetnym humorze, więc czuj się tak, jak bym ci prawil komplementy i piękne słówka”. Kiedy mężczyźni odzywają się do nas w taki przykry sposób, nie wiedzą zapewne, jak dobrze to zapamiętamy i ile nam krzywdy wyrządzają. Byłoby lepiej dla mnie, gdybym się wtedy wypłakała, ale pod wpływem jego pogardy wyschły moje łzy i stwardniało moje serce. Od tej chwili, Marianno, nie powstrzymywałam się już więcej od myślenia o Walterze Hartrighcie. Pozwalałam, aby budziły się we mnie i stawały się

mą pociechą wspomnienia tych szczęśliwych dni, kiedy to w skrytości ducha tak się kochaliśmy wzajemnie. Czy mogłam skądinąd wyglądać pociechy? Gdybyśmy były razem, pomogłabyś mi postępować lepiej. Wiem, kochana moja, że robiłam źle, ale powiedz sama, czy nie miałam nic na swe wytłumaczenie?

Musiałam się od niej odwrócić, by nie patrzyła na mnie.

- Nie pytaj mnie! - powiedziałam. - Czy ja cierpiałam tak jak ty? Czyż mam prawo wydawać wyrok? - Zwykłam myśleć o nim - ciągnęła zniżając głos i przysuwając się bliżej do mnie - zwykłam rozmyślać o nim w te wieczory, gdy Parsival pozostawiał mnie samą dla towarzystwa z opery. Wyobrażałam sobie wtedy, jaką bym była, gdyby spodobało się Bogu obdarzyć mnie ubóstwem i gdybym została żoną Waltera. Widziałam siebie w schludnej, choć taniej sukni, jak siedzę w domu i czekam na niego, podczas gdy on pracuje na życie... jak siedzę w domu i pracuję dla niego, i kocham go przez to jeszcze bardziej... jak on wraca zmęczony, ja mu zdejmuję płaszcz i kapelusz i dogadzam przy obiedzie potrawami, których dla niego nauczyłam się gotować. Och, Marianno! Mam nadzieję, że on nigdy nie bywa aż tak samotny i smutny, by rozmyślał o mnie i widział mój obraz, jak ja myślałam o nim i widziałam go.

Gdy mówiła te żalosne słowa, w głosie jej brzmiała dawna serdeczność, z twarzy promieniało dawne piękno. Jej oczy z taką miłością wpatrywały się w ponury i złowrogi krajobraz, jak gdyby w miejscu zasępionych niebios widziała drogę sercu wzgórze Gumberlandu.

- Nie mów już więcej o Walterze - szepnęłam, gdy tylko odzyskałam panowanie nad sobą. - Och, Lauro, oszczędź nam obu męki rozmawiania o nim teraz!

Oprzytomniała i popatrzyła na mnie serdecznie.

- Wolałabym już nigdy o nim nie mówić - odrzekła - niż choć przez chwilę sprawiać ci ból.

- To ze względu na ciebie - tłumaczyłam. - Ze względu na twoje dobro proszę o to. Gdyby twój mąż posłyszał...

- Nie zdziwiłoby go, gdyby mnie posłyszał.

Tę dziwną odpowiedź wypowiedziała ze spokojem i chłodem.

Ta zmiana jej tonu zdziwiła mnie równie silnie, co sama odpowiedź.

- Nie zdziwiłoby go! - powtórzyłam. - Lauro! Myśl o tym, co mówisz! Przerażasz mnie!

- Ale to jest prawda - odparła. - To właśnie chciałam ci powiedzieć, kiedy rozmawialiśmy dziś w twoim pokoju. Kiedy w Limmeridge otwarłam przed nim swe serce, zachowałam jedno w sekrecie i nie czyniłam krzywdy nikomu, jak sama przyznałaś. Tylko jedną rzecz - imię - przed nim taiłam, ale on już je odkrył.

Słyszałam jej słowa, ale nie byłam w stanie nic odpowiedzieć. Ostatnie jej stwierdzenie zabiło resztę nadziei, jaką jeszcze miałam w sercu.

- Stało się to w Rzymie - ciągnęła głosem znużonym i chłodnym jak poprzednio. - Byliśmy u państwa Markland, przyjaciół sir Parsivala, na niewielkim przyjęciu, wydanym dla angielskiego towarzystwa. O pani Markland mówiono, że bardzo ładnie rysuje, i kilku jej gości wymogło na niej, by pokazała nam swe szkice. Wszyscy je podziwialiśmy, ale ja powiedziałam coś, co zwróciło jej uwagę na mnie. „Z pewnością i pani rysuje?” - zapytała. „Tak, kiedyś rysowałam, ale teraz już to zarzuciłam”. „Skoro pani kiedyś rysowała - powiedziała pani Markland - może pani znowu do tego powrócić, a jeśli tak się stanie, chciałabym, aby pozwoliła mi pan zarekomendować sobie nauczyciela”. Nic nie odpowiedziałam na to, wiesz dlaczego, Marianno, i starałam się zmienić rozmowę. Ale pani Markland nie ustępowała. „Miałam różnych nauczycieli - mówiła - ale najinteligentniejszym i najbardziej starannym z nich wszystkich był pan Hartright. Jeżeli kiedykolwiek powróci pani do rysowania, niech go pani weźmie za nauczyciela. To młody człowiek, skromny i o ujmujących manierach, jestem pewna, że się pani spodoba”. Pomyśl, te słowa mówiono do mnie na przyjęciu, w obecności obcych ludzi... ludzi, których zaproszono, aby poznali młode małżeństwo. Robiłam wszystko, co mogłam, żeby się opanować. Nie odpowiedziałam nic i przyglądałam się rysunkom. Kiedy odważyłam się wreszcie podnieść głowę, oczy moje napotkały wzrok mego męża i po

jego wyglądzie poznałam, że moja twarz mnie przed nim zdradziła. „Pomyślmy o panu Hartrighcie - powiedział patrząc cały czas na mnie - po powrocie do Anglii. Zgadzam się z panią, pani Markland, ja też jestem pewien, że spodoba się on lady Glyde”. Ostatnie słowa wymówił ze specjalnym naciskiem, aż policzki moje zaczęły płonąć, a serce bić tak silnie, że wprost nie mogłam złapać oddechu. Nic już więcej nie mówiono na ten temat. Wyszliśmy stamtąd wcześniej. Kiedy jechaliśmy z powrotem do hotelu, milczał. Potem pomógł mi wsiąść i poszedł za mną na górę, jak zwykle. Ale skoro tylko znaleźliśmy się w salonie, zamknął drzwi, popchnął mnie na krzesło i stanął nade mną położywszy mi ręce na ramionach. „Od tego ranka w Limmeridge, kiedy uczyniłaś swe zuchwałe wyznanie, chciałem się dowiedzieć, kim był ten człowiek. Dzisiejszego wieczoru twoja twarz wyjawiała mi to. Był nim twój nauczyciel rysunków, Walter Hartright. Będziesz żałować tego i on także, aż do ostatniej chwili życia. A teraz idź do łóżka i jeśli tego pragniesz, niech ci się przyśni ze śladami mojej szpicruty na plecach”. Zawsze teraz, gdy gniewa się na mnie, z szyderstwem lub groźbą czyni aluzje do tego, co powiedziałam mu wtedy w twojej obecności. Po swojemu, w okropny sposób interpretuje to, co zwierzyłam mu w zaufaniu, a ja nic na to nie mogę poradzić. Nie mam na niego wpływu, aby mi wierzył lub przynajmniej milczał. Byłaś zaskoczona, kiedy usłyszałaś, jak powiedział mi, że poślubiłam go czyniąc z musu cnotę. Ale już cię to więcej nie zdziwi, kiedy to powtórzy, gdy znów wpadnie w gniew. Och, Marianno! Przestań! To boli!

W udreće wyrzutów sumienia chwyciłam ją w ramiona i objęłam w mocnym uścisku. Tak! W udreće wyrzutów sumienia. Stanęła przede mną, jak niemy, bezlitosny wyrzut, pokryta bladeścią, zrozpaczona twarz Waltera, ugodzonego w samo serce okrutnymi słowami, jakie powiedziałam mu w pawilonie letnim w Limmeridge. Moja to ręka wytyczyła drogę, którą ukochany mojej siostry oddalał się coraz bardziej od swoich bliskich i swego kraju. To ja stanęłam między tymi dwoma młodymi sercami, aby rozdzielić je na zawsze. A teraz, jako świadectwo tego czynu, miałam przed sobą obraz

nieszczęśliwego życia jej i jego.

I ja dokonałam tego wszystkiego! Dokonałam tego dla sir Parsivala Glyde! Dla sir Parsivala Glyde!

Słyszałam, że coś mówi, i z tonu jej głosu zorientowałam się, że stara się mnie pocieszyć - mnie, która nie zasłużyłam na nic lepszego, jak tylko na pełne wymówki milczenie. Nie mogę powiedzieć, jak długo zatopiona byłam w mych własnych, przerażających myślach. Pierwszą rzeczą, z jakiej zdałam sobie sprawę, były jej pocałunki. Potem z nagłą oczy moje poczęły dostrzegać zewnętrzny świat i uświadomiłam sobie, że bezwiednie wpatruję się przed siebie, w jezioro.

- Już późno - usłyszałam jej szept. - Zaczyna się ściemniać.

Potrząsnęła moim ramieniem i powtórzyła: - Marianno! Zaczyna się ściemniać.

- Jeszcze chwileczkę - odpowiedziałam - jeszcze chwileczkę. Niech zbiorę myśli.

Nie opanowałam się bodaj na tyle, by móc spojrzeć na nią, więc wpatrywałam się w krajobraz przed sobą.

Rzeczywiście było już późno. W gęstniejącym mroku ciemna, brązowa linia drzew zaznaczała się teraz słabiej na niebie, przypominając długie pasmo dymu. Mgła znad jeziora rozpostarła się szerzej, wznosząc się ku nam. Panowała nadal niczym nie zmacona cisza, lecz zatraciła się już jej groza, pozostał tylko uroczysty, tchnący tajemnicą spokój.

- Jesteśmy daleko od domu - szepnęła. - Wracajmy.

Umilkła nagle i odwróciła twarz ode mnie ku wejściu do przystani.

- Marianno - powiedziała drżąc gwałtownie. - Czy nic nie widzisz? Patrz.

? Gdzie?

- Tam, niżej...

Wskazała palcem. Pobiełam wzrokiem w tym kierunku i również zobaczyłam.

W oddali, przez pustkowie wrzosów, szła jakaś postać. Ukazała się na samym skraju naszego pola widzenia i, mającąc

niewyraźnie, posuwała się na granicy mgły. Zatrzymała się wprost przed nami, choć w dość dużej odległości, stała chwilę i poszła dalej, sunąc z białym obłokiem mgły za sobą i nad sobą, sunąc powoli, powoli, aż znikła za węglem przystani i nie widzieliśmy jej już więcej.

Obie byłyśmy podenerwowane naszą poprzednią rozmową. Przez kilka minut ani Laura nie miała odwagi, by wejść do lasu, ani ja nie mogłam się zdobyć na wyruszenie w powrotną drogę

- Czy to była kobieta, czy mężczyzna? - zapytała szeptem, gdy wreszcie zdecydowałyśmy się zanurzyć w wilgotny półmrok otaczający przystań.

- Nie jestem pewna.

- A jak myślisz?

- Wydaje mi się, że to była kobieta.

- A ja myślę, że to był mężczyzna w długim płaszczu.

- Może i mężczyzna. Niczego nie można być pewną w tych ciemnościach.

- Czekaj, Marianno. Boję się... nie widzę ścieżki... A jeśli pójdzie za nami?

- Nie sędzę, Lauro. Doprawdy, nie ma się czego obawiać. Jezioro leży w pobliżu wioski i każdemu wolno przechodzić tędy dniem czy nocą. To tylko dziwne, że dotychczas nie widzieliśmy tutaj żywej istoty.

Znajdowałyśmy się w lasku. Było bardzo ciemno - tak ciemno, że z trudnością trzymałyśmy się ścieżki. Laura wsparła się na moim ramieniu i posuwałyśmy się tak szybko, jak tylko mogłyśmy.

Zanim uszłyśmy pół drogi, Laura stanęła zmuszając tym i mnie do zatrzymania się. Nasłuchiwała.

- Cicho! - szepnęła. - Słyszę coś za nami.

- To zeszcłe liście - starałam się ją uspokoić. - A może to trzasnęła gałązka na drzewie?

- Przecież jest lato, Marianno, i nie ma wcale wiatru! Słuchaj!

I ja także coś posłyszałam, jak gdyby odgłos kroków za nami.

- Bez względu na to, kto jest czy co to jest, chodźmy. Za chwilę znajdziemy się tak blisko domu, że będą nas mogli usłyszeć, gdybyśmy miały powód do niepokoju.

Ruszyłyśmy naprzód szybko, tak szybko, że Laura była niemal bez tchu, gdy znalazłyśmy się na skraju szkółki i ujrzałyśmy oświetlone okna. Stałam na chwilę, by odzyskała oddech. Miałyśmy już iść dalej, gdy zatrzymała mnie znowu, dając znak ręką, bym nasłuchiwała. Z ciemnej głębi lasu dobiegło nas wyraźnie długie, ciężkie westchnienie.

- Kto tam? - zawołałam.

Żadnej odpowiedzi.

- Kto tam? - powtórzyłam.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem usłyszałyśmy stąpanie lekkich kroków - coraz cichsze, tonące w coraz głębszym mroku, aż zagubiło się zupełnie w milczeniu lasu.

Wybiegłyśmy pomiędzy drzew na rozpościerającą się przed nami murawę i nie zamieniwszy między sobą ani słowa dopadłyśmy domu.

Światło stojącej w hallu lampy ukazało mi pobladłą twarz Laury i jej przerażone oczy.

- Ledwom żywa ze strachu - szepnęła. - Kto to mógł być?

- Będziemy myśleć nad tym jutro - odparłam. - Tymczasem nie mów nikomu ani słówka o tym, cośmy widziały lub słyszały.

- Dlaczego nie mówić?

- Bo bezpieczniej jest milczeć, a my nie jesteśmy zbyt bezpieczne w tym domu.

Posłałam Laurę na górę, a sama pozostałam w hallu tylko przez chwilę, by zdjąć kapelusz i przygładzić włosy, i zaraz potem poszłam do biblioteki, by pod pretekstem szukania książki rozpocząć dochodzenie.

Zobaczyłam tam hrabiego, który rozsiadł się wygodnie w największym ze wszystkich domowych foteli i, trzymając nogi na wyściełanym stołku, rozchyliwszy szeroko kołnierzyk u koszuli i położywszy na kolanach chustkę na szyję, czytał sobie spokojnie i palił papierosa. I była tam także, siedząca u jego boku niczym grzeczne dziecko, madame Fosco, która skręcała dla niego papierosy. Wydało mi się niemożliwe, by któreś z nich, mąż albo żona, wychodziło z domu tego wieczora i przed chwilą wróciło w pośpiechu. Tak więc jeden rzut oka wystarczył, bym znalazła odpowiedź na pytanie, które mnie tu

przywiodło.

Kiedy weszłam, hrabia Fosco wstał i w uprzejmym zmieszaniu począł zawiązywać na szyi chustkę.

- Proszę sobie nie przeszkadzać - powiedziałam. - Przyszłam tu tylko po książkę.

- Niestety mężczyźni mojej tuszy cierpią bardzo od takiego upału - mówił hrabia wachlując się z wielką powagą ogromnym zielonym wachlarzem. - Chciałbym być teraz w skórze mej zacnej małżonki. Jej jest w tej chwili tak chłodno, jak rybce w tutejszym stawie.

Pod wpływem dziwnego komplementu męża hrabina zaczęła tajać.

- Mnie nigdy nie jest gorąco, panno Halcombe - zauważyła ze skromnym wyrazem twarzy kobiety, która przyznaje się do swych zasług.

- Czy pani i lady Glyde wychodziły wieczorem? - zapytał hrabia, kiedy chcąc zachować pozory brałam książkę z półki.

- Tak, wychodziłyśmy, by zażyć nieco powietrza.

- Czy wolno mi zapytać, w jakim kierunku?

- W kierunku jeziora, do przystani.

- Aa... Aż do przystani?

W innych okolicznościach może oparłabym się jego ciekawości. Ale owego wieczoru uznałam ją za jeszcze jeden dowód, że ani on, ani jego żona nie mają nic wspólnego z tajemniczą zjawą znad jeziora.

- Mam nadzieję, że nie było już dziś więcej przygód? - ciągnął dalej. - Ani też więcej odkryć, takich jak znalezienie owego postrzelonego psiaka?

Wpił we mnie swe nieprzeniknione szare oczy, których zimny i jasny władczy blask zmuszał mnie zawsze do patrzenia w nie, a gdy to czyniłam, budził we mnie niepokój. Zawsze przy takiej okazji ogarniało mnie skrycie podejrzenie, że hrabia stara się przeniknąć moje myśli. I teraz, będąc pod tym wrażeniem, odpowiedziałam:

- Nie, żadnych przygód, żadnych odkryć.

Próbowałam oderwać od niego wzrok i opuścić pokój. Choć brzmi to zapewne dziwnie, ale nie wiem, czyby mi się to

powiodło, gdyby nie madame Fosco, dzięki której on pierwszy poruszył się i odwrócił ode mnie oczy.

- Ależ hrabio - odezwała się do męża - czemu nie poprosisz panny Halcombe, by usiadła?

Skoro tylko się odwrócił, aby przysunąć mi krzesło, wykorzystałam okazję, podziękowałam mu i grzecznie przeprosiwszy wymknęłam się z biblioteki.

W godzinę później, kiedy pokojówka Laury była w pokoju swej pani, rzuciłam uwagę na temat parnego wieczoru, by móc się następnie dowiedzieć, jak służba spędziła ten czas.

- Bardzo dokuczało gorąco? - spytałam.

- Nie, proszę pani - odrzekła dziewczyna. - Nie bardzo.

- Bo pewno byliście wieczorem w lesie, prawda?

- Niektórzy z nas chcieli pójść, panienko, do lasu, ale kucharka powiedziała, że wyniesie sobie krzesło na chłodne podwórze, koło drzwi kuchennych, i potem wszyscy też się namyślili i także wynieśli tam krzesła dla siebie.

Tak więc jedyną osobą, o której można było jeszcze myśleć, była gospodyni.

- Pani Michelson pewno już się położyła? - spytałam.

- Chyba, że nie, panienko - odrzekła dziewczyna uśmiechając się. - Pani Michelson pewno teraz nie kładzie się, ale wstaje.

- Jak to? Nie rozumiem cię. Czyżby pani Michelson w dzień leżała w łóżku?

- No, nie, panienko, niezupełnie tak, ale coś w tym rodzaju. Cały wieczór spała na sofie w swoim pokoju.

Gdy zreasumuję to, co sama zauważyłam w bibliotece i co usłyszałam od pokojówki Laury, jeden wniosek wydaje mi się nieodparty. Postacią, którą widziałyśmy nad jeziorem, nie była ani madame Fosco, ani jej mąż, ani nikt ze służby. Kroki, które słyszałyśmy za sobą, nie, były krokami nikogo z domowników.

Któż to zatem mógł być?

Bezczelowe jest stawianie sobie tego pytania. Nie mam nawet pewności, czy to był mężczyzna, czy kobieta. Wydawało mi się, że była to kobieta.

VI

18 czerwca

Udręka samooskarżeń, przez którą przeszłam wczoraj wieczór, wysłuchawszy na przystani zwierzeń Laury, powróciła w samotności nocy nie pozwalając mi zasnąć przez długie, bolesne godziny.

Zapaliłam w końcu świecę i przejrzałam swoje dawne zapiski, . aby zobaczyć, jaki był mój udział w fatalnej pomyłce, jaką popełniła Laura zawierając małżeństwo z sir Parsivalem, i co mogłam była kiedyś uczynić, aby ją przed tym uchronić. W rezultacie uspokoiliam się trochę, gdyż przekonałam się, że chociaż działałam na ślepo, nie wiedząc o niczym, postępowałam, jak mogłam najlepiej. Płacz ha ogół mi szkodzi, ale tej nocy było inaczej, sądzę, że przyniósł mi ulgę. Rano wstałam zdecydowana i spokojna. Cokolwiek by uczynił lub powiedział sir Parsival, nie dam się zirytować i nie zapomnę ani na chwilę, że pomimo wszelkich udręczeń, obraz i gróźb - jestem tutaj, by służyć Laurze i pomagać jej.

Drobny, lecz bardzo przykry dla Laury wypadek nie pozwolił nam poświęcić poranku tak, jak zamierzałyśmy, rozważaniom na temat postaci znad jeziora i kroków w lesie. Laura zgubiła broszkę, którą dostała ode mnie w przeddzień swego ślubu. Ponieważ miała ją przypiętą wczoraj wieczór, gdy wychodziłyśmy, możemy przypuścić tylko jedno, że odpięła się i wypadła z jej sukni albo na przystani, albo w drodze powrotnej do dworu. Laura rozesłała służbę na poszukiwania, ale nie znaleziono broszki. Teraz więc sama poszła jej szukać. Czy uda jej się odnaleźć broszkę, czy też nie uda, zguba wytłumaczy jej nieobecność, jeśli sir Parsival wróci, nim zostanie mi doręczony list od współnika pana Gilmore.

Wybiła właśnie pierwsza. Zastanawiam się, czy lepiej czekać na przyjazd posłańca z Londynu tutaj, czy też wymknąć się ze dworu za domek odźwiernego i tam na niego czatować.

Podejrzliwość w stosunku do wszystkich i wszystkiego w tym domu każe mi uznać drugi projekt za najlepszy. Mam pewność,

że hrabia znajduje się w pokoju śniadaniowym. Przed dziesięciu minutami, idąc po schodach, słyszałam przez drzwi, jak ćwiczył swoje kanarki w ich sztuczkiach: - Chodź na mój mały palec, moja śliczśliczślicznotko! Wdrap się tu i wskakuj wyżej! Raz, dwa, trzy i hop! Trzy, dwa, jeden - i w dół! Raz, dwa, trzy, ćwir, ćwir, ćwir! - Ptaszki, jak zazwyczaj, zaczynały śpiewać w uniesieniu radości, a hrabia szczebiotał do nich i pogwizdywał, jak gdyby sam był ptaszkiem. Drzwi mego pokoju są otwarte i w tej chwili słyszę ten śpiew i gwizdanie. Jeśli mam się rzeczywiście wymknąć niepostrzeżenie, teraz jest czas na to.

Czwarta po południu

Trzy godziny, jakie upłynęły od momentu, gdy uczyniłam ostatnie zapiski, pchnęły na nowe tory bieg wydarzeń w Blackwater Park. Czy na lepsze, czy na gorsze - nie jestem w stanie i nie ośmielałam się orzec.

Ale muszę powrócić do chwili, gdy wychodziłam z pokoju, gdyż inaczej zgubię się w labiryncie własnych myśli.

Wysłałam, tak jak zamierzałam, aby spotkać wysłańca z listem z Londynu przed domkiem odźwiernego. Na schodach nie widziałam nikogo. W hallu usłyszałam głos hrabiego, który wciąż ćwiczył swe ptaszki. Ale będąc już na dworze zobaczyłam raadame Fosco, która odbywała samotnie swój ulubiony spacer, krążąc nad brzegiem wielkiego stawu rybnego. Zwolniłam od razu kroku, aby nie wyglądało, że się spieszę, i nawet, chcąc być przezorną, posunęłam się tak daleko, że zapytałam ją, czy nie chciałaby przejść się przed lunchem.

Uśmiechnęła się do mnie najprzyjaźniej, jak umiała, odrzekła, że woli być w pobliżu domu, skinęła mi uprzejmie głową i weszła z powrotem do hallu. Obejrzałam się i zobaczyłam, że zamknęła drzwi, zanim uchyliłam furtkę koło bramy wjazdowej.

Nie minął kwadrans, a dochodziłam już do domku odźwiernego. Ścieżka skręcała raptownie na lewo, biegła prosto jakieś sto jardów, a potem znowu ostro zakręcała na prawo, ku szosie. Między tymi dwoma zakrętami, zasłonięta z jednej

strony od drogi wiodącej do stacji, a z drugiej od domku odźwiernego, czekałam, spacerując tam i z powrotem. Przed sobą i za sobą miałam wysoki żywopłot i czekałam ze dwadzieścia minut nie widząc ani nie słysząc nikogo. Potem dobiegł mych uszu turkot kół i zbliżywszy się ku drugiemu zakrętowi ujrzałam pojazd nadjeżdżający ze stacji. Dałam znak woźnicy, by się zatrzymał. Usłuchał mnie, a wtedy z okna wychylił się jakiś godnie wyglądający mężczyzna, chcąc zobaczyć, co się stało.

- Przepraszam - powiedziałam —ale o ile się nie mylę, jedzie pan do Blackwater?

- Tak, proszę pani.

- Ma pan pewno list do kogoś?

- Mam list do panny Halcombe, proszę pani.

- A więc może mi pan wręczyć list, gdyż ja nią jestem.

Nieznajomy uchylił kapelusza, wyskoczył z pojazdu i dał mi list.

Otworzyłam go od razu i przeczytałam, co następuje. Przepisałam to do swego dziennika, uważając, że bezpieczniej będzie zniszczyć oryginał.

„Szanowna Pani!

List Pani poważnie mnie zaniepokoił. Postaram się odpisać jak najkrócej i najjaśniej.

.. Głębokie zastanowienie się nad relacją Pani, jak również moja znajomość sytuacji majątkowej lady Glyde, przedstawionej w intercyzie, doprowadziły mnie, przykro mi to powiedzieć, do wniosku, że sir Parsival zamyśla pożyczyć pewną sumę z pieniędzy depozytowych (czyli innymi słowy, pożyczyć jakąś część z dwudziestu tysięcy funtów stanowiących majątek lady Glyde) i chce, aby lady Glyde podpisała ten akt, wyrażając tym zgodę na złamanie umowy - aby dzięki temu mógł zasłaniać się jej podpisem, jeżeliby kiedykolwiek wniosła skargę przeciw temu. Żadne inne przypuszczenie nie zdoła wyjaśnić, w jakim celu żądać można od lady Glyde - w jej własnie sytuacji - podpisywania jakiegokolwiek aktu.

W wypadku, gdy lady Glyde podpisze ów dokument - za taki akt zmuszony jestem uważać pismo, o którym mowa - jej plenipotenci będą mogli wypłacić zaliczkowo sir Parsivalowi część pieniędzy z jej dwudziestu tysięcy. Jeśli wypożyczona w ten sposób suma nie zostanie zwrócona, a lady Glyde będzie mieć dziecko, ich majątek będzie o ową sumę - dużą lub małą - uszczuplony. Mówiąc jeszcze wyraźniej, transakcja taka może skrzywdzić jej przyszłe dzieci.

W tak poważnej sytuacji radziłbym, by lady Glyde jako powód wstrzymania się z podpisem podała swe życzenie, by akt ten przedstawiony został (pod nieobecność mego współnika, pana Gilmore) mnie jako prawnemu doradcy rodziny. Nie można wysunąć żadnej rozsądnej obiekcji przeciw takiemu postępowaniu, ponieważ żadna uczciwa transakcja nie mogłaby spotkać się ze sprzeciwem z mej strony.

Zapewniając Panią o mej szczerzej gotowości udzielenia wszelkiej dodatkowej rady i pomocy - jeśliby okazały się potrzebne - proszę, by zechciała mnie Pani uważać za wiernego i oddanego sobie sługę.

William Kyrle”

Z uczuciem głębokiej wdzięczności czytałam ten rozsądny i życzliwy list. Dzięki niemu Laura może wstrzymać się od podpisania dokumentu i podać trudny do zbicia i zrozumiały dla nas argument. Gdy czytałam, posłaniec czekał w pobliżu na instrukcje.

- Czy będzie pan łaskaw powiedzieć, że zrozumiałam list i że jestem wielce zobowiązana panu Kyrle? - rzekłam. - W tej chwili inna odpowiedź nie jest potrzebna.

W momencie gdy trzymając przed sobą rozłożony list mówiłam te słowa, na zakręcie szosy ukazał się hrabia Fosco i stanął przede mną, jak gdyby wyrósł spod ziemi.

Byłam zupełnie zaskoczona jego nagłym pojawieniem się w miejscu, gdzie mogłam się go najmniej spodziewać. Posłaniec

powiedział mi do widzenia i wsiadł do pojazdu. Nie byłam w stanie przemówić do niego słowa, nie byłam w stanie nawet mu się odkłonić. Stałam jak skamieniała, widząc, że zostałam wyśledzona - i to ze wszystkich ludzi na świecie przez tego właśnie człowieka!

- Czy wraca pani do domu, panno Halcombe? —zapytał. On ze swej strony nie okazał najmniejszego zdziwienia i nawet nie spojrzął na pojazd, który w tym momencie odjechał.

Zdobyłam się na to, by skinąć mu potakująco głową.

- Ja również wracam do domu. - odrzekł. - Proszę, niech mi pani pozwoli się odprowadzić. Czy można służyć pani ramieniem? Wydaje się pani być zdziwiona moim widokiem?

Wzięłam go pod ramię. Poczęłam powoli odzyskiwać równowagę i pierwszą myślą, jaka zbudziła się we mnie, było przekonanie, że lepiej wiele poświęcić, niż robić sobie z niego wroga.

- Wydaje się pani być zdziwiona moim widokiem? - powtórzył w swój spokojnie natarczywy sposób.

- Zdawało mi się, hrabio, że słyszałam, jak zabawiał się pan ptaszkami w pokoju śniadaniowym - odpowiedziałam, jak mogłam najspokojniej i najpewniej.

- Tak. Ale moje upierzone dzieci, łaskawa pani, są aż nazbyt podobne do prawdziwej dziatwy. Miewają dni, kiedy są przekorne, i dziś był jeden z tych dni. Gdy zamykałam je z powrotem do klatki, przyszła moja żona i powiedziała, że spotkała panią i że pani poszła samotnie na spacer. Sama jej to pani powiedziała, prawda?

- Tak.

- A więc, panno Halcombe, przyjemność towarzyszenia pani na spacerze była dla mnie zbyt wielką pokusą. W moim wieku nie jest to chyba nic złego przyznać się do tego, prawda? Chwyciłem kapelusz i wyruszyłem, by zaofiarować pani swoje towarzystwo. Nawet tak tęgi i stary człowiek jak Fosco to lepszy towarzysz niż żaden, prawda? Ale poszedłem złą drogą, zawróciłem w rozpacz i oto jestem, przybywszy (wolno mi tak się wyrazić?) zgodnie z moimi największymi pragnieniami.

W ten sani sposób prawil mi dalej komplementy z wielką

elocwencją, która pozwalała mi nie podejmować żadnych innych wysiłków, prócz starań o zachowanie spokoju. Nie uczynił najlżejszej nawet aluzji do tego, co widział na ścieżce, ani do listu, który wciąż trzymałam w raku. Ta złowieszcza dyskrecja umacniała mnie w przekonaniu, że musiał odkryć, posługując się najbardziej niehonorowymi środkami, tajemnicę mojego listu do adwokata w sprawie Laury, a upewniwszy się teraz, że odebrałam odpowiedź skrycie, wie już tyle, ile dla swych celów chciał wiedzieć, i dlatego dąży teraz tylko do tego, by uspić podejrzania, które, jak musi się orientować, wzbudził we mnie. Zrozumiawszy tę sytuację byłam na tyle rozsądna, że nie starałam się go oszukiwać przez łatwe wyjaśnienia, i byłam, na tyle kobietą, że mimo całego mego strachu przed nim czułam, że rękę moją płami dotknięcie jego ramienia.

Przed frontem domu zobaczyliśmy dwukółkę, którą właśnie odprowadzano do stajni. Przed chwilą wrócił sir Parsival. Wyszedł na nasze powitanie do drzwi. Jakiegokolwiek mogły być inne rezultaty jego podróży, nie wpłynęła ona na złagodzenie jego humoru.

- O, więc dwoje wraca - powiedział z ponurym i groźnym wyrazem twarzy. - Cóż to ma znaczyć, że dom świeci pustką? Gdzie jest lady Glyde?

Opowiedziałam mu o zgubieniu broszki i o tym, że Laura poszła jej szukać do lasku.

- Broszka czy nie broszka - warknął - poleciłem jej pamiętać o spotkaniu w bibliotece dziś po południu. Będę jej oczekiwał za pół godziny.

Wysunęłam rękę spod ramienia hrabiego i z wolna poczęłam wchodzić na schody. Hrabia obdarzył mnie jednym ze swych wspaniałych ukłonów, a potem wesoło zwrócił się do zmarszczonego groźnie pana domu.

- Powiedz mi, Parsivalu - zaczął - czy miałeś przyjemną drogę? A czy bardzo zmęczyłeś swoją śliczną Gniadą Molly o lśniącej skórze?

- Do kata z Gniadą Molly! Do kata z całą tą wyprawą! Chcę jeść!

- A ja chcę przedtem porozmawiać z tobą parę minut,

Parsivalu - odpowiedział hrabia. - Chcę porozmawiać z tobą, przyjacielu, parę minut tutaj, na murawie.

- O czym?

- O sprawach, które bardzo cię interesują. Przechodziłam przez hali wolno, tak że słyszałam to pytanie i tę odpowiedź i widziałam, jak sir Parsival w gniewnym niezdecydowaniu wsadził ręce do kieszeni.

- Jeżeli chcesz mnie jeszcze zanudzać jakimiś skrupułami z piekła rodem - rzekł - to wcale nie będę ich słuchać. Chcę jeść.

- Wyjdź przed dom i porozmawiaj ze mną - powtórzył hrabia, idealnie obojętny na wszelkie niegrzeczności ze strony przyjaciela.

Sir Parsival zszedł ze schodków. Hrabia ujął go pod ramię i łagodnie wyprowadził. Byłam pewna, że „sprawy” związane były z kwestią podpisu Laury. Bez wątpienia mieli mówić o Laurze i o mnie. Serce we mnie zamarło z niepokoju. Czułam się tak, jak bym miała zemdleć. Dla Laury i dla mnie byłoby niezwykle ważne, gdybyśmy wiedziały, co ci dwaj mówią między sobą w tej chwili, a jednak niepodobieństwem było, by choć jedno słowo ich rozmowy dobiegło moich uszu.

Chodziłam po całym domu, z pokoju do pokoju, mając ukryty na piersiach list od adwokata (bałam się wówczas pozostawić go gdziekolwiek, nawet pod kluczem), a ciężar niepewności przyprawiał mnie niemal o utratę zmysłów. Laura nie nadchodziła i postanowiłam wyjść jej naprzeciw. Ale niepokoje i przejścia tego ranka pozbawiły mnie sił, upał wprost mnie obezwładniał i choć zdobyłam się na wysiłek i podeszłam do drzwi, zmuszona byłam powrócić do salonu i położyć się na najbliższej sofie, by przyjść do siebie.

Uspokajałam się powoli, kiedy drzwi otworzyły się cicho i zajrzał hrabia.

- Stokrotnie przepraszam, panno Halcombe - powiedział. - Ośmielałam się przeszkodzić pani tylko dlatego, że jestem zwiastunem dobrej nowiny. Parsival, który jak pani wiadomo, kieruje się kapryсами, uznał za stosowne zmienić w ostatnim momencie swe postanowienie i sprawa podpisu zostaje odłożona. Wielka to ulga dla nas wszystkich, panno Halcombe,

jak z przyjemnością czytam to w pani twarzy. Gdy będzie pani wspominać lady Glyde o tej pomyślnej zmianie okoliczności, proszę załączyć ode mnie wyrazy głębokiego szacunku.

Zostawił mnie samą, nim zdołałam ochłonąć ze zdumienia. Nie miałam żadnej wątpliwości, że ta niezwykła zmiana zamierzeń co do podpisu dokonała się pod wpływem hrabiego i że jego odkrycie, że pisałam wczoraj do Londynu i że dziś otrzymałam odpowiedź, dało mu możliwość skutecznego interweniowania w tej sprawie.

Czułam to wszystko niejasno, ale umysł mój zdawał się podzielać wyczerpanie mego ciała i nie byłam w stanie zastanowić się nad tym i wyciągnąć jakichkolwiek pożytecznych wniosków, ani co do niepewnej terażniejszości, ani groźnej przyszłości. Spróbowałam po raz drugi wyjść na dwór i szukać Laury, ale kręciło mi się w głowie i kolana uginały się pode mną. Nie było rady, musiałam znowu zrezygnować i położyć się na sofie, choć tak bardzo nie zgadzało się to z moimi planami.

Spokój domu, ciche brzęczenie owadów za otwartym oknem działały na mnie kojąco. Powieki same opadły mi na oczy i stopniowo zapadłam w dziwny sen, który nie był jawą, gdyż nie zdawałam sobie sprawy z tego, co się wokół mnie działo, ale też i nie był snem, gdyż miałam świadomość, że odpoczywam. W tym stanie mój zgorączkowany umysł wyzwolił się z więzów strudzonego, pogrążonego w beczynności ciała i w jakimś transie czy też fantastycznym śnie na jawie - bo nie wiem, jak to nazwać - zobaczyłam Waltera Hartrighta. Nie myślałam o nim, odkąd wstałam tego rana, Laura nie powiedziała ni jednego słowa, pośrednio lub bezpośrednio odnoszącego się do niego - a jednak widziałam go tak wyraźnie, jak gdyby powróciła przeszłość i jak byśmy byli razem we dworze w Limmeridge.

Pojawił się w otoczeniu gromady mężczyzn, których twarzy nie mogłam dojrzeć wyraźnie. Leżeli na schodach jakiejś ogromnej zrujnowanej świątyni. Olbrzymie drzewa tropikalne - wokół ich pni wiły się w nie kończących się splotach bujne pnącza, a poprzez ich liście i gałęzie przeświecały w pewnych

odstępach kamienne posągi szydlerczo śmiejących się bożków - otaczały świątynię, zakrywając niebo i rzucając złowrogi cień na grupę wynędzniałych mężczyzn na jej schodach. Kłęby białych wyziewów wznosiły się z ziemi i skręcając się w węzowe sploty skradały się ku owym ludziom, dotykały ich, a wtedy tamci jeden po drugim padali trupem na miejscu. Współczucie i lęk o Waltera kazały mi przemówić. Błagałam go, żeby uciekał. - Wracaj, wracaj! - mówiłam. - Pamiętaj, coś przyrzekł jej i mnie. Wracaj do nas, nim dosięgnie cię zaraza i każe umrzeć, tak jak tamtym.

Spojrzał na mnie mając w twarzy nieziemski spokój. - Czekaj - odpowiedział. - Ja wrócę. W tę noc, kiedy spotkałem na szosie zabłąkaną kobietę, życie moje zostało wybrane, by przez nie dopełnił się Zamiar, którego jeszcze nie znamy. Tutaj, zagubiony w głuszy, czy tam, witany w moim rodzimym kraju, dążę wciąż ciemną drogą, która wiedzie mnie i ciebie, i tę, którą oboje kochamy, ku nieznannej Zapłacie i nieuniknionemu Końcowi. Czekaj i patrz. Zaraza, porażająca innych swym tchnieniem, mnie ominie.

Zobaczyłam go ponownie. Wciąż jeszcze znajdował się w puszczy, lecz miał przy sobie bardzo niewielu towarzyszy. Świątynia zniknęła, bożki zniknęły, a na ich miejsce pojawiły się karłowate i ciemne postacie ludzi, którzy z łukiem w ręku, strzałą na cięciu i pragnieniem mordu w sercu przemykali wśród drzew. Znowu ogarnął mnie lęk o Waltera i krzyknęłam, by go ostrzec. Znowu zwrócił się ku mnie z niewzruszonym spokojem w twarzy. - Jeszcze jeden krok po ciemnej drodze - powiedział. - Czekaj i patrz. Strzały, które dosięgną innych, oszczędzą mnie.

Zobaczyłam go po raz trzeci na rozbitym okręcie, wyrzuconym na dziki piaszczysty brzeg. Przepelnione łodzie oddalały się od niego, płynąc ku lądowi i tylko on sam pozostał na tonącym okręcie. Zawołałam ku niemu, by zatrzymał ostatnią łódź i ratował swe życie. Spokojna twarz zwróciła się ku mnie, niewzruszony głos dał mi niezmienną odpowiedź: - Jeszcze jeden krok na mej drodze. Czekaj i patrz. Morze, które pochłonie innych, oszczędzi mnie.

Zobaczyłam go po raz ostatni. Klęczał przy grobie z białego marmuru, z grobu wstał cień kobiety w welonie i czekał u jego boku. Nieziemski spokój jego twarzy zmienił się w nieziemski smutek. Ale w słowach, które wypowiedział, brzmiała ta sama straszliwa pewność: - Coraz ciemniej i coraz dalej - rzekł. - Śmierć zabiera istoty dobre, piękne i młode, a mnie oszczędza. Zaraza, która tchnie morem. Strzała, która zabija. Morze, które zatapia. Grób, który grzebie Miłość i Nadzieję - są stopniami mojej podróży i wiodą coraz bliżej i bliżej ku Końcowi...

Serce we mnie zamarło z lęku, którego nie wypowiedzą słowa, ze smutku, któremu łzy nie zdołają przynieść ulgi. Ciemność ogarnęła pielgrzyma przy marmurowym grobie, ciemność ogarnęła kobietę w welonie, która wstała z grobu, ciemność objęła tę, która na nich patrzyła. Nie widziałam już i nie słyszałam nic więcej.

Zbudziło mnie czyjeś dotknięcie. To Laura położyła dłoń na moim ramieniu. Klęczała przy sofie. Twarz miała rozpaloną, oczy patrzyły na mnie nieprzytomnie. Ujrawszy ją zerwałam się na równe nogi.

- Co się stało? - spytałam. - Co cię przestraszyło? Obejrzała się na uchylone drzwi, przysunęła wargi do mego ucha i odpowiedziała szeptem:

- Marianno... ta postać nad jeziorem... kroki w lesie... widziałam ją...rozmawiałam z nią!

- Z kim, na litość Boską?

- Z Anną Catherick.

Byłam tak wstrząśnięta zmianą w wyglądzie i zachowaniu Laury, tak przerażona świeżym wspomnieniem snu, że nagle przecucie, które spadło na mnie, gdy wypowiadała te słowa, poraziło mnie jak grom. Nogi mi wrosły w ziemię i stałam bez tchu, patrząc na nią w milczeniu.

Lecz ona zbyt była przejęta tym, co się stało, by zauważyć, jakie wrażenie sprawiła na mnie jej odpowiedź.

- Widziałam Annę Catherick! Mówiłam z Anną Catherick! - powtarzała, jak gdybym jej nie słyszała. - Och, Marianno, tyle ci mam do opowiedzenia! Chodźmy stąd, tutaj ktoś może nam przeszkodzić, chodźmy zaraz do mojego pokoju.

Wypowiadając z przejęciem te słowa schwyła mnie za rękę i poprowadziła przez bibliotekę do ostatniego pokoju na parterze, który był przeznaczony specjalnie na jej użytek. Nikt, z wyjątkiem jej pokojówki, nie mógłby znaleźć żadnego usprawiedliwienia, by nas tu zaskoczyć. Wepchnęła mnie przed sobą, zamknęła na klucz drzwi i zasunęła wiszącą na nich perkalową zasłonę.

Nie mogłam się wyzwolić z dziwnego uczucia otępienia. Ale z coraz to rosnącą siłą poczynało budzić się we mnie przekonanie, że grożące od jakiegoś czasu i mnie, i Laurze trudności nagle objęły nas obie ciasnym kręgiem. Nie mogłabym wyrazić tego słowami, zaledwie z trudnością, niejasno uświadamiałam to sobie. - Anna Catherick! - szeptałam sama do siebie, powtarzając to bezradnie i bez sensu. - Anna Catherick! Laura przyciągnęła mnie do szeszlunku na środku pokoju.

- Spójrz - rzekła - spójrz tutaj - i wskazała ręką na stanik swej sukni.

Dopiero wtedy spostrzegłam, że zagubiona broszka znajdowała się znowu na swym miejscu.

Ten widok miał w sobie coś realnego, a jeszcze bardziej realnym było dotknięcie broszki, i to sprawiło, że stopniowo ustąpił z mych myśli zamęt i chaos i zaczęłam się uspokajać.

- Gdzie znalazłaś broszkę? - pierwszymi słowami, na jakie się zdobyłam w tej ważnej chwili, było to błahe pytanie.

- Marianno, to ona znalazła broszkę.

- Gdzie?

- Na ziemi, na przystani. Och, od czegoż mam zacząć... jak ci mam to wszystko opowiedzieć! Mówiła do mnie w tak dziwny sposób... Wydała mi się taka chora... odeszła tak nagle...

Laura mówiła coraz głośniej, w miarę jak ożywały w niej cha, otyczne wspomnienia. Głęboko we mnie zakorzeniona nieufność, która ni dniem, ni nocą nie opuszcza mnie w tym domu, natychmiast kazała mi ją ostrzec - tak jak przed chwilą widok broszki kazał mi zadać owo pytanie.

- Mów ciszej - rzekłam. - Okno jest otwarte, a pod nim biegnie ścieżka. Zacznij od początku, Lauro. Opowiedz mi jak najdokładniej, co zaszło między tobą a tą kobietą.

- Może zamknę okno?

- Nie, tylko mów ciszej. Pamiętaj, że Anna Catherick to niebezpieczny temat w domu twego męża. Gdzie ją zobaczyłaś?

- Na przystani, Marianno. Jak wiesz, poszłam szukać broszki. Idąc ścieżką przez las uważnie rozglądałam się dokoła. W ten sposób, po dość długim czasie, doszłam do przystani i gdy tylko znalazłam się wewnątrz, poczęłam na klęczkach jej szukać. Klęczałam jeszcze, plecami zwrócona do drzwi, kiedy usłyszałam za sobą cichy, nieznan mi głos, który mówił: „Panno Fairlie!”

- Panno Fairlie?!

- Tak, usłyszałam moje dawne nazwisko, moje drogie rodzinne nazwisko, z którym, jak sądziłam, rozstałam się na zawsze. Poderwałam się na równe nogi, ale nie ze strachu, bo głos ów był tak łagodny, że nie mógłby przestraszyć nikogo, tylko z wielkiego zdziwienia. I oto we drzwiach stała i patrzyła na mnie kobieta, której twarzy nie widziałam chyba nigdy przedtem.

- Jak była ubrana?

- Miała na sobie czystą i ładną białą suknię, a na niej cienki i wytarty szal ciemnego koloru. Kapelusik z brązowej słomki, tak skromniutki i zniszczony jak szal. Uderzyła mnie różnica między jej suknią a resztą jej stroju i spostrzegłam, że ona zauważyła moje zdziwienie. „Niech pani nie patrzy na mój szal ani na kapelusz - powiedziała szybko, niemal bez tchu. - Jeżeli muszę nosić ubranie w innym kolorze niż biały, nie dbam o to, jakie ono jest. Niech pani patrzy do woli na moją białą suknię, jej nie potrzebuję się wstydzić!” Dziwne, prawda? Nim zdążyłam cośkolwiek powiedzieć, by ją uspokoić, wyciągnęła rękę, w której trzymała moją broszkę. Taka byłam wdzięczna i tak się ucieszyłam, że podeszłam do niej bardzo blisko, aby jej powiedzieć, co czuję. „Czy jest mi pani na tyle wdzięczna, że zechciałaby pani coś dla mnie zrobić?” - spytała. „Naturalnie - odpowiedziałam. - Zrobię dla pani wszystko, co będę mogła” - rzekłam. „Więc niech pani pozwoli, bym przypięła jej broszkę, skoro ją znalazłam”. Jej prośba tak mnie zaskoczyła i wypowiedziana była tak żarliwie, że cofnęłam się o parę

kroków, nie wiedząc, co począć. „Ach - powiedziała - pani matka na pewno pozwoliłaby, bym przypięła jej broszkę”. Jej głos i zachowanie, jej wyrzut i powołanie się na moją matkę sprawiły, że zawstydziłam się swej nieufności. Ujęłam ją za rękę, w której trzymała broszkę, i położyłam na mej sukni, w miejscu, gdzie miała ją przypiąć. „Pani znała moją matkę? - spytałam. - Czy to było bardzo dawno? Czy ja widziałam panią kiedykolwiek przedtem?” Przypinała właśnie broszkę, trzymając ją obu rękami. Zatrzymała się i mocno przycisnęła obie dłonie do mej piersi. „Czy nie pamięta pani pewnego pięknego wiosennego dnia w Limmeridge - powiedziała - gdy pani matka szła ścieżką do szkoły, prowadząc za rękę dwie małe dziewczynki? Ja nie mam innych wspomnień i dlatego to pamiętam. Pani była jedną z tych dziewczynek, ja byłam drugą. Ładniutka, bystra panna Fairlie i biedna, onieśmielona Anna Catherick były wówczas o wiele bliższe sobie niż teraz”.

- Lauro, czy przypomniałaś ją sobie, kiedy powiedziała ci, jak się nazywa?

- Przypomniałam sobie, jak pytałaś mnie w Limmeridge o Annę Catherick i że mówiłaś, że uważano ją kiedyś za podobną do mnie.

- A co ci o tym przypomniało?

- Ona sama. Kiedy przyglądałam się jej stojąc bardzo blisko, nagle przyszło mi do głowy, że jesteśmy podobne. Twarz miała bladą, wychudłą i zmęczoną, ale patrząc na nią doznałam dziwnego wrażenia, jak gdybym ujrzała w lustrze odbicie swej własnej twarzy po długiej chorobie. Nie wiem dlaczego, ale to odkrycie bardzo mną wstrząsnęło i przez chwilę nie mogłam słowa przemówić.

- A czy jej nie uraziło twoje milczenie?

- Zdaje mi się, że tak. „Nie odziedziczyła pani twarzy swej matki ani serca swej matki - rzekła. - Twarz pani matki była ciemna, a serce pani matki, panno Fairlie, było sercem anioła”. „Mam dla pani dużo życzliwości - powiedziałam - choć zapewne nie umiem tego okazać jak należy. Dlaczego nazwała mnie pani panną Fairlie?” „Ponieważ kocham nazwisko Fairlie, a nienawidzę nazwiska Glyde!” - wybuchnęła gwałtownie.

Wydawało mi się, że w tej chwili dojrzałam w jej oczach szaleństwo. „Myślałam, że może nie wie pani, że wyszłam za męża” - powiedziałam, przypominając sobie szaleńczy list, jaki napisała do mnie do Limmeridge, i starając się ją uspokoić. Westchnęła gorzko i odwróciła się ode mnie. „Nie wiem, że pani wyszła za męża? - powtórzyła. - Przecież dlatego tu jestem, że pani wyszła za męża. Przyszłam, aby dać pani zadośćuczynienie, nim spotkam się z pani matką na tamtym świecie”. Odsuwała się coraz bardziej ode mnie, aż wyszła z przystani. Rozglądała się i nasłuchiwała przez chwilę. Potem zwróciła się do mnie i zaczęła mówić, ale nie weszła do środka, tylko stała w drzwiach, opierając się o nie obu rękami i patrząc na mnie. „Czy widziała mnie pani nad jeziorem wczoraj wieczór? - spytała. - Czy słyszała pani, jak szłam za panią w lasku? Czekałam już od wielu dni, aby porozmawiać z panią samą. Opuściłam jedyną przyjaciółkę, jaką mam na tym świecie, choć bardzo niepokoiła się o mnie... naraziłam się na to, że mnie znowu zamkną w zakładzie... a to wszystko dla pani, panno Fairlie, dla pani...” Jej słowa przeraziły mnie, Marianno, ale mówiła to w taki sposób, że zaczęłam jej z całego serca współczuć. Jestem pewna, że szczerze się nad nią litowałam, bo pod wpływem tego uczucia odważyłam się prosić ją, żeby weszła i usiadła koło mnie.

- Czy posłuchała ciebie?

- Nie. Potrząsnęła głową i powiedziała mi, że musi stać tam, gdzie stoi, żeby móc patrzeć i nasłuchiwać, i nie pozwolić, żeby nas kto zaskoczył. I aż do końca stała w drzwiach, opierając się o nie obu rękami. Czasem przechylała się gwałtownie ku mnie, żeby mi coś powiedzieć, czasami gwałtownie cofała się, żeby się rozejrzeć dokoła. „Byłam tutaj wczoraj przed zmrokiem i słyszałam, jak pani rozmawiała z tą drugą panią. Słyszałam, jak opowiadała jej pani o swoim mężu. Słyszałam, jak pani mówiła, że nie jest w pani mocy sprawić, żeby pani wierzył ani też żeby milczał. Ach, wiem, co znaczą te słowa. Sumienie mi to powiedziało, gdy pani słuchała. Jak mogłam dopuścić, żeby pani za niego wyszła! Och, ten mój szaleńczy lęk... ten mój nieszczęsny, podły lęk!” Zakryła twarz swoim

zniszczonym szalem, jęcząc

i mrużąc coś do siebie. Zaczęłam się bać, że wpadnie w taką rozpacz, że ani sama nie będzie mogła się opamiętać, ani ja nie będę jej mogła nic pomóc. „Niech się pani stara uspokoić - radziłam. - Niech mi pani powie, w jaki sposób mogła pani zapobiec memu małżeństwu?” Odsłoniła twarz i spojrzała na mnie nieprzytomnie. „Powinnam była zdobyć się na odwagę i iść do Limmeridge - odrzekła. - Nie powinnam była wystraszyć się wiadomością o jego przyjeździe. Powinnam była ostrzec panią i ocalić panią, gdy jeszcze miałam czas po temu. Dlaczego tylko na to starczyło mi odwagi, żeby do pani napisać? Dlaczego uczyniłam krzywdę, gdy chciałam czynić dobrze? Och, ten mój szaleńczy lęk, ten mój nieszczęsny, podły lęk!” Znowu powtarzała te słowa, znowu zakryła twarz końcem swego zniszczonego szala. Strach było na nią patrzeć, strach było jej słuchać.

- Ale, Lauro, chyba zapytałaś ją, czego się tak okropnie lękała?

- Tak, zapytałam.

- I cóż ci powiedziała?

- W odpowiedzi zapytała mnie, czy nie bałabym się człowieka, który zamknął mnie w zakładzie dla obłąkanych i ponownie by zamknął, gdyby tylko mógł! Wtedy powiedziałam: „Czy wciąż się go pani boi? Na pewno by tu pani nie przyszła, gdyby się pani bała”. „Nie - odrzekła - teraz już się nie boję”. Zapytałam ją, dlaczego się nie boi. Nagle pochyliła się ku mnie i powiedziała: „Czy domyśla się pani, dlaczego?” Potrząsnęłam głową. „Niech mi się pani przyjrzy”. Powiedziałam jej, że z wielką przykrością widzę, że wygląda na chorą i nieszczęśliwą. Wtedy po raz pierwszy uśmiechnęła się. „Wyglądam na chorą? - rzekła. - Jestem umierająca. Teraz już pani wie, dlaczego się go nie boję. Jak pani myśli, czy w niebie spotkam pani matkę? A jeżeli ją spotkam, czy mi wybaczy?” Byłam tak wstrząśnięta i tak przerażona, że nie mogłam jej nic odpowiedzieć. „Myślałam o tym - ciągnęła - przez cały czas, gdy ukrywałam się przed pani mężem, przez cały czas, gdy leżałam chora. To moje myśli przygnały mnie tutaj. Chcę dać pani zadośćuczynienie. Chcę

odrobić zło, jakie kiedyś uczyniłam". Błagałam ją usilnie, aby powiedziała jasno, co ma na myśli. Utkwiła we mnie oczy, ale zdawała się mnie. nie widzieć. „Czy uda mi się odrobić zło? - rzekła do siebie powątpiewająco. - Pani ma przyjaciół, którzy się za panią ujmą. Jeżeli będzie pani знаła jego sekret, on będzie się pani bał i nie ośmieli się postąpić z panią tak, jak postąpił ze mną. Ze względu na samego siebie będzie musiał się z panią dobrze obchodzić, jeśli będzie się bał pani i pani przyjaciół. A jeżeli będzie się dobrze do pani odnosić i będę mogła powiedzieć, że ja to sprawiłam..." Czekałam w napięciu, co powie dalej, ale ona urwała na tych słowach.

- Starłaś się, by powiedziała coś więcej?

- Tak, ale ona odsunęła się ode mnie i oparła głowę o ścianę. „Och! - na wpół przytomnie, z jakimś przerażającym rozrzewnieniem w głosie szeptała. - Och, gdybym tylko mogła być pochowana razem z pani matką! Gdybym tylko mogła spoczywać u jej boku, aż zagrzmie trąba archaniola i groby wydadzą swych zmarłych w dzień zmartwychwstania!" Marianno! Drżałam cała, straszno było jej słuchać. „Ale nie ma nadziei na to - ciągnęła i poruszyła się, tak by mogła mnie widzieć. - Jestem jej obca i nie mogę mieć na to nadziei. Nie będę leżeć pod marmurowym krzyżem, który własnymi rękami zmywałam, aby był biały i czysty przez pamięć na nią. Ach, nie, nie. Litość Boga, a nie człowieka przywiedzie mnie do niej, tam gdzie niegodziwcy nie dręczą już innych, a znużeni znajdują spoczynek!" Wypowiedziała te słowa spokojnie i ze smutkiem, westchnęła ciężko, beznadziejnie, a potem przez chwilę milczała. W twarzy miała zmieszanie i zakłopotanie, wydawało się, że nad czymś myśli czy też stara się myśleć. „O czym mówiłam? - spytała po chwili. - Kiedy myślę o pani matce, zapominam o wszystkim innym. Co takiego mówiłam? Co mówiłam?" Jak mogłam najdelikatniej i najłagodniej przypomnieć biedactwu. „A, tak, tak - powiedziała, wciąż jeszcze zaambarasowana i roztargniona. - Jest pani bezradna wobec swego podłego męża. Tak. A ja muszę zrobić to, dla czego tu przyszedłam. Muszę dać pani zadośćuczynienie za to, że w lepszych czasach bałam się mówić z panią". „A co ma mi pani

do powiedzenia?" - nalegałam. „Sekret, którego boi się pani okrutny mąż - powiedziała. - Raz zagroziłam mu tym sekretem i przestraszył się. Pani także będzie mogła mu tym zagrozić i przestraszyć go". Twarz jej pociemniała, a w oczach pojawił się twardy, gniewny wyraz. Zaczęła w roztargnieniu, bezwiednie machać ku mnie ręką. „Moja matka zna jego sekret - powiedziała. - Moja matka zrujnowała sobie życie przez ten sekret. Jednego dnia, kiedy już byłam dorosła, powiedziała mi coś. A następnego dnia pani mąż...”

- Tak, tak! Mów dalej! Co ci powiedziała o twoim mężu?

- Przerwała w tej chwili, Marianno...

- I nic już nie powiedziała?

- Nasłuchiwała z uwagą. „Sza! - szepnęła, wciąż machając ku mnie ręką. - Sza! ”Wysunęła się bokiem z drzwi, szła powoli, skradając się krok po kroku, aż zasłonił ją węgiel przystani.

- Poszłaś chyba za nią?

- Tak. Niepokój kazał mi wstać i iść za nią. Gdy byłam w drzwiach, niespodzianie ukazała się znowu zza ściany. „Sekret - szepnęłam. - Poczekaj i wyjaw mi sekret”. Chwyliła mnie za ramię, wpatrując się we mnie nieprzytomnymi z przerażenia oczyma. „Nie teraz - szepnęła - nie jesteśmy same... śledzą nas. Przyjdź tu jutro o tym czasie... sama!... pamiętaj, sama!” Wepchnęła mnie gwałtownie do szopy i już jej więcej nie widziałam.

- Ach, Lauro, Lauro, jeszcze jedna szansa stracona! O, gdybym ja była blisko, nie uciekłyby nam. W której stronie zniknęła?

- Z lewej strony, tam gdzie się teren obniża i gdzie las jest najgęstszy.

- Czy biegłaś za nią? Czy wołałaś ją?

- Czyż mogłam? Tak się przeraziłam, że niezdolna byłam się poruszyć ani odezwać.

- Ale kiedy się poruszyłaś..kiedy wyszłaś...?

- Biegłam tutaj, aby ci opowiedzieć o tym.

- Czy widziałaś albo słyszałaś kogo w lesie?

- Nie, wydawało mi się, że było tam zupełnie spokojnie, gdy przechodziłam.

Milczałam przez chwilę i zastanawiałam się. Czy ten domniemany tajemniczy świadek rozmowy istniał naprawdę, czy też był tylko tworem chorobliwej wyobraźni Anny Catherick? Ale jedno było pewne, że nie powiodło się nam znowu, choć byliśmy już na progu tajemnicy, nie powiodło nam się całkowicie i nieodwołalnie, chyba że Anna Catherick dotrzyma przyrzeczenia i przyjdzie następnego dnia do przystani.

- Czy jesteś pewna, że powiedziałaś mi o wszystkim, co zaszło? Czy powtórzyłaś mi każde słowo rozmowy? - dopytywałam.

- Myślę, że tak - odpowiedziała. - Moja pamięć, Marianno, nie dorównuje twojej. Ale jestem pod tak silnym wrażeniem i tak głęboko zainteresowana, że jest niemożliwe, bym pominęła coś ważnego.

- Lauro kochana, każdy szczegół jest ważny, gdy chodzi o Annę Catherick. Pomyśl jeszcze. Czy nie mówiła przypadkiem czegoś, co mogłoby wskazać, gdzie obecnie przebywa?

- Nie, nie przypominam sobie.

- Czy nie wspominała o towarzyszce czy przyjaciółce, kobiecie nazwiskiem Clements?

- O, tak, tak. Zapomniałam. Powiedziała mi, że pani Clements bardzo chciała przyjść z nią nad jezioro, czuwać nad nią, że błagała ją i prosiła, aby nie odważyła się sama pokazywać w tej okolicy.

- Czy tylko tyle powiedziała ci o pani Clements?

- Tak, tylko tyle.

- A czy nie mówiła, gdzie się schroniła po wyjeździe z Zakątka Todda?

- Nie. Jestem pewna, że nie mówiła.

- Ani o tym, gdzie była do tej pory? Ani na co choruje?

- Nie, Marianno, ani jednego słowa. Powiedz mi, błagam cię, co o tym wszystkim myślisz. Ja nie mam pojęcia, co o tym myśleć ani co robić.

- Kochanie, to masz robić: koniecznie przyjść jutro punktualnie na spotkanie. Nie sposób jest przewidzieć, jakie owoce wydać może twoje spotkanie z tą kobietą. Ale tym razem

nie będziesz zostawiona samej sobie. Pójdę za tobą w bezpiecznej odległości. Nikt mnie nie zobaczy, ale będę tak blisko, bym mogła cię słyszeć, jeśli się coś stanie. Anna Catherick uciekła Walterowi Hartright i uciekła tobie. Ale nie ucieknie mnie, cokolwiek się zdarzy.

Laura wpatrywała się we mnie badawczo.

- Czy wierzysz, Marianno, w ten sekret, którego ma się obawiać mój mąż? A może w gruncie rzeczy istnieje on tylko w wyobraźni Anny Catherick? A może tylko ze względu na dawne wspomnienia chciała zobaczyć mnie i rozmawiać ze mną? Jej zachowanie było tak dziwne, że nie wiem, co o tym myśleć. Czy można polegać na niej, gdy chodzi o inne sprawy?

- Nie polegam na niczym, Lauro, tylko na własnej obserwacji zachowania twego męża. Na podstawie jego czynów oceniam jej słowa i wierzę, że istnieje jakaś tajemnica.

Nie powiedziałam już nic więcej i wstałam, żeby wyjść z pokoju. Niepokoiły mnie pewne myśli i gdybyśmy rozmawiały dłużej, pewno bym je wyjawiała Laurze - a nie byłoby dobrze dla niej je znać. Wrażenia, jakich doznawałam słuchając opowiadania Laury, pozostawały pod silnym wpływem złowrogiego snu, z którego mnie przebudziła.

Niewypowiedzianym lakiem przejmowało mnie przecucie straszliwej a niedalekiej przyszłości, każąc mi wierzyć, że gromadzące się wokół nas trudności posiadają jakiś ukryty sens. Pomyślałam o Walterze Hartrighcie - żywym człowieku, jakiego widziałam w chwili pożegnania, i Walterze - zjawie ze snu, i wtedy również pomyślałam, że po omacku zdążamy ku wyznaczonemu z góry i nieuniknionemu końcowi.

Laura udała się na górę, a ja wyszłam, by rozejrzeć się po terenie naszych pobliskich spacerów. Okoliczności, w jakich Anna Catherick rozstała się z Laurą, sprawiły, że zapragnęłam dowiedzieć się, jak hrabia Fosco spędza popołudnie, i zaczęłam nieufnie i z obawą rozmyślać, jakie mogły być rezultaty samotnej podróży sir Parsivala, z której tak niedawno powrócił.

Rozglądałam się na wszystkie strony szukając sir Parsivala i hrabiego, ale daremnie. Wróciłam więc do domu i badałam po kolei wszystkie pokoje na parterze. Nie było nikogo. Wyszłam

ponownie do hallu i udałam się schodami na górę, by zobaczyć się z Laurą. Gdy idąc korytarzem mijałam drzwi pokoju madame Fosco, ona je właśnie otwierała. Zatrzymałam się i zapytałam, czy by nie zechciała mi powiedzieć, gdzie znajduje się jej mąż i sir Parsival. Owszem, widziała ich przez okno godzinę lub może trochę więcej niż godzinę temu. Hrabia ze zwykłą sobie uprzejmością popatrzył w jej stronę i, jak zawsze dbały, by okazywać jej względy w najmniejszych nawet drobiazgach, nadmienił, że wraz z przyjacielem udaje się na daleki spacer.

Na daleki spacer?, Odkąd ich znam, nigdy nie szukali swego towarzystwa w tym celu. Sir Parsival nie uprawiał żadnych ćwiczeń fizycznych (chyba że grzeczność kazała mu opiekować się mną na spacerze).

Kiedy zobaczyłam się z Laurą, okazało się, że w czasie mojej nieobecności przypomniała sobie, że miała niezwłocznie złożyć podpis na dokumencie, o czym zupełnie zapomnieliśmy, przejęte omawianiem spotkania z Anną Catherick. Pierwsze jej słowa wyrażały zdziwienie, że wbrew oczekiwaniom sir Parsival nie wezwał jej do biblioteki.

- Możesz się tym nie niepokoić - powiedziałam. - Ani ty, ani ja nie będziemy już wystawione na dalsze próby, przynajmniej w chwili obecnej. Sir Parsival zmienił plany i odłożył tę sprawę.

- Tak? - zdziwiła się Laura. - Kto ci o tym powiedział?

- Wiem o tym od hrabiego Fosco. Przekonana jestem, że jego to wpływom zawdzięczamy nagłą zmianę planów twego męża.

- Wydaje mi się to niemożliwe, Marianno. Jak mógł odłożyć tę sprawę, skoro, jak przypuszczamy, miałam podpisać dokument pozwalający mu zdobyć pieniądze, których pilnie potrzebuje?

- Myślę, Lauro, że możemy odpowiedzieć na to pytanie. Czy zapomnieliś o podsłuchanej przeze mnie w hallu rozmowie między sir Parsivalem i adwokatem?

- Nie, ale nie pamiętam...

- Ja pamiętam. Istniała taka alternatywa: albo zdobyć twój podpis, albo wystawić weksle na trzy miesiące, by zyskać na czasie. Sir Parsival zdecydował się widocznie na tę drugą

możliwość i możemy się spodziewać, że w najbliższej przyszłości nie będziemy przynajmniej zamieszane w jego kłopoty.

?Och, Marianno, to brzmi zbyt dobrze, by mogło być prawdziwe.

- Doprawdy, najdroższa! Niedawno wieszowałam mi mojej doskonałej pamięci, ale teraz wydaje mi się, że w nią wątpisz. Pójdę po mój dzienniczek, żebyś sama zobaczyła, czy nie mam racji.

Przyniosłam go od razu.

Zajrzawszy do zapisków, odnoszących się do wizyty prawnika, przekonaliśmy się, że dokładnie przytoczyłam jego słowa. Potwierdzenie tego, że i w tym wypadku, podobnie jak zazwyczaj, pamięć moja nie zrobiła mi zawodu, stanowiło dla mnie niemal taką samą ulgę, jak dla Laury. W naszej sytuacji obecnej, tak niebezpiecznej i niepewnej, nie wiadomo po prostu, jakie konsekwencje mieć może regularne prowadzenie zapisków w moim dzienniku i dokładność moich wspomnień w czasie, gdy je opisuję.

Twarcz Laury i jej zachowanie zdradziły mi, że i jej również nasunęła się ta refleksja. A przecież jest to tylko drobiazg i wstyd mi pisać o tym, gdyż rzuca to tak jaskrawe światło na naszą nieszczęsną sytuację. Doprawdy, na niewielu rzeczach możemy polegać, skoro odkrycie, że można polegać na mojej pamięci, sprawia nam tyle radości, co zdobycie nowego przyjaciela.

Rozdzielił nas pierwszy dzwonek na obiad. Gdy przebrzmiał, sir Parsival i hrabia powrócili ze spaceru. Słyszaliśmy, jak pan domu grzmiał na służbę za to, że się obiad pięć minut opóźnił, i jak jego gość przedkładał, jak zawsze, że należy okazać cierpliwość i zachować spokój.

Wieczór nadszedł i przeminął. Nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego, ale w zachowaniu sir Parsivala i hrabiego zauważyłam pewne szczególne zmiany i pod wpływem tych spostrzeżeń szłam spać pełna niepokoju i obaw o Annę

Catherick i o to, co przynieść może dzień jutrzejszy.

Poznałam już sir Parsivala dostatecznie, żeby wiedzieć z całą pewnością, że jego najbardziej fałszywe, a więc i najbardziej niebezpieczne oblicze - to oblicze uprzejme. Długi spacer z przyjacielem wpłynął na poprawę jego manier, zwłaszcza w stosunku do żony. Ku cichemu zdumieniu Laury, a memu cichemu przerażeniu, zwracał się do niej po imieniu, rozpytywał, czy nie miała ostatnio wiadomości od stryja, interesował się, kiedy, pani Vesey skorzysta z zaproszenia na przyjazd do Blackwater, i okazywał żonie tyle drobnych uprzejmości, że przypominało to nienawistny okres jego konkurów. Zły to był początek, ale jeszcze bardziej złowieszcze wydało mi się to, że po obiedzie udawał, że śpi w salonie, i spod przymrużonych powiek przebiegle śledził Laurę i mnie, sądząc, że nie podejrzewamy go o to. Nie miałam nigdy najmniejszej wątpliwości, że celem jego samotnej, nagej wyprawy było odwiedzenie pani Catherick w Welmingham. Przeżycia dzisiejszego wieczoru każą mi obawiać się, że podróż ta nie była daremną i że udało mu się zyskać informacje, dla zdobycia których nas opuścił. Gdybym wiedziała, gdzie można odnaleźć Annę Catherick, wstałabym jutro o wschodzie słońca i ostrzegła ją.

Podczas gdy sir Parsival ukazał mi się dzisiaj w roli niestety aż nazbyt dobrze znanej, hrabiego, przeciwnie, ujrzałam w zupełnie nowym świetle. Dzisiejszego wieczoru dał mi się poznać, po raz pierwszy, odkąd go spotkałam, jako Człowiek Sentymentu i to, jak sądzę, sentymentu rzeczywiście odczuwanego, a nie udawanego tylko na tę okazję.

Był, na przykład, spokojny i cichy, jego spojrzenie i głos wyrażały opanowaną czułość. Ubrał się - jak gdyby istniał jakiś ukryty związek między jego najelegantszym strojem a najgłębszym uczuciem - w najwspanialszą kamizelkę, w jakiej się kiedykolwiek przed nami zjawił. Uszyta była z bładozielonego jedwabiu, delikatnie przetykanego srebrną nitką.

Kiedy zwracał się do Laury albo do mnie, w głosie jego brzmiały najczulsze tony, a uśmiech wyrażał troskliwą

ojcowską miłość. Dziękując żonie za drobne usługi przy obiedzie, ścisnął jej rękę pod stołem. Przepił do niej winem. - Za twoje zdrowie i szczęście, mój aniele! - powiedział z wilgotnymi, tkliwymi oczami. Jadł bardzo niewiele, wzdychał i mówił: - Mój dobry Parsivalu! - kiedy przyjaciel śmiał się z niego. Po obiedzie ujął Laurę za rękę i spytał, czy nie byłaby „tak słodka”, by zagrać dla niego. Z samego zdziwienia przystała na to. Siedział przy pianinie, a łańcuszek od jego zegarka wił się, jak złoty wąż, na bladzielonej krągłości jego kamizelki. Ogromna głowa pochylona była leniwie na bok, a dwa bladeżółte palce wybijały z cicha takt. Gorąco wychwalał muzykę, subtelnie wyrażał uznanie dla gry Laury, nie tak jak zwykł zachwycać się nią biedny Walter Hartright z bezwiednym wycuciem piękna dźwięku, lecz z precyzyjną, płynącą z posiadanej kultury muzycznej umiejętnością ocenienia po pierwsze zalet kompozycji, a po drugie uderzenia pianistki. Gdy zapadł zmierzch, prosił, by nie profanowano jeszcze uroczych, zamierających blasków przez zapalenie lamp. Podszedł tym swoim okropnym cichym krokiem do najdalszego okna, przy którym stanęłam chcąc zejść mu z drogi i uniknąć nawet jego widoku - podszedł i prosił, bym poparła jego protest przeciw zapalaniu lamp. Gdyby światło lampy zdolne było w tym momencie go spopielić, poszłabym do kuchni i przyniosła ją sama.

- Przecież lubi pani chyba ten skromny i drżący angielski półmrok? - powiedział cicho. - Ach! Ja go uwielbiam. Czuję w taki wieczór, że tchnienie niebios oczyszcza wrodzone mi umiłowanie wszystkiego, co szlachetne, wielkie i dobre. Natura ma dla mnie taki nieprzemijający czar, taką niegasnącą czułość! Jestem starym grubasem i słowa, które wydawałyby się stosowne na pani wargach, panno Halcombe, brzmią w moich ustach jak kpina i szyderstwo. Przykro jest być wyśmianym w momencie napływu uczuć, jak gdyby moja dusza musiała być, równie jak ciało, stara i opasła. Spójrz, droga pani, na światło gasnące na tych drzewach! Czy jego blask przenika do twego serca, tak jak przenika do mego?

Umilkł, popatrzył na mnie i zadeklamował słynny wiersz

Dantego „O wieczorze”, głosem melodyjnym i pełnym uczucia, którego czar potęgował jeszcze niezrównane piękno tej poezji.

- Ba! - zawołał niespodzianie, kiedy przebrzmiały ostatnie dźwięki pięknych włoskich słów - robię głupca z siebie i nudzę was wszystkich! Zamknijmy okna naszych serc i powróćmy do realnego świata. Parsiwa! Pozwalam na wniesienie lamp! Lady Glyde, panno Halcombe, Eleonoro, moja zacna żono - która z pań zagra ze mną w domino?

Zwracał się do nas trzech, ale patrzył specjalnie na Laure.

Przejęła się moim łękiem przed zrażeniem go sobie i zgodziła się na propozycję. Ja nie zdobyłabym się na to w owym momencie. Żadne względy nie zdołałyby mnie skłonić do tego, bym zasiadła przy jednym z nim stoliku. Zdawało mi się, że spojrzenie jego, poprzez gęstniejący mrok, sięga aż do głębin mojej duszy. Głos jego wprawiał w drżenie każdy nerw. Oblewałam się na przemian to żarem, to lodowatym chłodem. Doznane we śnie uczucie lęku wobec nieodgadłej tajemnicy opanowywało mnie kilkakrotnie tego wieczoru, a w tym momencie przerodziło się w nie dającą się wypowiedzieć i przechodzącą moje siły trwogę przed tym, co nas czeka. Ujrzałam znowu biały grobowiec i wynurzającą się z niego postać kobiety w welonie, która staje u boku Hartrighta. Myśl o Laurze wytrysnęła jak ze źródła z głębin mojej duszy i napełniła mnie nigdy dotąd nie zaznaną goryczą. Gdy Laura mijiała mnie idąc do stolika, pochwyciłam ją za rękę i zaczęłam całować tak, jak gdyby ten wieczór miał nas rozdzielić na zawsze. Wszyscy spojrzeli na mnie w zdumieniu, a ja wybiegłam przez szklane drzwi, otwierające się przede mną na ogród, wybiegłam w ciemność, by ukryć się przed nimi, by ukryć się przed samą sobą.

Tego wieczoru rozstałyśmy się później niż zwykle. Koło dwunastej ciszą letniej nocy przerwało łagodne, melancholijne zawodzenie wiatru wśród gałęzi drzew. Wszyscy odczuliśmy nagle ochłodzenie powietrza, ale hrabia pierwszy zauważył ciche skradanie się wiatru. Zatrzymał się nagle - zapalał właśnie świecę dla mnie - i wzniosł dłoń ostrzegawczo. - Słyszycie? - rzekł. - Jutro nastąpi zmiana!

VII

19 czerwca

Wydarzenia dnia wczorajszego ostrzegły mnie, żeby gotować się na przyjęcie czegoś najgorszego, co nadejść musi, prędzej czy później. Dzień dzisiejszy jeszcze się nie skończył, a to najgorsze już przyszło.

Obie z Laurą, po jak najdokładniejszych wspólnych wyliczeniach, doszłyśmy do wniosku, że wczorajszego popołudnia Anna Catherick musiała zjawić się na przystani koło wpół do trzeciej. Dlatego też radziłam, żeby Laura pokazała się na chwilę przy lunchu i wymknęła przy pierwszej nadarżającej się okazji. Ja natomiast miałam pozostać w salonie dla zachowania pozorów i pośpieszyć za nią dopiero wtedy, gdy będę mogła to zrobić bez wzbudzania podejrzeń. Jeśli więc żadna przeszkoda nie pokrzyżowałaby naszych planów, Laura byłaby na przystani przed wpół do trzeciej, a ja (wyszędłszy później z pokoju) przed trzecią.

Ranek przyniósł zmianę pogody zapowiadaną przez wczorajszy nocny wiatr. Kiedy wstałam, padał ulewny deszcz, który nie ustawał aż do dwunastej. Dopiero w południe chmury się rozproszyły, ukazało się błękitne niebo, zaświeciło słońce, pozwalając spodziewać się pięknego popołudnia.

Bardzo chciałam wiedzieć, jak sir Parsival i hrabia Fosco spędzą przedpołudnie, toteż bynajmniej nie wpłynął na mnie uspokajająco fakt, że natychmiast po śniadaniu sir Parsival opuścił nas i wyszedł gdzieś sam, pomimo deszczu. Nie powiedział, dokąd idzie ani też kiedy możemy go oczekiwać z powrotem. Widziałyśmy, jak w pośpiechu, ubrany w wysokie buty i płaszcz od deszczu, przechodził pod oknem pokoju śniadaniowego - i na tym koniec.

Hrabia spędził ranek w domu, najpierw w bibliotece, a potem w salonie, grając na pianinie urywki melodii i nucąc sobie. Jeżeli wolno sądzić po pozorach, sentymalna strona jego natury nadal w nim dominowała. Był milczący, wrażliwy, gotów

przy lada okazji wzdychać i wpadał w smutną zadumę (jak tylko otyli ludzie potrafią wzdychać i popadać w zadumę).

Nadszedł czas lunchu, a sir Parsival nie wracał. Hrabia zajął przy stole miejsce przyjaciela, z żalną miną pożarł większą część ciasta z owocami, niemal zatonął w śmietance, opróżniając cały dzbanuszek, i skoro tylko tego dokonał, wyjaśnił nam znaczenie swego osiągnięcia. - Apetyt na słodczy, drogie panie - powiedział najcichszym, najczulszym tonem - to niewinne upodobanie kobiet i dzieci. Cieszę się, że je z nimi podzielałam - to jeszcze jedna więź, drogie panie, między mną a wami.

Po dziesięciu minutach Laura odeszła od stołu. Kusilo mnie bardzo, aby iść za nią. Ale gdybyśmy wyszły razem, wzbudziłyby to niewątpliwie podejrzenie i, co gorsza, na pewno utraciłybyśmy bezpowrotnie zaufanie Anny Catherick, gdyby zobaczyła, że wraz z Laurą nadchodzi nie znana jej osoba.

Dlatego też najcierpliwiej, jak mogłam, czekałam, aż służba przyjdzie sprzątnąć ze stołu. Kiedy opuszczałam pokój, nic, ani w domu, ani poza domem, nie zwiastowało powrotu sir Parsivala. Hrabia siedział trzymając kawałek cukru między wargami, ta niecnota kakadu wspinała się po jego kamizelce, aby porwać przysmak, a siedząca naprzeciwko męża madame Fosco przyglądała się temu, co robi mąż i papuga, tak uważnie, jak gdyby nigdy w życiu nic podobnego nie widziała. Szłam w taki sposób, aby nie mogli mnie zobaczyć przez okno. Nikt mnie nie widział i nikt nie szedł za mną. Była wtedy na moim zegarku za kwadrans trzecia.

Znalazłszy się wśród drzew, zaczęłam iść szybko i dopiero przeszedłszy więcej niż pół drogi zwolniłam kroku i bardzo ostrożnie posuwałam się naprzód, ale nie dostrzegłam nikogo ani nie słyszałam niczyich głosów. Znalazłam się wreszcie tak blisko, że widziałam tylną ścianę przystani. Zatrzymałam się nasłuchując, potem znów postąpiłam naprzód, ale byłam tak blisko, że gdyby w środku ktoś rozmawiał, musiałabym słyszeć. Lecz nic nie mąciło ciszy i nigdzie, daleko ni blisko, nie zauważyłam śladu ludzkiej istoty.

Obeszłam ostrożnie budynek od tyłu, najpierw z lewej, potem

z prawej strony, ale nic nie spostrzegłam. Wtedy odważyłam się zejść od frontu i spojrzeć do środka. Nie było tam nikogo.

Przyzwałam Laurę po imieniu, najpierw cicho, potem głośno. Nikt nie odpowiedział, nikt się nie pojawił. Byłam jedyną ludzką istotą w okolicy jeziora i lasu.

Serce zaczęło mi bić gwałtownie, ale nie ustępowałam, lecz szukałam, najpierw w przystani, a potem na ziemi przed wejściem, jakichkolwiek śladów, które mogłyby mi powiedzieć, czy Laura rzeczywiście tu była. Wewnątrz budynku nic na to nie wskazywało, ale odciski stóp na piasku świadczyły o jej bytności.

Wykryłam odciski stóp dwu osób: wielkie ślady, chyba stóp mężczyzny, i małe odciski, na pewno stóp Laury, o czym się przekonałam porównując je z moimi. Na ziemi przed wejściem zobaczyłam zawiły szlak tych dwóch par stóp. W pobliżu pod wystającym dachem przystani ujrzałam mały dołek w piasku, bez wątplenia zrobiony ludzką ręką. Rzuciłam tylko nań okiem, a potem odwróciłam się, aby iść śladami stóp tak długo, jak będą widoczne, a następnie posuwać się dalej w tym samym kierunku.

Prowadziły mnie one, począwszy od lewej ściany przystani, skrajem lasku, przez jakieś, przypuszczam, dwieście do trzystu jardów, a potem nie było już widać na piaszczystym gruncie żadnych śladów. Domyśliłam się, że osoby, których tropem się posuwam, musiały niewątpliwie wejść w tym miejscu do lasku, i ja także weszłam między drzewa. Początkowo nie mogłam znaleźć żadnej wydeptanej ścieżki, ale potem dostrzegłam ją, choć była ledwo widoczna wśród drzew, i poszłam nią. Czas jakiś wiodła mnie w stronę wioski, aż skrzyżowała się z inną. Po obu stronach tej drugiej ścieżki rosły gęsto ciernie. Zatrzymałam się niepewna, którądy iść, a po chwili zauważyłam na jednej cierniowej gałązce strzęp frędzla z kobiecego szala. Przyjrawszy mu się z bliska stwierdziłam, że został wydarty z szala Laury, więc natychmiast poszłam tą ścieżką. Doprowadziła mnie ona, ku mej niewypowiedzianej uldze, na tyły dworu. Było to dla mnie wielką pociechą ponieważ świadczyło, że Laura musiała z nieznanego mi

powodu tą właśnie okrężną drogą powrócić do domu. Weszłam od podwórza. Pierwszą osobą, którą spotkałam, przechodząc przez hall kuchenny, była pani Michelson, gospodyni.

- Nie wie pani - spytałam - czy lady Glyde powróciła już ze spaceru?

- Pani wróciła przed chwilą z sir Parsivalem - odrzekła gospodyni - ale obawiam się, panno Halcombe, że stało się coś złego.

Serce we mnie zamarło.

- Czy zdarzył się jakiś wypadek? - spytałam słabym głosem.

- Nie, nie. Bogu dzięki, nie żaden wypadek, ale pani pobiegła do swoich pokoi na górze płacząc, a sir Parsival kazał mi z miej 'sca wymówić służbę Fanny.

Fanny była pokojówką Laury, dobrą, przywiązaną dziewczyną, która pracowała u nas od lat. Była to jedyna w tym dworze osoba, na której oddanie i wierność mogliśmy obie liczyć.

- Gdzie jest Fanny? - zapytałam.

- W moim pokoju, panno Halcombe. Dziewczyna jest zupełnie jak nieprzytomna, więc powiedziałam jej, żeby sobie posiedziała i starała się uspokoić.

Poszłam do pokoju pani Michelson i zobaczyłam tam Fanny, która siedziała w kącie przy swoim pudle i zalewała się łzami.

Zupełnie nie potrafiła mi wytłumaczyć, dlaczego otrzymała to nagłe wymówienie. Sir Parsival kazał, żeby jej dano miesięczną pensję zamiast miesięcznego wymówienia i żeby sobie poszła. Nie podał żadnego powodu, nie postawił żadnego zarzutu. Nie pozwolono jej zwrócić się do jej pani, nie pozwolono zobaczyć się z nią nawet na chwilę, by ją pożegnać. Miała odejść - bez żadnych wyjaśnień, bez żadnych pożegnań - odejść od razu.

Uspokoiwszy trochę dziewczynę paru przyjaznymi słowami, spytałam, gdzie zamierza spać tej nocy. Odpowiedziała, że chce się udać do zajazdu w wiosce, gdyż jego właścicielka jest godną szacunku kobietą, znaną służbie w Blackwater Park. Jeżeli wyruszy jutro wczesnym rankiem, może bez zatrzymywania się w Londynie, który jest dla niej zupełnie obcym miastem, zdążyć tego dnia do swych bliskich w Cumberland.

Od razu przyszło mi na myśl, że wyjazd Fanny daje nam możliwość bezpiecznego przesłania wiadomości do Londynu i do dworu w Limmeridge, co może się okazać bardzo dla nas potrzebne i ważne. Dlatego też powiedziałam jej, że zapewne w ciągu wieczoru otrzyma wiadomość od swej pani albo ode mnie i że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, ażeby jej pomóc w tej ciężkiej sytuacji, gdy zmuszona jest nas opuścić. To powiedziawszy, podałam jej rękę i poszłam na górę.

Kiedy próbowałam otworzyć drzwi prowadzące do małego przedpokoiku, z którego wchodziło się do pokoju Laury, okazało się, że są od wewnątrz zamknięte.

Zastukałam i otworzyła mi ta sama krępa, gruba pokojówka, której tępota i brak wrażliwości tak dały mi się we znaki tego dnia, kiedy znalazłam zranionego psa. Wiedziałam już teraz, że nazywa się Małgorzata Porcher i że jest to największy brudas i niezguła wśród całej służby.

Otworzywszy drzwi stanęła na progu i nic nie mówiąc szczerzyła do mnie zęby w uśmiechu.

- Dlaczego tu stoisz? - spytałam. - Nie widzisz, że chcę wejść?

- Aa, ale nie może pani tu wejść - brzmiała odpowiedź, której towarzyszył jeszcze jeden, bardziej głupkowaty niż poprzednio uśmiech.

- Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób?! Zejdź mi zaraz z drogi!

Rozpostarła ramiona zastawiając drzwi i z wolna pokiwała swą pustą głową.

- Pan zakazał - powiedziała i znowu pokiwała głową.

Musiałam użyć całego wysiłku woli, by się opanować i uprzytomnić sobie, że nie wolno mi dyskutować tej sprawy ze służą i że następne moje słowa muszą być zwrócone do jej pana. Natychmiast odwróciłam się od niej i poszłam szukać sir Parsivala. W tym momencie (wyznaję to ze wstydem) zapomniałam o postanowieniu, że nie dam się wyprowadzić z równowagi, choćby sir Parsival nie wiem co mówił lub robił, i to zapomniałam tak zupełnie, jak gdybym nigdy takiego postanowienia nie uczyniła. Ale po tym wszystkim, co przecierpiałam, po tym wszystkim, co zmuszona byłam dławić

w sobie w tym domu, sprawiło mi ulgę, gdy uniosłam się gniewem.

Salon i pokój śniadaniowy były puste. Udałam się do biblioteki i tu zastałam sir Parsivala, hrabiego i madame Fosco. Stali w zbitej gromadce, a sir Parsival trzymał w ręku jakąś karteczkę. Gdy otwierałam drzwi, usłyszałam, jak hrabia mówił do niego:

- Nie, po stokroć nie...

Podeszłam do pana domu i spojrzałam mu prosto w oczy.

- Czy mam sądzić, sir Parsiyalu, że pokój pańskiej żony to więzienie, a pokojówka pana to dozorca więzienny? - rzuciłam mu w twarz pytanie.

- Tak właśnie ma pani sądzić - odparł. - Niech pani uważa, by nie powiększyły się obowiązki dozorca więziennego, niech pani uważa, by pani pokój także nie stał się więzieniem.

- Niech pan sam uważa, jak ma pan traktować żonę, jak ma pan traktować mnie! - wybuchnęłam w gniewie. - Są w Anglii prawa, które chronią kobiety od okrucieństw i przemocy. Jeśli choć jeden włos spadnie z głowy Laury, jeśli ośmieli się pan ograniczyć moją wolność, to choćby nie wiem co się działo, odwołam się do tych praw!

Zamiast odpowiedzieć mnie, zwrócił się do hrabiego.

- A teraz co powiesz? - spytał. - Co teraz powiesz?

- To samo, co przedtem - odparł hrabia. - Nic.

Mimo wielkiego gniewu czułam na sobie jego spokojne, chłodne spojrzenie. Wypowiedziawszy te słowa, odwrócił ode mnie wzrok i spojrzał znacząco na żonę. Madame Fosco natychmiast przysunęła się bliżej mnie i, nim którekolwiek z nas zdążyło się odezwać, zwróciła się do sir Parsivala.

- Niech mnie pan zaszczyli chwilą uwagi, sir Parsivalu - rzekła lodowato zdławionym, choć wyraźnym głosem. - Chciałam panu podziękować za dotychczasową gościnność i zawiadomić, że już z niej dłużej korzystać nie będę. Nie bywam w domach, w których tak traktuje się kobiety, jak potraktowana dziś została pańska żona i panna Halcombe.

W śmiertelnej ciszy sir Parsival cofnął się o krok i wlepił w nią oczy. Zdawało się, że skamieniał ze zdumienia, usłyszawszy

jej deklarację - deklarację, której, jak dobrze wiedział, madame Fosco nie ośmieliłaby się uczynić bez zgody męża. Hrabia stał obok żony i patrzył na nią z wyrazem uwielbienia.

- Boska kobieta! - rzekł do siebie. Mówiąc to zbliżył się do niej i wsunął sobie pod ramię jej rękę. - Jestem do twych usług, Eleonoro - oświadczył ze spokojem i godnością, jakiej dotychczas nigdy u niego nie widziałam. - Jestem również do usług panny Halcombe, jeżeli zechce uczynić mi ten honor i przyjąć pomoc, jaką mogę jej zaofiarować.

- Do diabła! Co znaczą twoje słowa? - krzyknął sir Parsival, gdy hrabia spokojnie prowadził żonę ku drzwiom.

- Zazwyczaj moje słowa znaczą to, co ja myślę, ale dziś znaczą to, co myśli moja żona - odparł nieprzenikniony Włoch. - Zmieniliśmy się na ten raz rolami, Parsivalu, i zdanie madame Fosco jest moim zdaniem.

Sir Parsival zgniótł trzymany w rękę papier, z ponownym przekleństwem odepchnął hrabiego i stanął między nim a drzwiami.

- Niech tak będzie, jak chcesz - powiedział cicho, ze zdławioną wściekłością w głosie. - Niech tak będzie, jak chcesz... Zobaczysz, co z tego wyniknie.

Powiedziawszy to wypadł z pokoju. Madame Fosco spojrzała pytająco na męża.

- Odszedł tak raptownie - rzekła. - Co to ma znaczyć?

- Znaczy, że my oboje, ja i ty, przywiedliśmy do rozumu najbardziej porywczego człowieka w całej Anglii - odpowiedział hrabia. - Znaczy, panno Halcombe, że lady Glyde zaoszczędzono poniżenia, a pani powtórnej obelgi. Pozwoli pani, bym wyraził swe uznanie dla jej pełnego odwagi zachowania w tak ciężkiej chwili.

- Szczere uznanie - podsunęła madame Fosco.

- Szczere uznanie - zawtórował hrabia.

Lecz mnie nie podtrzymał już pierwszy poryw. gniewu na niesprawiedliwość i przemoc. Niepokój o Laurę, poczucie bezsilności wobec tego niewiadomego, co zaszło na przystani, legły na mym sercu nieznośnym ciężarem. Próbowałam zachować pozory i przemówić do hrabiego i jego żony takim

samym tonem, jakim oni zwracali się do mnie, ale słowa takie nie chciały mi przejść przez gardło. Oddychałam ciężko, pośpiesznie, oczy z tęsknotą skierowały się ku drzwiom. Hrabia zrozumiał mój niepokój, otworzył drzwi i wyszedł zamykając je za sobą. Usłyszałam ciężkie kroki sir Parsivala, który schodził ze schodów. Słyszałam, jak ze sobą szeptali, podczas gdy madame Fosco zapewniała mnie najbardziej konwenansowym tonem, że cieszy się bardzo, że względu na dobro nas wszystkich, że sir Parsival swym zachowaniem nie zmusił jej do opuszczenia wraz z mężem Blackwater Park. Nim skończyła mówić, szepty ustały, drzwi się uchyliły i zajrzał przez nie hrabia.

- Panno Halcombe - rzekł - szczęśliwy jestem mogąc zawiadomić panią, że lady Glyde jest znów panią swego domu. Sądziłem, że przyjemniej będzie pani posłyszeć wiadomość o tej pomyślnej zmianie z ust moich niż z sir Parsivala i dlatego pośpiesznie wróciłem, by powiedzieć pani o tym.

- Podziwu godna delikatność! - oznajmiła madame Fosco, odplacając mężowi za jego komplement jego własną monetą, na jego własną modłę. Uśmiechnął się i skłonił, jak gdyby usłyszał komplement od obcej osoby, i cofnął się, aby przepuścić mnie pierwszą.

W hallu stał sir Parsival. Idąc szybko ku schodom usłyszałam, jak niecierpliwie wołał na hrabiego, by wyszedł z biblioteki.

- Na co czekasz? - pytał. - Chcę z tobą pomówić.

- A ja chcę trochę pomyśleć w samotności - odparł tamten. - Poczekaj trochę, Parsivalu, poczekaj trochę.

Żaden z nich nie rzekł już nic więcej. Weszłam na schody i pobiegłam korytarzem. W podnieceniu i pośpiechu zostawiłam otwarte drzwi od przedpokoju, ale drzwi od sypialni zamknęłam, skoro tylko weszłam.

Laura siedziała samotnie w najdalszym kącie pokoju, oparłszy się ciężko ramionami o stół i ukrywszy twarz w dłoniach. Na mój widok zerwała się z okrzykiem radości.

- Jakżeś się tu dostała? Kto ci pozwolił? - pytała. - Przecież nie sir Parsival?

Tak bardzo pragnęłam posłyszeć, co ona miała mi do powiedzenia, że nie mogłam jej odpowiedzieć, tylko zaczęłam ją również zarzucać pytaniami. Jednakże niepokój Laury o to, co stało się na dole, okazał się zbyt silny, bym mogła mu się oprzeć. Nieustannie powtarzała swe pytanie.

- Hrabia, oczywiście - odrzekłam niecierpliwie. - Czyj wpływ w tym domu...

Przerwała mi z gestem pogardy.

- Nie mów o nim! - krzyknęła. - Hrabia to najpodlejszy z ludzi! Hrabia to nędzny szpieg!

Nim padło następne słowo, zmartwiałyśmy z przerażenia, gdyż rozległo się ciche pukanie do drzwi sypialni. Gdy otworzyłam drzwi, stanęła przede mną madame Fosco trzymając w ręku swoją chusteczkę do nosa.

- Zgubiła ją pani na schodach, panno Halcombe - rzekła - i pomyślałam sobie, że mogę ją pani oddać idąc do mego pokoju.

Jej twarz, blada z natury, była w tej chwili tak kredowo biała, że oniemiałam z wrażenia. Jej ręce, tak zazwyczaj spokojne i opanowane, drżały gwałtownie, a dzikie spojrzenie prześliznęło się po mnie, pobiegło w głąb pokoju i wbiło się w Laurę.

Podśluchiwała, nim zastukała do drzwi! Powiedziała mi o tym jej blada twarz, powiedziało drzenie rąk, powiedziało jej spojrzenie rzucone na Laurę.

Po chwili odwróciła się ode mnie w milczeniu i powoli odeszła.

Zamknęłam drzwi. - O, Lauro, Lauro, gorzko będziemy kiedyś oplakiwać ten dzień, w którym nazwałaś go szpiegiem!

- Sama byś go tak nazwała, Marianno, gdybyś wiedziała to, co ja wiem. Anna Catherick miała rację. Ktoś nas szpiegował wczoraj w lasku, a osobą tą...

- Jesteś pewna, że to był hrabia?

- Jestem absolutnie pewna. Był szpiegiem sir Parsivala... był donosicielem... on nasłał sir Parsivala, aby przez pół dnia czatował na Annę Catherick i na mnie.

- Czy znalazł Annę? Czy ją spotkałaś nad jeziorem?

- Nie. Ocalała, bo nie było jej tam. Kiedy przyszedłam do przystani, nie zastałam nikogo.

- Nikogo?

- Weszłam do środka i czekałam parę minut. Ale byłam niespokojna, więc wstałam, żeby się poruszać. Kiedy wyszłam, zobaczyłam znaki na piasku, tuż pod dachem szopy. Pochyliłam się, by lepiej widzieć, i zobaczyłam wypisane wielkimi literami na piasku słowo: patrz.

- Więc rozgrzebałaś piasek kopiąc dołek?

- Skąd wiesz, Marianno?

- Idąc po ciebie do przystani widziałam ten dołek. Mów dalej, mów dalej!

- Odgrzebałam z wierzchu piasek i po chwili znalazłam ukryty w piasku zapisany zwitek papieru. Pismo podpisane było inicjałami Anny Catherick.

- Gdzie jest?

- Sir Parsivał odebrał mi je.

- Czy pamiętasz, co pisała? Czy możesz mi powtórzyć?

- Treść mogę, Marianno. Było bardzo krótkie. Ty zapamiętałaś słowo w słowo.

- Spróbuj więc podać mi jego treść.

Zgodziła się. Spisałam te słowa dokładnie tak, jak je powtórzyła. Brzmiały, jak następuje:

„Wczoraj widział nas tęgi stary mężczyzna i musiałam biec, żeby się uratować. Nie mógł biec tak szybko, jak ja, i stracił mnie z oczu między drzewami. Nie odważę się przyjść dziś tutaj o tej samej porze. Piszę ten list i chowam go w piasek o szóstej rano, bo chcę Pani o tym powiedzieć. Kiedy następnym razem będziemy mówić o sekrecie niegodziwego męża Pani, musimy być bardzo ostrożne albo nie mówić o tym wcale. Proszę być cierpliwą. Przrzekam, że zobaczymy się znowu, i to niedługo.

A.C."

Wzmianka o „tęgim starym mężczyźnie” (Laura była pewna, że poprawnie powtórzyła ten zwrot) nie pozostawiała żadnej wątpliwości co do tego, kim był natręt. Przypomniałam sobie, że gdy wczoraj mówiłam sir Parsivalowi, że Laura poszła do

przystani szukać broszki, hrabia był przy tym obecny. Prawdopodobnie, oznajmiwszy mi w salonie o zmianie planów sir Parsivala, natychmiast, grzeczny jak zawsze, podążył za Laurą, aby uspokoić i ją co do tej sprawy. W takim razie nie mógł być w pobliżu przystani wcześniej, niż w chwili gdy go spostrzegła Anna Catherick. Budzący podejrzenie pośpiech, z jakim opuściła Laurę, nakłonił go do pójścia za nią, co mu się nie udało. Z rozmowy, jaką przedtem toczyły między sobą, nie mógł nic posłyszeć. Odległość między dworem a jeziorem i godzina, o której widział się ze mną w salonie, i zestawienie tego z porą, kiedy Laura rozmawiała z Anną Catherick, tego przynajmniej dowodziły niezbicie.

Zdobywszy prawie pewność co do tego, pragnęłam się następnie dowiedzieć, jakie odkrycia poczynił sir Parsival, gdy hrabia Fosco podzielił się z nim spostrzeżeniem.

- Jakim sposobem utraciłaś list? - spytałam. —Co zrobiłaś z nim znalazłszy go w piasku?

- Po przeczytaniu - odparła - zabrałam go do przystani, usiadłam i przeglądałam go jeszcze raz. Nagle jakiś cień padł na papier. Podniosłam głowę i zobaczyłam, że w drzwiach stoi sir Parsival i przygląda mi się.

- Czy próbowałaś ukryć list?

- Tak, próbowałam, ale on mnie powstrzymał. „Nie kłopotz się chowaniem listu - rzekł. - Ja już go czytałem”. Nie byłam w stanie nic powiedzieć, tylko spojrzałam na niego bezradnie. „Rozumiesz? - ciągnął. - Czytałem go. Przed dwiema godzinami wykopałem go z piasku, potem znów zagrzebałem pisząc nad nim na nowo »patrz« i pozostawiłem go dla ciebie. Teraz już się z tego nie wyklamiesz. Wczoraj w tajemnicy widziałas się z Anną Catherick, a w tej chwili masz w ręku list od niej. Jeszcze nie złapałem jej, ale złapałem ciebie. Dawaj ten list”. Podszedł do mnie blisko... byłam z nim sama, Marianno, co mogłam zrobić?... Dałam mu list.

- A co powiedział, kiedy ci odebrał list?

- Najpierw nic nie mówił. Ujął mnie pod ramię i wyprowadził z przystani, rozglądając się na wszystkie strony, jak gdyby się bał, żeby go ktoś nie podejrzwał lub nie podsłuchał.

Potem zacisnął mocno palce na moim ramieniu i spytał szeptem: „Co powiedziała ci wczoraj Anna Catherick?... Chcę wiedzieć wszystko od pierwszego do ostatniego słowa”.

- Czyś mu powiedziała?

- Byłam z nim sama, Marianno... Zaciskał swą rękę na moim ramieniu tak mocno, że aż powstały siniaki. Cóż miałam robić?

- Czy masz jeszcze te siniaki? Pokaż mi je.

- Dlaczego chcesz je widzieć?

- Chcę je zobaczyć, Lauro, ponieważ dzisiaj skończyć się musi nasza bierność, a musi się zacząć opór. Te siniaki to nasza broń przeciw niemu. Niech je zobaczą... Może kiedyś będę musiała przysięgać, że tak było.

- Marianno, nie patrz tak na mnie... Nie mów tak! Teraz już mnie to nie boli!

- Pokaż mi!

Pokazała mi siniaki. Nie byłam w stanie boleć nad nimi, płakać nad nimi, przerażać się nimi. Mówią, że my, kobiety, jesteśmy albo lepsze od mężczyzn, albo gorsze. Jeśli w tym momencie miałabym okazję... tak jak miały ją inne kobiety i przez to stały się gorsze... by ulec pokusie... Dzięki Bogu, moja twarz nie zdradziła mnie przed jego żoną. To łagodne, niewinne, kochające stworzenie myślało, że lękam się o nią i żałuję jej, i tylko tyle.

- Nie przejmuj się tym, Marianno - powiedziała z prostotą, obciążając rękaw. - Teraz już mnie to nie boli.

- Ze względu na ciebie, kochana moja, postaram się pomyśleć o tym spokojnie! Tak, tak. Więc powiedziałas mu wszystko, co Anna Catherick mówiła tobie... wszystko, co mnie powiedziałas?

- Tak, wszystko. Nalegał na to... byłam z nim sama.

- A potem czy coś mówił?

- Patrzył na mnie i śmiał się do siebie gorzko, szydł. „Muszę wydobyć z ciebie resztę - rzekł. - Czy słyszysz? Resztę!” Zapewniłam go uroczyście, że powiedziałam mu wszystko, co wiedziałam. „O nie - odparł. - Wiesz więcej, niż raczyłaś powiedzieć. Nie chcesz mówić? Będziesz musiała. Wydobędę to z ciebie w domu, jeśli nie uda mi się teraz tego wydobyć”.

Prowadził mnie nieznaną ścieżką przez las, ścieżką, na której nie mogłam spodziewać się ciebie. Nie mówił nic, dopóki nie zobaczyliśmy przed sobą domu. Wtedy zatrzymał się i powiedział: „Czy jeśli dam ci teraz okazję, skorzystasz z niej? Czy przemyślałaś to dobrze i powiesz mi resztę?” Mogłam mu tylko powtórzyć to samo, co przedtem. Przeklinał mój upór i ruszył ze mną do domu. „Nie uda ci się mnie oszukać - mówił. - Wiesz więcej, niż raczyłaś powiedzieć. Ale wydobędę z ciebie ten sekret! Wydobędę go również z twej siostry! Skończą się te wasze spiski

i szeptu! Ani ty jej nie zobaczysz, ani ona ciebie nie zobaczy, dopóki nie powiesz mi prawdy. Będę ciebie śledził rano, w południe i w nocy, aż wyznasz prawdę”. Głuchy był na wszystko, co mówiłam. Zabrał mnie wprost na górę do mego pokoju. Siedziała tu Fanny, robiąc coś dla mnie, a on kazał jej natychmiast wyjść. „Będę dobrze pilnować, żeby i ciebie nie zamieszano do spisku - powiedział. - Dzisiaj opuścisz mój dom. Jeśli twoja pani potrzebuje pokojówki, ja ją dla niej wybiorę”. Wepchnął mnie do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Postawił na straży tę głupią dziewczkę! Wyglądał jak szaleniec. Doprawdy! Pewno tego nie potrafisz zrozumieć, ale tak było.

- Rozumiem to, Lauro. Jest szalony, szalony od wyrzutów obciążonego sumienia. Każde twoje słowo budzi we mnie pewność, że wczoraj, gdy odchodziła od ciebie Anna Catherick, byłaś

o krok od wykrycia tajemnicy, która może się stać zgubą twego nikczemnego męża. On sądzi, że już ją znasz. Nic, co powiesz, nic, co uczynisz, nie zdoła usunąć jego nieufności. Nic nie prze, kona tej zakłamej istoty o twojej niewinności. Kochana moja, nie mówię tego, żeby cię straszyć. Mówię, żebyś jasno zobaczyła swoją sytuację i żeby cię przekonać, że musisz mi pozwolić wystąpić, jak umiem najlepiej, w twojej obronie, póki jeszcze istnieją szansę. Dzisiaj interwencja hrabiego Fosco pozwoliła mi widzieć się z tobą, ale jutro hrabia może nie zechce interweniować. Sir Parsival odprawił już Fanny, gdyż jest ona dziewczyną bystrą, serdecznie przywiązaną do ciebie. Zastąpił ją kobietą, która wcale nie dba o twoje dobro i której

tępota stawia ją na jednym poziomie z psem podwórzowym. Niepodobna przewidzieć, jakie gwałtowne kroki poczyni w przyszłości. Musimy więc, póki czas, wykorzystać jak najlepiej wszystkie możliwości.

- Cóż możemy zrobić, Marianno? Chyba tylko opuścić ten dom, żeby nigdy już go nie oglądać!

- Posłuchaj mnie, kochana, i pomyśl, że póki ja tu jestem, nie jesteś zupełnie bezradna.

- Będę tak myśleć, już tak myślę. Ale pamiętając o mnie nie zapominaj też o biednej Fanny. Jej także potrzebna jest pomoc i pociecha.

- Nie zapomnę o Fanny. Widziałam ją, zanim tu przyszłam, i tak się z nią ułożyłam, że będziemy mogły skomunikować się wieczorem. W Blackwater listy nie są bezpieczne w torbie pocztowej, a dzisiaj będę musiała napisać dwa w twoich sprawach i nie oddam ich w niczyje ręce, tylko Fanny.

- Co za listy?

- Przede wszystkim, Lauro, zamierzam napisać do współnika pana Gilmore, który zaofiarował nam swą pomoc w razie potrzeby. Choć niewiele znam się na prawie, jestem pewna, że może ono obronić kobietę przed takim traktowaniem, jakiego doznałaś dziś od tego łajdaka. Nie będę wchodzić w szczegóły o Annie Catherick, ponieważ na jej temat nie mogę dostarczyć żadnych pewnych informacji. Ale prawnik dowie się o tych siniakach na twoim ramieniu i o zamknięciu cię w tym pokoju. O tak, dowie się, jeszcze nim zasnę!

- Ale pomyśl o skandalu, Marianno!

- Właśnie na tym opieram swe kalkulacje. Sir Parsival bardziej się musi go obawiać niż ty. Obawa przed skandalem łatwiej niż cokolwiek innego może go zmusić do ugody.

Mówiąc to wstałam, ale Laura błagała, bym nie odchodziła.

- Doprowadzisz go do desperacji - powiedziała - a to powiększy nasze niebezpieczeństwo.

Czułam prawdę tych słów, prawdę odbierającą nadzieję. Ale nie mogłam przyznać się do tego przed Laurą. W naszej okropnej sytuacji tylko najgorsze ryzyko dawało nadzieję na ratunek. Powiedziałam jej to w oględnych słowach. Westchnęła

gorzko, ale nie spierała się. Zapytała tylko o drugi list, który miałam zamiar pisać. Do kogo ma być adresowany?

- Do pana Fairlie - odparłam. - Twój stryj jest najbliższym twoim krewnym i głową rodziny. Musi i będzie interweniować.

Laura smutnie potrząsnęła głową.

- Tak, tak - mówiłam dalej. - Wiem, że twój stryj jest słabym i samolubnym człowiekiem, ale przecie nie jest sir Parsivalem Glyde i nie ma koło siebie takiego przyjaciela, jak hrabia Fosco. Nie oczekuję, by uczynił cośkolwiek z dobroci czy serdecznych uczuć w stosunku do ciebie lub do mnie. Ale robi wszystko, by zapewnić sobie spokój i moc dalej gnuśnieć. Niech go tylko przekonam, że przez wystąpienie w tej chwili oszczędzi sobie w przyszłości wielu kłopotów, zmartwień i odpowiedzialności, a na pewno, dla własnego dobra, zakrzętnie się koło tego. Wiem, jak się z nim obchodzić, Lauro, mam już pewne doświadczenie.

- Gdybyś tylko potrafiła nakłonić go, aby pozwolił mi na jakiś czas powrócić do Limmeridge i spokojnie tam pobyć razem z tobą, Marianno, byłabym znowu szczęśliwa, chyba tak szczęśliwa, jak przed małżeństwem.

Te słowa pchnęły moje myśli na nowe tory. Czy nie można by postawić sir Parsivala przed taką alternatywą: albo narazi się na skandal z powodu ingerencji prawa wywołanej prośbą jego żony, albo zezwoli jej na spokojną separację na pewien czas pod pretekstem wizyty w domu stryja. I czy w takim razie można liczyć, że zgodzi się na to, co jest dla nas ostatnim ratunkiem? Było to wątpliwe, więcej niż wątpliwe. A jednak, chociaż ten eksperyment wydaje się niemal beznadziejny, na pewno warto spróbować. Postanowiłam spróbować po prostu z czystej rozpaczy, nie wiedząc, co mam zrobić lepszego.

- Twój stryj dowie się o życzeniu, jakie przed chwilą wyraziłaś - powiedziałam - a poproszę również i prawnika o radę w tej sprawie. Może wyniknąć z tego coś dobrego i mam nadzieję, że wyniknie.

Mówiąc to wstałam ponownie, ale Laura znowu próbowała mnie namówić do pozostania.

- Nie odchodź ode mnie - powiedziała z niepokojem. - Tam jest moje biurko. Możesz tam pisać.

Zabolało mnie do żywego, że muszę jej odmówić, choć robiłam to dla jej dobra. Ale już zbyt długo przebywałyśmy tylko we dwie. Od tego, czy nie wzbudzimy świeżych podejrzeń, zależeć mogła szansa ponownego naszego zobaczenia się. Był już najwyższy czas, abym, spokojna i beztroska, pokazała się na dole wśród tych łotrów, którzy zapewne w tej chwili myślą i mówią o nas. Wy tłumaczyłam tę smutną konieczność Laurze, która przyznała mi rację.

- Wróć znowu, kochana, za godzinę albo wcześniej - obiecałam. - Już nic gorszego dziś nie nastąpi. Bądź spokojna i nie obawiaj się niczego.

- Czy klucz tkwi w drzwiach, Marianno? Czy mogę się zamknąć?

- Tak jest. Zamknij drzwi i nie otwieraj ich nikomu, póki ja nie wrócę.

Ucałowałam ją i odeszłam. Z ulgą posłyszałam, że przekręciła klucz w zamku, i z ulgą pomyślałam, że otwarcie drzwi zależy od niej.

VIII

Dochodziłam do schodów, gdy zgrzyt przekręcanego przez Laurę klucza nasunął mi myśl, że przezorniej byłoby zamknąć także i mój pokój i wychodząc z niego zabrać klucz ze sobą. Dziennik schowałam wprawdzie z innymi papierami do szufaldy, ale materiały piśmienne pozostawiłam na wierzchu. Wśród nich była pieczętka z pospolitym znakiem, dwoma gołąbkami pijącymi z tej samej filiżanki, i parę arkusików bibuły z odbiciem ostatnich linijek stron zapisanych przeze mnie w ciągu ubiegłej nocy. Pod wpływem podejrzeń, które stały się drugą moją naturą, wydało mi się niebezpieczne pozostawiać na wierzchu nawet takie drobiazgi i pomyślałam, że zamknięcie na klucz szufaldy nie ochroni jej dostatecznie w czasie mej nieobecności, jeśli nie obwaruję dojścia do niej.

Jednakże nic w pokoju nie wskazywało na to, by ktokolwiek go. odwiedzał w czasie mojej rozmowy z Laurą. Materiały

piśmienne (których nie pozwalałam ruszać służącej) leżały porozrzucane jak zwykle na stoliku. Uderzył mnie tylko jeden szczegół, to mianowicie, że pieczęć leżała obok ołówków i wosku na specjalnie na to przeznaczonyj tacce. Wyznaję ze wstydem, iż nie odznaczałam się taką dbałością o porządek, by stale ą tam kłaść, i nie przypomiąłam sobie bynajmniej, żebym ją tam ostatnio położyła. Ponieważ jednak nie pamiętałam w ogóle, gdzie ją rzuciłam, i nie byłam pewna, czy tym razem nie umieściłam jej machinalnie na właściwym miejscu, nie chciałam świeżą troską o taki drobiazg powiększać jeszcze niepokoju, jaki zbudziły we mnie wydarzenia tego dnia. Zamknęłam drzwi, włożyłam klucz do kieszeni i zesłam na dół.

W hallu stała madame Fosco i przypatrywała się barometrowi.

- Barometr wciąż spada - rzekła. - Obawiam się, że grożą nam dalsze deszcze.

Jej twarz przybrała już zwykły wyraz i zwykły kolor, ale ręka, którą wskazywała na tarczę barometru, wciąż jeszcze drżała.

A może powiedziała już mężowi, że słyszała, jak Laura go znieważyla, nazywając w mojej obecności szpiegiem? Nagle zbudziło się we mnie podejrzenie, niemal pewność, że musiała mu to powiedzieć, i ogarnął mnie straszliwy lęk przed nie dającymi się przewidzieć konsekwencjami. Na podstawie drobnych obserwacji (kobiety bowiem zawsze zdradzają się jedna przed drugą) powzięłam niezbite przekonanie, że choć madame Fosco zachowuje się nadal uprzejmie, nie wybaczyła nigdy bratanicy tego, że jej osoba, choć zupełnie mimowolnie, przeszkadza jej w otrzymaniu dziesięciu tysięcy funtów spadku. Te myśli hurmem cisnęły się do mej głowy, każąc mi przemówić do madame Fosco w tej złudnej nadziei, że mój wpływ i siła mej perswazji zadośćuczynią za winę Laury.

- Czy mi pani w swej dobroci wybaczy, jeśli ośmielę się poruszyć niezmiernie bolesny temat?

Nie odrywając ani na chwilę oczu ode mnie i nie mówiąc słowa skrzyżowała ręce na piersiach i skinęła głową.

- Ogromnie się obawiam - ciągnęłam - że gdy mi pani

łaskawie odnosiła chusteczkę, musiała pani wypadkiem posłyszeć, jak Laura powiedziała coś, czego nie mam chęci powtarzać i nie będę próbować bronić. Ośmielam się tylko przypuszczać, że nie uznała pani tego za rzecz tak ważną, by wspomnieć o tym hrabiemu?

- Nie sędzę, by miało to w ogóle jakiegokolwiek znaczenie - odparła gwałtownie i ostro, a potem dodała swym zwykłym lodowatym tonem: - Ale nie mam przed mężem sekretów, nawet jeśli chodzi o drobiazgi. Kiedy przed chwilą zauważył, że jestem zmartwiona, moim przykrym obowiązkiem było wyjawić mu powód mego zmartwienia, i szczerze przyznaję, panno Halcombe, że to uczyniłam.

Oczekiwałam, że to usłyszę, a jednak jej słowa zmroziły mnie zupełnie.

- Błagam panią, madame Fosco, błagam hrabiego, by zechcieli państwo wziąć pod uwagę smutną sytuację, w jakiej znajduje się moja siostra. Gdy rozmawiała ze mną, piekły ją do żywego obelgi i niesprawiedliwości, doznane od męża, i nie była sobą, kiedy porywczo powiedziała te słowa. Czy mogę mieć nadzieję, że przez wzgląd na to zostaną wspaniałomyślnie wybaczone?

- Z całą pewnością - usłyszałam za sobą spokojny głos hrabiego, który swym cichym krokiem wyszedł do nas z biblioteki, trzymając w ręku książkę.

- Kiedy lady Glyde w gniewie powiedziała te słowa - ciągnął - wyrządziła mi krzywdę, nad którą boleję i którą wybaczam. Nie wracajmy już więcej do tego tematu, panno Halcombe. Postarajmy się wszyscy zapomnieć o tym od tej chwili.

- Jest pan bardzo szlachetny - odparłam. - Sprawił mi pan niewypowiedzianą ulgę...

Próbowałam coś dalej mówić, ale jego oczy utkwione były we mnie, a uśmiech, który skrywać mógł wszystko, rozlał się po jego szerokiej, gładkiej twarzy i zastygł na niej nieruchomo. Myśl o tym, jak jest nieskończenie fałszywy, i jak ja się poniżam, starając się ułagodzić jego i jego żonę, tak mnie dręczyła i niepokoila, że słowa zamarły mi na ustach i stałam milczącą.

- Błagam panią na klęczkach, niech pani nie mówi już nic więcej... Jest mi niezmiernie przykro, że uważała pani za konieczne powiedzieć aż tyle.

Po tych uprzejmych słowach ujął moją rękę... Och, jakże gardzę samą sobą! Jaką słabą pociechą jest świadomość, że zniosłam to ze względu na Laurę! Ujął mą rękę i podniósł do swych zatrutych warg. Aż do tego momentu nie zdawałam sobie sprawy, jak wielki wstręt we mnie budzi! Ta niewinna poufałość wzburzyła moją krew niczym najgorsza zniewaga, jaką mógłby mi wyrządzić mężczyzna. A jednak ukryłam przed nim swą odrazę, próbowałam się uśmiechnąć... Ja, która kiedyś bezlitośnie potępiałam obłudę u innych kobiet, teraz byłam tak fałszywa, jak najgorsza z nich, tak fałszywa, jak ów judasz, którego wargi dotknęły mojej dłoni.

Nie mogłabym jednak dłużej zachować tego poniżającego mnie opanowania... tylko to ratuje moją własną opinię wobec samej siebie, iż wiem, że nie mogłabym.... gdyby nadal nie spuszczał wzroku z mojej twarzy. Ale skoro tylko ujął moją rękę, na ratunek mi przyszła zazdrość tygrysy, zazdrość jego żony, zmuszając go do odwrócenia ode mnie uwagi. W jej zimnych niebieskich oczach zamigotały błyski, na blade policzki wytrysnął rumieniec, w jednej chwili wydała się młodsza o wiele lat.

- Hrabio! - powiedziała. - Angielki nie rozumieją twoich cudzoziemskich form grzeczności.

- Wybacz, mój aniele! Najlepsza i najdroższa ze wszystkich Angielek świata rozumie je!

Z tymi słowami wypuścił moją rękę, zamiast niej ujął dłoń żony i spokojnie podniósł ją do ust.

Wbiegłam na schody szukając schronienia w moim własnym pokoju. Gdybym miała wolną chwilę, to teraz, gdy zostałam sama, opadłyby mnie bolesne myśli. Ale nie było na to czasu. Szczęśliwie ze względu na mój spokój i odwagę miałam tyle do roboty, że nie starczało, już czasu na myślenie. Trzeba było wysłać list do prawnika i do pana Fairlie, więc natychmiast zabrałam się do pisania.

Nie sprawiała mnie bynajmniej kłopotu mnogość sposobów

ratunku. Po pierwsze, nie miałam absolutnie nikogo, na kim mogłabym polegać - prócz samej siebie. Sir Parsival nie miał w okolicy krewnych ani przyjaciół, o których wstawiennictwo mogłabym się starać. Pozostawał w bardzo chłodnych stosunkach - w niektórych wypadkach w bardzo złych stosunkach - z mieszkającymi w pobliżu rodzinami równych mu godnością i pozycją. A my nie miałyśmy brata ani swata, który mógłby zjawić się w tym domu i ująć się za nami. Nie było więc innego wyjścia, musiałam napisać te listy, choć powątpiewałam w ich skuteczność, albo postawić Laurę i siebie w fałszywej sytuacji i uniemożliwić wszelkie pokojowe negocjacje na przyszłość, uciekając z Blackwater Park. Tego kroku nie mogłoby usprawiedliwić nic prócz niechybnej groźby osobistego niebezpieczeństwa. Należało najpierw spróbować, co osiągną listy. Napisałam je.

Nie wspomniałam nic prawnikowi o Annie Catherick, ponieważ, jak tłumaczyłam to Laurze, ten temat związany był z tajemnicą, której nie potrafiłybyśmy na razie wyjaśnić, więc pisanie o tym do człowieka jego zawodu nie zdałoby się na nic. Niegodne zachowanie sir Parsivala mógł - jeśli tak by mu się spodobało - przypisać nowym nieporozumieniom na tematy pieniężne. Ja tylko zasięgałam jego rady co do możliwości posłużenia się środkami prawnymi dla obrony Laury, gdyby mąż odmówił jej pozwolenia na opuszczenie na jakiś czas Blackwater Park i udanie się wraz ze mną do Limmeridge. Odsyłałam go do pana Fairlie po dalsze informacje w sprawie naszego ewentualnego wyjazdu, zapewniałam go, że piszę z upoważnienia Laury, i zakończyłam usilną prośbą, aby działał w jej imieniu w jak najszerszym zakresie, jaki mu przyznaje prawo, i z możliwie najmniejszą stratą czasu.

Następnie zajęłam się listem do pana Fairlie. Apelowałam do niego w sposób, który, jak już nadmieniałam Laurze, najpewniej mógł go zmusić do działania. Załączyłam kopię listu do prawnika, żeby przekonać pana Fairlie o powadze chwili, i tłumaczyłam, że dręcząca i niebezpieczna sytuacja Laury musi nieuchronnie i to już w niedalekiej przyszłości wywrzeć wpływ nie tylko na jej, ale również i na jego losy, i że wyjazd nasz do

Limmeridge jest jedynym kompromisowym wyjściem, które może temu zapobiec.

Kiedy napisałam listy, zaadresowałam koperty i przyłożyłam do nich pieczęcie, poszłam je pokazać Laurze.

- Czy nikt cię nie niepokoił? — spytałam, gdy otworzyła mi drzwi.

- Nikt nie pukał - odparła. - Ale słyszałam, że ktoś chodził po przedpokoju.

- Mężczyzna czy kobieta?

- Kobieta. Dobiegł mnie szelest jej sukni.

- Szelest jedwabiu?

- Tak, zdaje się, że szelest jedwabiu.

Najwidoczniej madame Fosco czuwała. Sama niewiele mogła zrobić złego. Ale zło, jakie mogła wyrządzić, jako powolne narzędzie w rękach swego męża, było czymś zbyt przerażającym, by wolno było przejść nad tym do porządku dziennego.

- A co się stało z tym szelestem sukni, kiedy ucichł w przedpokoju? - zapytałam. - Czy słyszałaś, jak oddalał się korytarzem przy ścianie twego pokoju?

- Tak. Byłam cicho i nadśluuchiwałam, i to właśnie słyszałam.

- W jakim kierunku oddaliła się?

- W stronę twego pokoju.

Zastanowiłam się. Nie słyszałam tego szelestu. Ale byłam głęboko zaabsorbowana listami, pisałam gęsim piórem, które mocno naciskałam, skrzypiąc głośno po papierze. Wydało mi się bardziej prawdopodobne, że madame Fosco mogła posłyszeć skrzypienie mego pióra niż ja szelest jej sukni. Jeszcze jedna przyczyna (gdybym jej szukała!), żeby nie powierzać moich listów pocztowej torbie w hallu.

Laura spostrzegła moje zamyślenie.

- Nowe trudności? - rzekła znękany głosem. - Wciąż nowe trudności i nowe niebezpieczeństwa!

- Nie ma nowych niebezpieczeństw - odpowiedziałam. - Może trochę nowych trudności. Myślę, w jaki sposób najpewniej przekazać moje dwa listy w ręce Fanny.

- A więc je rzeczywiście napisałaś, Marianno? O, proszę cię,

nie ryzykuj! Błagam cię, nie ryzykuj!

- Nie, nie. Nie obawiaj się. Pozwól mi myśleć. Która teraz godzina?

Była za kwadrans szósta. Wystarczy mi czasu na dojście do wiejskiego zajazdu i powrót przed obiadem. Jeśli będę czekać do wieczora, może nie zdarzyć się po raz drugi okazja, bym mogła bezpiecznie wyjść z domu.

- Miej drzwi zamknięte na klucz, Lauro - rzekłam. - I nie obawiaj się o mnie. Jeślibyś słyszała, że pytają o mnie, krzyknij przez drzwi, że poszłam na spacer.

- A kiedy wrócisz?

- Na pewno przed obiadem. Odwagi, kochana! Jutro o tej porze godny zaufania, inteligentny człowiek weźmie twe sprawy w swe ręce. Wspólnik pana Gilmore jest naszym przyjacielem, najlepszym przyjacielem po panu Gilmore.

Gdy zostałam sama, po chwili zastanowienia zdecydowałam, że nie pokażę się w spacerowym stroju, póki nie sprawdzę, co się dzieje na dole. Nie wiedziałam, czy sir Parsival jest w domu, czy na dworze.

Śpiew kanarków w bibliotece i woń dymu tytoniowego, wydostającego się przez nie domknięte drzwi, zdradziły mi od razu miejsce pobytu hrabiego. Mijając drzwi zerknęłam przez ramię i ku swemu wielkiemu zdziwieniu zobaczyłam, że z ujmującą uprzejmością demonstruje gospodyni pojętność swych ptaszków. Musiał ją specjalnie zaprosić, by to zobaczyła, gdyż nawet przez myśl by jej nie przeszło, żeby wejść do biblioteki z własnej woli. Każdy najdrobniejszy nawet czyn tego człowieka wypływał z jakichś ukrytych pobudek. Do czego dążył tym razem?

Nie było czasu na to, by wnikać w motywy jego postępowania. Rozejrzałam się za madame Fosco i znalazłam ją na ulubionym jej spacerze, krążącą dokoła stawu z rybami.

Nie byłam pewna, jak mnie powita po tak niedawnym wybuchu zazdrości. Ale mąż zdążył już ją poskromić i rozmawiała tak samo uprzejmie, jak zawsze. Zwróciłam się do niej po to jedynie, żeby się przekonać, czy orientuje się, co dzieje się z sir Parsivalem. Udało mi się pośrednio nawiązać do

tego i w końcu, po krótkim kluczeniu z mojej i z jej strony, madame Fosco wspomniała, że wyszedł.

- Jakim koniem pojechał? - zapytałam od niechcienia.

- Poszedł piechotą przed dwiema godzinami - odrzekła. - Jak zrozumiałam, zamierzał dalej prowadzić poszukiwania kobiety nazwiskiem Anna Catherick. Nie wie pani przypadkiem, panno Halcombe, czy to niebezpieczna wariatka?

- Nie wiem, hrabino.

- Wraca już pani?

- Tak, chyba wracam. Pewno już niedługo trzeba się będzie przebierać do obiadu.

Węszliśmy razem do domu. Madame Fosco wolnym krokiem udała się do biblioteki, zamykając za sobą drzwi. Natychmiast pośpieszyłam po szal i kapelusz. Nie mogłam tracić ani chwili, jeśli chciałam przed obiadem zobaczyć się z Fanny w zajeździe i wrócić na czas.

Kiedy ponownie przechodziłam przez hali, nie było tam nikogo. Śpiew kanarków ucichł. Nie miałam czasu, żeby się zatrzymywać i przeprowadzać świeże badania. Upewniłam się tylko, że droga jest wolna, i wyruszyłam z domu ukrywszy w kieszeni dwa listy.

Idąc do wsi przygotowywałam się na możliwość spotkania z sir Parsivalem. Pewna byłam, że jeśli będę miała do czynienia tylko z nim samym, nie stracę przytomności umysłu. Każda kobieta, która wie, że może liczyć na swój rozsądek, jest zawsze godnym przeciwnikiem mężczyzny, który nie potrafi panować nad sobą. Nie lękałam się sir Parsivala tak, jak hrabiego. Wiadomość, że wyruszył na poszukiwanie Anny Catherick, nie zdenerwowała mnie, lecz wprost przeciwnie, uspokoiła. Mogłyśmy się spodziewać, że' gdy zaprzątać go będzie troska ó odszukanie Anny, zaniecha na czas pewien prześladowania Laury i mnie. Zarówno ze względu na dobro nasze, jak i Anny, modliłam się gorąco i z ufnością, aby nadal wymykała mu się z rąk.

Szłam tak szybko, jak pozwalał upał, aż znalazłam się na drodze prowadzącej do wsi. Od czasu do czasu oglądałam się za siebie, żeby się upewnić, że nikt za mną nie idzie.

Jechał tylko pusty wóz. Koła jego turkotały nieprzyjemnie i kiedy zorientowałam się, że podobnie jak ja skręca na drogę prowadzącą do wsi, zatrzymałam się, żeby go przepuścić i nie słyszeć więcej. Kiedy przyglądałam mu się z większą niż poprzednio uwagą, miałam wrażenie, że chwilami dostrzegam nogi mężczyzny, idącego tuż za nim. Woźnica znajdował się z przodu, przy koniach. Odcinek drogi, który właśnie przeszłam, był tak wąski, że jadący za mną wóz musiał się przeciskać przez gałęzie drzew i krzaków i dopiero gdy mnie minął, mogłam sprawdzić, czy spostrzeżenie moje odpowiada prawdzie. Wówczas jednak za wozem nie było nikogo. Musiałam się więc pomylić.

Doszłam do zajazdu nie zauważywszy już nic więcej i nie spotykając sir Parsivala. Z przyjemnością przekonałam się, że gospodyni przyjęła Fanny z całą uprzejmością. Przeznaczyła dla niej niewielki salonik, leżący z dala od gwarne go baru, i schludną sypialkę na górze. Ujrzawszy mnie biedna Fanny wybuchnęła płaczem i powiedziała, najzupełniej zresztą słusznie, że to okropne być tak wypędzoną na cztery wiatry, jak by się popełniło grzech nie do darowania, podczas gdy nikt, nawet pan, który ją odprawił, nie mógłby jej nic zarzucić.

- Nie martw się tym, Fanny - uspokajałam ją. - Twoja pani i ja pozostałyśmy ci życzliwe i będziemy dbać, by twoja opinia nie ucierpiała z tego powodu. A teraz posłuchaj. Bardzo się śpieszę, a mam ci powierzyć bardzo ważną sprawę. Chcę, żebyś zaopiekowała się tymi dwoma listami. Ten ze znaczkiem wrzucić do skrzynki, gdy jutro rano przyjedziesz do Londynu. Drugi, adresowany do pana Fairlie, wręczysz mu sama, gdy tylko wrócisz do domu. Trzymaj obydwie przy sobie i nie oddawaj nikomu innemu. Są to listy bardzo ważne dla twojej pani.

Fanny ukryła listy w zanadrzu.

- Pozostaną tutaj, panienko - powiedziała - aż zrobię tak, jak panienka kazała.

- Pilnuj się, żebyś się nie spóźniła jutro rano na pociąg - mówiłam dalej. - A kiedy zobaczysz się z gospodynią w Limmeridge, pozdrów ją ode mnie i powiedz jej, że dopóki lady Glyde nie będzie cię mogła przyjąć z powrotem, jesteś na

służbie u mnie. Spotkamy się na pewno prędzej, niż się spodziewasz. Bądź więc dobrej myśli i nie spóźnij się na pociąg o siódmej.

- Dziękuję, panienko... bardzo dziękuję. Otucha we mnie wstępuje, gdy znów słyszę głos panienki. Proszę się kłaniać ode mnie mojej pani i powiedzieć jej, że starałam się zostawić wszystko w jak najlepszym porządku, jak tylko mogłam w tym pośpiechu. Och, mój Boże, kto ją dziś ubierze do obiadu? Serce mi pęka, panienko, gdy o tym myślę!

Kiedy wróciłam do domu, miałam tylko kwadrans na przebranie się do obiadu i zamienienie paru słów z Laurą.

- Oddałam listy Fanny - powiedziałam szeptem stanąwszy w drzwiach jej pokoju. - Czy zejdziesz na obiad?

- Och nie, za nic na świecie.

- Czy coś się stało? Ktoś cię niepokoił?

- Tak... przed chwilą... sir Parsival.

- Czy wchodził tu?

- Nie, ale mnie przestraszył waląc w drzwi. Spytałam: „Kto tam?” „Wiesz dobrze - odrzekł. - No, kiedy się zdecydujesz powiedzieć resztę? Powiedz mi! Prędzej czy później wydobędę z ciebie prawdę. Wiesz, gdzie jest Anna Catherick”. „Naprawdę nie wiem” - odrzekłam. „Ty wiesz! - zawołał. - Ale ja skruszę twój upór, pamiętaj! Wydobędę z ciebie prawdę!” Z tymi słowami odszedł, Marianno... odszedł jakieś pięć minut temu.

A więc nie znalazł Anny! Nie znalazł jej jeszcze, nic nam zatem nie grozi tego wieczoru.

- Schodzisz do jadalni, Marianno? Przyjdź znów wieczorem.

- Tak, tak. Ale nie niepokój się, jeśli przyjdę późno. Muszę uważać, by ich nie obrazić zbyt prędkim odejściem.

Rozległ się dzwonek na obiad i zbiegłam na dół.

Sir Parsival prowadził madame Fosco do stołu, a hrabia podał mi ramię. Twarz miał zarumienioną i rozgorączkowaną, strój jak na niego niedbały. Czyżby on także wychodził przed obiadem i spóźnił się? A może tylko upał dokuczał mu bardziej niż zwykle?

W każdym razie gryzła go tajemnie jakaś troska, czego nie zdołał ukryć, mimo swej umiejętności zwodzenia. Przez cały

obiad milczał niemal tak samo jak sir Parsival, a od czasu do czasu spoglądał na żonę z wyrazem skrytego niepokoju, jakiego nigdy u niego nie widziałam. Wydawało się, że opanowanie wystarcza mu tylko na dopełnienie jednego z obowiązków towarzyskich, mianowicie obowiązku uprzejmości w stosunku do mnie. Dotychczas nie wiem, jaki niecny cel mu przyświecał, ale od chwili gdy po raz pierwszy postawił nogę w tym domu, niezmienna grzeczność dla mnie, pokora w stosunku do Laury i nieustanne dążenie do stłumienia za wszelką cenę wybuchów prostackiej gwałtowności sir Parsivala stanowiły środki, jakimi się z nieodgadłych przyczyn postanowił posługiwać, by osiągnąć ten cel. Zaczęłam go o to podejrzewać, gdy po raz pierwszy interweniował na naszą korzyść tego dnia, gdy sir Parsival zażądał podpisania dokumentu w bibliotece. Dziś jestem tego pewna.

Kiedy madame Fosco i ja wstałyśmy od stołu, hrabia podniósł się również, udając się z nami do salonu.

- Dlaczego odchodzisz, Fosco? - zapytał sir Parsival.

- Odchodzę, bo już mam dość jadła i trunków - odparł hrabia.

- Bądź łaskaw, Parsivalu, darować mi mój cudzoziemski zwyczaj, że będę wstawać od stołu z paniami tak, jak przychodzę do stołu wraz z nimi.

- Bzdura! Nie zaszkodzi ci jeszcze jeden kielich wina. Siadaj przy stole jak Anglik. Chcę z tobą porozmawiać chwilę przy winie.

- Z całego serca pragnę z tobą spokojnie porozmawiać, Parsivalu, ale nie teraz i nie przy winie. Później, wieczorem, jeśli zechcesz, później, wieczorem.

- Uprzejme zachowanie względem gospodarza! - odparł z wściekłością sir Parsival. - Doprawdy, uprzejme zachowanie!

Nieraz w czasie obiadu widziałam, jak spoglądał niespokojnie na hrabiego, i spostrzegłam, że hrabia starannie unikał odwzajemnienia mu się spojrzeniem. Okoliczność ta, jak również usiłowanie gospodarza, by go nakłonić do spokojnej rozmowy przy winie, i uparta odmowa hrabiego przypomniały mi, że w ciągu dnia sir Parsival daremnie zwracał się do swego przyjaciela z prośbą, by wyszedł z biblioteki i porozmawiał z

nim. Hrabia nie zgodził się na poufną rozmowę, gdy proszono go o nią po południu, i po raz drugi nie zgodził się, gdy poproszono go w czasie obiadu. Jakikolwiek miał być temat tej rozmowy, zdaniem sir Parsivala musiał to być ważny temat, a zdaniem hrabiego - sądząc po jego widocznej niechęci do tej rozmowy - również i niebezpieczny.

Takie spostrzeżenie nasunęło mi się, gdy przechodziliśmy z jadalni do salonu. Gniewna uwaga sir Parsivala nie wywarła najmniejszego wrażenia na odchodzącym przyjacielu. Uparty hrabia przyprowadził nas do stołu nakrytego do herbaty, pobył w pokoju parę minut, wyszedł do hallu i powrócił z torbą pocztową w rękę. Była wtedy godzina ósma, pora, o której zazwyczaj wysyłano listy z Blackwater Park.

- Czy ma pani jakieś listy do wysłania, panno Halcombe? - spytał zbliżając się do mnie.

Madame Fosco, która miała właśnie posłodzić herbatę, znieruchomiała, ze szczypcami do cukru w rękę, by usłyszeć moją odpowiedź.

- Nie, hrabio, dziękuję. Nie mam dziś żadnych listów.

Oddał torbę służącemu, który był w pokoju, zasiadł do fortepianu i zagrał dwukrotnie pełną życia melodię piosenki neapolitańskiej ulicy „La mia Carolina”. Jego żona, zazwyczaj najpowniejsza ze wszystkich kobiet, naląła herbaty tak szybko, jak ja sama bym to zrobiła, wypła w jednej chwili swoją filiżankę i spokojnie wyśliznęła się z pokoju.

Podniosłam się, by iść za jej przykładem, bo lękałam się z jej strony jakiegoś podstępu w stosunku do Laury, a poza tym zdecydowana byłam nie pozostawać sama z jej mężem w pokoju. Nim jednak doszłam do drzwi, hrabia mnie zatrzymał prosząc o filiżankę herbaty. Podałam mu ją i po raz drugi próbowałam się wymknąć. Zatrzymał mnie ponownie. Tym razem podszedł do fortepianu i zwrócił się do mnie z zapytaniem z dziedziny muzyki, od którego, jak twierdził, zawisł honor jego kraju. Daremnie wymawiałam się całkowitą nieznajomością muzyki i zupełnym brakiem muzycznego gustu. Ponownie odwołał się do mnie, tym razem z taką gwałtownością, że nie mogłam już dłużej protestować. - Anglicy

i Niemcy - oświadczył z oburzeniem - wytykają zawsze Włochom niezdolność stworzenia wyższych form muzycznych. My mówimy wciąż o naszych oratoriach, oni mówią wciąż o swoich symfoniach. Czyżbyśmy my zapomnieli, czyżby oni zapomnieli mego nieśmiertelnego rodaka i przyjaciela, Rossiniego? Czymże jest „Mojżesz w Egipcie”, jeśli nie wzniosłym oratorium, którego nie śpiewa się w salach koncertowych, ale wystawia na deskach scenicznych? Czymże jest uwertura do „Wilhelma Telia”, jeśli nie symfonią pod inną nazwą? Czy słyszała pani „Mojżesza w Egipcie”? Czy nie zechciałaby pani posłuchać tych urywków i powiedzieć, czy zwykły śmiertelnik mógł stworzyć coś równie wzniosłego i wspaniałego?

Nie czekając na słowo przyzwolenia z mej strony i patrząc na mnie badawczo przez cały czas, począł walić w fortepian i wtórować sobie głośnym i pełnym entuzjazmu śpiewem, czyniąc między poszczególnymi urywkami tylko takie przerwy, by mógł mi szybko rzucić ich tytuły - „Chór Egipcjan w czasie plagi ciemności”, panno Halcombe, „Recitativo Mojżesza z tablicami przykazań”, „Modlitwa Izraelitów przechodzących przez Morze Czerwone”. Czyż nie jest to wzniosłe? Czy nie jest to święte? - Fortepian drżał od uderzeń jego silnych rąk i filizanki na stole pobrzękiwały, gdy potężnym basem ciągnął melodię i ciężką stopą wybijał takt na podłodze.

Było coś przerażającego, coś dzikiego i demonicznego w tym jego zachwycie nad własną muzyką i śpiewem, w triumfie, z jakim obserwował moje wrażenia - gdy ja tymczasem odsuwałam się coraz bardziej ku drzwiom. Zostałam w końcu uwolniona, nie dzięki własnym wysiłkom, ale interwencji sir Parsivala. Otworzył drzwi od jadalni i gniewnie zapytał, co ma znaczyć „ten piekielny hałas”. Hrabia momentalnie zerwał się od fortepianu.

- Ach - powiedział - skoro przyszedł tu Parsival, koniec z melodią i harmonią. Muza Muzyki, panno Halcombe, opuszcza nas z pogardą, a ja, tłusty, stary minstrel, wyśpiewam resztę swego entuzjazmu pod gołym niebem. - Wymaszerował na werandę, potem do ogrodu, włożył ręce do kieszeni i podjął

„Recitativo Mojżesza” sotto voce.

Słyszałam, jak sir Parsival wołał go przez okno jadalnego pokoju. Ale on nie zwracał na to uwagi. Wydawało się, że zdecydowany jest nie słyszeć. Tak długo odkładana rozmowa nie miała jeszcze się odbyć, miała czekać, aż hrabiemu przyjdzie na nią ochota.

Trzymał mnie w salonie prawie pół godziny od chwili odejścia jego żony. Gdzie była i co robiła przez ten czas?

Poszłam na górę, by się o tym dowiedzieć, ale nic nie spostrzegłam, a kiedy spytałam Laurę, okazało się, że nic nie słyszała. Nikt nie zakłócał jej spokoju i ani w przedpokoju, ani na korytarzu nie słyszała szelestu jedwabnej sukni.

Była godzina za dwadzieścia dziewięć. Poszłam do swego pokoju po dziennik, a potem siedziałam u Laury, trochę pisząc, a trochę rozmawiając z nią. Nikt nie przechodził w pobliżu jej pokoju i nic się nie zdarzyło. Pozostałam z nią do dziesiątej, potem powiedziałam jej parę pokrzepiających słów i życzyłam dobrej nocy. Postanowiłyśmy, że z samego rana przyjdę do niej, i Laura zamknęła za mną drzwi na klucz.

Chciałam jeszcze przed położeniem się spać dodać kilka zdań do mego dziennika, toteż gdy rozstawszy się z Laurą, po raz ostatni w tym ciężkim dniu schodziłam do salonu, postanowiłam tylko się tam pokazać, wymówić się czymś i wrócić do siebie godzinę wcześniej niż zwykle.

Sir Parsival, hrabia i jego żona siedzieli razem. Sir Parsival ziewał na fotelu, hrabia coś czytał, madame Fosco wachlowała się. Twarz jej, o dziwo, oblewał rumieniec. Ona, której nigdy nie dokuczyło gorąco, najwidoczniej musiała teraz cierpieć.

- Obawiam się, hrabino, że nie czuje się pani tak dobrze, jak zwykle?

- To samo właśnie miałam pani powiedzieć. Jest pani blada, moja droga.

„Moja droga”. Po raz pierwszy zwróciła się do mnie tak poufale. A gdy mówiła te słowa, miała na twarzy bezczelny uśmiech.

- Dokucza mi zwykła u mnie silna migrena - odparłam chłodno.

- Ach, tak? To pewno z braku ruchu? Pożądanym byłoby dla pani spacer przed obiadem.

Z dziwnym jakimś naciskiem mówiła o spacerze. Czyżby widziała, jak wychodziłam? Nie ma znaczenia, jeśli nawet widziała. Listy są już bezpieczne w rękach. Fanny!

- Chodź na papierosa, Fosco - powiedział sir Parsival, po czym wstał i rzucił na przyjaciela niespokojne spojrzenie.

- Z przyjemnością, Parsivalu, gdy panie pójdą spać - odparł hrabia.

- Proszę mi wybaczyć, hrabino, że pierwsza udam się na spoczynek - powiedziałam. - Ale jedynym ratunkiem na taką migrenę jak moja jest łóżko.

Pożegnałam się, a kiedy podawałyśmy sobie ręce, na jej twarzy igrał ten sam bezczelny uśmiech. Sir Parsival nie zwracał na mnie uwagi. Niecierpliwie spoglądał na madame Fosco, która nie okazywała zamiaru opuszczenia wraz ze mną salonu. Hrabia uśmiechał się do siebie nad książką. Ta „spokojna rozmowa” z sir Parsivalem odwlekała się znowu, a przeszkodą była tym razem hrabina.

IX

19 czerwca

Zamknawszy się bezpiecznie w pokoju, otworzyłam dziennik i przygotowałam się do spisywania tych wydarzeń dnia, których jeszcze nie zdążyłam zanotować.

Przez dziesięć minut albo i dłużej siedziałam bezczynnie, z piórem w ręku, rozmyślając nad wydarzeniami ostatnich dwunastu godzin. Kiedy w końcu zabrałam się do pracy, przysparzała mi ona tyle trudności, co nigdy przedtem. Pomimo wysiłków, by skoncentrować na niej uwagę, myśli moje z dziwnym uporem odbiegały ku hrabiemu i sir Parsivalowi. Nie mogłam wzbudzić w sobie zainteresowania dziennikiem, intrygowała mnie bowiem owa poufna rozmowa, odkładana przez cały dzień, która miała się odbyć teraz, w ciszy

i samotności nocy.

W takim stanie umysłu pamięć nie przyniosła mi obrazów tego, co wydarzyło się w ciągu dnia, i nie było innej rady, jak tylko zamknąć dziennik i odbiec od niego myślą na chwilę.

Otworzyłam drzwi prowadzące z mojej sypialni do saloniku, a przeszedłszy przez nie zamknęłam je za sobą, aby nie stwarzać możliwości przeciągu i wypadku ze świecą stojącą na toaletce.

Okno mego saloniku zastałam szeroko otwarte. Wychyliłam się przez nie i spoglądałam w mrok nocny.

Noc była ciemna i spokojna. Nie widać było księżycy ani gwiazd. Ciężkie, nieruchome powietrze pachniało deszczem. Wysunęłam rękę przez okno. Nie. Choć zanosilo się na ulewę, nie padało jeszcze.

Chyba przez kwadrans wychylałam się przez okno, spoglądając w zamyśleniu w mrok. Nie słyszałam nic, tylko niekiedy dobiegały mnie głosy służby lub odległy stuk zamykanych na parterze drzwi.

Odwracałam się już właśnie w znużeniu od okna, zamierzając powrócić do sypialni i ponowić wysiłki nad ukończeniem zapisków w moim dzienniku, gdy duszne powietrze przyniosło mi zapach dymu tytoniowego. W chwilę potem ujrzałam na tle niezgłębionych ciemności maleńką czerwoną iskierkę sunącą w moim kierunku od najdalszego węgla domu. Nie słyszałam żadnych kroków i nie mogłam dostrzec nic prócz tej iskierki. Wędrowała samotnie wśród nocy, minęła okno, przy którym stałam, i zatrzymała się pod oknem mej sypialni, gdzie na toaletce płonąła zapalona przeze mnie świeca.

Postała tam chwilę, potem ruszyła z powrotem w kierunku, z którego przyszła. Kiedy pobiegłam za nią wzrokiem, dostrzegłam zbliżającą się ku' niej drugą czerwoną iskierkę, większą niż ta pierwsza. Spotkały się w ciemnościach. Uprzytomniłam sobie, kto palił papierosy, a kto cygara, i od razu nasunął mi się wniosek, że to hrabia wyszedł pierwszy, aby popatrzeć i podsłuchać pod moim oknem, a potem przyłączył się do niego sir Parsival. Szli z pewnością trawnikiem, gdyż inaczej niezawodnie słyszałabym ciężkie

kroki sir Parsivala, choć lekkich kroków hrabiego, nawet gdyby szedł po żwirowej ścieżce, mogłabym nie dosłyszeć.

Czekałam spokojnie przy oknie, pewna, że żaden z nich nie zdoła mnie dojrzeć w ciemnym pokoju.

- Co takiego? - zapytał cicho sir Parsival. - Dlaczego nie wejdiesz do środka i nie usiądziesz?

- Chcę, żeby zgasło światło w tym oknie.

- A cóż ci ono szkodzi?

- Świadczy, że ona jeszcze nie śpi. Jest dosyć bystra, by coś podejrzewać, i dość śmiała, by zejść na dół i podsłuchiwać, jeślibyśmy dali jej okazję. Cierpliwości, Parsivalu, cierpliwości!

- Bzdura! Ciągłe tylko mówisz o cierpliwości.

- Powiem ci teraz co innego. Mój przyjacielu, stoisz nad skrajem przepaści, i te kobiety, na me najświętsze słowo honoru, zepchną cię w nią niezawodnie, jeśli im dasz najmniejszą choćby szansę.

- Cóż to, u. diabła, ma znaczyć?

- Przejdziemy do wyjaśnień, Parsivalu, gdy światło w tym oknie zgaśnie, a ja zajrzę do pokoiów sąsiadujących z biblioteką i rzucę okiem na klatkę schodową.

Oddalili się powoli i nie dosłyszałam reszty rozmowy, którą prowadzili przez cały czas ściszym głosem. Ale to już nie miało znaczenia. To, co posłyszałam, wystarczyło, bym postanowiła dać swym postępowaniem dowód, że opinia hrabiego o mojej odwadze i mojej bystrości jest słuszna. Nim czerwone iskierki zatoneły w mroku, zdecydowałam, że gdy ci dwaj mężczyźni zasiądą do rozmowy, ktoś będzie ich słuchać, a tym kimś, mimo wszelkich ostrożności podejmowanych przez hrabiego - będę ja sama. Potrzebowałam tylko wytłumaczenia, które usankcjonowałyby ten postępek w moim własnym sumieniu, i wytłumaczenie to znalazłam. Od bystrości mego słuchu i wierności mej pamięci dzisiejszej nocy zależeć może honor Laury, jej szczęście, a nawet i samo życie.

Słyszałam, jak hrabia zapowiadał, że nim rozpocznie swe wyjaśnienia, zajrzy do pokoiów sąsiadujących z biblioteką, a również i na klatkę schodową. To wystarczyło, bym domyśliła się, że na miejsce rozmowy zaproponował bibliotekę.

Momentalnie wyciągnęłam tę konkluzję, momentalnie obmyśliłam sposób, by pokonać wszystkie przeszkody z jego strony, czyli, innymi słowy, posłyszeć, co będą do siebie mówili, i to bez podejmowania ryzyka zejścia na niższe piętro.

Opisując pokoje na parterze wspomniałam o. znajdującej się przy nich werandzie, na którą z każdego pokoju wychodziło okno francuskie, sięgające od sufitu do podłogi. Dach werandy był płaski, a deszczową wodę odprowadzano z niego rynnami do zbiorników, pomagających zaopatrywać gospodarstwo w wodę. Na wąskim ołowianym dachu, który znajdował się pod oknami sypialni nie niżej, przypuszczam, niż o jakieś trzy stopy od framug okiennych, ustawiono rząd doniczek kwiatowych w dość szerokich odstępach jedna od drugiej. By nie pospadały w razie silnego wiatru, zabezpieczono je wzdłuż skrajów dachu ozdobną żelazną kratą.

Przyszło mi na myśl, by przez okno mego saloniku wydostać się na ten dach, prześliznąć bezszelestnie aż do tej jego części, która znajdowała się bezpośrednio nad oknem biblioteki, i przykucnąć pomiędzy doniczkami, z uchem zwróconym ku kracie. Jeżeli sir Parsival i hrabia zasiedliby dziś z cygarem i papierosem, tak jak widywałam ich niejednego wieczoru palących tuż . przy otwartych drzwiach, ze stopami opartymi o ogrodowe krzesła ustawione na werandzie, wtedy musiałabym posłyszeć każde ich słowo, wypowiedziane trochę głośniej niż szeptem, a przecież, jak wiemy wszyscy z doświadczenia, nie sposób jest. prowadzić dłuższej rozmowy szeptem. Jeśliby jednak zechcieli siedzieć w głębi pokoju, wtedy nie słyszałabym nic albo bardzo mało, i w tym wypadku musiałabym narazić się na znacznie poważniejsze niebezpieczeństwo i spróbować przechytrzyć ich na dole.

Choć świadomość naszej rozpaczliwej sytuacji umacniała mnie w moim postanowieniu, pragnęłam gorąco, by dało się uniknąć tej ostateczności. Odwaga moja była przecież tylko odwagą kobiety i odbiegała mnie niemal zupełnie na myśl o tym, że w głuszy nocnej znaleźć się mogę na parterze zdana na łaskę i niełaskę sir Parsivala i hrabiego.

Wróciłam cicho do sypialni, żeby wpierw przeprowadzić

bezpieczniejszą próbę na dachu werandy.

Z wielu względów konieczna była kompletna zmiana stroju. Zdjęłam przede wszystkim jedwabną suknię, gdyż najłżejszy jej szelest zdradziłby mnie w ciszy nocy. Uwolniłam się następnie od białych i niewygodnych części bielizny, zastępując je spódnicą z ciemnej flaneli. Włożyłam swój czarny płaszcz podróżny i naciągnęłam kaptur na głowę. W zwykłym mym stroju wieczorowym zajmowałam tyle przynajmniej miejsca, co trzech mężczyzn. Teraz, gdy otuliłam się szczelnie peleryną, żaden mężczyzna nie zdołałby przecisnąć się przez tak wąskie przejście, jak ja. Była to sprawa ogromnej wagi, bo na dachu werandy, między ścianą i oknami domu a rzędem doniczek, pozostawało niewiele wolnej przestrzeni. Któż mógł przewidzieć, jakie pociągnęłoby to konsekwencje, gdybym strąciła cośkolwiek lub uczyniła najłżejszy hałas?

Położyłam zapałki koło świecy, zgasiłam ją i poszłam po omacku do salonu. Zamknęłam na klucz drzwi za sobą, tak jak poprzednio zamknęłam na klucz drzwi od sypialni, spokojnie wyszłam przez okno i ostrożnie stanęłam na pokrytym łożowaną blachą dachu werandy.

Moje dwa pokoje leżały na końcu nowego skrzydła domu, w którym wszyscy mieszkaliśmy, i musiałam minąć pięć okien, by znaleźć się bezpośrednio nad biblioteką. Pierwsze z nich było oknem pokoju obecnie pustego. Drugie i trzecie były oknami pokoju Laury, czwarte sir Parsivala. Za piątym oknem znajdował się pokój hrabiny. Dalsze okna, których nie potrzebowałam mijać, były oknami garderoby hrabiego, łazienki i drugiego wolnego pokoju.

Żaden dźwięk nie dobiegł do moich uszu, w chwili gdy stanęłam na dachu werandy. Spowijała mnie wokół ciemna zasłona nocy i tylko w tej części, na którą wychodziło okno pokoju majdanie Fosco, tuż nad biblioteką, w tym właśnie miejscu, do którego kierowałam swe kroki, ujrzałam blask światła. Hrabina nie położyła się jeszcze.

Za późno było, by się wycofać, nie miałam czasu, by czekać, zdecydowana byłam za wszelką cenę tam dojść, powierzając swe bezpieczeństwo własnej ostrożności i mrokom nocy. „Dla

szczęścia Laury!" - pomyślałam stawiając pierwszy krok na dachu. Jedną ręką przytrzymałam płaszcz, drugą sunęłam po omacku po ścianie. Lepiej było ocierać się o ścianę, niż ryzykować uderzenie nogą o doniczki stojące z drugiej strony, o parę cali ode mnie.

Minęłam ciemne okno pustego pokoju, przy każdym kroku badając najpierw stopą ołowiany dach, a potem dopiero przenosząc na nią cały ciężar ciała. Minęłam ciemne okna pokoju Laury („Boże, błogosław jej i miej ją w swej opiece tej nocy!"). Minęłam ciemne okno pokoju sir Parsivala. Potem zatrzymałam się chwilę, uklękłam wspierając się na rękach i zaczęłam czołgać się w ten sposób na swe stanowisko, pod osłoną niskiej ściany między dolną futryną oświetlonego okna i dachem werandy.

Kiedy odważyłam się spojrzeć w okno, zobaczyłam, że tylko jego górna część jest otwarta i że wisi na nim zasłona. Gdy patrzyłam w okno, przez białą płaszczyznę zasłony przesunął się cień madame Fosco, a potem powoli zawrócił i zniknął. Nie słyszała chyba, jak czołgałam się pod jej oknem, gdyż w przeciwnym razie cień zatrzymałby się przy zasłonie, nawet gdyby hrabinie brakowało odwagi, by otworzyć okno i wyjrzeć.

Usiadłam bokiem do kraty na dachu werandy, sprawdzając wpierw dotykiem położenie doniczek z przodu i z tyłu. Było między nimi tyle tylko miejsca, by móc tam usiąść. Słodko pachnące liście rośliny po mojej lewej ręce łaskotały mój policzek, gdy lekko oparłam głowę o kratę.

Pierwszym odgłosem, jaki dobiegł do mnie z dołu, było kolejne otwieranie lub zamykanie (prawdopodobnie to ostatnie) trojga drzwi, zapewne prowadzących do hallu i do pokoi sąsiadujących z biblioteką, które hrabia miał zbadać.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzałam, była czerwona iskierka wędrująca spod werandy przez mrok nocy ku memu oknu. Zatrzymała się pod nim chwilę, a potem powróciła na miejsce, z którego wyruszyła.

- Coś taki niespokojny, u diabła?! Kiedyż wreszcie usiądziesz?
- warknął sir Parsival w dole.

- Uf, jakże gorąco! - powiedział hrabia wzdychając ciężko. Po

tym westchnieniu posłyszałam skrzywienie ogrodowych

krzesel na kafelkowej podłodze werandy, miły mi odgłos, świadczący, że zamierzają jak zwykle usiąść tuż przy francuskim oknie. Tak więc szanse były po mojej, stronie. Zegar na wieży wydzwaniał właśnie trzy kwadransy na dwunastą. Przez otwarte okno posłyszałam ziewanie madame Fosco i znów na białym tle zasłony mignął jej cień.

Tymczasem sir Parsival i hrabia zaczęli rozmawiać. Chwilami mówili ciszej niż zwykle, ale nigdy nie wpadali w szept. Niebezpieczeństwo i niezwykłość mojej sytuacji, nie dający się opanować lęk z powodu oświetlonego okna pokoju madame Fosco utrudniały mi, a nawet początkowo wprost uniemożliwiały zachowanie przytomności umysłu i skupienie uwagi wyłącznie na dochodzącej mnie z dołu rozmowie. Przez parę pierwszych minut udawało mi się chwytać tylko jej ogólny sens. Jak zrozumiałam, hrabia mówił, że jedyne oświetlone okno jest oknem pokoju jego żony, że na parterze nie ma nikogo i że teraz mogą rozmawiać nie obawiając się niczego. Na to sir Parsival zasypał go wymówkami, wyrzucając przyjacielowi, że w nie dający się usprawiedliwić sposób zlekceważył jego życzenie i zaniedbywał jego interesy przez cały dzień. Wtedy hrabia powiedział na swą obronę, że dręczyły go pewne kłopoty i niepokoje, które pochłaniały całą jego uwagę, i że odpowiednia na wyjaśnienia chwila przychodzi wtedy, gdy jest się pewnym, że nikt rozmowy nie przerwie ani nie podsłucha.

- W naszych sprawach nastąpił poważny kryzys, Parsivalu - rzekł - i jeśli w ogóle chcemy decydować o przyszłości, musimy decydować dzisiejszej nocy.

To było pierwsze zdanie z rozmowy, którego zdołałam wysłuchać tak uważnie, że je spamiętałam. Od tej chwili, z pewnymi przerwami, cała moja uwaga skupiła się wyłącznie na rozmowie i słyszałam każde słowo.

- Kryzys? - powtórzył sir Parsival. - Mogę ci powiedzieć, że cięższy, niż przypuszczasz.

- Tak też sądziłem obserwując twoje zachowanie od paru dni - odrzekł chłodno tamten. - Ale poczekaj chwilę. Zanim

przystąpimy do tego, czego ja nie wiem, sprawdźmy to, co wiem. Muszę być pewny, że nie myślę się co do przeszłości, nim zaproponuję ci coś w sprawie przyszłości.

- Chwileczkę, przyniosę brandy i wodę. Napij się i ty.

- Dziękuję, Parsivalu. Dla mnie wystarczy zimna woda, łyżeczka i cukiernica. Eau sucrée, mój przyjacielu, nic więcej.

- Woda z cukrem dla mężczyzny w twoim wieku! Masz! Rób sobie swój obrzydliwy napój. Wy, cudzoziemcy, jesteście wszyscy jednakowi.

- A teraz posłuchaj, Parsivalu. Przedstawię ci jasno, jaka w moim pojęciu jest nasza sytuacja, a ty mi powiesz, czy mam rację, czy też się myślę. Obaj powróciliśmy z kontynentu do tego domu z bardzo poważnymi kłopotami!..

- Skracaj się! Potrzebowałem paru tysięcy, a ty paru setek, bez których moglibyśmy obaj zejść na psy. Taka była sytuacja. Mów dalej.

- Dobrze, Parsivalu, posługując się twoimi dosadnymi angielskimi wyrażeniami, potrzebowałeś paru tysięcy, a ja paru setek, i jedynym sposobem zdobycia ich było uzyskanie przez ciebie pieniędzy na twe potrzeby (z małą nadwyżką, ze względu na te moje marne kilka setek) z pomocą twojej żony. Co powiedziałem ci o twojej żonie wracając do Anglii? Co powiedziałem ci ponownie, kiedy przyjechaliśmy tutaj i zobaczyłem na własne oczy, jaka jest panna Halcombe?

- Nie wiem, pewnie plotłeś trzy po trzy, jak zawsze.

- Powiedziałem to, przyjacielu: ludzka pomysłowość znalazła jak dotąd dwa sposoby, dzięki którym mężczyzna może rządzić kobietą. Jeden sposób to bić ją. Jest to metoda przyjęta szeroko w niskich sferach, ale całkowicie obca wykształconym, wyższym warstwom. Drugi sposób jest znacznie dłuższy, znacznie trudniejszy, ale w końcowym rezultacie nie mniej pewny, polega na tym, by nigdy nie dać się kobiecie sprowokować. Ta metoda nie zawodzi ze zwierzętami, nie zawodzi z dziećmi, nie zawodzi z kobietami, które są niczym innym, jak tylko dorosłymi dziećmi. Pełne spokoju opanowanie - temu jedynie poddają się uległe zwierzęta, dzieci i kobiety. Jeżeli raz jeden uda im się pozbawić ich pana tej władczej

cechy, zdobywają nad nim przewagę. Jeśli nigdy nie zdołają odebrać mu tego spokoju, on ma nad nimi przewagę. Powiedziałem ci, Parsivalu: pamiętaj o tej prostej prawdzie, jeśli chcesz, żeby twoja żona pomogła ci w sprawie pieniędzy. Powiedziałem: pamiętaj o tym specjalnie w obecności siostry twojej żony, panny Halcombe. Czy pamiętałeś o tym? Nie, ani razu w czasie tych kłopotów, które omotały nas w tym domu. Za każdym razem dawałeś się natychmiast sprowokować swej żonie i szwagierce. Wskutek tego nieopanowania przepadł podpis na dokumencie, przepadła gotówka, a panna Halcombe napisała po raz pierwszy do adwokata.

- Po raz pierwszy?! Czyżby pisała drugi raz?

- Tak, dziś napisała znowu.

Krzesełko runęło na podłogę werandy z hukiem, jakby je ktoś kopnął.

Dobrze się stało, że nowina hrabiego wywołała taki wybuch gniewu w sir Parsivalu. Gdy posłyszałam, że hrabia wie o moim liście, drgnęłam tak, że krata, o którą się opierałam, zaskrzypiała znowu. Czyżby szedł za mną do zajazdu? Czy wynioskował, że musiałam dać listy Fanny, gdy nie dałam mu listu do torby pocztowej? A nawet jeśli tak było, jakim sposobem przeglądał te listy, skoro dziewczyna wzięła je wprost z moich rąk i schowała w zanadrze swej sukni?

- Dziękuj swej szczęśliwej gwiazdzie - dobiegły mnie słowa hrabiego - że masz w swym domu mnie i że ja naprawiam, co ty popsujesz. Dziękuj swej szczęśliwej gwiazdzie, że powiedziałem: nie, gdy szalałeś do tego stopnia, że chciałeś zamknąć na klucz pannę Halcombe w jej pokoju, tak jak w przystępie szaleństwa i głupoty zamknąłeś swą żonę. Gdzie masz oczy, że patrzysz na pannę Halcombe i nie widzisz, że posiada ona rozum i wolę mężczyzny! Mając tę kobietę za przyjaciela, mógłbym gwizdać na cały świat, ale gdyby stała się ona moim wrogiem, wtedy mnie z moim rozumem i doświadczeniem... mnie, przebiegłemu niczym diabeł, jak mówiłeś mi setki razy... mnie paliłby się grunt pod nogami. I tę wspaniałą istotę... piję tę wodę z cukrem za jej zdrowie!... tę wspaniałą istotę, która silna miłością stoi niczym skała

między nami i tą biedną, piękną blondyną, twą żoną... tę to wspaniałą kobietę, którą podziwiam z całej duszy, choć walczę z nią w imię interesów twoich i moich... tę kobietę doprowadziłeś do ostateczności, jak gdyby była zwykłą przedstawicielką swej płci. Parsivalu, Parsivalu, zasłużyłeś na klęskę i poniosłeś ją.

Zapadła cisza. Piszę, co ten łotr powiedział o mnie, gdyż chcę dobrze zapamiętać te słowa, bo nie tracę nadziei, że przyjdzie dzień, kiedy będę mogła powiedzieć w jego obecności, co myślę, i cisnąć mu z powrotem te słowa jedno po drugim prosto w twarz.

Sir Parsival pierwszy przerwał milczenie.

- Tak, tak, rzucaj się i grzmij, ile tylko chcesz - powiedział w nadąsaniu - ale kłopoty finansowe to nie jedyne moje kłopoty. Gdybyś wiedział to, co ja wiem, sam byłbyś za tym, by twardą ręką trzymać te kobiety.

- Przejdziemy do tych innych kłopotów w odpowiedniej chwili - odparł hrabia. - Omówimy najpierw sprawę pieniędzy. Czy pokonałem wreszcie twój upór? Czy przekonałem cię, że gwałtem nic nie zrobisz? Czy też muszę znowu wracać do tego samego i, jak się wyraziłeś, jeszcze trochę rzucać się i grzmieć?

- Ach! Łatwo jest gderać, ale trudniej powiedzieć, co należy zrobić.

- Tak sądzisz? Ba! Trzeba zrobić tylko to: od dzisiejszej nocy zrzekasz się wszelkiego kierowania tymi sprawami i oddajesz je w moje ręce. Mówię do rozsądnego, praktycznego Anglika, prawda? Rozsądny, praktyczny - czy to właściwe określenie?

- A co proponujesz, jeśli się zgodzę, byś tymi sprawami kierował?

- Najpierw odpowiedz, czy oddajesz je w moje ręce?

- Powiedzmy, że tak, cóż wtedy?

- Przede wszystkim parę pytań, Parsivalu. Muszę trochę poczekać, aby okoliczności pomogły mi znaleźć właściwą drogę. Muszę więc wiedzieć jak najlepiej, co może nastąpić. Nie ma czasu do stracenia. Powiedziałem ci już, że panna Halcombe napisała dziś po raz drugi do prawnika.

- Jakżeś to odkrył? Co pisała?

- Jeżeli ci powiem, Parsivalu, to i tak w końcu powrócimy do tego miejsca, w którym jesteśmy obecnie. Dostyc, że odkryłem to, a kłopoty i niepokój tym wywołane sprawiły, że byłem tak nieprzystępny dla ciebie przez cały dzień. A teraz chciałbym przypomnieć sobie na nowo, jak się przedstawiają twoje sprawy. Dość dawno już nie omawiałem ich z tobą. W braku podpisu twojej żony zdobyłeś pieniądze na weksle z trzymiesięcznym terminem - zdobyłeś je za taką cenę, że, gdy o tym myślę, to mnie, cudzoziemcowi, dręczonemu niedostatkiem, włosy się na głowie jeżą z przerażenia. A kiedy nadejdzie termin płatności, czy naprawdę nie znajdzie się sposób, by je spłacić bez uciekania się do pomocy twojej żony?

- Nie!

- Co? Nie masz pieniędzy u bankierów?

- Parę setek, gdy potrzebuję tyleż tysięcy.

- Nie masz nic, pod zastaw czego mógłbyś pożyczyć?

- Nie, absolutnie nic.

- A co ci w obecnej chwili wnosi twoja żona?

- Nic prócz procentu z jej dwudziestu tysięcy, co starcza zaledwie na pokrycie codziennych wydatków.

- A co ci może wnieść w przyszłości?

- Trzy tysiące rocznie, gdy umrze jej stryj. \

- Piękna fortuna, Parsivalu. A co to za człowiek ten stryj?

Stary?

- Nie, ani stary, ani młody.

- Wesoły, rozrzutny? Żonaty? Nie, zdaje się moja żona mówiła mi, że nieżonaty.

- Oczywiście, że nie. Gdyby był żonaty i miał syna, lady Glyde nie byłaby dziedziczką majątku. Powiem ci, co to za człowiek. Ckliwy, zręczny, samolubny głupiec, który każdego zanudza narzekaniem na stan swego zdrowia.

- Ludzie tego pokroju, Parsivalu, żyją długo i żenią się w sposób złośliwy, kiedy się najmniej tego spodziewasz. Niewielkie masz szansę, przyjacielu, na te trzy tysiące rocznie. Czy już nic więcej nie możesz się spodziewać po swej żonie?

- Nic.

- Nic? Absolutnie nic?

- Absolutnie nic... chyba w wypadku jej śmierci.

- Aha, w wypadku jej śmierci!

Znowu zapadła cisza. Hrabia wyszedł z werandy w alejkę. Poznałam to po jego głosie. - Nareszcie pada - powiedział.

Padalo. Stan mej peleryny świadczył, że już od dłuższej chwili pada deszcz.

Hrabia schronił się pod dach werandy. Słyszałam, jak krzesło zaskrzypiało pod jego ciężarem, gdy rozsiadał się w nim ponownie.

- A w wypadku śmierci twojej żony, Parsivalu, co otrzymasz?

- Jeżeli nie zostawi dzieci...

- Które prawdopodobnie zostawi?

- Które jest zupełnie nieprawdopodobne, by miała...

- Więc?

- No, wtedy ja otrzymam dwadzieścia tysięcy.

- Gotówką?

- Gotówką.

Znowu zamilkli. Gdy ścichły ich głosy, na zasłone okna padł cień madame Fosco. Ale tym razem nie zniknął zaraz, lecz stał przez chwilę. Ujrzałam, jak jej palce zbliżają się do rogu zasłony i odchylają ją. Za szybą ukazał się niewyraźny bładzi zarys jej twarzy. Wpatrywała się w ciemność wprost nade mną. Zamarłam pod nią czarną peleryną, okrywającą mnie od stóp do głów. Deszcz, od którego szybko przemakało mi ubranie, spływał kroplami po szybach, rozmazywał się na nich i nie pozwalał jej nic dojrzeć. - Ulewa! - powiedziała do siebie. Opuściła zasłonę, a ja odetchnęłam z ulgą.

Pode mną znowu toczyła się rozmowa, tym razem podjął ją hrabia.

- Parsival! Czy zależy ci na twojej żonie?

- Fosco! To trochę zuchwałe pytanie!

- Jestem zuchwałym człowiekiem i powtarzam je.

- Dlaczego, u diabła, patrzysz na mnie w taki sposób?

- Nie chcesz odpowiedzieć? Przypuśćmy zatem, że żona twoja umrze, nim upłynie lato...

- Przestań, Fosco!

- Przypuśćmy, że żona twoja umrze...

- Przestań, mówię ci!

- W tym wypadku zyskałbyś dwadzieścia tysięcy, a straciłbyś..?

- Straciłbym szansę trzech tysięcy rocznie.

- Nikłą szansę, Parsivalu, nikłą szansę. A tobie potrzeba pieniędzy i to zaraz. W twojej sytuacji zysk jest pewien, strata wątpliwa.

- Mów również i w swoim imieniu. Część tych pieniędzy, których potrzebuję, pożyczyłem dla ciebie. A jeśli chodzi o twoją korzyść, to śmierć mej żony oznacza dziesięć tysięcy dla twojej żony. Choć jesteś bystry, wydajesz się zapominać o zapisie na rzecz madame Fosco, co jest ci zresztą na rękę. Nie patrz na mnie w taki sposób! Nie życzę sobie tego! Słowo daję, skóra na mnie cierpnie od tych twoich pytań i spojrzeń!

- Twoja skóra? Czy skóra po angielsku oznacza sumienie? Mówię o śmierci twojej żony jako o jednej z możliwości. Czy mi nie wolno? Szanowni prawnicy, którzy spisują wasze dokumenty i wasze testamenty, śmiało mówią o śmierci ludzi żyjących. Czy cierpnie ci skóra od tego, co mówią prawnicy? Dłaczegóż więc cierpnie gdy ja to mówię? Moim zadaniem dzisiejszej nocy jest wyjaśnić twoją sytuację tak, by nie było żadnej możliwości pomyłki. Uczyniłem to. Jeśli twoja żona będzie żyć, spłacisz te weksle jej podpisem. Jeśli umrze, zapłacisz jej śmiercią.

Kiedy to mówił, światło w pokoju madame Fosco zgasło i całe piętro domu zatoneło w ciemnościach.

- Gadanie! - warknął sir Parsival. - Słyszając ciebie, można by pomyśleć, że zdobyłem już podpis mej żony.

- Oddałeś tę sprawę w moje ręce - odparł hrabia - a ja mam więcej niż dwa miesiące, by to załatwić. Proszę cię, nie mów już teraz nic więcej na ten temat. Kiedy przyjdzie termin płatności weksli, zobaczysz sam, czy to moje „gadanie” jest tylko gadaniem. A teraz, Parsivalu, ponieważ na dziś skończyliśmy już ze sprawami pieniężnymi, mogę ci służyć moją radą, jeśli chcesz mi się zwierzyć z kłopotów, które przyłączyły się do naszych trudności i wskutek których tak się zmieniłeś na gorsze, że wprost nie mogę cię poznać. Mów, przyjacielu, i

wybacz, jeśli urażę twe narodowe gusta i przygotuję sobie drugą szklaneczkę wody.

- Łatwo jest zachęcać, bym mówił - odrzekł sir Parsival znacznie spokojniejszym i grzeczniejszym tonem niż dotychczas - ale trudno jest zdecydować, od czego zacząć.

- Może ci pomóc? - podsunął hrabia. - Mam może nadać imię twemu zmartwieniu? A jeśli bym je nazwał Anną Catherick?

- Posłuchaj, Fosco. Znamy się już od dawna, raz czy parę razy wyratowałeś mnie z opałów, a ja rewanżując ci się zrobiłem, co było w mej mocy w sprawach finansowych, by ci dopomóc. Poświęciliśmy się dla siebie nawzajem, jak najlepsi przyjaciele, ale jednak mamy przed sobą pewne sekrety, nieprawdaż?

- Ty masz sekret przede mną, Parsivalu. Kryjesz w swej szafie szkielec, który w ostatnich dniach pokazywał się nie tylko tobie, ale i innym.

- Przypuśćmy nawet, że tak było. Jeżeli to się ciebie nie tyczy, nie musisz interesować się tym, prawda?

- Czy wyglądam na to, że się tym interesuję?

- Tak.

- No, no, twarz moja zatem mówi prawdę? Jakież niezmiernie pokłady dobra znajdować się muszą w naturze człowieka, który doszedł do moich lat i posiada twarz zdolną jeszcze wyrażać prawdę. No, no, Glyde, bądźmy szczerzy wobec siebie. To twoja tajemnica szukała mnie, ja jej nie szukałem. Przypuśćmy, że jestem jej ciekaw. Czy wobec tego chciałbyś, abym jako twój stary przyjaciel respektował twój sekret i pozostawił go, raz na zawsze, tobie?

- Tak, właśnie o to proszę.

- W takim razie kończy się moja ciekawość. Umiera we mnie w tej chwili.

- Czy mówisz to naprawdę?

- Dlaczego w to wątpisz?

- Poznałem już, Fosco, kręte drogi, jakimi chadzasz, i wcale nie jestem pewien, czy nie wydobędziesz w końcu ze mnie tej tajemnicy.

Krzeseł na dole z nagłą zaskrzypiało i poczułam, że filar pode mną zatrzęsł się cały. Hrabia zerwał się na równe nogi i w

gniewie walną weń ręką.

- Parsivalu, Parsivalu! - krzyczał w uniesieniu. - Czyż nie znasz mnie? Czy te wszystkie doświadczenia nie powiedziały ci nic o moim charakterze? Jestem postacią klasyczną! Zdolny jestem do aktów najwznioślejszych cnót, gdy nadarzy się po temu okazja! Nieszczęściem mego życia jest, że miałem tak mało po temu okazji! Przyjaźń, w moim pojęciu, to wzniosłe uczucie. Czy to moja wina, że spostrzegłem, że coś ukrywasz? A dlaczego przyznaję się do ciekawości? Dlatego, mój powierzchownie patrzący Angliku, żeby wspanialej nad nią panować. Mógłbym wyciągnąć od ciebie ten sekret, gdybym zechciał, tak łatwo, jak wyciągam ten mój palec. Ty wiesz o tym. Ale odwołałeś się do mojej przyjaźni, a uczucie przyjaźni jest dla mnie świętością. Patrz! Depczę moją niską ciekawość stopą. Dzięki moim szlachetnym sentymentom wznoszę się ponad nią. Przyznaj to, Parsivalu! Naśladuj moje uczucia, Parsivalu! Podaj dłoń... wybaczam ci!

Głos mu się załamał, gdy mówił ostatnie słowa, jak gdyby rzeczywiście płakał.

Sir Parsival w zmieszaniu próbował się tłumaczyć, ale hrabiego przepelniały zbyt wspaniałomyślne uczucia, by mógł na to pozwolić.

- Nie! - rzekł. - Kiedy zrani mnie przyjaciel, mogę mu wybaczyć bez przeprosin. Powiedz mi wyraźnie, czy potrzeba ci mojej pomocy?

- Tak, bardzo.

- A czy możesz wyjaśnić mi to, nie zdradzając swej tajemnicy?

- W każdym razie mogę spróbować.

- Próbuj zatem.

- A więc, tak sprawy stoją: powiedziałem ci dzisiaj, że robiłem co mogłem, żeby odnaleźć Annę Catherick, i nie udało mi się.

- Tak, powiedziałeś to.

- Fosco! Będę zgubiony, jeśli jej nie odnajdę.

- O! To sprawa aż tak poważna?

Z werandy wypłynął nikły blask i padł na alejkę. Hrabia przyniósł lampę z głębi pokoju, aby w jej świetle lepiej widzieć

twarz przyjaciela.

- Tak! - powiedział. - Tym razem twoja twarz mówi prawdę. Doprawdy, to poważna sprawa, może tak poważna, jak sprawa pieniędzy.

- Poważniejsza. Wierźaj mi, znacznie poważniejsza. Światło znikło, a rozmowa toczyła się dalej.

- Pokazywałem ci list do mojej żony, który Anna Catherick schowała w piasku - ciągnął sir Parsival. - To nie są przechwałki, Fosco, ona naprawdę zna mój sekret.

- Parsivalu, w mojej obecności mów jak najmniej o sekrecie. Czy zna go od ciebie?

- Nie. Od swej matki.

- Dwie kobiety znają twoją tajemnicę. Oj, niedobrze, niedobrze, przyjacielu. A teraz, pójdziemy dalej, jedno pytanie. Jasne jest teraz dla mnie, dlaczego zamknęłaś córkę w zakładzie, ale nie jest równie jasne, w jaki sposób stamtąd uciekła. Czy sądzisz, że ludzie, opiekujący się nią w zakładzie, przymykali na to oczy umyślnie, za poduszczeniem jakiegoś twego wroga, którego stać było na wynagrodzenie im tego?

- Nie, ale ona zachowywała się najlepiej ze wszystkich pacjentów i ci głupcy jej zaufali. Jest dosyć szalona na to, by ją zamknąć, i dostatecznie zdrowa na umyśle, by mnie zgubić, gdy będzie na swobodzie. Rozumiesz teraz?

- Rozumiem, Parsivalu. A teraz przejdźmy do sedna sprawy i zorientuję się, co trzeba robić. Na czym polega niebezpieczeństwo twojej sytuacji w tej chwili?

- Anna Catherick przebywa w sąsiedztwie i komunikuje się z lady Glyde - w tym tkwi wyraźne niebezpieczeństwo. Czy możliwe jest, aby ktokolwiek po przeczytaniu listu, ukrytego w piasku, sądził, że żona moja nie zna sekretu, choćby najbardziej temu przeczyła?

- Chwileczkę, Parsivalu? Jeśli lady Glyde zna sekret, musi także wiedzieć, że on ciebie kompromituje. Na pewno więc leży w jej interesie, jako twojej żony, zachować go dla siebie.

- Czy tak? Właśnie o tym chcę mówić. Leżałoby to w jej interesie, gdyby dbała o mnie choć tyle, co o złamany szeląg. Ale tak się złożyło, że jestem jej tylko zawadą. Kochała się w

innym mężczyźnie, nim mnie poślubiła, kocha go teraz... diabelskiego włóczęgę, nauczyciela rysunków, nazwiskiem Hartright!

- Mój drogi przyjacielu! I cóż w tym dziwnego? One zawsze kochają innych mężczyzn! Kto zdobywa pierwsze uczucie kobiecego serca? W całym moim życiu nigdy nie spotkałem człowieka, który był pierwszy! Rzadko tego, który był drugi... trzeciego, czwartego, piątego - często. Pierwszego - nigdy! Oczywiście, on musi istnieć, ale go nigdy nie spotkałem.

- Poczekaj! Jeszcze nie skończyłem. A kto, jak myślisz, pomógł Annie Catherick uciec, gdy gonili ją ludzie z zakładu? Hartright. Kto widział się z nią w Cumberland? Hartright. W obu wypadkach rozmawiał z nią w cztery oczy. Czeka! Nie przerywaj mi. Ten łotr ma taką samą słabość do mojej żony, jak ona do niego. On zna sekret i ona go zna. Jeśli się jeszcze raz spotkają, będzie zarówno w jej jak i jego interesie, by obrócić go przeciwko mnie.

- Spokojnie, Parsivalu, spokojnie! Czyżbyś nie doceniał cnoty lady Glyde?

- Nie dałbym szeląga za cnotę lady Glyde. Nie wierzę w nią - tylko w jej pieniądze. Czyż nie rozumiesz, jak sprawy stoją? Sama nie robi nic złego, ale jeśli ona i ten włóczęga Hartright...

- Tak, tak, pojmuję. Gdzie jest pan Hartright?

- Za granicą. Jeśli dba o całość swej skóry, radziłbym mu nie śpieszyć się z powrotem.

- Czy jesteś pewien, że przebywa za granicą?

- Jestem tego pewien. Śledzono go z mego polecenia od chwili wyjazdu z Cumberland do momentu odpłynięcia z kraju. O, zapewniam cię, że byłem przezorny. Anna Catherick mieszkała u pewnych farmerów niedaleko Limmeridge. Udałem się tam sam, gdy mi się wymknęła, i upewniłem się, że oni nic nie wiedzą. Dałem jej matce wzór listu, aby napisała do panny Halcombe, zaświadczając, że nie kierowały mną żadne złe pobudki, kiedy zamknąłem jej córkę w zakładzie. Bałbym się wprost przyznać, ile pieniędzy wydałem na to, aby ją wyśledzić. A teraz, pomimo tego wszystkiego, pojawia się tutaj i

w mojej własnej posiadłości wymyka mi się z rąk! Skąd mogę wiedzieć, kto jeszcze z nią się widział, kto jeszcze z nią mówił? Ten wścibski łotr, Hartright, mógł powrócić bez mojej wiedzy i jutro z nią...

- O nie, Parsivalu. Póki ja tu jestem i ta kobieta jest w sąsiedztwie, ręczę za to, że nawet jeśli pan Hartright powróci, dostaniemy go w swe ręce, nim się z nią spotka. Tak, tak, rozumiem. Przede wszystkim musimy koniecznie odnaleźć Annę Catherick, a o resztę możesz być spokojny. Twoja żona jest tutaj, masz ją w swych rękach, pana Halcombe nie rozstaje się z nią, a więc ją także masz w swych rękach, a pan Hartright jest za granicą. Obecnie musimy myśleć tylko o tej niewidzialnej Annie. Przeprowadziłeś poszukiwania?

- Tak. Byłem u jej matki, przetrząsnąłem całą wioskę, wszystko nadaremnie.

- Czy na jej matce można polegać?

- Tak.

- Wydała raz sekret.

- Nie wyda go więcej.

- Dlaczego? Czy i jej tak samo jak tobie zależy na zachowaniu tajemnicy?

- Tak, i to bardzo.

- Bardzo mnie to cieszy, Parsivalu, ze względu na ciebie. Nie trać ducha, przyjacielu! Jak ci powiedziałem, sprawy pieniężne nie zajmą mi całego czasu i może jutro poszukam Anny Catherick z lepszym skutkiem niż ty. Jeszcze jedno pytanie, nim pójdziemy do łóżek...

- Co takiego?

- Posłuchaj. Kiedy poszedłem na przystań, chcąc powiadomić lady Glyde, że na razie nie potrzebuje się kłopotać sprawą podpisu, trafiłem tam przez przypadek w samą porę, by widzieć, jak jakaś kobieta w dziwny, budzący podejrzenia sposób żegna się z twoją żoną. Ale przypadek nie postawił mnie dostatecznie blisko, bym mógł przyjrzeć się jej twarzy. Muszę wiedzieć, jak rozpoznać naszą niewidzialną Annę. Jak wygląda?

- Jak wygląda? Posłuchaj! Powiem ci w trzech słowach. To schorowany sobowtór mojej żony!

Krzesło zaskrzypiało, filar znów się zatrząsł. Hrabia zerwał się na równe nogi - tym razem ze zdumienia.

- Co?!!! - zawołał z przejęciem.

- Wyobraź sobie moją żonę po ciężkiej chorobie, z wyrazem lekkiego pomieszania zmysłów - i masz obraz Anny Catherick - odpowiedział sir Parsival.

- Czy są spokrewnione ze sobą?

- Nie, zupełnie nie.

- A jednak tak podobne?

- Tak, bardzo podobne. Z czego się śmiejesz?

Nie było odpowiedzi, nie słyszałam żadnego odgłosu. Hrabia śmiał się cicho, jak zwykle.

- Z czego się śmiejesz? - powtórzył sir Parsival.

- Chyba z moich własnych pomysłów, drogi przyjacielu. Wybacz mi mój włoski humor. Czyż nie pochodzę z wielkiego narodu, który wymyślił wasze przedstawienia Puncta? Tak, tak, pognam Annę Catherick, kiedy ją zobaczę, więc dosyć o tym na dziś. Bądź spokojny, Parsivalu. Spij, synu, śpij snem sprawiedliwego, a zobaczysz, co uczynię dla ciebie, gdy światło dnia przyjdzie nam obu na pomoc. Mam w mej wielkiej głowie różne plany i projekty. Zapłacisz te weksle i znajdziesz Annę Catherick, dam ci na to moje święte słowo honoru. Czyż nie jestem przyjacielem, którego trzeba cenić całym sercem? Czy niewart jestem, byś pożyczał mi pieniądze, choć przed chwilą z całą twą delikatnością mi to wypomniałeś? Cokolwiek będziesz robił, nie rań już nigdy w przyszłości mych uczuć. Uznaj je, Parsivalu, naśladowaj je, Parsivalu! Przebaczam ci ponownie, podajmy sobie znów dłonie. Dobranoc.

Nie mówili już nic więcej. Słyszałam, jak hrabia zamykał drzwi od biblioteki. Słyszałam, jak sir Parsival zamykał okiennice. A przez cały czas deszcz padał nieustannie. Zdrętwiałam w mej niewygodnej pozycji i zziębłam do szpiku kości. Kiedy po raz pierwszy próbowałam się poruszyć, wysiłek ten przyprawił mnie o taki ból, że musiałam go poniechać. Po chwili spróbowałam po raz drugi i udało mi się dźwignąć na kolana na mokrym dachu.

Kiedy podpełzałam do ściany i oparłam się o nią, obejrzałam

się za siebie i zobaczyłam, że w oknie garderoby hrabiego zapala się światło. Odwaga rozbudziła się we mnie na nowo i gdy skradałam się z powrotem, cał po cału przy ścianie domu, miałam przez cały czas wzrok utkwiony w tym oknie.

Kiedy kładłam ręce na framudze okna mego pokoju, zegar wydzwaniał kwadrans po pierwszej. Nie spostrzegłam ani nie usłyszałam nic, co by mi kazało przypuszczać, że zauważono moją wędrówkę.

X

20 czerwca

Ósma godzina.

Słońce świeci na niebie bez chmur. Nie zbliżałam się do łóżka, nie zamknęłam ani na chwilę znużonych czuwaniem oczu. Z tego samego okna, przez które patrzyłam w mrok ubiegłej nocy, oglądam teraz jasność pogodnego ranka.

Godziny, które upłynęły od chwili, gdy schroniłam się w zacisze tego pokoju, odmierzam własnym uczuciem i te godziny wydają się tygodniami.

Jak niedawno temu - a jednak dla mnie jakże dawno - opadłam tutaj bezsilna na podłogę, w ciemność, przemoczona do nitki, zdrętwiała, zziębnięta do szpiku kości, bezradna, porażona lękiem istota.

Nie wiem nawet, kiedy się ocknęłam. Nie wiem nawet, kiedy po omacku trafiłam do sypialni, zapaliłam świecę i półprzytomna poszukałam suchego ubrania, żeby się rozgrzać. Mam poczucie, że to robiłam, ale nie wiem kiedy.

Czy nie mogłabym sobie przypomnieć, kiedy opuściło mnie uczucie chłodu i odrętwienia, a ogarnęła gorączka?

Chyba było to przed wschodem słońca? Tak, słyszałam, jak zegar wybijał trzecią godzinę. Pamiętam tę chwilę, gdyż wtedy z nagle rozjaśniło mi się w głowie i ogarnęło mnie gorączkowe podniecenie. Pamiętam, jak postanowiłam opanować się i cierpliwie, godzina po godzinie czekać, aż nadejdzie okazja, aby

bez narażania się na odkrycie i pościg wyprowadzić Laurę z tego okropnego miejsca. Pamiętam, jak ustaliło się we mnie przekonanie, że słowa, wypowiedziane przez tych obu mężczyzn, nie tylko usprawiedliwią opuszczenie przez nas tego domu, ale również staną się dla nas orężem w walce z nimi. Pamiętam, jak zbudziło się we mnie pragnienie, by zachować te słowa na piśmie, dokładnie tak, jak je wypowiedziano, póki czas pozwala i mam je na świeżo w pamięci. Wszystko to pamiętam wyraźnie, nie ma w mej głowie zamętu, jak do tej chwili. Pamiętam, jak przed wschodem słońca przyszedłam tutaj, z sypialni z piórem, kałamarzem i papierem w ręku, jak usiadłam przy szeroko otwartym oknie, by chłodziło mnie zimne powietrze, pamiętam, jak przez te straszliwe godziny, gdy dom pogrążony był w ciszy, pisałam bez przerwy, coraz prędzej, coraz zapalczywiej, rozbudzając się coraz bardziej. Jakże wyraźnie pamiętam to wszystko od chwili, gdy przy blasku świecy. rozpoczynałam, do chwili, gdy je kończyłam na poprzedniej stronie, w pełnym świetle nowego dnia.

Dlaczego wciąż tutaj siedzę? Dlaczego wciąż męczę rozpalone oczy i płonąca głowę pisaniem? Dlaczego nie położę się, by odpocząć, dlaczego nie próbuję snem ugasić pożerającej mnie gorączki?

Nie odważę się tego zrobić. Opanował mnie lęk silniejszy niż wszystko inne. Przeraza mnie gorąco, które pali mą skórę. Przeraza mnie pulsowanie i szum w głowie. Skąd mogę wiedzieć, że jeśli się położę, będę miała dość siły i przytomności, by znów wstać?

Och, ten deszcz, ten bezlitosny deszcz, który tak ziębił mnie minionej nocy!

Dziewiąta godzina.

Czy to wybiła dziewiąta, czy ósma? Czy na pewno dziewiąta? Drzę znowu, drzę cała w ciepłe letniego dnia. Czyżbym zasnęła siedząc? Nie wiem, co się ze mną działo.

Och, Boże, Boże! Czyżbym miała zachorować?

Zachorować w takim momencie! Moja głowa... lękam się o moją głowę. Mogę pisać, ale wszystkie linie zbiegają się razem.

Widzę słowa, Laura - mogę napisać jej imię i odczytać je.

Ósma czy dziewiąta - która to godzina?

Tak mi zimno, tak zimno! Och, ten wczorajszy deszcz! Uderzenia zegara, których nie umiem policzyć, rozbrzmiewają wciąż na nowo w mej głowie...

Uwaga

W tym miejscu zapiski w dzienniku stają się nieczytelne. Parę linijek, które potem następują, zawierają tylko fragmenty słów pomieszanych z kleksami i kreskami. Ostatnie znaki na papierze przypominają trochę pierwsze dwie litery (L i A) imienia lady Glyde.

Na następnej stronie pojawia się inny zapisek, pisany męskim charakterem, pismem śmiałym, regularnym, o dużych literach. Zapisek nosi datę „Dwudziesty pierwszy czerwca”. Zawiera, co następuje:

Postscriptum szczerego przyjaciela

Choroba naszej niezrównanej panny Halcombe dała mi okazję do niezwykle przyjemnego przeżycia natury intelektualnej.

Mam na myśli ukończone przeze mnie przed chwilą czytanie tego ciekawego dziennika.

Liczy on kilkaset stron. Z ręką na sercu oświadczam, że oczarowany jestem każdą z nich, że każda mnie zachwycała i cieszyła.

Człowiekowi o moich sentymentach sprawia niezgłębioną radość, gdy może podobną opinię wyrazić.

Wspaniała kobieta!

(Myślę o pannie Halcombe).

Ogromny wysiłek!

(Odnosi się to do dziennika).

Tak! Te strony są czymś zdumiewającym! Takt, który tu pisarka okazuje, jej dyskrecja, rzadko spotykana odwaga, zdumiewająca pamięć, wdzięk stylu, czarujące wybuchy kobiecych uczuć - to wszystko niewypowiedzianie powiększyło

mój podziw dla tej wzniosłej istoty, tej naszej wspaniałej Marianny.; Mój obraz przedstawiony został po mistrzowsku. Całym sercem zaświadczam, że portret jest wierny. Jakże niezmierne musiałem na niej uczynić wrażenie, skoro odmalowała mnie tak silnymi pociągnięciami pędzla, w tak żywych barwach. Opłakuję nieubłaganą konieczność, która kazała nam zwalczać się nawzajem i przeciwstawiać się sobie. W szczęśliwszych okolicznościach jakże godnym byłbym panny Halcombe, jakże godną byłaby ona - MNIE. Uczucia, które ożywiają moje serce, są gwarancją, że skreślone przeze mnie linijki wyrażają najszczerzą prawdę.

Uczucia te wnoszą mnie ponad wszystkie względy osobiste. Z największą bezinteresownością przyznaję, że pomysł, dzięki któremu ta nie mająca sobie równej kobieta podsłuchiwała poufną rozmowę między Parsivalem a mną - był wspaniały! Przyznaję również, że jej sprawozdanie z tej rozmowy jest od początku do końca zdumiewająco wierne.

Uczucia te kazały mi ofiarować nieczulemu na nic doktorowi, który ją leczy, moją rozległą znajomość chemii oraz moje bogate doświadczenie w dziedzinie bardziej subtelnych środków, jakie wiedza medyczna i magnetyczna złożyły do dyspozycji rodzajowi ludzkiemu. Jak dotąd, odmawia korzystania z mojej pomocy. Biedny człowiek!

Te uczucia, wreszcie, podyktowały mi słowa, które tu piszę, słowa wdzięczne, współczujące, ojcowskie. Zamykam ten dziennik. Tak silne we mnie poczucie tego, co właściwe, każe mi rękami mojej żony położyć go z powrotem na miejsce na stoliku autorki. Wydarzenia wzywają mnie. Okoliczności nakłaniają mnie do poważnych decyzji. Przed oczyma mymi otwierają się szerokie perspektywy sukcesów. Wypełniam swe przeznaczenie ze spokojem, który przeraża mnie samego. Naprawdę moim jest tylko ten hołd czci i uznania, który z pełnym szacunkiem i sentymentem składam u stóp panny Halcombe.

Się jej me życzenia powrotu do zdrowia. Wyrażam jej współczucie z powodu nieuniknionej klęski, jaka spaść musi na każdy jej plan mający na celu ratowanie siostry. Jednocześnie

blagam ją, by zechciała uwierzyć, że informacje, jakie znalazłem w jej dzienniku, pod żadnym względem nie będą mi pomocne w sprowadzaniu tej klęski. Dziennik ten jedynie potwierdził słusność planu postępowania, jaki poprzednio powziąłem. Kartkom tym zawdzięczam jedynie rozbudzenie we mnie najszlachetniejszych sentymentów mojej natury - nic więcej.

Osobie o podobnych sentymentach i delikatności uczuć to proste stwierdzenie wytłumaczy i usprawiedliwi wszystko.

Panna Halcombe jest osobą o takiej delikatności uczuć. W tym przekonaniu podpisuję się

Fosco.

"Kobieta w bieli" (tytuł oryginału: The Woman in White) powieść epistolarna napisana przez Wilkie Collinsa w 1859 roku, wydana w odcinkach w latach 1859–1860 i po raz pierwszy opublikowana w formie książki w 1860 roku. Uważana jest za jedną z pierwszych powieści kryminalnych i powszechnie traktowana jako jedna z pierwszych (i najpiękniejszych) z gatunku powieści sensacyjnej

Historia tam opisana uważana jest za wczesny przykład fikcji detektywistycznej z bohaterem, Walterem Hartrightem, stosującym wiele technik śledczych późniejszych prywatnych detektywów. Użycie wielowątkowych relacji wynika z prawniczego wykształcenia Collinsa, i jak sam wskazuje w swoim Wstępie: "historia tu przedstawiona będzie opowiedziana przez więcej niż jedno pióro, jak historia przestępstwa przeciw prawu jest opowiedziana w Sądzie przez więcej niż jednego świadka".

